



MIROSLAV ŽAMBOCH ZAKUTY W STAL



fabryka słów®
WYDAWNICTWO



MIROSLAV ŽAMBOCH

Urodził się na Morawach w 1972 roku w środku bardzo mroźnej zimy. Beskidy w tym czasie pełne były niedźwiedzi i wilków. Zapewne dlatego do dziś słyszy ich wycie.

Z wykształcenia fizyk. Uwielbia sporty ekstremalne, boks, judo i wbieganie na górskie szczyty, nie licząc wczesnych grzechów młodości, takich jak streetfighting, speleologia i żeglarstwo. Inne zainteresowania: kobiety, wino i śpiew. Czech z krwi i kości.



Spis treści

Karta tytułowa

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Karta redakcyjna

Okładka

MIROSLAV ŽAMBOCH

ZAKUTY W STAL

przełożył
Andrzej Kossakowski

ilustracje
Przemysław Truściński

fabryka słów[®]

Lublin – Warszawa

Rozdział pierwszy



Jeszcze raz? – Oter wprawdzie mnie zapytał, ale równocześnie jednoznacznym gestem zamówił u kelnera kolejną rundę. Wiedziałem, że kiedy ją skończymy, we krwi krążyć mi będzie o pół litra piwa i jedną setkę alkoholu więcej niż porcja, do której byłem przyzwyczajony. Właściwie wcale mi to nie przeszkadzało. Oter dostał dobrą zapłatę za zboże, a mnie się trafiła transakcja roku. Za układ ultrastabilnej pamięci otrzymałem cenę, jakiej zażądałem, a o tuzin elektrod klienci prawie się pobili, licytując jeden przez drugiego. Ponadto zgromadziłem wszystkie części zamienne potrzebne do naprawy maszyn w osadzie, większość z nich w drodze wymiany na usprawnione alternatory, odzyskane ze złomowanych maszyn. Część pieniędzy zdążyłem umieścić w filii Pierwszego Banku Globalnego. Byłem z siebie zadowolony. Nieczęste uczucie, ale bardzo przyjemne.

Przynieśli nam kolejne piwo i małą porcję kryształowo czystego alkoholu, łańcuszek bąbelków świadczył o tym, że to nie woda. Napitek wyglądał tak samo jak podczas pierwszej kolejki, mimo to wyciągnąłem z nadgarstkowego komputerka sondę i zanurzyłem ją w dzbanie. Żadnych chemicznych trucizn, żadnej radioaktywności nie stwierdziłem.

– Ostrożny jesteś – zauważył Oter z rozbawieniem, prawie ze śmiechem.

– Słyszałem o takich miejscach, w których naleją ci uczciwy pierwszy puchar, a kolejne są już trujące.

Tutaj jednak nic takiego nie groziło. Postolov nie był ani wioską, ani osadą, tylko prawdziwym miastem, należącym do Ligi Miast, co

gwarantowało przestrzeganie prawa.

– Kociak. – Oter wskazał kierunek wzrokiem.

Nie byłem przyzwyczajony, żeby dziewczyny i młode kobiety wchodziły do lokali z wyszynkiem czy do gospód bez męskiego towarzystwa, ale musiałem zgodzić się z Oterem.

Nie miała więcej niż dwadzieścia lat, nosiła spódnicę do kostek, spod której widać było skórzane buty ze sprzączkami. Rozpięte dwa górne guziki dopasowanej koszuli kontrastowały z włosami mocno splecionymi w długi, ciężki warkocz. Wyraźnie nie pasowała do trzeciorzędnej knajpy, w której my zwykliśmy bywać, żeby nie tracić pieniędzy na droższy lokal.

– Ano, kociak – zgodziłem się.

Rzuciła mi przelotne spojrzenie, ale to wystarczyło, żebym prawie się zakrztusił. Może to spojrzenie było więcej niż przelotne. Przechodziła obok stołu, przy którym siedziało trzech mężczyzn. Jeden szeroki w ramionach, z twarzą naznaczoną oparzeniami; drugi masywny, z brzuchem wylewającym się spod pasa; trzeci mały, ze szczurzym pyskiem.

Grubas nieoczekiwanie złapał ją za ramiona i zatrzymał tak gwałtownie, że mało nie upadła.

W panującym gwarze nie usłyszałem, co jej powiedział, ale ona wymierzyła mu ostry policzek, aż został mu po nim na twarzy czerwony ślad. Nie wyglądała na przestraszoną.

Barczysty zaśmiał się i klepnął dziewczynę w tyłek.

Coś warknęła, a grubas przyciągnął ją bliżej.

Już dawno się nauczyłem, że nie powinienem mieszać się do cudzych spraw, ale kiedy jeden z nich trzymał dziewczynę, a drugi poklepywał, nie zdołałem się powstrzymać. Może winne temu było piwo, a może spojrzenie dziewczyny?

Spostrzegli mnie, zanim zdążyłem dojść do ich stołu. Natychmiast cała trójka, a właściwie czwórka, licząc i ją, skojarzyli mi się z rzeźbą grupową.

– Mężczyźni nie zachowują się tak wobec damy – powiedziałem. – Puśćcie ją.

Szczurek wyglądał na zadowolonego. Grubas się zaśmiał. Barczysty sięgnął ku mnie. Na pewno był silniejszy ode mnie, ale podczas szperania po złomowiskach spotykałem się z brutalną konkurencją, co nauczyło mnie dbać o siebie. Trzasnąłem go w łokieć obuszkim nie dłuższym niż dwadzieścia centymetrów, lecz z głowicą wypełnioną ołowianym śrutem. Ryknął z bólu, ale mimo to sięgnął ku mnie drugą ręką. Uderzyłem go powtórnie z całej siły, tym razem w ramię, równocześnie kopniakiem posyłając na podłogę grubasa, usiłującego wstać z krzesła.

Szczurek pomachał do kogoś za mną, dla pewności nadepnałem grubasowi na stopę i odwróciłem się. Od dalszego stołu podnosiło się trzech kolejnych mężczyzn, wyglądających na podejrzanego indywidua, koncentrujących swoją uwagę na mnie.

Zdałem sobie sprawę, że moją jedyną szansą jest wziąć nogi za pas. Wypadłem przez drzwi, oni za mną. Nie było jeszcze całkiem ciemno, na ulicach znajdowało się więcej ludzi niż u nas w środku dnia. Zwolniłem, myśląc, że tutaj nie będą mnie napastować.

Myliłem się.

– Tam jest! – usłyszałem, jak wołają.

Ludzie rozstępowali się przed nimi i nic poza tym. Cholera. Znów przyspieszyłem. Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy, choć nadal byłem pewny, że im ucieknę. Miasto było w końcu dość duże.

Nagle ktoś, chyba dla sportu, podstawił mi nogę. Przewróciłem się, ale poderwałem natychmiast. W ciemnej uliczce, w którą wpadłem, próbowało mi zastawić drogę trzech wyrostków. Udało mi się przeskoczyć pomiędzy nimi. Panowały tu inne warunki, niż sobie wyobrażałem.

Pomyślałem, że ucieknę im i schowam się gdzieś bliżej centrum miasta, gdzie ulice są oświetlone, jest siedziba starosty i innych bogatych ludzi.

Huknął strzał. Świstu kuli nie usłyszałem, ale uderzyła w ścianę bardzo blisko mnie. Jeszcze przyspieszyłem, chociaż brakowało mi tchu i się potknąłem. Może ze zmęczenia, a może z powodu ciemności.

Kolejny zakręt, skrzyżowanie.

W płucach mi grało, nogi ciążyły, a moi prześladowcy nadal nie ustawali w pościgu. Nie rozumiałem tego, nie wyglądali na tęgich biegaczy. Tuż obok mnie przeleciało kilka kamieni rzuconych z cienia okolicznych domów. Jednak już przybliżało się światło latarni centrum miasta. Może już byłem bezpieczny.

Plac.

Okna ratusza były ciemne, ale na posterunku policji się świeciło.

Dzięki Bogu.

Przebiegłem przez drzwi i stanąłem przed żelazną kratą zagrządzającą wstęp do wnętrza budynku.

– Gonią mnie – wycharczałem. – Banda kryminalistów.

Młody człowiek za kratą, ubrany w błyszczący mundur z drogiego materiału, zmierzył mnie taksującym spojrzeniem.

– Pana nazwisko, adres i kod osobisty mieszkańca – powiedział nieco zaskakująco.

– Nazywam się Matyas Sanders, pochodzę z Kriszkowa! – wykrzyknąłem spiesznie, jako że w każdym momencie mogli pojawić się moi prześladowcy.

– A więc cudzoziemiec – skonstatował młodzian ze znużeniem i stracił zainteresowanie moją osobą.

Tutaj mi nie pomogą, zrozumiałem. Wbiegłem w pułapkę.

Rozejrzałem się za jakąś drogą ucieczki.

Gdzieś z zewnątrz posterunku dobiegał odgłos ożywionej rozmowy.

Krata była masywna, z grubych na kciuk prętów zbrojeniowych, ale z bliska odkryłem, że zasuwą nie była zamknięta.

Otworzyłem kratę, zostawiłem zdeorientowanego młodziana w mundurze z jego głupimi pytaniami, wśliznąłem się do wnętrza i zasunąłem zaworę. Ten typ zatrasku nie potrzebował na szczęście klucza do zamknięcia. Przynajmniej zyskałem nieco czasu.

Zniknąłem w półmroku korytarza, kiedy na posterunek wtargnęli bandyci. Zdziwiło mnie to, kryminaliści na ogół unikają policji. Schowałem się za rogiem, żeby mnie nie dostrzegli.

Z korytarza przede mną dobiegał odgłos rozmowy, za mną słychać było chaotyczne okrzyki bandytów. Koniecznie musiałem znaleźć drogę ucieczki i wrócić do domu.

Jednak korytarz prowadził tylko w jedną stronę, skąd dobiegały głosy, postępowałem w tym kierunku ostrożnie i po chwili mogłem rozróżnić poszczególne słowa.

– Jeżeli nie zgromadził pan ludzi o żądanych kwalifikacjach, nie mogę panu pomóc. A w więzieniu nie mam nikogo przydatnego. Pytanie, czy zdołałbym kogokolwiek odwieść od wymiaru kary równego karze śmierci ze względu na stan pańskiej maszyny. Tak to wygląda, kapitanie.

Za mną bandyci nadal wyklócali się z policjantem w uniformie, czułem się jak lis osaczony w norze.

Musiałem zaryzykować.

– Proszę mi pomóc. – Wpadłem do pomieszczenia.

Surowo wyglądający mężczyzna w szarym ubraniu, przypominającym mundur pozbawiony jakichkolwiek dystynkcji czy odznaczeń, siedział przy stole obok policjanta, sądząc po złotych naramiennikach, o wiele wyższego rangą niż młodzik przy kracie. Naprzeciw nich zobaczyłem dużego mężczyznę o nieruchomej twarzy. Nie siedział wraz z pozostałymi u stołu, lecz stał pod oknem i wyglądał na zewnątrz, jakby rozmowa go nie interesowała. Był nie tyle duży, co ogromny, uświadomiłem sobie.

– Gonią mnie – udało mi się jeszcze powiedzieć.

Policjant popatrzył na mnie srogo, musiałem przyznać, że poruszył nawet brwiami, kiedy wpadłem do jego biura.

– Mógłbym kazać pana zamknąć za nieuprawnione wtargnięcie na posterunek policji i zagrożenie dla osoby naczelnika – oznajmił.

– Ale oni mnie gonią, chcą mnie zabić, strzelali do mnie – zawołałem.

Za sobą usłyszałem metaliczny dźwięk otwieranej kraty.

Wiedziałem, że jeśli naczelnik policji nie stanie po mojej stronie, będzie ze mną źle.

– Przyjechaliśmy tylko sprzedać swoje plony i kupić części

zamienne – mówiłem szybko. – Nic innego, nie potrzebujemy kłopotów.

– A więc cudzoziemiec – powiedział naczelnik. W jego głosie zabrzmiała pogarda.

Ubrany na szaro mężczyzna spojrział na mnie z zainteresowaniem.

Odezwało się pukanie do drzwi. Staął w nich zdenerwowany młody policjant, a za nim cały tłum ludzi.

– Panie naczelniku, proszę o wybaczenie, ale mam tutaj szereg poważnych zarzutów przeciw obecnemu tu mężczyźnie. Napad na mieszkańca miasta z obrażeniami ciała, niszczenie majątku, ucieczka bez zapłacenia rachunku...

Cholerny Oter!

– To nieprawda, mam świadka. – Staralem się odwrócić sytuację na swoją korzyść.

– Nie przypuszczam, żeby miał pan tylu świadków, ilu uczciwych obywateli się tu znajduje.

Naczelnik wyraźnie nie lubił cudzoziemców. Zrozumiałem, że miejscowa policja mi nie pomoże.

– Mówił pan, że przyjechaliście kupić części zamienne – zwrócił się do mnie mężczyzna ubrany na szaro.

– Tak, jestem mechanikiem, zajmuję się u nas wszystkimi maszynami. Mam klientów również w okolicznych osadach.

– Poszukuję mechanika. Niech pan zostanie członkiem mojej ekipy, a zatroszczę się o pana. -Rzucił krótkie spojrzenie na ludzi tłoczących się w drzwiach.

– To niemożliwe – zaprotestował naczelnik. – Zamknijcie go – rozkazał swojemu podwładnemu, wskazując na mnie.

Ubrany na szaro otworzył leżącą na stole teczkę. Zdołałem przeczytać napis: „Umowa najemnicza”.

– Dodajcie do tych zarzutów jeszcze próbę gwałtu – odezwało się z gromadki przy drzwiach.

Na czoło przepchnęła się młoda kobieta, od której wszystko się zaczęło.

Podpisałem bez czytania.

– Panie naczelniku, ten człowiek jest członkiem mojej załogi. Ręczę, że stawi się przed sądem, ale do czasu osądzenia pozostaje pod moją opieką. Ściśle według umów zawartych pomiędzy wolnymi najemnikami a miastem. Dziękuję za pomoc i żegnam.

Mój nowy szef podniósł podpisaną przeze mnie umowę i jej kopię, którą mi podał. Oryginał schował u siebie. Zrobiłem to samo. Ciągle jeszcze nie wiedziałem, czy wyjdę z tego cało, czy raczej wpadłem z deszczu pod rynnę.

Naczelnik policji usiłował zachować profesjonalny wyraz twarzy. To, że był wściekły, można było poznać po czerwonej jak pomidor barwie policzków i nabrzmiąłych żyłach na czole.

– To pańskie prawo – potwierdził niechętnie. – Ponieważ nie jest pan obywatelem tego miasta, nie podlega pan ochronie policji. –

Popatrzył znacząco na pozostałych. – A ja nie odpowiadam za pańskie bezpieczeństwo.

Nie mógł dać bandzie lepszego zezwolenia. Mój nowy szef, czy może dowódca, nie poruszył nawet brwią.

– A teraz wszyscy opuście teren posterunku, w przeciwnym razie każę was zamknąć.

Żaden z bandytów nie zaprotestował, wiedząc, że na zewnątrz mogą z nami zrobić, co zechcą. Ogromny mężczyzna, przez cały czas niewzruszenie stojący pod oknem, ruszył do wyjścia, a kiedy bandyci wyszli, dowódca poszedł w jego ślady. Nie wiedząc, co powinienem zrobić, dołączyłem do nich.

Ciemny otwór zewnętrznych drzwi wydawał mi się gębą potwora, który szykuje się mnie pożreć. Odprowadzały mnie złe spojrzenia naczelnika i jego podwładnego.

Większość lamp ulicznych nie świeciła, pewnie bandyci zdążyli się już o to postarać. Przeszedłem przez drzwi, które zamknęły się za mną ze złowieszczym trzaskiem. Usłyszałem odgłos otwieranego wziernika. Naczelnik wyraźnie był ciekawy. Chociaż tej jednej ludzkiej cechy mu nie brakowało.



Prześladowcy oczekiwali nas praktycznie tuż przed posterunkiem, rozstawieni w nieforemny półokrąg. Było ich o wiele więcej niż wewnątrz; zauważyłem, że dziewczyna z knajpy

rozmawia ze Szczurkiem. Barczysty trzymał się z tyłu, w słabym świetle wydawał się bledszy niż śmierć, jedną rękę wspierał na prowizorycznym temblaku. Dwa ciosy obuszkim zrobiły swoje. Miałem wrażenie, że ja wyjdę z tego gorzej, o wiele gorzej. O ile przeżyję.

Ogromny mężczyzna ruszył ku grubasowi, który ostentacyjnie uderzał w dłoń małym drewnianym obuchem. Bardzo skutecznym włamaniu kości, pomyślałem. Olbrzym, dochodząc do przeciwnika, nagle wyrzucił rękę w przód, waląc w grubego, sterczący brzuch. Kiedy grubas padał, uderzył silnie jego twarzą o swoje kolano. Trzask miazdzonego nosa usłyszeli wszyscy bardzo wyraźnie.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że nikt nie zdołał się nawet poruszyć. Ogromny mężczyzna poszedł dalej w tym samym kierunku i kopniakiem w kolano posłał na ziemię kolejnego bandziora. Stojący najbliżej skoczyli ku niemu. Nie wiem, jak to zrobił, ale najszybszego z nich po prostu cisnął na kompanów i sam rzucił się na nich w ślad za nim.

Był niewiarygodnie silny, lecz w pojedynkę nie mógł dać im rady. Przyłączyłem się do bójki, czyjaś pięść otarła mi się o skroń, jakiś cios trafił mnie w żebra. Czołem rozbiłem komuś wielki nos, obaliłem go na ziemię, uderzyłem podeszwą buta w twarz. Ktoś mnie powalił, wymierzyłem tęgiego kopniaka, szczęśliwie trafiłem w krocze, przetoczyłem się i stanąłem na nogach.

Nagle zatrzymał mnie odgłos odbezpieczanej broni palnej. Wszyscy znieruchomieli.

Szczurek trzymał w dłoni pistolet automatyczny, za nim kryli się inni również uzbrojeni ludzie.

– Myślę, że to najważniejszy as – oznajmił z zadowoleniem.

– Co najwyżej król – odezwał się suchy głos, który bez trudu zidentyfikowałem.

Dowódca celował z wielkiego rewolweru prosto w głowę Szczurka.

Była to naprawdę masywna, ciężka broń, a mimo to trzymał ją bardzo pewnie.

Szczurek popatrzył na rewolwer, potem na najemnika. Nie wyglądał na przestraszonego.

– Taką armatę to chyba na słońcie.

Strzelił palcami i z ciemności wyłonili się jego kamracy z odbezpieczonymi pistoletami. Na nas to całkiem wystarczało.

– Nadal twierdzą, że mam asa.

Na twarzy dowódcy nie drgnął żaden mięsień, a wielki rewolwer dalej mierzył w głowę Szczurka.

– Tak jak powiedziałem, najwyżej króla – powtórzył najemnik.

W ciemności narastał szum, który słyszałem już od pewnego czasu.

Poznałem miękkie staccato keracelowych gąsienic, podobne do odgłosu tych używanych w naszych najsilniejszych traktorach. Brzmiało jednak inaczej. Poza tym brakowało warkotu silnika.

Słyszeli to już wszyscy i odwracali się w stronę hałasu.

Z mroku wynurzyła się ogromna ciemna masa, ludzie rozstępowali się przed nią. Zatrzymała się tuż za dowódcą i na pancerzu zapaliły się dwa reflektory, nieomylnie wyłuskując z ciemności Szczurka i jego ludzi. W odbitym świetle dostrzegłem lufy karabinów maszynowych, płynnie śledzących każde poruszenie bandytów. Masywna, długa lufa armatnia wznosiła się nad nami.

Czołg. Największy, jaki kiedykolwiek widziałem.

– Macie trzy sekundy, żeby stąd zniknąć – powiedział dowódca tym samym wyzutym z emocji głosem. – Później zostaniecie zabici. Przypominam tylko, że dysponuję doskonałymi przyrządami do nocnej obserwacji.

* * *

Zarysy Postolova powoli skrywały się za tylnym horyzontem. Siedziałem na przedniej osłonie prawej gąsienicy, na dziesięciocentymetrowej grubości termistyrenowej płycie, umocowanej do pancerza klejem i służącej jako rodzaj poduszki. Kawalek dalej przylepiłem sobie uchwyty dla nóg i rąk, na wypadek

gdyby doszło do jazdy terenowej. Jeśli zdarzyłaby się naprawdę ostra jazda, i tak nie utrzymałbym się na swoim miejscu. Mimo okularów ze szczelnymi bocznymi osłonami oczy miałem pełne kurzu, a tyłek zaczynał mnie boleć bez względu na rolę, jaką miała spełniać poduszka. Silnik jednak utrzymywał ten sam rytm pracy i to było najważniejsze, przynajmniej dla mnie.

Spojrzałem za siebie, przyglądając się konwojowi. Jechaliśmy na czele, za nami dwanaście ciągników kontenerowych, oddzielonych od siebie pomocniczymi wozami opancerzonymi, wiozącymi zapasy materiałów napędowych, wyposażenie i części zamienne. Po bokach konwoju poruszały się wozy ochrony. Formację zamykały trzy transportery opancerzone z silnie uzbrojonymi załogami. W pewnej odległości od konwoju krążyły pojazdy terenowe handlowców, przypuszczałem jednak, że jest tylko kwestią czasu, kiedy przestanie im się podobać podskakiwanie na wertepach i wjadą na drogę. Dostrzegłem dwa opancerzone sześciokołowce właściciela karawany, pana Camuviego, i jego córki Nataszy. A oprócz tego dwa wozy pancerne handlowców, którzy dołączyli do konwoju w ostatniej chwili. Były nieco mniejsze, ale dysponowały sporą siłą ognia.

Z prawej strony do czołgu zbliżył się terenowy wóz Herberta Camuviego, bratanka pana Camuviego. Poprzedniego wieczora wygrałem z nim w szachy. Wybrał mnie, ponieważ nie znalazł nikogo innego chętnego do gry. Co ciekawe, przegrana wcale go nie rozzłościła.

– To pana siedzisko wydaje się trochę niewygodne – powiedział, pozdrawiając mnie gestem.

– Bo i jest niewygodne – stwierdziłem.

– Jeśli nie chce się panu siedzieć na swoim pancernym potworze, niech się pan przeniesie do mnie – pokrzykiwał, a wyglądał przy tym na zadowolonego. Z pewnością nie miał oczu pełnych piasku jak ja.

– Nie mogę, jestem na warcie – odpowiedziałem. – Dostałem rozkaz.

– Jasne, też czasem wypełniam rozkazy – zawołał.

Musiałem podziwiać, z jaką precyzją, pozornie bez wysiłku, utrzymuje stałą odległość od toczącego się czołgu.

– No to do wieczora, ale gdyby zmienił pan zamiar, proszę dać mi znać.

– W porządku – rzuciłem na pożegnanie.

Przed nami zauważyłem kilka nierówności terenu, które wprawdzie nie będą stanowiły żadnego problemu dla zawieszenia czołgu, ale będę musiał się skupić podczas ich pokonywania.

Herbert Camuvieli przyspieszył i zniknął w tumanach kurzu. Czekala nas teraz wspinaczka, wsłuchiwałem się w odgłos silnika.

Naprawiałem automaty górnicze, traktory i wszystkie maszyny rolnicze bez wyjątku i byłem w tym dobry. Może najlepszy w okolicy. Jednak czołg to coś innego, technologia z innego wieku i hardware z przeszłości.

Tej nocy, kiedy podpisałem kontrakt najemnika, a kapitan Oliver Knispel ocalił mi życie, czołg wydawał mi się niezwyciężonym bojowym monstrem. Już następnego dnia rano stwierdziłem, że praktycznie jest to niezdolny do boju wrak. Nie stracił wprawdzie nic ze swojego wyposażenia bojowego, ale brakowało mu serca – źródła energii, czyli silnika. Tamtej nocy dojechał na miejsce wydarzenia, korzystając z resztki energii, jaka pozostała w jego obudowanym podwójnym akumulatorze. Powątpiewałem, czy miał jeszcze choć taki zapas, żeby zasilać noktowizory albo sterować karabinami maszynowymi. Kapitan jednak mówił z taką pewnością siebie, że to w zupełności wystarczyło. Silnik, skomplikowana turbina, wyposażona w nadbudówkę, której przeznaczenia nawet się nie domyślałem, uległ przegrzaniu i częściowemu roztopieniu. Ktoś wycisnął z niego reżim pracy, do którego nie był skonstruowany. W jakich okolicznościach to nastąpiło, nikt mi nie powiedział, a ja nie pytałem.

Moim pierwszym zadaniem było uruchomienie silnika, chociażby jako zapasowego źródła energii. Atak postolovskiej bandy odparliśmy za pomocą maszyny parowej, którą zainstalowałem,

uruchomiłem i przystosowałem do ładowania akumulatora zaraz następnego dnia po podpisaniu umowy. Nie była to elegancka instalacja, ale zapewniała dość energii. Najgorsza była konieczność gromadzenia paliwa. Następny miesiąc spędziłem na poszukiwaniach oraz montowaniu szesnastocylindrowego silnika Diesla. Wymagało to mnóstwa pracy, od wykonania nowego profilu dna tłoka poprzez uregulowanie procesu spalania aż do zupełnego przebudowania elektroniki. Wszystko po to, żeby silnik osiągał maksymalną moc przy minimalnym zużyciu paliwa. Jak ważne to było dla kapitana, dowiedziałem się później, kiedy do śniadania i kolacji zamiast kawy piliśmy tylko słaby napar z cykorii. Marlon, nasz kierowca, wyjaśnił mi, wzruszając ramionami, że wszystkie pieniądze poszły na zakup potrzebnych mi materiałów. Ale on też nie zaprotestował nawet jednym słowem. W kilka dni później, kiedy kapitan uzyskał nowe zlecenie, sytuacja znacznie się poprawiła. Jednak lufa nie była jeszcze naprawiona. To było moje kolejne zadanie. Z nim też stopniowo sobie poradziłem, ale pytanie, na ile dobrze mi to wyszło, czasem mnie niepokoiło.

Ponieważ byłem odpowiedzialny za pracę silnika, nasłuchiwałem każdego podejrzanego dźwięku dobiegającego z wnętrza naszej maszyny. Wystarczył miesiąc, a mój poprzedni żywot zupełnie zniknął. Umowa najemnicza, którą podpisałem, nie miała ograniczenia czasowego. Skończyć się mogła rozliczeniem ekonomicznym, raną uniemożliwiającą dalszą służbę, śmiercią lub porozumieniem stron. Rozliczenie ekonomiczne było dość skomplikowane, większość kwoty stanowiły nakłady związane z przyjęciem nowego członka ekipy. Nie starałem się nawet ich określać, zresztą nie miało to sensu. Tym bardziej że kapitan nie wyglądał na kogoś, kto łatwo rezygnuje z potrzebnego mu członka zespołu. Może kiedyś go o to zapytam, ale teraz czułem się mu zobowiązany, ponieważ uratował mi życie.

Odezwało się bębnienie w pancerz. Wciąż jeszcze nie umiałem dobrze używać interkomu i czasem zdarzały mi się błędy. Na osłonie lewej gąsienicy, w o wiele lepszym stanowisku,

przypominającym łóżko, jechał nasz pierwszy strzelec, Erich Katzinski. W Postolovie współpracowałem z nim najczęściej, ponieważ system kierujący prowadzeniem ognia miał bardzo specyficzne wymagania w stosunku do źródła energii. Kapitan żądał od Katzinskiego, żeby był do mojej dyspozycji, aż zaczęło mi się wydawać, że go szykanuje. Kiedy wyregulowaliśmy system, pierwszy strzelec zniknął bez śladu. Nikt nie komentował jego nieobecności, wreszcie po trzech dniach reszta załogi przyniosła go z miasta pijanego do nieprzytomności. Po dwóch dniach w łóżku wrócił do normy i teraz w drodze wyglądał tak samo normalnie jak przez cały okres, gdy go znałem.

Wstałem, żeby móc go widzieć za kadłubem wozu. Jak zawsze miał na głowie czapkę khaki z daszkiem, z którą nigdy się nie rozstawał. Od czasu do czasu wymieniał tylko daszki.

– Tam, widzisz? – pokazał mi.

Spojrzałem w oznaczonym kierunku. W dali, na łagodnie wznoszącej się płaszczyźnie, urozmaiconej niskimi pagórkami, między którymi wiała się droga, dostrzegłem poruszającą się błyszczącą plamę. Dlaczego nie zarejestrowały jej systemy czołgu? Może i zarejestrowały, tylko nikt nie uważał za potrzebne poinformować mnie o tym. Wyjąłem lornetkę, istny cud współczesnej optyki. Nawet w domu nigdzie się bez niej nie ruszałem. Odszukanie celu z jadącego czołgu nie było łatwe, ale w końcu mi się udało. Akumulator przyrządu był naładowany do pełna, pole elektrostatyczne natychmiast uformowało soczewki we właściwy kształt i wyostrzyło obraz.

Mógł to być prosty mechanizm, mechanoid kierowany komputerem i podstawowym programem. Sądząc po tym, jak zwinnie się poruszał, postawiłbym na znacznie bardziej zaawansowanego bota. Jednak takiego nigdy dotąd nie widziałem. Wielki jak owczarek kaukaski i podobnie silnie zbudowany. Kiedy zatrzymał się na wysepce z kamieni i obserwował konwój, wzbudzał respekt. Byłem przyzwyczajony tylko do mechanoidów wyposażonych w prymitywne algorytmy sterujące oraz małych

botów, które czasem pojawiały się w naszej okolicy. Po silnie zachmurzonym dniu i długiej nocy można je było zazwyczaj bez żadnego ryzyka pozbierać, ich wyeksploatowane akumulatory niewiele wytrzymały. W większości były wykonane z marnych stopów, z elektroniką najniższej jakości, aż się człowiek dziwił, że w ogóle funkcjonowały. Relikty dawnej wojny.

Wieża działowa obróciła się, pozostała broń nie zmieniła marszowego położenia.

– To Rigajev, ciekawy jak zwykle – uspokoił mnie Katzinski, znikając mi z pola widzenia w swoim siedzisku.

Ivan Beljejewicz Rigajev też był członkiem załogi. Kiedy go zapytałem, co właściwie robi, otrzymałem tylko wymijającą odpowiedź. Stopniowo wyrobiłem sobie pogląd na jego osobę. Był specjalistą w zakresie warunków życiowych, znawcą w dziedzinie wykrywania i neutralizacji wszystkich gatunków materiałów szkodliwych: chemicznych, promieniotwórczych czy zmutowanych. Był ponadto pomocniczym nawigatorem.

Reszta dnia przebiegła bez szczególnych wydarzeń. Mimo koniecznego postoju w stancy handlowej o prostej nazwie Po Drodze, celem uzupełnienia wody i paliwa, pokonaliśmy tego dnia równe dwieście dwadzieścia kilometrów.

Na postoju, gdy zaczęto szykować obóz, zająłem się silnikiem i przeglądem podwozia.

Szesnastocylindrowy motor przez cały czas pracował jak zegarek, jego temperatura utrzymywała się w okolicy dolnego zakresu normy. Wskazówka momentu obrotowego przesunęła się o siedemdziesiąt obrotów w dół. Zużycie paliwa spadło, odetchnąłem z ulgą, opłacała się moja żmudna robota. Idealne wyregulowanie silnika było możliwe dzięki temu, że ten diesel służył właśnie do ładowania akumulatorów. Wszystkie systemy czołgu były napędzane energią elektryczną. Przy zachowaniu reżimu ekonomicznego nasz zasięg wynosił ponad tysiąc kilometrów. A mimo to dziś jeszcze tankowaliśmy. W jakim celu akumulator był fabrycznie sprzężony z turbiną, nie rozumiałem,

może na wypadek gdyby niezbędny był jakiś nienormalny pobór mocy.

Podwozie najwyraźniej świadczyło o tym, że cały czołg był produktem technologii, jaką już dawno zarzuciliśmy. Wykonane z materiału przypominającego stal, sprawiało wrażenie monolitu, ponieważ jego części zachodziły na siebie bez wyraźnych miejsc łączenia nitowaniem, spawaniem, klejeniem czy za pomocą śrub. Po całodziennej pracy elementy sprężyste powinny być rozgrzane, ale przy dotknięciu wydawały się chłodne. Sprawdziłem naciąg gąsienic, stan osi wszystkich kół jezdnych, napinających i napędowych.

Pomału zaczynałem rozumieć, iż kapitan uważa, że nigdzie nie pozyskałby tak znakomitego wyposażenia. Rozumiałem też, w jaki sposób podczas ostatniej wielkiej wojny odnosiliśmy zwycięstwa. Z takimi maszynami bojowymi było to możliwe.

Napisałem meldunek techniczny i wysłałem go przez interkom na stanowisko dowódcy. Kapitan poza akcjami bojowymi preferował pisemną formę meldunków, z czego wyciągnąłem wniosek, że w miarę możliwości unika bezpośrednich kontaktów z podwładnymi.

– Sanders! – zawołał do mnie Cyr.

Artur Cyr, drugi strzelec i zbrojmistrz, a do tego największy i najsilniejszy członek załogi. To właśnie on bez zastanowienia rzucił się na gang Szczurka. Gdyby nie pojawiła się broń palna, z pewnością zmusiłby ich w końcu do ucieczki. Podejmował się różnych zadań, a gdy ktoś potrzebował pomocy, pomagał mu. Marlon, nasz kierowca, czasem tego nadużywał. Zauważyłem, że Cyr o tym wie, ale nie reaguje.

– Już idę! – krzyknąłem do niego, wyłażąc na zewnątrz.

Przez pierwszy tydzień byłem cały w siniakach i szramach, ale teraz wąski przełaz z mojego stanowiska pracy nie stanowił dla mnie problemu. Nie przypuszczałem jednak, żeby Cyr zdołał się nim przecisnąć.

Oczekiwał mnie obarczony trójnogami automatycznych czujek.

Miałem do wykonania ostatnią pracę tego dnia – zabezpieczenie obozu przed nadchodzącym nocnym odpoczynkiem. Odebrałem od Cyra mój ładunek i stwierdziłem, że nogi ugięły mi się w kolanach. Dziesięć trójnogów ważyło trzydzieści kilogramów. Cyr niósł dwa razy tyle.

– Chcę, żeby karawana utworzyła obóz w ciaśniejszej formacji, inaczej nie będę mógł zapewnić bezpieczeństwa – usłyszałem suchy, pozbawiony emocji głos naszego kapitana.

Stał po drugiej stronie czołgu, więc go nie widziałem.

– Nie będzie mi pan rozkazywać, gdzie moi ludzie mają rozbić obóz! – Głos drugiego dyskutanta był nabrzmiały złością.

Popatrzyłem na Cyra, który spokojnie czekał, aż uporządkuję swoje brzemie i ruszę do roboty. Wyjrzałem zza czołgu, żeby zobaczyć, z kim kapitan dyskutuje.

Okazało się, że z Varenem Briggiem, dowódcą straży osobistej naszego pracodawcy. Brigg był wielkim mężczyzną, który potrafił jednym spojrzeniem przywołać swoich ludzi do porządku.

Chodził w uniformie w barwach maskujących, nie rozstawał się z okazałą strzelbą automatyczną, a u pasa zawieszał sobie trzy granaty. Uważałem, że to po prostu poza.

– W takim razie musimy skonsultować się z panem Camuvielim – oznajmił kapitan swoim typowym, obojętnym tonem.

Domyśliłem się, jakie wymiary miałyby formacja, którą mieliśmy ubezpieczyć czujkami, o ile pozostałaby na noc taka jak w tej chwili.

Powiedziałem to Cyrowi.

– To byłby tylko prosty, nieszczęsny okrąg. – W lot pojął, co mam na myśli. – A kapitan sobie tego nie życzy.

Nasz dowódca poszedł z Varenem Briggiem ku luksusowemu kolosowi właściciela konwoju. Bez zwłoki oparliśmy się o podwozie czołgu i czekaliśmy na decyzję.

Długo to nie trwało. Rozmowy z naszym chlebodawcą wprawdzie nie słyszeliśmy, ale czerwona twarz Brigga, który minął nas wściekły do imentu, powiedziała nam wiele.

Wszystkie wozy konwoju zbliżyły się do siebie i uporządkowały

szyk, tworząc trzy równoległe linie. Kilkakrotnie o mało nie doszło przy tym do kolizji.

Przerwałem swoje rozmyślenia i wraz z Cyrem wzięliśmy się do pracy.

Rozmieszczenie sond i kontrola ich działania zabrały nam godzinę, mimo że wszystko przebiegało gładko. Po powrocie czekała na nas gorąca kawa i słonina skwiercząca na kuchence naftowej. Sprężarka zapewniająca dokładne spalanie szumiała cicho, wydech ustawiony został w stosownej odległości, wąska smuga szarego dymu była ledwie widoczna.

Dziś gotował Marlon. Był wśród nas najlepszym kucharzem, z niewielu składników potrafił stworzyć bardzo dobre żarcie. Rigajev siedział na macie i obserwował wyświetlacze dwóch czujek umieszczonych przed nim na trójnogach. W ustach trzymał niezapalonego papierosa.

– Dobre miejsce – ocenił swoje pomiary. – Minimalne skażenie terenu.

Katzinski wskazał na stalowy garnek stojący obok kuchenki.

– Kawa gotowa – oznajmił.

Cały dzień było skwaro i wielokrotnie wyobrażałem sobie coś zimnego do picia. Teraz jednak, tuż po zmroku, zaczęła mnie cieszyć myśl o gorącym napoju.

Marlon odwrócił przekrojoną wzdłuż kielbasę, ocenił jej powierzchnię i do gorącego tłuszczu dodał jakieś poszatkowane składniki.

– Co to jest? – Rigajev natychmiast zareagował.

– Dzika cebula, szczypiorek. Przecież mówiłeś, że tu czysto.

– Ale narwałeś jej wcześniej, zanim to stwierdziłem.

– Nie musisz tego jeść, będzie więcej dla innych. – Marlon wzruszył ramionami.

Szybko się ściemniało. Nie byłem do tego przyzwyczajony, w domu zazwyczaj przebywałem w warsztacie albo garażu, w jasnym świetle. Tak jak pozostali. Silne światło przepłasza ciemność i wszystkie strachy, jakie ze sobą przynosi.

Z oddali dobiegł odgłos wycia. Mógł to być rzeczywisty pies lub wilk, albo równie dobrze maszyna, prosty mechanizm. Nigdy nie umiałem rozróżnić ich po głosie.

Jedzenie pachniało tak silnie, że zaczęła mi ciec ślinka. Nie czułem woni kiełbasy, głównego składnika, raczej dodatki, które domieszał Marlon.

– Panowie?

Kapitan nadszedł tak cicho, że aż się zląkłem, nie rozumiałem, jak tego dokonał.

– Zostałem zaproszony na kolację do pana Camuviego, który dał do zrozumienia, że chętnie powita kogoś, kto będzie mi towarzyszył. To nie jest rozkaz.

– Ale szybko się nim stanie, jeśli nikt się nie zgłosi na ochotnika – zachichotał Marlon na tyle głośno, żeby go kapitan usłyszał.

Reszta udawała, że nie dosłyszeli, co Knispel powiedział. Z żalem popatrzyłem na nasze jedzenie, ale ciekawość zwyciężyła.

– Ja bym poszedł – zgłosiłem się, choć przypuszczałem, że moja kandydatura zostanie odrzucona. Wciąż jeszcze byłem nowicjuszem.

– Dobrze, za dziesięć minut wychodzimy – zarządził kapitan.

– I podobno to nie jest rozkaz – znów zaśmiał się Marlon.

– Nie jest – potwierdził kapitan, jakby nie zauważając zaczepki.

– Czy oczekuje się ode mnie czegoś specjalnego? – zapytałem.

W spotkaniach towarzyskich raczej nie uczestniczyłem, jeśli nie liczyć wieczorków tanecznych, zamieniających się regularnie w bijatyki.

Kapitan zamyślił się nad moim pytaniem.

– Konwersować. Obawiam się, że ja będę miał aż nadto konwersacji.

Zaskoczył mnie, poczułem się dość niepewnie.

– To chyba Marlon byłby lepszym kandydatem. – Spróbowałem się wycofać.

– Gotuję. – Nasz kierowca błyskawicznie zareagował na moją uwagę.

– No to masz pecha – odezwał się Rigajev. – Córka pana Camuviego to naprawdę efektowny kociak, a ma wokół siebie mnóstwo innych kociaków, o wiele dostępniejszych.

Przez chwilę Marlon wyglądał na zmartwionego, ale zaraz znów skoncentrował się na gotowaniu.

– Kiedy indziej i gdzie indziej. Ten Camuveli trochę mi się nie podoba, a raczej nie on, tylko jego córka.

– Zwyczajna zawiść – ocenił Rigajev.

Marlon w odróżnieniu od pozostałych członków załogi nie był oszczędny w słowach. Niestety, swoje wypowiedzi poświęcał na ogół kobietom i sukcesom, jakie odnosił w kontaktach z nimi.

Z drugiej strony z pewnością nie był głupi, raczej o wiele sprytniejszy ode mnie, i wiedział o różnych rzeczach, o których nigdy nie słyszałem. Postanowiłem zapytać go później o jego wypowiedź odnośnie do pana Camuviego.

Zbyt wiele ubrań nie miałem. Kombinezon roboczy, spodnie i dwie koszule – właściwie również służące do pracy. Oprócz tego praktyczną kurtkę z mnóstwem kieszeni i bieliznę osobistą. Wyfasowałem też kuloodporny komplet, o który się wciąż uderzałem, kiedy udało mi się go zawiesić gdzieś w kokpicie czołgu. Miałem także aż za duży, moim zdaniem, pistolet automatyczny z długim magazynkiem, który mi nieustannie przeszkadzał. Na szczęście otrzymałem również krótszy magazynek. Po krótkim wahaniu pozostawiłem broń na swoim miejscu w kokpicie.

Z pistoletem wyglądałbym na pewno śmiesznie. Komplet balistyczny też nie wydawał mi się odpowiedni na spotkanie towarzyskie. Zadowolilem się spodniami, koszulą i wyczyszczeniem butów.

Ludzie pana Camuviego potrafili wyczarować wygodę i luksus nawet podczas prowizorycznego obozowania. Wystarczyły do tego trzy stoły nakryte obrusami, jedzenie, bateria butelek i dyskretny gwar rozmów. Potrawy podawane były na świetnej zastawie, a cabernet z południa w szklanych butelkach. Nigdy dotąd nie piłem wina ze szklanych butelek, było ono zbyt narażone na stłuczenie

w transporcie.

– A, kapitan Knispel, rad jestem, że znaleźliście wolną chwilę – zwrócił się do nas pan Camuvieli.

Był człowiekiem średniego wzrostu, ze skłonnością do tycia. Zauważyłem, że jego ludzie wykonują polecenia szybko i dokładnie.

Przyjacielskim gestem przywołał dwóch mężczyzn.

– Panowie Anton Wruise i Grehem Deheb – przedstawił ich. – W ostatniej chwili dołączyli do naszej karawany, co zwiększyło jej siłę i odporność na ataki.

Knispel skłonił się lekko.

– Zauważyłem, że mamy więcej ciężarówek niż podczas poprzednich przedsięwzięć. Czy mogę do moich planów włączyć również waszych ludzi, o ile mają przeszkolenie wojskowe?

Deheb i Wruise spojrzeli po sobie.

– Weźmiemy udział w ochronie ładunku konwoju, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo -odpowiedział Deheb bez entuzjazmu.

Wyraźnie nie miał ochoty podlegać czyjemuś dowodzeniu.

– Moi ludzie są dobrze wyszkoleni i uzbrojeni – zareagował Wruise o wiele bardziej rzeczowo.

– Przy drinkach możecie omówić szczegóły i ustalić sposób wspólnych działań – oznajmił pan Camuvieli. – To będzie z korzyścią dla nas wszystkich. Przepraszam panów na chwilę.

Odszedł, odsłaniając mi widok na trzy młode kobiety rozmawiające obok zastawionych stołów. Rigajev doprawdy nie kłamał. Jedna była długowłosa, ruda, o figurze podobnej do klepsydry, druga – krótko ostrzyżona, blondynka, a trzecia – ciemnowłosa. Ubrana w długi kaftan, którym się otulała, jakby jej było zimno, i wydała mi się nieco smutna. Albo zmęczona.

– A, nasza ochrona – oderwał mnie od obserwacji potężnie zbudowany mężczyzna w mundurze maskującym.

Trzymał w ręce szklaneczkę i wyglądał tak, jakby to była jedna z wielu poprzednich. Kapitan spojrział na niego krótko, zrozumiałem, że dobrze go zna. Z tyłu trzymał się Varen Brigg, który po dyskusji z moim dowódcą wyraźnie nie miał ochoty na

dalsze debaty.

– Major Cautski, dowódca sił zbrojnych pana Camuviego – przedstawił go Knispel, zrozumiałem, że mówi to do mnie.

– A to kto jest?

Cautski popatrzył na mnie pogardliwie, po czym wychylił swoją szklaneczkę do dna. Obsługujący przyjęcie mężczyzna, ubrany w ciemną marynarkę z białą muszką, podszedł do nas, zaoferował Cautskiemu kolejną szklaneczkę, a przy okazji zaopatrzył kapitana i mnie.

– Matyas Sanders, znakomity mechanik – przedstawił mnie kapitan.

– Musisz być dobry, inaczej byś tej ruiny nie uruchomił. – Cautski z pogardą machnął ręką w kierunku naszego czołgu.

Miał dobre informacje, ponieważ o stanie technicznym silnika z nikim nie rozmawialiśmy.

Deheb i Wruise uważnie słuchali, zauważyłem też, że w naszym kierunku ruszyły również kobiety.

– To nie jest ruina – odpowiedziałem chłodno. Po miesiącu trudnej pracy byłem dumny ze swego dzieła.

– Cieszyło mnie, że będzie nam towarzyszył ciężki czołg o dużej sile ognia, ale ta wasza maszyna tylko tak wygląda. To na wpół wrak – nie rezygnował Cautski. – Ma uszkodzoną armatę, jedziecie na zamiennym silniku, musicie mieć ogromne zużycie paliwa. Wątpię, czy dotrzymacie nam kroku na drodze. I nie liczcie na to, że odstąpię wam coś ze swojej rezerwy paliwowej.

Jego wypowiedź wyraźnie zaniepokoiła Deheba i Wruise'a.

Spojrzałem na kapitana, ale nie zauważyłem, żeby miał ochotę włączyć się do tej rozmowy, zdawał się zatopiony w myślach, i to gdzieś daleko oraz głęboko.

– W ogóle nie będziemy potrzebowali waszego paliwa – odpowiedziałem zirytowany. – Nasz silnik jest w znakomitym stanie, doskonale wyregulowany i nie marnuje paliwa jak wasze agregaty. Wystarczy popatrzeć na gazy wydechowe lub choćby je powąchać.

Moja ostra odpowiedź wzbudziła zainteresowanie, którego wcale sobie nie życzyłem, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Czołg był maszyną z innego wieku i niewielu mogło sobie wyobrazić, do czego jest zdolny.

– Jeśli ktoś lub coś nas napadnie, a będzie dysponował bronią silniejszą niż karabin maszynowy, to bez czołgu będziecie straceni.

– Nasze wozy mają ekwiwalent RHA o wymiarze dziesięciu centymetrów – pogardliwie odszczeknął Cautski.

Wiedziałem, o czym mówi. Ekwiwalent RHA to wskaźnik odporności pancerza. Określa grubość klasycznego stalowego pancerza, mającego taką samą odporność jak pancerz opisany ekwiwalentem RHA. Trochę mnie to zaskoczyło, przypuszczałem, że ich pancerze są wykonane ze standardowej stali, a tak silnego pancerza konwencjonalnego ich wozy nie mogłyby unieść.

– A czy elementy szklane mają taki sam ekwiwalent RHA? A koła?
– zareagowałem natychmiast.

Sądząc po kwaśnej minie Cautskiego, trafiłem w samo sedno.

– Nadal nie spełniacie parametrów obowiązujących dla prawdziwego ciężkiego czołgu – nie rezygnował.

– To sprawa dyskusyjna, w gruncie rzeczy zależy od użytej normy – ocknął się z zamyślenia kapitan.

Nie sądziłem, że istnieją jakieś normy dotyczące dawnej techniki wojennej, ale zmilczałem.

– Pan Camuvieli był zaznajomiony z wszystkimi sprawami dotyczącymi naszego wyposażenia technicznego, które były brane pod uwagę podczas zawierania umowy. Zapewne macie to gdzieś w swoich dokumentach – kontynuował Knispel.

– Innymi słowy, Camuvieli nieco zaoszczędził – ocenił to kwaśno Wruise.

– A tym samym zaoszczędziliście i wy, nigdzie indziej nie uzyskalibyście tak tanio miejsca w konwoju dalekobieżnym – do rozmowy znów włączył się Camuvieli, który wrócił tymczasem do dyskutujących.

– Przypuszczałem, że będzie nas chronił w pełni uzbrojony czołg,

odpowiadający pod względem jakości maszynom z okresu wojny Hanturiego – z niepokojem powiedział Deheb.

Camuveli spoglądał z uśmiechem na obu handlowców, kiwając na kelnera roznoszącego napoje.

– Takich zapisów w umowie oczywiście nie ma, specyfikacja czołgu z okresu wojny Hanturiego nie jest mi znana. Co więcej, jest to już fakt historyczny, który stał się raczej legendą.

Camuveli wzruszył ramionami i wykonał gest świadczący, że jego zdaniem temat nie jest wart dalszej rozmowy.

– Panowie, dość o sprawach służbowych, lepiej coś wypijmy na dobry nastrój. Czeka nas długa podróż, powinniśmy przebyć ją jak najwygodniej.

Odłączyłem się od towarzystwa i podszedłem do stołów. Rozmowa przestała mnie interesować, prawie się przy niej pokłóciłem, miałem nadzieję, że powetuję to sobie dobrym jedzeniem. Nałożyłem sobie na talerzyk kilka dobrze wyglądających, a jeszcze lepiej pachnących potraw, o których miałem tylko mgliste pojęcie. Smakowały nawet lepiej, niż wyglądały. Żadne tam produkty roślinne ani produkowane przemysłowo białko, ale prawdziwe mięso ze stworzenia, które kiedyś biegało i oddychało. Taki poczęstunek musiał być niezwykle drogi. Nie rozumiałem, czemu Camuveli oszczędzał pieniądze przy naborze najemników, równocześnie tyle wydając na luksus. Ale ludzie bardzo często zachowują się nielogicznie, do czego już przywykłem. Chyba że cena, jakiej zażądał kapitan, była tak wysoka, że to przyjęcie stanowiło zaledwie małą część tej kwoty.

Rozejrzałem się, rozważając, czy ośmielę się wypatrzeć młode kobiety, a dokładniej: jedną z nich. Albo pójdę przyjrzeć się wozom Cautskiego. Ciasna formacja, w jakiej stały, oraz trwające przyjęcie stwarzały do tego idealną okazję. Nadobnej trójki nigdzie nie widziałem, więc wyglądało na to, że powinienem zająć się przeglądem techniki.

– Podobno jest pan znakomitym mechanikiem – usłyszałem za plecami.

Odwrociłem się i ujrzałem wszystkie trzy, tkwiące przy stole obok mojego. Musiałem być mocno zamyślony, jeśli nie usłyszałem, jak nadeszły. Sądząc z wyrazów ich twarzy, może starały się mnie zaskoczyć i podeszły po cichu. To rudowłosa odezwała się do mnie.

– Myślałam, że człowiek uczy się całe lata, a pan jest jeszcze dość młody.

– Naprawiam maszyny od dzieciństwa. A także je badam – wyjaśniłem. – Bez nich nie byłoby żadnych plonów.

– To i rolnik też? – zapytała blondynka z odcieniem lekceważenia.

Ciemnowłosa trzymała w ręce szklaneczkę, którą lekko kręciła, i obserwowała mnie w milczeniu.

– Rolnik to ten, który pracuje w ziemi, uszlachetnia glebę, na której może wyrosnąć coś dobrego dla zdrowia – tłumaczyłem rzeczy oczywiste, znane, jak sądziłem, wszystkim. – A ja rolnikowi do tego celu dostarczam potrzebne urządzenia. Wyrabiam je albo naprawiam.

Mój stryj był bardzo dobrym rolnikiem, przywiózł z nieużytków setki ton gleby i innych materiałów potrzebnych do uprawy produktów żywnościowych. Pewnego razu nie wrócił z wyprawy. Wielu rolników spotyka taki koniec.

Ciemnowłosa się nie odzywała, ruda, zauważywszy, że się jej przyglądam, uciekła wzrokiem w bok i zaczęła sobie nakładać czegoś na talerzyk.

– Moje panie, nie lekceważcie go, nie pochodzi z miasta, ale to nie znaczy, że jest byłym parobkiem. – Herbert Camuvieli miał już za sobą niejedną szklaneczkę i był w znakomitym humorze. – Wygrał ze mną w szachy i obawiam się, że w rewanżu też będę bez szans, ale na pewno spróbuję. Matyas Sanders, jego nazwisko już pewnie znacie – przedstawił mnie. – Elizabeth Deheb, Valerie Wruise i moja droga kuzynka Natasza. – Wreszcie dowiedziałem się imienia ciemnowłosej.

Wszystkie trzy ubrane były w praktyczne stroje podróżne, jednak uszyte specjalnie dla kobiet, nie tak jak uniseksowe uniformy, w jakich u nas zazwyczaj chodziły dziewczyny. Chociaż one często

przerabiała je stosownie do swoich upodobań.

Większość męskich spojrzeń przyciągała kasztanoworuda Valerie. Ani koszula, ani kurteczka z mnóstwem kieszeni nie zdołały ukryć jej pełnych piersi, a spodnie tylko uwypuklały wąską talię i krągłe biodra. W przypadku Nataszy długi kaftan zbyt wiele nie odsłaniał, ale nawet wysokie buty nie potrafiły skrócić jej długich nóg.

Przywołałem na twarz uprzejmy uśmiech, choć byłem trochę zdenerwowany. Znalazłem się w innym świecie, w domu czułem się pewniej i lepiej wiedziałem, jak wypadam w towarzystwie dziewczyn.

– Jakoś zamilkł, może nie umie rozmawiać? – zauważyła Elizabeth.

Sprawiała wrażenie dowcipnisi. Valerie pochyliła się ku niej, jakby chciała jej coś powiedzieć, Natasza milczała wyczekująco.

– Zastanawiam się – powiedziałem. – Nie chciałbym popełnić faux pas.

– Jakiego faux pas?

Natasza Camuvieli przybrała niewinnie pytający wyraz twarzy. Chyba celowo mnie podpuszczała.

– Mam dylemat – kontynuowałem.

– A więc dylemat? Widzę, że słownik wyrażen obcych używany jest również na wsi. – Blondynka Elizabeth wyraźnie się rozgrzewała, usta miała ułożone w rozbawiony grymas, jakby chciała wybuchnąć śmiechem.

– Zastanawiam się, czy jest pani małżonką, czy córką pana Deheba – wypaliłem do niej.

Elizabeth poczerwieniała, Valerie przykryła usta dłonią, a Herbert zaczął się śmiać. Natasza zmrużyła oczy i wypła łyżeczek ze swojej szklaneczki.

– To było naprawdę bardzo eleganckie – powiedział do mnie Herbert.

– Czy to znaczy, że wyglądam aż tak staro? – odezwała się ze złością Elizabeth.

– Nie, za to pani ojciec wygląda młodo i dziarsko.

Teraz roześmiali się wszyscy.

– To było naprawdę ładnie przeprowadzone, naszej żartownisi jeszcze nikt tak elegancko nie usadził – powiedziała Natasza, podając mi rękę. – Jestem Natasza.

Miała bardzo miły uścisk dłoni, ani za silny, ani za słaby.

– Natasza ma rację, ta nauczka mi się przyda. – Elizabeth zaskoczyła mnie tymi słowami, wyciągnęła do mnie rękę, a na dodatek jeszcze na przeprosiny pocałowała mnie w policzek. – Jestem Elizabeth.

Valerie rzuciła na nią ukradkowe spojrzenie, lecz nic nie powiedziała.

– Wieczór zapowiadał się nudno, ale nie jest taki – oznajmiła i również podała mi rękę. – Jestem Valerie.

– Chodźmy szybko po szklaneczki. Stryjek jest wprawdzie szczodry, jednak ma aż za bardzo rozwinięte poczucie obowiązku – zaproponował Herbert.

Przy ruchomym barze toczyła się swobodna konwersacja, dotycząca w większości przygotowań do podróży i trudności w zgromadzeniu niezbędnych materiałów i towarów. Słuchałem tego tylko na pół ucha, zwracając raczej uwagę na to, jak Natasza mówi, jaki ma przy tym wyraz twarzy, jak się śmieje, wsłuchując się w barwę jej głosu.

– A jakie jest pana zdanie? Nasilają się ataki botów czy też ich ubywa?

Cautski i handlowcy dyskutowali przy stole obok, teraz przeszli do baru i wciągnęli mnie do rozmowy.

– Nie wiem, nigdy o tym nie myślałem – odparłem.

Cautski machnął tylko ręką, aż rozlał nieco trunku ze szklaneczki, pozostali czekali na moją ocenę sytuacji.

– Sądząc jedynie po liczbie koniecznych napraw naszego sprzętu, powstałych skutkiem ataków, powiedziałbym, że ich raczej przybywa – odpowiedziałem.

– Widzicie, właśnie o tym mówiłem – oświadczył zwycięsko

Deheb.

– Ale, panowie, nie możecie przecież sądzić według doświadczeń naprawiacza.

Cautski wyraźnie mnie nie lubił. Spostrzegłem, że Natasza ukradkiem przysłuchuje się naszej rozmowie. Może z tego powodu postanowiłem kontynuować: – Zajmowałem się wyposażeniem naszej osady przez dziesięć lat, a przez pięć ostatnich robiłem to sam, w wyniku czego przybyło mi sporo klientów z okolicy, tak że w końcu nie wiedziałem, co mam robić najpierw. Mogę wam opisać każde ciekawsze uszkodzenie spowodowane przez nienormalnego bota czy mecha.

– Co pan rozumie przez nienormalnego bota? – zapytał Wruise.

– Po prostu uszkodzony, niesterowany bot, który z głuszy dotarł aż do centrum ludzkiej cywilizacji.

– Więc myśli pan, że ataki na ludzi się nasilają, a stare inteligencje bojowe starają się nas zniszczyć? – zapytał Cautski.

– Nie o to panowie pytali – przypomniałem. – Tylko o to, czy ataki, jeśli to rzeczywiście są ataki, a nie przypadkowe spotkania z rozpadającym się uszkodzonym hardware'em, nasilają się, czy nie.

Z moich doświadczeń z ostatnich dziesięciu lat wynika, że ich raczej przybywa, ale nic więcej.

Rozmowę przerwał dźwięk dzwonka.

– Proszę o wybaczenie, przyszedł czas na ostatniego drinka, jutro musimy wstać bardzo wcześnie – odezwał się głośno pan Camuvieli.

Byłem zadowolony, ponieważ Cautski zaczynał mnie denerwować i nie miałem ochoty na dalsze z nim dyskusje.

– Czego się napijesz? – zwróciłem się do Nataszy. – Co wybierzesz z oferty ojca? Co jest najlepsze?

– Wyglądasz, jakbyś nie apróbował tego poczęstunku – odparła, podając mi szklaneczkę.

– Nie, to nie tak, tylko mnie to fascynuje. Popijać drinki pośrodku pustkowiec, z widokiem na ciemny horyzont, za którym może się ukrywać nie wiadomo co. I z gwiazdami nad głową.

– Tak, to coś szczególnego – zgodziła się ze mną. – Może właśnie dlatego mój ojciec tak robi.

Popatrzyła w górę, w jej ciemnych włosach odbiło się światło gazowych lamp.

Wskazała mi butelkę. Gestem odrzuciłem pomoc kelnera i sam nalałem jej wina, które teraz, w nocy, miało zupełnie czarny kolor.

– Czy te stare inteligencje bojowe starają się nas zniszczyć? Co o tym sądzisz? – powróciła do poprzedniego tematu.

– To trudne pytanie, nigdy dotąd się nad nim nie zastanawiałem. Rozważam raczej mniejsze problemy. Jak mieć wystarczająco dużo części zamiennych, materiałów, źródeł energii.

Jak również nie dać się zabić lub okaleczyć przez szalonego mecha, który już dawno zapomniał swojej rzeczywistej funkcji i zachowuje się w sposób nieprzewidywalny. Tego jednak głośno nie powiedziałem.

– Mój ojciec często zadaje sobie takie pytanie, ponieważ od właściwej odpowiedzi zależy trafna strategia handlowa i mnóstwo podobnych rzeczy.

Prawie zakląłem. Los podarował nam chwilę prywatności, a my rozmawialiśmy o starych inteligencjach bojowych i strategii handlowej. Po prostu nie potrafiłem prowadzić lekkiej i niezobowiązującej rozmowy nawet z piękną kobietą, która mi się niezwykle podobała.

– Czy strategia handlowa to twoje hobby?

Roześmiała się, kręcąc przy tym głową, znów mogłem podziwiać odbłask światła na jej włosach.

– Nie – odpowiedziała po krótkim wahaniu. – Tylko że to podstawowy składnik mojego życia.

A czy maszyny i boty to twoje hobby?

– To też niełatwe pytanie. Umiem naprawiać maszyny, znam je – myślałem głośno. – Jestem w tym dobry. Chyba maszyny są moim hobby. Ale boty? – Wzruszyłem ramionami. – Niewiele o nich wiem.

Wieczór zbliżał się ku końcowi, goście odkładali szklaneczki, kelnerzy pomału zaczęli zbierać naczynia.

– Z przyjemnością kontynuowałbym naszą rozmowę – powiedziałem. Gdybym tego nie spróbował, miałbym to sobie za złe.

Najbliższe lampy zawieszane na linach pogasły, drugi ich krąg nadal świecił.

– Najlepiej bez wielkiego towarzystwa w pobliżu.

Spostrzegłem, że się uśmiecha.

– Wygląda to na bardzo wyrafinowane zaproszenie na randkę.

– A jakie inne mogłoby być, jeżeli strategia handlowa jest tak nieodłączną częścią twojego życia? To wręcz zmusza do wyrafinowania.

Zaśmiała się. Kolejne lampy zgasły albo ktoś je pogasił.

Powoli, żeby dać Nataszy czas, nachyliłem się nad nią. W ostatniej chwili poruszyła się lekko, żebym dokładnie trafił na jej usta.

– Dobranoc – powiedziała na pożegnanie.

Jeszcze przez chwilę wyczuwałem ślad jej obecności, a potem tylko stałem w coraz gęstszej ciemności.

Przyjęcie definitywnie się skończyło, trzeba było iść spać.

– Co muszę zrobić, żeby móc zabrać tę butelkę? – zapytałem kelnera sprzątającego ze stołu, wskazując na niezaczętą flaszkę koniaku.

– A dla kogo? – odpowiedział pytaniem, przyglądając mi się. – A, to ty jesteś jednym z czołgistów – poznał mnie. – Dużo gadałeś z córką szefa.

Nic nie pozostawało w tajemnicy. Ani w domu, ani tutaj.

– Dla kolegów-odrzekłem, zostawiając jego uwagę bez komentarza.

– Wystarczy, że ją po prostu zabierzesz – odpowiedział i odszedł z wielkim stosem brudnych naczyń.

W naszym obozie panowała cisza, wszyscy już spali z wyjątkiem Rigajeva, który coś oglądał na swoim komputerze. Schowałem butelkę, opłukałem twarz, umyłem zęby, a potem przez chwilę machałem szczoteczką do zębów, dzięki czemu zachodził proces katalizy i wykonana ze specjalnego włosia szczoteczka sama się

dezynfekowała.

– Wygląda na to, że dobrze się bawiłeś – ocenił mnie Rigajev.

– Właściwie tak – zgodziłem się.

– Tę butelkę dobrze schowaj, bo jak ją znajdzie Katzinski, to wszystko wypije – poradził mi.

Obudziłem się o świcie, jako ostatni, na kuchence już gotowała się kawa. Z garnuszkiem w dłoni obserwowałem ludzi z okolicznych pojazdów, którzy otwierali i czyścili ekrany kolektorów słonecznych. Każdy uzyskany tym sposobem dżul energii oznaczał oszczędność paliwa, większy zasięg, a tym samym zwiększenie bezpieczeństwa.

– Nie masz nic do roboty? – zwrócił się do mnie Marlon, który regulował obwód elektrostatycznego oczyszczania okularów. Jeśli nie działałby sprawnie, to drobny kurz i piasek stale osiadałyby na szklach i Marlon musiałby zdjąć okulary.

– Już wczoraj wszystko zrobiłem, meldunek włączyłem do systemu – odpowiedziałem.

– A jak tam było z córką pana Camuviego? – zapytał z uśmiechem.

Aten skąd się, cholera, dowiedział? Wieczorem został tam, gdzie był, a rano jeszcze nigdzie przecież nie chodził. Chociaż tak – latryny, czy też miejsce dla nich wyznaczone, znajdowały się O sto metrów od obozu. Sikanie w jego bezpośredniej okolicy było zakazane. Pewnie spotkał kogoś po drodze i zdążył posłuchać plotek.

– Na pewno było warto – zbyłem go niczym.

Chciał dalej wypytywać, ale odwróciłem się i z garnuszkiem kawy wspiąłem na kadłub czołgu. Słońce już uniosło się nad horyzontem. Było jeszcze bardzo słabe, po drugiej stronie nieba widniał ogromny, blady księżyc. We włosach czułem chłodny wiatr. Zaczął się nowy dzień.

Dokładnie godzinę później cała karawana ruszyła. Siedziałem na swoim miejscu, rozglądałem się i obserwowałem automatyczne drony, leniwie unoszące się w powietrzu, które zapewniały nam

obraz okolicy.

Zgodnie z rozkazem pana Camuviego przyjąłem znacznie wolniejsze tempo marszu niż poprzedniego dnia. Byłem z tego zadowolony, gdyż w ten sposób oszczędzaliśmy drogocenne paliwo. Nie była to jeszcze szybkość ekonomiczna, ale już nie pędziłem naprzód za wszelką cenę.

– Prześladowcy na godzinie szóstej – zameldował Rigajev po dwudziestu kilometrach spokojnej jazdy.

Zabrział trzask, to Knispel rozmawiał na częstotliwości dowództwa, zapewne z panem Camuvielim. Ciekawe, że intruzów wykryliśmy pierwsi, mimo że jechaliśmy na czele kolumny. Powinni byli ich zauważyć jadący na końcu. Kolejny dowód na to, że wyposażenie czołgu było o wiele lepsze niż w pozostałych wozach.

– Są szybcy, lekkie transportery, to może być policja miejska lub jakieś siły zbrojne – mówił dalej Rigajev.

Praktycznie nic nie widziałem z powodu tumanów kurzu, musiałem więc wierzyć Rigajewowi.

– Sądząc po kodzie, zbliża się do nas zverelovski oddział wojskowy – odezwał się głos kapitana. Zverelov był wolnym związkiem miast i okolicznych terenów z centrum w Zverelsku. Postolov I moja osada już do niego nie należały. Nawet nie wiedziałem dlaczego, może z tego powodu, że byliśmy od nich zbyt daleko.

– Mają nieporządek w identyfikacji, używają znaków wojskowych, a zarazem celnych – uzupełnił Rigajev.

* * *

– Balducci, na kolejny rozkaz proszę zająć pozycję.

Może powinienem przejść do kokpitu? Ekranik projekcyjny hełmu opuściłem akurat w momencie, w którym pojawiły się na nim współrzędne wyznaczone na mapie. Kapitan chciał zabrać czołg z formacji konwoju i przesunąć go trochę wyżej zbocza, które właśnie forsowaliśmy.

– Katziński, proszę przygotować amunicję penetrującą do ostrzału z dystansu do sześciuset metrów. Przy wystrzale zwrócić uwagę na minimum szkód ubocznych.

Zacząłem sobie przypominać dane techniczne transporterów opancerzonych. O ile nie były ulepszone, to miały ochronę pancerną na poziomie ekwiwalentu pięćdziesięciomilimetrowego pancerza klasycznego, a to znaczyło, że nasz wielkokalibrowy karabin maszynowy czternaście i pół milimetra nie mógł im zbyt szkodzić, nie mówiąc o sześciolufowym działku obrotowym. Czterdziestomilimetrowe działo szybkostrzelne chyba tak.

– Cyr, proszę wziąć karabin, strzelać do pierwotnego celu na mój rozkaz.

Nie miałem pojęcia, co to jest cel pierwotny, ale pozostali członkowie załogi zachowywali się tak, jakby podobną sytuację mieli już przećwiczoną.

– Sanders, pan będzie mi towarzyszyć, proszę wziąć komplet balistyczny.

Nie wiedziałem, dlaczego ja, ale nic nie powiedziałem, rozkaz to rozkaz. Nałożyć komplet balistyczny we wnętrzu czołgu to bardzo trudna sprawa. Opuściłem swoje miejsce i wszedłem do wnętrza.

– Za siedem minut będą na optycznej, kapitanie – oznajmił Rigajev.

– Zatrzymujemy się.

Wszystkie wozy zaczęły zwalniać, lekkie pancerki Cautskiego przesunęły się do tyłu, aby utworzyć strefę buforową przed obcymi.

Przebrałem się wreszcie, ale na kadłubie, tak po prostu było łatwiej i szybciej. Zeskoczyłem na ziemię, w kolanach odczułem wyraźnie przybytek wagi.

Knispel już na mnie czekał, nadal w swoim prostym uniformie.

– Dajcie mu śrutówkę – rozkazał, kiedy zobaczył, że mam tylko swój pistolet.

– Śrutówkę? – Cyr, siedzący na wieży, mocno zaakcentował to słowo.

Kapitan nie zareagował na jego pytanie. Cyr nachylił się do włazu, zniknął w nim do połowy i wynurzył się z bronią trochę podobną do klasycznej śrutówki. Podobnych, chociaż nie tak dużych, używaliśmy do likwidacji toksycznych ptaków. One same jadowite nie były, tylko ich odchody, co na jedno wychodziło.

– Mocno dociśnij ją do ramienia – poradził mi Cyr, podając broń.

Pierwsze wrażenie było mylące, była to zupełnie inna śrutówka niż te, które znałem. Na pozór jednolicie wykonana z metalu, drewnem obłożona była tylko górna powierzchnia kolby i jej piętką. Lufa znacznego kalibru nie była gwintowana. W znalezieniu bezpiecznika pomogła mi intuicja.

Kapitan odwrócił się i poszedł w kierunku miejsca postoju wozów Cautskiego. Znajdował się tam również duży opancerzony pojazd pana Camuvielego.

Marlon odwrócił czołg i powoli ruszył w górę stoku. Na kamienistym terenie nie pozostawały żadne ślady. Gdzie podział się Cyr, nie miałem pojęcia, zniknął po prostu jak duch.

Włożyłem hełm i poszedłem za kapitanem.

Do pozycji zajmowanych przez wozy Cautskiego dotarliśmy w momencie, gdy zza fałdy terenu pojawił się pierwszy pojazd, wznoszący tuman kurzu. Ludzie Cautskiego ustawiali się na poboczach drogi, wozy z ładunkiem oddaliły się od reszty pojazdów, żeby nie narażać się na przypadkowy ostrzał.

Na razie były to rutynowe przygotowania, nie wiedziałem, czy mamy łączność z nadjeżdżającymi, ale wydawało mi się, że odbędzie się tu ostra dyskusja, a nie otwarta walka.

Transportery szybko się zbliżały, okazały się większe, niż to wyglądało z powietrza, czteroosiowe, wyposażone w wieżyczki strzelnicze. Jeden z nich miał zamontowaną wyrzutnię rakiet. Opuściłem przeziernik hełmu i odbezpieczyłem śrutówkę. Knispel spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział. Pan Camuvieli wyglądał na zachmurzonego i napiętego. Nie miał broni, towarzyszyło mu dwóch uzbrojonych po zęby ludzi w kamizelkach kuloodpornych.

– To inny typ, niż nam się początkowo wydawało – usłyszałem

w interkombie głos Katzińskiego. -Jakiś nowy model, myślę, że pochodzi z arsenałów Cesarstwa.

Nie podobało mi się, że muszę stać beczynnie i wyczekiwać. Wystarczyłaby jedna rakietka albo jedna seria z szybkostrzelnych działek dwudziestomilimetrowych, których lufy zostały na nas skierowane.

W końcu pierwszy transporter dojechał i stanął, owionęło nas gorące powietrze, promieniujące od rozgrzanej maszyny. Przystąpiłem z nogi na nogę, śrutówka wydała mi się absurdalnie słaba i nieskuteczna. Pozostałe transportery zajęły pozycję, tworząc szerokie półkole wokół nas. Nie wjeżdżały na okoliczne zbocza. Było ich dziewięć, co stanowiło poważną siłę.

Czekałem razem z pozostałymi. Pan Camuvieli otarł sobie twarz chusteczką.

Trzasnęły zamki, zasyczało, kiedy rozładowało się nadciśnienie we wnętrzu transportera, w kilka sekund na zewnątrz znalazło się sześciu uzbrojonych ludzi. Nie wymierzyli w nas broni, ale trzymali ją w pogotowiu. Takie samo wrażenie sprawiały lufy karabinów maszynowych wystające z wieżyczek pozostałych transporterów.

Jako siódmy wysiadł z maszyny dowódca. Nie spieszył się, nie przejmował się tym, że zajmuje pozycję bojową. Oprócz pistoletu u pasa nie miał innej broni. Czapkę mundurową nosił zawadiacko przekrzywioną w bok.

Nieomylnie zwrócił się wprost do pana Camuwielego.

- Major Hinsteg - przedstawił się z lekkim ukłonem. - Armia cesarska i tymczasowo również siły policyjne Zverelova.

- Jestem Orfel Camuvieli, dowódca i właściciel tego konwoju, miło mi pana poznać -odpowiedział uprzejmie pan Camuvieli, bez śladu poprzedniego napięcia. - Przepraszam za swoje pogotowie bojowe, ale chyba grozi nam jakieś poważne niebezpieczeństwo.

Przybrał teraz zaciekawiony wyraz twarzy. Wytrawny gracz, musiałem przyznać.

- Jakie niebezpieczeństwo? - nie zrozumiał Hinsteg.

- No cóż, nie potrafię sobie wyobrazić innego powodu, który

zmusiłby jednostkę armii cesarskiej do tak ostrego tempa, nie mówiąc przy tym o waszym niewyjaśnionym żądaniu zatrzymania konwoju.

– Jak powiedziałem, jestem również przedstawicielem zverelovskich sił policyjnych i żądanie wysłałem z tego tytułu – zareagował gderliwie Hinsteg. Nie spodobał mu się ton naszego szefa. -Chcę skontrolować wasz ładunek.

– Wszystkie papiery są w porządku, oryginały dokumentów celnych znajdują się w urzędzie celnym w Postolovie, naszym ostatnim postoju w obrębie jurysdykcji zverelovskiej.

Camuvieli przybrał lekko zaskoczony, choć równocześnie wyczekujący ton.

– Nie powiedziałem, że chcę kontrolować papiery – prawie wykrzyknął Hinsteg. – Chcę skontrolować ładunek. Chcę się osobiście przekonać, czy wieciecie to, co zostało zadeklarowane.

– Aha! – powiedział pan Camuvieli, jakby dopiero teraz zrozumiał, o co chodzi.

Po wyrazie twarzy Cautskiego i jego ludzi widać było, że oni od początku nie stawiali na przegląd papierów.

– Az jakiej pozycji chce pan kontrolować mój ładunek?

Nie mogłem zrozumieć, dokąd Camuvieli zmierza ze swoją udawaną naiwnością, graniczącą z głupotą.

– Z pozycji majora zverelovskich sił policyjnych, które zajmują się również sprawami celnymi! -wybuchnął Hinsteg.

– Muszę zwrócić uwagę na to, że już wczoraj opuściliśmy stukilometrowy pas wyznaczający zasięg zverelovskiej jurysdykcji i znajdujemy się na wolnym terytorium, niepodlegającym żadnej władzy. Jak też na to, że każda minuta postoju, jaki ma miejsce z waszego powodu, przysparza mi kosztów. – Teraz wyraz twarzy Camuwielego stał się zimny i surowy.

– Dogoniliśmy was o wiele później, niż zakładaliśmy – oznajmił major. – I to jest jeden z powodów, dla których tym bardziej chcę skontrolować ten wasz przeklęty ładunek. – Teraz mówił już stanowczo nazbyt podniesionym głosem. – Jeżeli na wolnym

terytorium nie obowiązują żadne prawa, jak bardzo słusznie pan przypomniał, skontroluję was, ponieważ tak chcę i mam tutaj dziewięć dobrze uzbrojonych wozów pancernych, a oprócz tego pięćdziesięciu uzbrojonych ludzi.

– W ten sposób właśnie staliście się bandytami – stwierdził Camuvieli. – Występujecie z pozycji siły. To mnie mierzi, myślałem, że chodzi tylko o jakieś nieporozumienie.

– Układy z bandytami to moja robota – wmieszał się do rozmowy Cautski.

Major odwrócił się i zrobił jeden krok ku niemu.

– Jeśli polegacie na swoich ludziach, popełniacie błąd, panie Camuvieli. Mamy ich na monitorach kierowania ogniem, wystarczy jeden mój sygnał, a w ciągu kilku sekund nie zostanie wam nikt.

Hinsteg machnął w stronę jednego ze zboczy, odezwała się krótka seria skierowana w ziemię jakieś dwieście metrów od nas.

– Poddajcie się, bo następna seria będzie już celna – zawołał.

Po huk strzałów jego głos wydał się słaby i niewyraźny.

Pomyślałem, co by się stało, gdybym go teraz zastrzelił. Ale to chyba nie polepszyłoby naszej sytuacji.

Z ukrycia powstało dwóch ludzi z rękami nad głową. Hinsteg wydawał się zadowolony.

– A teraz pozostali! Widzimy was – rozkazał triumfalnie.

– Panie majorze? – po raz pierwszy przemówił kapitan.

– Wiem, wiem, macie gdzieś jeden czołg. – Hinsteg lekceważąco machnął ręką. – W kiepskim stanie, tylko częściowo zdolny do walki.

– Nie zrobiliście wywiadu, brak wam informacji o sile przeciwnika. Przyjechaliście prosto przed nasze lufy – kontynuował Knispel, jakby Hinsteg nic nie powiedział.

Przy wzmiance o wjechaniu wprost pod lufy major na moment się zawahał, ale szybko odzyskał pewność siebie.

– Blefuje pan, kapitanie – oznajmił. – Zasięgnąłem informacji na wasz temat. Dowodzi pan tylko jednym czołgiem.

– Staram się unikać przelewu krwi, jeśli to tylko możliwe, ale

mam obowiązek ochrony życia, majątku i praw pana Camuviego oraz jego ludzi. Tak wynika z mojej umowy najemniczej. -Knispel mówił sucho, bez zaangażowania, jakby czytał tekst dokumentu prawnego.

– W tym konkretnym przypadku doradzam panu odstąpienie od umowy we własnym interesie.

A jeśli ten pański zbrojny pacholek choćby się poruszy – wskazał na mnie – każę was obu rozwalić na kawałki. I nie będę musiał nikomu się z tego tłumaczyć, bo jestem na ziemi niczyjej, jak słusznie powiedział pan Camuviel, o ile to jego prawdziwe nazwisko – wściekał się Hinsteg.

Kapitan dotknął ręką czubka nosa, jakby się zastanawiał. Ten gest wyglądał naturalnie, ale ja już zdążyłem poznać kapitana. Naturalnych ludzkich gestów mu brakowało.

Dwadzieścia metrów za nami rozprysnął się duży kamień, z przeciwnej strony dał się słyszeć wystrzał. Hinsteg stał bez ruchu, jakby nie mogąc się zdecydować, czy powinien rzucić się na ziemię. Z jakiego powodu ktoś strzelił do kamienia? Nieco później zrozumiałem, że kamień został trafiony tylko przez przypadek. Major nie miał już na głowie czapki. Zniknęła.

Z niedowierzaniem dotknął głowy, popatrzył na palce, wszyscy zobaczyliśmy na nich krew.

– Nie chciałem pana bardzo zranić, ale biorąc pod uwagę, w jaki sposób miał pan nałożoną czapkę, strzelec miał niewiele miejsca na strącenie jej z pańskiej głowy, bo zranienie powinno być tylko powierzchowne – wyjaśnił Knispel, nawet nie mrugnawszy okiem.

– Ty, ty... – Hinsteg nie posiadał się ze złości. Ale strachu po nim nie było widać.

– Kolejne trafienie nie będzie już w czapkę – oznajmił Knispel. – A moi strzelcy są wystarczająco daleko, żeby nie mógł ich dostrzec wasz system.

Teraz uwaga skupiła się na kapitanie. Wymierzyłem broń w Hinstega i przesunąłem się lekko w bok, żeby w polu ostrzału pojawił mi się jeszcze jeden napastnik.

– To wrogi atak przeciw cesarskiej armii. – Major nie rezygnował.
– Nie, panie majorze – poprawił go Camuvieli. – To akt obrony przeciwko bandytom podającym się za członków cesarskiej armii. Czy może zverelovskich sił policyjnych? Nie jest to dla mnie jasne.

Stałem bez ruchu, ze spoconymi dłońmi w grubych rękawicach. Zepchnęliśmy Hinstega do defensywy, ale mało to znaczyło. Jeśli to byli naprawdę cesarscy żołnierze, to z pewnością zostali znakomicie wyszkoleni. Mogli rozpętać prawdziwą jatkę, z której niewielu ludzi by ocalało. Ja na pewno nie. I nikt z mojego otoczenia.

– Proszę rozkazać swoim ludziom, niech się odwrócą, pojedą pięćdziesiąt kilometrów w kierunku powrotnym i tam się zatrzymają. Pan z jednym transporterem pojedzie z nami również pięćdziesiąt kilometrów i tam was zwolnimy.

Brzmiało to rozumnie, był to sposób na uniknięcie walki i przelewu krwi.

– Dlaczego miałbym dobrowolnie narażać się na niebezpieczeństwo? Pozbawić się wsparcia swoich ludzi? – wybuchnął major.

Nadal do niego celowałem, ale wydawało mi się, że w ogóle tego nie zauważa. Byłem gotowy do wystrzału. Stojący najbliżej Hinstega zacisnął usta w wąską kreskę. Obserwował, czy uniosę broń, czy nie. W balistycznym komplecie, z twarzą ukrytą w hełmie byłem dla niego po prostu nieczytelny. Nie wiedział, kim jestem, a nie mógł wiedzieć, że moim jedynym życzeniem było wynieść z tej awantury całą skórę.

W końcu Hinsteg też mnie zauważył i zrozumiał, że jeśli jego rozkaz będzie inny niż oczekiwany, umrze.

– Kim pan jest? Komu mam zawierzyć swoje życie? – zwrócił się do naszego kapitana.

– Już mówiłem, a pan się zdradził, że zasięgał o mnie informacji. Jestem kapitan Oliver Knispel, posiadam patent najemnika, dokument uznawany w całym cywilizowanym świecie. Moje nazwisko jest znane.

– Szalony kapitan – mruknął Hinsteg i nagle zamilkł, jakby ta

uwaga wymknęła mu się mimochodem. – No tak, ma pan dobrą reputację – dodał szybko, aby to jakoś zatuszować. – Od dwudziestu lat działa pan na peryferiach cywilizacji, oferując pierwszorzędne usługi. Czasem za cenę ogromnego ryzyka, niemożliwego do zaakceptowania dla wielu ludzi.

– Dlatego też żądam wysokiej ceny za moje usługi – zareagował na to Knispel.

Napięcie opadło, widać było, że Hinsteg odnalazł grunt pod nogami.

– Czy może pan odwołać swojego drona? – Wskazał na krążącą nad nami maszynę. – Skoro negocjuję, jest to zbędne ryzyko.

Ciekawe. Te fruujące aparaty, które co jakiś czas nadlatywały z pustyni, nazywano u nas pterobotami. Hinsteg używał określenia „drony”, terminu ze starej nomenklatury. To prawdopodobnie zależało od tego, czy urządzenia obsługiwali ludzie, czy też były od nich niezależne, bo kierowały nimi inne maszyny. Jednak rozumiałem obawy majora. Na wysokich orbitach stale krążyły dziesiątki, czy raczej setki satelitów bojowych, które powodowały, że możliwość wojny w powietrzu i w stratosferze osiągnęła pat. Nawet dziś, po całych stuleciach wyczekiwania, nie pozostawiała w powietrzu niczego większego od albatrosa i poruszały się z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Słyszałem o eksperymencie z balonem na gorące powietrze. Nieudany – balon spłonął, a załoga zginęła. Nikt nie wiedział, czy w wyniku trafienia promieniem z orbity, czy katastrofa była następstwem nieszczęśliwego wypadku. W każdym razie zniechęciło to naśladowców i zmusiło nas, aby nadal trzymać się ziemi.

– Oczywiście – przytaknął kapitan.

Nie odważyłem się przyglądać lądowaniu pterobota. Nie odważyłbym się nawet podrapać po nosie, chociaż pod balistyczną maską nie było to możliwe. Nauczyłem się już, że jedyny spacyfikowany bot to bot rozebrany, pozbawiony źródła energii, a za tę wiedzę zapłaciłem kawałkiem małego palca i głęboką blizną na ramieniu.

Hinsteg obserwował lądowanie maszyny i wydawał się z tego powodu znacznie spokojniejszy. Widać było po nim, że się zdecydował.

– Polegam na pana słowie, kapitanie, umowa stoi – oznajmił.

Nie zauważyłem, w jaki sposób wydał rozkaz, jednak lufy karabinów maszynowych uniosły się, a jego ludzie opuścili kryjówki. Skierowałem śrutówkę ku ziemi i odetchnąłem głęboko, aż zamglili się przeziernik hełmu.

* * *

Kolejne dwa dni przebiegły bez wydarzeń, jeśli nie liczyć ciągłych napraw bieżących awarii sprzętu technicznego. Wody było coraz mniej, powoli wjeżdżaliśmy w prawdziwą pustynię. Suchą glebę zastąpiły piasek i żwir. Trzeciego dnia major Hinsteg opuścił nas w swoim wozie pancernym tak niepostrzeżenie, jak tylko było to możliwe. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowałem, że spodziewa się celnej rakiety w tył pojazdu. Tak się jednak nie stało, kapitan takiego rozkazu nie wydał, a tylko kazał monitorować aktywność ludzi Cautskiego, aby nic podobnego nie wyszło z ich strony. Cały dzień jechaliśmy bez odpoczynku i wieczorem byliśmy po prostu wyczerpani.

Następnego dnia obudziłem się jeszcze przed świtem. Dokonałem porannej toalety i poszedłem przejść się wokół obozu, bo do wschodu słońca pozostało jeszcze kilka minut.

Starłem się iść jak najciszej, ale skrzypienie suchego piasku pod nogami brzmiało tak głośno, że powinno wyrwać ze snu każdego śpiocha. Nikt się jednak nie obudził. W niektórych miejscach wiatr odsłonił popękany beton starej autostrady, z której korzystaliśmy podczas jazdy. Schyliłem się, żeby go dotknąć. Kiedyś, dawno temu, byli ludzie zdolni do pokrycia świata arteriami komunikacyjnymi, aby jak najefektywniej przemieszczać ogromne ilości ładunków na długich dystansach. Dziś cieszyliśmy się, jeśli było nam wiadome, dokąd wiodły te betonowe rzeki.

I używaliśmy ich, dopóki było to jeszcze możliwe.

Jej kroki usłyszałem już z daleka. Też starała się iść cicho, jednak pustynny piasek skrzypiał naprawdę głośno.

– Zawsze wstajesz tak wcześnie?

Spojrzałem na nią.

Już od rana miała na sobie strój podróżny i starannie uczesane włosy. Nie była umalowana, jej naturalnie ciemne wargi kontrastowały z bladą cerą.

– Nie – przyznałem się. – Tylko wtedy, gdy nie mogę spać.

– Do porannej pobudki zostało jeszcze pół godziny – podpowiedziała.

– No to skorzystamy z tego i pójdziemy popatrzeć na ten występ skalny. – Wskazałem kierunek.

– Po co? – zdziwiła się.

Przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią.

– Potrzebny mi jest cel, zawsze wyznaczam sobie jakiś cel. Droga do tego występu mi go zapewni, a równocześnie będziemy sami. Możemy o wszystkim rozmawiać i nikt nas nie usłyszy...

A więc?

– A więc? – Pytająco uniosła brwi.

– Właśnie tak – potwierdziłem poważnie.

– No to chodźmy. – Uśmiechnęła się.

Nie miałem ochoty nic mówić, smakowałem jej obecność, czystość budzącego się dnia, chłodny wiatr. Zanim wyszedłem na przechadzkę, rzuciłem okiem na odczyty czujników, w powietrzu było znacznie mniej zanieczyszczeń niż zwykle. To wprowadziło mnie w nastrój romantyczny i odświeżony zarazem.

– Ojciec mówił, że świetnie sobie poradziłeś z sytuacją, że dzięki tobie obyło się bez rozlewu krwi.

– Jaką sytuacją? – nie zrozumiałem.

– Z majorem Hinstegiem. Dzięki twojej reakcji uświadomił sobie, że jest śmiertelny i podatny na zranienia.

– No cóż, nie widział mojej twarzy, nie wiedział, kim jestem. Ale zawdzięczamy to decyzjom kapitana, to on kazał mi nałożyć komplet balistyczny.

Popatrzyła na mnie z taką miną, jakby właśnie takiej odpowiedzi ode mnie oczekiwała.

– Ale muszę przyznać, że wymierzyłem w niego broń we właściwym momencie. – Zawahałem się na chwilę. – Nie czułem się pewnie, stojąc przed tymi wszystkimi lufami. Chciałem po prostu przeżyć.

– To chyba całkiem zrozumiałe, powiedziałabym. Zwłaszcza w przypadku młodego człowieka.

Wydała mi się teraz bardziej doświadczona i poważniejsza niż przed chwilą, a przecież sama była młodą kobietą.

Tak rozmawiając, doszliśmy do skalnego występu. Nie był zbyt wysoki, lecz roztaczał się z niego widok na drogę, którą przyjechaliśmy. Gdzieś tam dawało się dostrzec nasze ślady, choć większość z nich rozwiął już wiatr.

– Cały czas tylko ja mówię – zauważyłem. – A ty, co mi powiesz o sobie?

– A jaki masz cel? Mówiłeś, że zawsze potrzebujesz jakiegoś celu – zapytała, jakby nie słysząc mojego pytania.

– Dzień dobry – usłyszeliśmy gdzieś za nami i kolejne odgłosy świadczące o tym, że obóz się budzi.

– Chyba powinniśmy już wracać – powiedziałem.

– Miła przechadzka z ładnym widokiem. – Wydawała się zadowolona i nieco rozbawiona.

Zawróciliśmy.

– Na pewno uda mi się znaleźć inne – obiecałem. – I dłuższe.

Pożegnałem się z nią w momencie przechodzenia przez granicę wyznaczoną barierą czujników ruchu. Niczego nie sygnalizowały podczas powrotu, ponieważ zostały wyłączone. Pierwszą osobą, jaką spotkaliśmy, była Valerie.

– Widzę, że wcześniej wstaliście. Jak udała się przechadzka?

Powiedziała to niewinnie, ale wydało mi się, że coś się skrywa w jej intonacji.

– Krótka – oceniłem zwięźle. – Musimy to powtórzyć.

Nie miałem już czasu na rozmowę z dziewczynami.

– Proszę panie o wybaczenie, dziś moja kolej na przygotowanie śniadania.

Rozdział drugi



Jechaliśmy dalej, utrzymując optymalne tempo, coraz bardziej zagłębiając się w ziemię niczyją. Wokół nas wyrastały coraz wyższe pagórki, a stara autostrada opadała i wznosiła się bardzo powoli. Teraz już nie ginęła z oczu tak często jak na równinie za nami, wyraźnie była zbudowana rzetelniej i z większym staraniem. Żeby wybudować taką drogę, dawno temu ludzie wykonali ogromną pracę, przemieścili miliony ton skały. Wprawdzie po upływie setek lat brakowało jej całych fragmentów, ale wciąż mogła zadziwiać swoją trwałością. Którędy wiodła, można było zobaczyć, obserwując rzeźbę terenu. Z zadowoleniem dostrzegłem, że przybywało wody w glebie wokół drogi, wilgotne miejsca wprawdzie nadal przeplatane były suchymi, ale przejeżdżaliśmy obok krzewów, kęp wysokiej trawy oraz sękatych drzew ze skórzastymi, jasnozielonymi liśćmi.

– Na dziesiątej metaliczne błyski – głos Cyra przerwał monotony warkot silnika i skrzypienie gąsienic. W tym samym momencie ożyły detektory radaru Dopplera. Wlazłem do kokpitu po hełm, przyłączyłem się do systemu dowodzenia czołgu i usiłowałem coś zobaczyć.

Sterowanie monitorami pokrywającymi większość ścianek mojego stanowiska technika już opanowałem. Jednak z chaotycznego obrazu wyświetlanego na przyłbicy hełmu nic nie mogłem wywnioskować. Wymagało to większej praktyki. Po chwili odłączyłem się i starałem zorientować w sposób klasyczny, za pomocą wzroku. I to mi się udało, po lewej stronie spostrzegłem kilka metalicznych błysków. Za pomocą lornetki zobaczyłem bota,

dużego jak spory kojot. Konstrukcją nawet nieco przypominał kojota. Cztery nogi, duży członowy ogon i nieforemna głowa podobna do młota. Gdybym zdołał dłużej utrzymać go w szklach, wypatrzyłbym dalsze szczegóły, ale w jadącym czołgu nie było to możliwe. Znów włączyłem się do systemu i znalazłem dane, które uzyskał Rigajev przy użyciu wszystkich dostępnych czujników.

Moje pierwsze wrażenie okazało się słuszne. Kojot był trochę podobny do botów, którym czasem zdarzało się zabłądzić na nasze terytorium, ale ogólnie wydawał się być w lepszym stanie.

Wyglądał trochę nieforemnie, na grzbiecie miał trójkątny grzebień kolektorów słonecznych. Wydawały mi się niezwykle małe, co znaczyło, że musiały być o wiele sprawniejsze niż te, które znałem. Odtworzyłem sobie dostępne krótkie wideo. Nie poruszał się płynnie, co było wynikiem jego prymitywnej konstrukcji, opartej na niezbędnej tylko liczbie stawów i polimetalicznych mięśni. Ale potrafił rozwinąć sporą prędkość, porównywalną ze zwawym kłusem. Jego ruchowy algorytm był w stanie doskonale współpracować z hardware'em.

Czujniki optyczne miał umieszczone na głowie, jak u większości botów. Głowa była ruchoma, co pozwalało na dokładny przegląd okolicy. Paszcza na pierwszy rzut oka wydawała się prosta, z trójkątnymi zębami. Widziałem już kilka botów ze szczękami zaopatrzonymi w wirujące łańcuchy, ale wibrujące zęby sprawiały się lepiej i były prostsze konstrukcyjnie. Oczywiście o ile konstruktor miał do dyspozycji odpowiednio silne materiały. Znane mi boty były w większości zbudowane z różnych resztek. Ale ten nie.

– Co to jest? – zapytałem przez interkom.

– Dziki bot. Szuka energii, materiału – odpowiedział Marlon.

– Albo zwiadowca – nie zgodził się Cyr.

– Jak to może być zwiadowca? To prosty, prymitywny bot – rzekł pogardliwie Marlon. – Ma inteligencję mrówki.

Cyr dalej nie dyskutował. Zastanowiło mnie, co rozumiał przez słowo „zwiadowca”. Dla kogo by taki zwiadowca pracował? Kto by

mu wydawał rozkazy i komu przekazywałyby informacje? Im bardziej złożona była maszyna, tym bardziej wzrastała jej skłonność do awarii i tym krótszą miała żywotność. Miało to zastosowanie w przypadku botów, maszyn bojowych oraz sztucznych inteligencji, dawno temu wytworzonych przez ludzi. Najbardziej natomiast w przypadku tych przeznaczonych do walki. Z tych powodów uważało się, że ostatnie z nich przestały działać po zakończeniu wojny Hanturiego.

– Rigajev, niech pan utworzy jego sygnaturę – odezwał się głos kapitana.

– Jest gotowa, panie kapitanie. Już ją przesłałem.

Bot zniknął za niewysokim grzebieniem biegnącym równoległe do naszej drogi.

– Co to znaczy utworzyć sygnaturę? – zapytałem Rigajeva na dwustronnym kanale.

– Stwarzamy mapę jego odbić, którymi możemy go dostrzegać, za pomocą poszczególnych czujników w cieplnym elektromagnetycznym spektrum i na ultradźwiękach. To jakby jego podpis, który przekazuję na es-jot-es, sensoryczną jednostkę sterującą, żeby później sama wyszukiwała taką sygnaturę w danych ogólnych.

– A czy myślisz, że ma inteligencję mrówki?

– Jeśli tak, to jest cholernie niebezpieczny. Przypomnij sobie, czego taka mrówka potrafi dokonać – odparł bez wahania.

Nie była to przyjemna perspektywa. Nigdy nie spotkałem się z takim botem. Ale pojedyncza mrówka nie jest znowu taka sprytna. Miałem nadzieję, że jeśli Marlon ma rację, istnieje tylko kilka takich botów.

Do wieczora nic nowego nie zaszło, tyle tylko, że uczucie, jakbyśmy wjeżdżali na urodzajniejszą ziemię, okazało się mylne. W okolicy znów ubywało wody, teren powoli zmieniał się w półpustynię. Trawę, krzewy i drzewa zastąpiły rzadkie kolczaste rośliny o szarzielonym kolorze. Po wielkiej wojnie zostało niewiele urodzajnych terenów, ekologiczna równowaga planety została

zakłócona.

Przyrzędy Rigajeva wskazywały, że teren jest czysty, więc rozbiliśmy obóz. Transportery z ładunkami umieściliśmy w półkolu, jeden za drugim, aby utworzyły barierę przeciwko nasilającemu się wiatrowi wiejącemu z północnego wschodu.

Do moich obowiązków należało zabezpieczenie obozu i jak zawsze za towarzysza miałem Cyra.

– Weź to ze sobą. – Podał mi śrutówkę, którą już raz miałem w rękach. – Gdyby ten bot przypadkiem się tu pojawił.

Niezbyt mnie to ucieszyło, bo oprócz ciężkich czujników przybyło mi jeszcze kilka kilogramów. Uważałem, że do zniszczenia bota wystarczyłby mój pistolet, ale śrutówkę wziąłem.

Zanim skończyliśmy, od kuchni polowej dobiegł do nas zapach, który uświadomił mi, jak bardzo jestem głodny. Zgodnie z umową od chwili wjazdu na ziemię niczyją to nasz chlebodawca musiał zadbać o zapewnienie nam jednego porządnego posiłku dziennie. W dwóch dużych kotłach ogrzewanych gazem gotowało się mięso z fasolą, w trzecim bulgotała woda na kawę i herbatę.

Przy rozkładanym stole krzątał się jeden z ludzi pana Camuwiego. Ten, którego zagadnąłem o butelkę alkoholu. W ciągu dnia pełnił rolę kierowcy.

– Jedzenie gotowe – powiedział do mnie. – Weź sobie od razu, za chwilę zrobi się tłoczno.

– Zaraz przyniosę łyżkę, kubek i resztę – odrzekłem.

Dwaj ludzie wynieśli z ciężarówki zaopatrzeniowej ławki i poustawiali je wokół kuchni.

Kucharz-kelner wyczarował spod stołu łyżkę i plastikowy talerz, nabrał mi na niego szczodrą porcję i dodał trzy pajdy chleba.

– Ma to wrócić czyste – oznajmił. – Inaczej nic już ci nie pożyczę, a jutro poczęstuję tylko gadaniem.

– To poważna groźba, wszystko na pewno będzie błyszczało. Czy pan Camuvieli będzie jadł z nami? – zainteresowałem się.

– Nie dostałem polecenia, żeby przygotować jakieś specjalne menu, ale nie wiem, czy będzie jeść tutaj. – Wzruszył ramionami.

Zamiast odpowiedzi tylko przytaknąłem.

Usiadłem na ławce i zabrałem się do jedzenia. Cyr wziął śrutówkę, sprawdził, czy jest zabezpieczona, i odszedł do czołgu ze swoją porcją. Przyzwyczailem się już do jego małowówności. Rigajev też potrafił długo milczeć, ale on nieustannie o czymś rozmyślał albo grzebał w swoich danych. Czasem jednak dawał się wciągnąć w interesującą rozmowę.

Wkrótce przy kuchni zaczęli się gromadzić pozostali, po kilku minutach większość miejsc była zajęta. Jadłem powoli, nie musiałem się spieszyć, jedzenie smakowało lepiej niż to, do którego byłem dotąd przyzwyczajony.

Po chwili przysiadł się do mnie Rigajev, Marlon i Katzinski usiedli przy stole, przy którym już zajęli miejsca ludzie Cautskiego. Mówiono o bocie, maszynach i starych inteligencjach wojennych. Nic dziwnego, bot, który nas przez jakiś czas obserwował, wzbudził powszechne zainteresowanie.

A nawet obawy.

– Boty i ta cała mechaniczna hałastrą to już przeszłość. Wielka wojna skończyła się prawie trzysta lat temu, maszyny pordzewiały, obwody uległy zwarciom, spotykamy tylko ostatnie z nich - powiedział któryś z przekonaniem. Był to barczysty mężczyzna średniego wzrostu, z twarzą poznaczoną mnóstwem drobnych blizn, jakby w dzieciństwie przeżył jakąś brzydką chorobę zakaźną.

– Ale to maszyny zniszczyły Konstopól, nikt tam nie pozostał przy życiu – zaoponował jakiś człowiek, wyglądający na ochroniarza pana Camuvielego.

– To było sto lat temu, dziś już nic takiego nie może się wydarzyć – odparł barczysty.

– Jednak nadal spotykamy boty wyglądające na całkiem sprawne – zauważył jeden ze słuchających. – Na przykład ten dzisiejszy sprawiał wrażenie nowego.

– One są z takich magazynów, które napełnili specjalnym gazem, i jeśli popsuje się coś w ich mechanice albo hydraulice, to boty się aktywują i mają znaleźć najbliższe dowództwo.

Chłopina sprawiał wrażenie, że coś o tym wie. Ale takie opowiadki też już słyszałem.

– A co ty o tym myślisz? – zwróciłem się do Rigajeva.

– Mogłoby tak być – potwierdził z wahaniem.

Słuchał z zainteresowaniem i wydało mi się, że wie więcej, niż powiedział.

– Ja sam spotkałem niedawno wyprodukowane boty. To były proste maszyny, wykonane z marnych materiałów i o dość prymitywnej konstrukcji – rzuciłem półgłosem, żeby usłyszał to tylko Rigajev. Nie miałem ochoty mieszać się do rozmowy przy stole.

– Ja również – zgodził się ze mną. – Po prostu gdzieś nadal działają linie produkcyjne. Starzeją się, ale ponieważ zostały zbudowane bardzo przemyślnie, a kierują nimi wyrafinowane algorytmy, nadal są jeszcze zdolne produkować boty bojowe. Chociaż gorszej jakości niż dawniej. – Mówił to bez zainteresowania, jakby chciał ten temat jak najszybciej zakończyć.

Zgadzałem się z nim. Czasem natrafiałem na książki opisujące czasy przed wielką wojną. Było w nich napisane, że dawno temu mocarstwa przegrywające wojnę produkowały broń w wielkich ilościach aż do chwili swojej totalnej porażki. I broniły się uporczywie aż do samego końca, nawet kiedy jakość broni z czasem się pogarszała. W przypadku maszyn mogło być tak samo, po prostu mogły być podobnie zaprogramowane.

– A co w przypadku wojny Hanturiego? To zaledwie dwadzieścia lat temu, a maszyny zaatakowały z pełną siłą – zwrócił się do nas jeden z ludzi Deheba.

Trochę się pomylił, wojna Hanturiego miała miejsce już dwadzieścia cztery lata temu, prawie ćwierć wieku.

Spojrzałem na Rigajeva. Nie poruszył nawet brwią. Wszyscy znali historię wojny Hanturiego, która teraz zmieniała się raczej w legendę. Błękitny Von pierwotnie był wyspą cywilizacji, najbardziej na zachód wysuniętym miejscem, w którym osiedlili się ludzie. Dalej znajdowała się już tylko Pustynia Zachodnia,

nieprzyjazne, zagrażające życiu miejsce, spalone i skażone przez wojnę. Jednak na terytorium Błękitnego Vonu odkryto bogate złoża surowców mineralnych, co w naszym świecie graniczyło z cudem. Stara cywilizacja, która zginęła w wielkiej wojnie, wszystkie łatwe do wydobycia surowce zużyła, a przy wydobyciu pozostałych opierała się na niedostępnej dla nas technologii. Błękitny Von zaczął świetnie prosperować, ciągnąc za sobą ku dobrobytowi również innych. Aż do chwili, kiedy pojawiła się silna armia botów i napadła na niego.

– W tej wojnie walczyło się przeciwko nowym botom, dobrze uzbrojonym. Wiem o tym, znałem jednego chłopaka, który brał w tym udział. Walczył pod bezpośrednim dowództwem Wilhelma Hanturiego – mówił dalej człowiek Deheba.

Był to jeden z mechaników, jeden z tych lepszych, przypomniałem sobie.

Rigajev milczał, chociaż wszyscy oczekiwali jego reakcji.

– Tak – zgodził się niespodziewanie barczysty. – Pojawiły się tam nowoczesne, nowe boty, to prawda.

– To my sami je wyprodukowaliśmy – kontynuował mechanik – w wyniku walki konkurencyjnej. Ryjąc pod ziemią, ludzie z Błękitnego Vonu odkryli stare linie produkcyjne, naprawili je, przeprogramowali i zaczęli wytwarzać boty dla własnych potrzeb, tym razem dla wojny handlowej.

Coś podobnego już słyszałem, ale po raz pierwszy wygłoszone w tak zdecydowany sposób. Dwoma najsilniejszymi państwami współczesnych czasów władali główni dowódcy z czasów wojny Hanturiego, Rabierre i Wittmann, którzy nie lubili podobnych wypowiedzi.

– Walczyliśmy wtedy nie tylko z botami, kierowały nimi sztuczne inteligencje. Dziś nie jesteśmy zdolni do przeprogramowania starych komputerów i w ten sposób objęcia kontroli nad bojowymi sztucznymi inteligencjami – powiedział nagle Rigajev.

– Nic dobrego nie wyniknie z grzebania w komputerach, mogą się przemienić w es-i – powiedział ktoś z obawą w głosie.

– Może to jednak byłoby dobre, może by nam pomogło? – Rigajev wzruszył ramionami.

Wszyscy słuchali go uważnie, takie tematy stanowiły zazwyczaj tabu, sztuczne inteligencje były aż do teraz postrzegane jako niebezpieczni przeciwnicy. Na szczęście ich era się skończyła lub przynajmniej dobiegała końca.

– Ja tego nie wiem i nie znam nikogo, kto by to potrafił – dodał po chwili Rigajev.

– Ja na pewno nie – powiedział szybko barczysty, jakby nie chciał, żeby podobne podejrzenie dotyczyło jego osoby chociaż na moment.

– Tak samo jak starzeją się mechanizmy, maszyny bojowe, boty czy linie produkcyjne, tak znikają z tego świata umiejętności. Już od dawna nie potrafimy tego, co umieliśmy przed dwudziestu czy stu laty. Nawet nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie zakresu wiedzy ludzi sprzed wojny. – Rigajev mówił na głos, ale zdawał się pogrążony w myślach.

Zgadzałem się z nim. Sam niczego nowego nie wymyśliłem, starałem się tylko zrozumieć, odgadnąć sens i posłużyć się tym, co wymyślili ludzie żyjący przede mną. Na tej samej zasadzie działał nasz przemysł. Za każdym razem, kiedy odkryliśmy jakąś starą technologię, która nie była całkiem niezrozumiała i nie leżała poza naszymi możliwościami, staraliśmy się ją przeanalizować i spożytkować, chociaż często na niższym poziomie sprawności technicznej. Może to było zasmucające, ale dla mnie stanowiło powszechną część życia.

Rigajev stracił zainteresowanie rozmową tak samo nagle, jak się do niej włączył, a bez niego dyskusja przestała być ciekawa. Nie słuchałem dłużej, skończyłem posiłek, porządnie umyłem naczynia i odniosłem do skrzynki.

Ponieważ nigdzie nie mogłem dostrzec Nataszy, wyszedłem z zaimprovizowanej jadalni i wróciłem do czołgu. Rozmowa przy kolacji wzbudziła moje zainteresowanie, znów przypominałem sobie dane techniczne dotyczące bota. Największą uwagę

poświęcałem danym wizualnym. Nie były, niestety, wystarczająco dokładne dla wnikliwej analizy jego konstrukcji. Mimo że nie poruszał się tak płynnie jak zwierzęta, znajdował się o rząd wyżej niż boty, w gruncie rzeczy w większości mechanoidy, z którymi się spotkałem. Równocześnie jednak jego konstrukcja wydawała mi się o wiele prostsza. Domyślałem się, że istota sprawności tego bota zależy od stawów. Nie były to proste, mechaniczne komponenty, zapewniające niezbędne stopnie swobody, które łatwo wyprodukować, ale coś bardziej skomplikowanego, wykonanego w formie kompaktu. Jednego byłem pewny – ja bym tego w swojej domowej pracowni wykonać nie zdołał. Mimo że mam bardzo dobre wyposażenie i umiem się nim posługiwać.

Wyłączyłem zbyt powiększony, trochę zamazany obraz bota i zamrugalem, żeby się pozbyć odbicia na siatkówce oka. Skutkiem długiego siedzenia w kokpicie czułem się trochę ścierpnięty, wygramoliłem się na zewnątrz i ułożyłem do snu. Byłem zmęczony, oczy mnie piekły, ale sen nie nadchodził. Słyszałem, że wiatr się wzmacnia, coraz więcej ziarenek piasku uderzało w ściankę namiotu, a czasem również w mój śpiwór. Schowałem się w nim głęboko, sprawdziłem, gdzie mam pistolet, i postanowiłem uważać, żeby sobie podczas snu nie strzelić w głowę.

Nic się jednak nie wydarzyło. Nazajutrz wiatr nie ustawał, zmienił tylko nieco kierunek. Przed południem Rigajev oznajmił, że koncentracja cząstek kurzu przekroczyła pierwszy stopień niebezpieczeństwa i zaczyna zagrażać naszym płucom, a do tego skład chemiczny powietrza również się pogorszył. Uważał, że to pozostałości po spalaniu węgla kamiennego oraz śladowe ilości materiału radioaktywnego. Otrzymałem rozkaz przełączenia wewnętrznej wentylacji czołgu na obieg zamknięty z użyciem aktywnego filtra. Jako mechanik korzystałem z wyjątku, mój kokpit posiadał własny obwód filtrujący. Służył do tego, żebym wykonując jakąś naprawę w niebezpiecznym środowisku, nie zanieczyścił całego czołgu i nie zagroził załodze. Miałem także bardzo dobrą maskę filtrującą współpracującą z hełmem bojowym.

Pozostawałem w połowie we włazie, wychylony na zewnątrz, właz był uszczelniony elastyczną, sprężynującą przeponą. Obserwowałem krajobraz i porównywałem go z mapą wyświetlaną na przezierniku hełmu. Znajdowałem mnóstwo odchyłek od rzeczywistości, tylko w bezpośredniej bliskości autostrady mapa była stosunkowo dokładna.

Wydało mi się, że powietrze zaczyna smakować gorzko mimo nowego filtra, więc przyłączyłem się do systemu wentylacyjnego czołgu oraz nałożyłem okulary, które już teraz ciasno przylegały do twarzy. Za przykładem innych nalepiłem na nie cienką silikonową taśmę, a do tego ulepszyłem ją, przekładając elastyczny ścisk na ukos. Dzięki temu boki okularów przylegały mocno, chociaż nie były tak przyciśnięte do twarzy jak u pozostałych.

Teraz wszystko wydało mi się w porządku i nadal obserwowałem okolicę. Cały czas oczekiwałem, że kapitan każe mi się schować do kokpitu i zamknąć pokrywę włazu. Jednak nie zrobił tego, może był zadowolony, że ma na zewnątrz obserwatora i nie musi polegać tylko na systemach elektronicznych. Piasek wokół nas zmienił kolor na skutek gęstych obłoków. Ciemnoszare chmury przeplatały się z ciemnoczerwonymi, a niekiedy nawet zupełnie czarnymi. Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, jakie substancje chemiczne mogą się znajdować w powietrzu nad nami. Światło przechodziło przez zasłonę z pary wodnej nasyconej trującymi związkami i dzięki temu uzyskiwało nienaturalny odcień, zmieniając okolicę w nocny koszmar szaleńca, który przed setkami lat wykłuł sobie oczy.

Przez pewien czas Knispel rozmawiał przez radio z panem Camuvielim. Przypuszczałem, że na temat wiatru i kurzu. W wyniku tych pogawędek pierwszy z codziennych postojów zarządzono o godzinę wcześniej. Razem z pozostałymi mechanikami skontrolowaliśmy stan maszyn, uwagę koncentrując na podwoziach, szukając usterek, które później mogły przerodzić się w awarię. Filtry mieli już wszyscy, niektórzy pełne maski na twarzach. Z naszym czołgiem wszystko było w porządku, większość

czasu spędziłem, regulując amortyzator w jednym z transporterów towarowych. Ruszyliśmy w dalszą drogę tylko kilka minut później, niż to przewidywał harmonogram.

Podróż mijła w ciszy, jeśli nie liczyć rutynowych meldunków. Nikt nie rozmawiał. Po południu zgłosił się Rigajev. Jeszcze zanim zaczął mówić, domyśliłem się, że nie będzie miał do powiedzenia nic pozytywnego. Zwięźle oznajmił, że koncentracja kurzu nadal rośnie, a wraz z nią poziom radiacji. Ponadto pojawiły się również ślady trucizn genetycznych.

– Wszyscy do wewnątrz, zamknąć pokrywy włączów, zwiększyć ciśnienie w wentylacji, aktywować obwód czyszczący – kapitan zareagował natychmiast całą serią rozkazów.

To ostatnie oznaczało pokaźnie zwiększone zużycie paliwa, o co ja się troszczyłem. Jednak w tej sprawie nie mogłem nic zrobić. Poziom chmur jeszcze się obniżył i widoczność znacznie się pogorszyła, na przezierniku pojawiły się pierwsze krople i po chwili z nieba lunęły potoki wody. Woda zaczęła również ściekać z okolicznych zboczy, zalewając drogę. Konwój zwolnił, zauważyłem, że lekkie terenówki Cautskiego tracą w kałużach kierunek i zaczynają się ślizgać. Nawet transportery towarowe na swoich wielkich kołach miały gdzieś kłopoty.

– Teraz jestem zadowolony z tego, w czym siedzę – odezwał się Rigajev.

Ja też byłem zadowolony, mokra autostrada w niczym czołgowi nie szkodziła.

Wody przybywało, przez mój przeziernik nic już nie było widać. Może mi się tylko wydawało, ale styl jazdy naszego czołgu się zmienił. Sądząc z parametrów silnika, jazda wymagała o wiele większej mocy, niż świadczyłyby o tym prędkość.

Rozkazu kapitana nie słyszałem, zapewne nie był przeznaczony dla mnie, ale naraz opuściliśmy drogę i zaczęliśmy mijać jeden transporter po drugim. Jechaliśmy teraz obok byłej autostrady, po nierównym terenie, i huštało nami na wszystkie strony. Miałem nadzieję, że Marlon jest tak dobrym kierowcą, jak opowiada, i wie,

co robi.

Fala wody przelała się przez kadłub, wjechaliśmy w rozległe zagłębienie, nie wiedziałem nawet, czy wieża działowa wystaje ponad powierzchnię. Miałem wrażenie, że powietrze gwałtownie zgęstniało. To nie było zagłębienie, ale rzeka. Walczyliśmy z jej nurtem przez całą wieczność, chociaż w rzeczywistości trwało to tylko dziesięć sekund.

Potem znów wjechaliśmy na twardy grunt i zatrzymaliśmy się. Czoło kolumny pozostało z tyłu, dwa transportery Cautskiego, jadące tuż za nami, ześlizgnęły się do głębszej wody, utknęły i blokowały drogę pozostałym wozom. Mieliśmy sporo szczęścia, że do obszernej wyrwy w autostradzie, przez którą przepływała teraz prawdziwa rzeka, nie wjechało więcej pojazdów.

– Ten deszcz to TCDD – oznajmił Rigajev.

– To co? – chciał wiedzieć Cyr.

– Dwa-trzy-siedem-osiem-tetrachlorodibenzodioxin – powiedział Rigajev, jakby miało to cokolwiek wyjaśnić.

Zauważyłem, że czasem udziela odpowiedzi, które świadczą o tym, że on wie, a oni nie wiedzą. Ten wzór chemiczny słyszałem jednak wiele razy i zapamiętałem. Mieliśmy z nim kłopoty także u nas.

– Dioxin. Stary, dobry dioxin, w ostatniej fazie wojny często używany herbicyd, który niszczy roślinność i powoduje, że ludzie umierają, a ich dzieci rodzą się kalekie.

– No tak, tego rodzaju paskudztwa jest mnóstwo, dioxin nie jest z nich najgorszy.

W głosie Cyra wyczułem, że mówiąc to, z rezygnacją wzruszył ramionami. Z chemicznymi truciznami miał oczywiście o wiele więcej do czynienia niż ja.

Siedzieliśmy każdy w swoim małym przedziale, połączeni niezwykle ciasnymi przełazami przeznaczonymi do wykorzystania w sytuacji awaryjnej. Żeby się dostać do pozostałych, musiałbym się precyzyjnie przemieszczać przez wąską przestrzeń obsługi obok silnika. Mimo to miałem uczucie, że jesteśmy razem, połączeni przez trującą burzę.

– Mam nadzieję, że nie otrzymam rozkazu wyjścia na zewnątrz – odezwał się Marlon.

Jako pierwszy taki rozkaz dostałbym ja. A razem ze mną i pozostali, o ile kapitan uznałby, że jedynym sposobem uchronienia wozów przed zatopieniem jest użycie wyciągarek, żeby wydostać pojazdy blokujące drogę. Zwłaszcza że deszcz przybierał na sile i wody wciąż przybywało.

Na szczęście kapitan nic takiego nie zarządził. Zamiast tego sprawdziliśmy okolicę autostrady i znaleźliśmy drogę, którą można było objechać zapadlinę. Po wielu wyjaśnieniach i uzgodnieniach na wytyczoną trasę ruszył pierwszy transporter. Znów zajęliśmy miejsce na końcu konwoju i obserwowaliśmy, jak radzi sobie z trudnym terenem. Teraz droga wznosiła się lekko i z każdym metrem wyżej szło nam lepiej, gdyż wody ubywało. W końcu cała kolumna dotarła na wierzchołek pagórka. Autostrada wprawdzie wciniała się w niego, ale z łagodnego zbrocza nad nami ściekało znacznie mniej wody. Zatrzymaliśmy się i przełączyliśmy światła drogowe na postojowe.

– Co będzie z tymi dwoma transporterami w zapadlinie? – zapytałem.

– Uwolnimy je, jak przestanie padać. Zresztą może wydostaną się o własnych siłach -odpowiedział zwięźle kapitan.

Na kolację musiały nam wystarczyć żelazne racje, przeznaczone właśnie na takie okoliczności.

Kapitan nie zarządził żadnych wart, polegaliśmy tylko na czujnikach elektronicznych.

Z początku nie mogłem zasnąć, sprawdzając bezustannie, czy klimatyzacja, systemy filtracyjny i oczyszczania powietrza pracują sprawnie oraz czy wewnątrz czołgu nie wzrasta koncentracja różnych rodzajów trucizn. W końcu sam siebie przekonałem, że jest to zbyteczne. Przecież system czujników podniósłby alarm. Problem mógłby polegać na tym, czy przy naszych ograniczonych zasobach tlenu zdążyłbym usunąć przyczynę awarii. I czy w ogóle byłoby to możliwe. Ale rozmyślanie o takiej sytuacji nie miało

sensu, dopóki się ona rzeczywiście nie wydarzyła.

Sam nie wiem, kiedy zasnąłem. Obudziłem się w fotelu ustawionym w pozycji do spania ze zdrętwiałą szyją. Sny miałem pełne wykresów matematycznych oraz uszkodzonych maszyn.

Rano powietrze i niebo były czyste; bez ulewy oraz potoków wody spływających ze zboczy i przy dobrej widoczności trudno było zrozumieć, że łagodnie pofałdowany i spokojnie wyglądający teren przysporzył nam takich kłopotów. Jednak ziemia nadal była nasycona niebezpiecznymi substancjami, koncentracja trujących związków wciąż wysoka, i to na radiacyjnym tle, co było dużo gorsze podczas padającego deszczu.

Długie siedzenie w czołgu pomogło mi w końcu rozgryźć system komunikacyjny i po raz pierwszy udało mi się włączyć w obwód ogólny, na którym rozmawiały wszystkie wozy konwoju. Słyszałem, jak jeden po drugim zgłaszają gotowość do dalszej drogi. Dwa transportery, które wczoraj utknęły, wydostały się z rozpadliny o własnych siłach, bez większych problemów, i dołączyły do nas.

Przyspieszyliśmy, Marlon wyciskał z silnika sto kilowatów ponad reżim oszczędzający paliwo i wkrótce przesunęliśmy się na czoło konwoju.

– Powietrze czyste, opuściliśmy skażony teren – ogłosił Rigajev po godzinie jazdy.

– A pancierz? – upewniał się Marlon.

Na monitorach widziałem, jak w pozostałych wozach otwierają się pokrywy włazów i ich załogi cieszą się świeżym powietrzem.

– Kiedy mówię, że powietrze czyste, to znaczy, że wszystko jest czyste – odparł Rigajev nieco skwaszony.

Otworzyłem swoją pokrywę włazu, pomiędzy mną a resztą załogi znajdował się silnik, dwa wewnętrzne zbiorniki, a na kadłubie zbiornik dodatkowy, połączony z tymi wewnątrz. Usadawiłem się tak, żeby przypadkowe odwrócenie wieży nie pozbawiło mnie nóg, a długa lufa – głowy. Moją uwagę przykuł metaliczny błysk daleko za nami. Popatrzyłem przez lornetkę, jak zwykle zaskoczony jej

doskonałą stabilizacją obrazu mimo poruszania się czołgu.

– Na godzinie dziesiątej – ogłosiłem przez interkom.

Wiedziałem, że Rigajev weźmie się zaraz do pracy, używając wszystkich dostępnych środków celem zidentyfikowania tego obiektu.

– To nie jest ten bot, którego spotkaliśmy dwa dni temu – stwierdził po chwili.

Miał rację, wystarczyło jedno spojrzenie. Był podobny do tych, które spotykałem przedtem. Przeszarzały, poruszający się w sposób nieciągly, jakby cierpiał na niedostatek energii. Wydawało mi się, że porasta go trawa, ale były to liście i gałązki, które utknęły w jego szkielecie. Miał rozmiary cielęcia, ale nie był w stanie dotrzymać nam kroku. Naraz w polu widzenia lornetki znalazła się wieża działowa jednego z opancerzonych wozów Cautskiego. Obracała się. Dwa strzały z czterdziestomilimetrowego działka rozniosły bota na strzępy.

– Niepotrzebnie – odezwał się Cyr z pogardą w głosie.

Zapewne, ale strzał był dokładny i szybko oddany. Gdyby użyli mniejszego kalibru, mógłbym obejrzeć unieszkodliwionego bota, a tak nic z niego praktycznie nie zostało.

Krótko przed południem musieliśmy się zatrzymać przed ogromnym zwaliskiem częściowo zwiertzałego żelazobetonu.

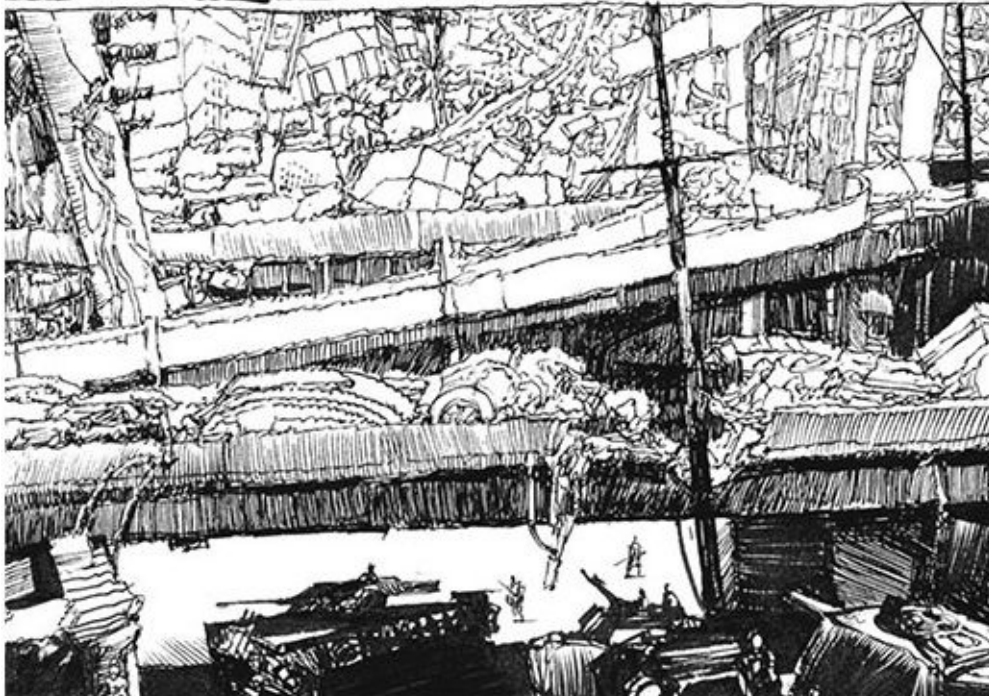
– Kiedyś było tutaj wielopoziomowe skrzyżowanie kilku autostrad – oznajmił Marlon.

Nasza mapa pokazywała w tym miejscu tylko jedną autostradę, po której się poruszaliśmy.

Spoglądałem na zwały popękanego betonu, zniszczone filary i pogieęte zbrojenia. Wiedziałem, że ludzie w czasie wojny dysponowali potężnymi źródłami energii, ale ogrom ruin mnie zafascynował. Ich objechanie okrężną drogą zajęło nam prawie dwie godziny.

Wiedziałem, że ustalonym, oszczędnym tempem dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę, przerywanym jedynie postojami technicznymi, pojedziemy aż do wieczora, ale po godzinie nadszedł

rozkaz pana Camuviego wstrzymujący kawalkadę. Wkrótce podjechał do nas jego wóz dowodzenia, Cautski i transportery dwóch handlowców.



Nie otrzymałem żadnego rozkazu, zeskoczyłem ze swojego miejsca na kadłubie i użyłem nieoczekiwanej przerwy, żeby się mocno przeciągnąć. Wielu innych zrobiło tak samo. Knispel również wyszedł na zewnątrz i ruszył w kierunku wozu pana Camuwielego, który spotkał go w połowie drogi. W chwilę później przyłączyli się do nich Cautski, Deheb i Wruise oraz pozostali oficerowie. Rigajev i Cyr obserwowali okolicę, siedząc na wieży, Katzinski pozostał we wnętrzu czołgu. Marlona nigdzie nie widziałem, ale czułem dym jego papierosa. Knispel gestem przywołał do siebie Rigajeva.

Wyglądało to na dłuższą rozmowę. Zdecydowałem się na kawę. Gdyby nadszedł nagły rozkaz wyjazdu, musiałbym wszystko, niestety, wyrzucić. Wyjąłem ze skrytki potrzebne naczynia i po chwili woda na kawę już bulgotała. Skrajem drogi na czoło konwoju dotarł pojazd Nataszy. Podobnie jak transporter ojca był wyposażony w wieżę działową. Może chciała przyłączyć się do rozmowy.

Pomachałem Nataszy na dzień dobry, chociaż nie wiedziałem, czy mnie zauważyła. Wysiadła i ruszyła w moim kierunku, kiedy właśnie nalewałem gorącą kawę. Osadę transportera zatrzymała na miejscu gestem.

– Wspaniale jest pobyć na zewnątrz – powiedziała na powitanie.

Miała cienie pod oczami i wyglądała na niewyspaną. Mimo to miała na sobie świeżą koszulę, wysokie buty zasznurowane i starannie zawiązane. Spozrzegła, że się jej przyglądam.

– Coś ci się we mnie nie podoba? – zapytała z lekkim uśmiechem.

– Nie, właśnie odwrotnie. – Pokręciłem głową. – Masz rację, dobrze jest pobyć na powietrzu.

Podąłem jej kubek.

– Dzięki – powiedziała z wdzięcznością. – Wewnątrz kawa mi nigdy nie smakuje.

Patrzyłem, jak ostrożnie upija mały łyżeczek, znakomicie prezentujący się pierścionek na jej palcu mocno kontrastował z poobijanym aluminiowym kubkiem. Wypiła jedną trzecią

zawartości, a potem otarła chusteczką usta i krawędź kubka i zwróciła mi go.

– Przepraszam, niewiele brakowało, a wypiłabym ci wszystko. Dobra kawa.

Teraz ja się napiłem, kawa była gorąca, tak jak lubiłem. Dowódcy nadal debatowali, wyglądało na to, że konsultują się z innymi. Knispel przywołał do siebie Marlona.

Natasza przyglądała im się tak samo jak ja. Gdyby zechciała, mogła tam z nimi być. Może ta rozmowa niezbyt ją interesowała, w co powątpiewałem. Może wolała moje towarzystwo, a może jej wizytę zawdzięczałem kawie.

– Wyglądasz całkiem dobrze, wypoczęty, jakby ta toksyczna burza w niczym ci nie przeszkodziła -zauważyła.

– Znajdowałem się w najlepiej chronionym wozie, jaki znam – odparłem. – Chociaż z początku nie było to nic przyjemnego, musiałem się przyzwyczać.

– Na śmierć czekają tuż za cienką ścianką? – rzuciła.

Za cienką ścianką? W najslabszym miejscu pancierz naszego czołgu miał odporność RHA sześciuset pięćdziesięciu milimetrów.

Tylko przytaknąłem, dołałem do kubka i podałem jej. Przebyte niebezpieczeństwo zbliżyło wszystkich, widać to było ze sposobu, w jaki ludzie rozmawiali, z ich gestów, a czasem wybuchów śmiechu.

Nadjechał kolejny transporter, tym razem w barwach Deheba, wysiadły z niego Valerie z Elizabeth i ruszyły w naszą stronę. Ukradkowych zawistnych spojrzeń rzuconych w moim kierunku przybyło.

– Zaraz wracam – powiedziałem do Nataszy, wskazując na kadłub. Musiałem pożyczyć naczynia od Cyra i Katzinskiego, zapasowych nikt z nas nie miał.

Wróciłem w chwili, kiedy obie do nas dotarły. Niosłem kubki oraz śrutówkę, którą zabrałem z czołgu. Oparłem ją ostrożnie o jedno z kół jezdnych.

– Tę broń wzięłeś na nas?-spytała uszczypliwie Elizabeth.

– Tak, z twojego powodu. Jestem zawsze przygotowany na wszystko. Dostałem rozkaz nie pojawiać się bez niej na zewnątrz – wyjaśniłem, zanim zdążyła dalej pokpiwać.

Miała cięty języczek i bawiło ją to.

Niepostrzeżenie sprawdziłem, czy nie odpadł mikrofon, który miałem przyklejony na karku. Stale musieliśmy być przyłączeni do sieci. Z miniaturowym głośniczkiem nie było kłopotu, zresztą i tak niezbyt oddawał okoliczne dźwięki.

– No to dostajesz niezwykle ważne rozkazy. A swoje własne pomysły jakież masz? – rzuciła z pytającym wyrazem twarzy.

– Nie zwracaj na nią uwagi, jest trochę rozzłoszczona – oznajmiła Valerie. – Tuż przed początkiem burzy zaprosiła Herberta na drinka, ale on wolał kierować bojowym transporterem.

– I teraz wlecze się gdzieś na końcu, w jednym z tych wozów, które wczoraj prawie się utopiły – stwierdziła Elizabeth z satysfakcją.

Wyglądało na to, że ma, albo raczej miała pewną słabość do Herberta, ale teraz już się to skończyło.

– Co miałeś na myśli, mówiąc: zawsze i na wszystko gotowy? – Wbiła we mnie spojrzenie.

Nalałem kawy do pożyczonych kubków i podałem je dziewczynom.

– A czy widzisz, żeby gdzieś indziej ktoś podawał poczęstunek?

Natasza i Valerie zaśmiały się.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, obserwując grupkę naszych dowódców.

Rigajev oderwał się od nich, przeszedł obok nas i zniknął w czołgu. Miałem nadzieję, że się od niego później czegoś dowiem.

– Dlaczego nie jedziemy dalej? – zapytała Elizabeth. – Teren wydaje się w porządku, pogoda też.

– Nie wiem – przyznałem. – Nie mam żadnych informacji.

Natasza popatrzyła na mnie i oddała mi kubek. Już nie zawracała sobie głowy wycieraniem krawędzi. Valerie zauważyła, że pijemy z jednego, ale nic nie mówiła. Elizabeth nadal obserwowała dyskutujących dowódców.

– Kontakt na trzeciej, za tym betonowym blokiem ze sterującym zbrojeniem – zameldował Cyr na wewnętrznym obwodzie. Zastępował teraz Rigajeva.

Wcisnąłem kubek z kawą w dłoń Nataszy tak szybko, że aż się zdziwiła, podniosłem śrutówkę i przeszedłem przed kobiety tak, aby stanąć pomiędzy nimi a pozycją oznaczoną jako godzina trzecia. Niczego nie widziałem, lecz mimo to odbezpieczyłem broń.

Ostrzeżenie dotarło też do innych, sporo ludzi zniknęło w swoich wozach, niektóre wieżyczki obracały się w podanym kierunku, inne dla pewności kierowały lufy w przeciwną stronę.

– Mam go na wizualnej – odezwał się Cyr i zaśmiał się.

Jego śmiech słyszałem po raz pierwszy, brzmiał jak sapanie niedźwiedzia.

Z czego się śmiał, zrozumieliśmy po chwili, kiedy zza głazu wynurzył się mały jelonek z porożem, które było dla jego głowy chyba zbyt ciężkie i niewygodnie splecione ze sobą, tworząc coś na kształt korony.

– Cyr, zastrzel go, chciałbym go obejrzeć – odezwał się Rigajev. – Tylko zrób to tak, żeby mu zostało co nieco z wnętrzości.

Obrotowy karabin maszynowy na wieży odwrócił się bezszelestnie, rozległ się pojedynczy strzał i jelonek upadł na ziemię.

– Dlaczego go zabił? – zachmurzyła się Valerie.

– Chce mu zrobić sekcję – wyjaśniłem jej.

To wydarzenie zakończyło konwersację, dziewczyny z podziękowaniem pożegnały się ze mną i poszły do transportera Nataszy.

– Były u ciebie wszystkie trzy? – Zza czołgu wynurzył się Marlon z niedopałkiem papierosa w ręce. – I Valerie też? – Popatrzył za odchodzącymi kobietami. – Rzeczywiście kociak. – Gwizdnął z podziwem. – Już się z nią próbowali umówić na randkę wszyscy oficerowie, ale żadnemu się nie udało.

– Słyszałeś nas, trzeba było przyjść. – Wzruszyłem ramionami. – Mógłbyś i ty spróbować.

– Myślałem o tym – zachmurzył się Marlon. Wyciągnął z kieszeni mały nożyk, zaczął grzebać w niedopałku, wydłubując z niego resztki niespalonego tytoniu. Niektórym ludziom nie wystarcza mnóstwo trucizn wszędzie wokół nas i potrzebują jeszcze swoich własnych.

– Katzinski, mógłbyś oprawić tego jelenia? Muszę sobie przygotować narzędzia. Cyr obserwuje.

A czas może się skończyć – poprosił Rigajev.

– Ja to zrobię – zaoferowałem się. Mogłem się podczas tego dowiedzieć, o co chodzi dowódcem, a to było dla mnie istotne.

Dopiłem kawę, umyłem naczynia i poszedłem do jelenia.

Z bliska zauważyłem, jak bardzo wygiętą ma szyję, dźwigającą ciężkie, nieforemne poroże. Nałożyłem gumowe rękawiczki i zabrałem się do pracy. Głowy praktycznie nie musiałem oddzielać od tułowia, strzał prawie ją oderwał. Ostrożnie otworzyłem jelenia, wyjąłem wnętrzności i ułożyłem je na betonie. Nie pojawiła się ani jedna mucha, co oznaczało, że znajdujemy się w głębi pustej, niegościnniej krainy, a zwierzę musiało zabłądzić daleko od miejsca, w którym żyło.

Poza rogami wszystko wyglądało normalnie, ale u nas na pewno mięso zostałoby wyrzucone. Wszyscy się bali, bo wystarczyłaby jedna tylko odchyłka od normy. To zupełnie zrozumiała reakcja.

Rigajev przyszedł w chwili, gdy czyściłem nóż.

– Dziękuję, dokładnie tego potrzebowałem.

Zaczął pobierać próbki tkanek, kości i krwi i umieszczał je w urządzeniu przypominającym kamerę spektralną.

– Przenośny analizator – wyjaśnił bez pytania – i próbnik DNA. Żadnych deformacji nie widzę ani we wnętrznościach, ani w mięśniach czy kościach, jeśli nie liczyć poroża – komentował na głos.

Czyżby jelonek nadawał się do jedzenia? – pomyślałem. Mięso zwierzęce było luksusowym przysmakiem.

– Mnóstwo strontu w kościach, aż dwudziestokrotnie przekroczona norma, wątroba jest tak przesycona truciznami, że

nawet jej dotknięcie jest niebezpieczne. – Rigajev kręcił głową nad tymi wynikami. – Ale funkcje życiowe wydają się prawidłowe. To mutant, tylko innego typu niż te, które do tej pory spotkałem. Pozostał zdrowy, żyjąc w toksycznej okolicy, skąd bez wątplenia pochodzi.

W tym czasie rozmowa dowódców została zakończona, Knispel pozostał przy czołgu i przyglądał się naszej pracy. Wystarczyło to nam za sygnał do zakończenia sekcji i powrotu do czołgu.

– Czy myślisz, że to nowy gatunek jelenia, przystosowany do warunków życia powojennego?

W tym świecie? – zapytałem, podczas gdy Rigajev zbierał swoje narzędzia i przybory.

– Nie wiem, może tak właśnie jest – odparł z wahaniem. – Ciekawe, czy był zdolny się rozmnażać albo czy nie padłby w najbliższym tygodniu na jakąś chorobę, albo czy to jego ogromne poroże nie złamałoby mu w końcu karku. Ale to po prostu mutant.

Podeszliśmy do czołgu. Knispel oczekiwał nas, rozmawiając z Marlonem. Katzinski i Cyr przysłuchiwali się, siedząc na kadłubie.

– Nie będziemy jechać dalej szlakiem handlowym, ale zboczymy na północ starą G dwanaście, a później przez Rumski Przesmyk powrócimy na szlak.

– To będzie objazd długi na minimum dwieście kilometrów – nadmienił Marlon. – A jak to wygląda w Rumskim Przesmyku, nie wiadomo. Ostatni tamtędy przejechał Humbert, trzydzieści lat temu.

Musiałem przyznać, że Marlon jest nie tylko dobrym kierowcą. Umiał czytać mapy, miał dużą wiedzę, której inni nie posiadali. Kapitan nie skomentował jego uwag.

– Czy mamy dość paliwa? – zapytał mnie krótko.

Miał do dyspozycji takie same dane jak ja.

– Na dodatkowe dwieście kilometrów? – upewniłem się.

– Dwieście pięćdziesiąt.

Naszym celem było Ambrezavile, centrum obszaru, który w ciągu ostatnich piętnastu lat zamienił się w państwo pod

władaniem jednego panującego. Początkowa trasa była zaplanowana na tysiąc dwieście pięćdziesiąt kilometrów, czyli na dwa, trzy tygodnie jazdy. Dodatkowe dwieście pięćdziesiąt kilometrów oznaczało poważne przedłużenie podróży.

Spojrzałem na zbiorniki dodatkowe. Nie były uszkodzone; ile paliwa nam zostało, wiedziałem z dokładnością do pięciu litrów, bo tyle wynosiła minimalna działka skali naszego paliwomierza.

– Tak jest – potwierdziłem. – Przy średnim zużyciu paliwa, takim jak dotąd. Ale już bez rezerwy -podkreśliłem.

Knispel, tak samo jak ja, wiedział, że zużycie paliwa może wzrosnąć w dwój – lub trójnasób, w zależności od ukształtowania terenu i szybkości jazdy. Nie mówiąc już o sytuacji bojowej.

– Zróbcie kontrolę amunicji, paliwa i techniki, za pół godziny oczekuję meldunku – rozkazał kapitan i wskoczył na czołg. Nie wszedł do wnętrza, usiadł na wieży i zamyślony spoglądał na północ, dokąd mieliśmy wyruszyć.

Pagórki zamieniały się tam we wzgórza, a jeszcze dalej znajdowały się góry, co nie było dogodnym terenem dla naszego czołgu.

– Dlaczego Camuveli chce zjechać ze szlaku handlowego? To marnowanie paliwa i ryzyko nieprzewidzianych kłopotów – mruczał Marlon, kontrolując elementy optyki kierowania czołgiem.

– Z powodu radioaktywności, droga nadal jest po tym deszczu skażona – wyjaśnił Rigajev.

Chociaż tyle nam powiedział na temat narady dowódców.

– Przecież promieniowanie było tak słabe, że można by chodzić na piechotę. Wszystkiego kilka rentgenów[1].

– Camuveli płaci, my słuchamy rozkazów – zakończył rozmowę Rigajev.

Widać było, że nie jest zadowolony z rozwoju sytuacji i nad czymś rozmyśla.

Do wieczora przejechaliśmy obok gruzowiska i posuwaliśmy się starą G12 na północ. Aż do pierwszego zakrętu ciągnął się gładki

beton, przerywany jedynie sporadycznymi pęknięciami. Ten widok większość z nas uspokoił. Z rozmów w sieci dowiedziałem się, że ludzie uważali nową trasę za dużo lepszą. Nie myślałem tak, bo od kiedy w górach są lepsze trasy niż na nizinach? Podejrzywałem, że za zakrętem prawie nieuszkodzona nawierzchnia starej autostrady się skończy.

Następnego dnia moje obawy się potwierdziły, po pięciu pierwszych kilometrach gładka powierzchnia stała się popękana i pełna spiętrzonych betonowych płyt. Wyglądało to tak, jakby wraz z upływem czasu okoliczne pagórki zaczęły się poruszać, naciskając na beton jak jakieś gigantyczne buldożery. Camuveli wypuścił w powietrze drony, żeby pomogły nam wyszukać dobrą drogę. Teraz na czele jechały lżejsze wozy, znacznie zwrotniejsze, konwój ruszał, kiedy wiadomo było, że nie utknie po kilku dalszych kilometrach.

Kiedy po raz trzeci wjechaliśmy w ślepią uliczkę, Marlon zdecydował się poszukać własnej trasy. Po krótkich uzgodnieniach z panem Camuvelim otrzymaliśmy kody umożliwiające podgląd z dronów. Był on jednak chaotyczny i nieprzejrzysty, przestałem się dziwić, że często musieliśmy zawracać. Marlon przesłał obrazy na monitory kokpitu dowódcy i ruszyliśmy. Podziwiałem, jak błyskawicznie i dokładnie Marlon analizował obrazy z powietrza. Nasza prędkość wzrosła, a zużycie paliwa spadło. Szybko dostrzegli to kierowcy ciężkich pięcioosiowych transporterów i pojechali za nami. Tylko Cautski twardo trzymał się własnej trasy.

Przedzieraliśmy się przez labirynt betonowych ruin, ciężki teren poprzerywał ciągłość konwoju, kiedy każdy wóz inaczej radził sobie z pułapkami drogi. Moim zdaniem tutaj obrona stałaby się wielce problematyczna, chociaż nie byłem zawodowym żołnierzem.

– Bardzo bym chciał wiedzieć, dlaczego tędy jedziemy. To zbędne ryzyko i niepotrzebne marnotrawienie paliwa – krzyknąłem ze złością do interkomu, kiedy zobaczyłem na wyświetlaczu, ile paliwa kosztowało nas ostatnie dziesięć kilometrów. Nadal mieliśmy moją tajną rezerwę, ale cały czas się zmniejszała. Nadeszła pora na

opróżnienie jednego ze zbiorników dodatkowych.

– Z powodu ładunku – odpowiedział mi Rigajev. – Przecież to jasne. Musi mu szkodzić nawet słaba radiacja.

Rozmyślałem nad tym, przepompowując paliwo. Co my właściwie wieziemy? Najpierw prześladowała nas z tego powodu jednostka dowodzona przez zverelovskiego oficera, teraz musimy zjeżdżać na niezbadaną ziemię niczyją, na której od ponad ćwierćwiecza nikt nie był.

– Co by to mogło być?

Uświadomiłem sobie, że powiedziałem to na głos.

– Biotechnologia, transplanty, za to płaci się teraz wielkie pieniądze – oznajmił Marlon.

To było bardzo możliwe, mawiano ostatnio, że szefowie najbardziej wpływowych i najbogatszych klanów handlowych żyją podejrzanie długo. Podobno Herman Gutteren, boss Imperium Guttereńskiego, ma dziewięćdziesiąt siedem lat, a wygląda na sześćdziesiąt i jest nadzwyczaj aktywny, jakby wcale nie zamierzał umierać. Oczywiście mógł mieć sobowtóra.

Albo władający Ambrezavile Francis Rabierre, który brał udział w wojnie Hanturiego jako jeden z głównych dowódców. Zwycięstwo wyniosło go na sam szczyt, został kanclerzem jednego z bogatych państw.

– Albo na czyjeś zamówienie wieziemy sklonowane puste ciała – Marlon poszedł jeszcze dalej w swoich przypuszczeniach. Odcinek drogi przed nami był prosty, nie wymagał od niego większej uwagi.

W klony nie wierzyłem. Wprawdzie według starych zapisów kiedyś istniała technologia umożliwiająca przenoszenie ludzkiego ja, ale zeszliliśmy po drabince degradacji tak głęboko, że nie mogło być mowy o jej przywróceniu.

– Kontakt na dziewiątej – oznajmił Rigajev. – Dotrzymuje nam kroku.

– Nic dziwnego, wlecemy się jak żółwie – wycedził Marlon.

Katzinski bez rozkazu odwrócił lufy szybkostrzelnego działka i wkm-u kaliber czternaście i pół milimetra w meldowanym

kierunku. Karabin maszynowy obsługiwał Cyr. Oczywiście nie celował ręcznie, kierował jednostką sterowania ogniem, posługującą się głównym komputerem i danymi z czujników Rigajeva. Dla mnie przewidziana była obsługa miotacza min. Magazynek miał tylko sześć naboju, pozostałe musiałem ładować ręcznie. Obsługiwałem również uchylne zamknięcie strzelnicy dla prowadzenia ognia z broni ręcznej, gdyby doszło do konieczności bezpośredniej obrony. Wyrzutnią rakiet na wieży zajmował się kapitan.

Na wyświetlaczu pojawiło się wiele poruszających się obiektów. Trzy, pięć, osiem, piętnaście, dwadzieścia jeden.

– Druga grupa na czwartej.

Obraz rozdzielił się na dwa. Lokalny system wykrył kolejnych piętnaście ruchomych... celów. Myślałem o nich jak o celach, bo obiekty były za małe, jak na wozy terenowe, nie mówiąc o transporterach zdolnych do poruszania się po skażonym terenie. Musiały to być mechanoidy albo boty.

Odbezpieczyłem miotacz min.

– Otworzyć ogień na mój wyraźny rozkaz – wstrzymał nas kapitan.

Słyszałem, jak na dwóch obwodach komunikują się ze sobą dowódcy i kierowcy. Jeszcze podczas jazdy starali się ścieśnić konwój, zmniejszyć odstęp między pojazdami. Zatrzymać się nie mogliśmy, ponieważ tworzylibyśmy nieruchome, łatwe do zaatakowania grupy.

Marlon dodał gazu, obroty silnika zwiększyły się co najmniej o dwieście, tuż przed granicę żółtego pola na wskaźniku, silnik starał się skompensować ubytek energii pobieranej z akumulatora. W trybie bojowym akumulator powinien być doładowany do maksymalnej pojemności w jak najkrótszym czasie bez względu na zużycie paliwa. Nie wiedziałem, czy więcej uwagi powinienem poświęcać systemowi lokacyjnemu, czy diagnostyce.

Wspięliśmy się na zbocze, które przez moment wydawało mi się nieprzejezdne, później aż wstrzymałem oddech, kiedy stutonowy

kolos minął wierzchołek wzgórza i kilka metrów przeleciał w powietrzu. Lądowanie było łagodniejsze, niż oczekiwałem.

Na ekranie zobaczyłem, że grupy botów wyrównywały prędkość, przybliżały się i starały wziąć w kleszcze dwa transportery z ładunkiem oraz trzy pojazdy osobowe, którym towarzyszyły tylko dwa opancerzone wozy Cautskiego. Jeden z nich był raczej terenówką przystosowaną do jazdy po pustyni.

Marlon jeszcze dodał gazu, przejechaliśmy przez betonową przeszkodę i zbliżaliśmy się do zgrupowania botów po prawej stronie.

Silnik zawył pełną mocą, wystrzeliliśmy do przodu, już je miałem na wizji, formację atakującą zamykał ciemny czteronogi bot wielkości osła, z głową osadzoną na szyi o dwóch stawach. Był najbliżej nas. Rzuciliśmy się za nim z prędkością dwukrotnie większą niż jego własna.

– Nie strzelać – przypomniał kapitan.

Zauważono nas dopiero w bezpośredniej bliskości, ostatni bot spróbował zmienić kierunek ruchu, ale czołg zmiotł go z powierzchni ziemi, zderzenia prawie nie odczułem, kolejne trzy zmiażdżyliśmy gąsienicami, a pozostałe rozpięchły się, rozbijając formację.

– Panie Cyr, ogień dowolny – zabrzmiał rozkaz.

W głośniku usłyszałem niezadowolone sapnięcie Katzińskiego, działko powinno milczeć.

Pierwsze strzały oddano z dwóch wozów Cautskiego do drugiej grupy atakujących. Cyr likwidował uciekające boty.

Marlon przyhamował, brawurowo przejechał między dwiema rozpadlinami i zajął pozycję pomiędzy atakującymi a naszymi wozami, które mieliśmy chronić.

Maszyny poruszały się teraz skokami, kłusem, cwałem i innymi sposobami, równoległe z konwojem, rozwijając prędkość około czterdziestu kilometrów na godzinę. Czasem wyskakiwały z szyku i starały się swymi szczękami uchwycić metalową powierzchnię wozu. Z transporterów bojowych ześlizgiwały się na ziemię, starając

się nie dostać pod masywne koła. Nagle jeden z nich zaczepił się boku wozu ciężarowego, z metalicznie błyszczących szczęk wytrysnął snop iskier i bot zaczął się przegryzać do wnętrza pojazdu. Stał poddawała się powoli, niechętnie, kości człowieka zniknęłyby w sekundę. Po chwili podobną akcją podjęły kolejne boty.

Ludzie Cautskiego strzelali tylko wtedy, kiedy któryś z botów znajdował się nieco dalej od naszych wozów, bali się, żeby nie trafić swoich maszyn.

Boty jakby zwietryły swoją szansę i skupiły się na pojeździe, na którym wisiał już jeden z nich. Zupełnie tak, jakby to zrobiły mrówki.

Kolejny mechaniczny stwór przyczepił się obok pierwszego, a w chwilę później trzeci wdrapał się na dach. Długo tam nie przebywał. Cyr dokładną serią zmienił go w złom. Gdyby nie trafił, z załogi wozu zostałyby krwawa siekanina. Ale nawet Cyr nie odważył się zestrzelić trzech botów wiszących na bocznych ściankach i usiłujących dostać się do środka.

– Zatrzymajcie się, natychmiast stańcie. – Kapitan próbował skomunikować się z kierowcą wozu osobowego. – Pomożemy wam!

Albo kierowca go nie słyszał, albo mu nie wierzył, ponieważ jechał dalej. Kilkaset metrów stosunkowo równej powierzchni było za nami, wóz przed nami zataczał się na boki, ale boty wisiały na nim niewzruszenie, starając się przegryźć do wewnątrz.

Stał stopniowo się poddawała, lewa burta wozu terenowego zaczynała się wykrzywiać.

– Do dupy – usłyszałem głos Cyra.

– Cyr, Katzinski, Sanders, otwórzcie ogień z broni ręcznej. Balducci, niech pan jedzie równolegle do nich, żeby zapewnić najlepszą pozycję strzelecką i zminimalizować ryzyko trafienia załogi -rozkazał kapitan.

Ten rozkaz dotyczył również mnie i natychmiast zrozumiałem, jaki jest sprytny. Pociski z broni ręcznej miały o wiele mniejszą siłę przebicia niż wystrzeliwane ze zdwojonych karabinów

maszynowych kaliber siedem sześćdziesiąt dwa, najłżejszej broni, jaką czołg dysponował.

Zacząłem się ostrożnie wspinać po stopniach, podczas szybkiej jazdy w nierównym terenie nie było to łatwe, zarobiłem kilka niemiłych guzów na głowie.

Pokrywa wjazdu otworzyła się, zabezpieczenie utrzymujące ją we właściwej pozycji zaskoczyło, mogłem wyjść dalej bez ryzyka, że na mnie spadnie. Na zewnątrz znalazłem się pierwszy, Cyr dopiero otwierał pokrywę. Jechaliśmy teraz równolegle z atakowanym wozem. Przeszedłem na burtę kadłuba, obok wieży, i przypiąłem karabińczyk pasa do uchwyty. Mocno ująłem rękojeść pistoletu, nie chcąc go upuścić, drugą ręką złapałem za inną poręcz. Po chwili miałem oczy pełne kurzu. Okulary! Zapomniałem je nałożyć, idiota jeden. Najbliższy bot starał się przegryźć karoserię, która odgradzała go od zdobyczy, cokolwiek by to było. Z wnętrza wozu dobiegał odgłos wystrzałów. Żeby tylko nie powystrzelali się w zamieszaniu.

Marlon lekko przyhamował, ustawiając się za wozem w taki sposób, aby nasze pociski przebiegały obok burty atakowanego pojazdu.

Wycelowałem, a raczej usiłowałem wycelować z oczami zaprószonymi kurzem. W hałasie gąsienic i wyciu mechanicznych szczęk usłyszałem odgłos moich pocisków uderzających w powłokę najbliższego bota, widziałem iskry towarzyszące trafieniom. Burta wozu zaczęła się wyginać, za chwilę podda się i bot dostanie się do wnętrza.

Rozległ się suchy trzask, wystrzelałem magazynek. Wiedziałem, że mój ogień był celny, ale żadnego bota nie strąciłem.

– Teraz ja – usłyszałem Cyra. Trzymał w ręce karabin szturmowy z dużym okrągłym magazynkiem.

Marlon delikatnie poprawił naszą pozycję, żeby zapewnić Cyrowi idealny kąt ostrzału.

Zagrzmiała długa seria, powłoka jednego z botów rozpadła się na dwie części, obie nadal trzymały się karoserii. Kilka dalszych strzałów i połówka z paszczą odpadła.

– A teraz ja – oznajmił Katziński.

Marlon znów zmienił pozycję, jeszcze bardziej zbliżając się do atakowanego wozu.

Katziński miał podobną broń jak Cyr, ale strzelał krótkimi seriami. Miałem już pistolet naładowany, ale mój dalszy udział w akcji był niepotrzebny. Katziński zestrzelił pozostałe dwa boty. W najlepszym momencie – słyszałem, jak rozerwana burta wibruje i brzęczy.

Ludzie Cautskiego w tym czasie rozpędzili drugą grupę napastników. Odetchnąłem z ulgą, daliśmy radę. Nagle pojawił się odcinek trudnego do przejechania terenu, który rozciągnął nas w długą linię i zmusił Cautskiego do przerwania ognia. Dla botów jednak teren nie był tak trudny, natychmiast to wykorzystały, wznawiając atak na uszkodzony transporter.

Zniszczone drzwi i część ścianki odpadły, otwierając botom drogę do załogi. Nie miałem dobrej pozycji strzeleckiej, jednak otworzyłem ogień, szczęśliwym zbiegiem okoliczności trafiłem najszybszego napastnika, który fiknął kilka koziołków, ale zaraz zerwał się na nogi i popędził za innymi.

Magazynek znowu był pusty. Cholera.

Cyr i Katziński mieli jeszcze amunicję w swoich dużych magazynkach, ja, niestety, nie miałem już żadnego.

Widziałem, że załoga usiłuje powstrzymać atak, jednak z mizernym skutkiem. Boty pędzące z szybkością ponad pięćdziesięciu kilometrów na godzinę były nie do zatrzymania za pomocą ręcznej broni.

– Trzymać się. Porządnie. – Głos Marlona zabrzmiał w interkomie sucho.

Posłuchałem natychmiast. I dobrze zrobiłem, bo rzuciło mnie na pancierz, a przed upadkiem uratował mnie tylko karabińczyk zapięty na uchwycie. Czołg skoczył naprzód z nienaturalnym przyspieszeniem. Marlon wycisnął z silnika pełne trzy tysiące kilowatów.

Najszybszy i największy bot zdążył odbić się do długiego skoku,

wycie wirujących tarcz zębatych zagłuszyło wszystkie inne dźwięki. Zagrzechotał karabin maszynowy, celna seria strąciła bota na ziemię, inne zostały rozjechane gąsienicami czołgu. Podczas hamowania zaparło mi dech, tak silnie uderzyłem w pokrywę wjazdu.

– Stańcie! – krzyczał Knispel do kierowcy uszkodzonego transportera.

Tamten w końcu posłuchał.

– Zabezpieczyć okolice – padł rozkaz.

Marlon stanął tak, że czołg krył dziurawy bok pojazdu, Katzinski obrócił lufę w stronę możliwego ataku.

Tylko szalenciec spróbowałby nas teraz zaatakować. Albo bot pozbawiony instynktu samozachowawczego.

Pomyślałem, że mógłbym uzbroić się w śrutówkę, wydobywając ją ze schowka na broń. Adrenalina przestała mi już pomagać w ignorowaniu piasku w oczach, po omacku wpełzłem do wnętrza czołgu, wypłukałem oczy wodą pitną, która miała mi wystarczyć do końca dnia, i z bronią w ręce wylazłem znów na górę. W ferworze walki stłukłem sobie boleśnie bark i kolano.

– Boty zlikwidowane z wyjątkiem kilku, które uciekły – oświadczył z zadowoleniem Cautski na ogólnym obwodzie.

Z uszkodzonego wozu wysiadła załoga, czworo ludzi, wyglądających na członków personelu pana Camuvielego. Jednym z nich był mój znajomy kelner. Trzymał w ręce automat bez magazynka, a błady był jak nieboszczyk.

Po chwili zauważył mnie i poznał.

– Widziałem was, robiliście prawdziwe cuda, żeby nam pomóc. Myślałem, że już po nas. Dziękuję – powiedział cicho.

– Nie mnie trzeba dziękować – odparłem. – Uratował was kapitan i Marlon.

Machnął ręką, jakby mu było wszystko jedno, i chwiejnie odszedł nieco dalej. Wyglądało na to, że chce wymiotować, ale dał radę się powstrzymać.

Zauważyłem, że prawe przedramię ma zakrwawione, jakiś bot

dobrał mu się do skóry w dosłownym znaczeniu.

Reszta załogi wyglądała lepiej, jeden z nich poszedł obejrzeć zniszczonego bota leżącego opodal. Podszedł zbyt blisko, nie zachowując przy tym czujności.

– Uważaj – ryknąłem i pobiegłem ku niemu w momencie, kiedy kopnął bota.

Dotyk jego nogi wywołał pseudoinstynktowną reakcję, korpus bota podskoczył i mimo że zostały mu tylko dwie łapy, ruszył w kierunku człowieka. Naostrzone łańcuchy w paszczy zawirowały, nabierając obrotów godnych najlepszej piły mechanicznej.

Nacisnąłem spust i jakieś uderzenie powaliło mnie na ziemię.

Wstałem trochę oszołomiony.

Człowiek stał przy potrzaskanych resztkach bota z niedowierzającą miną. Ja tymczasem zrozumiałem, że tym, co mnie zbiło z nóg, był odrzut śrutówki.

Powinienem być lepiej ją zbadać, słowo „śrutówka” wyraźnie okazało się w tym przypadku eufemizmem. Trzymałem w dłoniach o wiele skuteczniejszą broń, niż się to wydawało na pierwszy rzut oka. Później, w wolnej chwili, spróbuję dokładnie ją przejrzeć.

Zauważyłem, że człowiek napadnięty przez robota wyglądał na jeszcze bardziej zaskoczonego ode mnie, można powiedzieć, że zszokowanego.

– W mięśniach mechanoida czy bota, jakiegokolwiek by był typu, zazwyczaj pozostaje pewna energia, zwana energią napięcia – wyjaśniłem. – Jeżeli jednostka sterująca nie jest totalnie zniszczona, to zostanie ona zużyta do ostatniego ataku.

– Aha – przytaknął niepewnie wciąż jeszcze zdumiony chłopina, odszedł od szczątków bota i usiadł na ziemi. Wyglądał na przekonanego. I bardzo dobrze.

– Do załogi, zajmujcie miejsca, ruszamy dalej – usłyszałem spokojny głos kapitana.

Takie same rozkazy dostali wszyscy, bo zaczął się ogólny ruch. I słusznie, znajdowaliśmy się w formacji trudnej do obrony, w terenie o złej widoczności. Ja jednak bardzo chętnie obejrzałbym

tych napastników, żeby się o nich więcej dowiedzieć.

– Chciałbym zbadać te boty i stwierdzić, co to za rodzaj – wyręczył mnie Rigajev.

Spojrzałem na niego z zaskoczeniem, nie wyglądał na takiego, który wystawiałby się na niebezpieczeństwo dla uzyskania informacji. Chyba się myliłem.

Knispel popatrzył na Rigajeva i stanął do niego plecami. Cichym głosem porozmawiał z panem Camuvielim i innymi dowódcami. Po chwili odwrócił się z powrotem.

– Dobrze – wyraził zgodę. – Ma pan dwadzieścia minut.

Dwadzieścia minut to krótko, ale wystarczyło na kilka fotografii i pobieżny przegląd. Bez porozumienia zabrałem się do pracy razem z Rigajevem.

Pół godziny później jechaliśmy już dalej z przepisową prędkością. W końcu nałożyłem okulary i uważnie obserwowałem okolicę, obiecując sobie, że już nigdy nie będę tak beztroski jak przedtem. Mieszkałem na prowincji, zajmowałem się maszynami rolniczymi i dzięki temu spotykałem się już z botami. Wiedziałem, że potrafią zaatakować człowieka, i miałem z nimi więcej doświadczenia niż większość ludzi. Ale zgraja botów napadająca w sposób zorganizowany na uzbrojony konwój to było coś zupełnie innego. Musiałem to przemyśleć.

Pan Camuveli rozkazał rozbić wieczorny obóz półtorej godziny wcześniej niż zazwyczaj. Teren obozu zabezpieczali Cyr i Katzinski, a ja poświęciłem się silnikowi. Po wyciągnięciu z niego przez Marlona maksimum mocy chciałem wykonać dokładną kontrolę.

System wtrysku paliwa był w porządku, na dwóch zaworach odkryłem nalot po spalinach, którego nie powinno tam być, turbina wymagała niewielkiej regulacji jednostki sterującej, w sumie mogłem być zadowolony.

– Hej, ty chyba nie masz ochoty na zabawę!

Przestałem czyścić ręce wysmarowane olejem. Po chwili poznałem Herberta.

– Właśnie skończyłem. O jakiej zabawie mówisz?

– Po wspólnej kolacji będzie jeszcze wieczorek, stryj chce podnieść nas na duchu. Wygraną bitwę trzeba uczcić.

Początkowo chciałem odmówić, ale potem pomyślałem, że będę miał okazję spotkać Nataszę.

– Dzięki za informację – powiedziałem.

– Myślę, że żałowałbyś, gdybyś nie przyszedł – rzekł z taką miną, jakby czytał w moich myślach.

Wodę oszczędzaliśmy przez cały czas, ale w pobliżu obozu ktoś odkrył niezanieczyszczone źródło, a ponieważ naczynia z wodą na bieżące potrzeby były pełne, mogłem sobie pozwolić na komfort w postaci porządnego umycia się. Na kolację się spóźniłem, na szczęście od jednego ze stołów zawołał mnie Herbert.

– Czym zasłużyłem na taką uwagę? – zapytałem, podchodząc do ławy.

Uświadomiłem sobie, że jestem zmęczony.

Oprócz Herberta przy stole siedziała Natasza, jakiś mężczyzna, sądząc po uniformie, członek ekipy Deheba, nieznany mi młodzieniec i Valerie.

– Jesteś bohaterem dnia! – odpowiedziała mi Elizabeth, która właśnie nadeszła w towarzystwie jednego z oficerów pana Camuwielego, sprawiającego wrażenie, że ma już za sobą kilka szklaneczek.

Przedstawił się imieniem Peter i nie był sknerą, ponieważ postawił na stole pełną butelkę.

– Pomyliliście mnie z kimś innym – powiedziałem z pełnymi ustami.

Oprócz zmęczenia odczuwałem jeszcze wściekły głód.

Herbert wszystkich nas sobie przedstawił, męska część towarzystwa odnosiła się do mnie ze skrywaną wrogością i przesadną uprzejmością. Było mi to obojętne.

– Jak ci minął ten dzień? – zapytałem Nataszę, nie przestając jeść.

– Ale się opychasz! – Zaśmiała się.

Wzruszyłem ramionami.

– Jestem głodny.

Człowiek Deheba imieniem Raymond starał się zabawić Valerie, Herbert wciągnął w rozmowę Nataszę i Petera. Obserwowałem Nataszę. Jak mówiła, jaki miała przy tym wyraz twarzy, jak od czasu do czasu potrzasała głową. Raymond wyrzucał z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego, Herbert przytakiwał mu ze śmiechem.

– Podoba ci się – powiedziała poważnie. – Nawet więcej niż podoba.

Odwróciłem uwagę od Nataszy i spotkałem się wzrokiem z Elizabeth.

Ona również nie brała udziału w rozmowie, tylko obserwowała mnie.

– Tak – przyznałem, połykając ostatnie kęsy. – Ale dlaczego nie jesteś w centrum dzisiejszego wydarzenia? Myślałem, że takie wieczorki cię bawią.

– Ktoś tu szuka na mnie odwetu. – Skrzywiła się.

Przypomniałem sobie, jakże mnie pokpiwała przy naszym pierwszym spotkaniu.

– Może trochę – zgodziłem się. – Choć tylko stwierdzam fakty.

Naburmuszyła się, lecz później jakby machnęła ręką na dalsze przekomarzanki i zamyśliła się nad moimi słowami.

Zauważyłem badawcze spojrzenie Nataszy, potem Raymond usiadł na stole i zasłonił mi widok na dziewczynę.

– Właściwie jesteś fajny, chociaż trochę dziwny. – Elizabeth zdecydowała się w końcu na nieco nielogiczną, ale pojednawczą odpowiedź. Może też już wypila niejedną szklaneczkę? – Nie jestem w centrum wydarzenia dnia, bo jest tutaj Raymond i stara się mi nadszkakiwać.

Wydawało mi się, że nadszkakuje Nataszy, ale chyba nie byłem wystarczająco zorientowany w takich gierkach.

– Myślałem, że on pracuje dla twojego ojca – zauważyłem.

– To nie znaczy, że nie może mi nadszkakiwać. – Skrzywiła się. – Pochodzi z dobrej rodziny, ma przed sobą niezłe perspektywy, to, co robi teraz, jest dla niego odskocznią dla dalszej kariery. Ale nie

podoba mi się, że tak się stara na wszystkie sposoby.

– Jesteś nielitościwa – powiedziałem, nalewając nam po szklaneczce, żeby i nam coś przypadło.

– Nie, tylko szczerą. – Zaśmiała się.

– A ty, Matyas, co sądzisz o tym, że nasza kultura w końcu odbiła się od dna? – zwrócił się do mnie Herbert.

– Kultura? Jaka kultura? – Swoim pytaniem wywołałem salwę śmiechu.

– Dwa lata temu otworzono w Murmanuku teatr, którego scena dorównuje cesarskiej. Mamy zbiory poetyckie z praktycznie wszystkich miast, ludność zaczyna naprawdę żyć.

Nic nie wiedziałem o tym teatrze i nigdy nie przeczytałem żadnego zbioru poezji, i w ogóle nie utożsamiałem się z poglądem Herberta, ale nic nie powiedziałem. Mnie interesowało raczej to, że niedawno w Zverelsku zamknięto ostatnią małą manufakturę specjalizującą się w dostarczaniu szlachetnych materiałów, jakoś obwodów zespolonych stale spadała, a dyski do zapisu danych miały coraz więcej wad. Jednak przeciw teatrowi nic nie miałem, na pewno niczemu nie szkodził.

– Kiedy tylko pozbędziemy się pokłosa wojny, podniesiemy się i ludzie znów zawładną całą planetą – stwierdził ktoś spoza naszego grona.

Nie zauważyłem, że się ono powiększyło i dyskusja rozgorzała na całego, na szczęście nikt mnie już nie pytał o zdanie.

Knispel również brał udział w tym wieczorku, przechadzali się z panem Camuvielim, pogrążeni w rozmowie. Z pewnego oddalenia machali do mnie Deheb oraz Wruise. Marlon siedział za stołem, rozmawiając przyjacielsko z jedną z niewielu kobiet stanowiących personel obsługowy konwoju. Wydawało mi się, że należała do ekipy Deheba, Marlon zwracał się do niej per Krist. Nie wiedziałem, czy to jej prawdziwe imię, czy pseudo, ale to nieważne. Miałem wrażenie, że dobrze się bawi.

Raymond wdał się w coraz głośniejszą debatę o rzeczach, o których do tej pory nie miałem pojęcia, że w ogóle istnieją. Nie

próbowałem zgadywać, czy chodzi o teatr, modę, sztukę kulinarną, czy o coś całkiem innego.

Pochwyciłem spojrzenie Nataszy, pośród powszechnej zabawy wyglądała aż nazbyt spokojnie, prawie nieobecna duchem. Albo zamysłona. Ona w ogóle często bywała zamysłona, może musiała rozważać wiele różnych spraw.

– Chodźmy się przejść – skorzystałem z okazji.

– Moja droga, chciałbym cię zobaczyć przy naszym stole – zwrócił się do Nataszy pan Camuvieli, który tymczasem znalazł się obok nas.

Spóźniłem się. Ot, pech. Wiedziałem, który stół ma na myśli. Siedzieli przy nim zachmurzeni Deheb i Wruise wraz ze swoimi asystentami. Natasza odeszła z ojcem, spodnie przy każdym kroku przylegały do jej długich nóg.

– Jak myślisz, czy długo jeszcze maszyny będą nam utrudniać podróż? – Herbert położył mi rękę na ramieniu.

Właściwie oparł się o mnie, żeby utrzymać równowagę. W krótkim czasie wypił zapewne więcej niż jedną butelkę.

– Nie mam pojęcia – przyznałem.

– A jak oceniasz te, które nas napadły?

Może był pijany, ale nadal myślał. Interesował się sprawami, które na ogół pozostawały nieomawiane. Skupiłem się na odpowiedzi, bo takie pytanie zadawałem sam sobie.

– To były boty znajdujące się na granicy funkcjonalności, skuteczność podporządkowana prostocie konstrukcji, materiały niskiej jakości, większość nie miała nawet polimetalicznych mięśni, tylko o wiele prostsze, bioplastyczne, łączone z podstawową hydrauliką. Nie przedstawiałyby żadnego niebezpieczeństwa, gdyby ich nie było tak wiele i gdyby nie umiały współpracować.

Właściwie jestem zdziwiony, że potrafiły jeszcze dość sprawnie funkcjonować – oceniłem. Tak dokładnie swojego poglądu w tej sprawie jeszcze nie sformułowałem nawet w myślach.

– Widzicie?! – Zadowolony Herbert odwrócił się do towarzystwa, unosząc rękę w zwyczajnym geście. – Nadchodzi nasz czas, czas

ludzi, a ta nasza ekspedycja jest tylko wstępem do dalszych działań. A teraz zarecytuję wam jedną z moich poezji.

– Nie wiem, czy gorszy z niego poeta, czy recytator, w każdym razie w tym stanie jest okropny. Miejmy tylko nadzieję, że nie zacznie śpiewać – pochyliła się ku mnie Valerie.

Nie wyglądało, że cieszy ją perspektywa występu Herberta. Pokazałem gestem, żebyśmy się oddalili.

Kiwnęła głową i zniknęliśmy dyskretnie.

– Pójdziemy wokół obozu i skontrolujemy czujniki – zaproponowałem. – A po drodze odprowadzę cię do waszych wozów.

Znów kiwnęła głową. Wiedziałem, gdzie umieszczone są czujniki, aby stanowiły jak najdokładniejszą ochronę, i pierwszy z ich szeregu odnalazłem praktycznie natychmiast.

Szliśmy w milczeniu, ziemia pod nogami znów była sucha i sypka. Tak jak wszędzie, gdzie po wojnie nie odrodziła się roślinność. A może to również wina klimatu? Jak bardzo się zmienił w stosunku do okresu przedwojennego, nikt nie umiał określić, źródła historyczne nie były zbyt jednoznaczne. Pojawił się księżyc, nisko nad horyzontem wydawał się ogromny, ciemne plamy mórz były wyraźnie widoczne. Valerie cicho szła obok mnie, kilka razy wydawało mi się, że chce coś powiedzieć, ale tego nie zrobiła. Przyklęknąłem, żeby sprawdzić kolejny czujnik. Powinien być nisko nad ziemią.

Gdzieś blisko odezwało się bzyczenie jakiegoś owada. Nie wiedziałem, czym może się tutaj żywić, ale wyglądało na to, że i w tę niegościnną ziemię życie powraca pomалу. Przynajmniej niektóre jego formy.

Trójnog kolejnego czujnika był przewrócony, jakby Cyr niestarannie go obsadził. Wiele razy mnie pouczał, żebym zwracał uwagę na dokładne rozstawianie trójnogów, bo osłabiało to funkcjonalność całego łańcucha czujników.

Valerie stała nade mną, przyglądając się mojej pracy, głosy bawiących się ludzi dobiegały do nas mocno stłumione.

Sprawdziłem, czy w ziemi nie ma jakichś zapadlisk, które mogły być spowodowane działaniem wody, odrzuciłem kilka kamieni i starannie umocowałem trójnóg. Położenie czujnika nie zmieniło się na tyle, żeby była konieczna powtórna kalibracja całej sieci.

– Gotowe – powiedziałem z zadowoleniem. – Możemy iść dalej.

Obok księżyca na niebie pojawiły się gwiazdy, towarzystwo już się uspokoiło, większość stołów została uprzątnięta, tylko na dwóch paliły się jeszcze gazowe lampy.

– Właściwie tu jest pięknie – powiedziała nieco zaskoczona.

– Jesteśmy na pustyni, nie wiemy, czego możemy oczekiwać – zwróciłem jej uwagę.

– Ty chyba nie jesteś zbyt romantyczny?

Szliśmy ku kolejnemu czujnikowi, a ja myślałem nad jej pytaniem.

– Nie powiedziałbym – odparłem wreszcie.

Zdałem sobie sprawę, że taka odpowiedź umożliwia kilka różnych interpretacji. Nie wiedziałem, która jest właściwa. Nigdy nie zastanawiałem się, co jest, a co nie jest romantyczne.

Nie spieszyliśmy się, w ciemności i w nierównym terenie nie byłoby to rozsądne.

– A jakieś romantyczne wyobrażenie? – zadała następne pytanie, jakby umiała czytać w myślach.

Nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy pokpiwa ze mnie, raczej to drugie.

– Wieczór w pracowni z silnikiem Stirlinga[2] i instrukcją obsługi w ręce – odparłem.

Roześmiała się cicho.

– Strzał w dziesiątkę, przepraszam, nie powinnam tak wypytywać.

Skończyliśmy obchód w przyjacielskim milczeniu, odprowadziłem Valerie aż do osobistego transportera jej ojca. Razem z wozami pana Camuviego i pana Wruise'a tworzyły małą twierdzę w środku obozu. Dobry pomysł, sam też tak bym zrobił na ich miejscu.

– Dziękuję za przyjemny wieczór – powiedziała na pożegnanie.

– To ja dziękuję.

Przez moment wyglądało na to, że chce coś dodać, ale tylko potrząsnęła głową i zniknęła pomiędzy dwoma wozami.

Stałem przez chwilę w miejscu i namyślałem się nad wyborem takiej drogi powrotnej do czołgu, żeby napotkać na niej jak najmniej ludzi.

Z obozu pana Camuviego odezwał się gwar, jaki można usłyszeć po otwarciu drzwi w pomieszczeniu, w którym rozmowy jeszcze się toczą. Ludzie rozchodzili się ku własnym miejscom noclegowym. Najwyższy czas stąd zniknąć, nie chciałem już brać udziału w żadnych debatach.

Obok mnie między wozami przeszedł Cautski, w ciemności poznałem go tylko po sposobie trzymania głowy, później dostrzegłem dwóch oficerów Deheba. Wyglądało na to, że nasz kapitan nie został zaproszony na naradę.

– Jak się udała przechadzka?

Natasza pojawiła się wprost bezszelestnie. Zapewne odprowadzała niektórych gości, a może po prostu mnie dostrzegła.

– Ta z Valerie?

Mogłem sobie darować to pytanie.

– Dokładnie.

Nie byłem pewny, czy jest rozzłoszczona, czy tylko mi się tak wydawało.

– Przyjemna, znaleźliśmy błąd w obwodzie czujników i go naprawiliśmy.

Nie zadowolila jej moja odpowiedź.

Nagle poczułem się zmęczony, nie miałem nastroju do jakichkolwiek rozmów, nawet z Nataszą, która z jakiegoś nieznanego mi powodu była w złym humorze.

– Dobranoc – pożegnałem się i ruszyłem w ciemność. Światła już dawno pogasły.

Rigajev coś przeglądał, Cyr i Katzinski grali w karty, kapitan i Marlon jeszcze nie wrócili. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, co mi

odpowiadało. Położyłem się w śpiworze, zamknąłem oczy i dopiero nad ranem obudził mnie powracający Marlon. Zaraz potem była pobudka.

Wiedziałem, że muszę wstać, jeśli mam ochotę na poranną kawę. I tak właśnie zrobiłem.



1 Rentgen: przestarzała jednostka intensywności promieniowania jonizującego. Śmiertelna dawka promieniowania gamma dla człowieka to 500-600 rentgenów w stosunkowo krótkim czasie rzędu godzin.

2 Maszyna cieplna pracująca na zasadzie cyklicznego rozprężania i sprężania gazu roboczego. Silnik działający w obiegu zamkniętym, gdzie z przestrzenią zewnętrzną wymieniana jest tylko energia cieplna, ale nie gaz roboczy. Wynaleziony w 1816 roku, jako konkurencja dla maszyny parowej (przyp. tłum.).

Rozdział trzeci



Jechaliśmy ze stałą prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę, ale wiedziałem, że to nie potrwa długo, ponieważ nawierzchnia starej autostrady wciąż się pogarszała. Kilkadziesiąt kilometrów kołysał nami dobrze zachowany odcinek, ale potem z trzycentymetrowej warstwy betonu pozostał jedynie cienki, gęsto popękany dywanik. Raz po raz musieliśmy objeżdżać głazy i sterty betonowego gruzu. Nadal jednak jechaliśmy po stosunkowo równej powierzchni, minimalnie tylko wznoszącej się lub opadającej. Dzięki temu nie naruszaliśmy przewidzianej dla naszej trasy rezerwy paliwa. Tylko przybliżające się góry zapowiadały rychły koniec takiego stanu rzeczy.

Niebo było bezchmurne, wszystkie transportery miały otwarte skrzydła kolektorów słonecznych, starając się wychwycić każdy dostępny foton. Nie zarządzono południowej przerwy, zapewne dlatego, żeby wykorzystać do maksimum energię słoneczną.

Pożałowałem, że my nie mamy takiego wyposażenia, ale przy naszym zapotrzebowaniu na energię byłyby to zbyt mały zysk w stosunku do poniesionych kosztów.

System czołgu wyświetlił nową, dokładniejszą mapę. Nie wiedziałem, kto ją udostępnił. Była bardzo szczegółowa, pokazywała, jak teren stawał się coraz bardziej rozczłonkowany, zakręty starej autostrady coraz głębiej wcinały się w zbocza lub włyły po gigantycznych sztucznych nasypach. Nie mogłem się nadziwić, jakie ogromne prace potrafiliśmy wykonać, kiedy należała do nas cała planeta.

W godzinę po południu na brudnożółtej glebie pojawiły się

szarozielone plamy uschniętych krzewów i nieregularne kępki czegoś, co przypominało ciernistą trawę. Na mapie jednak teren nadal był oznaczony jako pustynia.

– Kiedy ostatnio ktoś tędy jechał? – zapytałem.

– Przed dwudziestu siedmiu laty mniej więcej na tej pozycji obozowała wyprawa Ezechiela Kuzbrica – odpowiedział Marlon. – Ale dalej nie pojechali, zawrócili.

To znaczyło, że wjeżdżamy na ziemię, których od wielkiej wojny ludzkie oko nie widziało, całe setki lat nikogo tu nie było. Wzbudziło to we mnie respekt, może nawet strach.

– Ale dysponujemy fotografiami lotniczymi – zauważył Rigajev.

Lubił pouczać, lecz mnie to nie przeszkadzało, dzięki temu dowiedziałem się mnóstwa rzeczy.

– Tak, zrobionymi setki lat temu – dodał Marlon pogardliwie.

Przełączył kierowanie czołgiem na autopilota. Dłuższy odcinek drogi był równy, bez przeszkód, Marlon wyraźnie się nudził.

– Mam słaby radarowy ping z południa – oznajmił Cyr.

Drgnąłem.

– Typ sygnału odpowiada standardowemu dronowi, kierunek sygnału tak samo – kontynuował. Widziałem, że reszta załogi bez rozkazu aktywuje jeden system bojowy czołgu za drugim. Knispel nie reagował, zostawił to nam.

– Ping zanikł, to mogło być przypadkowe echo, a oni o nas nie wiedzą – mówił dalej Cyr. Przypadkowe echo? A może dysponowali lepszą techniką niż my? Niezbyt mnie to uspokoiło.

Silnik pracował na idealnych obrotach, sprawdziłem miotacz min i jego zasobnik. Broń, którą obsługiwałem, była przygotowana.

– Rozmawiałem z panem Camuvielim – odezwał się po dłuższej przerwie kapitan. – Nie wyklucza, że mamy za sobą prześladowcę, właśnie to uważa za prawdopodobne.

Ledwie pozbyliśmy się majora Hinstega, a już pojawił się kolejny prześladowca? A może to ten sam uparty major? Wygląda na to, że pan Camuveli ma więcej tajemnic, niż można by oczekiwać od zwykłego handlowca.

Ale uspokoiłem się, ze znanym niebezpieczeństwem łatwiej sobie poradzić.

Połykaliśmy kilometr za kilometrem, okolica nadal była pusta. Jechaliśmy teraz na czele konwoju, co okazało się przyjemne, bo kurz musieli łykać inni. A kurzu nasze gąsienice wytwarzały sporo.

– Mam echo – odezwał się Cyr.

– Znów radarowy ping? – zainteresował się Rigajev.

Na monitorach niczego nie widziałem, do tego potrzebne było większe doświadczenie. Rigajev miał do dyspozycji większość czujników czołgu, Cyr moduł sterowania ogniem.

– Nie. – W słowach Cyra wyczuwałem wahanie. – To jest chyba... Odpowiada to sygnałowi małego bota, którego spotkaliśmy kilka dni temu.

– Czy to pewne? – wmieszał się do rozmowy kapitan.

– Ma rację, to ten sam bot – potwierdził Rigajev.

– Liczne echa przed nami. Zbliżają się. Niektóre są duże, nieznanej sygnatury.

Kapitan nie odpowiedział, tylko ogłosił pogotowie bojowe, obroty silnika wzrosły, kiedy poszczególne agregaty elektryczne zażądały więcej energii, słyszałem potrzaskiwanie mechanizmów ładowania. Mój miotacz min był już od dawna przygotowany.

– Zwolnić do piętnastu kilometrów na godzinę. Transportery ciężarowe pojedą środkiem drogi, w odległości około trzydziestu metrów od siebie, po każdej stronie po dwa lekko opancerzone transportery, a z tyłu dwa ciężkie – usłyszeliśmy rozkazy Knispela na częstotliwości bojowej.

– Nie ma mi pan nic do rozkazywania – zirytował się Cautski.

Później zamilkł, zapewne otrzymał rozkazy wprost od swego szefa, pana Camuvielego.

Ze swojego stanowiska w przedniej części kadłuba wystartował nasz dron, przez chwilę leciał tuż przed nami około pięciu metrów nad ziemią, aż nabrał wysokości.

– Pełna gotowość do otwarcia ognia, oczekujcie ataku – rozkazywał dalej Knispel.

Zbliżaliśmy się do końca łagodnego wzniesienia, stanowiącego dla nas horyzont. Co było za nim, nie wiedzieliśmy.

Chętnie przejrzałbym dane i sprawdził obraz radarowy, ale musiałem pilnować silnika.

– Uwaga, panie Balducci, proszę stanąć tak, żebyśmy uzyskali wgląd za nierówność, ale równocześnie pozostali w ukryciu.

Na panelu informacyjnym odczytałem, że działo nabite jest pociskiem burzącym. Zaskoczyło mnie to, przeciw czołgom powinien być przeciwpancerny.

– Ładować amunicją burzącą – rozkazał Knispel.

Byliśmy już przed samym wierzchołkiem wzniesienia, Marlon zahamował, poczułem, że gąsienice lekko pośliznęły się na gładkiej powierzchni. Wstrzymując oddech, obserwowałem, co jest przed nami. Ale nie było nic, pusty, popękany pas starej autostrady znikał w dali.

– Kontakt na jedenastej – oznajmił Cyr.

Na tym kierunku znajdowało się zbocze wzgórza, w które wciniała się autostrada.

– Jedziemy – rozkazał Knispel, na mapie pojawił się wymagany kurs.

Ruszyliśmy na zbocze usiane dużymi głazami i nieregularnymi pasami ciernistych porostów, zużycie paliwa natychmiast wzrosło. Tym się jednak nie przejmowałem, gorsza była obawa, że uderzymy w któryś z głazów, zmieniających zbocze w rodzaj labiryntu. Te głazy pochodziły z wyższych części wzgórza. Marlon podjeżdżał do nich bardzo blisko i ze sporą prędkością, co zapewniało dobre krycie.

– Kontakt – zameldował Rigajev.

Z zagłębienia, na które patrzyłem, wynurzył się nagle nie czołg, jak zakładałem, ani jakikolwiek znany mi bot. Był to metalowy potwór na dwóch nogach. Przypomniałem sobie rysunki mięsożernych gadów sprzed milionów lat, dinozaurów. Jednak podobieństwo dotyczyło tylko kształtu. Korpus bota był równoległy do ziemi, głowa osadzona na masywnym nośniku na wysokości

kręgosłupa. Swym kształtem przypominała łeb rekina młota, górne boczne występy mieściły działka obrotowe i kopułki czujników, dolne najeżone były ostrymi krawędziami. Paszczę zastępowało jakieś urządzenie do cięcia, którego nigdy nie widziałem. Masywną przednią część równoważył długi, kołyszący się ogon. Nogom nie mogłem się przyjrzeć, przesuwały się zbyt szybko.

Bot poruszał się w terenie z prędkością przekraczającą możliwości jakiegokolwiek pojazdu kołowego czy gąsienicowego.

– Ognia – rozkazał kapitan.

Serwo wieży głośno zabrzęczało, bot tymczasem zmienił kierunek, pomagając sobie ogonem utrzymać równowagę. Armata zagrzmiała, odrzut poczułem jak lekkie kopnięcie, trafiony dinozaur rozpadł się na części.

Poczułem ulgę, agresywne i niezwykle szybkie poruszanie się bota wywoływało strach, dobrze było wiedzieć, że z takim nieprzyjacielem też daliśmy sobie radę. Lufa po wystrzale wyglądała na w pełni sprawną, moja naprawa zdała egzamin.

Z tego samego miejsca wynurzył się kolejny bot, na pierwszy rzut oka identyczny z tym poprzednim.

– Kontakt na drugiej i kolejny na dziesiątej – meldował Rigajev. – To może być cała gromada botów zupełnie mi nieznanego typu.

– Katzinski cel numer jeden, Cyr numer dwa. Sanders strzela do wszystkiego, co zajdzie nas od tyłu.

Natychmiast odwróciłem się do paneli sterowania miotaczem min, nacisnąłem guzik i nabój został podany do lufy.

Pomyślałem, że tym razem możemy nie dać rady, że powinienem zacząć się bać.

Cyr praktycznie od razu otworzył ogień ze zdwojonych ciężkich karabinów maszynowych i długą serią trafił bota, starającego się przemknąć obok nas w lewo. Z kadłuba maszyny trysnęły snopy iskier po uderzeniach pocisków, ale bot pędził dalej. Cyr zamienił ciężkie karabiny maszynowe na karabin wielkokalibrowy i w tym momencie bot dostał się w obszar, który ja zabezpieczałem.

Oznaczyłem cel, przez chwilę obserwowałem go na

wyświetlaczu, komputer pisnął na znak, że uchwycił jego trajektorię ruchu. Nacisnąłem spust, armata wystrzeliła praktycznie w tym samym momencie. Mina chybiła, dwie kolejne także, eksplozje zwały się w jeden długi grzmot. Dinozaur dysponował znakomitym algorytmem unikowym i rejestrował nasze strzały. Zrezygnowałem z celowania komputerowego i zacząłem określać cele ręcznie. Miny wylatywały z lufy jedna za drugą, siódmy granat trafił dinozaura w trakcie skoku, nie miał jednak takiej siły jak pocisk armatni, bot upadł na bok z oderwaną jedną nogą. Chciałem poszukać nowego celu, lecz bot nagle wstał, zdecydowany kontynuować atak, skacząc na drugiej nodze. Nacisnąłem spust trzy razy pod rząd. Pierwsza mina trafiła go, zanim ruszył do przodu, dwie kolejne skończyły dzieło zniszczenia.

Odwróciłem się, żeby zbadać sytuację przed nami. Czołg szybko odjechał w bok, uderzyłem się w głowę i uświadomiłem sobie, że nie zapiąłem pasów. Hełmu również nie zapiąłem. I tak miałem szczęście, mogłem skończyć z pękniętą czaszką.

Zmiażdżyliśmy bota, którego Cyr ciężko uszkodził ostrzałem z wkm-u, w pobliżu leżały szczątki czwartego, rozwalonego z działa przez Katzinskiego. Oraz bot, którego ja zniszczyłem. To razem pięć. Coś ciepłego ciekło mi do oczu, zranienie głowy krwawiło.

Pomiędzy głazami na wprost nas mignęło coś niewyraźnego, kolejny bot. Już nie atakował, wycofywał się, uciekał. Przewaga botów nad pojazdami polegała na tym, że potrafiły one szybko poruszać się w terenie praktycznie nieprzejezdnym dla wozów kołowych, a nawet gąsienicowych.

– Cautski, gdzie ta linia obronna, której sobie życzyłem?

Jeszcze nigdy nie słyszałem kapitana mówiącego z taką wściekłością.

– Już po wszystkim – zabrzmiała odpowiedź.

Z tym się zgadzałem.

Knispel nie miał czasu na reakcję. Jeden bot uciekał, drugi przebiegł obok niego w przeciwnym kierunku.

– Nowy cel! Ognia! – rozkazał kapitan.

Armata zagrzmiała w momencie, gdy bot wskoczył na wierzchołek głazu wielkości małego domu. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę, jak metalowe kończyny opanowują bezwładność ogromnego ciała, ale bot długim łukiem poleciał dalej. Strzał chybił.

Usłyszałem, jak Katzinski klnie, teraz cel był zbyt blisko i wieża nie mogła odwrócić się wystarczająco szybko. Cyr trzymał go pod ogniem karabinu maszynowego, lecz zbyt krótko, wystrzeliłem z miotacza min, jednak granat wybuchł daleko za nim.

– Wstrzymać ogień – rozkazał Knispel.

Zrozumiałem, że kolejne strzały mogły trafić w nasze własne wozy. Szczęściem jeden z pancernych pojazdów Cautskiego blokował botowi drogę.

– Strzelajcie! Nie oglądajcie się na nas! – zachęcał ich Knispel.

Wóz otworzył ogień z dwóch osadzonych w wieżycze sprzężonych działek szybkostrzelnych, widziałem, że był to ogień celny, jednak bot kontynuował atak. Nagle usłyszałem odgłos trafień w nasz pancierz, instynktownie wstrzymałem oddech, jednak nic się nie stało.

Krótkie pauzy w dzikich manewrach Marlona wykorzystałem do zapięcia pasów. Bot łatwo przeskoczył ponad pancernym wozem, zawadzając o wieżyczkę strzelniczą. Cały pojazd się zatrząsł, miałem wrażenie, że się przewróci, pozostał jednak na kołach. Ale wieżyczka została uszkodzona. Teraz pomiędzy botem a transporterem ciężarowym nie było już nic. Marlon dał pełny gaz, szerokim łukiem popędził ku konwojowi, z lufą odwróconą do tyłu, zgodnie z rozkazem Knispela.

Tuż przed atakiem na transporter bot jakby przykucnął, opuścił głowę poniżej poziomu korpusu i uderzył nią jak taranem. Opancerzona ścianka kabiny pękła, równocześnie rozległo się prawie ultradźwiękowe wycie wirujących szczęk tnących, głowa stwora na moment zagłębiła się we wnętrzu kabiny, jak w dojrzałym owocu.

Nikt wewnątrz nie mógł przeżyć.

– Cautski, w tym wozie nie ma już nikogo żywego, usmażcie go –

usłyszałem kapitana.

– Nie mam nikogo na pozycji, wozy są zbyt ściśnięte.

Sam to widziałem. Kierowcy nie utrzymali nakazanych odstępów, a po tej stronie był tylko jeden wóz bojowy, wszystkie pozostałe po drugiej.

Bot wyciągnął łeb z kabiny, rzucił krótkie spojrzenie do wnętrza, a potem z dużym przyspieszeniem ruszył ku następnemu pojazdowi. Uszkodzony transporter Cautskiego wyjechał mu naprzeciw, maszyna zareagowała błyskawicznie, opuściła szyję do samej ziemi i kiedy transporter znalazł się w jej zasięgu, targnęła głową do góry.

Nie rozumiałem, jak to było możliwe. Przód dziesięcotonowego pojazdu wyleciał w powietrze, od ziemi oderwała się również tylna część wozu, która wykonała pół salta i upadła na dach.

Bot przestał się nim interesować i popędził ku następnemu pojazdowi. Hamował tak samo gwałtownie, jak przyspieszał, zostawiał głębokie bruzdy wyryte w betonowej nawierzchni. Uderzył wabinę kolejnego transportera ciężarowego.

Silnik czołgu ryknął na pełnym gazie, poczułem, jak gwałtownie przyspieszamy. Czy Marlon zwariował? Ale nie, uświadomiłem sobie, że taki właśnie dostał rozkaz.

Bot przygotował się do ataku na załogę, kiedy nagle zauważył nasz czołg. Lufy jego działek wyglądały jak wirujące dyski. Nie zdążył jednak wystrzelić, kiedy już na nim siedzieliśmy.

Pasy wbiły mi się w ciało, dobiegł mnie odgłos gnącego się, rozdieranego i łamanego metalu, przez moment gąsienice nie dotykały ziemi i wreszcie rozgnietliśmy i roztrącili szczątki bota.

– Cautski, trzymajcie pozycję obronną, mogą znów zaatakować.

Koszulkę miałem mokrą od potu. Temperatura w kabinie podczas pracy silnika na maksymalnej mocy wzrastała o dziesięć stopni.

Już po wszystkim, pomyślałem. Nałożyłem górę od kompletu balistycznego, zawiesiłem na ramieniu śrutówkę i ostrożnie zacząłem się wspinać na zewnątrz, przygotowany na to, że w każdej

chwili możemy ruszyć.

Czułem się oszołomiony i nadal szybko oddychałem, mimo że przez cały czas siedziałem w fotelu.

Cyr, Katzinski i Rigajev byli już na zewnątrz, Knispel i Marlon zostali w środku ze względów bezpieczeństwa, gotowi do reakcji na wypadek dalszego zagrożenia. Opancerzone transportery Cautskiego zajmowały pozycje obronne. Nareszcie.

Ludzie z wahaniem wysiadali z wozów, każdy z bronią w ręce. Niektórzy trzymali ją bardzo nieporadnie.

– Wszyscy uzbrojeni obsadzą linię od pierwszego transportera. – Wskazałem miejsce. – Obok tego głazu aż do ostatniego wozu! – poleciłem im.

Pomyślałem, że nie mają żadnego powodu, żeby mnie słuchać. Powiedziałem to, bojąc się o bezpieczeństwo, kiedy tak wiele luf, trzymanyh przez niepewne ręce, wymierzonych było w przypadkowe strony.

Wszyscy obrócili się ku mnie, a większość cywilów mimowolnie skierowała broń w moją stronę.

– Zagrożenie nadal nie minęło! Zajmijcie pozycje!

Posłuchali mnie. Teraz lufy mierzyły prawidłowo. Już to było ważne.

Pokonałem niechęć i podszedłem do kabiny zniszczonej przez bota. Stopnie nie doznały uszkodzeń. Już wchodząc po nich, poczułem woń rozgrzanego metalu, spalonego mięsa i ludzkich wnętrzności. Wystarczył mi jeden rzut oka. Wnętrze kabiny wyglądało tak, jakby działała tam potężna prasa. Nic nie pozostało w całości, wszędzie leżały tylko szczątki, jedne przyklepione do sufitu, inne do ścian. Metal i odłamki plastiku w wielu miejscach pokryte były ludzkimi tkankami i krwią. Ocalała jakimś cudem głowa z odcinkiem kręgosłupa szyjnego leżała na podłodze. Nie mogłem się zorientować, ilu ludzi siedziało w kabinie w chwili ataku.

Zszedłem na ziemię i dopiero pod wpływem świeżego powietrza zrobiło mi się niedobrze. Stałem, starając się oddychać jak

najgłębiej. Gdybym znalazł w kabinie ludzkie zwłoki, nie podziałałoby to na mnie tak wstrząsająco. Ale oprócz jednej głowy nie było tam nic przypominającego człowieka, a do takiej masakry wystarczyła dinozaurowi sekunda, najwyżej dwie.

Maszyny nie powinny zabijać ludzi.

– Fajny masz żołądek, nie?

Spojrzałem.

Był to jeden z ludzi Cautskiego, istny wyrwidąb, o głowę wyższy ode mnie, z brodą przypominającą kowadło i brwiami godnymi niedźwiedzia.

– Tam są martwi ludzie, a raczej to, co z nich zostało – odpowiedziałem.

Pogardliwie rozbawiony wyraz twarzy mężczyzny nie zmienił się.

– Jak mówię, jesteś fajny.

Zalała mnie fala wściekłości, nie zdołałem się opanować. Wiedziałem, że to, co nadejdzie, jest niepotrzebne, ale nic nie mogłem na to poradzić.

– Gdybyście wy, zasrańcy, zrobili, co do was należało, nie musiałyby się to tak skończyć. Mogliby nadal być żywi.

– Powiedziałeś do mnie „zasraniec”?

– Taa. Jesteś nędznym zasrańcem, do niczego. Nie umieliście zatrzymać jednego bota, a teraz robisz sobie ze mnie kpiny, że jest mi niedobrze, bo widziałem to, co zostało z ludzi, których mieliście... których mieliśmy chronić.

Wiedziałem, że mnie uderzy, ale byłem tak wściekły, że prawie się nie cofnąłem. Tylko o mały kroczek, żeby mnie nie trafił czysto i nie pozbawił przytomności.

I tak cofnąłem się o kolejny krok, żeby ustać na nogach po jego ciosie. Huczało mi w głowie, nie czułem szczęki, ale to mi nie przeszkadzało, wściekłość dodawała mi siłę. Jeśli myślał, że będę się z nim wyklócać, to grubo się pomylił.

Śrutówkę trzymałem przed kolbą, lufą do ziemi. Pozwoliłem jej prześliznąć się w palcach i zanim zdążył zamachnąć się do

następnego uderzenia, walnąłem go kolbą w głowę. To go tylko spowolniło. Przez chwilę zbierał się do następnego ataku, ale ja trzymałem już strzelbę w dwóch rękach i grzmotnąłem go znowu. Już nie w głowę, bo bym go zabił, tylko w pierś, z boku. Na pewno złamałem mu żebro albo dwa.

Sapnął i upadł na ziemię.

Wtedy dopiero zobaczyłem, że nie był sam, miał towarzystwo. Popatrzyłem na jego kompanów, wyglądali na zszokowanych, jak i ja zaczynałem się czuć.

– Napadł na mnie – powiedziałem tylko.

– Tak, tak to było – zgodził się ze mną niepewnie najbliższy stojący, patrząc na broń w moich rękach.

Powalony napastnik stęknął, ale jeszcze nie próbował wstać.

– No i fajnie. – Kiwnąłem głową i poszedłem ku czołgowi.

Incydent zauważyło tylko kilku ludzi i zaskoczyło mnie, że pozwolili mi spokojnie odejść. Ale teraz nie trzymałem już śrutówki jak maczugi, tylko jak broń przygotowaną do użycia.

Nagle poczułem się słabo. Dowlokłem się do czołgu i usiadłem na ziemi oparty o koło. Dalsze działania należały już do innych.

Nie wiedziałem, ile czasu upłynęło, kiedy rozbito obóz, Cyr zainstalował sieć czujników, a kucharze zaczęli przygotowywać posiłek. Rigajev wytyczył wokół zniszczonego bota wąską strefę, do której nikt nie miał dostępu. Nawet mniejsze maszyny potrafiły nieźle ugryźć, również po dłuższym okresie, jaki upłynął od ich wytrącenia z eksploatacji. A takie ugryzienie mogłoby być śmiertelne. Zastanowiłem się, jakie słowo byłoby odpowiednie: zabić bota czy go zniszczyć? Te dinozaury sprawiały wrażenie bardziej żywych istot niż maszyn.

Przysiadł się do mnie Cyr. Swoje obowiązki już wypełnił. Trzymał w ręce znaną mi butelkę, którą przyniosłem z wieczornego przyjęcia.

– Czy to nie będzie dobry czas na nią?

Pokiwałem głową w milczeniu.

Wyczarował z kieszeni cztery szklaneczki, a wtedy, jakby

umówieni, pojawili się Rigajev i Marlon. Katzinski, sprawdzający lufę armaty, odmownie pokręcił głową. Do daszka czapki, z którą się nie rozstawał, miał przyczepioną miniaturową lampkę LED.

– Jedna szklaneczka, to mi się nie opłaca. Gdybyście mieli ich więcej, to znaczy butelek... -Pozostawił zdanie niedokończone, ściągnął daszek na dół, kierując stożek światła na powierzchnię metalu, i wrócił do pracy. W jego wykonaniu było to całe przemówienie.

Cyr nalał cztery szczodre porcje i uniósł szklaneczkę.

– Oby następne dni były lepsze. A przynajmniej nie gorsze – oznajmił po krótkiej przerwie.

Przechyliłem szklaneczkę i wypilem do dna jednym haustem. Poczulem, jak alkohol przyjemnie pali w gardle, a później w żołądku. Znużenie obejmujące szyję i ramiona stopniowo się cofało, czulem, jak opada ze mnie napięcie. Pozostali pili małymi łydkami, ja jednak potrzebowałem większej dawki naraz.

– Załatwiłeś go twardo – powiedział zamyślony Marlon.

On też to widział.

Nie chciałem o tym rozmawiać, sam siebie nie rozumiałem.

– Czy już spotkaliście się z czymś takim? – Wskazałem szczątki bota.

Wszyscy, nie wyłączając Rigajeva, pokręcili przecząco głowami.

– Najdłużej z kapitanem jest Katzinski, ale od niego niczego się nie dowiesz. Od samego kapitana tak samo.

– Katzinski... – rozmyślałem głośno. – Dlaczego się z nami nie napił?

Cyr wzruszył ramionami, ten ruch uwydatnił jego byczy kark.

Znowu sobie uświadomiłem, jak masywnie jest zbudowany. On by pomocy kolby nie potrzebował.

– Na Katzinskim można polegać. Ciągłe nad czymś pracuje, ciągle wyszukuje sobie jakąś robotę. Kiedy dojedziemy do miasta i będziemy mieli wolne, zniknie w licznych gospodach i będzie pił na umór. Kiedyś go to zabije.

Pozostali przytaknęli.

– Ale przedtem prześle trzy czwarte żołądu do domu, do rodziny. Pewnego razu widziałem fotografię jego żony i trójki dzieci. Ale to było stare foto, sprzed kilku lat – powiedział Marlon.

– To dlaczego jest tu razem z nami? – nie rozumiałem.

– Każdy ma swoje tajemnice. – Cyr pojednawczo machnął ręką.

Zauważyłem przechodzącą w pobliżu Nataszę, która przez chwilę spoglądała w kierunku naszego stanowiska.

– Idę się przejść – powiedziałem. – Butelka jest wasza.

Marlon nalał mi do szklanki na dwa palce.

– Wypij dla kurażu, jesteś typkiem, który tego potrzebuje.

Nie wiedziałem, co dokładnie ma na myśli, ale wypilem drugiego drinka i poszedłem za Nataszą. Znalazłem ją w jadalni z talerzem w ręce.

– Już myślałam, że się na mnie obraziłeś i nie przyjdiesz.

Dopiero po chwili zrozumiałem, dlaczego to powiedziała. Nasza kłótnia, jeśli to w ogóle była kłótnia, w świetle ostatnich wydarzeń zdała mi się zupełnie nieważna.

– Nie ma żadnego powodu do obrazy. – Machnąłem ręką.

Gdyby sytuacja potoczyła się inaczej, gdyby Knispel nie był taki ostrożny i przewidujący, gdyby czołg doznał awarii lub Marlon popełnił błąd, wszystko mogłoby wyglądać znacznie gorzej i zabitych byłoby wielu. Ona też mogła się znaleźć wśród nich.

– Nie wyglądasz dobrze, jesteś głodny?

– Nie jestem, ale powinienem być.

Przez cały dzień niczego nie zjadłem, jednak wnętrzości miałem zbyt ściśnięte i żołądek nie domagał się pożywienia.

– Poza tym nie mam żadnych naczyń.

– Wystarczy jedno, a łyżkę nam pożyczą.

Stanęliśmy w krótkiej kolejce i po chwili dotarliśmy do kucharza, który nawet nie mrugnął okiem na moją prośbę o podwójną porcję i jedną łyżkę.

Usiedliśmy przy pustym stoliku. Koleżanek Nataszy nigdzie nie było widać.

– Jestem wyprowadzona z równowagi – powiedziała, nie

zaczynając jeść. – Zginęli ludzie. Znałam ich wprawdzie tylko z widzenia, ale to niczego nie zmienia. Mogło się to stać każdemu z nas.

Ale nie mnie, siedziałem w czołgu, na którym połamałaby sobie zęby cała sfora botów. Może właśnie dlatego tak trudno mi było o tym myśleć. Nic jednak nie powiedziałem.

– Jesteśmy na pustyni, w miejscu, gdzie od dziesięcioleci nie stanęła ludzka stopa. Za każdym razem, kiedy to sobie uświadamiam, dostaję gęsiej skóry.

Zgadzałem się z tym. Sucha, prawie martwa kraina pobudzała wyobraźnię, poczucie niebezpieczeństwa skrywającego się za horyzontem. Tylko że teraz to już nie były wyobrażenia, ale prawda.

– Jeszcze przez dwa dni pojedziemy przez ziemię niczyją, a później znów wrócimy na E dziesięć, na szlak handlowy – powiedziałem.

Na starych mapach nasza autostrada była oznaczona E10.

– Dwa dni to dla mnie brzmi jak wieczność. – Potrząsnęła głową.

Słońce było przykryte przez wysoko sunące obłoki, okulary słoneczne Nataszy umieszczone wysoko we włosach wyglądały jak ciemna opaska. Wzrok miała nieobecny, chyba jeszcze bardziej niż poprzednio.

Zjedliśmy bez pośpiechu, wstałem, żeby umyć naczynie, i oddałem jej czyste. Została na miejscu, bez śladu swojej zwykłej energii, wyglądała na bezbroną. Myślni musiała być gdzieś daleko.

– Chodźmy się przejść, sprawdzimy łańcuch czujek.

– Chcesz się przejść czy sprawdzać? – zapytała z lekkim uśmiechem.

– Jedno i drugie. Skoczę tylko po broń.

Nabyłem już wprawy, wydobyć śrutówki ze schowka na broń zajęło mi teraz tylko połowę tego czasu, co dawniej. Trening czyni mistrza. Odnaleźliśmy pierwszy czujnik, a potem już wiedziałem, gdzie Cyr umieścił kolejne. Wiedziałem, że posuwaliśmy się płytką

doliną, a obóz rozbili u jej końca, niewiele dalej dolina się wypłaszczała. Z tego miejsca uzyskaliśmy widok aż za horyzont. Kraina sprawiała wrażenie tak samo opustoszałej jak przedtem, chociaż wydawało się, że w kierunku północnym przybywa brudnozielonej roślinności.

– Okropna, pusta okolica – stwierdziła Natasza.

– Dziś nawet nie wiemy, co konkretnie zgubiło rośliny i zwierzęta. Chyba jakaś chemiczna lub genetyczna broń, albo to skutek jakiejś katastrofy ekologicznej, suszy czy zupełnej zmiany klimatu – rozmyślałem na głos.

– Jeszcze niedawno życie córki handlowca wydawało mi się nudne, bez wydarzeń. Teraz bardzo chętnie wróciłabym do niego, a nie jestem pewna, czy to w ogóle możliwe, czy się to uda. Niewiele wystarczy, żebyśmy tu zostali, i nikt by się o naszym losie nie dowiedział.

Zadrzała, nie wiadomo, czy z zimna, czy ze strachu. Objąłem ją i przytuliłem do siebie. Nie wzbraniała się, oparła mi czoło na ramieniu.

– Za dwa dni znów będziemy na szlaku. A to wszystko stanie się jedynie wspomnieniem.

– Może tak będzie – przytaknęła niepewnie i mocno się we mnie wtuliła. – Sprawiasz wrażenie, jakbyś był do takich rzeczy przyzwyczajony, że jesteś w swoim żywiole. Jak ci się to udaje? - Spojrzała na mnie.

Trzymałem Nataszę w ramionach i uświadomiłem sobie, o ile jest ode mnie mniejsza.

– Mówią, że dotarłeś do tej zabitej załogi.

– Tak było – przytaknąłem, zastanawiając się nad jej wcześniejszym pytaniem.

Musiałem przyznać, że wiele rzeczy było dla mnie nowych, czasami strach mnie oblatywał, a jednak w jakiś sposób mój nowy styl życia mi odpowiadał. Przynajmniej na razie. A ponadto czułem, że mam wobec Knispela dług, którego jak dotąd nie spłaciłem.

– Z maszynami i botami miałem już doświadczenie,

a mieszkałem na peryferiach ludzkich siedzib. Dlatego na mnie nic z tego, co się tu znajduje dookoła, nie działa tak jak na innych.

– Może tak być – powtórzyła, przyglądając mi się z przechyloną głową.

Stłumiłem chęć całowania jej, pozwalając sobie tylko na delikatne muśnięcie wargami. Przed chwilą tuliła się do mnie, a teraz cała skuliła się w moich objęciach.

– Chodźmy dalej – przerwałem ciszę. – Jeszcze nas czeka pół okręgu.

Później się już nie zatrzymywaliśmy i szybko zakończyliśmy kontrolę. Odprowadziłem ją aż do prywatnych kwater pana Camuwielego. Sporo czasu już upłynęło, w wielu miejscach płonęły ogniska, w powietrzu unosiła się przyjemna woń dymu. W okolicy drogi leżało dość połamanego suchego drewna, pozostałości po martwej od stuleci wegetacji. Wyraźnie tutaj od dawna nie padał deszcz, w przeciwnym razie drewno musiałyby zbutwieć.

Przy jednym z ognisk zauważyłem Valerie i Elizabeth w towarzystwie dwóch mężczyzn. Pomachały do nas, my im odmachaliśmy, ale nie przyłączyliśmy się do nich. Natasza odwróciła się do mnie, wspięła na palce i pocałowała.

– Dziękuję za przechadzkę, była mi potrzebna. Tak samo jak miłe towarzystwo.

Poszła do swojego wozu. Odprowadzałem ją wzrokiem. Będzie dokładnie tak, jak powiedziała, wspomnienia z tej podróży zamienią się w nocne koszmary, które stopniowo wyrzucą z pamięci wszystko, co się z nią wiąże.

– Jutro zostajemy tutaj – taką informacją zaskoczył mnie w obozie Marlon.

Leżał już w śpiworze, pod prowizorycznym daszkiem umocowanym do gąsienic. W ręce kołysał pocięty blaszany kubek, sądząc z tego, jak go trzymał, jeszcze gorący. Popijał z niego z zadowoleniem, co świadczyło, że nie była to zwyczajna herbata.

– Dlaczego? – nie zrozumiałem.

Pojawił się Rigajev z obozowym wyposażeniem i komputerem,

z którym praktycznie nigdy się nie rozstawał.

– Jutro chcę przeprowadzić demontaż tego bota, to powinno już być bezpieczne.

– A Camuvieli się na to zgadza? Jak dotąd martwił się każdą godziną opóźnienia – zdziwiłem się.

– Jest szansa na zysk, możemy natrafić na coś, co można będzie sprzedać – odpowiedział.

– No i trzeba naprawić uszkodzone wozy i przygotować się do dalszej drogi – dodał Marlon.

Mieli rację, właściwie mogłem sam dojść do takich wniosków.

Nazajutrz wstałem wcześniej, ale Rigajev był już na nogach. Obchodził bota i badał go za pomocą telekamery.

– Jest chłodny – stwierdził zadowolony. – Żadne systemy nie wykazują aktywności.

– Paść na niedźwiedzia też jest chłodna – zauważyłem.

Rigajev spojrział na mnie, jakby oczekiwał, co zaproponuję. Myślałem, że ma już wszystko przemyślane, ale mówiłem dalej: –

Trzeba go unieruchomić, żeby nic nam nie mógł zrobić. Obwiążemy go stalową liną, którą naciągniemy pomiędzy dwoma wozami.

– My?

– Jestem ciekawy. Jeśli nie chcesz pomocy, mogę się tylko przyglądać.

– Roboty będzie huk, każda para rąk się przyda – oznajmił. – Chciałbym zdemontować mu głowę, a jak go napniemy, pójdzie nam to łatwiej.

Zabraliśmy się do pracy zaraz po śniadaniu.

Nałożyłem rękawice, przyniosłem linę holowniczą i założyłem pętlę wokół centralnego dźwigara podtrzymującego głowę. Zwracałem przy tym uwagę, żeby niczego nie dotykać, i przez cały czas byłem przygotowany odskoczyć w razie czegokolwiek podejrzanego. Rigajev podobnie poradził sobie z ogonem. Tymczasem wokół nas zgromadzili się wszyscy, którzy nie mieli żadnej pilnej roboty. Posługując się dwoma transporterami

Cautskiego, przewróciliśmy bota na plecy i naciągnęliśmy tak, że koła transportera aż buksowały na kamienistej powierzchni. Segmentowy kręgosłup bota stawiał znaczny opór. Już to wskazywało na jego wielką odporność.



Potem przyszła kolej na kończyny, które chcieliśmy po prostu urwać. Sterczały teraz na wysokość trzech metrów, wykonane z błyszczącego metalu i ukształtowane na wzór łap żywego stwora.

Przez chwilę im się przyglądałem. Było jasne, że nie zostały wyprodukowane przez żadną linię wytwórczą, wyglądały tak, jakby same wyrosły, najwyraźniej dawało się to dostrzec w spojeniach stawów.

– Na co czekasz? – zapytał Rigajev.

Wdrapałem się na podstawiony wóz i przełożyłem pętlę przez stopę bota. Była zaopatrzona w trzy stalowe palce. Każdy zakończony grotem skierowanym ku ziemi, później rozszerzał się w trójgraniasty szpon. Dzięki takiemu ukształtowaniu stóp bot mógł się sprawnie poruszać w trudnym terenie. Szukałem miejsca przymocowania palca do nośnej konstrukcji nogi, ale nie mogłem znaleźć żadnego łączenia. Kiedy jednak obciążylem palec całym swoim ciężarem, poczułem, jak się prawie niezauważalnie poruszył. Wyglądało więc na to, że te olbrzymie pazury były elementem resorującym bota.

Ściągnąłem pętlę liny i zszedłem na dół. To samo zrobiłem z drugą nogą i końcówki lin zaczepiłem na hak holowniczy oczekującego transportera.

– Możemy ruszać? – zawołał stojący po drugiej stronie Rigajev.

Machnąłem ręką na znak, że możemy, i odszedłem na bok. Jeden transporter pełnił rolę kotwicy, a drugi ciągnął, stalowa lina naprężyła się, coś w konstrukcji bota zaskrzypiało, kończyzna niechętnie poddawała się sile ciągu. W momencie kiedy odchyliła się od pionu o około dwadzieścia pięć stopni, koła wozu zaczęły się ślizgać.

– Stać! Zatrzymajcie się! – rozkazał Rigajev.

Pięćdziesiąt stopni to był prawdopodobnie limit rozkroku bota. Nie udało się go osiągnąć nawet siłą ciągu dwóch silnych maszyn. Popsuliśmy tylko kilka lin. Po dwóch godzinach zrezygnowaliśmy.

– Myślę, że to na nic. Żadnej sekcji nie zrobimy. Może demontaż? – podsumował Rigajev.

Sekcja, moim zdaniem, była właściwym słowem, bo widziałem, jak bardzo konstrukcja bota różni się od czegokolwiek, z czym się spotkałem, za bardzo przypominała żywego stwora. Nie mogłem

sobie wyobrazić narzędzi, za pomocą których można było coś podobnego stworzyć nawet w znakomicie wyposażonym warsztacie. A może ten dinozaur był żywy, tylko na inny sposób, jakiego nie mogliśmy zrozumieć?

Ogrodziłem przestrzeń wokół bota i usunąłem wszystkich ciekawskich poza linki. Tymczasem nadszedł kapitan, również był ciekawy, co będziemy teraz robili. Stał nieco z boku, jak zwykle ubrany w uniform bez oznak, skupiony tylko na dinozaurze. Wyglądał, jakby starał się go hipnotyzować. Doszedłem do wniosku, że obserwował nas też podczas naszych jak dotąd bezskutecznych usiłowań.

Rigajev obszedł bota jeszcze raz, rejestrując go klasyczną kamerą osadzoną na głowie, i komentował nagranie. Szedłem za nim i słuchałem, co mówi.

– Dnia ósmego kwietnia trzysta dziewięćdziesiątego szóstego roku ja, Ivan Beljejewicz Rigajev, rozpoczynam publiczny demontaż bota, który został zniszczony podczas ataku na konwój handlowy pana Orfela Camuvielego. Poszczególne części będą umieszczane w oznakowanych skrzyniach, o ile ich rozmiary na to pozwolą. Elementy, których nie można będzie transportować, będą wizualnie udokumentowane oraz opisane. Wyniki zostaną przy najbliższej okazji publicznie zaprezentowane zgodnie z obowiązującymi przepisami. W przypadku, gdy przedstawiciele miasta, unii miast lub innego związku społecznego będą zainteresowani dokumentacją techniczną poszczególnych rozwiązań, każdemu z członków ekspedycji, który położył zasługi celem pozyskania tych informacji, wypłacony będzie należny mu udział zgodnie z przepisami obowiązującymi dla tego konwoju.

Wiedziałem, dlaczego Rigajev ujął naszą pracę w tak formalne zapisy. W przeszłości bywało, że miasta czy grupy ludzi potrafiły uzyskać i później z powodzeniem wykorzystać technikę naszych przodków. Po tak długim czasie praktycznie tylko technika wojenna pozostawała możliwa do zastosowania. I na ogół bywała użyta przeciw sąsiadom. Żeby się to nie powtórzyło, bo każda taka wojna

niszczyła istniejącą równowagę sił, były czasem ustanawiane prawa dokładnie definiujące, jak się powinno z podobnymi umiejętnościami i materiałami obchodzić. Wszystkie uzyskane informacje podawano do publicznej wiadomości, a za ich używanie płaciło się odkrywcom i pośrednikom. Stopniowo prawa te objęły również inżynierię. Od czasu wojny Hanturiego działało to w ten sposób praktycznie bez problemów, może właśnie dlatego zwycięscy generałowie stali się tak mocni i nie mieli kłopotów z pilnowaniem tak dogodnych dla nich praw. Był tu wprawdzie jeden mały wyjątek, krótkotrwała utarczka o kopalnie miedzi, o których dowiedziano się z pamięci uszkodzonego bota.

Porzuciłem rozmyślenia i zabrałem się do pracy, Rigajevjuż wykonał spory kawał roboty.

– Wyraźnie widoczne są masywne żebra przypominające klatkę piersiową. Ich powierzchnia jest lustrzana gładka, przy uderzeniu brzmi metalicznie. Żebra, nadal będą używał tego terminu, są wyprofilowane i obrotowe dla zminimalizowania skutków postrzału z broni kinetycznej – nagrywał swoje spostrzeżenia.

Miał rację, nie zauważyłem tego z początku, ale każde żebro miało inny przekrój i było obrócone pod innym kątem w stosunku do pozostałych. Żebra w przedniej części klatki piersiowej miały wytrzymać trafienie czołowe, te pośrodku korpusu natomiast trafienie z boku.

– Do czego właściwie służą? Czy klasyczny pancierz nie byłby lepszy? – zapytałem Rigajeva.

Tylko na mnie spojrzał i kontynuował dyktowanie: – Żebro na pierwszy rzut oka wygląda na czarne lub przynajmniej bardzo ciemne. To znaczy, że odbija minimalną część światła widzialnego. Stwierdziłem, że światło różnych długości fali przenika na różne głębokości. To skłania mnie do postawienia hipotezy, że pełni ono funkcję fotoogniwa. Prawdopodobnie objętościowego.

O tym nie pomyślałem. Uderzyłem w żebro kluczem montażowym. Poczulem, jakbym stuknął w element metalowy, odgłos zabrzmiał tak samo.

– Jego odporność mechaniczna jest porównywalna co najmniej do wysokogatunkowej stali -nagrywał dalej Rigajev. – Na podstawie naszych poprzednich doświadczeń sądzę, że nawet większa.

Zostawiłem go z jego dyktowaniem i stanąłem obok zaokrąglenia na nodze mniej więcej na wysokości mojej głowy. Mógł to być odpowiednik stawu kolanowego, ale nie dostrzegłem sposobu, w jaki został wykonany, ponieważ części ruchome ukryte były pod biologicznie ukształtowaną powierzchnią, będącą równocześnie pancerzem.

– To chyba samo wyrosło – mruknąłem. – W inny sposób nie byłoby to możliwe.

– Ciśnienie metalurgiczne – powiedział Rigajev. – To jest technologia, która umożliwiłaby coś takiego. Kiedyś, przed wojną, ludzie dysponowali taką technologią. Teraz już nie. Oczywiście nie wiem, czy ten bot został wyprodukowany przy użyciu ciśnienia, czy też całkiem innym sposobem. -Znów mówił głośno i wyraźnie, żeby każde jego słowo zostało zapisane. – Sterujący hardware, aparat ruchowy i inne konieczne elementy obsadzone są bezpośrednio w szkielecie. Do walki na dalszych dystansach bot jest wyposażony w dwa działka rotacyjne. Nie używał ich, prawdopodobnie z braku amunicji. Konstrukcja bota nie umożliwia zabudowania klasycznej broni większego kalibru.

Z tym się zgadzałem.

– Bezodrzutową czterdziestkę pewnie by uniósł i mógłby jej używać nawet w ruchu, jeśli byłaby właściwie zainstalowana – powiedziałem. – Większy kaliber nie jest określeniem precyzyjnym.

– Czy możesz to powtórzyć? – poprosił Rigajev, odwracając ku mnie mikrofon.

Powtórzyłem.

– Na jakiej podstawie tak uważasz?

– Na podstawie mojego doświadczenia z konstrukcją zdalnie sterowanych maszyn przeznaczonych do ochrony pól – odparłem.

Rigajev przytaknął i wrócił do swojej pracy.

– Masę bota oceniam na...

W przybliżeniu osiem ton, dokończyłem w duchu.

– ...około osiem ton – powiedział Rigajev.

Potem jego zapisy dotyczyły spraw, które już dawno przemyślałem. Dinobot był niezwykle ruchliwy i bardzo szybki. Nie umiał wspinać się na skały, ale zdolność pokonywania terenu miał o wiele wyższą od czołgu. Swoimi potężnymi szczękami mógł się z łatwością przegryzać przez lekki pancerz.

Rigajev zatrzymał się obok głowy. Metalowa czaszka była długa na dobre dwa metry i osiągała półtora metra szerokości. To wystarczało, żeby stereoskopowe widzenie bota zauważyło wszystko, co tylko biegło po tej planecie.

Cała ta konstrukcja nie wygląda na dzieło człowieka, pomyślałem, przyglądając się zdumiewającemu zestawowi urządzenia tnącego w paszczy dinozaura. Może to skonstruował komputer, może sztuczna inteligencja, albo powstało w wyniku ewolucji.

Rigajev podszedł do jednego z ramion i zauważyłem, że po raz pierwszy sprawiał wrażenie trochę niepewnego. Gapie też to zauważyli i ucichli.

– Rexemachina – mruknął jeden z nich i odsunął się o parę kroków.

Nie zrozumiałem tego mamrotania, moją uwagę przykuł znowu Rigajev.

– Temperatura bota jest taka sama jak otaczającego nas powietrza, sprawdziłem kamerą cieplną – kontynuował swój monolog. – Należy przypuszczać, że jego źródła energetyczne są już wyczerpane.

Przerwał na moment, jakby rozmyślając nad swoimi słowami.

– Konstrukcja broni zaczepnej bota nie jest jasna i wygląda na złożoną. Jednak byliśmy świadkami jej nadzwyczaj sprawnego działania – znów zaczął nagrywać.

Zatrzymał się jednak i przekazał mi kamerę.

– Podajcie mi jakiś drąg – zwrócił się do gapiów.

Po chwili jeden z nich przyniósł stalową lagę. Rigajev ujął ją

ostrożnie, musiał do tego użyć obu rąk, tak była długa i ciężka.

– Drąg holowniczy – mruknąłem, celując w Rigajeva kamerą.

Odsunął się od głowy dinobota i wraził drąg pomiędzy szczęki. Nie zauważyłem, co się właściwie stało, nagle pojawił się tuman kurzu, w uszach mi dzwoniło od wycia piły wibracyjnej, a Rigajev stał o dwa metry od bota. Z drąga, który trzymał w rękach, pozostał tylko ułomek.

Gapie uciekali. Nie było takiej potrzeby, ponieważ bot znów znieruchomiał.

– Był chłodny. – Rigajev splunął ze złością. – Akumulatory powinny być wyczerpane. – Odrzucił ułomek drąga. – Chyba została w nim jakaś szczątkowa energia.

I ta resztkowa energia zdołała zmienić dwa metry stali w drobne opiłki.

– Naciągnąłem sobie coś w pachwinie, kiedy odskakiwałem, muszę przerwać na jakiś czas -warknął Rigajev. Był blady, wyglądał na wstrząśniętego. – Głowy już więcej nie dotknę i tobie też nie radzę. Badanie kadłuba, kończyn i kręgosłupa będę kontynuował, jak trochę odpocznę.

Wcale mu się nie dziwiłem.

– Oczekiwałem od ciebie więcej zapachu naukowego – oznajmiłem.

– O mało nie zginąłem. – Popatrzył na mnie apatycznie. – Z tego drąga pozostały tylko małe opiłki.

Miał rację, starałem się go tylko jakoś pobudzić. Sam bym chętnie na tę sekcję machnął ręką.

Powrócił do pracy po jakiejś półgodzinie. Ciekawskich ubyło, a ci, którzy pozostali, cofnęli się sporo dalej. Asystowałem Rigajevowi przy rozcinaniu złącza stawowego, jak mi się wydawało, kolana stwora. Było chronione dziesięciocentymetrową warstwą metalu o skomplikowanej strukturze wewnętrznej, co powodowało, że musieliśmy niszczyć jeden element po drugim. Cały czas oczekiwałem na chwilę, w której odkryjemy te polimetaliczne mięśnie, ale w końcu zrozumiałem, że to metal jest tym mięśniem.

Potwierdził to Rigajev, który badał właściwości metalu na różnych głębokościach, licząc od jego powierzchni zewnętrznej, jednym ze swoich podręcznych urządzeń.

– Im głębiej, tym jest bardziej ściśnięty – komentował – w zależności od potencjału elektrycznego. Nie tak jak poprzecznie pręgowane mięśnie, ale wystarczająco do płynnego i efekownego poruszania się.

W końcu udało nam się odsłonić staw. W odróżnieniu od pozostałych materiałów, jego powierzchnia była aż diamentowo błyszcząca.

– Wanad, wolfram, molibden, chrom – odczytywał Rigajev z ekranu spektroskopu. – I inne dodatki. To z pewnością bardzo twarde i wytrzymały stop.

– Spróbujesz to przeciąć?

Męczyliśmy się ze dwie godziny ze szlifierką z węglików spiekanych, lecz nasze postępy były tak mizerne, że nikogo to już nie interesowało, a załogi wozów napinających liny zabawiały się grą w karty.

– Spróbujemy – potwierdził, zakładając nową, tym razem diamentową tarczę.

Gdy i ta się zużyła, przerwał pracę.

– Powinienem był wybrać mniejszy staw, choć nie wiadomo, czy byłby konstrukcyjnie taki sam -rozmyślał na głos, czoło i kark miał błyszczące od potu.

Chciałem go zmienić przy pracy, ale chyba uważał, że wszystko musi zrobić sam. To już jego problem.

Obserwowałem w milczeniu, jak ludzie Cautskiego demontują i odnoszą wszystko, co było użyteczne. Powróciłem myślami do chwili, w której dinobot jednym uderzeniem swych polimetalicznych mięśni podrzucił dziesięcotonowy transporter do góry. Może się myliłem co do tego czterdziestomilimetrowego działka, może był zdolny do używania jeszcze większego kalibru? Ale takiego nie miał. A jego gatlingom brakowało amunicji. To było typowe, nigdy nie spotkałem bota, który używałby broni

strzeleckiej.

Zauważyłem, że dwóch mechaników zaczęło wypompowywać paliwo ze zbiornika zniszczonego transportera. Nie przypuszczałem, że do tego dojdzie, jednak oni wiedzieli, co robią. Paliwo było dla nas niezwykle ważne, a w zbiorniku pozostało jeszcze kilka litrów.

– Skończyłem. Co mamy, to mamy. Dalej się tą bestią zajmować nie będę. – Rigajev wskazał na dinobota.

Udało nam się odciąć tylko kilka drobnych części. Ale rozumiałem go, sam skończyłbym wszystko w momencie zagrożenia tnącymi szczękami.

Ponieważ już mnie nie potrzebował, zacząłem robić kawę i kątem oka obserwowałem, co się dzieje w obozie. Zabici zostali pochowani jeszcze poprzedniego dnia wieczorem, miejsce ich ostatniego spoczynku oznaczały mogiły usypane z wielkich głazów. Ta praca pomogła wszystkim, ludzie otrząsnęli się z szoku. Dziś już wszystko wyglądało normalnie.

– Rigajev? – zwrócił się do niego kapitan.

– Tak, panie kapitanie?

– Czy próbował pan dostać się do wnętrza? – Knispel spojrzał na głowę bota, skrywającą prawdopodobnie jego system sterowania.

Rigajev przytaknął ze znużeniem.

– Tak, panie kapitanie – odparł zgodnie z protokołem komunikacyjnym. – Daleko nie dotarłem. Sądzę, że to lepszy komputer niż mój.

– Niech pan użyje komputera czołgu. Są w nim przygotowane pewne wstępne protokoły, proszę je zastosować.

– Rozkaz, panie kapitanie.

Zostawiłem Rigajeva z tą robotą, zadowolony, że mnie żadnej kolejnej nie przydzielono.

Pomyślałem, co robi Natasza. Może nic, może tylko próżnuje, a może pomaga ojcu. Zauważyłem, że jest praktycznie jego handlową asystentką, a Valerie i Elizabeth dawały to do zrozumienia w naszych rozmowach.

Przespacerowałem się nieco, żeby nie tkwić beczynnie

w miejscu. Tylko pomagałem Rigajewowi, a mimo to czułem się zmęczony. Było to raczej psychiczne niż fizyczne zmęczenie, ale i tak nie zależało mi na jakichkolwiek dalszych rozkazach. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, co mi bardzo odpowiadało. Znow zacząłem obserwować okolicę. Kucharze krzatali się przy kuchni polowej, mechanicy zajmowali się maszynami, inni sprawdzali stan ładunków.

Jednak trzy największe transportery ciężarowe pana Camuviego pozostawały zamknięte i opuszczone. Zastanowiło mnie to, po takiej dzikiej jeździe właściciel mógłby zainteresować się stanem ładunku.

Natomiast obok wozu Cautskiego pracowało kilku ludzi, wznosząc maszt zwieńczony dużą anteną. Maszt był naprawdę bardzo wysoki i jego budowa kosztowała załogę sporo trudu.

– Obijasz się – rzekł do mnie Marlon, wynurzając się zza czołgu.

– Tak – nie zaprzeczyłem.

Woda już się zagotowała, poszedłem przyrządzić kawę. Zbyt długo gotowana woda nie jest dobra, przynajmniej mnie się tak wydaje.

– Że też im się chce coś takiego robić, jutro będą musieli wszystko zdemontować – zauważyłem, nalewając kawę do przygotowanych kubków.

Marlon głęboko wciągnął powietrze.

– Też im się dziwię. Pachnie wspaniale. – Sięgnął po kubek.

Napił się i przez chwilę wraz ze mną obserwował pracę ludzi Cautskiego. Pomiedzy nimi zauważyłem samego pana Camuviego.

Maszt liczył co najmniej sześćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów, samo zmontowanie go nie było proste.

Informacja, którą za jego pomocą zamierzano przesłać, musiała być bardzo ważna.

Zapach kawy przyciągnął Cyra i Katzinskiego. Obaj mieli ręce usmarowane olejem, pracowali wewnątrz czołgu nad mechanizmem ładowania działa.

– Zainstaluję na lufie pomocniczą antenę. Uniesiesz ją później do maksymalnej wysokości -powiedział Marlon do Katzinskiego.

– Żaden problem.

– Do czego ci to potrzebne? – nie rozumiał Cyr.

– Ciekawi mnie, co Camuvieli chce usłyszeć albo co przekazać, może uda się czegoś dowiedzieć.

– Możemy posłać drona – podsunął Rigajev.

Katzinski spojrzał na niego i pokręcił głową. Sprawa musiała go zainteresować, bo bywały dni, kiedy nie wypowiedział ani jednego słowa.

– To by wszyscy zobaczyli i musielibyśmy się tłumaczyć. Camuvieli dowiedziałby się, że podsłuchujemy.

– Czy ty coś podejrzewasz? – zapytałem Marlona. Zazwyczaj nie był tak aktywny, wolał mieć święty spokój.

– Nie podobają mi się te echa radarowe, które wczoraj kilkakrotnie przechwyciliśmy. Zauważyłem też, że ludzie Cautskiego pełnią dyżur przy karabinie maszynowym. Obserwują niebo, szykują obronę przeciwlotniczą.

Słowo „przeciwlotnicza” było zdumiewające, ponieważ stara orbitalna technika nie pozwalała nam na loty. Jak dotąd nie zetknąłem się z bojowymi dronami ani też pterobotami, ale to nie znaczyło, że nie istnieją. Może Camuvieli obawiał się dronów zwiadowczych, a do zestrzelenia takiego wystarczał karabin maszynowy z dobrą optyką.

Kolacja jak zawsze była wspólna, przy stole przysiadł się do mnie Herbert Camuvieli. Zanim zaczęliśmy rozmawiać, pomachał do kogoś za moimi plecami i za moment dołączyły do nas Natasza, Valerie i Elizabeth.

– Cały dzień cię nie widziałem, gdzie się podziewałaś? – zwrócił się Herbert do Nataszy.

– Znasz tatę. – Wzruszyła ramionami. – Musiałam pracować.

Posłała mi zmęczony uśmiech, ale równocześnie nie wyglądała na to, żeby jej ta praca przeszkadzała. Była zmęczona, lecz zadowolona.

Herbert tylko przytaknął i zabrał się do jedzenia, pozostali raczej gmerali w posiłku. Ja natomiast czułem się wściekle głodny.

Przez chwilę rozważałem, czy powinienem zapytać o ten maszt, jednak się nie zdecydowałem. Nie chciałem, żeby rozmowa zeszła na interesy jej ojca.

– Ta sekcja bota była raczej straszna. Muszę przyznać, że się trochę bałam – zmieniła temat Valerie, patrząc na mnie. – Obawiałam się, że ten bot się przebudzi i wszystkich nas pozabija.

Ja też się obawiałem, a Rigajev chyba najwięcej.

– Zaskoczył nas – przyznałem. – To jest... – przez moment szukałem odpowiedniego słowa -najdoskonalszy bot, jakiego spotkałem, o jakim słyszałem, a nawet jakiego potrafiłem sobie wyobrazić.

– W botopedii znajdują się setki typów. – Herbert wzruszył ramionami i otarł sobie usta, jego miska była pusta.

Botopedia była moją biblią, sam zresztą dodałem do niej dwa zapisy, z których byłem dumny. Zdziwiło mnie jednak, że Herbert o niej wie. Była to w końcu literatura techniczna, encyklopedia tworzona na całym obszarze cywilizacji, katalog botów i zbiór wszystkich znanych informacji o nich, który stale się rozszerzał.

– Jeśli się nie obrazisz, kuzynku, chętnie się podzielę. – Z tymi słowy Natasza podsunęła ku niemu swoją porcję.

Kiedy tak siedzieli obok siebie, starałem się znaleźć jakieś podobieństwo między nimi. Ale go nie było, może dlatego, że Natasza była kobietą i bardzo mi się podobała.

– Czasem opłaca się mieć rodzinę – zaśmiał się Herbert, zabierając się do jedzenia.

Moja porcja całkiem mi wystarczyła, natomiast nasza mnie ochota na kieliszek wódki. Niestety, żadnego w pobliżu nie było.

Z nastaniem wieczoru ruch w obozie się zmniejszył, ludzie z cicha rozmawiali przy stołach, niektórzy szykowali się już do snu.

– Więc czy ten bot jest w botopedii, czy też nie? – Valerie wróciła do poprzedniego tematu, zwracając się do mnie, jakby do głównego autorytetu. – Nie podoba mi się, że jedziemy w czymś, co nie jest

zabezpieczone przed atakiem maszyny znanej nam od dawna – wyjaśniła.

Botopedię znałem niemal na pamięć. Wiedza o tym, czego można się spodziewać po bocie, była jedynym sposobem przeżycia. To u nas w domu wiedzieli wszyscy.

– Takiego bota nikt nigdy dotąd nie widział. A raczej nikt nie był zdolny przekazać o nim informacji – dodałem.

– Denerwuje mnie, a może jestem wystraszona, że podróżujemy po opuszczonej ziemi, gdzie grasują maszyny, o których nikt niczego nie wie!

Valerie zamilkła i wbiła wzrok w stół, widziałem, jak szybko oddycha. Naprawdę się bała, choć starała się stłumić swój strach i wrócić do równowagi.

Zdawałem sobie sprawę, że dla innych wczorajsza bitwa musiała być o wiele gorszym przeżyciem niż dla mnie. Ja boty i mechanoidy do pewnego stopnia znałem.

Natasza objęła Valerie za ramiona, a ta się częściowo rozluźniła, jakby w dotyku koleżanki poczuła się bezpieczniej.

– Został już tylko kawałek drogi i wreszcie zawrócimy z tej ziemi niczyjej, pozostał nam tylko jeden dzień – uspokajała ją dalej Natasza.

Valerie nie spuszczała ze mnie wzroku, czekając na to, co powiem.

Nazajutrz powinniśmy dotrzeć do skrzyżowania przedwojennych autostrad i skręcić na południowy wschód. Teren był znacznie gorszy, niż przypuszczaliśmy. Z jednego planowanego dnia podróży zrobią się prawdopodobnie trzy, ale nie był to dobry czas, żeby o tym mówić.

– Jutro zaczniemy wracać do cywilizacji, więc na pewno będzie lepiej – powiedziałem. Na wszystkich podziałało to jak dawka środka antydepresyjnego, a najbardziej na Valerie.

Jeszcze przez pewien czas gawędziliśmy, lecz wieczór szybko dobiegał końca. Myślałem, że uda mi się wyciągnąć Nataszę na przechadzkę, ale kiedy zobaczyłem, jak Valerie zależy na jej

obecności, porzuciłem tę myśl.

– Spotkamy się jutro przy kolacji? – pożegnałem się pytaniem.

– Jasne, zagramy w szachy albo omówimy nowoczesne kierunki teatralne, których zupełnie nie rozumiesz.

Valerie pierwsza zaczęła się śmiać, a za nią wszyscy pozostali.

– O co wam chodzi? – nie zrozumiał Herbert.

W ciągu ostatnich dni stracił większą część swojego miejskiego szyku i wyglądał teraz jak wagabunda. Ale nadal był bardzo sympatyczny, może nawet sympatyczniejszy niż przedtem.

– Pozwolę sobie stwierdzić, że Sanders nie miał na myśli kolacji z tobą. – Elizabeth spojrzała na Herberta z rozbawieniem.

– Rzeczywiście nie? No to jak się chcecie bawić?

Odszedłem, słysząc za sobą głośny śmiech. Cieszyłem się na jutrzejszy wieczór.

* * *

Wszyscy oprócz kapitana leżeli u sutego ogniska. W dzień ktoś zadał sobie trud i nazbierał dostateczny zapas porozrzucanego dookoła suchego drewna. Ognisko sprawiało o wiele przyjemniejsze wrażenie niż światło gazowej lub naftowej lampy.

Rigajev drzemał, demontaż, czy raczej sekcja, dał mu się we znaki. Marlon huśtał w ręce blaszankę i coś z niej ze smakiem popijał. Zawsze zadowalał się jednym drinkiem, wyglądało na to, że oszczędza swoje zapasy. Katzinski jak zwykle coś robił, czyścił jakąś drobną część, do daszka miał przytwierdzone szkło powiększające. Bardzo użyteczna do różnych celów czapka, musiałem przyznać. Nigdy go jeszcze nie widziałem siedzącego bezczynnie. Cyr po prostu bawił się ogniem, wkładając w płomień gałązkę po gałązce.

Popatrzyli na mnie, ale nikt nic nie powiedział. Tak jak kilka razy przedtem, wydało mi się, że nie należę do zgranego zespołu załogi. Na początku trochę mi to przeszkadzało, z czasem się przyzwyczaiłem. Jako zespół działaliśmy doskonale, a ja nigdy zbyt nie zaprzyjaźniałem się z ludźmi. Nie przeszkadzałem im w wieczornej sjeście, wyciągałem ze schowka wszystko, co

uznałem za potrzebne, dodałem do tego latarkę o jak najmniejszym poborze prądu i okulary noktowizyjne. W końcu taśmę klejącą i cztery dwudziestopięciolitrowe kanistry. Skleiliśmy je po dwa, żeby wygodniej było je nieść. Miałem nadzieję, że będą napełnione.

Bez hałasu, ale nie kryjąc się, przeszedłem do zniszczonego transportera, leżącego nieopodal.

Z jego powodu musieliśmy rozszerzyć sieć czujników.

Nadal spoczywał kołami do góry, bo nie było sensu trudzić się jego przewracaniem. Dzięki temu miałem nadzieję, że po dość niestarannej pracy mechaników Cautskiego uda mi się pozyskać nieco paliwa. Sporo wysiłku kosztowało mnie dostanie się do wnętrza przewróconego pojazdu, gdzie ustawiłem latarkę i zasilanie noktowizora tak, żeby widzieć potrzebne detale, nie wzbudzając niczyjzego zainteresowania. Potem zabrałem się do pracy.

Trudno mi szło, bo wszystko było do góry nogami, co utrudniało orientację, a akumulatory częściowo się rozładowały. Zlewanie paliwa nie okazało się zbyt trudne, ale przy każdym zasysaniu wpadało mi parę kropel do ust, a nie miałem palinki, żeby spłukać wstrętny smak.

Odgłos ciekącego paliwa był jednak wystarczającą nagrodą. Jeden, drugi, trzeci kanister. To był wspaniały wynik, choć miałem nadzieję na więcej. Ten typ transportera miał dwa zbiorniki. Jednak drugi był gorzej usytuowany, a dostęp doń utrudniony. Udało mi się jednak dostać i do niego i napełnić czwarty kanister, a potem piąty, który znalazłem we wnętrzu pojazdu. Kiedy wszystkie je wywlokłem na zewnątrz, byłem spocony jak mysz.

Zapomniałem przełączyć noktowizor i ostry blask gwiazd boleśnie poraził moje oczy. Stuknąłem w wyłącznik i odczekałem chwilę, żeby odzyskać ostrość widzenia. Oceniałem, że minęła już minimum jedna trzecia nocy. Po zatechłym wnętrzu transportera świeże powietrze smakowało wspaniale.

Nareszcie odzyskałem sprawność widzenia i ustawiłem kanistry na piasku. Sto dwadzieścia pięć litrów, to się naprawdę opłaciło.

Oblepiłem kanistry taśmą, żebym mógł je nieść wszystkie pięć,

dwa w jednej ręce, trzy w drugiej. No i żeby nie hałasowały, objając się o siebie. Naraz oślepił mnie blask latarki. Stary noktowizor natychmiast się przestroił.

– Wiedziałem, że spróbujesz coś ukraść – odezwał się znany mi już głos.

Chłopisko, które powaliłem kolbą śrutówki. Teraz też nie był sam. Żałowałem, że nie mam ze sobą broni. Błąd, za który przyjdzie zapłacić.

– Wyście już tu skończyli, zabraliście wszystko, co wam było potrzebne – tłumaczyłem, dobrze wiedząc, że to na nic.

Mieli rację, to paliwo było ich. Jeśli się przy tym uprą, będę musiał je oddać. Kilka godzin pracy pójdzie na marne. Zresztą im nie chodziło o paliwo, mieli go pod dostatkiem.

Zacząłem ich widzieć, trzy sylwetki, ten, który mówił, pośrodku.

– Myślę, że należy ci się mała lekcja.

No tak, to był powód, dla którego tu na mnie czekali. Albo mnie zauważyli, albo przewidzieli mój zamiar. Obuszek świsnął w powietrzu, to była tylko próba zastraszenia, dopiero się szykowali. Ucieczka wydawała się najmądrzejszym rozwiązaniem, ale oni rozstąpili się, blokując mi drogę powrotną. Za plecami miałem tylko transporter.

– To będzie bolało, możesz być pewny. – Środkowy ruszył na mnie.

Nazywał się Hacknesmith, przypomniałem sobie. Powinienem był się nim zainteresować, sprawdzić, kto to taki, i przewidzieć jego reakcję. Cofnąłem się aż do ściany transportera, upuściłem trzy związane kanistry, dwa złapałem w ręce, jakby to był taran, i skoczyłem na tego z obuszkim. Uderzyłem go w ramię, ale nie z całej siły, ponieważ cios kanistrów wybił go z równowagi. W chwilę później puściłem kanistry i skoczyłem przeciwko temu z prawej, który się na mnie rzucił. Zdawało się, że z pustymi rękami. Po chwili wściekle tarzaliśmy się po ziemi, chciałem się od niego uwolnić, ale trzymał mnie mocno. Widziałem dwie pary ciężkich butów blisko mnie. Kopniak, drugi, ten na szczęście dosięgnął

mojego przeciwnika.

– Kurwa! Uważajcie! – ryknął.

Spróbowałem uderzenia głową, lecz nie miało wystarczającej siły i się ześliznęło.

Cios, westchnienie, odgłos upadku ciała na ziemię.

Nie wiedziałem, co się dzieje, turlając się po ziemi ze swoim przeciwnikiem.

Dobiegł mnie odgłos rozdieranego materiału, bolesny jęk, trzeszczenie stawów naciągniętych do granic wytrzymałości.

Nadal nie wiedziałem, co to wszystko znaczy, ale nikt już mnie nie kopał. W końcu udało mi się złapać jedną ręką za kołnierz kurtki przeciwnika, drugą zaprzeć o potylicę i przydusiłem go.

– Cholera, nie mieszaj się do tego – usłyszałem sapanie Hacknesmitha. Miał do czynienia z kimś innym, nie ze mną.

Nieco dalej trzeci napastnik oddychał ciężko, starając się podnieść na nogi.

– Jeżeli się ruszysz, zwałę cię z powrotem na ziemię i tym razem już nie dasz rady wstać -pознаłem głos Cyra.

Tymczasem mój przeciwnik zemdłał, duszenie okazało się skuteczne. Puściłem go i stanąłem z trudem na nogi.

Hacknesmith nie był ułomkiem, ale w objęciach Cyra prawie zniknął. Wił się na wszystkie strony, starając się wyzwolić z bolesnego uścisku.

Podniosłem nogi swojego przeciwnika, żeby krew szybciej napłynęła mu do mózgu. Potem poszukałem noktowizora, który spadł mi z głowy podczas bójki. Znalazłem go i schowałem do kieszeni, jego odporna konstrukcja wytrzymała upadek. Okazał się bardzo pomocny, postanowiłem włączyć go do swojego codziennego wyposażenia. Przynajmniej do czasu, kiedy będę musiał zwrócić noktowizor Knispelowi, ponieważ należał do wyposażenia czołgu.

– Co z nimi zrobimy? – zapytał Cyr spokojnie.

Latarka podczas walki odtoczyła się w bok, mój niedawny przeciwnik leżał w cieniu i kontrast między światłem a ciemnością

spowodował, że go nie zauważyłem, ale posłyszałem jego głośny oddech.

– W porządku? – zapytałem go.

– Tak, tak – odpowiedział niepewnie. – Co się stało?

Przyduśliłem faceta do utraty przytomności i teraz był zdezorientowany.

– Możesz wstać?

– Może tak, chyba tak.

– No to wstań i idź do obozu.

Hacknesmith jęknął w uścisku Cyra, próbując się uwolnić.

– Ty też – zwróciłem się do człowieka, którego Cyr powalił od razu na początku bójki.

– Nie zostawimy go tu z wami – zaprotestował niemrawo.

Rozumiałem go, byli załogą, powinni polegać na sobie nawzajem.

– Hacknesmith, co z tobą? – zwróciłem się do skurczonej postaci.

– Jeśli cię puścimy, odejdziesz spokojnie?

– Pierdol się. – Splunął w moim kierunku.

Cyr z pozoru nawet się nie poruszył, ale trzask stawu usłyszałem wyraźnie.

– Wure, zostaw ich, znikamy stąd. – Kumple próbowali przemówić mu do rozsądku.

– Ale paliwo jest moje – dodałem.

Cyr był niewiarygodnie silny i umiał ze swojej siły korzystać. Przewidywałem, że zaraz zaczną wykręcać stawy albo łamać kości.

– Dobra, dobra, to zasrane paliwo jest twoje. – Hacknesmith zrezygnował z dalszego oporu.

Jakby ktoś machnął czarodziejską różdżką, uścisk Cyra rozluźnił się i Hacknesmith zrobił kilka chwiejnych kroków, utrzymując się jednak na nogach.

– Idziemy – udało mu się zwrócić do towarzyszy.

Posłuchali go bardzo chętnie.

Odetchnąłem głęboko. Bijatyka była krótka, ale czułem się jak tłok, który uderzył w zawór.

– Myślę, że się z tym nie pogodzi, prędzej czy później będziesz

musiał go zabić. Lepiej prędeż, zanim on zabije ciebie – poradził mi Cyr.

To mnie zaniepokoiło. Cyr okazał się twardszy, niż przypuszczałem.

– Też stąd chodźmy – powiedziałem, kierując się ku kanistrom.

Te dwa, których użyłem jako tarana, odczepiły się od siebie, ale nie były uszkodzone. Wziąłem po jednym do każdej ręki, Cyr tymczasem podniósł pozostałe trzy. Gdybym utracił to paliwo, byłbym naprawdę wściekły.

– Skąd się tu właściwie wzięłeś? – zapytałem Cyra.

– Jesteś jednym z nas. – Wzruszył ramionami. – Musimy na siebie uważać.

Nic nie odpowiedziałem, przecież jeszcze przed kilkoma godzinami miałem wrażenie, że nie należę do załogi.

– Niezły łup. Niezła robota – powiedział Cyr z zadowoleniem, potrząsnął kanistrami, patrząc przy tym na mnie.

Żałowałem, że jego twarz wygląda w noktowizorze jak maska zombie i nie wiem, jaką ma teraz minę. Mimo to miałem wrażenie, że coś się zmieniło, jakby mnie naraz bardziej szanował, bardziej cenił. Przeżyliśmy już razem kilka niebezpieczeństw, a jego opinia o mnie zmieniła się na lepsze, ponieważ zyskałem sto dwadzieścia pięć litrów paliwa? Może miał inne priorytety.

Razem wróciliśmy do naszego obozu. Kuśtykałem z wysiłkiem, każdy ruch mnie bolał. Cyr machnął mi na pożegnanie i zniknął w swojej jamie w cieniu czołgu, jakby obicie dwóch tęgich chłopów było dla niego czymś zwyczajnym.

Rozebrałem się ze stroju roboczego, pozostawiłem go na zewnątrz, aby wywietrzał zapach paliwa, umyłem się porządnie, nałożyłem czystą koszulkę i z nieopisaną ulgą wpełzłem do śpiwora.

Słyszałem, jak Marlon, siedząc przy radiu wewnątrz czołgu, stara się z nocnego nieba wyłowić jakieś sensowne wiadomości, słyszałem szelest ziarenek piasku podnoszonych słabymi podmuchami wiatru. Wszystko mnie bolało, byłem pobudzony po bójce, pełny adrenaliny i sądziłem, że nie zasnę aż do rana.

Zasnąłem jednak dość szybko.

Obudziłem się ostatni. Dzień zacząłem od przelania przez filtr zawartości wszystkich kanistrów do zbiorników czołgu. Pogwizdywałem przy tym z zadowoleniem, a kiedy skończyłem, okazało się, że pozostali przez cały czas mi się przyglądali. Katzinski równocześnie gotował kawę i podgrzewał porcje śniadaniowe. Były to codzienne, rutynowe czynności i naraz uświadomiłem sobie, że dziś kolej wypada na mnie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, wziąłem swoją szczoteczkę do zębów i poszedłem zrobić poranną toaletę. Wysikałem się bliżej niż w przepisowej odległości od obozu, za godzinę mieliśmy ruszać dalej i nie miało to już znaczenia.

Po powrocie ujrzałem kapitana, to było niecodzienne wydarzenie, zobaczyć go poza czołgiem. Oparty o gąsienicę przyglądał się dzikiej, nieprzystępnej krainie rozciągającej się po naszej lewej stronie, jakby tam mógł cokolwiek dostrzec.

– Śniadanie i kawa – oznajmił Katzinski.

Obserwowałem, jak nalewa kawę do przygotowanych blaszanych kubków i nakłada ciemne porcje pachnące słoniną i jajkami. Wyglądały nieszczególnie, ale smakowały lepiej niż dobrze. Wygląd był zawsze gorszą stroną odwodnionych zapasów podróży.

Kapitan jak zwykle zadowalał się połową porcji. Totalny asceta starający się nie wyglądać na ascetę, określiłem go w myślach, co mnie nieco rozbawiło.

– Ktoś nas śledzi – powiedział Marlon z pełnymi ustami. – W nocy wysłali w powietrze drona, słyszałem, jak się z nim komunikują, ale zakodowali przekaz. Potem starali się połączyć z kimś na falach długich, ale nie można było niczego zrozumieć. To już nie było zakodowane, tylko sygnał zanikał.

– Masz to nagrane? – zapytał Rigajev.

– Jasne. Ktoś się bardzo interesuje panem Camuvielim – zakończył Marlon.

Liofilizowane jedzenie z konserwy miało czasem lekko metaliczny posmak, już jako małe dziecko starałem się odgadnąć,

jaki to metal. Dziś był to słonawy smak żelaza. Nie przeszkadzało mi, śniadanie było o wiele lepsze niż te, które jadałem w domu.

Kapitan nas słyszał, jednak na razie nic nie mówił.

Skończyliśmy jedzenie, podczas gdy ruch wokół się nasilał, wszyscy szykowali się do odjazdu. Oczekiwałem, że wczorajsza bijatyka będzie miała swój dalszy ciąg, może pojawi się Hacknesmith wraz z samym Cautskim, ale nic podobnego nie nastąpiło. Wszyscy tam mieli mnóstwo pracy z pakowaniem i demontażem masztu antenowego.

– Balducci – Knispel zwrócił się najpierw do Marlona – proszę o dokładny meldunek o sygnałach przechwyconych w nocy. Rigajev, proszę o ocenę wyników waszej wczorajszej sekcji. Wspólnie też przejrzymy planowaną na dziś trasę i mapę okolicy. Cyr, proszę przydzielić Sandersowi broń osobistą i dopilnować, żeby ją miał zawsze w swoim kokpicie.

Zaskoczył mnie ten rozkaz, myślałem, że moją broń osobistą stanowi pistolet, który odkładałem na bok, kiedy tylko było to możliwe, bo podczas siedzenia w kokpicie ugniatał mnie w bok.

– Katzinski, zmieniłem rozplanowanie amunicji, proszę o dokonanie zmian według zapisów w dzienniku pokładowym czołgu.

Spokojne śniadanie zakończyło się serią rozkazów.

Cyr dał mi znak, żebym został na miejscu, i zniknął w czołgu. Znów podziwiałem, jak doskonale pokonuje wąski właz pomimo swej ogromnej postury. Może miał wrodzony talent, a może nabył takiej wprawy skutkiem długotrwałej praktyki.

– Twoja broń osobista. – Cyr stał obok i podawał mi znajomą śrutówkę.

– Mam kłopoty z rozmiarem pistoletu, a teraz mam ze sobą ciągać tę bestię? – spytałem z niezadowoleniem.

– No tak, jeśli cenisz sobie życie – odpowiedział Cyr. – Przypomnij sobie, jak skuteczna była przeciw botom.

– Mamy armatę, szybkostrzelne działko, karabiny maszynowe, miotacz min, rakiety – protestowałem. – A to jest...

Cyr milczał. Nawet na mnie nie patrzył, po prostu milczał i czekał. Nie trudził się, żeby mi coś wyjaśniać, czekał, aż sam to zrozumie. I miał rację. Nie zawsze mogłem polegać na ochronie pancerza i broni dużego kalibru. Wydarzenia ostatnich dni udowodniły to bardzo wyraźnie.

– Od tej chwili jesteś odpowiedzialny za jej stan techniczny – przekazał mi drugą dobrą nowinę.

Dokładnie tego potrzebowałem.

– A dlaczego z tą ciężką i niewygodną śrutówką robicie sobie tyle zamieszania? – pozwoliłem sobie na kąśliwą uwagę.

– Bo to znakomita i bardzo skuteczna broń, której już nie umiemy wytworzyć. – Cyr podał mi argumenty, o których sam wiedziałem.

Byłem trochę zaskoczony. Niewielu zdawało sobie sprawę, że z każdym dziesięcioleciem tracimy wiedzę i umiejętności technologiczne. Było to pewnego rodzaju tabu, popierane przez społeczeństwo.

Cyr wyjął z magazynka pięć naboju, pokazał mi je i włożył z powrotem. Były to nieduże walce ciemniejsze niż stal, ale jaśniejsze od ołowiu. Ich powierzchnię pokrywała sieć rowków. Ten kolor już znałem, odchudzony uran, a żłobkowanie umożliwiało zamierzoną fragmentację pocisku[3].

– Standardowy nabój ma swój zapalnik i osłonę. Ta broń ma specjalne naboje i specjalny materiał miotający, możliwe jest jej dawkowanie według potrzeby. I oczywiście w zależności od tego, co mamy na muszce. – Poklepał kolbę.

Kolba wyraźnie mieściła skrytkę, w której znajdował się ten materiał miotający.

Kciukiem otworzył pokrywkę, którą uważałem za zwykły bezpiecznik, pojawił się obrotowy przełącznik mechaniczny.

– Dawkowanie – wyjaśnił. – Nabojów, niestety, nie można wybierać, będą takie, jakie włożysz do magazynka. Jest tu jeszcze wybór między strzałem pojedynczym, natychmiastową fragmentacją i fragmentacją z opóźnieniem.

Podał mi broń.

Pokrywka przylegała tak dokładnie, że po jej zamknięciu nie było widać żadnej szpary. Oznaczało to niezwykłą precyzję wykonania oraz odporność materiału, znacznie większą niż w przypadku stali, jaką mieliśmy do dyspozycji. Znów odsunąłem pokrywkę.

– Nie widzę tu żadnego oznaczenia skali dawkowania – powiedziałem trochę niezadowolony.

Przeszkadzało mi, że sam nie zorientowałem się w działaniu mechanizmu.

– Pokręć przełącznikiem – podpowiedział mi.

Posłuchałem i poczułem delikatny opór, jak w mechanizmie zegarowym. Skala dawkowania nie była potrzebna, wystarczyło wyczuć zmianę oporu przy przekręcaniu.

– A jaki ładunek miotający się stosuje?

– Jakikolwiek – odpowiedział Cyr. – Teraz mamy tam standardowy kordyt. W sytuacji kryzysowej możesz użyć dwuskładnikowych materiałów, tak jak w armacie czołgowej, ale to zaburza nieco dokładność dawkowania.

– To znaczy, że ta broń jest produktem wyżej rozwiniętej techniki niż cały czołg – oznajmiłem. – Ale ten kordyt – przypomniałem sobie efekt towarzyszący mojemu jednemu wystrzałowi – musi być naprawdę skuteczny.

Cyr popatrzył na mnie ze swej wysokości i pozwolił sobie na jeden ze swoich rzadkich uśmiechów, na moment przestał wyglądać jak nasępiony byk.

– No tak, nawet kapitan mówił, że jesteś bardzo bystry.

Nigdy nie uważałem się za bystrego, może za cierpliwego, może nawet sprytnego, ale to nie było istotne.

– W kolbie jest zapas kordytu wystarczający na dwadzieścia standardowych wystrzałów – kontynuował Cyr. – Tutaj – wskazał przednią część kolby – jest siedem standardowych nabojów przeciwko botom. Jeśli chciałbyś ich użyć do polowania, radzę ci wybrać na cel coś wielkiego, bo jelenia to rozsiekają na kawałki. A tu jest przełącznik rodzaju ognia. – Pokazał prawie niewidoczny

suwak. – Naboje rozpadną się zgodnie z charakterem detonacji w lufie lub dopiero po jej opuszczeniu. Jak to działa, nie mam pojęcia.

Podał mi walec z matowo błyszczącego metalu. Bardzo ciężkiego metalu.

– Tu masz materiał na kolejne pociski. Wystarczy włożyć je do magazynka, o całą resztę zadba strzelba.

Uświadomiłem sobie, jak zwodnicza jest nazwa „śrutówka” w świetle świeżo uzyskanych informacji.

– Ten obrotowy przełącznik dawkowania siły ognia ma siedem pozycji. Wypróbowałem czwórkę i to zabolowało. Solidnie zabolowało – podkreślił.

Popatrzyłem na niego, zastanawiał się, co jeszcze istotnego mógłby mi powiedzieć.

– Widziałem kiedyś takiego, który wystrzelił przy nastawionej piątce. Skończyło się na złamanym obojczyku i stłuczonym stawie barkowym – powiedział w końcu.

– Aha – zareagowałem trochę niepewnie.

– Jest twoja, radź sobie z nią, jak potrafisz – otrzymałem ostatnią radę.

Cyr zabrał swój kubek z kawą, wskoczył na korpus czołgu, nie uroniwszy ani jednej kropli cennego napoju, i zajął się swoimi sprawami. Zadanie spełnione, mówiła jego zadowolona mina.

Przez jakiś czas badałem nową broń. Potrafiłbym wykonać każdą jej część w swojej pracowni, ale nie byłem pewny, czy z wymaganą dokładnością. Niczego oczywiście nie mogłem zmierzyć, choć moje doświadczone oko podpowiadało mi, że tutaj tolerancje są inne od tych, do których byłem przyzwyczajony.

Przez chwilę opuszką palca badałem gładkość poszczególnych powierzchni, zwłaszcza tam, gdzie nie były celowo chropowate dla pewniejszego uchwytu. Gładkość wydawała się o klasę wyższa niż w urządzeniach technicznych, z którymi miałem do czynienia w swojej pracy.

Wpadłem na pomysł przeprowadzenia niewielkiego testu.

Wyjąłem z kieszeni swój wieloczynnościowy scyzoryk, wybrałem nóż z diamentowym ostrzem i spróbowałem wykonać karb na powierzchni broni. Mimo usilnych starań niczego nie dokonałem. Materiał na pierwszy rzut oka wyglądał na stal, ale nie była to stal.

– No tak, to jest wojenna albo powojenna technologia, od setek lat niczego podobnego nie potrafimy wyprodukować. – Cyr potwierdził moje niewypowiedziane wrażenia.

Spojrzałem na niego. Ze względu na jego milkiwość i posturę byłem skłonny uważać go za niezbyt inteligentnego osiłka ze skłonnością do stosowania przemocy. Nie było to jednak prawdą, przynajmniej w odniesieniu do jego inteligencji.

– Masz rację – zgodziłem się z nim.



³ Fragmentacja to podział pocisku na części, podobnie jak w naboju śrutowym na pojedyncze śruciny. Jeżeli poszczególnym segmentom dostarczona jest dalsza energia kinetyczna poza samym wystrzałem, to efekt uderzenia takiego segmentu jest porównywalny z wybuchem granatu.

Rozdział czwarty



Ponieważ Camuvieli nie wydał żadnych specjalnych rozkazów, towarzyszyła nam atmosfera napięcia, ludzie zwijali obóz szybko i sprawnie, bez zwykle towarzyszących temu pogawędek i dowcipów.

Byliśmy gotowi do odjazdu piętnaście minut wcześniej niż zwykle, widziałem, że dwóch ludzi Cautskiego kręci się po obozie, zbierając wszystkie pozostałości, jakie się w nim poniewierały. Większość rzeczy mogła być powtórnie użyta lub nadawała się do recyklingu. Nie mieli zbyt dużo pracy, wszyscy już nauczyli się oszczędności.

Popatrzyłem na Rigajeva, który wyglądał ze swego nawigatorskiego kokpitu, czy i on spostrzegł napiętą atmosferę.

– Coś się panu Camuvielemu nie podoba – stwierdził.

Zobaczyłem, że dwóch ludzi Cautskiego w kompletach balistycznych i z bronią stało przed osobistym transporterem handlowca.

– Powiedziałbym, że jest inaczej – nie zgodziłem się.

Rigajev spojrział na mnie pytająco.

– Czegoś się obawia.

Konwój ruszył w drogę. Przerwaliśmy rozmowę, bo chociaż silnik był, jak na diesla, dosyć cichy i dobrze wytłumiony, hurkotanie rozjeżdżanych kamieni i obracających się gąsienic praktycznie uniemożliwiała porozumiewanie się bez pośrednictwa interkomu.

Utrzymywaliśmy ustaloną prędkość około dwudziestu jeden kilometrów na godzinę, przerywaną tylko postojami celem zbadania terenu przed nami, gdzie cały czas patrolowały dwa wozy

Cautskiego. My zabezpieczaliśmy im tyły, stojąc na czele całego konwoju dla oszczędności paliwa.

W godzinę po południu ogłoszono postój. Trzydziestominutowy, w pełnym pogotowiu. To znaczyło, że musieliśmy przez cały czas liczyć się z natychmiastowym odjazdem, ale wystarczyło nam czasu na przyrządzenie kawy. Zeskoczyłem ze swojego miejsca, wydobyłem Kuchenkę i przygotowałem wodę. Za sześć minut kawa będzie gotowa, później piętnaście minut na jej wypicie i cztery minuty na posprzątanie. Pięć minut zostaje w rezerwie, na wypadek gdyby dowódca konwoju okazał się zbyt niecierpliwy.

Marlon oczywiście pozostał w czołgu, tylko usiadł na zewnątrz na opuszczonej osłonie przeziernika optycznego, a kiedy podałem mu kubek, wyglądał na bardzo zadowolonego, tak samo zresztą jak wszyscy pozostali. Dmuchałem na swoją kawę, czekając, aż osiągnie odpowiednią temperaturę. Nie taką, która parzyła w wargi, ale taką, która umożliwiała picie małymi łyżkami.

Spod oka obserwowałem pana Camuviego. Widziałem go dobrze, ponieważ zajęliśmy pozycję umożliwiającą jego natychmiastową ochronę.

– Kilka kilometrów stąd droga się rozwidła, odnoga prowadzi na północ – oznajmił Rigajev.

– Czy to też stara autostrada? – zainteresowałem się. Zaskoczyła mnie uwaga Rigajeva, kilkakrotnie przeglądałem mapę, ale tej drogi nie zauważyłem.

Zobaczyłem, jak z jednego z wozów wysiadła Natasza z dużym arkuszem papieru. Sądząc po sposobie, w jaki go trzymała, była to mapa. Podeszła do ojca, przerwała jego rozmowę z Cautskim i coś mu pokazywała.

– Nie, według naszych danych jest to tylko nieco lepsza droga. To znaczy była nią kiedyś -poprawił się Rigajev. – Prowadzi na północ i po dwustu kilometrach łączy się z inną autostradą, która wiedzie na południowy zachód i dochodzi do drogi handlowej, dawnej E dziesięć, którą mieliśmy początkowo jechać przez cały czas.

Rigajev patrzył na mnie wyczekująco, jakby sądził, że jeszcze go

o coś zapytam. Chętnie objaśniał, ale czasami lubił dać innym do zrozumienia ich niewiedzę. Nie miałem na to ochoty, przypuszczając, że i tak się dowiem, dlaczego mówi o tej właśnie drodze.

Zamiast tego obserwowałem Nataszę rozmawiającą burzliwie z ojcem. Cautski parę razy usiłował się wmieszać, ale nie pozwalała mu na to, aż w końcu zrezygnował. Wydawało mi się jednak, że dyskusję z ojcem przegrała i razem z mapą zdenerwowana wróciła do swojego wozu.

Knispel wynurzył się z czołgu. Słońce mocno paliło, silnik i system wentylacji były wyłączone, wewnątrz musiał być upał. A jego uniform nie miał żadnych plam potu. Chyba po prostu Knispel lubił upały.

Podszedł do pana Camuvielego, po chwili dołączyli do nich obaj handlowcy. Coś się wyraźnie szykowało. Rigajev wyglądał na zadowolonego, jakby właśnie coś takiego przewidywał.

Dopiłem kawę, wypłukałem kubek. Schować Kuchenkę oraz kubek i będę gotowy do odjazdu.

Dyskusja dowódców przedłużała się. Natasza znów wysiadła z transportera, niespokojnie obserwowała rozmawiających i okolice. Teraz nie wyglądała już na rozzłoszczoną, a raczej tak, jakby się czegoś obawiała. Wreszcie zapadła jakaś decyzja.

Podszedł do nas Knispel.

– Zmiana planów, pojedziemy objazdem dalej na północ po szosie B trzydzieści jeden i na szlak handlowy wrócimy na ostatnim skrzyżowaniu przed Ambrezavile.

– To nas zaprowadzi głęboko w ziemię niczyją – powiedział Rigajev.

Cyr milczał, a Katzinski jak zwykle coś robił. Rozbierał i czyścił zestaw małych kółek zębatych i tylko na chwilę uniósł wzrok znad swojej roboty.

– Tak – potwierdził Knispel.

– Nie możemy tamtędy pojechać – powiedziałem spokojnie.

Wszyscy na mnie popatrzyli.

– To dłuższy objazd, według mnie jakieś trzysta kilometrów więcej. Nie mamy wystarczającej ilości paliwa.

Paliwo było w mojej gestii. A przecież policzyłem i te sto dwadzieścia pięć litrów, które udało mi się uzyskać.

– To prawda – potwierdził Knispel. – Wieczorem podczas obozowania ludzie Cautskiego przekażą nam sześćset pięćdziesiąt litrów paliwa.

– Na trzysta kilometrów jazdy terenowej to może nie wystarczyć. A jeśli droga okaże się gorsza niż tutaj, na pewno nie wystarczy.

– Więcej nie dostaniemy – odpowiedział Knispel. – Zminimalizowanie zużycia paliwa spoczywa na panu, panie Sanders. Wieczorem oczekuję meldunku i dokładnej oceny naszych potrzeb na podstawie wyników z dzisiejszego popołudnia.

– Czy Camuveli podał jakiś powód, który skłania go do pojechania tym niebezpiecznym objazdem? – zapytał Marlon.

– Nie podał, ale powód jest jasny. To nasi prześladowcy, którzy za nami podążają. Wczoraj wieczorem złapaliśmy ich transmisję radiową – odpowiedział Knispel.

– Czy on myśli, że nie ruszą za nami na północ? – Głos Rigajeva brzmiał powątpiewająco.

Kapitan zamyślił się na chwilę.

– Jeśli mają trochę rozsądku, to przynajmniej rozważą taką decyzję. Objazd wprowadzi nas na tereny, na których od wojny nie było żadnego człowieka. Lub też nie ma o tym żadnych dostępnych informacji. O poprzedniej części trasy wiedzieliśmy, chociaż zbyt mało.

Popatrzyliśmy po sobie, pierwsze maszyny już zapuszczały silniki, w powietrzu rozszedł się zapach spalin.

– To zależy od ich motywacji, od tego, co chcą uzyskać.

Chyba Rigajev całą sprawę już przemyślał. Co mógł Camuveli przewozić aż tak pożądanego?

– A co to nam przyniesie? – Katzinski oderwał się od pracy. Skończył. Element był znów złożony i błyszczał czystością.

– Bonus – krótko odparł Knispel.

– A to w porządku.

Pierwszy strzelec wydawał się zadowolony z tej odpowiedzi.

* * *

Już samo skręcenie na starą B31 przysporzyło nam sporo trudu, większość wielopoziomowych skrzyżowań dawno się zawaliła i kilkakrotnie musieliśmy zawracać, zanim udało nam się zjechać ze starej autostrady. Po pierwszym kilometrze stan szosy bardzo się pogorszył, upływ czasu i zmiany atmosferyczne niszczyły jej pobocze, a w niektórych miejscach betonowa powierzchnia zupełnie zniknęła. Jechaliśmy po starym, dobrze jeszcze ubitym podłożu. Ale gdzieś tam nawet tego nie było. Spowalniało to nasze postępy i powodowało zwiększone zużycie paliwa.

Niepokoili mnie strome zbocza i szczyty wzgórz, ograniczające widok, a także ostre zakręty, gdzie za występami skalnymi mogło się ukrywać cokolwiek. Okolica była sucha, jak wysterylizowana, Rigajev kilkakrotnie zapewniał, że jego aparatura nie wykrywa żadnych trucizn. Według niego wszystko było w porządku, a brak przejawów życia spowodowany został suszą.

– Mam znajomy ping – oznajmił pod wieczór, kiedy szukaliśmy miejsca na rozbić obozu.

– Ping? – nie zrozumiałem.

– Kogo? – dopytywał się Cyr.

– Odpowiada sygnaturze tego małego bota, którego spotkaliśmy na początku podróży – wyjaśnił Rigajev.

O tym bocie dawno już zapomniałem, spotkanie z wielkimi było o wiele poważniejsze.

Kucharze jak zwykle ustawiali jadalnię, lecz większość ludzi trzymała się w pobliżu swoich pojazdów, rozmawiano półgłosem, znać w nich było obawy, a nawet strach.

Rozejrzałem się za Nataszą. Siedziała obok swojego transportera, w pewnym oddaleniu od pozostałych, Valerie i Elizabeth nigdzie nie widziałem.

– Nie jesteś głodna? – zapytałem.

– Nie.

– A mogę się przysiąc?

– Tak.

Nie była to zbyt ożywiona konwersacja.

– Tata mnie rozzłościł, nie chciałam się zgodzić na jazdę do tych przerażających gór. Przecież tu od setek lat nikogo nie było – wybuchła nagle.

– Chyba bardziej się boi tych, którzy nas prześladują, niż tego, co możemy spotkać tutaj -powiedziałem.

Spojrzała na mnie poważnie.

– Z pewnością tak jest. Ale ja się tych gór obawiam bardziej niż prześladowców. To przecież ludzie, na pewno moglibyśmy się z nimi dogadać.

Albo i nie, pomyślałem, lecz głośno tego nie powiedziałem.

– Cieszę się, że stanęliśmy. – Zmieniła ton i na moment położyła mi dłoń na przedramieniu. – Nie chcę jechać do tej pustyni, naprawdę nie. A już zupełnie nie chcę spotkać się znowu z tymi zabójczymi maszynami. – Pokręciła głową. – To takie nienaturalne, one są takie nienaturalne.

Milczałem.

Widziałem, że walczy ze swoim strachem, że rozgląda się po okolicy, pograżającej się w gęstniejącej szarówce.

– Mam nadzieję, że to ostatnia taka wyprawa handlowa, że już nigdy nie będziemy musieli przejeżdżać z jednego cywilizowanego krańca świata na drugi przez... – szukała właściwego słowa.

– Przez opuszczoną ziemię niczyją – uzupełniłem.

Sama opuszczona ziemia brzmiałaby lepiej.

– Czy nie zapytasz, co jest naszym ładunkiem?

– To nie moja sprawa, tylko twojego ojca, a może i twoja. – Wzruszyłem ramionami.

Było mi obojętne, czy coś przemyca, czy podebrał komuś lukratywny towar i ten ktoś stara się go teraz dogonić.

– Ty naprawdę tak myślisz, nie mówisz tego tylko tak sobie – oznajmiła.

– Mamy zapewnić konwojowi bezpieczną podróż aż do Ambrezavile i postarać się, żeby nikomu nic się nie stało. To moje zadanie. Nawet jeśli przemycacie towary, nic mnie to nie obchodzi.

Nie mieliśmy obok siebie lampy, postać Nataszy ginęła w mroku, tylko włosy i oczy rzucały odblaski światła odległych latarni.

– No tak, czuję się z wami bezpieczniej niż z naszymi ludźmi. Z tobą czuję się bezpieczniej.

Podawała mi rękę, delikatnieją uścisnąłem. Siedzieliśmy na składanych krzeselkach i była zbyt daleko ode mnie, żebym mógł ją pocałować, więc tylko odpoczywałem, ciesząc się jej bliskością.

– Chyba to wszystko dobrze się skończy – powiedziała, wciąż ściskając moją dłoń.

– Na pewno.

Wieczór się kończył, nadchodziła noc.

Zostaliśmy w jadalni sami. Wstałem z krzeselka, podniosłem Nataszę i pocałowałem. Jakby tego właśnie oczekiwała, jej reakcja aż mnie zaskoczyła. Po chwili mnie odepchnęła.

– Zdaje się, że powinnam bardziej dbać o dobre obyczaje, to dopiero nasza druga randka, jeśli w ogóle można to tak nazwać. – Była trochę zdyszana.

– Druga jest na pewno lepsza od pierwszej. – Puściłem ją i trzymałem tylko za rękę.

Wycisnęła na mojej twarzy wstydlivy pocałunek.

– Dobranoc.

Wstydlivy pocałunek jest lepszy niż żaden.

* * *

Wróciłem do czołgu. Uszczypliwe uwagi Marlona pominąłem milczeniem. Gdyby nie odnosił takich sukcesów u Krist, powiedziałbym, że mi zazdrości. Ale jego po prostu bawiło pokpiwanie sobie ze mnie.

Kiedy obudziłem się o brzasku, stwierdziłem, że się uśmiecham.

* * *

Ranek był podobny do wielu poprzednich, ludzie już się pogodzili z wydłużeniem podróży. Wydawało mi się, że staliśmy się nazbyt beztroscy, jakbyśmy zapomnieli, iż od setek lat nie było tu człowieka. Ja stale miałem uczucie, że w każdym zakamarku coś na nas czyha.

Droga łagodnie wspiwała się w górę. Tak łagodnie, że trudno było to zauważyć. Tylko zużycie paliwa wskazywało na to, że się wznosimy. Zgodnie z mapą powinniśmy pokonać siodło przecinające masyw górski na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów. Nasze tempo spadło do piętnastu kilometrów na godzinę. Wraz z Marlonem wypróbowywaliśmy różne sposoby jazdy, ale jasne się stało, że sześćset pięćdziesiąt litrów, jakie dostaliśmy, nie może wystarczyć. Zameldowałem o tym Knispelowi, który przyjął to do wiadomości, ale w żaden sposób nie zareagował.

Zadowolilem się podglądem pracy silnika wyświetlanym na ekraniku hełmu i usiadłem na kadłubie czołgu. Ochłodziło się, za nami rozciągał się widok na dół, poprzez strefę pagórków aż do niziny. Stwierdziłem, że często patrzymy w tym kierunku, starając się dostrzec naszych wrogów.

– Spokój, niczego nie łapię – Rigajev na ogólnym obwodzie odpowiedział na pytanie zadane mu przez kogoś na łączu dwustronnym. – Gdyby nadawali, usłyszelibyśmy ich.

Po krótkiej przerwie na obiad pojechaliśmy dalej. Przypuszczałem, że wierzchołek przełęczy osiągniemy po południu. Jednak nie spodziewałem się mostu. Wznosił się nad przerwą dzielącą dolinę, materiał filarów i wiszącej jezdni miał inny kolor niż nawierzchnia naszej drogi i już na pierwszy rzut oka oparł się upływowi czasu lepiej niż szosa. Pomimo to pierwszy transporter zatrzymał się w bezpiecznej odległości od mostu.

– Tego nie wiem – usłyszałem Marlona mówiącego do interkomu. – Kapitanie, czy mogę opuścić pojazd? – zapytał Knispela.

– Ale nie sam. Silnik na chodzie, zastąpi pana Cyr. Sanders, pójdzie pan z Marlonem. Uzbrojony.

Usłyszałem odgłos nabijanej broni, wszystkie lufy poruszyły się,

zmieniając pozycje. Knispel był ostrożniejszy, niż sądziłem. Ale to dobrze, on był dowódcą, a ja mechanikiem.

Wśliznąłem się do kokpitu, wyjąłem śrutówkę z uchwytu magnetycznego i wyćwiczonym już sposobem wydostałem się na zewnątrz przez wąski przełaz.

Marlon oczekiwał mnie z automatem przewieszonym przez ramię lufą do dołu. Przyjrzał się ustawieniu naszych karabinów maszynowych i działa oraz ocenił odległość dzielącą nas od mostu.

– Pójdziemy tam – wskazał kierunek.

– Żeby mogli nas w razie potrzeby kryć ogniem, nie zagrażając pozostałym wozom -zrozumiałem.

– Dokładnie tak – potwierdził i wyruszył pierwszy.

Wydawało mi się, że jest tu jeszcze bardziej sucho niż w dolinie. Pod nogami skrzypiał nam żwir. Strome zbocza i okoliczne szczyty obojętnie wznosiły się ku niebu. Starąłem się nie patrzeć na grupki ludzi wykorzystujących przerwę w podróży na pogawędkę, palenie tytoniu lub rozruszanie mięśni, zdrętwiałych od długiego siedzenia. Nikt się nie stresował, wszyscy byli zadowoleni z przerwy.

Doszliliśmy do mostu.

Najlepiej zachowane fragmenty wzbudzały podziw dla umiejętności jego twórców. Trudno było sobie wyobrazić, że dawniej świat był dosłownie opleciony takimi budowlami.

– Bierzmy się do tego – zahuczał Marlon – i porządnie to sprawdzmy.

Wyjął aparat fotograficzny i zaczął robić zdjęcia, skupiając się na szczegółach konstrukcyjnych.

– Nie jestem pewny, czy z naszymi stu dwoma tonami przejedziemy przez ten most – mamrotał częściowo do mnie.

Miałem nadzieję, że wie, co robi, i przestało mi przeszkadzać, że ten przegląd zajmuje nam tak dużo czasu.

Towarzyszyłem Marlonowi, idąc niżej po stoku, ciężka broń utrudniała mi zachowanie równowagi, z góry gapił się na nas tłumek ciekawskich. Teren był trudny, betonowe kształtki skruszały. Niektóre zupełnie zniknęły, pozostały tylko mocno

zbrojone stopnie. Najbardziej przypominało to potykanie się na rozbitych schodach przeznaczonych dla pięciometrowych golemów.

W końcu dotarliśmy do miejsca, z którego Marlon był zadowolony, mógł wykonać zdjęcia podstawy filara i jej zakotwienia z uwzględnieniem wszystkich szczegółów. Podczas gdy fotografował, ja się rozglądałem.

Spoglądałem w dół stoku i nagle zauważyłem błysk. Jakby ktoś patrzył przez lornetkę i nie zwrócił uwagi na położenie słońca. Udałem, że niczego nie zauważyłem, i nadal rozglądałem się po terenie, podejrzanym miejscu śledziłem tylko kątem oka. Marlon nadal robił zdjęcia.

Coś tam było. Schowało się za betonową płytą, która ześlizgując się, stanęła prawie pionowo. Miało brudnozielony kolor, co jednak nie pomogło w maskowaniu się wśród szarego betonu i żwirowej gleby. Siedemdziesiąt metrów, może trochę więcej. Za daleko na nabój śrutowy. Ale ja miałem większe możliwości. Nastawiłem przełącznik na piątkę, potem, po namyśle, obniżyłem na czwórkę, suwak nastawienia pocisku przemieściłem do tyłu. Teraz fragmentacja nie nastąpi w lufie, tylko po jej opuszczeniu, dzięki czemu zmniejszy się rozrzut, natomiast zwiększy celność.

Cały czas przyglądałem się okolicy, upewniając się, że w pobliżu nie ma innych ciemnozielonych... nie wiedziałem, jak to nazwać. Obiektów. Wiedziałem, że ludzie znajdujący się trzydzieści metrów nad nami nie są w stanie nam pomóc. Najwyżej ogniem, ale na ich broń osobistą nie było sensu liczyć.

– Już jesteś gotowy? – zapytałem Marlona, nie przerywając obserwacji.

Coś w moim głosie go zaalarmowało i popatrzył na mnie.

– Prawie.

– Fajnie. To rusz dupę, żebyśmy mogli jak najszybciej wyleźć na górę.

Odpowiedzi już nie usłyszałem, bo to zielone trochę się poruszyło. Jego lornetka już nie dawała odblasku światła

słonecznego, ale teraz wiedziałem, gdzie patrzeć, i zobaczyłem go pomiędzy usypiskami. Żadnego podobnego obiektu w okolicy nie odkryłem. To dobrze. Wracając, będziemy musieli odwrócić się do tego czegoś plecami, co mi się nie podobało, bo dobrze wiedziałem, jaką prędkość mogą rozwijać te stwory. Ich algorytm sterujący był nam nieznany, mógł się na nas rzucić w każdej chwili.

– Już? – zapytałem znowu.

– Tak, bo wyczuwam u ciebie jakieś napięcie. Widzisz coś?

Zachowywał się naturalnie, aparat schował do jednej z licznych kieszeni. Czasem był uciążliwy, ale to do niego pasowało.

– Nie patrz w tym kierunku. Na trzeciej nieco pod nami. Przygotuj się.

Usłyszałem trzask bezpiecznika jego automatu.

Jednym płynnym ruchem podrzuciłem strzelbę do ramienia i prawie nie celując, wystrzeliłem.

Poczułem się tak, jakby mnie koń kopnął, ale zdołałem ustać na nogach. W miejscu trafienia podniósł się gejzer kurzu i żwiru.

Nie wiedziałem, czy trafiłem, czy nie, ale nie zauważyłem żadnego ruchu, przesunąłem przełącznik na trójkę i nastawiłem klasyczny rozrzut śrutowy.

– Pójdę tam popatrzeć, kryj mnie – poprosiłem Marlona.

Myślałem, że zacznie dowcipkować o nietrzymaniu nerwów na wodzy i marnowaniu amunicji, ale on powiedział tylko: – Idź.

Pomału przesuwałem się w terenie, na pytania ludzi na górze nie odpowiadałem. Miałem tylko nadzieję, że nikt nie naciśnie spustu, wywołując tym wściekłą, bezładną strzelaninę, bo tego bym nie przeżył.

Dotarłem do usypiska, zachowując maksymalną ostrożność. Zakładałem, że niczego nie odkryję, ale znalazłem na ziemi szczątki czteronożnego bota wielkości średniego psa. Niestety, nigdzie nie mogłem dostrzec głowy. Trafiłem zbyt dokładnie.

Szturchnąłem go lufą, ale się nie poruszył. Kręgosłup wydawał się złamany niżej niż kark.

– Co tam masz? – dopytywał Marlon.

Zrozumiałem, że pozostali nadal mogą być niepewni i zdenerwowani.

Podniosłem zniszczonego bota za tylną nogę. Ważył jakieś dziesięć, dwanaście kilogramów.

– To mam. Już wracam.

Moja zdobycz spowodowała, że dobry nastrój zniknął i wszyscy znów zaczęli rozglądać się podejrzliwie. Tak przy tym wymachiwali bronią, że byłem bardzo zadowolony z bezpieczeństwa, jakie zapewniał mi czołg.

Rigajev wstępnie przejrzał bota, włożył go do skrytki, a później wraz z Marlonem i Knispel'em zajął się studiowaniem fotografii wykonanych przez Marlona.

Widziałem, że coś obliczają, podstawiają liczby do wzorów.

– Ten most powinien wytrzymać – ocenił w końcu Knispel.

Marlon nie wyglądał na specjalnie przekonanego, choć nie protestował.

– Software czołgu twierdzi to samo – zgodził się Rigajev.

Knispel, już nic więcej nie mówiąc, poszedł do pana Camuwiatego.

– Pojedziemy ostatni – oznajmił po powrocie. – Z taktycznego punktu nie jest to idealne, ale Camuwieli chce, żeby jego wozy były po drugiej stronie, gdyby przy naszym przejeździe z mostem coś się stało.

– Gdyby się pod nami zawalił, to i my razem z nim – uściślił Cyr.

Nie wyglądał na zbyt zaniepokojonego tą myślą, chciał tylko zwrócić uwagę na taką możliwość.

* * *

Przejazd przez most wbrew obawom przebiegł bez problemów, a kiedy znów znaleźliśmy się na pewnym gruncie, ludzie Cautskiego natychmiast zaczęli zakładać ładunki wybuchowe.

Szkoda mi było budowli, która przetrwała całe stulecia, ale rozumiałem konieczność jej zniszczenia, bo jeśli nasi prześladowcy będą musieli poszukać innej drogi, może im to zająć kilka dni.

Byłoby dobrze, gdybyśmy mieli jakieś niesłyszalne materiały

wybuchowe, ale takie, niestety, nie istniały. Te zwykle i tak były drogie oraz trudno dostępne. W starych magazynach ich brakowało, a jeśli ktoś miał szczęście i na jakieś natrafił, to z reguły nie nadawały się do niczego. Przez tak długi czas uległy degradacji, stając się czymś zupełnie innym, nieużytecznym, a w najgorszym razie wybuchają samoczynnie.

Wieczorem udało mi się zamienić tylko kilka słów z Nataszą, wyglądała na zmęczoną i odniosłem wrażenie, że oczekują ją jeszcze kolejne obowiązki. Mnie zresztą też. Knispel wprawdzie mi tego nie rozkazał, ale po zmroku obszedłem z noktowizorem cały obwód naszych czujników. Z początku potykałem się, przystawałem i czasem pomagałem sobie latarką. Pod koniec obchodu już dość dobrze orientowałem się w zielonych obrazach noktowizora. Wszystko było w porządku, czujniki pracowały bez zastrzeżeń, żaden z nich nie zarejestrował niczego podejrzanego.

* * *

Wróciłem w momencie, kiedy Cyr z Rigajevem kończyli stawianie namiotu. Tutaj, wysoko w górach, nikt nie chciał spać pod gołym niebem, ponieważ jeszcze przed zachodem słońca szybko się ochładzało. Knispel miał swój namiot, ja z Cyrem drugi, a Marlon, Rigajev i Katzinski trzeci. Ze względu na rozmiary Cyra tak było sprawiedliwie.

Przypuszczałem, że wkrótce zapanuje wieczorny spokój, lecz stało się inaczej. Wszyscy, nie wyłączając Knispela, zgromadzili się pod rozpiętą płachtą służącą Rigajevowi w charakterze sali do demontażu mojej zdobyczy.

– Mały bot – rozpoczął komentarz Rigajev. – Wygląda na nowego, chyba był przechowywany w dobrze przygotowanym magazynie. Ale gdyby się okazało, że opuścił taśmę fabryczną zaledwie miesiąc temu, wcale nie czułbym się zaskoczony.

Poszedłem po kubek z kawą, oczekujący mnie na kuchence, i wróciłem do pozostałych. Cyr rzucił mi krótkie spojrzenie, a kiedy zobaczył, że mam ze sobą strzelbę, z zadowoleniem pokiwał głową.

Całkiem tak, jakby się ze mną zgadzał.

– Moim zdaniem żebra służą za ogniwa fotoelektryczne, podobnie jak u tych wielkich botów. Konstrukcja jest o wiele prostsza, ponieważ jest to mniejszy stwór i zapewnienie mu skoordynowanych ruchów jest znacznie łatwiejsze. Szkoda, że nie mamy jego głowy, nie wiadomo, jakie urządzenia miał na niej zainstalowane.

Wszyscy słuchali Rigajeva z wielkim zainteresowaniem, włączając w to Knispela. Nie uronił ani jednego słowa.

– W odróżnieniu od wielkich botów tutaj znalazłem walce, które, sądząc po umiejscowieniu i podłączeniu, są akumulatorami. Zapewne dlatego, że wymagania w stosunku do zwiadowcy, a domniemywam, że był zwiadowcą, zakładały, że powinien on być zdolny do akcji również w nocy, a w ciele bota nie ma żadnej innej możliwości magazynowania energii. Te akumulatory nie są opancerzone, co czyni je wrażliwymi na uszkodzenia, na przykład przytrafieniu z broni palnej.

Przed atakiem kontaktowym chroni je ta jakby klatka piersiowa.

Postukał w jedno z żeber, aż zadzwoniło.

– Teraz zobaczę, w jaki sposób wytworzony jest główny nośnik korpusu, innymi słowy: kręgosłup.

Rigajev wymienił lekką plastikową tarczę na coś, co przypominało skrzyżowanie maski spawacza z hełmem rycerza, którego kształt znałem z ilustrowanych bajek, i rękami ujął szlifierkę. Podobna była do tej, którą pracował poprzednio, ale wzmocniona. Przybyło też akumulatorów, a tarcza diamentowa była większa. Nie miałem pojęcia, skąd ją Rigajev wziął, ale widać było, że do demontażu kolejnych botów przygotował się rzetelnie. Nacisnął włącznik, słychać było, jak silnik nabiera obrotów. Rigajev mocno trzymał narzędzie, żeby skompensować moment obrotowy.

– No to zaczynam.

Instynktownie przesunąłem się w bok, aby nie stać na linii szczątków tarczy, gdyby miała się rozpaść, chociaż nie przypuszczałem, że tak się stanie.

– To twardy materiał, tnie się go bardzo trudno, muszę mocno naciskać, żeby tarcza się w niego zagłębiła – komentował Rigajev.

Potem umilkł i skoncentrował się, widziałem, jak siłuje się z narzędziem.

– Kurwa! – zaklął nagle.

Coś przeleciało blisko obok mnie i zniknęło w ciemności.

Był to kręgosłup bota wraz ze szlifierką i uchwytem, w którym została umocowana.

– Czy wszyscy w porządku? – zapytał Rigajev trochę drżącym głosem.

– Mówiłem, że hamulec bezpieczeństwa jeszcze nie działa, jak należy – burknął niezadowolony Katzinski.

Rigajev ściągnął osłonę twarzy i przyjrzał się głębokiemu przecięciu. O mało co, a uciałyby sobie głowę.

– Ja jestem w porządku – powiedziałem. – Przeleciało obok mnie.

– Ta rzecz... – Rigajev popatrzył z wściekłością na szczątki bota. – Kiedy udało mi się wciąć głębiej, zacięło się na tarczy i wyrwało mi wszystko z ręki.

Rozwahałem to przez chwilę.

– Być może ten kręgosłup działa podobnie jak polimetaliczne mięśnie. Jest tylko sztywniejszy i bardziej odporny.

– Dokładnie tak musi być – zgodził się Rigajev. – Potrzebuję kielicha. – Pokręcił głową. – Mogłem zginąć. – Powrócił do oglądania osłony. Ręce mu się trzęsły, dopiero za trzecim razem udało mu się zapalić papierosa.

Katzinski ruszył na poszukiwanie szlifierki.

Miałem wrażenie, że w rzeczywistości każdy z nas może nieoczekiwanie zginąć, powinniśmy się już przyzwyczaić do tej myśli. Ale zginąć z powodu szlifierki to na pewno nie jest dobra śmierć.

– Panie Cyr? – Knispel zwrócił się do mojego współlokatora namiotu. – Proszę wyjąć dwie butelki z zapasu.

– Rozkaz – odpowiedział Cyr.

– Dobranoc, panowie – pożegnał się Knispel i zniknął w swoim

namiocie.

Wnet na stole sekcyjnym obok częściowo rozebranego bota znalazły się dwie butelki bez etykiet, sądząc po kolorze, mógł to być koniak albo brandy.

Katzinski przez chwilę przyglądał się butelkom.

– Mam jeszcze robotę, muszę zreperować ten hamulec szlifierki – rzekł w końcu i zniknął wewnątrz czołgu.

Cyr otworzył pierwszą butelkę, powąchał zawartość, każdy podstawił swój kubek, płyn zabulgotał przyjemnie, a nagły powiew wiatru spowodował, że reflektory zawieszane na podporach płachty zakołysały się i roztańczyły się cienie i odbłaski światła na butelkach. Przypominały mi oczy Nataszy.

Powąchałem i napiłem się. To była brandy, łagodna w smaku, ale mocna, paliła w gardle, a potem w żołądku, przepędzając chłód.

– Bardzo dobra – ocenił Marlon. – Kapitan wprawdzie nie pije, ale ma znakomity gust.

Rigajev, trzymając kubek w jednej ręce, ostrożnie złapał drugą za tylną część bota.

– Widzicie? – Wskazał na kilka tylnych żeber. Pokrywała je warstwa materiału odbijającego światło inaczej niż reszta konstrukcji. – Według mnie to są jego tylne oczy. Niby niczego nie umieją, ani wyostrzyć widoku, ani przesunąć pola widzenia, ale prawdopodobnie dostarczają odpowiednio dużo informacji o tym, co się za nim dzieje, a on jest w stanie na czas zareagować.

– Albo odwrócić głowę – dodałem.

– Albo odwrócić głowę, którą, niestety, rozwaliłeś na kawałki.

– Po prostu nazbyt dobry strzelec – pochwaliłem się.

Znów pociągnąłem brandy i smakowała mi jeszcze lepiej niż pierwszy łyk. Czulem, jak nocny chłód wpełza pod kurtkę, jednak alkohol skutecznie z nim walczył.

– Co myślisz o botach, które nas zaatakowały? – zwrócił się do mnie Rigajev. – O dinobotach -użył terminu, który sam zaproponował.

Wszyscy popatrzyli na mnie, jakbym był ekspertem w tej

dziedzinie, co przecież nie miało miejsca.

– Nigdy czegoś takiego nie spotkałem i nigdy nie słyszałem o czymś podobnym – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Były wielkie i piekielnie szybkie, dobrze się orientowały w terenie. Wielokrotnie napotykałem mechanoidy o uszkodzonych algorytmach, które po prostu uwięzły z braku energii, albo boty z niesprawnymi czujnikami. Tych dinobotów standardowymi narzędziami wytworzyć się nie da. Zgadzam się z Rigajevem, że są produktem nieznanego nam technologii.

Rigajev przytaknął. Wszyscy łyknęli ze swoich kubków. Mogliśmy gdzieś usiąść, ale nadal staliśmy wokół stołu, na którym leżał bot.

– Jednak – ciągnąłem – dla czołgu nie były godnym przeciwnikiem. Potrafiły poradzić sobie z transporterem pomimo jego opancerzenia, ale czołg? – Pokręciłem głową. – Nasza masa i odporność, armata dużego kalibru, gatling, miotacz min, szybkostrzelna czterdziestka, to dawało nam ogromną przewagę.

O ile nie wydarzyłaby się jakaś awaria techniczna. Ale głośno tego nie powiedziałem.

– Dokładnie tak – ucieszył się Rigajev, jakbym był uczniem, który udzielił prawidłowej odpowiedzi swojemu nauczycielowi.

– Ta naprawa armaty to duży sukces. – Cyr spojrzał na mnie. – Obawiałem się, że będziemy musieli ją skrócić.

Marlon wzniosł w moim kierunku kubek w imitacji toastu.

Naprawa armaty czołgowej była drugim zadaniem, z powodu którego Knispel przyjął mnie do służby. Hamulec wylotowy i sam wylot lufy były uszkodzone, za pomocą silnej lupy, środka polerującego i penetrantu odkryłem sieć drobnych pęknięć. Wyglądało na to, że została zmieniona struktura metalu, co mogło spowodować jego kruchość i podatność na rozpadnięcie się.

Na moje pytanie, co było tego przyczyną, Knispel odpowiedział, że chodziło o trafienie z jakiejś starej broni. Niczego więcej się nie dowiedziałem.

Końcówki wszystkich ujawnionych pęknięć nawierciłem

i wypełniłem dobrze wnikającym stopem, sporządzonym z kilku elektrod spawalniczych. To oczywiście było za mało. Po dłuższym namyśle na osłabiony wylot lufy nasadziłem wykonaną na tokarce tuleję z wysokogatunkowej stali o grubości ścianki dwóch centymetrów. Przed jej nasadzeniem za pomocą solanki i chlorku wapnia końcówkę lufy ochłodziłem do temperatury minus czterdziestu pięciu stopni, tuleję natomiast rozgrzałem do plus dwustu. Po wyrównaniu się temperatur dzięki rozszerzalności cieplnej metali tuleja trzymała się lufy jak wtłoczona, co zresztą odpowiadało prawdzie. Po naprawie tym sposobem mogliśmy nadal używać armaty czołgowej.

Było jasne, że cała załoga, kapitan Knispel i ich czołg mają za sobą przeszłość, o której nadal prawie nic nie wiedziałem. A teraz przyjęli mnie pomiędzy siebie.

Odstawiliśmy kubki, pierwsza butelka była pusta, czułem, że mocna brandy idzie mi do głowy.

Cyr znowu nalał.

– Tak jest, bot, duży czy mały, bez broni kinetycznej nie jest dla nas przeciwnikiem. Ich zdolność do przenoszenia działa większego kalibru lub podobnej broni jest ze względów konstrukcyjnych bardzo ograniczona – powiedział z zadowoleniem.

Już po chwili dyskutowaliśmy o tym, jak dużą armatę można byłoby zainstalować na potężnym korpusie dinobota.

Rigajev słuchał uważnie. To nie była pierwsza rozmowa na temat dinobotów, ale na razie nie mieszał się do dyskusji, jakby najpierw chciał poznać opinię pozostałych.

Dinoboty miały zainstalowane gatlingi i działka obrotowe, ale nie miały do nich amunicji. Jednak tą bronią i tak nie mogłyby zagrozić czołgowi. Kolejny łyżeczek, zdawałem sobie sprawę, że jeśli wypiję cały swój przydział, to pójdę spać lekko pijany.

– A po co w ogóle skonstruowano i do czego używano botów? – Rigajev wyraźnie skierował to pytanie do mnie.

– Ze względu na wojnę, to były maszyny bojowe – odpowiedział mu Cyr.

– No tak – zgodził się Rigajev. – Według dostępnych informacji te maszyny miały asystować żołnierzom na polu walki, a później mogły ich zastępować. Może zresztą i zastępowały, wiadomości z tego okresu są skąpe, a wojna trwała długo. A jakiej broni się wówczas waszym zdaniem używało?

– Myślę, że ta stalowa bestia – Cyr wznosił kubek w kierunku czołgu, jakby w toaście na jego cześć – może być w prostej linii potomkiem którejś z maszyn, jakie walczyły po obu stronach pola walki.

– Też tak myślę – przytaknął Marlon.

Widziałem, że brandy podziałała i na Rigajeva, oczy mu błyszcząły i zgubił gdzieś całą swoją rezerwę.

– A dlaczego napotykamy boty, które miały walczyć z czołgami, a tymczasem okazuje się, że są wobec nich praktycznie bezsilne? – zadał kolejne pytanie.

Milczałem, widać było, że sam chce odpowiedzieć.

– Ponieważ te boty nie były przeznaczone do walki z czołgami i innymi ciężkimi maszynami używanymi podczas wielkiej wojny. Były przeznaczone do walki z innymi botami. Przynajmniej większość z nich – powiedział z głębokim przekonaniem.

Ta opinia okazała się podsumowaniem jego wcześniejszych przemyśleń. Zastanawiałem się, co jego słowa mogą oznaczać, co z nich wynika.

– A więc według ciebie napotkane przez nas boty są rezultatem ewolucji? – chciałem się upewnić. – I co spowodowało, że ewolucja tak się rozwinęła? Przypadków walki botów z ludźmi jest coraz mniej, ostatnia wojna miała miejsce przed dwudziestu pięciu laty. Ale są tacy, którzy mówią, że było inaczej, i to my sami wykorzystaliśmy maszyny bojowe, mechanoidy, przeciw sobie – pytałem dalej.

Hipoteza Rigajeva nie podobała mi się, a ściślej, bałem się, że może być prawdziwa. Ale prawidłową odpowiedź miałem przed sobą, Rigajev sam mi ją naszkicował.

– Chodzi o nacisk ewolucyjny wynikający z wzajemnej

konkurencji między botami – oznajmiłem.

– Tak – potwierdził z zadowoleniem Rigajev. – Nie jesteś taki głupi, na jakiego często wyglądasz.

– Popatrzył na mnie z rozbawieniem. Alkohol spowodował, że był bardziej uszczypliwy niż zwykle.

Oczekiwałem, że jeszcze coś doda, jednak porzucił ten temat. Bardziej interesował go poprzedni.

– Myślę, że to wynika z konkurencji pomiędzy rodzajami, można powiedzieć, szczepami botów, jej początek możemy znaleźć już w czasie wielkiej wojny.

Łyknąłem sobie jeszcze raz. Brandy naprawdę okazała się wyborna, lecz wobec perspektyw, jakie się przede mną otwierały, nie było to ważne, chociaż dzięki jej wyśmienitej jakości upiłem się, co było dobre, bo lepiej mi się myślało o szalonych teoriach Rigajeva. Gdybym był złośliwy, oznajmiłbym mu, że to bzdury.

– Ewolucja polega na zmianie cech biologicznych istot żywych i roślin w wyniku wzajemnej konkurencji. Jest to permanentny rozwój życia. A to – wskazałem rozbitego bota – jest tylko maszyna. Może zaopatrzona w bardzo dobry komputer i skomplikowane algorytmy, ale tylko maszyna. Wytworzona na jakiejś linii produkcyjnej.

Rigajev i pozostali patrzyli na mnie z uwagą. O mechanoidach i botach wiedziałem więcej niż większość ludzi, a jeśli chodziło o to, jak działają i jak są skonstruowane, może więcej niż Rigajev. Byłem w stanie prawidłowo odgadnąć typ, słabe miejsca konstrukcji i stopień jej degradacji.

– Najwyżej podczas ich produkcji mogą się ulepszyć algorytmy samej linii wytwórczej, jednak to wszystko. – Z przekonaniem pokręciłem głową.

Rigajev nie przekonał mnie, nawet gdy byłem podпиты. Zresztą być może nie chciałem zostać przekonany tutaj, pośród pustyni.

– A co steruje liniami produkcyjnymi? – zapytał Rigajev przekornie. – Co stworzyło boty, które zniszczyliśmy? Zoptymalizowane algorytmy?

Wiedziałem, jaką odpowiedź chciałby usłyszeć: stare sztuczne inteligencje. To one w ostatniej fazie wielkiej wojny przejęły kontrolę nad operacjami. Ale minęły już stulecia. Mój pogląd na to, w jakiej kondycji są dziś, wynikał z własnych doświadczeń.

Rigajev zrobił sobie tylko krótką przerwę, podczas której przyglądał się, jak Cyr znów napełnia kubki.

– Z początku myślałem tak jak wszyscy. Że sztuczne inteligencje, które powołała do życia przedwojenna wiedza, są już od dawna martwe, a jeśli nie, to w stanie demencji, na progu totalnej ruiny. Świadczył o tym ubytek botów na przestrzeni ostatnich stu pięćdziesięciu lat, nauczyliśmy się z nimi walczyć i zaczęliśmy znów zasiedlać nowe tereny.

Napił się. Zrobiłem to samo, podobnie jak pozostali. Może marnowaliśmy tę wyśmienitą brandy, może powinniśmy rozmawiać o czymś innym. O ziemi, o kobietach, o jedzeniu. O sprawach ważnych życiowo i pozytywnych.

– Jednak teraz myślę, że tak nie jest. Że przegapiliśmy moment, w którym można było zniszczyć maszyny i tych, którzy nimi kierują. – Rigajev zamilkł na chwilę. – Myślę, że pokonały punkt krytyczny i znów rosną w siłę. Sztuczne inteligencje przeżyły, walczą przeciw sobie, z czego wynika nacisk ewolucyjny i rezultat, jakim jest ich rozwój i powstawanie nowych botów.

Rozwój sztucznych inteligencji? Albo powstawanie nowych? Nie wierzyłem w to, uważałem za głupotę. Całkowity bezsens.

– Jeśli walczą ze sobą – zauważył Marlon – to nas to może nic nie obchodzić.

– Tak były zaprogramowane – przytaknął Rigajev.

Cyr rozlał reszkę z drugiej butelki, nawet nie pamiętałem, kiedy dopiłem swój kubek. Wyobraziłem sobie, co by było, gdyby hipoteza Rigajeva okazała się prawdziwa, i aż mi ciarki przeszły po grzbiecie.

– Już sam fakt, że pokonały punkt krytyczny, schodząc z drabinki degradacji, jest dowodem na to, że mam rację. Rozwijają się i prędzej czy później przyjdzie chwila, kiedy zwrócą swoją uwagę na

nas. Stare sztuczne inteligencje były przecież przeznaczone do zabijania ludzi.

– Nieprzyjaciół – doprecyzował Marlon.

– Atak, nieprzyjaciół, do których ludzie również należeli. Definicja człowieka jest o wiele jaśniejsza niż nieprzyjaciela.

Nikt Rigajewowi nie oponował, jakbyśmy zgadzali się z jego szaloną teorią.

– To tylko hipoteza, nie masz na to żadnych dowodów, jedynie ułożyłeś fakty we wzór, który do tej hipotezy pasuje. Masz bzika na punkcie botów – powiedziałem cicho.

– Sam przyznałeś, że ostatnio pojawia się ich coraz więcej – odpowiedział.

– Botów i mechanoidów. Ale moje doświadczenia obejmują tylko dziesięć lat, ile ich dawniej przybywało z pustkowi, tego nie wiem.

– No a typy? Czy nie pojawia się ich więcej?

– Tak, starych, ledwie działających mechanoidów, dziwacznych ślepych botów, sterowanych nie wiadomo jakimi algorytmami. Ostatni pogrobowcy dawnej wojny.

– Wybrakowani zwiadowcy – sprecyzował Rigajev. – A co z dinobotami? Co z technologią, która je wytworzyła? Z ich konstrukcją? Nie wydaje ci się, że to wynik ewolucji?

– Przebudziła się do życia linia produkcyjna z okresu wojny, kiedy technika osiągała szczyty, a może jakaś linia eksperymentalna – nie dawałem za wygraną.

Na to Rigajev już nic nie odpowiedział.

– Idę spać, wypiliśmy wszystko – oznajmił Cyr.

Popatrzyliśmy po sobie, nikt już nie miał ochoty ciągnąć tematu botów i sztucznych inteligencji, pomysł Cyra wszystkim się spodobał.

Usypiałem, widząc olbrzymie mechaniczne dinozaury grasujące po ludzkich miastach, nad którymi wznosiły się malownicze, ale nieludzkie stalowe twarze odrodzonych sztucznych inteligencji.

* * *

Obudziłem się rano z jasną głową, trochę tylko później niż zwykle, przez płachtę znad horyzontu prześwitywała połówka słońca. Cyr jeszcze spał, oddychał miarowo. Było chłodno, ale nie aż tak, żeby czuć dyskomfort. Wyplątałem się ze śpiwora i po cichu wyszedłem na zewnątrz. Do pobudki pozostawało jeszcze pół godziny. Rigajev był już na nogach, sprzątał stół demontażowy. Przez chwilę obserwowałem jego precyzyjne ruchy, przypominające pracę dobrze wyregulowanej maszyny. Jego wczorajsze przemówienie spowodowało, że o botach i dinobotach zacząłem myśleć jak o istotach żywych. Choć w gruncie rzeczy wcale nimi nie były. Tylko co jest żywe, a co nieżywe? Jaka jest definicja życia? Może żywe były sztuczne inteligencje, dawno temu stworzone przez naszych przodków. Mógłbym tak uważać, jeśli poglądy Rigajeva uznałbym za swoje.

– Wczoraj dość dużo powiedziałem – oznajmił, kiedy zauważył, że już wstałem i przyglądam się jego pracy.

Nie był zadowolony, że odkrył swoje teorie.

Zacząłem mu pomagać.

– Ale tak właśnie myślisz, jak powiedziałeś – raczej stwierdziłem, niż zapytałem.

We dwóch sprzątnęliśmy wszystko tak szybko, że postanowiłem zrobić kawę.

– Tak. Przedstawiłem moje przemyślenia Knispelowi, żeby się do nich ustosunkował. Bo teraz jestem przeświadczony, że są prawdziwe.

Woda się zagotowała, wrzuciłem do niej solidną porcję kawy i przyglądałem się, jak gwałtownie wiruje we wrzątku. Przecedziłem napar przez gęste sitko, zmniejszyłem płomień do minimum i znów postawiłem dzbanek na ogniu.

– No a kapitan? Kim on właściwie jest? – To pytanie zadawałem sobie wiele razy, ale nie znajdowałem odpowiedzi.

Spodziewałem się, że Rigajev zmilczy, ale on wzruszył ramionami i zaczął mówić: – Zawodowy najemnik, znakomity żołnierz. Znany jest z tego, że zazwyczaj przyjmuje zlecenia na granicy cywilizacji,

w dzikich okolicach. Ochrona tego konwoju nie jest w pełni typowa, w większości przypadków zajmowaliśmy się wyprawami zwiadowczymi albo, powiedzmy, bojowymi wyprawami poszukiwawczymi w dziczy. Poszukiwaniem starych magazynów, likwidacją linii naprawczych dla botów. W jednej takiej akcji brałem udział. Stara automatyczna linia serwisowa, naprawiająca boty wszystkich rodzajów i wysyłająca zaproszenia do skorzystania z jej usług.

– To nie brzmi jak algorytm typowy dla urządzenia wojskowego – zauważyłem.

– Chyba awaria – odparł Rigajev.

Mogło być i takie wyjaśnienie.

– Może ktoś ją przeprogramował? – dodał.

Awarie mogą się przejawiać na różne sposoby, ale na ogół nie powinny powodować zdecydowanej zmiany zachowania. Nie miałem ochoty dalej nad tym rozmyślać.

– Kapitan – wróciłem do tematu – niechętnie walczy z ludźmi?

– Tego bym nie powiedział. Jest zawodowcem, wykonuje pracę, za którą jest opłacany – ciągnął Rigajev. – Uszkodzenie czołgu nastąpiło podczas walki ze zbrojnymi siłami Belenstagu. Dysponowali bronią pochodzącą z magazynów założonych w ostatniej fazie wojny. Co do niektórych, to nie znałem nawet zasady, na jakiej działały. A pomimo to zadawaliśmy im poważne straty. Nie posiadali czołgów takich jak ten, nie potrafili skoncentrować sił do decydującego ataku. Ich straty były bardzo poważne.

Belenstag był miejskim imperium położonym daleko na zachód, w centrum strefy ludzkich wpływów. Z peryferiami, na których mieszkalem, połączony był tylko wąską drogą handlową, a informacje nadchodzące stamtąd brzmiały często jak legenda.

– To tyle na temat jego niechęci do wojowania z ludźmi. Nie szuka tego, ale nie unika. Kapitan potrafi być bardzo niebezpieczny.

Przez chwilę nad tym rozmyślałem.

– A więc przed wojną z Belenstagem czołg był w pełni sprawny? –

zadalem kolejne pytanie. Podczas przeprowadzanych przeze mnie napraw szczegolowo zapoznałem się z czołgiem oraz jego wyposażeniem i stwierdziłem, że maszyna była kilkakrotnie naprawiana. Większość systemów, włączając w to sterujące, została zainstalowana dodatkowo, w miejsce fabrycznych. Obejmowało to także hardware. Wykonanie tych prac było znakomitej jakości, takich bym nie zdołał przeprowadzić. Nie zorientowałem się jednak, czy czołg był w ten sposób naprawiany, czy raczej rekonstruowany. Przed rokiem, przed dziesięciu laty czy jeszcze wcześniej.

– Był tak samo sprawny jak dziś – odpowiedział Rigajev. – Ale uszkodziło lufy i przegrzaliśmy silnik, tak że nie nadawał się do naprawy. Kiedy podpisywałem umowę, czołg był tak samo sprawny, jak jest dziś. Cyr i Katzinski są z kapitanem o wiele dłużej niż ja, zdaje się, że Katzinski najdłużej.

– Dzień dobry. – Marlon wygrzebał się ze swej nory, jeszcze zaspany, w ręce trzymał pusty kubek. Bez słowa napełniłem go kawą.

– Myślę, że jesteś naprawdę całkiem dobrym nabytkiem – mruknął zadowolony i przeciągnął się, aż mu stawy zatrzeszczały. Kubek trzymał przy tym tak pewnie, że powierzchnia płynu nawet się nie poruszyła.

* * *

Po kilku pierwszych kilometrach stara autostrada zwęziła się do zwyczajnej szosy, ponieważ deszcze, mróz i naturalne ruchy podłoża zrobiły swoje. Droga nadal się wznosiła, góry wokół nas stawały się coraz bardziej strome, widziałem szare języki kamiennych lawin, głazów i żwiru, od czasu do czasu można było pomiędzy nimi zobaczyć resztki dawno obumarłej roślinności. Ze wszystkich stron otaczała nas pozbawiona życia pustka.

– Czy tu jest czysto? – odezwał się Marlon przez interkom.

– Tak, czystiej niż na dole, wszystkie wykrywalne trucizny są poniżej dopuszczalnego minimum -odpowiedział bez wahania Rigajev.

A może tę krainę zabiły jakieś niewykrywalne dla nas trucizny i my mamy je już w sobie, pomyślałem, choć głośno tego nie powiedziałem. Nie było sensu, bo nie mieliśmy na to żadnego wpływu.

– Myślę, że tu po prostu nie padają deszcze, że jedziemy przez górską pustynię.

Rigajev mówił to wielokrotnie. Ta kraina była jednak tak martwa, że aż mnie to podświadomie denerwowało.

Wy tłumaczyłem sobie, że ma rację, i napięcie narastające we mnie od rana nieco opadło. W głębi duszy obawiałem się, że przejeżdżamy przez tereny zatrute jakimiś wyjątkowo stabilnymi toksynami. Każde naturalne wyjaśnienie byłoby pozytywne.

– Jak stoimy z paliwem? – przemówił kapitan, drugi raz przez cały dzień.

Przesłałem mu odpowiednie dane wraz z moją prognozą. Zużycie paliwa równomiernie rosło w miarę wznoszenia się drogi. Uświadomiłem sobie, że odczyt stanu zbiornika ma na swoim stanowisku, a mimo to pyta. Może to próba utrzymywania naszej czujności?

– Wieczorem przepompuję rezerwę ze zbiorników dodatkowych do głównych – ukończyłem tym swój meldunek.

– W porządku.

Potem słuchałem jego rozmów z pozostałymi członkami załogi. Były tak samo zbyteczne jak ze mną, ale zrozumiałem, że w pewien sposób ich uspokoiły, podobnie jak mnie. Może właśnie w tym celu się odezwał?

Cały czas się wznosiliśmy, a góry otaczały nas ze wszystkich stron. Zapiąłem kurtkę i po krótkim namyśle nałożyłem kamizelkę kuloodporną. Wiatr stawał się coraz chłodniejszy, a przez nią nie przenikał. Zobaczyłem, że ludzie Cautskiego jadący w wozie za nami zwrócili na to uwagę i również nałożyli bojowe ubrania. Nie trudziłem się wyjaśnieniem, że jest mi po prostu zimno.

– No, jesteśmy na przełęczy – oznajmił Marlon. Zjechał z drogi na nieutwardzoną nawierzchnię, robiąc więcej miejsca dla

pozostałych. Popatrzyłem przed siebie i stwierdziłem, że ma rację. Przed nami otwierał się widok na przeciwległą stronę grzebienia górskiego, na liczne wyższe i niższe szczyty, głębokie doliny, gdzieś jeszcze ze śladami śniegu. I co trudne do uwierzenia, przed nami nie było już suchej pustyni, tylko urodzajna kraina. To znaczy w tych miejscach, gdzie skały i strome zbocza na to pozwalały.

– Jak wysoko jesteśmy? – zapytałem.

– Dwa i pół tysiąca metrów – odpowiedział Marlon.

Mogłem tę informację znaleźć w bazie danych, ale wolałem zapytać.

Tymczasem obok nas zatrzymywały się transportery Cautskiego, nieco za nimi wozy ciężarowe.

Spojrzałem w górę, grzebięń masywu górskiego, który właśnie przecięliśmy, wznosił się nad nami co najmniej na tysiąc metrów, a może i więcej.

– Te góry działają jak bariera, jak przeszkoda, która nie przepuszcza wilgotnego powietrza dalej do nizin – powiedziałem głośno. – Nadal nie ma żadnego skażenia? – zapytałem, życząc sobie z całej duszy, żeby odpowiedź była pozytywna.

Kraina przed nami wręcz zapraszała do osiedlenia się. Była jak sen każdego rolnika. Można by tu uzyskać plony wystarczające do wyżywienia tysięcy, może nawet dziesiątek tysięcy ludzi. Jeśli nie była skażona, można by tutaj założyć osadę.

– Jak na razie nie, ale sprawdzimy niżej – odpowiedział Rigajev. –

Powietrze na dole musi być chłodniejsze i cięższe, skoro góry je zatrzymały. Przed wojną nigdzie tu pustyni nie było.

Nie sprzeczałem się. Wiedziałem, że wielka wojna zmieniła klimat, jak również wiele innych rzeczy. Gdzieś nie pozostawiła kamienia na kamieniu. Od tego czasu są opustoszałe miejsca, pojawiły się nowe wiatry sezonowe, a plotkarze mówią, że niziny pełne są zatrutych mórz, których dawniej nie było.

Ludzie gromadzili się obok nas i z ożywieniem dyskutowali o nieoczekiwanej niespodziance, jaką stała się panorama za górami.

Knispel udostępnił kanał dowódczy, usłyszeliśmy, że rozmawia z Cautskim, panem Camuvielim, handlowcami i dowódcami wojskowymi.

Przez chwilę słuchałem tych rozmów, ale stwierdziłem, że nic z nich nie wynika istotnego oprócz zaskoczenia widokiem żywej krainy.

Szosa kończyła się jeszcze przed pierwszą serpentyną, dalej był tylko pas rozbitego betonu, żwiru i szarych kamieni.

– Jezdnia się kończy – ostrzegłem pozostałych.

Nadzieja, że podczas zjazdu oszczędzimy paliwo, rozwiąła się.

– To może być z powodu wody, jest jej tu o wiele więcej niż po drugiej stronie – powiedział Rigajev.

– Nam to nie szkodzi, zobaczymy, jak poradzą sobie pozostali – ocenił Marlon.

Poryw lodowatego wiatru spowodował, że zadrzałem z zimna.

– Azymut trzysta pięćdziesiąt trzy, cztery kilometry i dwieście metrów stąd – odezwał się Cyr. -Na jedenastej – dodał.



Patrzył przez celownik. Ustaliłem kierunek według kompasu, jaki miałem przy zegarku, i starałem się znaleźć obiekt jego meldunku. Musiał leżeć głęboko pod nami. U podnóża stromego zbocza, przechodzącego w zieloną równinę, nawet bez lornetki dostrzegłem skupisko regularnych kształtów, które mogły być budynkami.

– Wioska – sprecyzował Cyr. – Nie wygląda na opuszczoną. To tylko przypuszczenie, na dokładniejszą obserwację za daleko.

Dopiero teraz zauważyłem, że wioska otoczona była kwadratami i prostokątami roślinności, odróżniającymi się od okolicy kolorem i strukturą. Zapewne polami uprawnymi.

Wiadomość szybko się rozeszła, wszyscy, którzy mieli lornetki, patrzyli teraz w tym samym kierunku.

– Najpierw musimy dostać się na dół, a potem zbadamy to miejsce – rzekł Marlon.

Miał oczywiście rację.

Po dziesięciu minutach Knispel wydał rozkaz i ruszyliśmy.

Jechaliśmy dość powoli, choć gąsienice znajdowały na rozbitej szosie wystarczającą przyczepność. Od czasu do czasu Marlon skracał drogę i nie jechaliśmy serpentynami, tylko prosto na dół po zboczu. Kołowe pojazdy miały pewne trudności, szczególnie transportery ciężarowe.

W miejscu, w którym lawina ziemna zniszczyła fragment szosy, musieliśmy się zatrzymać i za pomocą stalowych lin zabezpieczać je podczas pokonywania niebezpiecznego odcinka.

Zjazd zajął nam całą resztę dnia. Szosa nie prowadziła do wioski, ale znaleźliśmy węższą, zarośniętą roślinnością drogę wiodącą do osady. Terenowy transporter wojskowy oraz oczywiście czołg mogły nią przejechać przy zachowaniu ostrożności.

Pan Camuvieli rozkazał Cautskiemu sformować oddział zwiadowczy. Mimo że zbliżał się wieczór, uważałem tę decyzję za słuszną. Jeśli w osadzie byli mieszkańcy, z pewnością nas zauważyli zjeżdżających z góry i dlatego należało sprawdzić, jak to wygląda.

Jak przed każdym noclegiem zainstalowałem krąg czujników i szykowałem się do dokładnej kontroli gąsienic i podwozia, bo zjazd był trudny.

– A ty nie pójdziesz z nimi? – zagadnęła mnie Natasza.

Byłem tak zajęty pracą, że jej nie zauważyłem.

– Mam obowiązki. – Wzruszyłem ramionami, choć miałem ochotę na ten zwiad.

– Mogę ci pomóc? – zaoferowała się.

Przytaknąłem. Cyr tymczasem wybierał miejsce zainstalowania trójnogu do zamontowania karabinu maszynowego, co miało nam zapewnić osłonę ogniową w razie jakiegokolwiek ataku. Kapitan był może dziwny i milkliwy, ale trzeba przyznać, że ostrożny.

Z czujnikami Natasza dawała sobie radę pewnie i dokładnie, jakby coś takiego już robiła, lokalizację kolejnych wybierała nawet lepiej ode mnie. Praca szła nam szybko. Z początku włosy miała ujęte po obu stronach głowy srebrnymi spinkami. Teraz kilka kosmyków uwolniło się i łaskotały ją po policzkach. Nie mając

wolnych rąk, tylko od czasu do czasu potrząsała głową, żeby się ich pozbyć. Ale to jedynie uwalniało kolejne.

– Nadal nie mam kontaktu – powiedziałem. – Spróbuj to przesunąć trochę w lewo, mniej więcej o pięć stopni.

– A teraz? – W skupieniu manipulowała czujnikiem.

Jej włosy, praktycznie wszystkie, wysypały się spod spinek.

– Za bardzo – odpowiedziałem, przyglądając się dziewczynie.

– A teraz?

– Za mało. – Nawet nie spojrzałem na wyświetlacz.

– To niemożliwe – zdziwiła się i popatrzyła na mnie. – Wcale tego nie nastawiasz – nie rozumiała.

– Nie – potwierdziłem. – Patrzę na ciebie. Wyglądasz świetnie.

– Masz szczęście, że się przyznałeś, inaczej miałbyś kłopoty! Żeby pozwalać mi tak się z tym mozolić! – niby narzekała, lecz ze śmiechem.

Spojrzałem na wyświetlacz.

– Gotowe, okrąg jest zamknięty, i to szybciej niż wtedy, kiedy robimy to z Cyrem.

– Dobra jestem – oceniła, podeszła i pacnęła mnie dłonią w pierś, ale przez kamizelkę kuloodporną wcale tego nie poczułem.

– Potrzyj to. – Podałem jej sterownik systemu czujników. – Ale nie potrząsaj, bo wywołasz alarm, nie jest jeszcze nastawione.

Kiedy tylko mocno złapała urządzenie, przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem.

– Nie wydaje mi się, żebym na to pozwoliła – powiedziała.

– Trzymaj to mocno, bo jak puścisz, to wszyscy się tu do nas zbiegną z odbezpieczonymi karabinami.

Cerę miała aksamitnie gładką, a jej wargi smakowały jak maliny.

– To jest celowe wykorzystanie sytuacji. – Odsunęła się lekko zdyszana.

– Tak – powiedziałem, odbierając od niej sterownik. – Muszę planować i wykorzystywać każdą okazję.

Kąciki ust jej zadrgały.

– Już skończyliście?

Marlon patrzył na nas spod krzaka dzikiej róży.

– Ponieważ nie jesteśmy sami, to tak – odpowiedziała Natasza, patrząc na niego surowo.

– Pardon, pardon – przeproszał niby na poważnie. – Kapitan ma dla ciebie robotę, chce, żebyś poszedł z ludźmi Cautskiego – wyjaśnił mi.

– Ciekawa jestem, co tam znajdziecie – powiedziała, całując mnie jeszcze raz. – Odprowadzę cię. – Nie omieszkała zrobić na złość Marlonowi.

Ucieszyłem się. Pochlebiło mi to.

* * *

Oddział Cautskiego już oczekiwał, a wraz z nimi Rigajev.

– Kapitan żąda dokładnych informacji – zakomunikował mi, patrząc przy tym na towarzyszącą mi Nataszę. – Ma pani rozmazaną wargę.

– Panowie, powinniście zajmować się sprawami naprawdę ważnymi – odpowiedziała mu. – A tu jeden nam przeszkadza, drugi martwi się o moje wargi. A tak na marginesie, to tylko szminka.

Żołnierz, który się temu przysłuchiwał, nie wiedział, czy śmiać się, czy udawać, że niczego nie słyszał. W końcu była córką jego szefa. Mojego nie, ale i tak... Szybko odpędziłem tę myśl.

– Ja także chcę informacji z pierwszej ręki – zwróciła się do mnie poważnie, pociągnęła mnie za rękaw i odeszła.

– Energiczna dziewczyna. Nie za wysoko mierzysz? – zauważył Rigajev, jakby wiedział, co mi przed chwilą mignęło w głowie.

– Nigdzie nie mierzę – odparłem.

Cautski wydawał swym ludziom rozkazy i informował ich, jak będziemy postępować. Do nas na szczęście się nie zwracał. W skład oddziału wchodził również Hacknesmith. Pół twarzy ozdabiał mu okazały siniak po uderzeniu strzelbą. Spojrzał na mnie wrogo, ale nic nie powiedział.

– Dlaczego wyznaczył właśnie nas? – zapytałem Rigajeva.

– Jesteśmy teraz najbardziej przeznaczeni na stracenie – wyjaśnił

mi i nie wyglądał na kogoś, komu by to przeszkadzało.

Dołączyliśmy do oddziału, jako straż tylna ruszyliśmy za nim, znikając wśród wysokich, gęsto rosnących drzew.

– Wszystkie są mniej więcej w tym samym wieku, mają dziesięć, piętnaście lat, starszą wegetację coś musiało zniszczyć – powiedział Rigajev.

Nastawiłem trójkę na śrutówce i nałożyłem rękawice.

– Ale na ziemi nie widać żadnych pni – zauważyłem. – Przez piętnaście lat wszystkie by nie spróchniały.

Żołnierze Cautskiego cicho gawędzili, poświęcając okolicy o wiele mniej uwagi niż my dwaj. Oddział był liczny, co dawało im poczucie bezpieczeństwa. To błąd. Jeśli z jakiegoś powodu mieszkańcy osady zdecydowaliby się nas zaatakować, nasza liczebność nic by tu nie pomogła. Mocniej ująłem kolbę broni i przeszedłem na skraj naszej formacji, żeby nie dostać się w obszar chaotycznej strzelaniny obronnej w przypadku ataku.

– Jesteś ostrożny – stwierdził Rigajev. – Zauważyłeś coś?

– Jestem tylko przyzwyczajony do ostrożności – odpowiedziałem.

– Nigdy nie wiadomo, jak boty się zachowają. Spotykałem się z nimi już wcześniej – przypominałem mu.

Droga zniknęła, jej dawną obecność zdradzał tylko brak drzew w miejscu, które początkowo wiodła. Dawno temu ubita nawierzchnia z mnóstwem kamieni i betonu nie dawała tyle swobody roślinom, co przylegający do niej teren.

– Może przeszła tędy jakaś lawina, a potem powódź, która połamane drzewa zmyła – Rigajev wrócił do swoich poprzednich rozmyślań. Tak mogło być, ale nie widziałem nawet śladów pniaków. Chyba że lawina powyrywała drzewa z korzeniami.

Gdzieś na granicy widoczności zauważyłem ruch. Zatrzymałem się, przycisnąłem kolbę do ramienia i wycelowałem. Coś zaczęło się ku nam zbliżać, dostrzegli to i pozostali, rozległ się odgłos odbezpieczania broni.

Obiekt był coraz bliżej, w gęstwinie wydawał się masywny, ale nadal dokładnie go nie widziałem.

– To jest żywe – syknął Rigajev, jedną ręką przyciskając ucho, w którym miał słuchawkę.

Pomyślałem, że to jakiś cichy dron monitorujący okolicę.

– Jest wielkości człowieka. Albo większy – uzupełnił.

Potem usłyszałem znany mi dźwięk, typowe pochrząkiwanie. Dzik.

Opuściłem lufę. Świnia przystanęła i w gęstwinie głośno szukała czegoś dojedzenia. Poszliśmy dalej.

– Osada jest jakieś trzysta metrów przed nami – oznajmił Cautski.

Na pewno miał w powietrzu informatora. Pomyślałem, że może z nim współpracować, ale nie uważałem tego za prawdopodobne.

Zbocze zaczęło się lekko wznosić, naraz wyrosła przed nami linia wysokiego lasu, z bukami, jodłami i świerkami. Jeszcze ostrożniej weszliśmy w głąb pierwszych drzew. Pod liściastymi i iglastymi koronami było nieco ciemniej, uświadomiłem sobie, że słońce niedługo zajdzie za blisko położony masyw górski.

Przejście przez las na szczęście nie trwało długo, gleba była sucha i szło się wygodniej. W końcu otworzył się przed nami widok na pola i domy za nimi.

Od kilku sezonów nieuprawiane pola i prawdopodobnie opuszczone domy.

Trawy i krzewinki opanowały zaorywane kiedyś bruzdy, pomiędzy nimi rosły niewielkie drzewka, samosiejki. Pośrodku zaniedbanego pola z naszej lewej strony stała drewniana konstrukcja wiatraka, która już dawno straciła skrzydła, za nim dostrzegłem kolejne wiatraki.

– Pójdę się rozejrzeć – oznajmiłem. Rigajev poszedł ze mną, a reszta czekała na drodze.

Gleba była miękka, ale nie bagna.

– To miejsce leży wyżej niż teren, którym szliśmy, wiosenne roztopy chyba go nie sięgały i dlatego wioskę postawiono właśnie tutaj – zauważył Rigajev.

Doszliśmy do wiatraka. Drabinka umożliwiająca wstęp na górę nadal istniała. Wszedłem na trzeci szczebelek i przyjrzałem się

budowli. Wyglądało na to, że jeszcze przez pewien czas wytrzyma.

Tuż nad głową znalazłem ucięty kabel. Oddałem Rigajewowi śrutówkę, ostrożnie wspiąłem się wyżej, drewno szczebelków nieprzyjemnie trzeszczało, cały czas mocno obejmowałem palcami boczne belki drabiny.

W końcu dotarłem do platformy pod dachem wieży, gdzie mieścił się mechanizm obrotowy wiatraka, wykonany z twardego drewna. Dach chroniący go przed wpływem złej pogody postawiony został niedawno, całe urządzenie było w stosunkowo dobrym stanie. Nie zauważyłem generatora napędzanego przez wiatrak, po chwili dostrzegłem otwory po śrubach, którymi był przymocowany do podłogi.

Z wysokości wiatraka widziałem, że Cautski i jego ludzie, nie czekając na nas, ruszyli w kierunku wioski. Dolna krawędź tarczy słonecznej dotykała już szczytu grzebienia górskiego, jego podnóże pogrążone było w szybko rosnącym cieniu.

Nie było sensu zwlekać.

– To elektrownia wiatrowa, częściowo wykonana z drewna. Niczego cennego z metalu już tu nie ma – poinformowałem Rigajewa po zejściu na dół.

– Nie musimy wracać na drogę, przez pola do zabudowań jest bliżej – oznajmił.

Idąc na skróty, dotarliśmy do osady tylko z niewielkim spóźnieniem, ludzie właśnie zaczęli przeglądać pierwsze domy.

Budowle wyglądały na opuszczone od całych dziesięcioleci, ale wiedziałem, że tylko sprawiają takie wrażenie. Porzucone domy, szczególnie drewniane, w krainie z dużą ilością opadów atmosferycznych starzeją się szybciej.

Wybrałem jeden z budynków na skraju wioski, wyglądający na lepiej zachowany od innych. Ostrożnie wszedłem do środka. Przez okno wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca, w powietrzu unosiły się drobne ziarenka kurzu. Pokój, prawdopodobnie główne pomieszczenie domu, zajmował duży drewniany stół, na którym stało pięć talerzy rozmieszczonych

wokół i duża misa pośrodku. Łyżek, noży i widelców nie było. Obrus na stole utracił kolory i w półmroku początkowo go nie zauważyłem. Materiał w dotyku był kruchy, zetlały.

Rigajev wszedł za mną, słyszałem, jak deski podłogi skrzypią pod jego ciężarem.

– Jakby odeszli wprost od obiadu albo kolacji – stwierdził.

Kiwnąłem głową i podeszedłem do okna, żeby sprawdzić, z czego jest wykonane. Szybę zastępował przezroczysty plastik, po latach poznaczony licznymi zarysowaniami.

– Ludzie na ogół nie odchodzą nagle od obiadu – zauważyłem. – Im dalej mieszkają na peryferiach cywilizacji, tym bardziej dbają o proste, codzienne rytuały, wspólne obiady, kolacje, niedzielne spotkania w gospodzie albo w kościele.

Powiedziałem to na podstawie własnych doświadczeń.

– Ty właśnie stamtąd pochodzisz – przypomniał mi Rigajev.

Na próbę otworzyłem kilka szafek i skrzyń. Były w nich proste naczynia z wypalanej gliny, kilka plastikowych, wszystko to od lat nieużywane, a poza tym ubrania pachnące wilgocią i stęchlizną. Nie znalazłem niczego, co wyjaśniałoby przyczynę zniknięcia mieszkańców.

W tym opuszczonym domu nie czułem się zbyt dobrze i z ulgą wyszedłem na zewnątrz. Obora stojąca za budynkiem wyglądała na nieuszkodzoną, tak samo jak dom mieszkalny. Powiedziałem Rigajevowi, że zajrzemy i tam.

Solidna zawora znajdowała się wciąż na swoim miejscu, zabezpieczona masywnym drewnianym kołkiem. Musiałem uderzyć kilka razy kolbą, żeby go usunąć, i otworzyłem drzwi.

Powietrze wewnątrz było czyste, ale widok, jaki ujrzałem, mnie zaskoczył. Na ubitej polepie leżało kilka kompletnych szkieletów zwierzęcych. Krów i cieląt. Drapieżniki i padlinożercy nie mogli się dostać do środka, w oborze buszowały chyba tylko szczury, myszy, łasice i inne niewielkie zwierzątka. Resztki bydła wyglądały tak, jakby zwierzęta ułożyły się do snu i dopiero potem coś je zabiło. Wszedłem do środka, żeby znaleźć potwierdzenie swoich

domysłów. Rigajev pozostał na zewnątrz.

Słyszeliśmy odgłosy towarzyszące przeszukaniu innych domów, ale nie wyglądało na to, że znaleziono coś interesującego.

Po drugiej stronie osady odkryliśmy mały cmentarz. Krzyże na nim zostały wykonane z drewna, a napisy wypalone, dzięki czemu część z nich można było jeszcze odczytać. Najmłodszy grób miał trzy i pół roku, najstarszy, jaki zidentyfikowaliśmy, dwadzieścia jeden lat.

– Mieszkali tu od dawna – powiedział Rigajev, przyglądając się jednemu ze starych grobów.

Pomacał się po kieszeniach, wyjął metalowe pudełko, wydobył z niego papierosa i zapalił.

Słyszeliśmy ludzi Cautskiego, nadal starających się znaleźć coś, co nadawałoby się do zabrania.

– Lata liczyli tak jak my, a to znaczy, że mieli kontakt z cywilizacją – zauważyłem.

– Mogli odejść – stwierdził Rigajev.

– Wstali od kolacji? Zostawili rzeczy osobiste, bez których ciężko by im było się obejść?

– Wiem. – Machnął ręką. – Tak tylko głośno myślę. Ktoś na nich napadł.

Przeciwko temu nie zaprotestowałem.

– I zabrali ich ze sobą.

– A zwierzęta domowe zostawili?

– Czemu nie. Ludzi zabrali jako niewolników, ale bydło zostawili własnemu losowi, bo nie zdołali wziąć wszystkiego.

– A po pewnym czasie wrócili, żeby zabrać elementy metalowe, silniki, przewody elektryczne, obrabiarki i inne narzędzia. W tak bezludnym rejonie świata to musi mieć wartość złota.

Rigajev pokiwał głową na znak zgody.

– Jeśli zdecydowali się napaść na taką dużą osadę jak ta, to musieli być bardzo dobrze zorganizowani, mobilni i odpowiednio uzbrojeni.

Podczas gdy ja zastanawiałem się, co się stało z tymi ludźmi,

Rigajev skupił się na tym, co to oznacza dla nas.

– Będziemy musieli zachować szczególną uwagę – stwierdziłem.

– Dokładnie – zgodził się. – Oni nie mogą być daleko i w dalszej drodze łatwo możemy się na nich natknąć.

Wróciliśmy do reszty oddziału, Cautski wyglądał na zadowolonego, jego ludziom udało się znaleźć kilka złotych ozdób, a nawet trzy złote płytki. Złoto nadal miało wysoką wartość, tak jak w każdym czasie. Dla mnie też było cenne. Ze starych monet, które pewnego razu znalazłem pod powalonym drzewem, zbudowałem znakomitą chłodnicę, co zakończyło kłopoty z komputerem sterującym elektrownią wiatrową w naszej osadzie. Początkowo próbowałem ją wykonać z miedzi, ale po pewnym czasie pokryła się patyną i procesor znów zaczął się przegrzewać, a gdy zastosowałem srebro, nie uzyskałem wystarczająco delikatnej struktury.

O zastosowaniu złota nikomu oczywiście nie powiedziałem, bo ktoś zaraz by chłodnicę ukradł i sprzedał.

Jako uczestnicy zwiadu zostaliśmy z Rigajevem zaproszeni na naradę dowódców konwoju. Meldunek Cautskiego był jednoznaczny. Mieszkańcy wioski przed mniej więcej trzema laty po prostu odeszli. Przypuszczał, że winne temu były powodzie zalewające okolicę. Nic na to stwierdzenie nie powiedzieliśmy. Natasza siedziała obok ojca. Spotkałem jej wzrok, uśmiechnęła się lekko, ale nie byłem pewny, czy mi się nie zdawało. Natrafienie na opuszczoną wieś niczego w naszych planach nie zmieniło, rano powinniśmy ruszyć w dalszą drogę.

Jednak wieczorem o naszych spostrzeżeniach poinformowaliśmy dokładnie kapitana. W żaden sposób tego nie skomentował.

Nazajutrz ruszyliśmy w drogę zgodnie z planem. Stara, jeszcze przedwojenna mapa informowała nas, że będziemy posuwać się dolinami w kierunku północno-wschodnim, unikając tym sposobem najwyższych grzbietów górskich, później skęcimy na wschód i następną przełęczą przedostaniemy się na drugą stronę gór, do zamieszkałej części świata.

Czy pojedziemy po zachowanej szosie, czy po jej pozostałościach, czy też będziemy się przedzierać przez zupełnie dziką krainę, zależało od okoliczności. Lawiny, usuwiska ziemne i sezonowe powodzie poradziły sobie z cywilizacją i sytuacja zmieniała się z kilometra na kilometr. Droga wielokrotnie znikwała pod ogromnym osuwiskiem, żeby znów się pojawić po kilku kilometrach.

Łopat i kilofów w ogóle już nie chowaliśmy, nasz dzienny postęp spadł głęboko poniżej zakładanej wartości, ale dobrego humoru mi to nie psuło. Mimo że codziennie kładliśmy się spać skrajnie wyczerpani, wydawało mi się, że trafiłem do raju, nie mogłem się nacieszyć niezwykle bogatą i różnorodną roślinnością, zielonymi powierzchniami porośniętymi trawą i krzewami, pełnymi potoków, w których żyły ryby.

Czwartego dnia uśmiechnęło się do nas szczęście i teren stał się o wiele bardziej przejezdny, od rana tylko raz musieliśmy poprawić drogę. Cieszyła mnie praktycznie zwiadowcza jazda i piękna sceneria. Tutaj było dość ziemi uprawnej dla wszystkich.

– Zatrzymać się – zasygnalizował nam Rigajev w momencie, kiedy zbliżyliśmy się do bocznej drogi, prowadzącej do kolejnej doliny, którą mieliśmy się dostać aż pod wierzchołki gór zasypane wiecznym śniegiem. – Przeprowadzę testy, coś mi się tutaj nie podoba.

Kapitan na jego żądanie zatrzymał cały konwój.

Rigajev wyszedł na zewnątrz, usiadł na korpusie czołgu, nałożył na buty jednorazowe ochraniacze, dopiero potem zeskoczył i zaczął zbierać próbki ziemi. Z powierzchni i z głębszej warstwy gliny, a nawet pobrał jedną próbkę z półmetrowej głębokości. Nie schodziłem ze swojego miejsca na korpusie, obserwując jego działania ze śrutówką w ręce, lufy naszych karabinów maszynowych też śledziły okolicę. Podjechał do nas Cautski ze swoim adiutantem. Wyraźnie wolał bezpośrednią rozmowę niż radiową.

– Dlaczego się, do cholery, zatrzymujecie?! – krzyknął wściekły. Knispel wynurzył się z wieży.

– Troszczymy się o wasze bezpieczeństwo, zgodnie z warunkami umowy, panie Cautski -odpowiedział.

Rigajev zebrał już dość próbek i zaczął je wkładać do wnętrza podręcznego analizatora.

– Jeśli moje podejrzenia się potwierdzą, radzę, żebyście sobie odkazili buty – zwrócił się do Cautskiego.

To spowodowało, że tamten przestał się wściekać.

– Radioaktywność? – odezwał się Camuvieli na obwodzie dowódczym, którego podsłuch kapitan nam udostępnił, żebyśmy mieli stały przegląd sytuacji.

– Nie. – Rigajev pokręcił głową, patrząc na wyświetlacz analizatora. – Podejrzewam, że to jakaś trucizna genetyczna. Z początku wydawało mi się, że to skażenie wody gruntowej, spłukane z jakiegoś złoża substancji toksycznej, ale to nie to. Tu chodzi o alkaloidy roślinne z nienasyconą strukturą, z którą związane są ponadto atomy chromu. Najwięcej toksyn znajduje się w warstwie powierzchniowej.

– I co to oznacza? – szczerknął Cautski, zdenerwowany uwagą Rigajeva o skażeniu.

Podejrzliwie przyglądał się przy tym ziemi pod swoimi nogami. Rigajev, nie spiesząc się, kontynuował swoje testy.

– To substancje produkowane przez rośliny, prawdopodobnie dla obrony przed szkodnikami. Tu występują jednak w nadzwyczaj silnych koncentracjach, różniąc się od form naturalnych. Wydają się tak zmodyfikowane, żeby ich toksyczność była maksymalna. Powodują rozpad nerek i choroby płuc.

Cautski podejrzliwie się rozglądał, a ja go naśladowałem. Zieleni nie wydawała mi się już tak piękna.

– I również raka. Myślę, że po tygodniu oddziaływania rak praktycznie następuje w każdym przypadku.

– A skąd się to tutaj wzięło? – zapytał Cautski.

Jego towarzysz zawiązał sobie chustkę na twarzy. Ponieważ Rigajev obchodził się bez niej, doszedłem do wniosku, że to nie jest konieczne.

– To właśnie jest najciekawsze – wyszczerzył zęby Rigajev. – Domyślam się, a wyniki to potwierdzają, że toksyny produkuje okoliczna roślinność. Musi być zmieniona genetycznie.

Cautski postanowił poczekać na wyniki. Informacja o tym, dlaczego stoimy, rozeszła się błyskawicznie, nikt nie wykorzystał postoiu dla rozprostowania nóg czy zmiany pozycji po długiej jeździe.

– Już mam wynik, ostatni test dobiegł końca – oznajmił Rigajev. – Będziemy przejeżdżać po terenie o zagrożeniu skażeniem biologicznym na trzecim poziomie.

Cautski przytaknął i szybko się wycofał.

Rigajev schował swój analizator, wskoczył na korpus, ostrożnie zdjął ochraniacze i zostawił je tam, gdzie spadły na ziemię. Rękawice zdjął w taki sposób, żeby gołą ręką nie dotykać ich powierzchni zewnętrznej.

– Tutaj są tylko śladowe ilości toksyn, ale w dolinie przed nami ich koncentracja może się zwiększyć.

Trzeci poziom oznaczał, że trzeba użyć filtrów powietrza i utrzymywać lekkie nadciśnienie w pojazdach, jeśli to możliwe. Z tym mógł sobie poradzić każdy wóz konwoju.

Pojechaliśmy dalej o wiele ostrożniej, w przypadku ugrzęźnięcia praca na zewnątrz oznaczałaby zbyt wysokie wystawienie się na trujący wpływ okolicznej roślinności.

Teraz obserwowałem teren tylko na ekranie. Drzewa, krzewy i porosty były niezwykle bujne i intensywnie zielone. Ale to mogła być jedynie autosugestia.

– Nie widać żadnych zwierząt ani ptaków – odezwał się Cyr, miał dostęp do podczerwieni, który ja też zyskałem po podłączeniu się do jego obwodu. Obraz nie był wystarczająco dokładny, nie byłem do niego przyzwyczajony i przeszkadzały mi fałszywe kolory.

– Koncentracja roślinnych alkaloidów w powietrzu wzrasta, prawdopodobnie zawarte są w kurzu – oznajmił Rigajev. Knispel, słysząc to, rozkazał zwiększyć nadciśnienie wewnątrz pojazdów o pięć hektopaskali. To oznaczało kolejne zwiększenie zużycia

paliwa, ale tym razem zdecydowanie tego nie żałowałem.

Odczułem zmianę sposobu poruszania się czołgu, tak jakbyśmy jechali po czymś bardzo miękkim czy błotnistym. Zatrzymaliśmy się.

– Mokradło, ciągnie się jak okiem sięgnąć – meldował Marlon. – Mam jechać dalej?

Przed nami rozpościerała się zielona, gładka powierzchnia, tu i ówdzie urozmaicona kępami roślinności i drzewami, których zwisające gałęzie dosięgały wody.

Knispel przez chwilę rozmawiał z panem Camuvielim, później wysłał naszego drona, żeby zrobił zdjęcia i uściślił mapę najbliższej okolicy. To zabrało nam nieco czasu.

– Według pozyskanych informacji i mapy teren powinien po kilkuset metrach znów zacząć się wznosić – odezwał się w końcu kapitan. – Pojedziemy pierwsi, pozostali będą jechać za nami, aż dotrzemy do bezpiecznego miejsca.

Według mapy dało się tak zrobić. Jednak mapa była stara i na pewno nie zostało na niej zaznaczone przypadkowe obniżenie się gruntu spowodowane przez działanie erozyjne silnego prądu podczas wiosennych powodzi albo jakąś inną zmianą, która mogła nastąpić na przestrzeni wielu lat. Zdjęcia wykonane przez drona miały swoje ograniczenia, wystarczyło fałszywe echo czy zmieniona struktura dna, żeby zmylić radiolokator. Z geograficznego punktu widzenia kilka metrów nie grało roli, ale jeśli mielibyśmy zapaść się na jakieś trzy metry, to nie wydostalibyśmy się z bajora, ponieważ brakowało nam zestawu do forsowania głębokich przeszkód wodnych. Kapitan oczywiście dobrze o tym wiedział, ale nie przywiązywał do tego wagi.

– Według radaru wygląda to dobrze – ogłosił Marlon.

W ostatnim czasie użył wszystkich możliwości, jakie zapewniał mu system radarowy czołgu, a Rigajev bardzo mu w tym pomagał. Nawet nie próbowałem myśleć o tym, co kontrolował, ale niezbyt mnie to uspokajało.

– Jedziemy, panie Balducci – rozkazał kapitan.

Zanurzyliśmy się w bajorze, instynktownie wstrzymałem oddech. Wkrótce woda osiągnęła poziom przeziernika kierowcy i wzniosła się ponad niego. To nie przeszkadzało, kierowca miał do dyspozycji o wiele dokładniejsze systemy. Sprawdziłem, czy podstawowy układ ssania przełączył się na awaryjny, umożliwiający jazdę w wodzie, kiedy ssanie odbywa się przez zawory umieszczone na wysokości dwustu dziesięciu centymetrów. Towarzyszył temu oczywiście spadek mocy, bo awaryjny przewód ssania nie był w stanie dostarczyć silnikowi potrzebnej ilości powietrza. Lewa odnoga nie przełączyła się automatycznie, zrobiłem to ręcznie i wszystko było w porządku.

Jednak gdyby wody było więcej – starałem się odrzucać tę myśl, ale słabo mi to szło – gdyby było więcej, automatyczny zawór bezpieczeństwa zamknąłby wlot powietrza, żeby nie zassać wody do wnętrza silnika, i doszłoby do jego zatrzymania. Moglibyśmy wyjechać z wody tylko za pomocą energii zmagazynowanej w akumulatorze. Nie było żadnej innej maszyny zdolnej do wyciągnięcia nas, ponad sto ton to nie przelewki. Na razie jechaliśmy dalej.

Według widoku z kamer telewizyjnych przylepionych do pancerza fala spowodowana poruszającym się czołgiem sięgała poziomu korpusu.

– Tam dalej dno powinno się wznosić – poinformował nas Marlon bez śladu niepokoju w głosie.

Mnie serce biło mocno, znalazłem obraz pokazujący, że woda jest coraz wyżej i na pewno przewyższa wysokość otworów ssących.

– Utrzymuję szybkość, żeby nie załamać fali spiętrzeniowej – mówił dalej Marlon, jakby podobne rzeczy robił codziennie i to dzisiejsze było tylko treningiem, gdzie w razie niepowodzenia ciągnik wywlecze nas na suchy grunt.

Znów wstrzymałem oddech i intensywnie rozmyślałem, jak wydostać czołg na pewne podłoże, zanim zgaśnie silnik. Ani jeden z moich pomysłów nie nadawał się do realizacji. Nagle zauważyłem, że dno rzeczywiście zaczęło się wznosić, a fala przed nami stawała

się coraz niższa. Wypuściłem powietrze, głęboko odetchnąłem, tętno stuknęło mi w skroniach, dość długo obywałem się bez oddechu.

Stanęliśmy w miejscu, w którym woda sięgała zaledwie do gąsienic. Katzinski odwrócił wieżę lufą do tyłu, a Rigajev wymierzył laser w tym samym kierunku. Była to tylko niewielka wskazówka, ogólny kierunek w zupełności wystarczał.

– Duże transportery ciężarowe przejadą, są wyższe od nas. Transportery Cautskiego też, a wszystkie mniejsze wozy będą musiały odpowiednio się przygotować, jest tu dość głęboko -ocenił sytuację Marlon. – Najlepiej byłoby przeciągnąć stalową linę.

Zdziwiło mnie, że jego zdaniem transportery ciężarowe powinny przejechać łatwiej niż my, ale chyba miał rację. Teren już ich teraz nie zaskoczy, a ich konstrukcja nie była podporządkowana minimalizacji sylwetki.

– Ja bym im doradził, żeby przygotowania do przejazdu przez wodę wykonali w większym oddaleniu od skraju rozlewiska, najlepiej w odległości kilometra – oznajmił Rigajev. – Wzniesienie się powierzchni o kilka centymetrów spowoduje powiększenie się rozlewiska na boki, co poskutkuje splukaniem skażenia do wody. Sądząc po śladach, powierzchnia często się kołysze. Nie można przecież wykluczyć, że gdzieś w górach ostatnio padał deszcz.

– Na przyszłość wymagam waszych meldunków dotyczących bezpieczeństwa pozostałych uczestników konwoju składanych natychmiast i rzeczowo. Nie chcę dowiadywać się o ważnych informacjach z waszych pogawędek – zwrócił nam uwagę kapitan. Po chwili usłyszałem, jak wydaje instrukcje Cautskiemu.

Cautski był nieprzyjemnie zaskoczony, kiedy nasz kapitan ostrzegł go, żeby nie próbował forsować rozlewiska, dopóki jego wozy nie zostaną przygotowane. Starał się przekonać pana Camuwielego, że to nie jest potrzebne. Odpowiedzi na prywatnym obwodzie nie usłyszeliśmy. Ale większość transporterów wycofała się i oddaliła, pozostały tylko te największe, które ssanie i wydech miały już fabrycznie wyprowadzone na górę. Jazda za nimi zawsze

była nieprzyjemna, bo tak ustawione wydechy kierowały dym spalin na jadących z tyłu.

Czas oczekiwania skracałem sobie studiowaniem mapy i sprawdzaniem, czy woda przedostała się do wnętrza czołgu. Jak się okazało, było tam zupełnie sucho. Zbiornik, który zbudowałem w domu, nie był tak szczelny. Wreszcie transporterzy zaczęły wracać ku linii mokradeł. Zauważyłem, że osobowy transporter Nataszy jest wprawdzie większy niż inne, z wyjątkiem wozu jej ojca, ale nadal jest znacznie lżejszy i mniejszy niż ciężarowe, które miały zapewniony stosunkowo bezpieczny przejazd.

– Rigajev?

– Co, nudzisz się?

– Czy możesz mnie połączyć z kierowcą wozu A dwa?

– W którym jedzie Natasza Camuvieli? – Rigajev był dobrze zorientowany, nigdy w to nie wątpiłem. – No pewnie, zaraz go dostaniesz.

Usłyszałem trzask przepięcia się na nowe połączenie. Może zaczynał być już moim kolegą.

– Tu Matyas Sanders, mechanik czołgu kapitana Knispela.

– Wiem, kim jesteś, ja nazywam się Erich Borze. O co chodzi?

– Głębokość brodu sięga dwóch metrów i piętnastu centymetrów, wysokość waszego wozu to dwa metry i siedemdziesiąt pięć centymetrów, zdolność pokonywania brodów to sto pięćdziesiąt centymetrów.

Dane techniczne seryjnych wyrobów motoryzacyjnych znałem na pamięć. Ten pojazd był unikatowy, ale zbudowany na seryjnym podwoziu. Większość zmian była zapewne zrealizowana pod kątem zwiększenia komfortu właściciela.

– To prawda, ale po przygotowaniach do forsowania brodu jesteśmy zdolni do pokonywania głębokości dwóch metrów i czterdziestu centymetrów – odpowiedział.

Tak właśnie zostało napisane w specyfikacji fabrycznej. Ćwierć metra nie wyglądało mi na wystarczającą rezerwę, a ponadto takich przygotowań nie robiono często i miałem pewne wątpliwości co do

kwalifikacji i staranności personelu technicznego pana Camuviego. Nie byli z pewnością złymi fachowcami, ale nie mogli się liczyć z tym, że od ich pracy będzie zależało życie ludzkie.

Borze nie potraktował mojej uwagi jako głupoty, podszedł do niej pozytywnie.

– Przygotowanie polega na wyprowadzeniu ssania do góry, kontroli zaworu zwrotnego wydechu i ewentualnym przyklepieniu nowych uszczelek – cytował mi. – Wszystko wykonaliśmy i aż dwukrotnie sprawdziliśmy. Szczelność zapewniają uszczelki stożkowe, nadstawki są wykonane z półtoramilimetrowej stali nierdzewnej.

Brzmiało to dobrze, dokładnie tak, jak powinno.

– A czy końce macie zakotwione? Obejmami albo choćby linkami?

– Nie, ale jak już mówiłem, to niepotrzebne. Półtora milimetra nierdzewnej jest wystarczająco sztywne. – Zabrzmiało to nieco nerwowo.

– Ja bym je umocował, to przecież ponad dwa metry wody. A tu idzie i o pana głowę.

Przerwał połączenie.

Zrobiłem, co mogłem, choć bez specjalnego sukcesu. Spokoju mi to nie przyniosło.

Poszczególne wozy stawały tymczasem w szyku. Sprawdziłem jeszcze, w których pojedą Valerie i Elizabeth. One też były zależne od doświadczenia oraz staranności swoich kierowców. Valerie podróżowała w ciężkim transporterze, Elizabeth w mniejszym, osobowym, podobnym do tego, w którym jeździła Natasza, tylko o trzy tony lżejszym.

Spostrzegłem, że Borze ostatecznie dał się przekonać, widziałem, że wylazł z transportera i za pomocą linek mocował nadstawkę wydechu. Ulżyło mi, okazał się naprawdę staranny.

Wkrótce pierwszy wóz, lekki uzbrojony transporter, ruszył i zaczął forsować rozlewisko. Jego koła o średnicy prawie półtora metra szybko skryły się pod powierzchnią, fala oparła się na

kadłubie, pojazd na moment stracił przyczepność, kierowca instynktownie zwolnił i koła znów oparły się o dno.

Pozostały odcinek przejechał bez kłopotów, minął nas i zatrzymał się sto metrów dalej, gdzie wody było już mało, do suchego gruntu pozostał mu zaledwie krótki odcinek.

Kolejny pojazd, tym razem ciężarowy. Przy trzecim zaczęło to już być działanie rutynowe, przestałem poświęcać uwagę krótkim rozkazom przekazywanym na ogólnym obwodzie.

Naraz ktoś zaklął, podniosłem wzrok ku ekranowi.

Jeden z lekkich wozów opancerzonych stał w połowie brodu, lewa, przedłużona rura ssąca złamała się pod naporem wody. Zalaniu uległ silnik, być może woda dostała się do cylindrów, co oznaczałoby koniec silnika. Tuż nad pojazdem widać było gałęzie drzewa, o które zawadzili. Może właśnie dlatego rura ssania się złamała.

– Zawór zwrotny zadziałał, a silnik wyłączyliśmy natychmiast – zameldował dowódca wozu. – Ale bez pomocy nie wydostaniemy się stąd.

Nastąpiła krótka wymiana zdań, podczas której Knispel odrzucił pomysł, żebyśmy my wyciągnęli pojazd. Mogły to zrobić inne wozy, naszym podstawowym zadaniem była ochrona konwoju. Całkowicie się z nim zgadzałem, nie miałem ochoty wychodzić na zewnątrz do skażonego obszaru.

– Wóz Maury podjedzie do was i odholuje wasz pojazd. Weźcie maski i wszystko będzie w porządku – usłyszałem Cautskiego wydającego rozkazy.

– Pomożemy wam przy odkażaniu – uspokajał załogę Knispel. – Panie Rigajev, proszę o ocenę zagrożenia.

– Już im wszystko posłałem – warknął Rigajev, z lekka niezadowolony. – Z filtrami biologicznymi będą bezpieczni, kilka małych nieszczelności nic nie znaczy.

Cautski tylko powtórzył wydane już instrukcje. Nieźle to wymyślił, im prostsze działania, tym lepiej dla załogi.

Ruszył jeden z ciężkich wozów, uzbrojony

w trzydziestomilimetrowe działko szybkostrzelne i dwa wielkokalibrowe karabiny maszynowe. Bez kłopotów dotarł do unieruchomionego wozu i zatrzymał się. Spodziewałem się protestów załogi, bo postój w tak głębokiej wodzie jest zawsze ryzykowny, ale nawet nie pisnęli. Silnika oczywiście nie wyłączali.

Po chwili otworzył się właz na dachu uwięzionego transportera i wyszli przezeń dwaj członkowie załogi w maskach na twarzach. Garbili się, żeby uniknąć zwisających gałęzi. Jeden ostrożnie przeszedł na przód pojazdu i z wyraźną niechęcią ześliznął się do wody, żeby wymacać nawijarkę. Drugi trzymał w ręce konsolę sterującą. Nie słyszałem ich, ale gest tego w wodzie był oczywisty. Po chwili wygramolił się na górę z hakiem i liną, widać było, że wszystko jest gotowe. Poczulem ulgę, podświadomie oczekiwałem, że coś nie będzie w porządku. Nawijarki kontrolowało się rzadko, chociaż na ich naprawę zawsze było dość czasu.

Odwinęli kilka metrów liny, starannie ułożyli z niej pętle, widać było, że lina jest przystosowana do holowania wielotonowych pojazdów. Ten, który już stał w wodzie, namyślał się przez chwilę i zgrabnie przeskoczył na stojący obok transporter, uwalniając przy tym pętle liny. Znowż zanurzył się w wodzie, aby umocować hak do zaczepu.

Podniósł kciuk na znak, że wszystko w porządku, i zaczął wylazić na górę. Dopiero wtedy zauważyłem, że jego partner sterujący nawijarką nie stoi, tylko leży na dachu transportera, zwijając się w kurczach.

Cholera. Co się stało?

Rigajev wyostrzył obraz kamery, przez moment widziałem niebieskie żyły występujące pod skórą i szybko się rozprzestrzeniające czerwone plamy.

Po chwili człowiek z liną leżał miotany drgawkami obok swego kolegi.

– Coś ich zatrulo, i to błyskawicznie – usłyszałem zaskoczony, choć równocześnie spokojny głos Rigajeva.

Przez długie dziesiątki sekund obserwowaliśmy umieranie obu

mężczyzn. My im pomóc nie mogliśmy, pozostali członkowie załogi wozu szybko zamknęli pokrywę wjazdu, żeby zminimalizować ryzyko zatrucia. Nie chciałem na to patrzeć, ale nie wyłączyłem wideo, bo to oznaczałoby odcięcie się od informacji. Odwróciłem się tylko od ekranu.

– Przecież mieli maski – powiedziałem na obwodzie czołgu. Ta uwaga była przeznaczona dla Rigajeva.

– No tak, ale do zatrucia wyraźnie doszło za pomocą kontaktu przez skórę. I tak szybko, że to musi być skuteczniejsze od iperytu.



Zazdrościłem mu tej naukowej rezerwy. Obaj mężczyźni przestali się już ruszać, dokładny obraz pokazywał, że jeszcze oddychali, ale twarze mieli ściągnięte, a każdy centymetr skóry pokrywały

ogromne krwawe pęcherze.

– Czy to także produkt manipulacji genetycznej?

– Niekoniecznie – odpowiedział Rigajev. – Istnieją lub istniały w naturze jadowite drzewa zdolne zabić człowieka, który pod nimi usiadł. Na przykład taki *Hippomane mancinella*^[4] albo manchineel brazylijski. Ale to drzewo, pod którym ci pechowcy się zatrzymali, jest jeszcze bardziej trujące.

A jeżeli to manipulacja genetyczna, to wyraźnie wymknęła się z rąk, ponieważ broń genetyczna jest o wiele skuteczniejsza, jeśli działa z dużym opóźnieniem.

Obaj mężczyźni byli już martwi i holownik ostrożnie odjechał. Nawijarka była na szczęście umocowana i dzięki temu można było wyciągnąć pechowy wóz.

– Jednak może to nie tylko to jedno drzewo jest winne, może większość okolicznej roślinności wytwarza nadmierne ilości trujących alkaloidów – rozważał głośno Rigajev, pisząc coś na klawiaturze. – Myślę, że przez jakiś czas toksyczna roślinność pokrywała większość tego pięknego zakątka świata.

Obserwowałem, jak transporter został wyciągnięty na suchy grunt, woda ściekała z niego strumieniami. Dwóch ludzi zginęło, ale dwóch innych zostało uratowanych. Jeśli wentylacja nadciśnieniowa działała, to powinni być chronieni nawet przy otwartej pokrywie wjazdu.

– A dlaczego wszystko wokół nas nie jest trujące? Mam na myśli cały świat – zapytałem.

Cyr wykorzystywał wszystkie nasze systemy radiolokacyjne, uzyskując kilka interesujących ech, komputer natychmiast się nimi zajął i zaczął analizować. I ja je przeglądałem.

– Genetyczna modyfikacja polega na stworzeniu organizmu jadowitego, który stanowi pewne obciążenie, a w przebiegu ewolucji może go z czasem uczynić szkodliwym dla pozostałych. Dlatego po sztucznie wywołanej ekspansji wyruguje swoich naturalnych konkurentów, jeśli to będzie jakaś superskuteczna genetyczna manipulacja, a to się już właśnie stało.

– To on – oznajmiłem przez interkom, przestając śledzić wykład Rigajeva. – Cały czas nas śledzi, ten mały bot, którego spotkaliśmy na początku podróży.

– Komputer tego nie potwierdza – sprzeciwił się Cyr.

Nie przejąłem się protestem, interpretacja graficzna echa radarowego była dla mnie jednoznaczna. Rigajev zamilkł, kamery obserwujące akcję ratunkową oślepyły. Przypuszczałem, że kanały optyczne były teraz używane w innym miejscu. Nie cieszyło mnie, że muszę zadowalać się strzępami informacji, jakie mi pozostawili inni. No tak, byłem przecież tylko mechanikiem.

– Tak, to on – potwierdził po dłuższej przerwie Rigajev. – Sanders ma rację, śledzi nas wciąż ten sam bot. Albo inny tego samego typu.

Na mapie w miejscu, gdzie radar odkrył bota, pojawił się znaczek. Tuż obok nas, z boku, gdybyśmy go nie odkryli, przedefilowalibyśmy przed nim jak świąteczna procesja.

– Jedziemy naprzód, azymut trzysta dziesięć, cel skała. Pełne pogotowie – rozkazał kapitan.

Marlon ruszył tak szybko, że aż uderzyłem się w potylicę. Uważałem, że już dawno przywykłem do przyspieszeń czołgu i nagłych zmian kierunku jazdy. Jednak nie było to prawdą.

Pędziliśmy przez wodę, aż czułem pulsowanie fali spiętrzonej naszym ruchem.

– Strzelajcie przy każdej okazji.

Zawył serwomechanizm działa i napęd podajnika nabojów. Przemknęliśmy obok oczekujących wozów, wyskoczyliśmy na wysepkę i w tym momencie zabrzmiał gong oznaczający zidentyfikowanie celu.

Targnięcie odrzutu złagodzone hamulcem hydraulicznym, eksplozja, eksplozja, odrzut i znowu, i znowu.

Zawył alarm przeciążenia, w krótkim czasie wystrzeliliśmy wiele razy.

– Lufa przegrzana, na żółtym polu – zameldował sucho Katzinski.

– Mechanizm nabijający w porządku, ryzyko samozapłonu nie grozi – uzupełnił Cyr.

Więcej niż sześć wystrzałów, zdałem sobie sprawę. Wokół nas spadały odłamki rozwalonych skał.

Miejsce, które ostrzelaliśmy, zniknęło, stu pięćdziesięciomilimetrowe pociski wybiły w zboczu nad nami wielki wylom, głęboki na kilka metrów. Efekt niewielu sekund ostrzału był niszczycielski.

– Cel zlikwidowany?

Głos Knispela brzmiał tak samo sucho jak zawsze.

– Nie wiem – po krótkiej chwili odezwał się Katziński.

– Jeżeli go trafiliśmy, to pewnie wyparował, a z nim całe towarzystwo, o ile takie miał.

– Knispel! Co to za kanonada! Nie będę wam płacił za marnowanie amunicji – ryczał przez radio wściekły Cautski.

– Mówimy na ogólnym obwodzie, Cautski – odparł Knispel, wyciszając nam łączność.

Po dziesięciu minutach konwój znów ruszył, obecności bota nie dostrzeżono. Podróż przebiegała bez komplikacji, nikt nie musiał wychodzić na zewnątrz.

Przeciągnąłem się na swoim fotelu, mięśnie szyi mi zeszywniały. Po dziesięciu kilometrach Rigajev obniżył zagrożenie skażeniem o jeden stopień, po botach nie było ani śladu, bezpośredni atak nie zagrażał. Czas był odpocząć. Odpoczynek dla żywych, martwi już go nie potrzebują, pomyślałem gorzko. Umarli wskutek wadliwie wykonanej pracy oraz w wyniku pecha.

Musieliśmy przejechać jeszcze pięć kilometrów, zanim Rigajev okazał się zadowolony z czystości środowiska.

– Tak jak mówiłem, była to tylko ograniczona enklawa, tutaj już nic toksycznego nie rośnie – stwierdził i pierwszy wylazł z czołgu.

Rozbiliśmy obóz w dolince na szerokim na około dziesięć metrów gzymsie ponad dnem niecki, gdzie płynął potok, a bujna roślinność świadczyła, że ziemia jest tu wilgotna i bagnista. Ponad nami krawędź dolinki tworzyła bliski horyzont, a wszędzie wokół wznosiły się wysokie góry, szczyty najwyższych pokryte były czapami ze śniegu i lodu. Zabezpieczyłem obóz jak codziennie, tym

razem zrobiłem to sam, bo Cyr zajmował się działem i amunicją. Byłem z tego zadowolony, bo praca pomogła mi zapomnieć o dwóch umierających. Zabrało mi to dwa razy tyle czasu. Wróciłem z czołem pokrytym potem i wziąłem kąpiel w jednym z głębszych miejsc potoku. Woda była lodowata, a do tego walczyłem z uczuciem, że na ciele wyskakują mi krwawe pęcherze. W końcu się jednak przekonałem, że Rigajewowi i jego przyrzędom można wierzyć. Już zaczynało się ściemniać. Tu, w wysokich górach, zmrok nadchodził szybciej. W drodze powrotnej do obozu zauważyłem, że Camuvieli otworzył kuchnię połową i szykuje kolację. Dobry pomysł, powinniśmy się otrząsnąć. Ale i tak żadnej wesołej zabawy się nie spodziewałem.

Mimo że miałem za sobą dużo pracy, dotarłem do prowizorycznej jadalni pod gołym niebem jako jeden z pierwszych, pozostali nadal jeszcze szykowali nocny odpoczynek. Widziałem, jak wielu mechaników sprawdza systemy wentylacyjne, uszczelki okien i włączów i stara się użyć własnych detektorów skażenia biologicznego i chemicznego. Rozumiałem ich, ale nie wierzyłem, żeby jakaś podstawowa technika mogła zareagować na te roślinne alkaloidy. Na Rigajewie i jego badaniach polegałem bez żadnego powątpiewania, bo on swoje życie cenił bardzo wysoko i wiedział, jak się może zemścić błąd czy omyłka.

Dostałem porządną porcję, przeprowadziłem krótką rozmowę z kucharzem o naszej strzelaninie, z której oswobodził mnie kolejny stołownik.

Usiadłem na ławce, nieco z boku od pozostałych, tak żeby mieć widok na tę stronę, z której przyjechaliśmy. Jakbym naprawdę myślał, że nasi prześladowcy nadejdą dokładnie naszym śladem.

– Dlaczego na jednego małego bota użyliście takiej ciężkiej broni?

Herbert Camuvieli właśnie siadał obok mnie, byłem tak zamyślony, że go nie zauważyłem.

Zadał inteligentne pytanie, innych ciekawiło raczej to, czy trafiliśmy bota. Informacja o tym, do czego strzelaliśmy, rozeszła się szybko.

Ze smutkiem popatrzyłem na swoją miskę, jak dotąd jeszcze nie zacząłem jeść.

– To mała maszyna, mały bot. Wraz ze zmniejszającymi się gabarytami rośnie energetyczna zdolność do poruszania się w terenie. A to, że mu nie uciekliśmy, świadczy o tym, że miał bardzo zaawansowaną konstrukcję i był sterowany przez wyjątkowo skomplikowane algorytmy.

Herbert popatrzył na mnie z powątpiewaniem, jakby nie rozumiał, co moje ostatnie zdanie miało znaczyć.

– Po prostu musiał mieć znacznie wyższy poziom inteligencji niż większe boty. Te, które znamy – wyjaśniłem mu.

Połknąłem solidny kęs, z pozoru nieciekawa, bliżej niezidentyfikowana masa z ciasta, sosu i czegoś, co mogło być mięsem, smakowała więcej niż dobrze. Kolacji nie powinno się zbytnio przyglądać, w gęstniejącej szarówce, którą reflektory tylko słabo rozpraszały, nie było to trudne.

– Dlaczego myślisz, że jest sprytny? – zapytał Herbert.

– To całkiem dobre – oceniłem potrawę, widziałem jednak, że młody Camuvieli czeka na odpowiedź.

Napiłem się herbaty. Była ciepła, poza tym nic dobrego nie można było o niej powiedzieć.

– Im mniejszy bot, tym promień jego działania też jest mniejszy. Przeszkody są dla niego trudniejsze do sforsowania, orientacja w terenie niższa. Ma też mniejszą pojemność akumulatorów, o ile w ogóle został w nie wyposażony – wyjaśniałem. – To wszystko nakłada spore ograniczenia na jego... spryt. – Przyjąłem, choć niechętnie, termin użyty przez Herberta.

– Słyszałem o małych botach wielkości pajaków, szpiegach, które były w użyciu podczas wojny Hanturiego – oponował Herbert.

Wzruszyłem ramionami. O tej wojnie powstały całe legendy. Dla niektórych to była ostatnia wojna z botami, w której zwyciężyliśmy, odzyskując władzę nad planetą, inni natomiast twierdzili, że boty były tylko maszynami bojowymi kierowanymi przez jedną z walczących stron. To aż dziwne, że przez ćwierć wieku nikt nie

udowodnił, co było prawdą. Na przykład o śmierci majora Hanturiego, od którego nazwiska cała wojna wzięła nazwę, krążyło co najmniej siedem różnych wersji. Od takiej, że to właśnie on ocalił ludzi zaskoczonych atakiem w Kramrovej Dolinie, aż do takiej, że niewłaściwym dowodzeniem spowodował masakrę swoich jednostek podczas tego ataku i sam w niej zginął. W każdym razie ci, którzy tę wojnę przeżyli, potrafili zwycięstwo nad maszynami obrócić na swoją korzyść i stopniowo umacniali swoją wersję wydarzeń.

Z jednej strony była polityka, z drugiej technika. Jak każdy, kto zajmował się zawodowo botami i mechanoidami, gromadziłem i analizowałem wszystkie dostępne informacje.

– Tak, to prawda, że używali pajaków zwiadowczych – przyznałem. – Ale te, których rysunki i schematy widziałem, nie były mniejsze niż spora taca, czemu odpowiadała ich prędkość, maksymalnie osiem kilometrów na godzinę w zależności od terenu.

– No to co, mogą się przecież poruszać przez całą dobę – mówił Herbert z pełnymi ustami, silnie przy tym gestykułując wolną ręką. – To by było prawie dwieście kilometrów, to kawał drogi.

Słuchając go, spostrzegłem, że Natasza wraz z dwiema pozostałymi dziewczynami podeszły do stołówki od frontu. Nikogo nie wyprzedzały, bo każdy chętnie je przepuszczał, ale potem starał się flirtować. Natasza wyglądała na zdenerwowaną i nie przyłączała się do rozmów swoich koleżanek.

– Nie mogą. Im mniejszy bot, tym jego ruch jest trudniejszy pod względem zużycia energii, a ono zwiększa się razem ze wzrostem szybkości ruchu. Takie małe boty nie są zdolne do pobrania ze słońca dostatecznej ilości energii, a jeszcze gorzej wychodzą na tym akumulatory. Bot o kształcie pajaka i podanej przeze mnie wielkości miałby poważne kłopoty z przebyciem pasma cienia rzucanego przez grzebień górski. A pole pokryte wielkimi głazami musiałyby obejść, żeby w nim nie utknąć.

Herbert się zamyślił.

– Z powodu energii?

– Tak. Wpadnie do rozpadliny, z której mógłby się po jakimś czasie wydostać, ale już nie zdoła uzyskać energii do zrealizowania tego. A to byłby koniec na zawsze.

Herbert słuchał z zainteresowaniem. Problem był bardziej złożony, ale do podstawowego zorientowania się takie wyjaśnienie wystarczało.

– Kiedyś śledziłem bota, który był w bardzo złym stanie, a jego jednostka sterująca zdawała sobie z tego sprawę. Z jakiegoś powodu kręcił się nieustannie wokół osady, nikt nie wiedział dlaczego. Znalazłem go, kiedy zauważyłem, że porusza się po trasie zapewniającej mu maksymalny dopływ energii słonecznej.

– A dlaczego śledziłeś tego bota?

– Zabił jednego człowieka i zniszczył osiem automatycznych traktorów. Taką miałem pracę, niszczyć boty szkodniki.

– A nie bałeś się?

Herbert był wyraźnie zainteresowany, aż przestał jeść. Znów zrozumiałem, że różnica pomiędzy peryferiami ludzkiego osiedla a jego centrum jest duża, o wiele większa, niż to sobie wyobrażałem. Do czasu, kiedy Herbert dołączył do konwoju, boty były dla niego czymś egzotycznym, z czym się nigdy nie zetknął. Z wieloma innymi zresztą było tak samo. Ciekawe, czy ta różnica będzie się pogłębiać, czy zmniejszać.

– Nawet nie – odpowiedziałem, co mnie trochę zaskoczyło, ponieważ nie kłamałem. – Chyba tak jak piły tarczowej, dużej szlifierki w kiepskim stanie technicznym czy pół kilograma starego materiału wybuchowego.

Herbert spojrzał na mnie pytająco.

– Ale to nie były te bojowe boty ani dinoboty, tylko o wiele prostsze mechanoidy, zużyte aż do kresu swojej funkcjonalności – dodałem szybko, żeby nie wyglądało na to, że się przechwalam.

Bo jednak maszyny bojowe, supersprawne zabójcze boty, które napadły na nasz konwój, budziły prawdziwy strach i grozę oraz wywoływały we mnie atawistyczny lęk przed czymś nienaturalnym, nieznanym i nieludzkim.

– A wiesz, że w dużych miastach istnieją sekty, które modlą się do maszyn?

– Co takiego?

O mało się nie udławiłem. Coś tak głupiego nigdy by mi nie przyszło do głowy.

– Dlaczego? Czy to fetyszyści?

– Nie. – Pokręcił głową. – Ostatnio zaczyna się o nich coraz więcej mówić. Modlą się do czegoś, co nazywają Rexexmachina.

Można było poplątać sobie na tym język; ci ludzie musieli być szaleni.

Valerie i Elizabeth dostały swoje porcje pierwsze, poczekały na Nataszę i wszystkie trzy skierowały się ku wolnemu stolikowi. Tak im się tylko wydawało, bo Natasza po kilku krokach odłączyła się od nich i ruszyła w naszą stronę.

Elizabeth i Valerie po chwili wahania poszły w jej ślady.

– Twoja krewniczka jest naburmuszona – zauważyłem.

– A jest – odparł Herbert nonszalancko. – Pokłóciła się z ojcem, krzyczeli na siebie tak głośno, że było ich słychać na zewnątrz.

– A o co im poszło?

– Głupi jesteś czy tylko głupka udajesz? – zaśmiał się. – O ciebie. Mój stryjek ma wielkie plany, a Natasza gra w nich pewną rolę. Chyba mu się nie nadajesz na... – przez chwilę szukał właściwego słowa – na taki projekt, w który mógłby angażować swoją córkę. – Wyszczrzył zęby.

– To ja jestem projektem?

– Każdy z nas stanowi jakiś projekt, czyjś projekt. – Wzruszył ramionami.

Ale już mieliśmy towarzystwo.

– Cześć – przywitałem dziewczęta.

Natasza bez słowa usiadła na krześle, Valerie na drugim, trzeciego nie było. Wstałem, przysunąłem swoje Elizabeth i przyniosłem następne dla siebie.

– Jedzenie smakuje lepiej, niż wygląda. Smacznego.

Rozbawiony Herbert zrobił głupią minę.

Zabraliśmy się do jedzenia. Herbert wstał i wrócił z trzylitrowym kartonem wina.

– Wydawali na sześć osób, ugadałem po protekcji.

– Żebyś tylko czegoś nie nagadał – odpaliła Natasza.

– Ja w tym nie biorę udziału, nie wylewaj złości na mnie – bronił się Herbert, otwierając wino.

Najpierw nalał Nataszy.

– Z jednej strony jestem jego wspólnikiem handlowym, a z drugiej zachowuje się w stosunku do mnie jak... jak... – Natasza ciągle jeszcze nie mogła się uspokoić.

Milczałem, ze względu na rewelacje Herberta rozmowa na ten temat nie byłaby przyjemnością. Co więcej, miałem uczucie, że jej ojciec ma rację.

Uniosła plastikowy pucharek i jednym haustem wypła połowę, przy czym zakrztusiła się winem tak, że prawie zaczęła nim parskać.

– Uff, o mało się nie utopiłam. Ale źle to nie smakuje.

Przemieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jakby cała złość nagle z niej wyparowała.

– O czym tak poważnie debatowaliście przed chwilą? – zapytała nas Valerie.

Spojrzałem z wahaniem na Herberta, nie byłem pewny, czy nasz temat zainteresuje pozostałych.

– Rozmawialiśmy o ludziach wzywających Rexexmachina – odpowiedziałem zgodnie z prawdą, ponieważ Herbert jak zwykle miał pełne usta i nie zamierzał nic mówić. – Nigdy kogoś takiego nie spotkałem i słyszę o nich po raz pierwszy – kontynuowałem. – Wydaje mi się to zupełnym szaleństwem.

– A ja tak – powiedziała Valerie. – W Belenstagu spotkałam kaznodzieję, przekonywał ludzi, żeby uwierzyli w Rexexmachina. Twierdził, że wiara w nowego władcę przyniesie wszystkim bogactwo, powodzenie i pokój na ziemi.

– A jak długo prawił kazania, zanim go wsadzili do paki? – zapytała Elizabeth. – Nigdzie nie lubią kaznodziejów, szczególnie

gdy przywołują jakichś nowych... – przez chwilę szukała właściwego wyrazu – bogów – użyła tego, które przyszło jej do głowy.

– Tak z dziesięć minut – odparła Valerie. – Ale nie złapali go, uciekł na minutę przed pojawieniem się policji. Podobno przemawiał też w innych miejscach.

– Ma to wpływ na biznes – po raz pierwszy po przerwie włączyła się do tematu Natasza. – Tam, gdzie się tych szaleńców zbierze więcej, na ogół zaostrza się przepisy i trudniej jest robić interesy. Wszyscy stają się ostrożniejsi, żeby przypadkiem nie nawiązać kontaktu z zakazanymi technologiami.

– Masz na myśli sztuczne inteligencje? – upewnił się Herbert.

Zauważyłem, że zajada swoją porcję jak największymi kęsami.

– Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś sprzedawał lub kupował sztuczne inteligencje. – Natasza pokręciła głową.

Mówiła z przekonaniem, jak ktoś znający się na rzeczy.

– Na granicy prawa znajdują się stabilizowane sieci neuronowe albo inne sieci elektroniczne zdolne do pewnego „uczenia się”. Takimi w jednych miejscach można handlować, ale w innych już nie. Natomiast broń biologiczna, chemiczna, genetyczna i jądrowa wszędzie znajduje się na indeksie.

– Najpoważniejsi handlowcy są zainteresowani głównie towarami o wysokiej technologii, bo to one przynoszą największy zysk – oznajmiła Valerie.

– Tak – zgodziła się z nią Natasza. – Ale tu chodzi przede wszystkim o klasyczne komputery, półprzewodniki, kleje kauczukowe, po prostu to wszystko, czego nie umiemy już wytworzyć.

A kiedy gdzieś pojawiają się ci wariaci wzywający Rexemachina, wszyscy zaczynają być podejrzani i interesy kuleją.

Ja żadnych przedmiotów nie wyrabiałem, tylko poddawałem je recyklingowi na bazie starych maszyn, starych botów, wszystkiego, co miałem pod ręką, i nie rozumiałem, dlaczego miałyby być zakazane handlowanie tym. Nawet plutonu można było użyć, jeśli się miało sprawny reaktor. Co do genetycznych toksyn nie byłem

już taki pewny swego. Napilem się wina, Natasza miała rację, nie było złe.

– Rexexmachinamentum, czy też Rexexmachina? – zapytałem głośno, odświeżając swoją znajomość łaciny, której łyknąłem, czytając literaturę rozrywkową. – To by mogło znaczyć coś jak król, czyli władca z maszyny albo w maszynie – ciągnąłem.

– Nie wiem, co to słowo oznacza. – Herbert wzruszył ramionami.
– Ale to, co mówisz, jest zgodne z tym, o czym bredzą ci wariaci.

Inni o nich wiedzieli, ja nie. Znów sobie uświadomiłem, że jesteśmy z różnych światów.

– Ich bóg ma coś wspólnego z maszynami. Agregat Diesla bogiem.
– Skrzywił się pogardliwie.

– No a co by było, gdyby to nie był agregat Diesla, tylko sztuczna inteligencja? – podrzuciłem mu myśl.

Zauważyłem, że Natasza na mnie patrzy i nieznacznie przytakuje. Chyba się ze mną zgadzała.

⁴ Nazywane drzewem śmierci, silnie trujące, występuje na obszarze Ameryki Południowej, Środkowej, na Karaibach i Bahamach (przyp. tłum.).

Rozdział piąty



Następny dzień był pracowity. Od rana do wieczora sprawdzaliśmy i naprawialiśmy systemy zabezpieczające przeżycie w terenie skażonym. Nasz czołg był w porządku, silnik i wszystkie podzespoły chodziły jak w zegarku, wymieniłem tylko jeden sworzeń w gąsienicy. Stary pieczołowicie schowałem, choć nie byłem pewny, czy zdołam go jakoś naprawić. Przy opukiwaniu i obmacywaniu nie wydawał się wykonany ze standardowej stali, diamentem udało mi się go ledwie zarysować. Później pomagałem innym mechanikom. Bo tak było trzeba, a poza tym chciałem się zorientować w stanie technicznym pojazdów konwoju. Niektóre systemy filtracyjne okazały się dość prymitywne, w kilku wozach hermetyzacja niedostateczna i konieczne w nich było utrzymywanie nadciśnienia. Cały dzień czyściłem przewody ssania, myłem lub wymieniałem filtry, w jednym silniku wymieniłem uszczelki pod głowicami cylindrów. Skończyłem dopiero późnym wieczorem. Padałem ze zmęczenia, jednak musiałem dokończyć robotę.

Na szczęście kucharz poczekał na mnie z gorącą kolacją. Z dużą ulgą usiadłem przy stoliku i zabrałem się do jedzenia. Dopiero teraz poczułem, jak bardzo bolą mnie nogi i plecy od nieustannego garbienia się i pracy w ciasnych miejscach. Było już ciemno, wszyscy szykowali się do spania, tylko ostatni spóźnialscy jeszcze jedli. Powietrze szybko się ochładzało, wiedziałem, że podczas mycia będzie mi zimno. Ale bardzo się ubrudziłem, a po wielu dniach oszczędzania wody możliwość kąpieli wydawała mi się prawdziwym luksusem. Wciąż myślałem wracałem do pracy.

Według dokumentacji, jaką znalazłem w komputerze czołgu, gąsienice miały żywotność od jedenastu do piętnastu tysięcy kilometrów, zależnie od terenu i warunków jazdy. Notatki serwisowe zaczynały się od siódmego roku użytkowania i były niekompletne. Ten, który je sporządzał, albo tego nie umiał, albo lekceważył konieczność zapisów. Katzinski powiedział mi, że poprzedni mechanik był dziwny, więcej się od niego nie dowiedziałem. Oświadczył też, że jego zdaniem te gąsienice mają już z pewnością więcej niż piętnaście tysięcy kilometrów. Na pytanie, gdzie i kiedy były wymieniane, nic nie odpowiedział. Czasem jego małomówność i niechęć do rozmów nieźle mnie denerwowały. Policzyłem zapasowe sworznie w pudełkach, było ich mniej niż wymagających wymiany. Może zdołałbym wykonać jakąś naprawę albo chociaż często je czyścić i smarować.

– Nie widziałem pana dziś na wspólnej kolacji – wyrwał mnie z rozmyślań pan Camuvieli.

Spojrzałem na niego. Na głowie miał wyłączoną lampkę czołową, w świetle padającym z kuchni widać było na jego twarzy zmarszczki ze zmęczenia. Wyglądał, jakby podobnie do mnie miał wszystkiego dość.

– Było mnóstwo pracy – odpowiedziałem krótko.

Musiał mnie zauważyć, nie obozowaliśmy na zbyt dużej powierzchni.

– Dlaczego? Za to wam przecież nie płacę.

Jeśli chciał ze mną dyskutować o Nataszy lub innych sprawach niezwiązanych z moją pracą mechanika, to źle trafił. Właściwie w ogóle źle trafił, jako że nie był moim szefem. Z powodu zmęczenia moja zdolność opanowania była niewielka, wiedziałem, że nie potrwa długo, jak poślę go do diabła. Zapewne nie byłoby to rozsądne.

– Ale płaci pan. – Spróbowałem być uprzejmy. – Płaci nam za to, żebyśmy bezpiecznie doprowadzili konwój do celu. Traktuje pan to jak usługę, za którą już zapłacił. Bez tych działań, które dziś wykonałem, nasze szanse na osiągnięcie celu byłyby znacznie

mniejsze.

Jak dotąd nie pomyślałem o tym, ale okazało się to prawdą.

Poczekalem chwilę, co jeszcze powie. W końcu pokiwał głową.

– Ma pan rację, wszyscy musimy się starać. A jak ocenia pan stan techniczny moich pojazdów?

– Jest dobry, ale mógłby być jeszcze lepszy. Nie mogę powiedzieć, że pana ludzie lekceważą swoją pracę, tylko że trochę brakuje im znajomości rzeczy i wiedzy.

– Dziękuję. Za informację i za pańską pracę – odpowiedział bez śladu ironii. – Dobranoc.

– Dobranoc – pożegnałem go.

Nie wiedziałem, co myśleć o jego wizycie, i szybko o niej zapomniałem, skupiając się na rzeczach ważniejszych, na przykład jak nie trząść się podczas mycia. Z wielką przyjemnością wpełzłem do śpiwora.

Przebudziłem się z uczuciem, że obok mnie ktoś siedzi. Nie spałem pod namiotem jak większość pozostałych, ale pod gołym niebem, ze śpiworem przykrytym moskitierą, która chroniła też przed zawartą w powietrzu wilgocią. Strzelbę położyłem na gąsienicy, żeby nie leżała wprost na ziemi. Ostrożnie zacząłem rozpinąć śpiwór. Na tle jaśniejszej kępy trawy oświetlonej księżycem dostrzegłem znajomą sylwetkę.

– Są tutaj, wyczuwam je – poznałem głos kapitana.

Namacałem kolbę broni, odsunąłem moskitierę, wyplątałem się ze śpiwora i usiadłem obok Knispela. Ta uciążliwa do noszenia broń teraz mnie uspokajała.

– Kto? – zapytałem cicho.

– Boty, zabójcze maszyny, a może i... – nie dokończył, nasłuchując.

Oprócz normalnych odgłosów nocy niczego więcej nie słyszałem.

– Proszę obudzić Rigajeva, niech sprawdzi okolicę – rozkazał mi.

– A inni? Czy mam ogłosić pogotowie bojowe?

Jego przeczące pokręcenie głową raczej wyczułem, niż zobaczyłem.

– Tylko nasza załoga. I niech pan zrobi to po cichu, nie chcę zwracać zbytnej uwagi. Bezpośredni atak na razie nie grozi.

Skąd mógł to wiedzieć? Posłuchałem go.

Rigajev stanął na nogi już po lekkim dotknięciu. Cyr i Katzinski sami się obudzili, jedynie Marlon chrapał ukryty pod przodem czołgu, jakby chciał zapobiec jego przypadkowemu odjazdowi. Musiałem solidnie nim potrząsnąć.

Wszystkie systemy czołgu mógł w mgnieniu oka aktywować kapitan, ale on nadal pozostawał na zewnątrz. Wśliznąłem się do swego kokpitu i uruchomiłem akumulator ze stanu czuwania.

Wkrótce poczułem, jak energia zasila poszczególne systemy, a w chwilę później zaczęli swoje działania pozostali. Rigajev pierwszy, po nim Cyr i Katzinski uruchomili sterowanie ogniem, a potem ożyły systemy lokalne.

Najpierw chciałem wrócić na zewnątrz, jednak skupiłem się na ekranach. Teraz byłem już doświadczony w ich odczytywaniu, chociaż w razie jakichś wątpliwości polegałem raczej na Rigajevie, który był mistrzem w tej dziedzinie.

Stopniowo na monitorach pojawiał się obraz okolicy, kombinowany z mapą. Z początku nie wydawało mi się, żebyśmy namierzyli jakieś maszyny, dopiero kiedy Rigajev ręcznie wyznaczył kilka obszarów widocznych na ekranie, udało mi się dostrzec niewyraźne sylwetki oczekujących botów. Wykorzystywały urozmaiconą rzeźbę terenu, żeby zlać się z okolicą, i robiły to dobrze.

– Jak są duże? – zapytałem raczej samego siebie, ale powiedziałem to do interkomu, który włączyłem automatycznie po zajęciu swojego miejsca.

Rigajev narzucił skalę. Były duże, niektóre tak wielkie jak dinoboty, które na nas uprzednio napadły.

– A mniejszych jest tu o wiele więcej – zauważył Rigajev.

Na ekranie zaczęły pojawiać się kolejne znaczki, a przy nich liczby.

– Podaję prawdopodobieństwo prawidłowej identyfikacji –

uzupełnił informację. – W dziewięciu przypadkach ponad osiemdziesiąt procent.

Wszystkich razem było dwadzieścia jeden.

– Im mniejsze, tym bliżej odważają się podejść – zauważył Cyr.

Istotne było, jak sprawnie potrafią współpracować.

Usłyszałem, jak Rigajev składa meldunek kapitanowi.

– W nocy nie zaatakują – mruknął Katzinski. – Dopiero rano, przy świetle, kiedy będą mogły po walce doładować akumulatory.

– Obejmę wartę, pozostali niech idą spać – zdecydował kapitan. – Czeka nas trudny dzień.

Prawie niechętnie wylazłem z kokpitu, ale spać w ciasnej przestrzeni było niepodobieństwem.

Przesunąłem się aż na tył czołgu, choć wcale nie czułem się przez to bezpieczniej. Małe maszyny też mają szczęki zdolne do przegryzienia kości. Może jednak powinienem pozostać w środku? Trochę mnie zdziwiło, że nie otrzymaliśmy takiego rozkazu. Dobrze wiedziałem, że nie zasnę.

A potem było już rano.

Wstałem jako jeden z pierwszych, nad podziw wypoczęty i w dobrym humorze. Może spowodowało to jasne niebo, wschodzące słońce i głośny świergot ptaków. Kapitan stał w tym samym miejscu, co w nocy. Wyglądał raczej jak posąg niż człowiek. Zauważył mnie.

– Nie ma ich – oznajmił i wskoczył na korpus czołgu, a potem przez właz wszedł do stanowiska dowodzenia.

Sprawdziłem ekrany systemów lokacyjnych, niczego nie zarejestrowały, według zapisów boty opuściły okolicę, kiedy zaczęło świtać. Może już chciały uzupełnić zapas energii w akumulatorach.

Zabrałem gąbkę, szczoteczkę do zębów i inne potrzebne rzeczy i poszedłem do potoku. Kawalek za szybszym nurtem powinno być głębsze miejsce, nadające się do kąpieli, dotąd jeszcze nie miałem okazji z niego skorzystać.

Maszerowałem wzdłuż brzegu, a głębszego miejsca nie było. Nie miałem ze sobą strzelby, a bez niej czułem się nieswojo. Już

chciałem po nią zawrócić, kiedy ujrzałem swoje kąpielisko. Niezbyt duże, lecz dość głębokie. Dno zdawało się być tuż pod powierzchnią, jakby woda sięgała zaledwie do kostek, jednak wiedziałem, że będę mógł cały się zanurzyć. Istnienie tej wspaniałej łaźni wydało mi się istnym cudem. O dzień drogi stąd rozciągał się obszar, w którym oddychanie bez maski gazowej oznaczało śmierć. A wokół niego jeszcze rozleglejszy teren, gdzie za krótki pobyt płaciło się wyraźnym skróceniem życia, a za dłuższy ciężką degradacją kodu genetycznego. Tylko nieco dalej kraina przypominała raj. Nawet gdyby była gdzieś lekko skażona, niczego by to nie zmieniło. Po prostu raj na ziemi.

Podczas nocy rozgrzałem się w śpiworze i zapomniałem o wieczornym chłodzie. Nie zwlekając, rozebrałem się i zanurzyłem w lodowatej wodzie. Lekkie szczykowanie zębami nie zmniejszyło przyjemności z kąpieli, na brzegu będę mógł wytrzeć się do sucha i będzie mi dobrze. Pod stopami czułem delikatny piasek, małe rybki, prawie ikra, obskubywały mi naskórek. Gdyby woda nie była tak zimna, pozostałbym w kąpieli znacznie dłużej. Odwróciłem się, żeby wrócić na brzeg.

– Wyglądasz naprawdę dobrze, to znaczy bez tego balistycznego stroju, ubrania i w ogóle. Natasza stała nad brzegiem, trzymając w ręce plecak i ręcznik. Miała tam swoje wyposażenie kąpielowe. W tym plecaku zmieściłyby się wszystkie moje rzeczy osobiste, jakie wtedy posiadałem. Włosy miała rozczochrane po spaniu, wargi delikatniejsze i jakby bardziej kruche niż zazwyczaj. Nie miała makijażu, ale była piękna, choć sprawiała wrażenie bezbronnej.

Przyglądała mi się bez skrępowania, powiedziałbym nawet, że z przyjemnością.

Zacząłem wychodzić na brzeg.

– Nie wstydzisz się? – zapytała z nieukrywanym rozbawieniem.

– A powinienem? – odparłem, leciutki powiew wydawał mi się teraz lodowatym wichrem, przeszły mnie dreszcze z zimna.

Gdybym się teraz chciał wysikać, miałbym kłopot ze

znalezieniem swojego penisa. Szybko zacząłem się wycierać gąbką.

– Może powinieneś. Od wielkości sporo zależy, nie wierz tym, którzy mówią, że nie. – Wyglądało na to, że za chwilę się roześmieje.

– Zastałaś mnie w niezręcznej sytuacji – wyjaśniałem, wycierając się. – Te męskie organy znacznie się zmniejszają na zimnie. To z powodu oszczędności energii, bo są bardzo ukrwione i na zimnie organizm traci nimi dużo ciepła.

Już byłem suchy i zacząłem się ubierać.

– Taka adaptacja do warunków zwiększa szansę na przeżycie – dodałem po chwili. Ubrany czułem się o wiele lepiej i pewniej. – Ale jeśli nadarzy się okazja, chętnie ci zademonstruję, jaka może być różnica w maksymalnych i minimalnych rozmiarach.

Roześmiała się serdecznie.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś technikiem? Zdaje się, że lubisz wymiary i ich porównywanie. Lepiej byłoby, gdybyśmy umówili termin tej demonstracji, ale przecież nie można mieć wszystkiego.

– Może dopisze mi szczęście i następnym razem spotkamy się w odwrotnej sytuacji? -zauważyłem.

Tymczasem spomiędzy drzew zbliżał się ktoś jeszcze.

– Może tak – zgodziła się. Zdjęła kurtkę i sweter.

– Będę miał nadzieję. Miłego dnia – pożegnałem ją i poszedłem z powrotem do obozu.

W połowie drogi spotkałem nadchodzącą Valerie.

– Natasza jest na kąpielisku – poinformowałem ją.

– Wczoraj umówiłam się z dziewczynami, że wykąpiemy się razem, ale Elizabeth nie dało się dobudzić – oznajmiła mi.

Valerie była lżej ubrana od Nataszy, kurtkę miała rozpiętą, a koszulka z dekoltem w literę V opinała jej pełny biust.

Zauważyła, na co patrzę, uniosła brwi, a ja się zaczerwieniłem.

– Miłego dnia – powiedziałem i poszedłem dalej.

Wyglądało na to, że ją też rozbawiłem.

Po dziesięciu krokach wszedłem na pagórek, z którego było widoczne kąpielisko. Natasza już się rozebrała i ostrożnie wchodziła do wody. Z tyłu jej ciało miało kształt wysokiej, smukłej klepsydry

albo koncertowych skrzypiec. Valerie pozbyła się ubrania szybciej, niż ja bym to zrobił. Aż wstrzymałem oddech, jej sylwetka przypominała wiolonczelę.

Kiedyś wpadła mi w ręce książka o instrumentach muzycznych i na pewno mógłbym z niej wybrać kilka innych, do których dałoby się Valerie porównać.

– Ładne, nie?

Elizabeth w końcu wstała z łóżka i przyłapała mnie na podglądaniu jej koleżanek.

– Tak, i to bardzo – przyznałem, ponieważ nic innego mi nie pozostało.

– Wiesz, że właściwie to ty jesteś dość miły i zabawny – oznajmiła. – Jeszcze przez chwilę tu wytrzymaj. I nie czerwień się – poleciła mi i poszła dalej.

Nie zrozumiałem, o co jej chodziło. Pojąłem, dopiero kiedy ona też była już w wodzie. Zanim do niej weszła, odwróciła się i wesoło do mnie pomachała.

Opłaciła mi się ich zabawa moim kosztem, tylu pięknych nagich kobiet nigdy w życiu nie widziałem. Tym bardziej wszystkich razem.

* * *

– Coś z tobą nie w porządku – powitał mnie Marlon, wygrzebujący się dopiero ze śpiwora.

– Ranny ptaszek więcej zobaczy – odparłem.

– Zwariowałeś?

Zostawiłem go z tym porannym humorem i zacząłem pakować manatki, żeby bez pośpiechu przygotować się do odjazdu. Rigajev siedział na zewnątrz, czytając z komputera nocne dane z czujników.

– Zniknęły, kiedy intensywność oświetlenia przekroczyła dwa i ćwierć luksu – powiedział do mnie, nawet nie patrząc na monitor.

– Dla człowieka poranek nie zaczął jeszcze wstawać.

– A co to oznacza? – zatrzymałem się, żeby zapytać.

Zawsze go wypytywałem i w większości przypadków

dowiadywałem się tego, co mnie ciekawiło.

– W pełni lata intensywność oświetlenia osiąga nawet sto dziesięć tysięcy luksów, być może sto dwadzieścia w południe najjaśniejszego dnia. Kiedy przy nadal bezchmurnym niebie słońce dotknie linii horyzontu, jest już tylko czterysta luksów, a światło pełni księżyca to zaledwie jeden luks.

Miałem mnóstwo pracy przed odjazdem, ale zostałem na miejscu.

– A co to oznacza? – powtórzyłem.

– Zgodnie z tym, co wiem o botach, o tych najlepszych, nie o ruinach, z którymi ty miałeś do czynienia – nie omieszkał wbić mi szpili – przechodzą w stan spoczynku, kiedy poziom energii jest niższy od potrzeb systemu sterowania.

– Ale one mają przecież akumulatory, może niewystarczające, ale mają – przypomniałem.

– Jasne – zgodził się Rigajev. – Jednak gdyby im się wyczerpały, to system sterowania by się wyłączył.

– Komputery mają program startowy – zauważyłem.

– Ale boty nie są sterowane komputerami, nie takimi, jakie my umiemy skonstruować. Nie mówię, że każdy bot jest sztuczną inteligencją. – Rigajev uniósł ręce w obronnym geście. – Ale według moich doświadczeń systemy sterujące bronią się przed wyłączeniem za wszelką cenę.

Z jakiegoś powodu im to przeszkadza. Chcę powiedzieć, że pozostawiają sobie rezerwę, działają tak, że nawet przy rozładowaniu akumulatora pozostanie dość energii dla systemu sterującego.

– Żeby nie straciły świadomości?

– Tego nie powiedziałem – zaprotestował Rigajev. – Nie sądzę, żeby każdy bot posiadał świadomość. Jednak niektóre, bardziej złożone i nowoczesne, mogą się do tego stanu zbliżać.

– Nowoczesne?

Znów wracało wyobrażenie nadal funkcjonujących linii wytwórczych, ukrytych gdzieś w podziemiach. Czy może

wyobrażenie ewolucji botów?

– A co sądzisz o tych dwóch i pół luksu? – zapytałem jeszcze, zbierając ostatnie rzeczy obozowe.

– Dwa i ćwierć – poprawił mnie. – Że nawet taka minimalna intensywność oświetlenia zapewnia im dość energii dla podtrzymania systemu sterowania.

Pomyślałem o tym, co potrafią nasze fotoogniwa. Zazwyczaj zaczynały działać po wschodzie słońca, do tego czasu nie było z nich pożytku.

– Może to jakaś stara wojskowa technika, z którą jeszcze się nie spotkaliśmy?

– Może? – zgodził się Rigajev.

Zabrałem się do rutynowej kontroli przed odjazdem: naciąg gaśienic, poziom oleju, sworznie członów gaśienicowych i inne elementy techniczne, ale nie musiałem się spieszyć, ponieważ Knispel zwołał naradę ze wszystkimi handlowcami. Przypuszczałem, że z powodu obecności botów odkrytych w nocy.

Nie poinformował nas, o czym była mowa. Wyruszyliśmy na czele konwoju wraz z najcięższymi wozami pancernymi Cautskiego. Nie zostało ogłoszone żadne pogotowie, jakby się nic nie działo.

W interkomie dało się sporadycznie usłyszeć beztroskie rozmowy, aleja sam beztrosko się nie czułem. Te boty zawsze miały jakiś cel. I to konkretny. Na ogół chodziło im o powodowanie destrukcji tego, co uważały za nieprzyjaciół, o pozyskanie materiałów napędowych czy innych niezbędnych rzeczy. Z jakiego powodu się tu zgromadziły, śledziły nas, a później zniknęły? To dziwaczne, nawet podejrzanе zachowanie.

Jechaliśmy doliną, szukaliśmy pozostałości starych dróg i omijaliśmy obszary zalane wodą lub zarośnięte gęstym lasem. Rigajev nieustannie przyglądał się okolicy.

Krótko po południu musieliśmy się zatrzymać, drogę tarasowało masywne osuwisko.

– My przejedziemy bez kłopotu, transportery wojskowe też, ale

handlowym będzie trzeba pomóc – oznajmił Marlon.

– Nie, dopóki nie wiem, co jest po drugiej stronie – sprzeciwił się kapitan. – Potrzebuję dokładnego zwiadu.

Okoliczne zbocza porośnięte były lasem, a teren mocno rozczłonkowany, wiadomo było, że dronem kapitan się nie zadowoli. Nie czekając na rozkaz, wylazłem z kokpitu.

– Proszę nie zapomnieć zabrać broni i trzymać się w obszarze krytym przez nas ogniem – rozkazał mi Knispel.

Zeskoczyłem na ziemię, nastawiłem strzelbę na trójkę, odbezpieczyłem i ruszyłem naprzód. Nic się właściwie nie zmieniło, ale czułem się napięty jak sprężyna; maksymalnie skoncentrowany, przepatrywałem każdy kąt. Pokładałem też nadzieję w tym, że elektronika Rigajeva bezbłędnie określiła teren jako czysty.

Osypisko musiało liczyć już całe lata, jeśli nie dziesięciolecia. Odstępy między kamieniami były w większości wypełnione gliną, starym listowiem, a w wielu miejscach rosły młode drzewka. Szedłem ostrożnie, krok za krokiem, wypatrując czegoś, co świadczyłoby, że kiedyś ktoś przygotował tu pułapkę. Skoro kapitan był ostrożny, to z pewnością miał ku temu powód.

Odszedłem daleko, ucichł odgłos chłodnących silników, wydawało mi się, że jestem sam, nade mną dało się słyszeć brzęczenie krążącego drona. Okoliczne drzewa szumiały, zewsząd otaczały mnie strome zbocza górskie, pobrużdżone licznymi bliznami lawin i osuwisk.

Po mojej prawej ręce coś się poruszyło, natychmiast podrzuciłem strzelbę do ramienia i przez przyrządy celownicze ujrzałem jelonka. Przez chwilę patrzył na mnie, potem się odwrócił i jeszcze przez krótki czas widziałem białe plamy na jego zadku.

Opuściłem broń.

- Widziałeś go? – zapytałem Rigajeva.
- Nie, był dobrze schowany i bardzo mały.
- Nie pocieszyłeś mnie, boty też są małe.
- Ale mają w sobie mnóstwo metalu.
- No tak, niewielka pociecha.

Szedłem dalej, zbocze zaczęło się załamywać, do wierzchołka został mi już tylko krótki odcinek.

– Proszę zostać na horyzoncie, dalej nie iść – nakazał mi Knispel.

– Osuwisko zwieńczone jest łagodnym grzebieniem, poza który nie mogę zajrzeć. Teren nie jest gorszy niż ten, który przeszedłem. Jest pewny, osuwisko wydaje się stare, nie wygląda na to, żeby cokolwiek mogło się poruszyć – zameldowałem kapitanowi. Słyszałem, że Knispel mówi coś na innym obwodzie, ale nie zdołałem zrozumieć.

– My zostaniemy tutaj, żeby zabezpieczać konwój, a do pana podjedzie jeden z pancernych wozów Cautskiego, niech pan na niego poczeka – oznajmił mi kapitan.

Nie wiedziałem, kto przyjedzie tym wozem, mógłby to być mój kolega, z którym pobiliśmy się o paliwo. Przypadki często bywają pechowe.

Szedłem dalej w milczeniu, ze strzelbą gotową do strzału.

– Sanders, proszę czekać na wsparcie! – usłyszałem głos Knispela, ale nie reagowałem.

Zwiad bez wsparcia wydawał mi się mniejszym ryzykiem niż samo wsparcie.

Okolica wyglądała nadal na opuszczoną, sforsowałem wierzchołek, straciłem konwój z pola widzenia i teraz byłem już naprawdę sam.

– Rigajev, widzisz mnie?

– Nie. Ze względu na korony drzew radar też cię nie widzi. Wszędzie spokój.

Przeszedłem przez płytki rów dzielący osuwisko na dwie części. W najgłębszym miejscu rozglądałem się nerwowo na wszystkie strony, mając bardzo ograniczone pole widzenia. Wspiąłem się na górę, na drugi wierzchołek, skąd roztaczał się dobry widok na okolicę. Dolina ciągnęła się daleko, żadnych zasadzek ani niespodzianek nie było. Usłyszałem narastający warkot silnika, transporter wspinał się po osuwisku.

– Wszystko w porządku, teren przejezdny, widzę pozostałości

drogi wijącej się doliną -zameldowałem.

Za mną rozległ się trzask krzewów gniecionych przez transporter. Zatrzymał się, lufa działka obróciła się w moim kierunku.

Było to logiczne, jeśli mieli mnie asekurować, ale nie czułem się z tym dobrze. Przesunąłem się, chowając za wielkim głazem.

– Czy mam wracać, czy zabierzecie mnie po drodze? – zapytałem.

– Proszę zostać na miejscu – otrzymałem rozkaz.

Przypuszczałem, że za niewykonanie rozkazu pójdę do raportu, ale kapitan o niczym takim nie mówił. Usłyszałem głęboki bas naszego diesla. Było jasne, że ta przeszkoda w terenie nas nie zatrzyma. Marlon musiał znaleźć miejsce, z którego czołg będzie w stanie szybko przemieścić się z jednej strony osuwiska na drugą bez względu na to, że transportery zablokują najdogodniejszą trasę. A to trochę potrwa i będzie nas kosztowało sporo paliwa.

Znalazłem płaski kamień wygrzany słońcem i usiadłem na nim, wciąż lustrując okolicę. Było to lepsze, niż siedzieć w podskakującym fotelu, oglądać świat poprzez ekrany i starać się nie zauważać wibracji silnika. Poprzednie napięcie minęło, cieszyłem się odpoczynkiem i spokojem.

Moją uwagę już po raz kolejny przyciągnął skomplikowanego kształtu kamień leżący jakieś piętnaście metrów przede mną. Znajdował się częściowo w cieniu drzewa, ale stopniowo zacząłem rozróżniać więcej szczegółów. Rzekomy kamień okazał się botem. Czteronogim botem wielkości średniego psa z dużą głową. Jego ciało było mechanicznym szkieletem, podobnie jak w przypadku dinobotów głowę miał silnie opancerzoną, co znaczyło, że znajdowało się w niej coś wartego ochrony. W tylnej części korpusu zauważyłem wybrzuszenie kryjące komunikator laserowy, co widziałem już u najnowocześniejszych botów, z jakimi się zetknąłem.

Patrzył na mnie, przynajmniej tak mi się wydawało.

– Rigajev, znasz moją pozycję?

– Plus minus, wykorzystuję echo ściany skalnej po lewej stronie – odpowiedział.

– Spróbuj wymierzyć na piętnaście metrów przede mną.

Nie poruszałem się, nie chcąc dać do zrozumienia, że widzę bota.

– W jakim kierunku?

– Nie wiem, jak mam oznaczyć kierunek, jest na mojej pierwszej, a ja siedzę plecami do miejsca, z którego wyszedłem.

– Moment.

Na głowie bota nie widziałem żadnej broni. Szczęk nie było, może je zamknął, pas czujników optycznych otaczał cały obwód, jednolitą powierzchnię metalu urozmaicały nieregularne plamy z inną strukturą, a czasem i kolorem. Przypuszczałem, że to również są sensory.

Bot naraz wstał. Był to nienaturalnie szybki ruch, który oznaczał, że biologiczne mięśnie nie mają z nim nic wspólnego. Był wyższy, niż oczekiwałem, rozmiarem przypominał owczarka niemieckiego na szczudłach. Duża wygoda przy poruszaniu się w terenie.

– Już go widzę, stuknąłem w niego laserem – oznajmił Rigajev.

Nie potrafiłem stwierdzić, co dokładnie się stało, ale bot nagle zmienił wygląd.

– Tak, chyba to wyczuł – przytaknąłem.

Strzelbę nadal trzymałem na kolanach, lufą w lewo. Rozważałem, ile czasu zabierze mi wycelowanie i wystrzał.

Jeśli to będzie konieczne.

– To on, ten, który nas przedtem śledził, ma taką samą sygnaturę.

A więc nie zniszczyliśmy drania.

Bot posunął się o krok do przodu i odwrócił w kierunku drogi. Gdyby to był prawdziwy pies, stwierdziłbym, że to nie ja go interesuję, tylko coś innego.

– Co się teraz dzieje? Co robicie? – zwróciłem się do Rigajeva, powoli odwracając strzelbę w kierunku bota. Teraz wystarczyło tylko ją unieść i nacisnąć spust.

– Nic, tylko największy transporter pana Camuviego ruszył do przodu.

Skrzynia, która sprawiła nam tyle kłopotu, kiedy ugrzęzła.

– Nie widzi mnie. – Zorientowałem się, że zacząłem szeptać. – Czy

powiniennem go zastrzelić?

– Nie wiem, nie odważę się ci doradzać – odpowiedział Rigajev.

Kapitan nie włączył się do naszej rozmowy.

Nastawiłem czwórkę i powoli wstałem. Bot poruszył głową. Miał wprowadzić czujniki optyczne dookoła głowy, ale preferował jeden kierunek dla pozyskania najlepszej informacji. Przyglądał mi się, ostrożnie dotknąłem spustu, przygotowując się na kopnięcie odrzutu. Skoczył w bok, na ukośną powierzchnię głazu, jego nogi zadziały jak sprężyny i zniknął mi z oczu.

– Nie ma go, uciekł – powiedziałem głośno, słysząc równocześnie przybliżający się transporter.

– Znowu się tu kręcisz, Sanders – odezwał się znajomy głos.

Tak jak się obawiałem, był to mój stary znajomek ze swoimi kompanami. Może zgłosili się dobrowolnie?

– Tu są boty – poinformowałem ich, co spowodowało, że zaczęli zwracać więcej uwagi na okolicę niż na mnie.

* * *

Przejazd przez osuwisko zajął nam ponad półtorej godziny, ale nie wydarzyło się nic niespodziewanego.

Wieczorem, po zainstalowaniu kręgu czujników i wzmocnieniu go dodatkowo dwiema wieżyczkami ogniowymi Cautskiego, została ogłoszona wczesna kolacja. Siedziałem w swoim kokpicie i na ekranie obserwowałem Rigajeva przy pracy. Marlon robił to samo. Natomiast Cyr pracował nad systemem celowania, próbując uzgodnić go z systemem nawigacyjnym Rigajeva. Starali się jak najlepiej monitorować okolicę, uwzględniając przy tym dane pozyskiwane od ludzi Cautskiego. Dzięki temu pokrywaliśmy obserwacją większy obszar i mieliśmy lepszy obraz niż zwykle.

– Ta plama to on. Praktycznie niewidoczny, nie zarejestrowalibyśmy go, gdyby nie taka ilość danych, jaką dysponujemy, i gdybym nie ulepszył algorytmu rozpoznawczego. – Rigajev nigdy nie zapominał się pochwalić.

– A czy są gdzieś inne? – chciałem wiedzieć, ponieważ w nowym

sposobie obrazowania terenu niezbyt się orientowałem.

Cyr wyznaczył trzy miejsca, w których jego zdaniem ukrywały się dalsze boty.

– To dość daleko, mogą mieć tylko minimalny przegląd sytuacji w naszym obozie. Myślę, że nie będą atakować, tylko nas śledzą.

– Dlaczego? – to pytanie zadał Marlon, chociaż i mnie to samo przyszło na myśl.

– Tego nie wiem – stwierdził Cyr.

Rigajev zaczął oznaczać kolejne miejsca, w których ukrywały się boty.

– Zauważcie, że miejsca są wybrane tak, żeby pozostawały w ukryciu, ale rano jak najwcześniej znalazły się w świetle słońca. Jeżeli w ogóle zaatakują, to dopiero kiedy się rozwidni – komentował sytuację Rigajev.

To samo mówił Katzinski, tyle że bez pomocy komputera czołgowego.

Nie wiedzieliśmy, czy kapitan słyszy naszą rozmowę, ale niczego nie powiedział.

– A jakie to boty? Czy te same bestie, które już na nas napadły?

Gdyby rzuciło się na nas dwanaście dinobotów, to jak by się to skończyło? Z naszym czołgiem chyba by sobie nie poradziły, ale nie sądziłem, żebyśmy dali radę ochronić cały konwój.

– Nie, te są mniejsze i mają większe straty cieplne niż tamte – wyjaśnił Rigajev.

To by znaczyło, że nie są tak technicznie zaawansowane. Miałem nadzieję, że Rigajev się nie myli.

Zbliżała się dziesiąta, pora zmienić na warcie Katzinskiego. Nałożyłem kurtkę, do strzelby dodałem pistolet, sprawdziłem, czy akumulator komunikatora jest naładowany, i wyszedłem na zewnątrz.

Wraz z nocą nadciągnął chłód. Katzinski na mój widok zareagował tylko krótkim mruknięciem i odszedł pod płachtę, gdzie miał przygotowane łóżko połówę. Zamierzał spać na zewnątrz, podczas gdy ja, ze względu na niepożądane towarzystwo,

szycowałem się do spania w ciasnym kokpicie.

O północy zmienił mnie Marlon. Dwie godziny zupełnego spokoju ukończyły moje nerwy i tak samo jak Katzinski położyłem się na zewnątrz.

Moją pierwszą myślą rano było, że pozostałem przy życiu, że nic się nie wydarzyło i czeka mnie nowy dzień. Drugą – że jest mi zimno, że jestem głodny i że przydałoby mi się kilka dni odpoczynku. O tym, niestety, nie mogliśmy nawet marzyć.

Jechaliśmy dalej, kierując się radarem, śledzeni z dość przyzwoitej odległości przez grupę botów. Przywykliśmy już do zwiększonej czujności i większej ilości pracy, jaką powodowała ich obecność. Ale też z ich powodu poruszaliśmy się wolniej, niż zakładaliśmy, maksymalnie siedemdziesiąt kilometrów dziennie, czasem mniej. Mimo to dystans, jaki musieliśmy pokonać po niezbadanej ziemi niczyjej, stopniowo się zmniejszał.

Nadszedł wieczór, kiedy zbiorniki paliwa były praktycznie puste i zaczęliśmy czerpać z rezerwy. Zameldowałem o tym Knispelowi, przyczyny były jasne: ostrożna jazda kosztowała nas więcej paliwa, a do tego cała trasa znacznie się wydłużyła w porównaniu z pierwotnym planem.

Kapitan mojego meldunku nie skomentował, wydał rozkaz postoju, kolejny dzień był już za nami. Z ulgą wyszedłem na zewnątrz, czułem się jak połamany i chociaż wentylacja funkcjonowała bez zarzutu, wydawało mi się, że mam w ustach nieprzyjemny metaliczny posmak.

Jeden z ciężarowych transporterów pana Camuviego przystanął blisko nas. Chciałem dać mu znać, żeby się odsunął, bo nie zostawił nam miejsca na rozbiście obozu, ale zanim zdążyłem to zrobić, z kabiny wysiadł kierowca.

– Bliżej już do was nie podjadę, ale węże powinny sięgnąć. Nabierzcie sobie paliwa.

Wyraźnie mówił serio, jego mechanik wyciągał już węże ze skrzynki i montował na nich pompę.

– Ile? – zapytałem.

– Zgodnie z rozkazem pięćset litrów – odparł.
Nazywał się Britz i chętnie grywał w karty, przypomniałem sobie.

– Weź sobie setkę więcej, mam pewne zapasy, jak każdy dobry mechanik. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Nie jesteś skąpy – odpowiedziałem, manipulując przy zaworze zbiornika. – Myślałem, że będę musiał wypraszać każdy litr.

Mechanik przeciągnął się, aż mu trzasnęło w stawach. Codzienne długotrwałe siedzenie w wozach nikomu nie wychodziło na dobre.

– Teraz wszyscy doskonale wiedzą, dlaczego was tutaj mamy.

Zabraliśmy się do roboty i uruchomiliśmy pompę. Po skończonym tankowaniu poszedłem instalować czujniki, wszystkie dwa razy sprawdzając.

Wracając, postanowiłem wstąpić na kolację i przystanąłem obok transporterów dowództwa.

Pomiędzy wozami, zaparkowanymi tak, aby odstęp między nimi zapewniał maksimum prywatności, siedziała przy stole sama Valerie.

Wyglądała na zamyśloną i raczej gmerała w jedzeniu, niż naprawdę jadła. Trzymała przed sobą otwartą książkę. Na ramiona narzuciła pomarańczową kurtkę, na nogach miała buty terenowe. Wiedziałem, że większość załóg transporterów podróżuje w lekkim obuwiu albo w ogóle boso. Może zdążyła już je zmienić? W czołgu niczego takiego nie mogliśmy robić, tam trzeba było cały czas utrzymywać gotowość do akcji.

Zauważyła moją obecność i spojrzała na mnie.

– Natasza pracuje nad czymś z ojcem i jego ludźmi – oznajmiła mi. – Przysiądziesz się czy pójdziesz dalej?

Teraz sprawiała wrażenie smutnej.

W odpowiedzi usiadłem na jednym z dwóch wolnych krzesełek.

– Agdzie Elizabeth?

– Została zaproszona na dobrą kawę. Przyznała jej pierwszeństwo przede mną.

Sądząc z miny Valerie, nie chodziło o kawę, ale o towarzystwo z nią związane.

Valerie siedziała sama, reszta załogi transporterów jadła osobno. Dziewczyna była uprzywilejowana, ale równocześnie odseparowana od pozostałych.

– Od jak dawna wasza trójka się zna? Mam na myśli Nataszę i Elizabeth – zapytałem, biorąc się do jedzenia.

Piure z kartofli nie można zbyt popsuć, ale też nie da się go ulepszyć. Mięso było zapewne zbyt długo składowane w stanie odwodnionym. Mogłem to wywnioskować z jego konsystencji i smaku. Ale byłem głodny i nie miałem niczego innego do dyspozycji, więc jadłem w milczeniu. Brakowało w tym tylko przypraw, jednak nie narzekałem.

Valerie przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Życie handlowca to ciągła wędrówka – zaczęła. – W Ambrezavile mamy dom, ale już od ponad roku tam nie byłam. Mama umarła, kiedy byłam mała, i od tego czasu jestem wraz z ojcem w podróży. Elizabeth jest w podobnej sytuacji, jej rodzice są rozwiedzeni.

Zamilkła na pewien czas, wydawało mi się, że wspomina.

– Z Nataszą i Elizabeth spotykałam się wielokrotnie, kilka razy razem podróżowałyśmy. Handlowcy często łączą się w konwoje ze względu na bezpieczeństwo.

Przytaknąłem. Wysoko ponad nami zakwilił ptak. Szybował, wypatrując zdobyczy. Nie miałem pojęcia, jaki to gatunek, tak duże ptaki u nas nie występowały, a w ogóle było ich bardzo niewiele. W miarę jak zaspokajałem głód, piure traciło na atrakcyjności, choć wiedziałem, że i tak zjem wszystko. Dla pewności, nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć jutro.

– Z Nataszą pierwszy raz zetknęłam się w Zverelsku. To inny świat. Jej ojciec jest bardzo bogaty. My też należymy do tej samej grupy społecznej. Nie narzekam, mamy się lepiej niż mnóstwo innych ludzi. Ale właściwie nie mamy domów, nasze życie upływa w podróżach.

Nie mogłem powiedzieć, że całe życie spędzałem w domu, ale zawsze do niego wracałem, o wiele częściej niż ona. Moje podróże

robocze trwały kilka dni lub tygodni, tylko wyjątkowo miesiąc albo dwa.

– Dlaczego twój ojciec nie najmie ludzi do tej pracy?

– Widzę, że niewiele wiesz o handlu międzymiastowym. – Zaśmiała się niewesoło.

– Znam się na towarach i żądam za nie dobrej ceny, choć może ktoś inny potrafiłby uzyskać więcej. Nie jestem dobrym handlowcem, mało mnie to interesuje – powiedziałem.

– Handel międzymiastowy jest twardy, bardzo twardy. Nikomu nie możesz wierzyć, każdy próbuje cię oszukać, nawet okraść. Tylko najwyższa ekstraklasa w tej branży nie musi podróżować i ma organizację, w której każdy pilnuje każdego. Ale nie użalam się, na pewno nie. – Zamachała ręką. – Jak już mówiłam, moje życie jest o wiele łatwiejsze niż innych ludzi.

Przytaknąłem. Moja miska była już pusta, kuchnia zamknięta, a to znaczyło, że dokładki nie dostanę. W zasadzie całkiem mi to smakowało, może dlatego, że byłem głodny.

Popatrzyła na pustą miskę i przekrzywiła głowę, jakby coś jej przyszło na myśl.

– Nigdy nie musiałam jeść syntetycznego mięsa. Mimo że ciągle jestem w podróży, niewygody są niewielkie – zamilkła. – Tylko ta wyprawa wyłamuje się z reguły.

Miała bardzo ładny uśmiech.

Syntetyczne mięso. Większość ludzi jadła tylko takie. Większym problemem było nie jeść zbyt często syntetycznych pokarmów roślinnych. Złe języki twierdziły, że za dużo sztucznego jedzenia powoduje raka. Wiadomo było, że ograniczało ono płodność. Technologię wyrobu sztucznego jedzenia odziedziczyliśmy po naszych przodkach, którzy mieli problem z przeludnieniem, więc ten efekt uboczny mogłem zrozumieć.

– Zrobiło się późno, Natasza już się chyba nie pojawi – stwierdziłem.

– Chyba nie – zgodziła się. – Natasza jest prawą ręką ojca. Jest dobra w handlu i to ją interesuje. On przenosi na nią coraz więcej

pracy. Myślę, że bez niej już by sobie nie poradził, chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy.

– A ty nie dostałaś zaproszenia na drinka? – zmieniłem temat.

Popatrzyła na mnie, otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, i zamyśliła się.

– Dostałam, ale nie od tych, których lubię – powiedziała wreszcie.

Nagle poczułem się zmęczony, bolały mnie plecy od roznoszenia czujników i pewnie od całodziennego trzęsienia się w czołgu. Musiałem się wyspać, odpocząć i nabrać lepszego nastroju.

– Chyba nie mieli dobrego dnia albo po prostu o czymś nie pomyśleli. I zaprzepaścili swoją okazję. Wybacz im to. –

Uśmiechnąłem się do Valerie, żeby choć trochę polepszyć jej nastrój.

– Wybaczę. – Oddała uśmiech. – Dobranoc.

* * *

Wieczorne zabiegi higieniczne ograniczyłem do niezbędnego minimum, wpełzłem do śpiwora, ale zanim zdążyłem go zapiąć, nocny spokój przerwał szcęk stalowych elementów, wycie obrotowych zębów, krzyki ludzi i wystrzały.

Wyskoczyłem ze śpiwora, sięgnąłem po strzelbę, wokół migąły cienie, zbyt duże i szybkie, żeby mogli to być ludzie. Podświadomie sprawdziłem mikrofon na szyi i głośniczek w uchu.

Boty na nas napadły.

Dlaczego nie świecą automatyczne reflektory?

Dlaczego nie strzelają wieże obronne?

Dlaczego nie odzywają się czujniki?

– Alarm! – ryknąłem.

Księżyc świecił wysoko na niebie, jaśniejszym na wschodzie, zrozumiałem, że w rzeczywistości spałem, i to dość długo.

– Aktywuj wieże! Rigajev! – krzyczałem. – Nie działają.

Jeśli z jakiegoś powodu system automatycznego sterowania ogniem zawiódł, można było aktywować go ręcznie albo zdalnie.

Zbytecznym wrzaskiem zwróciłem na siebie uwagę, jeden z cieni

dostrzegł mnie i ruszył w moją stronę. Uniosłem strzelbę, w ostatniej chwili przypomniałem sobie, że przełącznik nastawiony jest na czwórkę. Ścisnąłem ją, jak najmocniej zdołałem.

Odrzut solidnie mną wstrząsnął. Stwór, sporadycznie oświetlany latarkami przestraszonych ludzi, stał trzy kroki przede mną, kiwał się na obie strony, jego system równowagi był wyraźnie uszkodzony. Większa część strzału trafiła w głowę, matowe światło o barwach tęczy odbijało się od rozbitej optyki.

Ktoś za moimi plecami krzyknął, dały się słyszeć wystrzały, w końcu krótką serią zaszczekała pierwsza wieża ogniowa.

Nacisnąłem spust po raz drugi, kiedy właśnie zaczęły się zapalać reflektory mające w przypadku alarmu oświetlić obóz.

Tym drugim wystrzałem zmieniłem bota w złom.

Odwróciłem się w stronę krzyków, duży, masywny, niezgrabny bot z głową przypominającą młot nachylał się nad transporterem. Wszystko zagłuszył jazgot wirujących szczęk, otwierał transporter jak puszkę konserw.

Wystrzeliłem, potem jeszcze raz, fragmenty pocisków uderzających o jego pancerz krzesaly snopy iskier. Bot przestał demolować transporter i zwrócił się ku mnie, wystrzeliłem jeszcze raz, jedna z wypustek na jego głowie zniknęła. Rzuciłem się na ziemię, ukrywając pod jednym z wozów, a bot popędził gdzieś indziej, jakbym przestał go interesować.

Znowu rozległy się krzyki, więcej wystrzałów, w końcu druga wieża ogniowa włączyła się do akcji.

Wytoczyłem się spod transportera po drugiej stronie, w pobliżu znajdowały się kolejne boty, znacznie mniejsze i szybsze niż ten otwieracz do puszek. Jeden właśnie wyskakiwał z wnętrza wozu, w stalowych szczękach trzymał człowieka, w zaledwie kilka sekund po nim wyskoczył drugi.

Wystrzeliłem, trafiłem bota w tylną część korpusu, przyskoczyłem i z bezpośredniej bliskości wybiłem w nim wielką dziurę pomiędzy kadłubem a tylną nogą. Zachwiał się i runął na bok, człowiek wyswobodził się z jego uchwytu.

Z kilku miejsc dobiegały rozkazy formujące obronę skoncentrowaną wokół poszczególnych pojazdów, nagle dostrzegłem, jak transporter Nataszy zatrząś się, uderzony czymś ciężkim.

Pobiegłem tam, prawie zderzając się z człowiekiem sapiącym pod ciężarem wkm-u. Znów jęknęła piła, okolicę oświetlił snop iskier z rozcinanego pancerza. Ten bot musiał używać innej techniki niż pierwszy. Prymitywniejszej, ale równie skutecznej. Dobiegłem do wozów dziewczyn, nikt tu nie organizował obrony, dwa z trzech transporterów stały otworem, rozcięte, wielki bot właśnie przesuwiał się do trzeciego. Załogi pozostawił w spokoju, jego zadanie było jasne – otwierać.

Wystrzeliłem dwukrotnie raz za razem, broń prawie wyskoczyła mi z ręki, odrzut był tak silny, że nie zdołałem powstrzymać okrzyku bólu. Obawiałem się, czy siła odrzutu nie uszkodziła mi ramienia. Teraz nie trzymałem już strzelby tak pewnie jak poprzednio.

Włączyłem się na obwód dowódczy.

– Tu Sanders, jestem przy transporterze córki pana Camuviego, potrzebuję posiłków. Dwa transportery uszkodzone, a właśnie zbliżają się boty, które polują na ludzi.

Znów zacząłem strzelać. Skutek trafień tych mniejszych botów był nieporównanie lepszy niż tych wielkich. Każdy wystrzał bardzo mnie bolał.

Trzy boty ustąpiły pod moim ogniem, wiedziałem jednak, że zaraz spróbują znaleźć dogodniejszą drogę.

– W ciągu minuty będą tam wozy pancerne Cautskiego – usłyszałem spokojny głos Knispela, mimo że po ogłuszającym huku wystrzałów dźwięki dochodziły do mnie jakby z daleka i piszczalo mi w uszach.

Świetnie, mogą zdążyć. Nagle zauważyłem, że z otwartego wozu Nataszy wyskakuje średniej wielkości bot, trzymający w szczękach człowieka. Za nim kolejny. To samo działo się w stojącym obok wozie. Były w środku, zanim dotarłem na miejsce.

Nie mogłem strzelać z daleka, mógłbym trafić w ludzi. Musiałem podbiec bliżej.

Byłem już w ruchu, kiedy dostrzegłem jakieś poruszenie po mojej lewej stronie. Trzy boty, które odpędziłem, już były pomiędzy transporterami.

Zatrzymałem się, stanąłem w rozkroku i oparłem kolbę o obite ramię. Wiedziałem, że to będzie piekielnie bolało.

Bot z ludzką zdobyczą, do którego początkowo starałem się przybliżyć, zauważył mnie i odwrócił się w moim kierunku. Ciało w jego paszczy sprawiało wrażenie bezwładnego, nadal nie wiedziałem, kto to jest.

Iść do niego, kiedy o mnie wiedział, było głupotą, a mimo to tak zrobiłem. Ze strzelbą u ramienia, krok po kroku.

Bot przyglądał mi się, zamiast oczu miał na głowie szerokie plamy rzucające różnokolorowe odblaski, w zależności od tego, pod jakim kątem padało na nie światło. Może był to jakiś zamiennik fasetowych oczu. Ale potem odkryłem cztery inne czujniki, bardziej przypominające oczy.

Celowniki?

Widziałem, jak pod ciemną powierzchnią czujników coś się zmienia. Przyglądał mi się, oceniał, rozważał, czy zdążę wystrzelić, analizował, co się stanie, kiedy wystrzelę.

Rozległ się terkot wież ogniowych, chaotyczne wystrzały z broni ręcznej, czasem krótka seria z działka szybkostrzelnego.

Jeszcze krok i będę tak blisko, że zaryzykuję. Strzelę, mając nadzieję, że nie trafię w człowieka.

Nagle bot podrzucił głowę, otworzył szczęki, bezwładne ciało upadło przede mną, a stwór błyskawicznie się odwrócił i zniknął we mgle.

Zrobił to celowo, chroniąc się przed moim wystrzałem.

Tam, dokąd uciekł szybszy bot, w błyskach światła widziałem ruch. Unosiły ze sobą ludzi, zrozumiałem.

Rozejrzałem się, ale obiecanego wozu pancernego nie było widać. Pobiegnę za botami sam.

– Rigajev – powiedziałem do interkomu – idę ich śladem, wloką ze sobą ludzi. Nie wiem, czy martwych, czy żywych.

Odpowiedź Rigajeva zagłuszyła długa seria działka szybkostrzelnego. Już po kilkudziesięciu metrach straciłem boty z oczu i nawet ich nie słyszałem. Sięgnąłem do kieszeni po okulary noktowizyjne. Działały dobrze, ale nie wiedziałem, na jak długo wystarczy ich miniaturowy akumulator. Spojrzałem w kierunku, w którym uciekały boty, i natychmiast je zobaczyłem.

Popędziłem za nimi, uważnie patrząc pod nogi, żeby się nie potknąć i nie zlecieć ze zbocza na dół. Boty uciekały, wspinając się coraz wyżej. Łagodne zbocze umożliwiało szybszy ruch, ale albo nie radziły sobie w ciężkim terenie, albo ciążyła im zdobycz, albo oszczędzały energię. To działało na moją korzyść. Jednak puls miałem coraz szybszy, ciężko dyszałem, mimo to nie zostawałem w tyle.

Było ich sześć. Trzy niosły ludzi, trzy przegnałem swoim ogniem.

Było mi jednak coraz trudniej, wiedziałem, że nie wytrzymam więcej niż kilkadziesiąt metrów, oddychałem chrapliwie.

Ale musiałem, chciałem uratować porwanych.

Sam? Czy mogliby jeszcze być żywi?

Nie miałem siły na rozmyślania, z najwyższym wysiłkiem pokonywałem ostatnie metry. Strzelba wydawała mi się nieznośnie ciężka, w oczach mi się ćmiło.

Nagle grunt zrobił się płaski, dotarłem na grzebień, w dole widziałem schodzące boty. Rozwidniło się nieco, wyszedłem z cienia masywu skalnego. Do świtu pozostała już tylko chwila. Głęboko oddychałem, żeby serce miało szansę choć trochę się uspokoić. Wystrzały na dole ucichły, nie zauważyłem, kiedy to nastąpiło.

Pognałem w dół za botami. Schodziłem z zabójczą prędkością, żeby póki to możliwe, skrócić dystans. Marsz w dół pozwolił mi nabrać trochę sił.

Podczas zejścia do głębokiej doliny wzeszło słońce, a to znaczyło, że boty otrzymają większą porcję energii. Miałem nadzieję, że to nie są te supernowoczesne maszyny, jak dinoboty, bo z nimi nie

miałbym szans. Jednak w nocy wydawało mi się, że są to starsze, wielokrotnie naprawiane typy i ich temperatura robocza była wyższa. Prawie się potknąłem, walkę o zachowanie równowagi wygrałem, ale pośliznąłem się i zjechałem po kamiennej powierzchni aż do żwirowiska. Niczego sobie nie uszkodziłem, dopisało mi szczęście. Skup się na tym, co najważniejsze, powtarzałem sobie.

Z trudem pokonałem łagodny grzebień, dolina ciągnęła się dalej. Boty były zbyt daleko, żebym je stale widział, ale znajdowałem się na właściwym tropie. Gdyby zaczęły wspinać się po zboczu, zauważyłbym je natychmiast. Trzymały się najprostszej drogi, jak by to robili ludzie, od czasu do czasu pojawiały się na kamieniach ciemne, lepkie plamy, prawdopodobnie płynu roboczego wyciekającego z jednego z botów, zapewne uszkodzonego wystrzałem, moim czy kogoś innego, wszystko jedno.

Kilka kroków, rzut oka naprzód, czy nie są przypadkiem widoczne, krótka kontrola zboczy po lewej i po prawej. Dalszy odcinek, ciężka strzelba to w lewej, to w prawej ręce. Cienie stopniowo się skracają, coraz częściej oblizywałem sobie słone, popękane wargi.

Nie mam nic do picia, uświadomiłem sobie. Bez jedzenia da się iść przez wiele godzin, bez wody nie. Przy najbliższym potoku przyklęknąłem, z podręcznego analizatora wyjąłem sondę i odczekałem przepisowe dziesięć sekund. Woda była czysta. Wypiłem trochę, po kilkuset metrach jeszcze raz, i potem znowu. Więcej wody już bym nie zmieścił, a i tak ciążyła mi w brzuchu, musiałem na krótko zmniejszyć tempo. Tylko na chwilę. Kiedy się przekonałem, że nie zacznę wymiotować, znowu przyspieszyłem. Jedynie strzelba była nadal cholernie ciężka.

Zobaczyłem dwie niewielkie plamy, boty przechodziły przez niewielki pagórek. Cały czas podążałem ich śladem.

Ale co potem?

Wdech, wydech.

Wspinaczka odebrała mi siły do myślenia, pozostał ogień

w żyłach i palenie w płucach.

Jeżeli je doścignę.

Tego nie wiedziałem, ale nie mogłem zostawić naszych ludzi na pastwę botom. A może była wśród nich Natasza?

Jeden krok, potem drugi i kolejne.

Wyszedłem na łączkę otoczoną powywracanymi drzewami, pod nogami poczułem wilgotną glebę. Zarejestrowałem metaliczny błysk. Po przeciwnej stronie łączki czekał bot. Pośród niezbadanej przez człowieka natury sprawiał wrażenie czegoś obcego i niebezpiecznego.

Starał się obrócić do mnie przodem, ale tylna część korpusu nie chciała go słuchać, jakby nie działała. Zbliżałem się do niego ze strzelbą przyciśniętą do ramienia i z palcem na spuście. Miałem okazję dokładnie przyjrzeć się jednemu z napastników. Miał szkielet o konstrukcji umożliwiającej płynność ruchów i nie funkcjonował na zasadzie mięśni polimetalicznych jak dinoboty, ale na elementach elektromagnetycznych, wspartych prymitywną hydrauliką. Jeszcze metr, półtora, chciałem wiedzieć jeszcze więcej. Wokół mechanicznych stawów dostrzegłem pancerne walce generatorów pola elektromagnetycznego, wytwarzającego energię ruchową. Górna część głowy miała charakterystyczny młotkowy kształt z masywnymi szczękami. Nie wyglądały na niszczące, raczej miały służyć do transportowania zdobyczy. Z lewej i prawej części głowy znajdowały się błyszczące soczewki optyczne. W sumie była to niezwykła konstrukcja. Bot był zlepkiem różnych technik, od prostego szkieletu poprzez system ruchu, który do niedawna uważałbym za szczyt możliwości technologicznych, aż po prymitywną konwencjonalną optykę.

Dostrzegłem też przyczynę jego niesprawności. Główny nośnik korpusu, tuż przed tylnymi stawami, został uszkodzony celnym strzałem, oprócz tego zniszczony był jeden z generatorów. Wokół powstałego otworu dostrzegłem resztki płynu roboczego. Nie chciałem zostawiać sobie bota za plecami, nie wiadomo, na jaką odległość mógł się komunikować z pozostałymi. Kilkoma strzałami

z pewnością bym go zniszczył, ale musiałem oszczędzać naboje. Nie chciałem także strzelać więcej, niż to było konieczne, bo na ramieniu miałem na pewno jednego wielkiego siniaka. Przednie kończyny bota były potencjalnie śmiertelnie groźną bronią, więc musiałem zachować ostrożność. Obszedłem go, a on mnie obserwował, na ile pozwalała mu konstrukcja głowy. Przypuszczałem, że ma pełne, dookólne pole widzenia. Przednimi kończynami nie mógł mnie jednak dosięgnąć, a tylne miał niewładne.

Stałem teraz tak blisko niego, że mogłem dotknąć korpusu. Gdybym mylił się co do bezsilności maszyny, wystarczyłby jej jeden ruch. Nie było sensu nad tym rozmyślać, należało skupić się na ważniejszych sprawach. Maszyna mająca możliwość poruszania się nie może być ze wszystkich stron opancerzona. Po chwili wypatrzyłem odpowiednią szczelinę, wsunąłem w nią lufę, nastawiłem trójkę i nacisnąłem spust.

Bardzo pożałowałem, że nie użyłem dwójki, ramię mi zdrętwiało, z trudem utrzymałem strzelbę w ręce. Na szczęście bot osunął się na ziemię i leżał bez ruchu. To był koniec.

Straciłem na niego dużo czasu, więc bez dalszej zwłoki ruszyłem znów w pogoń. Teraz nie było już plam z oleju czy tego, co wyciekało z maszyny. Musiałem wyszukiwać rzeczywiste ślady. Boty, gdzie tylko było to możliwe, posuwały się po dawnych drogach. Ułatwiało mi to pogoń i oszczędzało sił.

Biegłem dalej, szedłem dalej, zataczałem się dalej. Za każdym razem, gdy traciłem nadzieję na odnalezienie tropu, pojawiał się w miękkiej ziemi ślad w postaci odcisku maszynowej nogi bota.

Cienie już zaczęły się wydłużać, dzień chylił się ku końcowi. Znów napiłem się wody, nie pamiętałem już, który raz. Woda miała dziwny smak. To mi przypomniało, że niedawno wymiotowałem, właściwie z wyczerpania spotkało mnie to kilka razy. A o kontrolowaniu wody zapomniałem. Ale nadal byłem w ruchu i to wydawało mi się najważniejsze. Pośliznąłem się, wpadłem do potoku; starając się nie zmoczyć strzelby, uderzyłem w dno

policzkiem. Zadziałał odruch, Cyr pouczył mnie przecież, że ta strzelba wytrzyma prawie wszystko, w każdym razie o wiele więcej niż człowiek.

Wygramoliłem się z potoku, chłód mnie orzeźwił. Pomyślałem, że po zachodzie słońca będzie mi zimno. Może nawet się przeziębę. Nie tracąc czasu, ruszyłem dalej.

Nabrałem tempa. Już nie czułem się źle, tylko jakoś tak lekko. Jestem tu, żeby ich ocalić, musiałem sobie przypominać. Stawało się to dla mnie coraz mniej ważne.

Wykrot, nierówny teren, wygodne sto metrów ocalałej betonowej drogi, przedzieranie się przez krzaki. Cień. Słońce skryło się za skalnym grzebieniem.

Naraz zatrzymałem się bez ruchu. Pod krzakiem leżał wielki kokon, a kawałek dalej drugi, mniejszy. Kształtu ludzkiego ciała. Zatrzeszczały suche gałązki poza mną. Bez odwracania się skoczyłem w bok, blisko mnie mignęły stalowe nogi bota. Glina pryskała w górę, kiedy hamował i szybko się odwracał. Przetoczyłem się i przesunąłem przełącznik siły strzału o jeden stopień do góry. Bot już na mnie ruszył. Nacisnąłem spust, odrzut przewrócił mnie na ziemię, stalowa kończyzna minęła mnie bardzo blisko, stwór zahamował w miejscu, w którym poprzednio leżałem, i znieruchomiał, odwracał tylko głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Wystarczył rzut oka, żeby stwierdzić, co się wydarzyło. Wystrzał trafił w obszar sensorów, z optyki i innych czujników pozostała wymieszana warstwa potłuczonego szkła i ceramiki, naszpikowana stalowymi odłamkami. Kilka z nich przeniknęło głęboko do wnętrza głowy bota. Z pewnością pozostały mu jakieś podstawowe sposoby orientowania się w terenie. Jego system na pewno starał się poradzić sobie z uszkodzeniami. Poczekałem, aż znów zacznie obracać głowę w moim kierunku, i powoli wstałem. To był duży bot, sięgał mi do piersi. Miał za sobą spore doświadczenie bojowe, świadczyły o tym ślady napraw na jego korpusie i nieoszlifowane spoiny na przedniej nodze. Ostrożnie podniósł jedną nogę, jakby sprawdzał system utrzymywania

równowagi. Wymierzyłem w najsłabsze miejsce jego głowy, zacisnąłem zęby i wystrzeliłem.

Bardzo zaboląło.

Zorientowałem się, że siedzę na trawie, strzelba leży obok mnie, trzymam się za ramię, a w uszach mam nadal swój bolesny okrzyk.

Do dupy, do dupy, jeszcze raz do dupy!

Bot stał z głową zwróconą w tym samym kierunku, co poprzednio, z jedną nogą w górze, w niedokończonym ruchu.

Drugi raz już nie wystrzelę, nie dam rady. Miałem wrażenie, że siła odrzutu rozbiła mi staw barkowy i zmiążdżyła mięśnie.

Bot stał w tej nienaturalnej pozycji. Może już kolejny strzał nie będzie potrzebny. W oczach miałem łzy. Wstałem ostrożnie, złapałem śrutówkę jak kij i dwoma uderzeniami podciąłem maszynie lewą tylną nogę. Przewróciła się na bok i pozostała na ziemi. Była w najgorszym razie wyłączona.

Pokuśtykałem do bliższego kokonu. Z bliska stwierdziłem, że materiał nie jest całkowicie nieprzenikalny, ciało zostało pokryte czymś lepkiem, co później zakrzepło, tworząc elastyczną powłokę na podobieństwo gumy. Wystarczyło jedno dotknięcie, żeby się przekonać, że moje wysiłki zdały się na nic, ciało było chłodne i nieruchome. Lepka materia służąca jako środek unieruchamiający zakryła mężczyźnie twarz, skutkiem czego się udusił. Przeszedłem do drugiego kokonu. Ten pokrywał praktycznie całe ciało, aż do głowy. Wstrzymałem oddech. Natasza. Żywa. Otworzyła oczy, jakby się właśnie wybudziła ze śpiączki, czy raczej chemicznego odurzenia.

– ...ali ie as – wymówiła, potrząsnęła głową i zamknęła oczy.

Przyklęknąłem obok niej, wyjąłem nóż i zacząłem ostrożnie wyswobadzać ją z gumowych więzów. Pracowałem lewą ręką, prawą nadal miałem niesprawną.

– Uratowaliście nas – tym razem powiedziała to wyraźniej.

– Tak – potwierdziłem.

– Agdzie inni?

Ostatnie cięcie, była wolna. Ulga spowodowała, że poczułem się

śmiertelnie znużony.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

Wyglądało na to, że unieruchomienie nie spowodowało żadnej szkody fizycznej, widziałem, że na próbę porusza rękami i nogami. Nawet nie ograniczyło przepływu krwi w żyłach. Była to zapewne wypróbowana metoda porywania ludzi, stosowana z powodzeniem, o ile nie wkradł się jakiś błąd. Spojrzałem na martwego mężczyznę. Poznałem mechanika z wozu Nataszy. Wymieniał się z kierowcą. Na ramieniu nieboszczyka usiadł mały ptaszek i zaczął sobie czyścić piórka.

– Gdzie są pozostali? – zapytała znów, siadając.

– Jestem tutaj sam. Reszta jest z tyłu, idą naszym śladem.

Wcale nie byłem tego pewny.

Natasza spojrzała na przewróconego bota, potem na mnie. Oceniała mój stan, moje zranienia i szramy.

– To niemożliwe – westchnęła, kręcąc głową. Jej optymizm nikł w oczach. – Wróćmy szybko na drogę. Niech nas nie przeoczą.

Pochyliła się i przytuliła do mnie. Ostrożnie otoczyłem ją ramieniem, szukając wzrokiem strzelby. Jak na mój gust, leżała zbyt daleko ode mnie.

Bot się nie poruszał, a ptaszek siedział spokojnie. Chyba niepotrzebnie się denerwowałem.

– Nie, jeszcze się nie wrócimy – powiedziałem.

Spojrzała na mnie.

– Dlaczego, na Boga?

– Porwali jeszcze przynajmniej jednego człowieka, widziałem to. Nie pozwolę, żeby maszyny porywały ludzi, nie zostawię go im na pastwę.

Odsunęła się ode mnie.

– To szaleństwo, jesteś u kresu sił, ledwie się trzymasz na nogach, umrzesz od tego!

Lekko się o nią oparłem, żeby łatwiej mi było wstać. Kiedy już zacznę się ruszać, będzie lepiej. Wierzyłem w to. Wiara twoja cię uzdrowiła, mówiło się czasem.

– To nie jest szaleństwo – powiedziałem, chociaż wcale tak nie myślałem.

Podniosłem strzelbę i podszedłem do bota, Natasza poszła ze mną. Nawet po wielogodzinnym uwięzieniu w kokonie była w lepszym stanie niż ja.

– Te boty są zdolne do wykonywania bardzo szybkich i intensywnych ruchów, popatrz na te generatory elektromagnetyczne. – Pokazałem jej. – A mimo to zdołałem je śledzić. To oznacza tylko jedno, muszą oszczędzać energię, mają problem z doładowywaniem akumulatorów. Popatrz na to. –

Wskazałem ogniwa fotoelektryczne na bokach stwora. – Ta powierzchnia powinna być zupełnie czarna, pochłaniając promieniowanie większej części fal spektrum. Widzisz, jaka jest podrapana, w wielu miejscach zaplamiona? Jej obecna sprawność jest znacznie mniejsza niż początkowa. A do tego powierzchnia fotoogniw jest zbyt mała, jak na potrzeby tak dużego stwora. Uchodzi z nich życie.

– A jeśli już uciekły? – zapytała rozsądnie.

– Myślę, że nie, miały nadzieję, że ten mnie zatrzyma, czekają gdzieś i ładują baterie. Ale chyba już wiedzą, że ich plan się nie powiódł.

Przytaknęła, jakby uznała, że mam rację.

– Pożyczysz mi nóż? Popatrzę, czy Eryk nie miał przy sobie czegoś użytecznego. – Machnęła ręką w kierunku nieżywego.

Miał jedynie pistolet z pełnym magazynkiem, a w kieszeni pokruszony batonik energetyczny. Podzieliliśmy się nim po połowie. Pistolet dałem Nataszy, co mi przypomniało, że nie wiem, ile mam nabojów. Strzelba nie miała wskaźnika, trzeba było albo liczyć, albo sprawdzić. Sprawdziłem. Pozostał jeden.

Przez pierwszą godzinę szliśmy przez dolinę praktycznie na ślepo i coraz bardziej martwiło mnie, że Natasza ma rację i boty uciekły ze swoją zdobyczą. Nałożyłem okulary na podczerwień i dostrzegłem przed nami znajomy odbłysek. Były tam, zaledwie kilkaset metrów przed nami.

– Dogonimy je – powiedziałem, patrząc na Nataszę.

Kiwnęła tylko głową. Wyglądała na śmiertelnie przerażoną.

Przyspieszyłem, chociaż wszystko mnie bolało, jednak poczułem przypływ nowych sił.

– Są blisko nas – oznajmiłem.

– Nie chcę zostać tu sama – prawie szeptała.

Wziąłem ją za rękę, żeby nie została w tyle. Tylko na trochę, bo musiałem przełożyć strzelbę do drugiej ręki. Była zdecydowanie za ciężka.

Dzień się kończył, następował zmrok, grupa botów była widoczna coraz częściej. Albo wraz ze spadającą temperaturą podczerwień działała lepiej, albo naprawdę się do nich zbliżyliśmy.

Nagle się ściemniło, zresztą może nie tak nagle, tylko zaczęło mnie zawodzić poczucie czasu. Tak samo jak nogi.

– Moment odpoczniemy, tylko moment. Zaraz potem pójdziemy dalej – powiedziałem do Nataszy.

Padłem na suche igliwie pod rozłożystym świerkiem. Położyła się obok mnie, powietrze stawało się chłodniejsze. Przytuliliśmy się do siebie jak najmocniej.

– O takiej chwili śniłem – powiedziałem, czując na szyi jej oddech.

W innym świecie, to już tylko pomyślałem.

– Ale to nie są najlepsze okoliczności – odpowiedziała. W jej głosie wyczułem strach i obawę. – Wolałabym być w łóżku – dodała, kładąc mi głowę na ramieniu.

– Za chwilę pójdziemy dalej – powiedziałem.

Tylko czy mnie nogi poniosą? Łóżko wydawało się zaledwie snem.

Ciemności późnego wieczoru nieco się rozproszyły, niebo wyraźnie pojaśniało, może to wschodzący księżyc. Natasza zdążyła już zasnąć, nadal przytulona do mnie. Było coraz zimniej. Uświadomiłem sobie, że to nie księżyc, światła przybywało, nastał brzask.

– Wstawajmy, zasnęliśmy – obudziłem Nataszę. – Miejmy nadzieję, że nie uciekły.

Popatrzyła na mnie, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

Użyłem strzelby jak laski, pomagając sobie wstać. Bolał mnie każdy ruch, ciało nie chciało mnie słuchać. Miałem nadzieję, że będzie lepiej, kiedy mięśnie się rozgrzeją. Silnik też lepiej pracuje, gdy się rozgrzeje.

– W porządku? – zwróciłem się do Nataszy.

W półmroku wczesnego świtu widziałem jej twarz, jaśniejszy owal ograniczony ciemnymi włosami. Sprawdziła pistolet, przeładowała i zabezpieczyła go z nabojem w komorze.

– Ty się nie dasz przekonać, nie ustąpisz. Pójdiesz dalej. – Jej pytanie zmieniło się w stwierdzenie.

Pokręciłem głową.

– Nie mogę. Maszyny nie powinny zabijać ludzi. Ani ich porywać.

Podeszła do mnie, wspięła się na palce i pocałowała w usta.

Przez chwilę przyglądałem się Nataszy, a potem odwróciłem się i poszedłem w kierunku, w którym spodziewałem się spotkać boty. Tam, gdzie je widziałem wczoraj. Może to, że zasnąłem, oznaczało koniec nadziei dla uprowadzonych. Nie było sensu o tym myśleć. Wszedłem na pozostałości starej szosy, beton środkowego pasa nadal opierał się erozji i ruchom ziemi. Mechanicznie aktywowałem infraczerwien w okularach, która w nocy wyłączyła się automatycznie.

Po pięciu minutach Natasza wskazała na prawo.

– Tam coś się rusza.

Miała rację i infraczerwien to potwierdziła. Nastawiłem czwórkę. Jeśli to ostatni strzał, to niech będzie porządny. Natasza ujęła pistolet w obie ręce, nadal była blada, a jej pełne wargi zmieniły się w wąskie linie.

Boty przeczekały noc na kępie pośrodku szerokiego w tym miejscu, ale płytkiego nurtu.

Wystarczyło się rozejrzeć, żeby stwierdzić, z jakiego powodu. Tutaj światło słoneczne padnie najwcześniej. Wszedłem do lodowatej wody, sięgającej mi do kolan. Czekały na nas trzy boty,

dwa z nich posiadały szczęki służące do transportu ludzi, jeden wyposażony był w zestaw do walki na bliski dystans. Nie widziałem u niego broni palnej. Rozglądałem się za ludźmi, kokonami lub przynajmniej śladami po nich. Zbliżałem się, boty stały w niezmiętej formacji. Za sobą słyszałem Nataszę.

– Jeżeli będziesz strzelać, celuj w głowę, dwa, trzy razy w to samo miejsce. Tam mają większość czujników i podstawowe łącza sieciowe, to stare konstrukcje – poradziłem jej.

Zwariowałem, musiałem zwariować, żeby stać tu z jednym nabojem przeciw tym wszystkim botom. Właściwie sam, bo na skuteczność pistoletu Nataszy nie mogłem zbyt liczyć. Może lepiej byłoby, gdybyśmy odwrócili się i uciekli?

Wyszedłem z wody i wtedy ujrzałem dwa kokony, oba znakomicie wykonane, twarze ludzi nie były zasłonięte. Leżeli tyłem do nas, ale jasne włosy nie pozostawiały wątpliwości – to była Elizabeth.

Jeszcze krok. Celowałem do bota stojącego najbliżej kokonów. Mam tylko jeden nabój. Zwariowałem.

A Natasza zginie tu razem ze mną.

Jednak beze mnie też by zginęła.

Odrzuciłem tę myśl i przesunąłem przełącznik na piątkę. Niech ten ostatni wystrzał będzie naprawdę skuteczny. Jeśli złamie mi bark, to i tak niczego to nie zmieni. Zauważyłem, że obserwuje mnie tylko jeden bot. Kończyła im się energia w akumulatorach i musiały oszczędzać, tak jak przewidywałem. Zmieniały pozycję, w miarę jak się zbliżałem. Wystarczyłoby im rzucić się na mnie, obalić na ziemię i podeptać. Mogły mi też strzyknąć w twarz tą lepką substancją, którą unieruchamiały ludzi. Wydawało mi się, że pod głową bota, do którego celowałem, widzę długą, wąską rurkę.

Byłem już wystarczająco blisko, rozrzut nie mógł porazić uwieczonych w kokonach ludzi.

– Gdy wystrzelę, otwórz ogień do tego drugiego – nakazałem Nataszy.

Lekko dotknąłem spustu.

Jeśli wystrzelę, będę najprawdopodobniej nie do użytku. Po co ktoś wyprodukował broń praktycznie uniemożliwiającą ludziom jej użycie? To bezsens konstrukcyjny. Bot nagle poruszył głowę, wydając równocześnie ostry, piskliwy dźwięk, który zabrzmiał tak, jakby chciał mi coś przekazać. Powoli się odwrócił i odszedł, drugi ruszył za nim, a trzeci został na miejscu.

– Daj mi pistolet, weź nóż i uwolnij ich – powiedziałem do Nataszy. – Będę cię ubezpieczał.

Nadal celowałem w miejsce, w którym zniknęły dwa boty. Naprawdę uciekały, chociaż wyglądało to raczej na czołganie się resztkami sił.

Przesunąłem się trzy kroki, żeby w razie konieczności otwarcia ognia nie zagrozić Nataszy. Cały czas obserwowałem pozostałego bota. Chętnie bym go zniszczył, ale nie miałem dość amunicji. Może została mu tylko resztką energii, ale może wystarczała na ostatnią desperacką akcję. Nie chciałem naruszać kruchego status quo. Nie wiedziałem, jaki algorytm sterujący posiada na takie właśnie krytyczne sytuacje.

Nie zwracałem uwagi na usiłowania Nataszy, rozcinającej kokony, obserwowałem okolicę, żeby nas nic nie zaskoczyło. Te dwa mogły wrócić.

– Uwolniłam ich, są nieprzytomni. Może niedawno dostali nową porcję środka odurzającego. Ale żyją – usłyszałem Nataszę. Głos jej drżał. Chyba ze zmęczenia. Albo ze strachu. Albo z obu tych powodów jednocześnie.

– Odciągnij ich do brzegu, tak żeby mieli nogi w wodzie. To może ich rozbudzić. Musimy stąd zniknąć jak najszybciej.

Już się rozwidniło, ale dolina nadal pozostawała w cieniu. Boty naładują akumulatory, ale ze względu na ich przestarzałą konstrukcję zajmie im to sporo czasu, tak cennego dla nas.

Słyszałem, jak Natasza ciągnie ciała. Nie mogłem rozpoznać mężczyzny, gdyż nie miałem okazji przyjrzeć mu się dokładnie. Miałem nadzieję, że dwa boty nie wrócą, że ich ucieczka była ostateczna.

– Już są na brzegu, Elizabeth i Johanson, oboje mają nogi w wodzie. Co teraz?

Natasza była przestraszona, słyszałem to w jej głosie. Rozumiałem ją, zrobiła, co było można, teraz należało czekać. A to na ogół bywa najtrudniejsze.

– Teraz czekamy – powiedziałem. – Weź z powrotem pistolet i bądź w pogotowiu.

Podąłem jej broń.

Nie wiedziałem, ile czasu już minęło, ale bot nadal się nie poruszał. Pierwsze promienie słoneczne były już blisko nas. Przypuszczałem, że moja pogoń zmusiła boty do wyczerpania wszystkich rezerw. Ile czasu minie, zanim odzyskają pełną sprawność? Z pewnością dziesiątki minut. Sam nie byłem pewny, czy wytrzymam na nogach przez najbliższy kwadrans. Przyływ adrenaliny mijał i czułem się coraz słabszy. Ale teraz nie mogę się poddać, nie teraz, kiedy sukces jest tak blisko.

Rozległ się suchy kaszel.

Usłyszałem, jak Natasza coś mówi, z początku łagodnie, jak do dziecka, które zbudziło się ze złego snu, a potem rzeczowo.

Nadal skupiałem uwagę na okolicy. Ale czułem się tak, jakbym zapadał w sen.

– Rozumiem, to jasne – ocucił mnie chrapliwy męski głos. Johansona, czy kto to był.

– Co się dzieje? – To Elizabeth odzyskała przytomność.

A więc Natasza dała radę, przebudziła ich.

– Musimy się stąd zabierać jak najszybciej – rzekłem i zabrzmiało to jak ostatnie życzenie umierającego.

* * *

Obudziło mnie trzaskanie ognia, ludzkie głosy i ciepło w ustach. Ktoś karmił mnie małymi łyżeczkami gorącej zupy. Natasza.

Wokół nas znajdowali się ludzie, ale nie miałem siły się rozglądać, a właściwie było mi obojętne, co to za jedni. Najchętniej machnąłbym ręką na jedzenie, jednak Natasza była nieprzejednana

i najpierw musiałem zjeść wszystko, a dopiero potem pozwoliła mi spać.

Rano, ponieważ nagle było już rano, obudził mnie zapach kawy. Spałem w lekkim śpiworze z folii nieprzepuszczającej ciepła, ale i tak w nim zmarzłem. Natasza spała obok mnie w takim samym śpiworze. Pod stalowym garnkiem zawieszonym na trójnogu paliło się ognisko. Valerie sypała właśnie kawę do wody, a mężczyzna, którego nie znałem, dokładał do ognia. Należał do ludzi jej ojca. Na tyle już się orientowałem w obsadzie konwoju. Wokół ogniska leżeli inni śpiący.

Wyciągnąć rękę ze śpiwora i spojrzeć na zegarek wydawało mi się jeszcze zbyt męczące, zresztą nie potrzebowałem aż tak dokładnie wiedzieć, która godzina. Słońce wciąż chowało się za grzbietami gór, w cieniu utrzymywał się chłód. Przyjemny wczesny poranek. Czulem słabe ciepło promieniujące od ogniska. Przez chwilę namyślałem się, czy powinienem usiąść, czy nie. Jeśli chciałem kawy, to nic innego mi nie pozostawało.

– Dzień dobry – przywitała mnie Valerie. – Potrzebujesz pomocy?

Co ona tu robiła? Ostatnio spotkałem ją w obozie, wszystko było z nią w porządku.

Teraz wyglądała na zmęczoną i trochę smutną, ale poza tym nic złego się z nią nie działo. Mężczyzna spojrzał na mnie i nadal zajmował się podsycaniem ognia.

Pokręciłem głową. Jedno karmienie, które pamiętałem, wystarczało. Miałem nadzieję, że usiądę o własnych siłach. Udało mi się, ale walka z obolałymi mięśniami i potłuczonym barkiem spowodowała, że na czole perlił mi się zimny pot. Chodzić na pewno jeszcze nie dałbym rady, to było jasne.

– Mogłam ci pomóc – powiedziała z lekką wymówką. – Bardzo zbladłeś.

– Dla kawy zrobię wszystko – odparłem.

– Pojechaliście naszym śladem? – zwróciłem się do mężczyzny, żeby zmienić temat. – Bo odnaleźliście nas bardzo szybko.

Valerie zamieszała w garnku, napełniła duży blaszany kubek i mi

podawała. Ostrożnie złapałem kubek i szybko postawiłem przed sobą. Niewiele brakowało, a byłbym go upuścił. Ten ruch i tak był na granicy moich aktualnych możliwości.

Rzuciła mi badawcze spojrzenie, ale niczego na temat mojej słabości nie powiedziała.

– Nie było was od dwóch dni, zanim złapaliśmy sygnał z nadajnika Pnesboka. – Mężczyzna spojrział w kierunku jednego ze śpiących.

– Pnesbok Johanson to ten, którego uratowałeś – wyjaśniła Valerie.

– Straciliśmy ślad i pojechaliśmy do innej doliny. Tylko szczęśliwym trafem złapaliśmy sygnał -opowiadał dalej. – Nie wierzyłem, że was znajdziemy. I to żywych. To ona przekonała wszystkich, że powinniśmy spróbować. – Kiwnął głową w kierunku Valerie.

Natasza poruszyła się za moimi plecami i przytuliła do mnie.

Zrobiła to zupełnie naturalnie, jakby nie po raz pierwszy. Nie pamiętałem tego, tak jak tych dwóch dni drogi.

– A boty już się nie pojawiły?

– Nie – potwierdził.

– Nazywam się Matyas Sanders – przedstawiłem się.

– Wiem, twoje nazwisko każdy zna. Hanz Wusbi. – Lekko skłonił głowę.

– Czy byliście jedyną grupą poszukiwawczą?

– Tak – potwierdził. – Wszyscy protestowali, że ze względu na okoliczności poszukiwanie was to zbyt duże ryzyko i strata czasu. Ale Val się uparła, więc biorąc pod uwagę, że zaginęła córka pana Camuiego, wysłali nas na poszukiwania. Ale pewnie nie znaleźlibyśmy was, gdyby nie to, że zaczęliście wracać.

Nie pamiętałem, że zaczęliśmy wracać, ale jeśli tak mówił, to musiała być prawda.

– Ach, kawa – odezwała się Natasza nadal z głębi śpiwora. – Znajdzie się jakaś dla mnie czy mam poczekać na następny garnek wrzątku?

– Wystarczy i dla ciebie – powiedziałem, pijąc łyk kawy.

Skupiłem się i dzięki temu ręce prawie mi się nie trzęsły. W prawym ramieniu czułem pulsujący ból, ale już nie tak ostry jak poprzednio. Przypuszczałem, że jestem solidnie napakowany przeróżnymi medykamentami.

– Podzielimy się – dodałem.

Natasza posłuchała mnie i wzięła garnczek, przyglądając mi się uważnie.

– Wyglądasz o wiele lepiej – stwierdziła z uśmiechem, przelotnie mnie pocałowała.

Jedynym, którego to zaskoczyło, byłem ja sam.

– Jeśli teraz wyglądam lepiej – rzekłem – to jak wyglądałem przedtem?

Natasza i Valerie popatrzyły na siebie.

– Jak nieżywy – odparł Wusbi. – Nie wierzyłem, że się z tego wygrzebiesz, ale bardzo się cieszę z pomyłki. Twój koleś Rigajev dał mi na drogę apteczkę, większość jej zawartości zużyłem na ciebie. To, czego dokonałeś... – Tylko pokręcił głową.

Śpiący zaczęli się budzić, jasne było, że do porannego kubka czy raczej garnka ustawi się kolejka.

Moje obawy o powrót okazały się zbyteczne. Już wieczorem ludziom Wusbiego udało się nawiązać łączność z konwojem i wcześniej rano przyjechał po nas transporter. Po południu byliśmy już w głównym obozie. Ludzie witali Wusbiego jak bohatera, a ja cieszyłem się, że mam spokój. Od niekończących się pytań uratowała mnie wizyta u lekarza, a potem rozkaz Knispela, żebym się u niego zameldował, kiedy będzie to możliwe. Natasza, Valerie i Elizabeth zostały wśród swoich ludzi, pożegnałem się z nimi tylko gestem.

Kiedy główny lekarz konwoju skończył ze mną, pojawił się Cyr. Byłem zadowolony, nie miałem zbyt dużo sił. Mimo że głównych zaszczytów dostąpił Wusbi, czekała na mnie masa ludzi, którzy chcieli zaprosić mnie na drinka albo tylko ze mną pogadać. Cyr przepchnął mnie przez nich jak kroplę wody przenikającą przez

sito. Strzelbę niosłem sam, właściwie używałem jej jako laski. Aby zyskała potrzebną długość, dosztukowałem kawałkiem grubej gałęzi, przymocowanej drutem do lufy. Cyr sceptycznie przyjrzał się mojej pomocy ruchowej, ale nie skomentował.

– Powiedziałeś, że wytrzyma wszystko – oznajmiłem.

Nadal milczał.

– Kilka razy użyłem jej jako kija.

Przytaknął z zadowoleniem.

– Mówiłem ci, że wszystko wytrzyma.

Obok czołgu stał namiot, większy niż jakikolwiek przedtem, i dopiero z bliska stwierdziłem, że jest zbudowany z naszych płacht. Duże wnętrze zapewniało dość miejsca i wygody, na środku królował stół, wokół stały wypożyczone z jadalni składane krzeselka. Czekali na mnie wszyscy, włącznie z kapitanem. On jeden nie siedział, tylko stał.

Marlon wypoczywał z nogami na stole; kiedy mnie ujrzał, jego wielką gębę rozjaśnił szeroki uśmiech. Wyglądało na to, że naprawdę rad mnie widzi.

– Nie spodziewaliśmy się już ciebie zobaczyć – powiedział na powitanie.

Rigajev z rozbawieniem uniósł brwi, Katzinski milczał jak zwykle, ale wyglądał na zadowolonego, swoją odwieczną czapeczkę miał nasadzoną tak, żeby daszek nie przesłaniał mu widoku.

– Musi pan być zmęczony, panie Sanders – przemówił kapitan. –

Właściwie kwalifikuje się pan do łóżka szpitalnego. Którego nie mamy.

Powinien był mnie zobaczyć wczoraj, pomyślałem, ale nic nie powiedziałem. Na mój temat powstało sporo dowcipów i powiedzonek. Nasza załoga miała w swoim składzie kilku dowcipnisiów.

– Ale mimo to proszę o meldunek. Dokładny, jeśli to możliwe. To mogą być bardzo ważne informacje dla wyboru naszej dalszej taktyki. – Kapitan wrócił do swojej normalnej roli.

Usiadłem przy stole, śrutówkę, czy raczej strzelbę – wciąż nie

wiedziałem, jak tę broń nazywać -położyłem przed sobą. Lufa przypadkiem znalazła się na wprost Marlona. Prawie się zerwał i odwrócił w bok.

– Jest zabezpieczona i rozładowana – poinformowałem go.

– Wszyscy tak mówią – warknął ze złością.

Cyr dostrzegł coś, co go zainteresowało. Wstał, sprawdził ustawienie siły strzału i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Nastawiona jest piątka, chyba nie strzelałeś z taką siłą, co?

– Nie – potwierdziłem. – Tylko czwórką.

– Tylko. – Pokręcił głową.

Dlatego byłem dokładnie wysmarowany kortykosteroidami i innymi świństwami na intensywne gojenie, co zwiększało o pięćdziesiąt procent prawdopodobieństwo, że umrę na raka. I to z powodu strzelby nastawionej na cztery.

– Czwórka czy piątka, jeden stopień więcej, jeden mniej – wzruszył ramionami Marlon.

– To skala logarytmiczna – stwierdził sucho Cyr, czym tylko potwierdził moje własne domniemanie.

To oznaczało, że przy nastawieniu na czwórkę nabój miał energię równą pociskowi z wielkokalibrowego karabinu maszynowego. Przy nastawieniu na piątkę – działka szybkostrzelnego kalibru dwadzieścia pięć milimetrów. Przy nastawieniu na szóstkę... Prosty rachunek, już piątka mogła mnie okaleczyć, jeśli nie zabić.

– Proszę o meldunek, panie Sanders – kapitan przerwał naszą dyskusję.

Zacząłem opisywać wydarzenia, tak jak je zapamiętałem. Wszyscy słuchali uważnie, czasem tylko zadając jakieś pytanie dla uściślenia szczegółów. O wiele rzeczy dopytywał milcząco na ogół Katzinski. Interesowało go, w jakiej formacji boty się poruszały, czy nie odniosłem wrażenia, że starały się mnie zwodzić, jaka była według infraczerwieni temperatura ich korpusów, w jakich miejscach przechodziły przez wodę, po prostu wszystko, co tylko możliwe. Na większość pytań nie byłem w stanie odpowiedzieć, ale wszystkich interesowały nawet moje przypuszczenia.

– A potem już niczego nie pamiętam. Aż do chwili, gdy nas znalazła grupa ratownicza.

– Kiedy wy natknęliście się na grupę ratowniczą – poprawił mnie Cyr.

Zapadła cisza. Słońce chyliło się ku horyzontowi, zapadając za górskim grzebieniem. Jego blask jak zwykle szybko zmieniał barwy. Od żółtej po czerwoną. Wszyscy popatrzyli na kapitana, czy jest zadowolony, czy mój meldunek uznał za zakończony.

– A więc, panie Sanders – Knispel znów zabrał głos – nie jest pan zdania, że boty, które pan ścigał, należą do tego samego rodzaju, co dinoboty.

– Nie – potwierdziłem. – Dinoboty to całkiem inny gatunek. Jeszcze wyżej postawiony. Ale te również należały do najsprawniejszych i najniebezpieczniejszych typów, z jakimi się zetknąłem. Były już wielokrotnie w akcji, niektóre doznały uszkodzeń i zostały naprawione tak niestarannie, że w swoim warsztacie zrobiłbym to lepiej. Ale były sprytne, bardzo sprytne. Najlepiej zorganizowana wataha, jaką kiedykolwiek spotkałem, a nawet o jakiej słyszałem. Jednak ja sam miałem jak dotąd styczność tylko z trzema współpracującymi botami – przyznałem.

Ludzie wokół mnie wiedzieli o botach o wiele więcej niż ja, a mimo to uważnie mnie słuchali.

– Miały dowódców, hierarchię, były zdolne do poświęcania się jeden za wszystkich. – Starłem się jak najdokładniej przypomnieć sobie ich zachowanie.

W tych wspomnieniach sam sobie wydawałem się wariatem. Miałem bardzo nikłe szanse na przeżycie swojej akcji.

– Czy może pan to powtórzyć? – poprosił kapitan.

Jego głos brzmiał tak samo obojętnie jak zawsze, ale sprawiał wrażenie zainteresowanego.

Posłuchałem go, powtórzyłem swoje obserwacje, uzupełniając je szczegółami.

– Ich działania były podporządkowane głównemu celowi: pozyskać żywych jeńców. A jeśli okazywało się to niemożliwe,

minimalizować straty – zakończyłem.

Do tej pory nie miałem czasu na uporządkowanie myśli, a pytania załogi mi w tym pomogły.

– Dziękuję – zakończył mój meldunek Knispel. – Panie Katzinski, będzie mi pan jeszcze przez pewien czas potrzebny. – Z tymi słowami opuścił nas razem z pierwszym strzelcem.

Marlon jakimś sposobem wyczarował butelkę czystej palinki. Tylko inny współczynnik załamania światła świadczył o tym, że to nie woda.

Rozluźniłem się, miałem już dość wypytywania i odpowiadania. Każdy postawił na stole swój kubek. Cyr był tak uprzejmy, że dodał do nich jeszcze jeden dla mnie. Z pochyloną głową i przymkniętymi oczami słuchałem bulgotania alkoholu w szyjce butelki.

– Twoje zdrowie, Sanders – usłyszałem toast.

Wyprostowałem się, wziąłem kubek, stuknąłem się z pozostałymi i solidnie łyknąłem. Przy innej okazji chybabym się zakrztusił, ale teraz mocna wódka mi nie przeszkadzała, wprost przeciwnie.

– O Boże, jakie to dobre – powiedziałem, czując, jak trunek grzeje mi żołądek.

– Jest dobre – potwierdził Marlon.

– Dlaczego Knispel zabrał Katzinskiego? – zapytałem.

– Katzinski upija się w trupa za każdym razem, kiedy widzi dużą ilość alkoholu. Jedna czy dwie butelki na pięciu ludzi go nie podnieca.

Widziałem tylko jedną butelkę.

– Ale dziś jest specjalny wieczór, dziś na to zasługujemy – uzupełnił Marlon, stawiając na stole dwie następne.

Siedzieliśmy w milczeniu, zatopieni we własnych myślach. Materiał namiotu zapewniał nam złudne poczucie prywatności i jeszcze złudniejsze poczucie bezpieczeństwa. Starąłem się nie wracać myślami do wydarzeń minionych dni. Wspomnienia były jeszcze zbyt żywe i bolesne. Trudno było o nich zapomnieć, ale palinka pomagała.

– Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób boty tak łatwo przedostały

się przez nasze linie czujek i obrony. Nie miały żadnego maskowania i były doskonale widoczne – zauważyłem.

Rigajev popatrzył na Marlona i Cyra, napił się i przez chwilę smakował wódkę.

– To tajna informacja – zaczął. – Dostały się do obozu bez trudu, bo ktoś dezaktywował czujniki i automatyczne nastawienie wież ogniowych – powiedział tak cicho, że dopiero po chwili dotarł do mnie sens jego słów.

– Dezaktywowane? Awaria? – nie rozumiałem.

– Żadna awaria, ktoś po prostu wszystko wyłączył – powiedział Cyr. – Odkryliśmy to dopiero rano.

– Tylko my znamy kody – przypomniałem.

– W dwie godziny można je złamać, to nie jest szczególnie chroniony system – odezwał się Rigajev. – Może i szybciej.

– Te boty nie wyglądały na zdolne do czegoś takiego. Wydawały mi się wyspecjalizowane.

– Nie mówimy o botach.

Marlon energicznie postawił swój kubek na stole, aż trzasnęło.

– Mówimy o ludziach, ktoś z obozu po prostu wszystko wyłączył.

– Ale dlaczego miałyby to zrobić? – nie mogłem zrozumieć. Coś takiego wydało mi się wręcz niewiarygodne.

– Żeby umożliwić napad na konwój – odpowiedział sucho Rigajev.

– Ale dlaczego?

Nikt mi nie odpowiedział.

– Cyr odkrył to podczas kontroli, a Camuvieli poprosił kapitana, żeby nie rozpowszechniać tej wiadomości wśród ludzi – kontynuował Rigajev. – Powiedziałeś, że te boty były wyspecjalizowane. W czym konkretnie?

– Nie były zdolne do samodzielnej egzystencji – zacząłem głośno porządkować myśli. – Potrzebowały źródła energii, ich własna zdolność doładowywania akumulatorów była zbyt niska ze względu na cechy konstrukcyjne. Zostały skonstruowane do transportu ciężarów na znaczne odległości. Gdybym ich nie ścigał, poruszałyby się z mniejszym zużyciem energii i ich promień działania byłby

większy.

W kubkach zabułgotała kolejna szczodra porcja palinki.

– Zostały przystosowane konstrukcyjnie, żeby porwać żywego człowieka i bez uszczerbku na zdrowiu dokąś go przetransportować. Technika unieruchamiania ludzi, środki chemiczne utrzymujące ich w stanie śpiączki to nie są standardowe zdolności botów konstruowanych do walki – kontynuowałem.

– To możliwe, wielka wojna skończyła się setki lat temu, niewiele o niej wiemy – zauważył Marlon.

Miał rację.

– Ale dlaczego boty miałyby porywać ludzi?

– Może chodzi im o przesłuchanie jeńców? – głośno myślał Cyr.

– Dlaczego ludzie pomagali by botom w ataku? – odpowiedział pytaniem Rigajev.

Mieliśmy za mało informacji i kręciliśmy się w kółko, nie miało to sensu.

– Dinoboty walczyły z nami twardo, zabijały – Cyr przypomniał nam pierwszy atak.

– Inna konstrukcja, inna strategia, inny cel – ocenił Rigajev.

– Inna strategia? – zareagowałem. – Według ciebie służąca jakiemuś wyższemu, nadrzędnemu celowi?

To znów jego koncepcja dotycząca sztucznych inteligencji szykujących nowy atak na ludzi.

– To przecież oczywiste. – Rigajev wzruszył ramionami. – Sam tak opisałeś zachowanie grupy botów. Dinoboty były zorganizowane, porywacze również, ale powiedziałbym, że znacznie lepiej.

To była prawda.

– Może to jakaś pozostałość początkowego oprogramowania, które z czasem przekształciło się w coś innego? – zasugerowałem.

Rigajev nijak na to nie zareagował.

– Idę spać – pożegnał nas.

* * *

Nazajutrz pozostaliśmy w obozie, ponieważ jeden z wozów miał

awarię i trzeba było naprawić skrzynię biegów. Z tą pracą technicy Cautskiego mogli sobie spokojnie dać radę sami, a ponadto jeszcze nie wróciłem do pełni sił. Kapitan wydał szereg rozkazów, dotyczących pełnego pogotowia bojowego i jak najlepszej czułości naszych przyrządów. Życzył sobie, żebyśmy byli zdolni do współpracy z systemami pozostałych wozów, ale równocześnie żebyśmy w razie konieczności mogli polegać sami na sobie. I żebyśmy byli w stanie filtrować dane, które będziemy im przekazywać.

Miałem dzień wolny, ale zabrałem się do diagnostyki i drobnych napraw. Dobry mechanik zawsze ma coś do roboty. Ustaliłem takie tempo pracy, na jakie pozwalały mi siły, i robota szła jak z płatka, odciągała od niechcianych myśli.

Przed obiadem pojawił się Herbert. Przez chwilę przyglądał się, jak rewitalizuję ogniwa akumulatora i sprawdzam je diagnostyką.

– Myślałem, że taki bohater jak ty nie będzie się już zajmował podobnymi sprawami – oznajmił.

– Jestem mechanikiem – zwróciłem mu uwagę. – To moja praca. A każdy kilowat czy kilowatogodzina więcej może przyczynić się do tego, czy odeprzemy atak, czy nie.

– Przyjmuję do wiadomości i poddaję się. – Uniósł ręce przesadnym gestem. – Masz rację, jestem cholernie zadowolony, że tak ci leży na sercu moje bezpieczeństwo.

Herbert był trochę rozpieszczonym fircykiem, który nie brał życia zbyt poważnie, ale nudzić się w jego towarzystwie nie było można.

– Sprawdź je. – Podałem mu ogniwo, które diagnostyka uznała za dobre, ale nie wiedziałem, jak długo trwało jego sprawdzanie. – I dyktuj mi wartości, zapiszę je, a potem obliczę wynik.

Posłuchał mnie bez dyskusji i przez dziesięć minut pracowaliśmy razem.

– Jest na granicy tolerancji, nadaje się. Ale założę się, że obciążone straci pojemność skokowo -oceniłem wynik sprawdzenia, włożyłem ogniwo do skrzynki części zużytych i wyjąłem nowe. Miałem

jeszcze pięć zapasowych.

– Właściwie nie przyszedłem po to, żeby ci pomagać – powiedział, zręcznie usuwając powłokę konserwacyjną z nowego ogniwa. Ja w tym czasie czyściłem gniazdo, do którego powinno trafić.

– To mnie zaskoczyłeś.

Herbert wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zmysł humoru u ciebie? Robisz się coraz lepszy, niebezpieczeństwa mają na ciebie dobry wpływ.

Trochę się zaniepokoiłem, nie uważałem siebie za ponuraka, ale inni być może widzieli to inaczej.

– Natasza urządza wieczorek, tylko dla zaproszonych.

– Nie tęsknię za zabawą w towarzystwie Cautskiego ani innych z dowództwa konwoju.

Po wymianie ogniwa polepszyła się charakterystyka akumulatora. Może przyczyniło się do tego wyczyszczenie gniazda, uznałem, że warto zrobić to ze wszystkimi.

– Natasza, mówię. Wieczorek tylko dla zaproszonych. Poprosiła mnie, żebym ci o tym powiedział i przekazał zaproszenie.

Spojrzałem na Herberta uważnie, czy mówi serio, czy pokpiwa sobie ze mnie.

– Cały dzień pracuje nad czymś z ojcem, powierzyła mi organizację.

– Jestem mechanikiem, najemnym żołnierzem – przypomniałem mu.

– To nie ma nic do rzeczy. – Wzruszył ramionami. – Zostałeś zaproszony. Ty, mechanik i najemnik. Mnie się wydaje, że się nią interesujesz.

Starał się przybrać niewinną minę, ale nie bardzo mu to szło.

– Myślę, że dla zabójcy botów nie będzie problemu z wolnym wieczorem.

– Zabójca botów? – nie zrozumiałem.

– A tak, kolego, to twoje nowe imię. – Uśmiechnął się. – Ja już cię widzę jako główną osobę dramatu na głównej scenie Ambrezavile.

– Dziękuję – odparłem ironicznie.

- No to zaproszenie przekazałem, a ty przyjdiesz – podsumował.
- Ty się wyraźnie boisz Nataszy.
- Ja mogę, nie jestem zabójcą botów – skwitował. – Co więcej, jest moją kuzynką, więc to się nie liczy.

Wróciłem do pracy. Herbert, o dziwo, nie odszedł, tylko dalej mi pomagał.

- Z jakiego powodu boty starały się porwać ludzi? – zapytałem go, choć właściwie wypowiedziałem na głos to, co tkwiło mi w głowie.

- Bo ludzie są im do czegoś potrzebni – odpowiedział.

- Ale do czego?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, ale bardzo są im potrzebni. Przypominasz sobie tę opuszczoną wioskę?

Przytaknąłem, czekając, dokąd zmierza.

- Myślę, że ich wszystkich porwały boty.

Skoordynowany atak grupy botów na uzbrojony konwój. Tutaj widziałem związek z walką, z oprogramowaniem botów. Ale likwidacja, czy może uprowadzenie wszystkich mieszkańców wioski to zupełnie coś innego.

- Gdyby to był napad, odkrylibyśmy ślady walki. Gdyby poumierali na jakąś chorobę, pozostałyby ich szczątki. Gdyby się przeprowadzili, nie pozostawiliby na miejscu całego swojego majątku -kontynuował Herbert.

- Może napadli ich inni ludzie? Nie zdołali się obronić i wszyscy zostali wzięci do niewoli.

Ta koncepcja wydała mi się rozsądniejsza, łatwiejsza do zaakceptowania niż wyobrażenie sobie maszyn atakujących w zorganizowany sposób jedną wieś. Atakujących tak, żeby uprowadzić ludzi, ale ich nie zabijać.

- Napastnicy będący ludźmi wszystko, co użyteczne, wzięliby ze sobą. I nie pozostawiliby zwierząt domowych w zamknięciu.

Miał rację. Atak botów mógł być wyjaśnieniem zagadki.

- Mam nadzieję, że dziś wieczorem o takich sprawach nie będziemy rozmawiali – zakończyłem nasze rozważania.

– Zobaczymy – zaśmiał się Herbert.

Byłem ciekawy, jak akumulator będzie działał po mojej pracy, chciałem to sprawdzić.

Po podłączeniu akumulatora okazało się, że wszystkie wskaźniki znalazły się w głębi zielonych pól. Lepiej być nie mogło.

Herbert z zadowoleniem pokiwał głową, machnął do mnie ręką na pożegnanie i odszedł.

* * *

Wieczorek trwał już od dłuższego czasu, kiedy wreszcie udało mi się zaspokoić ciekawość obecnych i przestałem być w centrum zainteresowania małych, szybko zbierających się grup. Przeszedłem bliżej ku dwóm transporterom, tworzącym jeden ze skrajów zadaszanej przestrzeni, gdzie znajdował się bar i szwedzki stół z plasterkami wędlin pakowanych próżniowo, herbatnikami, orzeszkami i kanapkami. Było to więcej, niż oczekiwałem. Za barem stał Herbert, mimo że początkowo bar był pomyślany jako samoobsługowy. Goście zostali wybrani ze wszystkich zespołów i załóg, i o ile się zorientowałem, tylko ci sympatyczniejsi i przystojniejsi. Cautskiego nie było, zauważyłem tylko jednego z jego zastępców. Krist oczywiście również została zaproszona. Należała do ekipy Deheba, była jedną z niewielu kobiet w konwoju, chyba najpopularniejszą.

Wszystkie cztery obecne kobiety zamieniły swój praktyczny ubiór codzienny na bardziej odświętny, sukienki, spódniczki, bluzki z dekoltem. Krist wyczarowała nawet szpilki na wysokich obcasach. Natasza ubrała się w ciemnoniebieską sukienkę z odsłoniętymi ramionami, na którą narzuciła podszytą kożuszką kurtkę z dużym kołnierzem. Przydała jej się, bo zaczynało zmierzchać i nadchodził chłód. Johanson, również obecny, otworzył tylną klapę transportera i włączył cztery zainstalowane tam reflektory. Skierowane były na płachtę nad naszymi głowami, co zapewniało gościom łagodne odbite światło. Kiwnąłem mu ręką, a on uniósł szklaneczkę w toaście i zadowolony wrócił do tego, co robił

dotychczas – do przyglądania się. Zauważyłem, że ja również tak robię. Ci, którzy nie rozmawiali właśnie z którąś z kobiet, mniej lub bardziej dyskretnie je obserwowali. Krist i Elizabeth coraz bardziej zajmowały się swoimi sprawami, a jeśli do ich rozmowy próbował wchodzić się ktoś trzeci, potrafiły się go w krótkim czasie pozbyć. Szukałem wzrokiem Nataszy. Od pewnego czasu jej nie widziałem. Rozejrzałem się i spostrzegłem, że stoi w narożniku, obok podpory zadaszenia, i rozmawia z jakimś wysokim mężczyzną w mundurze. Należał do oddziału Wruise'a, a ze względu na to, że nie znałem ich dystynkcji, nazwałem go pierwszym oficerem. Wyglądał elegancko, zachowywał się z dużą pewnością siebie. Odbite światło reflektorów nadawało włosom Nataszy lekko kasztanowy odcień, krój sukienki podkreślał długą linię jej nóg. Może powinienem podejść do nich, przyłączyć się do rozmowy, być dowcipny, szarmancki, czarujący? Niestety, nie miałem gdzie nauczyć się takiej galanterii.

Jednak zabrałem swoją szklankę, z której jak dotąd niewiele wypilem, i podszedłem do nich, odmawiając po drodze zaproszeniom do dyskusji, wskazując na Nataszę. Działo to znakomicie.

– Cześć – przywitałem mężczyznę, a do Nataszy się uśmiechnąłem. – Wygląda na to, że ludzie się dobrze bawią, udane party, dobry pomysł.

– Olaf Hewesson, Matyas Sanders – przedstawiła nas.

Olaf Hewesson wyprostował się, żeby podkreślić swoją przewagę wzrostu, i nawet nie udawał, że wydaję mu się sympatyczny. Punkt dla niego.

– Pan Sanders jest teraz bardzo znaną osobą, powiedziałbym, że znają go wszyscy. Nie ma potrzeby go przedstawiać.

Frazę „nie ma potrzeby” wypowiedział w taki sposób, jakby wydekłamał ze szkolnego podręcznika.

Właściwie miał rację. Wzruszyłem ramionami. Natasza czekała na moją reakcję. W konwoju było nas około stu ludzi i z widzenia znaleźliśmy się wszyscy. Ale my, załoga jedyne go czołgu, w jakiś sposób wyróżniliśmy się spośród pozostałych.

– Jestem żołnierzem, potrafię zważyć ryzyko. Bezsensowne, głupie ryzyko pozostaje nim bez względu na to, czy zostało uwieńczone przypadkowym sukcesem – kontynuował Hewesson.

Natasza przestała się dobrze bawić. Nic nie mówiła, ale ja już ją trochę znałem.

– Nie jestem żołnierzem. Ale znam boty. Nie działają impulsywnie, są posłuszne programowi, algorytmowi. Te z jakiegoś powodu miały za zadanie porwać żywych ludzi, a potem przetransportować do miejsca przeznaczenia. Transport miał być przeprowadzony z małym zużyciem energii, a więc bez pośpiechu, a do tego bez potrzeby wdawania się w walkę. Zmuszałem je do szybszego tempa niż optymalne, co prędko zużywało ich zapasy energetyczne. I zapomniał pan o jednej bardzo ważnej sprawie – powiedziałem, zanim zdążył zaproponować. Nie miałem ochoty z nim dyskutować.

– O jakiej?

– Gdybym zgodnie z pana słowami tak głupio i bezsensownie nie ryzykował, nie doszłoby do skutku dzisiejsze party, ponieważ nie byłoby pomiędzy nami naszej uroczej gospodyni. I dwojga innych ludzi. Powiedziałbym, że głupi w tym przypadku jest pan.

Natasza parsknęła śmiechem, wcale się z tym nie kryjąc.

Hewesson poczerwieniał, nie spodziewał się obrazy i zastanawiał się, jak ma zareagować.

Obserwowałem go ze spokojem. Nie interesowało mnie, że jest ode mnie wyższy albo że może zażądać satysfakcji. Nigdy nie szukałem zwady, ale też nigdy się jej nie bałem. A minione dni i tygodnie w jakiś sposób mnie zmieniły. Spokojnie czekałem, co będzie dalej, rozważając, jak nasza słowna potyczka może się rozwinąć.

– Proszę mi wybaczyć – zdecydował się, salutując Nataszy na pożegnanie. Mnie zignorował zupełnie.

Natasza zwróciła się do mnie.

– Po tym wszystkim chętnie bym się czegoś napiła. Zorganizowałam całe to party, a jak dotąd nie dostałam jeszcze

nawet jednej szklaneczki.

Przed paroma sekundami byłem wręcz lodowato spokojny, ale teraz już nie. Może z powodu Nataszy. Tak czy inaczej, ja też nabrałem ochoty na szklaneczkę.

Herbert, który nadal obsługiwał bar i zbliżał się do stanu sprawiającego mu kłopoty z tą obsługą, powitał nas wesoło, a potem poświęcił całą swoją uwagę towarzystwu, które przyprowadziła Elizabeth.

To dało nam nieco prywatności. Staliśmy przy barze, popijając drinki. Rum z wodą, cytryną i jakąś esencją. Było to bardzo dobre. Co chwila ktoś podchodził, zamieniał kilka słów. Natasza na ogół wdawała się w rozmowę, ja się jej przyglądałem, podziwiając mimikę, gesty, melodyjność głosu, nagły ruch, kiedy ją coś zainteresowało. Czasem mnie dotykała, jakby chciała się upewnić, że jestem blisko. Tylko od czasu do czasu, kiedy to było niezbędne, wtrącałem zdanie czy dwa. Mężczyźni na ogół dawali pierwszeństwo rozmowie z atrakcyjną kobietą. Zauważyłem, że z przeciwległego narożnika terenu ogrodzonego na przyjęcie obserwuje mnie Valerie. Zanim zdążyłem jej pomachać, odwróciła się w inną stronę.

Wieczorek przekroczył swój punkt kulminacyjny i zaczął zmierzać ku końcowi. Przyszło mi do głowy, że właściwie nawet się porządnie nie napiłem. Jednak jutro musieliśmy ruszać w dalszą drogę, która w ciągu trzech dni powinna nas wyprowadzić z ziemi niczyjej.

– Pomożesz mi? – poprosiła Natasza, wskazując na Herberta, który usiłował nalać sobie ostatnią szklaneczkę z zupełnie pustej butelki, chwiejąc się przy tym niepewnie.

Przytaknąłem.

Złapałem go wpół, żeby nie upadł na ziemię, i ostrożnie poprowadziłem do obozowiska obok jego transportera.

– Ty jesteś naprawdę fajny facet – bełkotał. – I podobasz się Nataszy, ja to widzę. Znam ją dobrze.

Kiedy przyszliśmy na miejsce, jego łóżko połowę było już

przygotowane. Załoga wozu grała w karty i przypatrywała się, jak sobie z nim poradzę.

Bardzo prosto. Pozwoliłem mu ześliznąć się na łóżko i zacząłem mu rozwiązywać buty. Jeśli człowiek obudzi się rano w ubraniu, nie jest to wprawdzie nic przyjemnego, ale można wytrzymać. Znacznie gorzej jest obudzić się w obuwiu.

– Ona naprawdę jest fajna, ale ja bym się jej na twoim miejscu bał – nadal mamrotał po pijacku. – Jest piękna, mądra, ale też cholernie...

Co miało następować po cholernie, już się nie dowiedziałem, bo Herbert zasnął.

Buty ustawiłem mu tak, żeby ich nie zmoczyła rosa, gdyby przedostała się pod płachtę, przykryłem go, rozpiąwszy mu najpierw kurtkę.

– To nie jest zły chłopak – rzekł jeden z grających w karty, jakbym mógł coś takiego pomyśleć. – Ale się boi. Boi się być tutaj.

– Wielu z nas się boi – zgodziłem się z nim. – To normalne. Dobranoc.

Zastąpiłem Nataszę sprząającą wraz z kilkoma ludźmi. Zdziwiło mnie to, ponieważ takie prace wykonywał zazwyczaj personel jej ojca.

Bez słowa zacząłem składać stoły i krzesła i wraz z innymi odnosić je do transportera zaopatrzeniowego.

– Ojciec nie był przekonany do tego wieczorku, a kiedy nie mógł mi go zabronić, spróbował mnie przynajmniej zniechęcić. Wszystko muszę zorganizować sama – oznajmiła mi, pomagając przy składaniu płachty. Wśród obecnych rozpoznałem członków załogi jej ojca, którzy nie bacząc na jego przykazania, pomagali Nataszy.

Kiedy już złożyliśmy zadaszanie, poczułem na głowie chłód i wilgoć. Ludzie żegnali się i odchodzili do swoich wozów, prowizorycznych legowisk lub namiotów. Z każdą minutą było ich coraz mniej, aż zostałem sam z Nataszą. Włożyłem ostatnie umyte tace na miejsce i zamknąłem skrzynię z naczyniami.

– Gotowe.

Wyłączyliśmy reflektory, pozostawiając tylko jeden najmniejszy,

skierowany w ziemię.

– Może się przejdziemy? Wokół obozu są miejsca, skąd rozpościera się wspaniały widok na niebo – zaproponowałem.

Zastanawiała się.

– Mam gruby, ciepły koc, możemy usiąść.

A nawet się położyć, dodałem w duchu.

– Dlaczego nie, ale może wypijemy jeszcze ostatnią szklaneczkę u mnie w wozie? -zaproponowała z pytającym uśmiechem. Wyglądała prawie zalotnie.

– Ostatnią szklaneczkę? Jeśli to nie ostatnia w życiu, to tak.

Pochylony wszedłem do środka i odsunąłem się w bok, żeby ją przepuścić. Kiedy przeciskała się obok mnie, poczułem jej zapach silniej niż kiedykolwiek przedtem. Poznałem różę i drzewo, którego nazwy zapomniałem. Sandał? Do tego dochodziło mnóstwo innych składników, o których nie miałem pojęcia.

Serwomechanizm zamknął drzwi, zamki zaskoczyły z trzaskiem, powiew chłodnego powietrza ustał. Wentylacja na kilka sekund zwiększyła wydajność, żeby uzupełnić ciśnienie.

Przeszedłem za Nataszą przez korytarzyk techniczny do części mieszkalnej. Wchodząc do wnętrza, zdjęła buty, nałożyła je na prawidła wyjęte z bocznej ścianki. Zrobiłem tak samo. Projektant transportera miał spore doświadczenie i umiał z niego skorzystać.

Dla człowieka przywykłego do życia w miastach czy nawet wioskach ta kabina, albo może kajuta, była ciasna i urządzona spartańsko. Ale dla człowieka prowadzącego żywot nomady zdawała się luksusowa. Ergonomicznie ukształtowany fotel pozwalający znosić niewygodę jazdy terenowej, linia kuchenna do przyrządzania herbaty, kawy, a nawet nieskomplikowanego posiłku. Dolna powierzchnia chowanego w ścianę łóżka stanowiła niską, lecz wygodną kanapę. Obok stał mały, elegancki stoliczek z zaokrąglonymi rogami. Okien, co oczywiste, nie było, zastępowały je ekrany umocowane w miejscach, w których człowiek oczekiwałby okien. Przedstawały teraz widok, jaki przed chwilą oglądałem na własne oczy. Pod nogami czułem miękkie, ciepłe

dywan. Deptać go butami byłoby naprawdę szkoda. Sufit rozświetlił się przyjemnym, przytłumionym światłem, stosownym dla godzin nocnych. Nie zauważyłem, żeby Natasza regulowała w jakiś sposób intensywność oświetlenia, z całą pewnością robił to automat.

– Rozgość się, przygotuję coś do picia. Koniak?

Zdjęła kurteczkę. Kabina była dostatecznie wysoka, żeby dziewczyna stała wyprostowana, mogłem więc podziwiać jej figurę.

– I kawę? – zapytałem.

– No pewnie.

Odwróciła się do kuchenki, znów miałem się czemu przyglądać, i to bez skrępowania. Oto pozytywna strona zajęcia pięknej kobiety w kuchni.

Odwróciła się, postawiła na stoliczku dwie kawy i dwie czarki. Odblask światła na nich świadczył, że to cienkie szkło, a nie odporny na stłuczenie plastik. Nalała do każdej solidną porcję bursztynowego płynu o opalizującej barwie.

– A więc? – Uniosła swoje szkło.

– Za twoją urodę – wzniosłem toast i pocałowałem ją.

Nie miałem ochoty zakończyć tego pocałunku, ale musiałem. Zabrałem obie czarki i postawiłem na kuchence.

– Jeszcze się nie napiłam – zwróciła mi uwagę.

– Ja też nie.

Powoli ją rozbierałem. Nie pomagała mi, ale się nie wzbraniała, tylko słyszałem jej głęboki oddech. Światło w kabinie przygasło, kolory się zacierały, jej bieliznę trudno było już odróżnić od gołej skóry. Tym intensywniejsze były doznania dotykowe. Posadziłem Nataszę na kanapie, głęboko westchnęła i zamruczała, a w chwilę potem zamruczałem ja.

Rozdział szósty



Wkajucie panowała prawie zupełna ciemność, pozostałe luminofory nie dostarczały więcej światła niż księżyc, czułem ciepło ud i łydek Nataszy, które na mnie opierała.

Po omacku odnalazłem czarki i podałem jej jedną. Jej palce na moment spotkały się z moimi. Mogłem nas przykryć kapą z łóżka, ale nie chciałem. Nie mogłem się nacieszyć widokiem jej łydki opartej o mój bok, krągłości wewnętrznej strony uda, płaskiego brzucha i piersi ukoronowanych ciemnymi sutkami. Fryzura dostała za swoje. Twarz Nataszy okalała teraz nieuporządkowana burza włosów.

Przez chwilę rozmyślałem nad toastem, ale żaden nie przyszedł mi do głowy. Zakręciłem czarką z koniakiem, wciągnąłem jego woń, napiłem się, a potem dalej cieszyłem się ciepłem ciała dziewczyny. Zewnętrzne kamery zarejestrowały ruch jakiegoś zwierzęcia, noktowizor od razu zwiększył czułość i ekrany na chwilę zaświeciły jaśniej, ukazując Nataszę w odcieniach szarości, tylko klin pomiędzy jej udami pozostał ciemny.

Potem automatyka powróciła do normalnego poziomu i realia ustąpiły miejsca wyobrażeniom.

– Za bardzo nie czekałeś na moje pozwolenie – powiedziała.

Wróciłem pamięcią do minionych chwil.

– Nie – zgodziłem się. – Ale nie wydaje mi się, że ci się to nie podobało.

– Tego nie powiedziałam.

Z tonu jej głosu wywnioskowałem, że jest zadowolona. To mi się bardzo spodobało.

- Za drugim razem spełnię twoje życzenie.
 - Wierzysz w siebie.
 - Tak, ale tylko tam, gdzie jestem siebie naprawdę pewny.
- Zaśmiała się serdecznie.
- Dopij swój koniak, to zobaczysz – powiedziałem, nie mając pojęcia, skąd się to u mnie bierze.

* * *

Obudziła mnie zmiana natężenia światła w ekranach okiennych. Natasza spała obok, z ręką na mojej piersi. Nadal była noc, nie wydawało mi się, że spałem długo. Ale nie umiałem określić, ile czasu się kochaliśmy. Wstałem ostrożnie i przyjrzałem się ekranom dokładnie.

Żaden z czujników alarmowych się nie odezwał, a to oznaczało, że ruch, na który zareagowały czujniki transportera, nie stanowił zagrożenia. Chwilę zajęło mi wyciągnięcie z przekazywanych obrazów tej części, która mnie interesowała.

Kamery transportera Nataszy albo inne połączone z siecią konwoju pokazywały naszego kapitana. Stał obok czołgu, patrząc gdzieś w ciemność. Nawet w nocy miał swój uniform, właściwie nigdy go nie widziałem odzianego inaczej. Zacząłem się ubierać, trwało to dłużej niż zwykle, bo części swojego stroju musiałem najpierw odnaleźć, a do tego ciągle wpadała mi w ręce bielizna Nataszy, na szczęście bardzo różna od tego, co ja nosiłem.

Zasunąłem ostatni zamek błyskawiczny, pochyliłem się, końcami palców dotknąłem włosów Nataszy, przykryłem ją i wyśliznąłem się z kabiny. Szybko nałożyłem buty, porządnie je zapiąłem i wyszedłem na zewnątrz. Zwróciłem uwagę na prawidłowe zamknięcie i zabezpieczenie drzwi.

Nocne powietrze było bardzo zimne, wyczuwałem w nim zapach smarów, oleju i paliwa. Ten ostatni zwłaszcza był zbyt silny, prawdopodobnie wyciekało z któregoś wozu. Postanowiłem rano to sprawdzić. Podeszedłem do czołgu, gdzie znalazłem kapitana w tym samym miejscu, w którym ukazywały go kamery.

Na moje przybycie w ogóle nie zareagował. Stałem obok niego, jakbym mógł coś wypatrzeć w ciemnościach nocy. Albo chociaż usłyszeć. Niczego nie widziałem ani nie słyszałem mimo upływu czasu. Zaczynało mi się robić zimno. Knispel stał bez ruchu, słyszałem tylko jego oddech. Może mi się to wszystko wydawało, a ja nadal leżałem obok Nataszy w przytulnej kabinie jej wozu?

Niestety, chyba nie.

– Są tutaj, wiem o tym – odezwał się nagle Knispel.

Nie musiałem pytać, o czym kapitan mówi, czy raczej szepcze.

– Dlaczego tak pan myśli?

– Wyczuwam je. Są blisko i obserwują nas.

Nie zaprotestowałem, że botów nie można wyczuć. Był dowódcą, i to cholernie dobrym dowódcą. Doświadczenie nauczyło go wiele, a nazywanie tego instynktem nie było błędem.

– Proszę obudzić załogę, wprowadźcie czołg w stan pasywnej gotowości.

To znaczyło, że wszystkie przyrządy będą zasilane tylko z akumulatora i że nie będziemy aktywnie skanowali okolicy.

– Oczekujcie rozkazu pełnej gotowości bojowej.

– Rozumiem.

Rozkazy są lepsze niż bierność.

Po chwili siedziałem już w swojej kabinie, wirtualnie zaglądałem przez ramię Rigajewowi, obserwując równocześnie, jak Katzinski z Cyrem przygotowują armatę do otwarcia ognia. Marlon sprawdzał diagnostykę kierowania pojazdem. Mocno obciążało to nasze akumulatory. Przygotowałem je na to, że przez kilka chwil będą musiały pracować pełną mocą bez włączonego diesla. Mogłoby tak być, gdyby kapitan zechciał, aby nasza akcja przebiegła jak najciszej.

– Na czwartej, odległość sto pięćdziesiąt metrów – Rigajev zgłosił pierwszego zidentyfikowanego bota. – Na szóstej, siódmej – kontynuował szybko, już i ja zdołałem je dostrzec.

– Są wszędzie – skonstatował Katzinski. Przez interkom mówił tak rzadko, że prawie nie poznałem jego głosu.

– Określajcie cele priorytetowe – zabrzmiał kolejny rozkaz Knispela.

Nadal pozostawał na zewnątrz.

– Cel numer jeden na godzinie trzeciej, odległość trzysta dwadzieścia metrów.

– Sprawdźcie na dwieście dziesiątym metrze, namiar ten sam – zażądał Knispel.

– Jest tam jeden – potwierdził Rigajev z zaskoczeniem.

Jak kapitan mógł o tym wiedzieć?

Nastąpiła cała lista kolejnych celów.

– No cóż, trzeba przyznać, że jesteśmy otoczeni – stwierdził Cyr. – Czy ogłosić alarm?

– Nie – rozkazał kapitan.

Nie rozumiałem go. Dlaczego nie? Ponieważ powstałby chaos, a one wykorzystają go do przeprowadzenia ataku? Ale o wiele gorzej by było, gdyby napadły na obóz pogrążony we śnie.

– Oczekują poranka, nie wiedzą, co mają robić – powiedział kapitan.

Zaczynałem mieć dziwne uczucia. Czy Knispel się myli?

My też czekaliśmy.

Nadszedł świt, na zewnątrz zaczęli się pojawiać pierwsi ludzie, słońce wschodziło. Knispel nadal pozostawał poza czołgiem, wszyscy milczeli.

– Przygotujcie się do otwarcia ognia, aktywujcie czujniki.

System kontroli akumulatora pisnął, pobór prądu wyraźnie wzrósł.

– Ruszyły – zameldował Rigajev. Też to zobaczyłem na monitorach.

A na zewnątrz było mnóstwo ludzi wystawionych na łaskę i niełaskę tych maszyn.

– Działo, niszczyć cele w kolejności: jeden, dwa, siedem, dziesięć, miotacz min: jednaście, trzystaście, rakiet: czternaście.

Na zboczu nad nami pojawiła się sylwetka wielkiego dinobota.

– Ognia!

Czołg się zatrząsł, huk działa mnie ogłuszył, rozległ się kolejny wystrzał, mechanizm podający zawył, wieża drgnęła, wyszukując następny cel, wystrzały padły tuż po sobie. Obrót lufy o sto osiemdziesiąt stopni rzucił mnie w bok, na fotelu utrzymały mnie tylko pasy bezpieczeństwa, celownik wydobył z cienia masywnego bota na trzech parach nóg, z ciałem obudowanym wokół wielkokalibrowej broni palnej. Zauważyłem na nim ślady wielu napraw i łat, kiedy huknął kolejny wystrzał i bot z prawieków zniknął, otrzymawszy trafienie bezpośrednie.

Teraz agregat Diesla huczał już pełną mocą, ładując do akumulatora maksimum energii, jaką był zdolny wytworzyć, system ładowania broni pracował nieustannie, dostarczając amunicję do komór. Czołg ruszył, cofaliśmy się, Knispel chciał mieć obóz przed nami, a nie obok.

– Pięć wystrzałów, pięć trafień – zameldował Cyr z zadowoleniem.

Z tego, co widziałem na zapisie, i rakietą, i miotacz min również zniszczyły swoje cele.

– Przygotujcie się do postawienia ognia zaporowego – rozkazał Knispel.

Mieliśmy do tego poważne środki ogniowe: główne działko, sprzężone wielkokalibrowe karabiny maszynowe, działko szybkostrzelne, działko rotacyjne i miotacz min.

– Już nie zaryzykują – oznajmił Katzinski swym zmęczonym głosem.

Teraz poznałem go już po pierwszych sylabach.

– Zastraszyliśmy je, przekonaliśmy się, do czego jesteśmy zdolni.



Botów rozproszonych w najbliższej okolicy pozostawało jeszcze wiele, nie wiedziałem, na jakiej podstawie tak uważa. Może dlatego, że się zatrzymały. Przeglądając powtórnie zapisy, stwierdziłem, że zniszczyliśmy największe i najniebezpieczniejsze cele. Dwa wielkie dinoboty, ciężką maszynę kroczącą i obiekt, którego szczegółów nie było można rozeznaczyć. Wyglądało na to, że używał jakiegoś specjalnego maskowania i oszukiwania aktywnych i pasywnych czujników.

A prócz tego oczywiście bota z armatą.

Po błyskawicznej akcji nastąpiło oczekiwanie na kolejne rozkazy naszego dowódcy.

– Ten z armatą mógł nam rozczochrać fryzurę – stwierdził Rigajev. – Był przeznaczony do walki z maszynami podobnymi do naszego czołgu.

– Ale to znaczy... – zacząłem.

– ...że go wyprodukowali na samym początku wojny. Na to wyglądał.

Rigajev potwierdził moje domysły.

Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby bot użył broni strzeleckiej, chociaż wiele z nich było w nią wyposażonych. Ale nie założyłbym się o swoje życie, że przeciwnik nie dysponuje sprawną bronią palną dużego kalibru.

– Rigajev, Sanders, Cyr – usłyszałem nasze nazwiska. – Uzbrójcie się i wysiadajcie z wozu. Będziecie ubezpieczać personel zwijający obóz. Większe boty utrzymamy w odpowiedniej odległości, ale mniejsze mogłyby przeniknąć. Nie zapomnijcie komunikatorów, będę panów informował o ruchach nieprzyjaciela.

Stawiać opór nawale botów wewnątrz czołgu, będąc chronionym najlepszym pancerzem, jaki człowiek skonstruował, ciężkim działem i doskonałą elektroniką, to jedna sprawa. Wyjść z niego z lichym uzbrojeniem to druga.

Nałożyć kurtkę i kamizelkę kuloodporną w ciasnej przestrzeni kokpitu już umiałem. Hełm, kontrola łączności i pozostało tylko otworzyć klapę wjazdu. Cyr był już na zewnątrz, Rigajev się nie spieszył.

W powietrzu nadal unosił się zapach spalonych ładunków miotających, wydawało mi się, że w cieniu krzewów i drzew dostrzegam geometryczne kształty czyhających stworów. Takie figle płatała mi fantazja żywiąca się strachem. Rigajev nie wyglądał zbyt dobrze, twarz miał bladą, oddychał szybko i chociaż było chłodno, na czole perliły mu się kropelki potu. Sprawdziłem strzelbę i zeskoczyłem z czołgu na miękką ziemię. Miałem nadzieję, że nie będę musiał strzelać, ramię nadal mnie bolało przy każdym szybszym ruchu albo w przypadku konieczności użycia większej siły. Rozglądałem się na wszystkie strony, żeby skalibrować kamerki w przedniej części hełmu. Załoga czołgu mogła dzięki nim widzieć to samo, co ja.

Przestraszeni ludzie, którzy jeszcze kilka chwil temu w panice

szukali jakiegoś ukrycia, wychodzili na otwartą przestrzeń, przyglądając nam się z ciekawością. Wierzyli, że ich ochronimy.

W słuchawkach usłyszałem spokojny głos Knispela. Przekazałem jego rozkazy innym.

– Najpierw spakujecie to, co najbliżej, a my was będziemy ubezpieczać. Kiedy znajdziecie się w swoich wozach, przesuniemy się i będą mogli pracować pozostali.

Jasny rozkaz jest podstawą do opanowania paniki, uzmysłowiłem sobie. Obserwowałem, jak ludzie w milczeniu sprzątają swoje rzeczy, składają namioty, kierowcy sprawdzają wozy i zapuszczają silniki. Przesunęliśmy się nieco dalej, a z nami i czołg, i cała akcja się powtórzyła. Słońce już wzeszło, ale jego blask tłumiała cienka warstwa chmur na wschodzie, w innych miejscach niebo było jasne, lecz chłód nie ustępował.

– Ruch na trzeciej, około dwudziestu pięciu metrów – oznajmił Marlon.

Siedział w czołgu, jednak głos miał napięty jak struna.

Nie wiedziałem, czy ten meldunek skierowany jest do mnie, ale ponieważ go usłyszałem, poszedłem w oznaczonym kierunku, unosząc kolbę strzelby do ramienia. Bez zastanowienia nastawiłem siłę wystrzału na czwórkę.

Niczego nie widziałem, ale małymi krokami, ze stopami cały czas w kontakcie z ziemią szedłem naprzód.

– Co ty, do cholery, robisz? – nie wytrzymał Marlon.

Jeśli tam coś się poruszało, to chciałem to zobaczyć i pokazać mu, że o nim wiemy. Obrona Knispela była oparta na pokazaniu botom, że o nich wiemy.

Wreszcie go zobaczyłem. Bot nie był większy niż średniej wielkości pies, ale budową ciała nie przypominał psa. Najbardziej był podobny do wydłużonego, członowego elipsoidu na długich, segmentowych nogach. Lśnienie metalowego korpusu przypominało materiał żeber wielkich dinobotów. Miał też szczęki, odwrócone ku mnie, przypominające okrągłe usta pijawki, okolone rzędem ostrych wypustek. Kręcił się i cicho szumiał. To mnie

zdziwiło, spodziewałem się, że będzie oszczędzał energię.

Podszedłem krok do przodu, przez przyrządy celownicze obserwowałem ruchy mechanizmu w jego paszczy. Jakby chciał zademonstrować mi swoje możliwości, wargi mu się podwinęły, rząd ostrych zębów nie był jedyny, było ich kilka szeregów. Teraz wyglądał na zdolnego do przegryzienia wszystkiego. Nie rozumiałem, jaka jest konstrukcja tego uzębienia i z jakiego materiału zostało wykonane. Całość sprawiała zdecydowanie nieludzkie wrażenie. Był jeszcze doskonalszy niż wielkie dinoboty.

– To ten pętał, którego spotkaliśmy na początku, system rozpoznał jego sygnaturę - poinformował mnie Marlon.

Miałem nastawioną czwórkę, wiedziałem, że będzie piekielnie bolało, że wystrzał zrobi mi krzywdę, ale mogło się to opłacić. Ten bot znaczył więcej, niż przypuszczaliśmy.

Wykorzystał zmianę mojej pozycji i w mgnieniu oka zniknął. Bez widocznego przyspieszenia, pełną szybkością, bez odwracania się, skokiem w bok zniknął w krzakach. No fajnie. Nie musiałem strzelać. Trochę mi ulżyło.

– Sanders, to wystarczy, niech pan wraca – rozkazał kapitan.

Chętnie go posłuchałem.

Zwijanie obozu trwało jeszcze prawie dwie godziny, chociaż w miarę jak przybywało wozów gotowych do walki, było to łatwiejsze i szybsze. Mimo to zachowałem pełną czujność, pozostając w gotowości do natychmiastowego działania. W końcu ogarnęło mnie znużenie, ramiona rozboleły od trzymania ciężkiej broni.

Z dużą ulgą, zgodnie z rozkazem zawróciłem w kierunku czołgu, trochę niezgrabnie wgramoliłem się na pancerz i precyzyjnie do wnętrza. Za mną, jako ostatni, zajął swoje miejsce Cyr.

– Wyjaśnijcie mi teraz, dlaczego nas nie ostrzeżliście i zaczęliście tę poranną hecę – usłyszałem w słuchawkach wściekły głos Cautskiego.

Knispel natychmiast wyłączył ogólny obwód. Zdjąłem hełm, kamizelkę kuloodporną, wytarłem się do sucha chłonnym

ręcznikiem i rozwiesiłem go na wewnętrznej, ciepłej ścianie, żeby wysechł. Byłem spocony jak mysz. Później zapoznałem się z planowaną trasą dalszej podróży. Na czele miały jechać wozy Cautskiego, my na końcu. Wiedzieliśmy, że nieprzyjaciel jest wszędzie wokół nas, taka formacja była najlepsza. Mogliśmy użyć działa bez odwracania lufy. Wprawdzie wszyscy mieli utrzymywać pełną gotowość bojową, ale nie miałem złudzeń, że bez nas nie daliby sobie rady.

I dobrze o tym wiedzieli.

– Postój, musimy przeprowadzić diagnostykę silnika, grozi nam awaria – ogłosił Cautski na ogólnym obwodzie.

Jego transporter zatrzymał się na wierzchołku niezalesionego pagórka. Zauważyłem, że góry stopniowo zostawiamy poza sobą. To dobrze, im lepsza widoczność, tym większa korzyść dla nas.

– To nie jest dobre miejsce, majorze – usłyszałem aż nazbyt rzeczowy głos Marlona. Zawsze tak mówił, kiedy zamierzał uczynić kogoś celem swoich uszczypliwych dowcipów. – Pojawiły się tutaj boty z bronią kinetyczną i na wierzchołku stanowicie świetny cel. Do tej diagnostyki na waszym miejscu raczej bym się przesunął.

Na pewno zdenerwował Cautskiego, ale nie pozostali tam dłużej niż pięć minut. Marlon miał rację, to nie było dobre miejsce na zatrzymanie się, bez względu na powód.

Pojechaliśmy dalej, boty, te z nich, które nasze czujniki wykryły, pomału zostawały w tyle. Na odkrytym terenie czuły się zbyt wystawione na nasz ogień. W pewnym momencie naliczyłem ich aż siedemnaście, mieliśmy przeciw nim zdecydowanie za mało broni.

Zatrzymaliśmy się na nocleg. Nikt nie wychodził na zewnątrz, wszyscy pozostawali we względnym bezpieczeństwie wozów. Knispel nie wydał rozkazu pozostania w czołgu. Po namyśle otworzyłem klapę wjazdu i wyrzuciłem śpiwór na pancerz. Wpełzłem do niego, podłożyłem buty pod głowę, a strzelbę pod rękę. Szybko się ochładzało, na pancerzu pojawiły się kropelki rosy. Spoglądałem w niebo, słuchałem odgłosów nocy, przyzwyczajając się do tego, że gdzieś niedaleko kręcą się boty, a ja leżę na pancerzu,

nie pod jego ochroną. Jednak strzegły mnie przecież liczne czujniki. Powinienem rozmyślać nad tym, dlaczego boty tak zaciekle się nas trzymają, co je do tego zmusza. Zamiast tego zastanawiałem się, co robi Natasza i o czym myśli. W pewnej chwili zmieniła się w członowego bota i zrozumiałem, że zasypiam.

Kolejny dzień był podobny do poprzedniego, z tą różnicą, że nie poprzedziła go donośna pobudka. Ale też był męczący, może nawet bardziej. Nieustanny stres, gotowość do reakcji na jakikolwiek sygnał czujników ruchu. Boty cały czas nam towarzyszyły z dystansem zmieniającym się wraz z konfiguracją terenu i widocznością. Długie godziny powolnej i uciążliwej podróży skracałem sobie, usiłując na podstawie danych naszych systemów wykrywających znaleźć regułę ich ruchów. Nie całkiem mi się to udało, ale nic nie wskazywało na to, że ośrodkiem ich uwagi był nasz czołg. Zmieniały swoje położenie niezależnie od tego, czy czołg się poruszał, czy stał. Obawiały się go, miały przed nim respekt, ale głównej uwagi mu nie poświęcały. Jednak na czym ją skupiały, tego stwierdzić nie zdołałem.

Nadeszła pora noclegu. Założenie, że za trzy dni znajdziemy się znów na szlaku handlowym, okazało się zbyt optymistyczne. Miałem jednak nadzieję, że w ciągu następnych czterech, pięciu dni dotrzemy do celu najkrótszą drogą. Paliwem już nie musiałem się przejmować. Dostawaliśmy uzupełnienia rano, w południe i wieczorem. Zależało im na nas z całkiem zrozumiałych powodów.

Stworzyliśmy bardzo ciasną formację, wozy utworzyły krąg obronny. Dzięki temu niektórzy odważyli się nocować na zewnątrz pojazdów. Boty zgromadziły się na granicy zasięgu naszych czujników pasywnych, pewna ich liczba w większej odległości. Wartę trzymali Marlon i Rigajev, ja z Cyrem mieliśmy ich zmienić dopiero o północy. Katzinski miał wolne. Ze strzelbą i komunikatorem rozglądałem się za Nataszą. Jej wóz, tak samo transportery Valerie i Elizabeth nie były włączone w skład linii obronnej. Stały zaparkowane w trójkącie pośrodku chronionego obszaru, co zapewniało im pewną prywatność. Herbert również tam

był. Siedzieli na składanych krzeselkach naprzeciw siebie, a między nimi palił się piecyk naftowy, poczułem zapach wina i korzeni.

Nie wiedziałem, czy Natasza życzy sobie, żeby wiadano o naszych bliskich stosunkach. Herbert mnie zauważył, zdjął nogi z krzeselka przed sobą, robiąc mi miejsce. Natasza wyglądała na zmęczoną, jak wszyscy. Napięcie towarzyszące ostatnim dwóm dniom dawało się we znaki. Wolno pochyliłem się ku niej, podała mi usta do pocałunku. Wszyscy to zobaczyli, nikt nie skomentował.

Herbert dolał do swojej blaszanki solidną porcję napoju i mi podał. Chętnie się napiłem, grzane wino było gorące, pachnące i słodkie.

Obserwowali mnie jak ludzie zagubieni na pustyni. Musieli się czuć o wiele bardziej zagrożeni i bezsilni niż ja. Najbardziej zmęczona i najbardziej smutna była Valerie.

– Jak to widzisz? – zapytał Herbert.

Przypomniałem sobie wydarzenia ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, otrząsnąłem się z własnego zmęczenia i wątpliwości.

– Dobrze – odpowiedziałem poważnie. – Opanowaliśmy technikę jazdy, współpracujemy, ubezpieczamy jeden drugiego. One o tym wiedzą i nie próbują atakować. Wiedzą, że miałyby to dla nich niszczycielski skutek. Za dwa, może trzy dni wyjedziemy z pustkowi, na terenach zamieszkałych przez ludzi nie odważą się na atak.

Ostatniego zdania nie byłem całkowicie pewny.

– Musimy tylko wytrzymać, robić to, co dotychczas. Nie popełnić błędu.

Moje słowa brzmiały wiarygodnie i sprawiły, że wszyscy się rozluźnili.

– A co to są za boty? Te, co zabijają ludzi, czy te, które ich porywają?

– Myślę, że się tego nie dowiemy. – Uniknąłem odpowiedzi na pytanie Herberta, co wywołało zbiorowe potakiwanie.

Przez pewien czas gawędziliśmy o tym, jak niewygodnie jest w kabinie, jak się ktoś wysypia, jak spędza czas, jak męczące są

warty. Ja za wiele o tych sprawach nie mówiłem.

– Dlaczego właściwie sami zaatakowaliście boty, a nie ostrzeżliście innych? – zapytał nagle Herbert.

Podąłem mu puste naczynie do napełnienia.

– Boty odkrył kapitan Knispel – powiedziałem.

Wcześniej, niż je wskazały nasze detektory, ale to zostawiłem dla siebie.

– Dzięki temu byliśmy przygotowani, czego one nie przypuszczały. Myślę, ale to tylko mój domysł, że kapitan nie chciał, żeby stały się świadkami naszego źle zorganizowanego alarmu, zamieszania i chaosu. Obawiał się, że wykorzystająby to i zaatakowały. Zadał im ciężkie uderzenie i zmusił do przekonania, że jesteśmy doskonale zorganizowani i zdolni do jeszcze potężniejszego kontrataku.

Mogło tak być. Myślałem o tym już wcześniej, a teraz, kiedy swoje myśli wypowiedziałem na głos, wydały mi się całkiem prawdopodobne.

Tymczasem się ochłodziło, trzeba było kończyć nasze spotkanie. Pomogłem im sprzątnąć mebelki i piecyk; gdyby zaszła potrzeba nagłego wyjazdu, szkoda byłoby te rzeczy zostawić.

– Może zajdziesz do mnie? – zapytała Natasa przy pożegnaniu.

Bardzo smutno pokręciłem głową.

– Będę czuwał nad twoim bezpieczeństwem, chociaż wolałbym to robić z bliska.

Śmiejąc się, zamknęła drzwi.

– Ta dziewczyna myśli o tobie poważnie – przywitał mnie Marlon.

– Żartujesz ze mnie? – odpowiedziałem, szykując się do spania.

– Nie, tylko trzymam wartę, a czujniki wszystkich wozów są podłączone do jednej sieci. Nic się teraz nie ukryje.

Właściwie miał rację, nic nie powinno ujść jego uwadze. Rozkładałem swoje legowisko na korpusie czołgu.

– Czemu się tym interesujesz? Kto jak kto, ale ty nie powinienesz mi zazdrościć. Krist jest twoją towarzyszką, więcej niż sympatią – odparłem, czekając na to, co dalej powie.

– Ja i Krist jesteśmy najemnikami, których drogi przypadkowo się zetknęły. Mamy się ku sobie, to prawda. Ale jak to się skończy – gestem pokazał na wszystkie monitory, którymi był otoczony – rozejdziemy się każde w swoją stronę. Mamy ten sam zawód i oboje dobrze o tym wiemy. -Zamilkł.

Już myślałem, że skończył, ale po chwili mówił dalej: – Pomiedzy tobą a córką pana Camuviego jest duża różnica. Ty mechanik przybyły z peryferii, najemnik, ona córka bogatego handlowca. Na twoim miejscu nie robiłbym sobie zbyt dużych nadziei. Ale jak powiedziałem, wygląda na to, że myśli o tobie poważnie.

Nadzieje? Aż tak daleko w przyszłość nie wybiegałem.

– Moja rzecz – zamknąłem dyskusję.

– Masz rację – nie upierał się. – W każdym razie to kociak.

Zostawiłem go w spokoju i poszedłem spać. Następna warta miała być moja.

* * *

Kolejny dzień był długi i nużący. Zatrzymało nas kilka przeszkód mechanicznych. Musieliśmy zostawić jeden z transporterów. Naprawa zabrałaby zbyt wiele czasu, a my nie chcieliśmy za dużo ryzykować. Przeładowaliśmy jego zawartość, pozbawiliśmy go łatwych do zdemontowania elementów, a załoga rozdzieliła się pomiędzy pozostałymi wozami. Wieczorem wlałem do śpiwora, ledwie powłóczę nogami ze zmęczenia, podobnie jak wszyscy pozostali. Na szczęście tę noc miałem wolną. Rigajev wykorzystał systemy czołgu w kilkudziesięciu procentach i pracował przez całą noc, a nawet rano.

Dość wcześnie wyruszyliśmy, warkot silnika działał jak balsam na moje nerwy. Byliśmy w ruchu, gotowi do akcji.

– Coś się zmieniło – zameldował Katzinski.

Natychmiast zorientowałem się, co ma na myśli, kiedy tylko zwizualizowałem dane z czujników. Boty wokół nas zaczęły się inaczej poruszać.

– Są nerwowe – mówił dalej Katzinski. – Podchodzą bliżej,

a potem się oddalają, jakby się namyślały, co robić, jakby wahały się, czy zaatakować.

Miałem podobne niepokojące odczucie, tylko nie potrafiłem go tak dokładnie sprecyzować.

– Algorytmizacja ich ruchów to potwierdza – zgodził się Rigajev. – Pierwszy raz uświadomiłem to sobie wczoraj w południe. I znalazłem związek pomiędzy poziomem ich agresji a naszą odległością od Ambrezavile. Zaczynają się spieszyć, kończy im się czas.

I Rigajev, i Katzinski mówili to samo, każdy innymi słowami. Kapitan milczał, ale wiedziałem, że nas słuchał.

Powinniśmy powiadomić pozostałych, pomyślałem, lecz głośno tego nie powiedziałem.

Rigajev wyznaczył na wirtualnej mapie obszar, na którym według jego przewidywań spróbują zaatakować. Powinniśmy tam dotrzeć w drugiej połowie dnia. Zależało to od ukształtowania terenu i wstrzymujących nas przeszkód.

– Jeżeli pokonamy dziś dwieście kilometrów, to dotrzemy aż do kasztelu Dasby, tam mogłyby dać nam spokój – oznajmił Marlon.

Nie wiedziałem, co to za kasztel, w okręgu Ambrezavile nigdy nie byłem. Ale dwieście kilometrów raczej nie było realne.

Knispel chwilę rozmawiał z dowództwem konwoju, a potem wyraźnie zwiększyliśmy szybkość. Kilka kilometrów na godzinę więcej kosztowało nas około osiemnastu litrów paliwa. Przez moment zajmowałem się regulacją silnika, ostatecznie musiałem się pogodzić z wyższym zużyciem.

Według wskazań czujników botów wokół nas przybywało, były ich najpierw trzy dziesiątki, a po obiedzie cztery. Przedstawiły sobą zbiór różnych typów, pochodzących z różnych okresów wielkiej wojny i występujących już po jej zakończeniu. Od najbardziej zużytych aż po praktycznie nowe, które przez cały czas oczekiwały zakonserwowane w magazynach. Albo dopiero wyjechały z linii produkcyjnych ukrytych pod ziemią. Albo rozwinęły się z dawnych botów, zgodnie z szaloną teorią ewolucji Rigajeva. Przypomniałem

sobie naszego niezniszczalnego bota i dinoboty, może ta teoria nie była aż tak szalona?

– Jest ich wokół nas ponad pół setki – oznajmił Rigajev po półgodzinie jazdy. – Towarzyszą nam już od kilku dni i sądząc z tego, jak się zachowują, wkrótce na nas napadną.

– Może powinniśmy powiadomić o tym pozostałych? – rzuciłem.

Oznaczony na czerwono obszar na mapie był już bardzo blisko naszej pozycji.

– Jeszcze nie zaatakują – odpowiedział sucho kapitan.

Jechaliśmy dalej, o obecności botów wiedzieli już wszyscy, widziałem, jak obracają się wieżyczki działowe transporterów, a w strzelnicach pojawiają się lufy broni ręcznej. Boty przybliżyły się do nas, było ich coraz więcej. Kierowcy utrzymywali wyższe obroty silników, aby mieć rezerwę mocy dla szybszej reakcji w razie potrzeby. Naraz jadący na czele transporter Cautskiego zatrzymał się. Rigajev przełączył się na jego obwód wizualny. Na wprost wozu stał wielki dinobot, tego samego typu, jaki już napotkaliśmy.

Konwój stanął, boty powoli zaczęły się zbliżać. Robiły to ostrożnie, z wahaniem, jakby żaden z nich nie chciał uczynić pierwszego kroku. Przedstawiały zbiór techniki z różnych okresów i zakątków świata. I było ich naprawdę dużo.

– Temu nie damy rady – mruknąłem.

– Damy, ale nie ochronimy wszystkich – nie zgodził się ze mną Rigajev.

– Wyjedźcie na bok konwoju, azymut czterdzieści pięć – rozkazał Knispel. – Powoli.

To znaczyło wprost w szereg zbliżających się botów. Rozstąpiły się, żebyśmy mogli przejechać.

– Stop.

Marlon zatrzymał czołg.

– Całą broń wymierzyć do celu.

Sapnąłem z zaskoczenia. Jako cel kapitan wskazał jeden z trzech największych transporterów ciężarowych.

Zawahałem się, ale inni nie. Wszystkie nasze lufy i rakiety

zwróciły się w jedną i tę samą stronę.

Jakby na jakieś zakłęcie boty się zatrzymały, potem zaczęły się cofać i szybko zniknęły z naszego pola widzenia. Wizualnego i przedłużonego siecią czujników. Najdłużej widoczny był towarzyszący nam od początku bot o znanej sygnaturze. W końcu on też zniknął.

– Jedźcie – kazał Knispel ludziom Cautskiego. – Naprzód, maksymalna prędkość.

– Coście zrobili, idioci? Do czego celowaliście? – wrzask Cautskiego usłyszeliśmy wszyscy.

– Botów nie ma, ruszamy poprzednim kursem – odparł krótko Knispel.

– Zwariowaliście, powinni was zamknąć! Zagroziliście całemu konwojowi.

– Ruszajcie w drogę, panie Cautski – wmieszał się do rozmowy Camuvieli. – Nic nam nie przeszkadza w dalszej jeździe.

Głos miał spokojny, ale z pewnością przeżył ciężkie chwile.

* * *

Wieczorem dostrzeżliśmy na horyzoncie ciemne sylwetki wież strażniczych, wyznaczających granicę ziem podlegających jurysdykcji Ambrezavile. Na próby nawiązania łączności nie odpowiedzieli, ale zdawali sobie sprawę z naszej obecności w pobliżu. Przechwyciliśmy zakodowaną informację radiową, a oprócz niej użyli sygnalizacji świetlnej. Być może bardziej złożonej technice zbytnio nie dowierzali.

Obóz rozbiliśmy jeszcze przed granicą na odkrytym terenie, gdzie radary zapewniały nam przegląd okolicy w promieniu wielu kilometrów. Boty wielkości psa mogły oczywiście przedostać się bliżej, ale żadnego nie zarejestrowaliśmy. Nic nie naruszyło nocnego spokoju, a o świcie byliśmy już w ruchu.

Tym razem załogi wież zareagowały na nasze radiowe zgłoszenie, po przeprowadzonej identyfikacji otrzymaliśmy pozwolenie wjazdu i do tego ambrezavilski kodeks praw.

Z każdą dziesiątką kilometrów przybywało oznak obecności i działań ludzkich. Pola, pasące się bydło, elektrownie wiatrowe, farmy. Ambrezavile wyglądało na bardzo urodziwą i bogatą krainę. Jednak i tutaj mijaliśmy duże tereny ogrodzone drutem kolczastym, na których nic nie rosło. Jak również obszary dziko rosnącej, bujnej roślinności, wokół których znajdowały się podobne płoty. Nigdzie jednak nie widziałem plantacji zmodyfikowanych traw, na których znajdowały się imitacje białek zwierzęcych, służące do wyrobu syntetycznego mięsa.

Jechaliśmy znacznie szybciej niż wtedy, gdy musieliśmy oszczędzać paliwo, ale teraz cel znajdował się już blisko. Byłem ciekawy, jak wygląda Ambrezavile, ale zamiast cieszyć się z końca podróży, miałem sporo do przemyślenia. Czekają na mnie wiele decyzji, czy raczej wyborów. To, co się wydarzy, nie zależało tylko ode mnie. W centrum mojej uwagi była oczywiście Natasza.

Pojawiły się regularne osady i wioski, jakość drogi wyraźnie się polepszyła. Zaczęliśmy napotykać coraz więcej pojazdów, a także znaki drogowe, co świadczyło o ożywionym ruchu kołowym.

Pod wieczór pojawiła się przed nami sylwetka miasta. Nasza prędkość zwiększyła się o dalsze pięć kilometrów na godzinę. Ambrezavile było dużym miastem, większym od tych, w których byłem, większym nawet, niż to sobie wyobrażałem. Pomimo że położone było na równinie i nic nie ograniczało jego obszaru, pięło się wzwyż. Niektóre domy miały po sześć, siedem pięter. Z bliskiej odległości zrozumiałem, dlaczego tak się działo. Miasto otoczone było skomplikowanym bastionowym obmurowaniem. Przeciw botom albo przeciw ludziom.

Zaczęliśmy objeżdżać miasto po obwodnicy. Na początku myślałem, że zaraz wjedziemy do centrum, ponieważ nasz konwój nie mógł przecież być jakimkolwiek zagrożeniem dla miejscowych sił zbrojnych, ale rozkazy stanowiły inaczej. Mieliśmy doprowadzić konwój do obozu handlowego, leżącego przed głównym wjazdem. Zajrzałem do kodeksu miasta i zrozumiałem, że przyczyna leży w polityce celnej.

Obóz handlowy składał się z betonowego centralnego budynku, otoczonego licznymi skrzynkami obsługowymi, umożliwiającymi podłączenie się do sieci elektrycznej i wodnej oraz do kanalizacji. Oprócz tego znajdowały się w nim nieotynkowane budyneczki z zamkniętymi drzwiami i oknami, przeznaczone do zamieszkania. Ceniący sobie wygodę mogli je wynajmować. Nie nęciły mnie zbyt, a ponadto nie przypuszczałem, żeby wielki asceta Knispel zechciał za nie płacić.

Oprócz nas nikt tu nie obozował. Po załatwieniu pierwszych formalności konwój podzielił się na trzy grupy, które zajęły połowę dostępnej przestrzeni. Knispel wybrał dla nas miejsce najbardziej oddalone od miasta, przez co utworzyliśmy czwartą, najmniejszą grupę. Nasza praca dobiegła końca, doprowadziliśmy ekipę handlowców na miejsce przeznaczenia.

Ponieważ nie musieliśmy instalować systemów bezpieczeństwa, szybko byliśmy gotowi i zasiedliśmy do kolacji. Katzinski jak zwykle trzymał się na uboczu, zauważyłem, że intensywnie przygląda się obronnej linii miasta.

Kiedy spostrzegł, że na niego patrzę, pochylił głowę tak, żeby daszek nieodłącznej czapeczki zasłonił mu twarz.

– Cieszy się na czas wolny – poinformował mnie Marlon. – Pobierze część żołdu i nie wróci, dopóki go nie przepije.

Katzinski zdawał się nie słyszeć jego słów.

– A ty, co zrobisz ze swoim zarobkiem? Tłustym kęsem? – zwrócił się do mnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Dlaczego tłustym?

– Warunkowo tłustym – sprecyzował Rigajev. – Na razie tylko solidnym.

Przyszykował jedzenie i kawę na kolację. Gotował tak samo metodycznie, jak przeprowadzał swoje analizy albo eksperymenty.

– Masz prawo do udziału w pozyskanych i zapisanych technologiach. O ile oczywiście zaczną być używane – wyjaśnił.

O tym prawie, będącym podporą inżynierii wytwórczej, zupełnie

zapomniałem. W interesie wszystkich ludzi leżało, żebyśmy zdołali przyswoić sobie choć część technologii, które dawniej znaleźliśmy.

– Gdyby ktoś wymyślił, jak wyrabiać opancerzone ogniwa fotoelektryczne, pomogłoby to wszystkim, a wynalazca byłby urządzony na całe życie – zgodził się Marlon. – Ale ja w to nie wierzę.

Rigajev wzruszył ramionami.

– Przywieźliśmy dużo więcej interesujących rzeczy.

Z czołgu wyszedł Knispel. Pomyślałem, że nie ma sensu odkładanie rozmowy z nim na później. Podszedłem ku niemu.

– Panie kapitanie?

– Tak, panie Sanders, co mogę dla pana zrobić?

Przez cały czas, kiedy byłem w załodze Knispela, czułem się dobrze, tak jakbym do takiego życia był stworzony, jakby wszystko, co miało miejsce poprzednio, było tylko przygotowaniem do niego. Jednakże spotkałem Nataszę i byłem pewny, że drugiej takiej kobiety już nie spotkam. Niezależnie od tego, co będzie dalej, nigdy bym sobie nie darował, że nic w tej sprawie nie zrobiłem.

– Proszę mnie zwolnić – powiedziałem zwięźle.

Knispel jakby zamarzył w ruchu. Inni ludzie w takich sytuacjach nieruchomieją, a on po prostu zamarzył. W ułamek sekundy kapitan wrócił do swojego normalnego stanu.

– Był pan wielką pomocą dla mojej załogi i przewyższył wszystkie moje oczekiwania – przemówił swoim suchym, lekko modulowanym głosem. – Zaliczkę na żołąd wypłacę panu natychmiast, na pozostałą część wystawię czek na Pierwszy Bank Globalny, który ma tutaj swój oddział. Jutro albo pojutrze skontaktuję się z panem, żeby zaksięgować przeniesienie praw do pozyskanej technologii i jej użycia.

Oczekiwałem, że mi nawymyśla, zacznie mnie przekonywać albo oskarży o niedotrzymanie warunków umowy najemniczej, ale on zachowywał się tak samo rzeczowo jak zawsze.

– Zaliczkę wypłaci panu Cyr.

– Dziękuję, panie kapitanie.

– Jeżeli znajdzie taka możliwość, chętnie będę z panem w przyszłości znów współpracował.

Na to nic nie odpowiedziałem, miałem tylko nadzieję, że taka alternatywa, ze względu na moje plany, nie nastąpi.

Kiwnąłem głową na pożegnanie i wróciłem do kolegów.

– A więc ty też odchodzisz – stwierdził Marlon.

Dobrze słyszeli, o czym była mowa.

Cyr wyczarował skądś butelkę, przyszło mi do głowy, że w czołgu musiały być całe regały podobnych butelek. I to wcale nie pustych. Może to był cud starych technologii.

– Też się napiję – odezwał się Katzinski, zaskakując wszystkich.

Usiedliśmy, z przyzwyczajenia zapaliliśmy piecyk naftowy i postawiliśmy na nim garnek z wodą. Cyr nalał nam wszystkim.

Z dala dobiegał do nas stłumiony gwar miasta, właściwie dużego miasta. Oceniałem, że może tu mieszkać ponad sto tysięcy ludzi. A ze względu na piętrową zabudowę zapewne więcej.

– Na zdrowie i za twoje powodzenie. – Cyr wzniósł toast.

Wyglądało na to, że naprawdę tak myśli.

Napiliśmy się, zalałem kawę, jak wiele razy przedtem.

– Z powodu córki pana Camuviego? – zapytał mnie Marlon.

– Z powodu Nataszy – potwierdziłem.

Dzień się kończył, usłyszałem dźwięk dzwonu i skrzypienie mechanizmu zamykającego miejskie bramy. A może tylko jedną, bo nie wiedziałem, ile ich jest.

– To rozumny wybór – ocenił Katzinski.

Wszyscy na niego popatrzyli, ale on nic więcej nie mówiąc, wychylił zawartość swojej szklanki i wygodniej rozsiadł się na krześle.

Nie zadowoliliśmy się jedną butelką i chociaż się oszczędzałem, niechętnie wstałem rano. Ale i tak byłem pierwszy, wcześniej, niż się otwierała główna brama miejska.

A teraz stałem przed nią i się przyglądałem. Wykonana została z błyszczącej stali, lekko zdeformowane odbicie świadczyło, że nie jest idealnie równa. Może nie mieli odpowiednich maszyn, może

nie umieli ich obsługiwać, a może polerowali stal ręcznie. Jednoskrzydłowa, oparta na łukowatej szynie wpuszczonej w beton, prawdopodobnie zbrojony. Gruba na trzydzieści milimetrów. Bardzo ciężka, oceniałem jej masę na sześćdziesiąt ton. Musieli tu mieć porządną stalownię, żeby wykonać taki przedmiot. W powietrzu rozeszła się woń oleju.

Może na górze był krużganek, może polegali tylko na strzelnicach w betonowych kopułach po obu stronach. Strzelnic było zresztą mnóstwo w głównym murze obronnym miasta.

Po drugiej stronie bramy zagrzechotał starter, po chwili zastąpił go chrapliwy warkot diesla, miałem wrażenie, że spaliny czuję nawet tu, za murem. Silnik wyraźnie potrzebował regulacji. Usłyszałem klekot przekładni i delikatny szum mechanizmu napędowego bramy. Przynajmniej ten był w porządku. Ale gdyby nie działał właściwie, to silnik nie byłby w stanie poruszyć bramy.

Wreszcie stanęła otworem i ze zdziwieniem stwierdziłem, że po drugiej stronie nikogo nie ma, ulica była pusta. Wyłożona starymi granitowymi kostkami, obramowana różnokolorowymi fasadami domów jedno – i dwupiętrowych, wyższe były widoczne dalej w kierunku centrum.

Przeszedłem przez nieistniejącą linię graniczną i wkroczyłem do Ambrezavile. Echo moich kroków odbijało się od murów i stali bramy za mną.

– Jesteś jednym z handlowców, którzy przyjechali wczoraj? – usłyszałem czyjś głos.

Z otwartych drzwi budynku po mojej lewej patrzył na mnie mężczyzna z wystającym brzuchem. Był to pracownik należący do obsługi bramy, który równocześnie pełnił funkcję strażnika. Nie był uzbrojony, ale to niczego nie oznaczało.

– Tak, należę do ich eskorty. Czy będzie mi potrzebny jakiś specjalny dokument uprawniający do wstępu do miasta?

– Do wstępu nie. – Pokręcił głową. – Tylko do prowadzenia handlu, ale ty, jak widzę, niczego ze sobą nie masz, więc wszystko w porządku.

– Dzięki za informację – powiedziałem, unosząc rękę na pożegnanie.

Wiedziałem, że patrzy za mną, jednak więcej się nie odezwał.

Powoli szedłem ulicami, przyglądałem się miastu. Budynkom stopniowo przybywało pięter i stawały się coraz okazalsze. Ambrezavile, mimo że było dużym miastem, wydawało mi się jakieś prostsze, nieskomplikowane, nie potrafiłem określić, na czym to polega.

Ludzi na ulicach stopniowo przybywało, znalazłem pierwszy otwarty lokal, do którego goście wchodzili na śniadanie. Wielu z nich zamawiało gorącą zupę z kluskami. Poszedłem w ich ślady, upewniwszy się przedtem, że przyjmują pieniądze, jakie wypłacili mi Cyr. Przyjmowali.

Siedziałem na ławce, obserwując okoliczny ruch. Zupa była dobra, gorąca, pływały w niej małe kawałki mięsa, sądząc po smaku, prawdziwego, nie syntetycznego.

Na grubo otynkowanej ścianie umocowana była duża tablica, jakby gazetka ścienna, na której ludzie umieszczali swoje oferty kupna i sprzedaży. Nie spieszyłem się zjedzeniem, przeskakując wzrokiem od jednego ogłoszenia do drugiego. Znalazłem sporo ofert mieszkaniowych, miasto wyraźnie prosperowało. Prawą stronę tablicy zajmowały mniej lub więcej udane podobizny ludzi, których ktoś szukał. Mężczyzn, kobiet i dzieci. Były też podane nagrody za informacje prowadzące do znalezienia poszukiwanych. Ktoś obiecywał pięć wykarmionych prosiąt. Uśmiełbym się, gdyby z tekstu ogłoszenia nie wyzierała rozpacz. Ludzie znikali tutaj nader często, co było charakterystyczne dla dużego miasta. Moją uwagę zwrócił ostrzący noże mężczyzna w kurtce z mnóstwem kieszeni i zaczepów, ale wkrótce przesłonił go inny, z koszem wielkości koła od wozu. Do obcasów przyczepiła mu się słoma, zapewne hodowca bydła.

Przyglądając się szybko zmieniającym się gościom, zrozumiałem, czym Ambrezavile różniło się od innych miast, które odwiedziłem. Ubrania ludzi uszyte były z tkanin naturalnych w prawie

jednakowym kolorze, jakby nie zawracali sobie głowy ich farbowaniem. Brama była wprawdzie stalowa, ale ulice wybrukowane kocimi łbami, domy wzniesione z kamienia, chodziło się tutaj głównie piechotą, tylko raz na jakiś czas po ulicy przejeżdżał pojazd silnikowy o różnym napędzie. Ten świat nadal dysponował nowoczesnymi technologiami, ale było ich coraz mniej, po prostu się zużywały.

Ale mięso w niedrogim jedzeniu było naturalne.

Ciekawe.

Zjadłem i wyszedłem szukać miejsca do zamieszkania oraz urzędu podatkowego. Kapitan prosił, żebym tam zostawił kontakt do siebie. Po godzinnym poszukiwaniu, podczas którego centrum miasta z najwyższymi budynkami przeszedłem dwukrotnie, uprzejmie zagadnąłem jakiegoś mężczyznę w kombinezonie roboczym oznaczonym farbami.

– Urząd podatkowy jest na końcu tej ulicy po lewej stronie. Niepozorny dom z zakratowanymi oknami – poinformował mnie, zanim zdążyłem go o cokolwiek zapytać.

– Dlaczego myśli pan, że szukam właśnie urzędu podatkowego?

Uśmiechnął się i palcem wskazującym przeciągnął po daszku solidnie zużytej czapeczki.

– Nie jest pan miejscowy, to jest z miasta, i nie wygląda na kogoś z okolicy. A ludzie, którzy przyjeżdżają w konwojach handlowych, przeważnie szukają urzędu podatkowego. Z drugiej strony handlowca też pan nie przypomina.

– Słuszna ocena – powiedziałem. – Dzięki za pomoc.

Miewał trafne spostrzeżenia albo był przyzwyczajony do obcych.

Urząd znajdował się tam, gdzie powiedział, ale przyszło mi do głowy, że jeśli mam zostawić kontakt do siebie, to najpierw muszę znaleźć miejsce do zamieszkania.

Wróciłem do poszukiwań.

Ludzi na ulicy szybko przybywało, aż poczułem się nieswojo. Nie byłem przyzwyczajony do tłumu, dni spędzałem w poszukiwaniu botów albo w swoim warsztacie. Czas spędzony w konwoju był

całkiem inny, poruszaliśmy się pustkowiami i choć tworzyliśmy sporą grupę, byliśmy zagubieni w dziczy.

Przeszedłem obok mężczyzny siedzącego na rogu ulicy i dopiero po chwili zrozumiałem, że to żebrak oczekujący na datkę. Wrzuciłem mu do skrzyneczki drobne monety, które zostały mi po zapłaceniu za jedzenie. Udawał, że mnie nie dostrzega. Poszedłem dalej i zorientowałem się, że tak samo jak żebrak, ignorują mnie pozostali. Ludzie mnie omijali, spoglądając ukradkiem, dzięki czemu w gęstym ruchu szedłem bez kłopotów. Byłem cudzoziemcem, kimś podejrzanym i potencjalnie niebezpiecznym.

Na skrzyżowaniu dwóch szerszych ulic stał mężczyzna w podartym palcie i zniszczonych butach i wznosząc ręce do nieba, przemawiał do zgromadzonych wokół. Przystanąłem obok szybko się skupiających i równie szybko znikających grup ludzi.

– Rexemachina jest naszym zbawicielem! Wystrzegajcie się grzechów, uczcie się, jak powinniście go czcić! Tylko on może nam pomóc!

Każde słowo podkreślał urywanymi gestami i dziko się rozglądał. Szalony kaznodzieja, przypomniałem sobie. Chciałem odejść, kiedy nagle zmienił ton i dykcję.

– Zmaceruj metacelulozę w wodnym szkle przez dwa dni, dodaj sproszkowany selen, połóż na powierzchni cienki drucik przewodzący złożony węzowato i wetrzyj go w trzech do ośmiu warstwach, dopóki nie uzyskasz gładkiej, prześwitującej powierzchni. Do każdej warstwy wrzuc garść najdrobniejszych opiłków żelaznych i...

Nie mógł być tak szalony, jak myślałem, bo teraz podawał przepis na wytworzenie prostego ogniwa fotoelektrycznego, które na dachu albo na ścianie mogło zaopatrywać dom, a nawet całe gospodarstwo w energię elektryczną.

Skupiłem się na przepisie. Takie urządzenia zaczynały być ostatnio dość drogie i coraz mniej dostępne.

– ...podłącz przemiennik napięcia i możesz świecić, pracować i grzać... – nie dokończył zdania, spoglądając podejrzliwie w ulicę po

lewej stronie. – Tylko Rexemachina może nas uratować! -krzyknął jeszcze i szybkim krokiem odszedł.

Zdziwiła mnie zmiana jego zachowania, podobnie jak nagła zmiana tematu jego przemówienia, postanowiłem zaczekać i zobaczyć, co będzie dalej.

Za chwilę pojawiła się grupka umundurowanych mężczyzn z pistoletami u pasa i pałkami w dłoniach. Policja miejska.

Wyglądało na to, że szli na pewniaka, a kiedy nikogo nie zastali, zaniepokoił się. Ich dowódca z naramiennikami, na których było o wiele za dużo niepotrzebnych symboli, zaczął się podejrzliwie rozglądać, więc odszedłem, zanim mnie zauważył.

Staralem się przypomnieć sobie, co o ludziach wyznających wiarę w nowego boga mówił Herbert. Oczywiście nie wspominał, że częścią ich nabożnych kazań są bardzo ciekawe sprawy związane z postępem technicznym. Nadal zwiedzałem miasto, rozmyślając o produkcji ogniwo fotoelektrycznych, o Herbercie i Nataszy.

Jedno po drugim, najpierw musiałem znaleźć mieszkanie.

Początkowo myślałem o noclegowni, w końcu zdecydowałem się na porządny pensjonat dwa skrzyżowania od centralnej części miasta. Zapłaciłem za mieszkanie wraz ze śniadaniem za trzy dni. Cena nie była tak niska, jak sobie wyobrażałem, ale miałem do dyspozycji kabinę natryskową, toaletę i małą kuchenkę. Miałem wrażenie, że zasłużyłem na trochę luksusu.

Przyszła kolej na zakupy. Swoje rzeczy oczywiście zabrałem, ale broń palną musiałem zwrócić i teraz, jeśli nie liczyć noża, nie byłem uzbrojony. Tak przywykłem do taszczenia ze sobą ciężkiego, śmiertcionośnego żelaza, że bez niego czułem się jak nagi. Potrzebne mi były również przybory toaletowe i kilka sztuk bielizny.

Wyszczotkowałem spodnie, kurtkę, wyczyściłem buty, wziąłem prysznic. Nałożyłem ostatnią czystą koszulkę i wyszedłem po zakupy. Po drodze wstąpiłem do urzędu podatkowego, zostawiłem kontakt do siebie i zapytałem, gdzie zamieszkał pan Camuvieli z córką.

Młoda kobieta z zaskakująco siwymi włosami poinformowała

mnie, że pan Camuvieli zarejestrował się u nich, i podała mi adres. Nie był to hotel ani pensjonat, tylko willa. Zapewne chciał mieć wszystkich swoich ludzi przy sobie.

Ubranie kupiłem łatwo i tanio. Na miejscową modę nie zwracałem uwagi, chciałem być odziany praktycznie. Buty sobie zostawiłem, były lepsze niż te, które widziałem w sklepach. Placówkę handlową prowadzącą sprzedaż broni zauważyłem już podczas pierwszego zwiedzania miasta. Poszedłem tam, gdzie oprócz broni sprzedawano różne dodatki, a widziałem tam warsztat rusznikarski. Najlepsze sztuki broni pochodziły z okresu wojny i sprzed wojny, wyprodukowane na oryginalnych liniach wytwórczych z minimalnymi tolerancjami i dokładnie specyfikowanym i materiałami. Wszyscy o tym wiedzieli, dlatego współcześni producenci starali się dorównać starym wyrobom.

Inna rzecz, że przez tyle wieków ściśnięta sprężyna nie miała już początkowej charakterystyki, pożądanej twardości i sprężystości. Zapłaciłem zaliczkę, właściciel wpuścił mnie do warsztatu i zaprezentował zawartość każdej skrzynki, którą mu wskazałem.

W końcu miałem przed sobą nieładną śrutówkę z magazynkiem i ciężki rewolwer, który złożyłem z kilku sztuk broni. Śrutówka zapewne leżała gdzieś w magazynie w stanie rozłożonym przez kilka wieków.

– Czy są jakieś przepisy dotyczące noszenia broni na terenie miasta? – zapytałem właściciela i sprzedawcę w jednej osobie, kiedy liczył pieniądze.

– Nie ma żadnych oprócz tego, że broń, którą nosi się przy sobie, nie może być nabita.

Przytaknąłem, naładowałem bębenek rewolweru i napełniłem magazynek śrutówki. Miałem jeszcze dwa pudełka nabojów zapakowane w torbę.

– Dzięki – powiedziałem.

– Ja swój obowiązek wypełniłem – oświadczył zamiast pożegnania.

Już się nauczyłem, że nienabita broń jest do niczego.

Ze śrutówką na ramieniu budziłem jeszcze większe zainteresowanie, wróciłem więc do pensjonatu, żeby ją schować w pokoju.

W jadalni czekał na mnie okrągły, krzepki mężczyzna z dużym brzuchem, którego wielkość podkreślała pasiasta koszula i długi, wąski krawat. Marynarka podjeżdżała mu do góry na ramionach, a spodnie dla odmiany miał za długie. Nie wyglądał jednak na kogoś, kto martwi się swoim wyglądem. Palił cygaro, przed nim stała nietknięta filiżanka kawy.

– Matyas Sanders? – zapytał, kiedy mnie zobaczył.

– Tak – potwierdziłem.

– Albert Krunski – przedstawił się. – Chciałbym z panem omówić parę spraw, napije się pan kawy?

Śrutówkę trzymałem w ręce, na ramieniu miałem tłumok z zakupami. Wyraźnie mu to nie przeszkadzało.

– Jeśli nie tej, to chętnie. – Wskazałem filiżankę przed nim.

– Nie tej – odparł, machając ręką w kierunku kuchni. – Jedną kawę, a właściwie dwie, wezmę świeżą. A może coś mocniejszego?

Kucharki nie widziałem, jednak z otwartych drzwi kuchni natychmiast zabrzmiała odpowiedź. Ciekawe, czy zareagowałyby tak błyskawicznie, gdybym to ja coś zamówił. Chyba nie.

– Kawa wystarczy – odmówiłem, pozbyłem się bagażu i usiadłem.

Krunski przyglądał mi się, przechylając głowę z jednej strony na drugą, trochę przy tym przypominając węża.

– Jestem handlowcem – zaczął. – Prowadzę handel najróżniejszymi luksusowymi i trudno dostępnymi towarami. To oznacza, że wysyłam konwoje handlowe.

Nadal nie wiedziałem, do czego zmierza i dlaczego tu na mnie czekał. Nie wyglądał jednak na człowieka, który robi coś bez rozmysłu.

– Potrzebuję kogoś takiego jak pan.

Nadal nie wiedziałem, o co mu chodzi, i chyba było to po mnie widać.

– Potrzebuję szefa ochrony konwoju – wyjaśnił.

- A dlaczego myśli pan, że nadaję się do takiej pracy?
- Ma pan jak najlepsze referencje, rozmawiałem o panu z kapitanem Knispelem.
- To mnie zaskoczyło.
- Jak również z innymi ludźmi – dodał po chwili.
- Na przykład z majorem Cautskim? – rzuciłem.
- Zaśmiał się, miał masywną, dużą szczękę i wielkie zęby, tak białe, że wydawały się sztuczne.
- Umieć dodać dwa do dwóch, a krytyka od niektórych znaczy to samo, co pochwała od innych. Końcówka cygara rozżarzyła się, kiedy silnie pociągnął, wypuszczając po chwili solidny kłęb dymu. Gdyby zaoferował mi pracę mechanika, najlepiej głównego mechanika, nie wahałbym się. Ale szef ochrony to było coś innego. Nie czułem się do tego zdolny.
- Dopiero wczoraj przyjechaliśmy. Muszę załatwić pewne sprawy i trochę odpocząć.
- Jasne. – Uniósł dłoń w geście zrozumienia. – Tutaj jest moja wizytówka. – Podał mi kartonik. Rzuciłem na nią okiem, widniało tam imię i nazwisko oraz adres, to mi zupełnie wystarczyło.
- A nie zapyta pan, ile oferuję?
- Powiedział to tak, jakby moje przeoczenie go rozbawiło.
- Ile pan oferuje?
- Ujął to krótko, lecz trzeba przyznać, że oferta była dobra. Miałem więc nad czym rozmyślać.

* * *

Kiedy wróciłem do pokoju, zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczony. Cały dzień chodziłem po mieście, a ostatnie dni podróży były wyczerpujące. Ale chciałem się zobaczyć z Nataszą, właściwie musiałem się z nią widzieć, musiałem uporządkować sprawy osobiste.

Wziąłem prysznic, zrobiłem sobie jeszcze jedną kawę i wyszedłem. Bez śrutówki, tylko z rewolwerem w kaburze pod ramieniem.

W drzwiach natknąłem się na pana Camuviego. Wyglądał jak człowiek spieszący się do konkretnego celu.

– Co za przypadek – powiedziałem zamiast pozdrowienia.

– To nie przypadek. – Pokręcił głową. – Przyszedłem do pana.

Jeśli zostawiłem kontakt do siebie dla Knispela, to Camuvieli również mógł mnie bez trudu odnaleźć.

Nie stwarzał wrażenia, że właśnie się dowiedział, że spałem z Nataszą, i zdecydował się na szybkie i krótkie załatwienie tej sprawy. Ale nie przychodził mi do głowy żaden inny powód, dla którego chciałby ze mną rozmawiać. Nadal staliśmy w drzwiach, czekał na moją reakcję.

– Porozmawiamy na ulicy czy tu, w pensjonacie? – zapytałem.

– Zapraszam na szklaneczkę – zaskoczył mnie.

W pensjonacie gotowano, ale do picia były tylko herbata i kawa.

– To musimy iść gdzieś indziej.

Po niedługim czasie siedzieliśmy w pobliskim barze, który zauważyłem już rano. W miarę jak na ulicy ubywało dziennego światła, coraz więcej miejsc było zajętych. Jedną ścianę baru tworzyła szklana tafla, dzięki czemu otwierał się doskonały widok na ulicę i pobliskie skrzyżowanie. Sądząc po elementach konstrukcyjnych, zorientowałem się, że wymiar sali został dopasowany do gabarytu szkła, a nie odwrotnie. To oznaczało, że ogromną, dokładnie wykonaną tafelę skądś przywieziono, a nie wykonano na miejscu.

Camuvieli w milczeniu poczekał, aż nas obsłużą. Wziął sobie whisky, dla mnie zamówił koniak. Whisky znałem z domu, pędzoną w stalowych kotłach wyposażonych w duże szklane chłodnice. Koniak podobno wyrabiano z winogron, a te u nas nie rosły.

Czekałem, aż Camuvieli zacznie rozmowę, wyglądałem na ulicę i popijałem koniak. Bardzo mi smakował, był łagodny, łagodniejszy niż jakakolwiek whisky, której próbowałem.

– Przyszedłem zaoferować panu pracę – zaczął.

Dziś już raz taka oferta mnie zaskoczyła, a teraz zdarzyło się to powtórnie.

– Nie wydaje mi się, żeby pana ludzie byli zadowoleni.
– Moi ludzie będą robić, co im nakażę – odpowiedział zwięźle.
– Ale nie musi to służyć sukcesowi – zauważyłem, pociągając łyk.
Nie byłem zdenerwowany, po prostu czekałem, co wyniknie z naszej rozmowy. Sam się temu dziwiłem.

– No tak, nie musi – stwierdził. – Ale ustawiłby pan zespół po swojemu.

– Zespół?

– Tak, potrzebny mi dowódca konwoju, człowiek zdolny, któremu mogę ufać.

Szef ochrony konwoju, a teraz dowódca konwoju?

Spojrzałem na swoją szklankę, wypilem zaledwie połowę, a żadnych środków halucynogennych nie brałem. Przynajmniej świadomie. Może powinienem wszystko sprawdzać sondą?

– Dlaczego taką odpowiedzialną pracę oferuje pan właśnie mnie?

– Podróżowaliśmy razem, obserwowałem pana, wiem, kim pan jest – odpowiedział bez wahania.

– Od dowódcy konwoju zależy życie wielu ludzi – powiedziałem wprost.

Wiedziałem, że on sam musiał podczas podróży podjąć wiele trudnych decyzji, od których zależał nasz los.

– To prawda, ale jestem przeświadczony, jestem pewny – poprawił się – że jest pan właściwym człowiekiem.

– Dlaczego ja? Z pewnością znalazłby pan kogoś z większym doświadczeniem.

Zastanowił się przez chwilę.

– Być może – przytaknął w końcu.

Tymczasem wypiliśmy nasze drinki. Camuveli wskazał barmanowi puste szklanki i za moment stanęły przed nami dwie pełne.

– Ale nie mógłbym mu ufać. A to bardzo ważna sprawa – dodał.

– A dlaczego uważa pan, że mnie może zaufać?

– Zapytałem Nataszę. Ma o panu bardzo dobre mniemanie, a ja mogę polegać na jej opinii.

– Odwiedził mnie dziś pan Krunski – powiedziałem.

– Pan Krunski również jest handlowcem, można powiedzieć, że jednym z moich konkurentów -odparł Camuvieli. – Jego źródła są obecnie lepsze od moich.

Nic nie powiedziałem o jego ofercie, tylko łyknąłem jeszcze znakomitego koniaku, który smakował mi chyba lepiej niż pierwsza szklanka.

– Czy muszę podjąć decyzję natychmiast? Chciałbym najpierw załatwić parę spraw osobistych.

Miałem o czym rozmyślać, moje życie niespodziewanie mogło się potoczyć w kierunku, którego nie oczekiwałem.

– Oczywiście, rozumiem. Ale nie zapytał pan, ile konkretnie oferuję.

To samo zaniedbanie po raz drugi.

– Ile więc pan oferuje?

Nie bardzo go słuchałem, interesowała mnie inna kwestia – Natasza.

– Czy pańska córka jest w mieście?

– Jeśli wszystko idzie zgodnie z planem, powinna być w obozie handlowym i przygotowywać towary, które tutaj sprzedamy. Ze względu na miejscowe prawo będzie ich niewiele. Nowoczesne technologie nie są tu mile widziane i podlegają coraz większym ograniczeniom. Zasadnicza część towaru zostanie wysłana dalej na wschód, do Bakerbodu.

Camuvieli mówił to samo, co ja zauważyłem już wcześniej. Ambrezavile unikało nowoczesnych technologii, a nawet ich zakazywało, choć stanowiły one nasze najcenniejsze dziedzictwo po przodkach. Przyczyna tego była prosta: czego nie rozumiem i czego się boję, tego zakazę.

– Odszukam pana jutro, najpóźniej pojutrze – obiecałem. – Załatwię swoje sprawy i wtedy zdecyduję.

Przytaknął i więcej o tym nie mówiliśmy. Odeszliśmy każdy w swoją stronę.

Wróciłem do pensjonatu okrężną drogą, żeby uporządkować

myśli. Nie przeszkadzałyby mi praca dla pana Camuviego, bo oznaczałyby pracę dla Nataszy, a nawet z Nataszą, ponieważ wiedziałem, że ojciec przekazuje jej wiele obowiązków. Nie wiedziałem, jak ona by się na to zapatrywała, aleja byłbym zadowolony.

Wyprzedził mnie szybkim krokiem, prawie biegiem, jakiś człowiek. Usłyszałem za sobą hałas, on obejrzał się i pobiegł przed siebie. Usunąłem się na bok, żeby zejść z drogi pogoni. Przebiegli obok mnie i zniknęli za zakrętem.

Już zapadał zmierzch, latarnie oświetlały ulice tylko sporadycznie, spodziewałem się, że uciekinier im umknie. Mijając przecnicę, w której wszyscy zniknęli, usłyszałem podniecone okrzyki. Złapali go.

To nie była moja sprawa, ale mimo to poszedłem w kierunku hałasu, przypominając sobie jednocześnie, że gdy ostatnio chciałem komuś pomóc, źle na tym wyszedłem. Uliczka była ciemniejsza, niż się spodziewałem, w powietrzu unosił się smród moczu.

– Powiesić go! To sługa diabła! – wykrzykiwał ktoś.

– Takiego jak on to nie zabije! Kamieniami w niego!

Kostka brukowa uderzyła o mur. Tłum okrążył swoją ofiarę, niektórzy trzymali w rękach laski, inni kamienie. Uciekinier miał pecha, wybrał ślepią uliczkę przegrodzoną wysokim murem, pełniącą rolę wychodka.

Mężczyzna stał plecami do ściany w pozycji obronnej, ale przeciwko dwudziestu ludziom nie miał szans.

Odwróciłem się do nich przodem i podniosłem rękę.

– Co on zrobił? – zapytałem najgłośniejszym głosem, choć jeszcze nie krzycząc.

Ucichli.

– Jeśli popełnił przestępstwo, przekażmy go władzom, ale nie można go tak po prostu zatłuc.

– Niczego nie zrobił, jest sługą demona, zaprzędany maszynie!

– Szpieg!

– Cyborg!

Kolejne zarzuty sypały się z tłumu jeden po drugim.

– Poczekajcie, poczekajcie – uspokajałem, intensywnie myśląc.

W Ambrezavile skrycie wrzało. W dzień policja goniła szalonego kaznodzieję wzywającego do wiary w Rexexmachina, nocami polowano na wyimaginowane cyborgi. O ile wiedziałem, już w okresie wielkiej wojny ta ideologia istniała, choć jeszcze w powijakach, ale nigdy nie udało się jej rozwinąć, zostały tylko legendy i pogłoski.

Nie mogłem ludziom udowodnić, że nie jest to szpieg ani sługa maszyny czy też demona, ale mogłem udowodnić, że z pewnością nie jest to cyborg.

– Pokażę wam, że to taki sam człowiek jak my – powiedziałem stanowczo.

Podszedłem do uciekiniera.

– Pomogę panu, pokażemy im, że nie jest pan cyborgiem, tylko niech pan nie robi żadnych gwałtownych ruchów. – Starąłem się uspokoić i jego, i tłum za swoimi plecami.

Znów wplątałem się w coś, co mogło się źle skończyć.

Obserwował mnie i oceniał.

– Mam protezę prawej ręki – syknął tak, żebym tylko ja to usłyszał.

Rzuciłem okiem na jego ramię, w kurtce i rękawicze wyglądało całkiem normalnie. Bardzo nieprzyjemna komplikacja.

– Zaraz to sprawdzimy – powiedziałem, bo nic innego mi nie zostało.

Znów odwróciłem się do ludzi za sobą. Niedowierzającym, dyszącym żądzą mordy.

– Zdejmie teraz kurtkę i koszulę i pokaże wam, że oprócz protezy prawej ręki jest zupełnie normalnym człowiekiem, jak my wszyscy. Zróbcie miejsce, żeby było więcej światła. A pan zrobi, co mówię – powiedziałem szybko, żeby nikt nie zdążył się sprzeciwić.

Mężczyzna posłuchał, zdjął kurtkę, prawą ręką posługiwał się całkiem dobrze, tylko wydawało mi się, że nie porusza palcami i nadgarstkiem. Miał sporą łysinę, połyskującą w odbitym świetle

latarni. Rozpiął koszulę i zaczął ją ostrożnie zdejmować, rękaw z prawego ramienia odkrył na końcu.

Proteza zaczynała się tuż pod stawem łokciowym, był to dość złożony mechanizm z kilkoma cięgnami i połączeniami stawowymi.

– Cyborg – zachrypiał ktoś ze strachem.

– Proteza – powiedziałem dobitnie. – Mówiłem wam o niej.

– Może ją odpiąć? – zapytał jakiś mężczyzna.

Po krótkim zawahaniu kaleka przytaknął i lewą ręką porozpinał skórzane paski mocujące protezę. Kikut był dawno zagojony i równy, jakby mu coś rękę ucięło.

– Niech pan pozwoli – poprosiłem go, żeby mi podał protezę.

Była cięższa, niż sądziłem, i z bliska jeszcze bardziej złożona, choć w półmroku wszystkich szczegółów nie rozróżniałem.

– Widzicie? – Pokazałem tłumowi. – Cięgna, stawy i nic innego.

– A do czego potrzebuje tak skomplikowanego urządzenia? Czemu nie ma haka jak normalny kaleka? – zapytał ktoś.

Bo nie chce być normalnym kaleką, miałem ochotę wrzasnąć, ale w tej sytuacji to nie byłaby właściwa odpowiedź.

Popatrzyłem na mężczyznę i oddałem mu jego własność.

– Kiedy tak nastawię palce – pociągnął za jedną z dźwigienek – a tak unieruchomię stawy, to mogę utrzymać na przykład łyżkę i najeść się. – Zademonstrował. – Mogę też trzymać kierownicę, teczkę. – Pokazywał poszczególne nastawienia protezy. – Mogę pracować i się wyżywić.

Musiałem przyznać, że mechanika protezy była doskonała. Zapewne umożliwiała mnóstwo innych czynności, ale nie było potrzeby ich demonstrować tym ludziom, chociaż ja sam chętnie bym to zobaczył.

– Jesteście zadowoleni? Sami widzicie, że to nie żaden cyborg, ale taki sam człowiek jak wy.

Ktoś coś mruknął, lecz go nie zrozumiałem.

– A teraz szybko się rozejdźmy, bo jeszcze policja oskarży nas o uliczne zgromadzenie. Chodźmy, jeśli nie mamy już innych pytań

do pana.

Moje ostatnie zdanie spełniło swoją rolę, najpierw odszedł jeden człowiek, po nim drugi i naraz tłum się rozproszył.

Odwróciłem się do mężczyzny z protezą, czując nagle wyczerpanie. Mimo nocnego chłodu czoło miałem pokryte kropelkami potu. Znowu zaryzykowałem. Widziałem, jak nasadza protezę, ubiera się i w końcu starannie otrzepuje kurtkę, którą musiał położyć na ziemi. Sprawiał wrażenie spokojniejszego ode mnie, choć jeszcze przed chwilą był o krok od ukamienowania.

– Nie jestem miejscowy, tylko cudzoziemcem, a do miasta przyjeżdżamy sprzedawać glebę -wyjaśnił. – Dziś się nam jakoś nie powiodło, może przez konkurencję.

Postukał w swoją metalową rękę.

– Dzięki za pomoc, bez pana... – Wzruszył ramionami.

– Cieszę się, że tak wyszło, jak wyszło. – Nie zależało mi na podziękowaniach. – Do widzenia.

– Z Bogiem.

Nie potrząsnąłem jego ręką, bo nie przypuszczałem, żeby proteza była wyposażona w taką konfigurację i do takiej czynności. Wypiłem już dziś dwa drinki, ale wiedziałem, że po powrocie do pensjonatu nie zasnę. Za dużo kipiało we mnie adrenaliny. Potrzebowałem jeszcze jednego drinka na uspokojenie. Było mi wszystko jedno gdzie, wszedłem do pierwszej gospody, jaką zobaczyłem.

Przy stole ujrzałem Katzińskiego. Siedział na krześle plecami do ściany, przed sobą miał butelkę palinki, a dwie puste stały obok. Wyglądało na to, że nikogo już nie dostrzega. Poza nim nie było zbyt wielu gości, szynkarz obserwował go jak padlinożerca zdobycz.

Podszedłem do jego stołu.

– Jak leci? Dobrze się bawisz?

Nie zareagował, w ogóle mnie nie zauważył. Nagle się poruszył, ale tylko po to, żeby wlać w siebie kolejną szklaneczkę wódki.

– To jak linia produkcyjna. Produkcja masowa – powiedział nagle. Jak na swój stan, mówił dość wyraźnie. – Wszystkich porozcinają,

a później złożą ich z powrotem.

Nie było w tym żadnego sensu.

– Zaprowadzę kolegę do jego pokoju – powiedziałem szynkarzowi.

Podszedł do mnie, trzymając w ręce ścierkę i szklanę. Ścierka była tak brudna, że mógł czyścić szklanę do końca świata, a ona nie byłaby ani trochę czystsza. Wprost przeciwnie.

– Może pan go zaprowadzić, ale najpierw musi pan za ten pokój zapłacić, a oprócz tego pokryć jego wydatki – oznajmił poważnie.

Katzinski nie miał na sobie swojej kurtki mundurowej.

Podszedłem do szynkarza, złapałem go jedną ręką za kołnierzyk umorusanej koszuli i popchnąłem tak, że zachwiał się na piętach, z trudem utrzymując równowagę.

Nie byłem spokojny i nie w pełni nad sobą panowałem. Za dużo się dziś wydarzyło, a bezczelne oszustwo oberżysty mnie rozwścieczyło.

– Jeszcze jedno głupie słowo, a będziesz zbierać zęby z podłogi – syknąłem.

Dwóch mężczyzn siedzących przy stole obok szynkwasy wstało, jakby oczekiwali czegoś podobnego. Miejscowi goryle? Jeden trzymał obuszek, drugi dużą drewnianą pałkę. Ochrona, ale z lekka podpita. Było mi wszystko jedno. Nadal trzymałem szynkarza za kark, drugą ręką wyjąłem rewolwer i odciągnąłem kurek.

– Jest nabity. Nawet jeśli to niezgodne z prawem.

Zrozumieli, że to nie przelewki.

– Usiądźcie sobie z powrotem – powiedziałem. Nie chciałem, żeby sprowadzili pomoc albo lepiej się uzbroili. – Niech ktoś przyniesie z pokoju wszystkie jego rzeczy. I to szybko.

Szynkarz zwlekał, widziałem, jak kalkuluje, czy w zaistniałej sytuacji zdoła coś uzyskać.

Powoli opuściłem kurek do położenia początkowego, zabezpieczyłem rewolwer, puściłem karczmarza i walnąłem go kolbą w szczękę.

Głośne trzaśnięcie zabrzmiało w sali jak strzał z bicia. Szynkarz

nie upadł, jak przewidywałem, ale zwinął się z bólu.

– Jego rzeczy, szybko.

– Oskarżę pana – rzucił pogroźkę.

– Spróbuj. – Nie kłóciłem się. – Jego rzeczy.

Uderzyłem szynkarza po raz drugi.

Byłem pewny, że mnie nie oskarży. Poszczułyby na mnie swoich kompanów, pozwolił mnie zatłuc, ale z prawem nie chciał mieć nic wspólnego.

Po chwili miałem w rękach teczkę i kurtkę Katzinskiego.

– Żołnierzu, powstań i naprzód marsz – rozkazałem.

Posłuchał i ciężkim krokiem ruszył ku drzwiom.

– Produkcja masowa, wszyscy porozcinani na kawałki, znów poskładani. Ale już inni. – Spojrzał na mnie, ale przyszło mi do głowy, że to, co mówi, przeznaczone jest dla kogoś zupełnie innego. Może i dla niego samego.

Udało mi się znaleźć w pobliżu pensjonat i tam umieściłem Katzinskiego. Do swojego pokoju dotarłem mocno wyczerpany i zwałem się na łóżko. Dzisiejszy dzień okazał się zupełnie inny, niż przypuszczałem, i kilka razy byłem mocno zaskoczony. Ale nie miałem siły o tym myśleć. Nie miałem siły, żeby myśleć o czymkolwiek.

* * *

Rano obudził mnie kurier z wiadomością, że mam się następnego dnia zgłosić do urzędu patentowego w Ambrezavile w sprawie zarejestrowania praw patentowych. Pokwitowałem dostarczenie mi informacji i potwierdziłem swoje stawiennictwo. Wręczył mi również czek na moje nazwisko, wystawiony przez kapitana Knispela. Opiewał na kwotę obejmującą pozostałą część mojego żołdu, do zrealizowania w Pierwszym Banku Globalnym, a w razie potrzeby w każdym z pięciu największych banków. Starannie obejrzałem czek i dobrze go schowałem. Kwota zmuszała do zastanowienia. Potem się umyłem, przygotowałem sobie bardzo dobrą, ale i bardzo drogą kawę i popijałem ją, wyglądając przez

okno.

Ruch był już spory, chodnikami przechodzili ludzie, na jezdniach pojawiło się parę pojazdów najróżniejszych typów, od starych ciężarówek przez auta o napędzie elektrycznym po wozy konne. Czułem się wyspany, wypoczęty, a wydarzenia poprzedniego dnia były już tylko wspomnieniem.

Wypiłem kawę, umyłem kubek i postawiłem na półce. Swoje rzeczy włożyłem do szafy, posłałem łóżko, wymieniłem wodę w wazonie z kwiatkami stojącym na stole. Po śniadaniu wyszedłem do pana Camuviego. Ubrojony strażnik przy wejściu na teren willi, który, jak pamiętałem, pełnił w konwoju funkcję kierowcy jednego z dużych transporterów, skinął na mnie i bez pytań wpuścił do środka. Obok dróżki na trawie stało kilka kontenerów. Inny mężczyzna, którego również znałem z widzenia, bo często pojawiał się w otoczeniu pana Camuviego, okazał się zaskakująco chętny do pomocy. Poinformował mnie, że Natasza jeszcze nie wróciła z obozu handlowego, bo musiała się zająć organizacją transportu towarów. Podobno zostały już tylko dwa kontenery i spodziewał się, że przyjedzie razem z nimi. Camuvieli coś omawiał ze swymi podwładnymi. To mi pasowało, ponieważ na razie nie chciałem z nim rozmawiać. Zostawiłem kontakt do siebie z informacją, że zgłoszę się wieczorem. Potem skierowałem się do pensjonatu, w którym pozostawiłem Katzińskiego. Miałem wyrzuty sumienia, że nie zająłem się nim lepiej. Nie było go i nikt nie wiedział, dokąd poszedł. Nikogo to nie interesowało, ponieważ opłatę wniesiono z góry, a gości było wielu.

Kiedy wychodziłem, natknąłem się na Marlona.

– Rad cię widzę, panie twardzielu – powitał mnie w swoim stylu.

– Twardzielu? – zapytałem z ciekawością.

– Kapitan posłał mnie po Katzińskiego. Zazwyczaj dajemy mu dwa, trzy dni na pijaństwo, ale tym razem kapitan chce, żebyśmy byli gotowi do odjazdu wcześniej. A ja zawsze chodzę szukać Katzińskiego. Na ogół znajdowałem go w trzeciej najbliższej gospodzie, leżącego pod stołem. Tym razem ktoś mu jednak

pomógł, a przy tym sprzął szynkarza i groził bronią dwóm uczciwym obywatelom.

Ta sytuacja wyraźnie bawiła Marlona.

– Katzinski już poszedł – poinformowałem go. – Gospodarza nie stłukłem, tylko go raz albo dwa wałnąłem. I oczywiście nie groziłem żadnemu uczciwemu obywatelowi.

– W to ostatnie wierzę – zgodził się. – Nie wiesz, gdzie by mógł być?

Wzruszyłem ramionami.

– Mógł wrócić do obozu, mógł pójść do innej gospody. A właściwie dlaczego on pije?

– Nie wiem. – Marlon też wzruszył ramionami.

Obok nas przeszły dwie młode kobiety zajęte rozmową, ich suknie rozwiewane łagodnym wiatrem dawały nam pogląd na ich wdzięki. Marlon gapił się za nimi jak marcowy kocur.

– Nie wiem, może żeby o czymś zapomnieć? – wrócił do tematu, kiedy zniknęły za rogiem. – No a co z Nataszą?

Nic ci do tego, pomyślałem, ale już przywykłem do ciekawości Marlona.

– Nic, jeszcze się nie spotkaliśmy.

– Może ona nie chce się z tobą spotkać? – zasugerował.

Nie wykluczałem takiej możliwości, chociaż nie wydawała mi się prawdopodobna. Natasza była osobą lubiącą szczerość.

– Znasz może tutaj dobrą restaurację? Bardzo dobrą?

– Jestem tu drugi raz w życiu. – Pokręcił głową. – A pierwszy raz byłem przed pięciu laty. Przez ten czas bardzo się tu pogorszyło.

Zostawiłem Marlona z jego zadaniem odszukania Katzinskiego i ruszyłem sprawdzać, która restauracja jest naprawdę dobra. Miałem na to cały dzień. Ponadto postanowiłem kupić kilka drobiazgów, które były mi potrzebne. Zacząłem się już całkiem nieźle orientować w mieście. Przyszło mi do głowy, że nie mam przyzwoitego ubrania, w którym mógłbym się pokazać podczas kolacji. Jeśli już zacząłem szukać odpowiedniego lokalu. Wróciłem do pensjonatu, żeby zostawić tam zakupy.

Gospodyni w biurze nie zastałem, a klucza od swojego pokoju nie znalazłem na haczyku. Może poszła posprzątać, choć nie było takiej potrzeby, albo była po prostu ciekawa.

Ostrożnie wszedłem na piętro i po cichu zbliżyłem się do drzwi swojego apartamentu. Nacisnąłem klamkę, drzwi nie były zamknięte. Wyjąłem rewolwer, odwiodłem kurek i trzymałem go swobodnie wzdłuż ciała. Mogli to być ci dwaj z wczorajszego wieczora. Kiedy nauczyłem się myśleć w ten sposób? – przyszło mi do głowy. Porzuciłem te rozważania i delikatnie popchnąłem drzwi, pamiętałem, że nie skrzypią.

Przeszedłem przez mały korytarzyk, zajrzałem do pokoju i ostrożnie włożyłem broń do kieszeni.

W fotelu dla gości siedziała Natasza z nogą założoną na nogę i czytała jakieś papiery. Na stopach miała czerwone pantofelki na wysokich obcasach, skraj sukienki uniósł się aż za kolano. Była skupiona na czytanych tekście, czasem marszczyła przy tym brwi. Na nadgarstku ręki, którą przewracała strony, błyszczała bransoletka. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że nie jest sama.

– Od jak dawna już tu stoisz? – zapytała.

– Dość długo – przyznałem.

– A co tam robisz w korytarzu?

– Przyglądam się.

Przez chwilę nie rozumiała, aż zauważyła, jak uniosła się jej sukienka.

– Aha. Myślałam, że chętniej coś robisz, niż się przypatrujesz.

– Zależy od okoliczności. – Uśmiechnąłem się i wszedłem do pokoju.

W eleganckim, seksownym stroju wyglądała znakomicie. Zresztą w każdym innym też tak wyglądała, ale w tym czuła się sobą.

– Przyjemnie tutaj – oceniła apartament, przypatrując się kwiatom na stole. – Dokonałeś dobrego wyboru.

Nie wiedziałem, dlaczego Natasza przyszła, ale na razie nie chciałem o to pytać. Teraz chciałem się nacieszyć jej obecnością.

– A co byś powiedziała, gdybyśmy poszli gdzieś, gdzie byłoby jeszcze przyjemniej? Na kolację? Chociaż nie zdążyłem kupić odpowiedniego ubrania. Ale w twoim towarzystwie na pewno by mnie wpuścili.

– Jesteś dziś niezwykle dowcipny – zaśmiała się, wstała i dała mi całusa.

Przyjacielskiego całusa.

* * *

Kelner zaprowadził nas do stołu, polecił aperitif. Ściany były wyłożone ciemnym drewnem, stoły, krzesła i inne meble pokrywała tak gruba warstwa lakieru, że aż zyskały aksamitny odcień, żyrandole sprawiały wrażenie pokrytych szklanym śniegiem.

Podano nam aperitif, przeglądaliśmy kartę dań, a ja przy tej okazji rozglądałem się po wnętrzu lokalu.

– Nigdy tutaj nie byłem – rzekła Natasza. – Bardzo tu ładnie.

– A ja w ogóle nigdy nie byłem w podobnej restauracji – przyznałem. – Mam nadzieję, że jedzenie mają tak samo dobre jak wewnątrz lokalu, bo jestem głodny.

Złożyliśmy zamówienie, Natasza opowiadała o tym, co musieli zrobić, żeby mogli zmagazynować i sprzedać chociaż część towarów, i uskarżała się na miejscowe niejasne przepisy. Wyglądało na to, że swoją pracę wykonuje dobrze, a nawet że ta praca sprawia jej przyjemność.

– Właściwie nie przeszkadza, że są tak niejasno napisane, bo to umożliwia różną interpretację i potencjalnie większy zysk. Ale oznacza dużo zachodu.

Miło się ją obserwowało, jak wyjaśnia, tłumaczy, gestykułuje. Tłumione światło żyrandola odbijało się w jej bransoletce i naszyjniku, była pełna życia, energiczna.

Podano nasze główne dania, dla mnie stek wellington, dla Nataszy polędwiczki wieprzowe z sałatą. A do tego czerwone wino, którego nazwy nawet nie usiłowałem zapamiętać.

Podobało mi się, jak jadła ze smakiem, bez skrępowania.

– Znakomite – oceniła, kiedy skończyliśmy. Za deser podziękowaliśmy, zadowolając się kawą i koniakiem. – Przyjemnie byłoby częściej tu bywać – stwierdziła.

Całkowicie się z nią zgadzałem.

Przez pewien czas siedzieliśmy w milczeniu, ciesząc się chwilą. Stroje innych gości były bardzo różnorodne, rzucało się w oczy, że wielu z nich nie pochodziło z Ambrezavile, niektórzy przybyli z daleka, zapewne z innych konwojów handlowych.

– Mężczyźni często na ciebie popatrują, ja ich rozumiem. – Uniosłem czarkę w geście toastu. – Jesteś po prostu wyjątkowa.

Uśmiechnęła się.

– Teraz zauważyłem, że mnie też się przyglądają. Moje ubranie nie jest idealne, ale – wzruszyłem ramionami – nie ja jeden tak wyglądam. Z jakiego innego powodu może tak być?

Restauracja ze względu na swoją renomę często służyła za miejsce do rozmów handlowych. Ale i do randek, sądząc po kilku parach siedzących na uboczu.

– To nie o ubranie chodzi. – Pokręciła głową. – To z twojego powodu, zmieniłeś się.

Czekałem, co jeszcze powie. Namyślała się nad odpowiedzią.

– Nie należysz do nich, sprawiasz wrażenie energicznego, nawet niebezpiecznego. Zauważyłam to w tobie już podczas pierwszego spotkania. Oceniałeś sytuację, rozważałeś ryzyko, szukałeś rozwiązań. Pragmatycznie, bez oglądania się na wątpliwości. Nigdy ich u ciebie nie widziałam.

W czasie podróży coraz bardziej się to uwidaczniało.

Nie zaoponowałem. Wszyscy się zmieniamy.

Dopiliśmy drinki, kolacja dobiegła końca. Przyjemna kolacja, o wiele przyjemniejsza, niż przypuszczałem.

– Pójdziemy?

Przytaknęła.

Pomogłem jej nałożyć płaszczyk, przytrzymałem drzwi i zanim odwróciłem się do wyjścia, dostrzegłem, że patrzy na nas kilka par

oczu, które szybko zwróciły się w drugą stronę. -Wypijesz jeszcze szklaneczkę na dobranoc?

– Wypiję – odpowiedziała, biorąc mnie pod rękę.

* * *

Dużo później u mnie w apartamencie nalewałem obiecanego drinka. Palila się tylko jedna świeca, wosk ściekał po jej boku i rozlewał się na spodku pełniącym rolę zaimprovizowanego lichtarza.

– Dostałem ofertę pracy, dość ciekawą ofertę – powiedziałem.

Poruszyła się, jej rozczochrane włosy połaskotały mnie pod brodą.

– Od Alberta Krunskiego. Zaoferował mi pracę dowódcy ochrony jego konwoju.

– Krunski ma dobrą opinię. Dobiera sobie wyłącznie najlepszych ludzi – oświadczyła. – Płaci bardzo dobrze.

– Dostałem też inną ofertę – mówiłem dalej. – Nie tak atrakcyjną, ale posiadającą inne plusy. Dotyczące przyszłości, można powiedzieć.

– Jaką?

Musiało ją to zainteresować, już nie była taka rozluźniona, wyczułem w niej napięcie.

– Powiedziałem, że ją przyjmę, kiedy wyjaśnię pewne okoliczności.

– Jakie okoliczności?

– Nie wiem, czy pracodawca zaakceptuje fakt, że człowiek przez niego zatrudniony ma romans z jego córką. Nie wiem też, czy ona będzie chciała kochać podwładnego jej ojca.

Poczułem, że się rozluźniła.

– To pierwsze jest sprawą między oferującym pracę a tym, którego wybrał na swojego pracownika. A moje zdanie zaraz ci przedstawię.

Odwróciła się, ugryzła mnie w ucho i objęła udami moje biodra.

Rano obudziłem się pierwszy, leżałem, słuchając, jak oddycha. Na

ulicy zaczynał się ruch. Wiedziałem, że oboje nas czeka trudny dzień, i dlatego chętnie korzystałem z tych krótkich chwil przyjemności.

Otworzyła oczy, nie wyglądała na zasnęłą.

– Musimy... – zaczęła.

Nie pozwoliłem jej dokończyć, wiedziałem, że jeśli puszcze Nataszę do łazienki, to do łóżka już nie wróci.

* * *

Później pierwsza skorzystała z prysznica. Patrzyłem, jak naga idzie przez pokój, zabierając po drodze torebkę. Wróciła umalowana, starannie uczesana, w białych koronkowych majteczkach. Pewnie liczyła się z takim finałem naszej kolacji, chyba że zawsze była jak najlepiej przygotowana. Potem ja wskoczyłem do łazienki i zanim Natasza skończyła się ubierać, byłem gotowy do wyjścia. Ledwie usiedliśmy w jadalni, kelnerka bez pytania przyniosła nam kawę.

Wiedziałem, że Natasza jest już myślami w czekającej ją pracy. Jedliśmy w milczeniu, pospiesznie, ale z zadowoleniem.

– Wieczorem złożę wizytę twojemu ojcu i powiem, że przyjmuję jego ofertę – oświadczyłem po skończonym posiłku.

– A kiedy już u niego będziesz, może i mnie poświęcisz trochę czasu. Nie powinienesz mnie zaniedbywać. – Zrobiła surową minę, pocałowała na do widzenia i wyszła na ulicę.

* * *

Do urzędu podatkowego przyszedłem w oznaczonym czasie, Rigajev i Cyr już tam czekali.

– Wygląda na to, że długo nam tu zejdzie, istny dom wariatów – oznajmił Rigajev. – Przybyła jakaś grupa z Cesarstwa, twierdzą, że nie są handlowcami, i nie chcą płacić podatku. Będziemy musieli poczekać, aż się to wyjaśni.

Czekaliśmy długo, aż do obiadu, a później jeszcze więcej czasu

zabrał sam proces księgowania. Okazało się konieczne opisać każdy detal przekazywany do depozytu, jego właściwości, funkcję, czego można się po nim spodziewać. Ja bym to wszystko uprościł, ale Rigajev postępował starannie i metodycznie.

– Fragment metalu z ekoszkieletu bota – dyktował. – Odporniejszy od stali, działa równocześnie jak fotoogniwo. Po rozcięciu każdy odcinek zachowuje cechy fotoogniwa o proporcjonalnie mniejszej wydajności. Struktura pod mikroskopem...

Moja niecierpliwość zaczynała być chyba widoczna.

– Gdybyśmy czegoś nie uwzględnili, a ktoś by tego używał, to nie mielibyśmy prawa do udziału w zysku – wyjaśnił Cyr.

Machnąłem ręką, sam dobrze o tym wiedziałem. Informacje o naszych znaleziskach będą rozprawdane zwykłymi drogami do miast i miasteczek, związków miejskich, a także państw. Jeśli kogoś zainteresują i będzie chciał je zbadać, to po złożeniu kaucji może wydostać je z depozytu.

A gdyby na przykład zdołał produkować podobne fotoogniwa, musiałby płacić niewielką prowizję od każdego wyrobu na rzecz znalazców, a więc nam, no i oczywiście na rzecz miasta, w którym wszystko zapisali. Dlatego system działał nawet w tak niechętnym technice mieście, jakim stawało się Ambrezavile.

Skończyliśmy dopiero wieczorem, równo z uderzeniem dzwonu.

– Zamknęli bramę – oznajmił niezadowolony Cyr. – Będziemy musieli tutaj zostać.

Rigajev się nie zmartwił.

– Trochę wygody nie zaszkodzi, chętnie skorzystam z chwili spokoju.

Wyjaśniłem im, gdzie mieszkam, i poszedłem do willi pana Camuwielego. Tam dowiedziałem się, że nie zdążył wrócić z obozu handlowego przed zamknięciem miasta. A z nim i Natasza.

Pech, nie każdy dzień układa się po naszej myśli. Ale nie miałem czego żałować. Poprosiłem, żeby przekazali panu Camuwielemu, że tutaj byłem i zgłoszę się następnego dnia rano.

W pensjonacie natknąłem się na Cyra i Rigajeva. Do gospody iść nie chcieli, przynieśli swoje trunki do jadalni i zamówili u kucharki coś do jedzenia. Jedna czysta szklaneczka czekała na mnie. Rigajev pracował na laptopie, Cyr przeglądał jakieś czasopismo. Nie było miejscowe, sądząc z tytułu, wydawano je w Zverelsku.

– Szybko wróciłeś – stwierdził Rigajev, ale o nic mnie nie pytał.

W odróżnieniu od Marlona.

Cyr nalał mi bez pytania.

– Dlaczego kapitan robi to, co robi? – zapytałem, bo nie chciało mi się tylko siedzieć i rozmyślać, a wyjątkowo nie miałem nic do roboty. – Ty badasz boty, starasz się je poznać, jesteś nimi zafascynowany – zwróciłem się do Rigajeva.

– Nie jestem nimi zafascynowany – powiedział. – Chociaż może i tak – poprawił się po krótkiej chwili. – Za mało o nich wiemy, nie potrafimy już ich wyprodukować, są dla nas niebezpieczne...

Nie oponowałem, jego nastawienie do botów było mi znane.

– A ty? Dlaczego jeździsz w załodze? Przez całe lata.

Cyr popatrzył na mnie i wzruszył ramionami. Już myślałem, że nie odpowie, ale zdecydował inaczej.

– Zabiłem kiedyś człowieka podczas bójki. U mnie w domu. Powiesiliby mnie, ale kapitan zaoferował wyjście awaryjne. Miałem odsłużyć w jego załodze siedem lat, a większość żołdu posyłać rodzinie zabitego jako zadośćuczynienie. Wszyscy się na to zgodzili.

Zamilkł na chwilę.

– Siedem lat już dawno upłynęło. Przywykłem, nie potrafię sobie wyobrazić innego sposobu życia. Czołg jest moim domem.

Wieczny najemnik, pomyślałem. Jeśli mu się nic złego nie przydarzy. Nie chciałbym tak skończyć.

– A Katzinski?

– Nie opowiadam o przygodach innych ludzi – powiedział Cyr po chwili. – Ale kiedy przystałem do załogi, już w niej był. Z tego, co czasem mówił, zrozumiałem, że razem z kapitanem walczyli już w wojnie Hanturiego.

Kapitan i Katzinski wyglądali zatem młodziej, niż rzeczywiście

mieli lat, albo też walczyli jako bardzo młodzi ludzie. Zagłada Błękitnego Vonu miała miejsce niecałe dwadzieścia pięć lat temu.

W końcu boty, kierowane przez starzejące się sztuczne inteligencje, zostały pobite, a ściślej mówiąc, przepędzone na pustynię, skąd już nigdy nie wróciły. Na temat przebiegu ostatniej bitwy powstało sporo różnych wersji, a po tak długim czasie nie można było ustalić, która jest dokładna.

W tej ostatniej bitwie Wilhelm Hanturi, dowódca połączonych ludzkich armii, poległ, co spowodowało, że do sztabu wkradł się chaos. Na szczęście maszyny, nie kontynuując walki, odstąpiły. A główni dowódcy rozpowszechniali potem ten wariant wydarzeń, który był dla nich jak najwygodniejszy. Udział w tej wojnie oznaczał wtedy wielką karierę dla wielu ludzi.

– A co z kapitanem? Dlaczego od ćwierćwiecza podróżuje po bezdrożach i przeprowadza konwoje?

– Każdy musi z czegoś żyć – odparł Cyr z powagą.

– Nie. – Pokręciłem głową. – On walczy z botami. Jakby dla niego wojna Hanturiego jeszcze się nie skończyła.

– Czegoś szuka – rzekł Rigajev.

Było jasne, że już o tym rozmyślał.

– Nie wiem czego – dodał jeszcze.

Nie wierzyłem w to, ale nie widziałem sensu się tym zajmować. Nie należałem już do załogi, mnie to nie dotyczyło.

Dopiłem drinka i poszedłem spać wcześniej niż oni.

W nocy obudziły mnie dzwony. Nie było to spokojne ogłaszanie południa czy wieczora, ale gwałtowne wezwanie, alarm. W pierwszej chwili pomyślałem, że wybuchł pożar, ale ani ognia, ani łuny nigdzie nie widziałem. Wybiegłem na zewnątrz.

Latarnie świeciły tak samo jak wieczorem, lecz na ulicach pojawiała się coraz więcej ludzi. Wystarczyło zapytać pierwszego z brzegu człowieka.

– Atak na miasto – odparł i pospieszył dalej.

Cyr i Rigajev również wyszli na ulicę.

– Wróćcie do obozu, do czołgu? – zapytałem ich.

Rigajev tylko pokręcił głową.

– Bramy na pewno będą zamknięte, ogłoszono alarm. Chodźmy popatrzeć z murów.

– I zgłosić się do obrony, jeśli to będzie konieczne – dodał Cyr.

We wszystkich ośrodkach cywilizacji obowiązywały te same zasady. Każdy, kto znajdował się wewnątrz murów, brał udział w obronie. Jeśli nie należał do nieprzyjaciół, ale w obecnych czasach na ludzi napadały tylko maszyny. Może z biegiem lat to się zmieni.

– Idziemy. – Przyłączyłem się do nich.

Po broń nie musiałem wracać, zawsze miałem ją przy sobie. Spieszyliśmy przez nocne ciemności, dzwony nadal biły, ludzie biegali we wszystkie strony. Przeceniłem ich, nie wszyscy zamierzali bronić miasta, wielu starało się tylko zabezpieczyć swój majątek w przygotowanych skrytkach.

U podnóża muru płonął ogień w metalowych beczkach, słychać było odgłos pracy agregatów Diesla, jeden po drugim zapalały się reflektory białe lub żółte. Mechanizmy obrotowych wieżyczek strzelniczych kierowały je w różne strony, kiedy ich obsługi starały się wypatrzeć niewidzialnego w ciemności nieprzyjaciela.

– Macie broń? – zapytał nas gruby mężczyzna z oznaką miejskiego gwardzisty zamiast uniformu.

– Tak – potwierdziłem.

Moja śrutówka w porównaniu z bronią zainstalowaną na murach była do niczego, ale albo o tym nie wiedział, albo było mu to obojętne.

– Odcinek trzynasty na południu jest nieobsadzony, idźcie tam. – Wskazał nam schody na górę.

Stopnie były wylane z betonu, pod nogami czułem jego gruboziarnistość. Na szczycie muru znajdował się krużganek z mnóstwem strzelnic. Ostatnia linia obrony, pomyślałem, kiedy przechodziliśmy obok ludzi opartych o ścianę i wpatrujących się w ciemność.

Niektórzy cicho rozmawiali, kilku paliło, ale na ogół panowała pełna napięcia cisza.

W ciemnościach nie zdołałem stwierdzić, jak są uzbrojeni.

Gwardzista nie powiedział nam, jak mamy znaleźć odcinek trzynasty, szliśmy po prostu tak długo, aż natrafiliśmy na nieobsadzony fragment muru.

Ciemność za nim wydawała się pusta i spokojna.

– Nic się tutaj nie dzieje – stwierdziłem.

– Radarów ani innych systemów tu chyba nie mają – zgodził się ze mną Rigajev.

– Na granicy stoją wieże strażnicze, a połączenie telefoniczne zainstalować chyba umieją -przypomniałem.

Usiadłem na betonie, opierając się plecami o ścianę.

Nagle mrok rozdarła luna, zagrzmiało kilka eksplozji i znów zapadła ciemność i zupełna cisza.

– Obóz! To było gdzieś przy obozie handlowym! – określiłem kierunek wybuchów.

Strzelbę trzymałem w pogotowiu i wychylałem się ze strzelnicy, jakbym mógł cokolwiek zobaczyć. Nasz odcinek był, niestety, zbyt daleko od obozu handlowego.

Zabrzmiał pierwszy wystrzał, po nim nastąpiła długa seria z dwóch karabinów maszynowych, zaraz dołączyło do nich szczekanie działka szybkostrzelnego oraz wysoki dźwięk czegoś, czego nie potrafiłem zidentyfikować. Wystrzałów z broni ręcznej było niewiele.

– To nie nasze lufy – stwierdził Cyr. – Ani jedna.

Moje obawy momentalnie wzrosły. Ktoś napadł na obóz handlowy, a Natasza właśnie tam była.

– Dziś przyjechała kolejna wyprawa handlowa i jakieś niewiadome typy z południa, raczej żołnierze niż handlowcy, może się pobili i...

Resztę słów Rigajeva zagłuszyła seria eksplozji.

Rozejrzałem się, czy nie można w jakiś sposób dostać się za mur, żeby im pomóc, żeby jej pomóc.

– Nie wariuj. – Cyr położył mi rękę na ramieniu. – Nawet gdybyś dotarł na dół, zastrzeliby cię któryś z tych napalonych typów na

murze. Po ciemku wzięłyby cię za nieprzyjaciela.

Miał rację, ale to mnie nie uspokoiło.

Odgłosy walki szybko ucichły, znów nastał spokój. Miałem nadzieję, że wydarzenia nie dotyczyły grupy pana Camuvielego i Nataszy nic się nie stało. Czekaliśmy na murach, widziałem, jak ludzie obok mnie z każdą minutą się uspokajają, podczas gdy ja liczyłem każdą upływającą sekundę, ściskając strzelbę tak mocno, że aż łapały mnie skurcze w palcach.

W końcu się rozwidniło. Cyr drzemał obok, oparty o ścianę. Rigajev wylazł na szczyt muru i cicho pochrapywał.

Zostawiłem ich i ruszyłem ku bramie. Nie wiedziałem, czy ze względu na nocne wydarzenia otworzą ją tak jak codziennie, ale musiałem spróbować. Bo gdyby nie, musiałbym znaleźć inną drogę. Dotarłem w momencie, gdy na zewnątrz wychodziło trzydziestu mężczyzn z karabinami i automatami, towarzyszyły im dwa sfatygowane wozy uzbrojone w karabiny maszynowe. Usłyszałem, jak ich dowódca mówi przez radio, obserwatorzy w mieście potwierdzali, że w pobliżu nie ma śladu nieprzyjaciela.

Nie poszli najkrótszą drogą, zaczęli od przeszukania terenu leżącego w pobliżu bramy. Niektórzy z nich wyposażeni byli w wykrywacze min. To miało sens, cały ten nocny harmider mógł być płaszczykiem kryjącym przygotowania do wielkiego ataku na samo miasto. Czyimi siłami? Nie zastanawiałem się nad tym. Oby tak było.

Pospieszyłem do miejsca obozowania. Już z daleka widziałem, że czołgu nie ma na poprzednim miejscu, kapitan przesunął go z jakiegoś powodu. Widziałem kilka wozów i transporterów ciężarowych, ale wydawało mi się, że jest ich mniej, niż liczył nasz konwój. I były zaparkowane w innych miejscach.

Musiałem się przemóc, żeby nie zacząć biec, szedłem zaledwie szybkim krokiem. Brakowało tylko jednego wozu pana Camuvielego! Poprawka, widziałem dwa, zniszczone, rozdarte, obrabowane. Ale innych nie było.

Grupka mężczyzn stała obok zniszczonych wozów, rozmawiając.

Jak zdołałem rozpoznać, byli to handlowcy. Z rozbitego wozu wyszli dwaj mężczyźni, ubrani po wojskowemu, oznaczenia na naramiennikach świadczyły, że należą do tej samej formacji. Już ich gdzieś widziałem.

– Gdzie są wozy pana Camuviego?– zapytałem jednego z nich. – Przesunęły się w inne miejsce?

Chłopisko z błyszczącą łysiną spojrział na mnie i splunął.

– Zostały tylko dwa, inne zniknęły.

– Są zabici?

– Tylko ci dwaj mężczyźni wewnątrz wozu. Pocięci na kawałki.

Pokiwałem głową. Krople potu na moim czole wysychały, nowych już nie przybywało. Przestałem się denerwować, nie bałem się. Stało się coś złego, musiałem się dowiedzieć, czy zdołam to naprawić. A do tego potrzebowałem jak najwięcej informacji. Zabici mogli poczekać, skupiłem się na poszukiwaniu śladów. Już teraz nie było ich wiele, a kiedy pojawi się gwardia miejska i inni ciekawscy, nie pozostaną żadne.

Ziemia była twarda, ubita wieloma pojazdami, które tu parkowały, a mimo to znalazłem kilka śladów. Śladów należących do botów, odcisków kończyn przystosowanych do poruszania się w terenie górskim. Dlatego w niektórych miejscach wywierały większy nacisk na podłoże niż pojazdy kołowe czy gąsienicowe lub człowiek. Nie było ich dużo, zdołałem zidentyfikować tylko trzy różne typy.

Jednak na samej granicy obozu, gdzie ziemia była miękka, przed wyjazdem na drogę znalazłem kilka odcisków z rzeźbą bieźnika charakterystyczną dla wielkich kół transporterów ciężarowych. Skręcały w kierunku przeciwnym niż miasto. Obok widać było dużo odcisków stóp botów, odkryłem kilka kolejnych typów, a nawet jeden odcisk dinobota, ale nie miałem pewności, bo ślad był tylko częściowy.

Powoli, ze wzrokiem wbitym w ziemię wracałem do obozowiska. Grupa ludzi obok wraku transportera nie rozchodziła się, popatrywali na mnie. Miałem nadzieję, że nie pominąłem niczego

ważnego, istotny był każdy szczegół.



Zignorowałem ciekawość przyglądających się i skupiłem uwagę

na zniszczonych transporterach. Należały do starszego typu, było z nimi w drodze najwięcej kłopotów. Ściany z dwunastomilimetrowej blachy były rozcięte jakimś wysokoobrotowym narzędziem, przypomniałem sobie dziwne dźwięki, jakie słyszałem na murze. Potem coś je rozciągnęło na boki, robiąc spory otwór. Bot, który tego dokonał, musiał mieć ogromną siłę. Wieża działowa jednego z transporterów została uszkodzona przez wybuch, obie lufy działka szybkostrzelnego mierzyły w niebo. Przepisnąłem się do wnętrza. Załoga liczyła czterech członków. Jeden leżał na podłodze z głową skręconą w bok, coś mu złamało kręgosłup szyjny. Żadnych ran nie było widać, tkanka szerniała na skutek podskórnego wylewu krwi. Drugi człowiek był pocięty na kawałki szczękami botów. Nie miałem zamiaru sprawdzać, kto to był, ale głowa z częścią szyi i ramienia patrzyła prosto na mnie. Herbert. Przełknąłem ślinę, śmierć mogła spotkać każdego.

Opuściłem transporter, tutaj niczego nowego się nie dowiem.

Handlowcy i mężczyźni w mundurach oczekiwali mnie ciekawie, co im powiem. Z prawej strony odezwał się głęboki odgłos, który bardzo dobrze znałem. Obok wału zakończonego barbakanem jechał czołg Knispela.

– Jak pan myśli, co tu się stało? – zapytał mnie wyższy z żołnierzy.

Spotkałem go w urzędzie podatkowym, przypomniałem sobie. Ten drugi, który trzymał się z tyłu, ale wydawał mi się wyższy rangą, też sprawiał wrażenie znajomego.

– Napadły na nich boty. Zdobyły pojazdy, porwały ludzi i odjechały.

– Nonsens, czegoś takiego nigdy nie robiły. Zaatakować, to tak, zabić ludzi, ukraść towary, materiały, ale żeby zdobyć całą karawanę razem z ludźmi, to absurd – odezwał się drugi żołnierz.

Poznałem go po aroganckim tonie. Major Hinsteg, członek cesarskiej armii i dowodzący policją federacji zverelovskiej. Przyjechał za nami aż tutaj, a trudy drogi odbiły się na jego wyglądzie. Był szczuplejszy i sprawiał wrażenie znacznie bardziej

zmęczonego, niż go zapamiętałem.

– W drodze tutaj napadały na nas podobne boty – odpowiedziałem spokojnie. – I bardziej chodziło im o ludzi niż o towary. Porwały ich żywych i starały się uprowadzić. Doścignęliśmy je, bo wyczerpały im się akumulatory. W tych wozach, które zabrały, były dobre akumulatory, umożliwiające im uzupełnienie energii. Oraz paliwo, które pomoże doładować te akumulatory.

O ile potrafią to zrobić, o ile ich wyposażenie na to pozwoli, dodałem w duchu.

– To niemożliwe – zaproponował ktoś, ale nie zabrzmiało to zbyt pewnie. Całkiem jakby takie wyobrażenie go przestraszyło.

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch w miejscu, gdzie nic nie powinno się ruszać.

Przeszedłem na skraj obozu, skąd miałem lepszy widok, strzelba wskoczyła mi do ręki automatycznie. Nie celowałem, wystrzeliłem instynktownie, z ziemi podniósł się niski cień i zaczął uciekać, drugi wystrzał spowodował, że fiknął koziołka, trzeci go unieruchomił. Czwarty nie był już potrzebny, naboje napełnione zamiast śrutem kawałkami odchudzonego uranu zupełnie sparaliżowały niewielkiego bota. Tylko głowa poruszała się raptownymi ruchami na obie strony, jakby starał się ustalić dalszą trasę.

Był to psi bot, który towarzyszył nam od początku. Albo taki sam typ bota, chociaż mógłbym się założyć, że to konkretnie ten.

– To jeden z nich. – Wskazałem go zaskoczonym ludziom. – Szpiegował nas przez całą drogę.

Żołnierze zaczęli jakąś dyskusję, handlowcy pomału się rozchodzili.

Nie zastanawiałem się nad tym, co dalej, zdecydowałem się w jednej chwili.

– Kupię plecak, zapasy na dwa dni, lekki śpiwór, lekarstwa. – Zatrzymałem jednego z nich.

Spojrzał na mnie z niezrozumieniem.

– Dobrze zapłacę i od ręki.

– Co pan zamierza? – zapytał mnie Hinsteg.

On śledził swój własny cel – ładunek, który Camuvieli skądś uzyskał i starał się go wywieźć wbrew interesom Cesarstwa. A teraz ten ładunek znalazł się w posiadaniu botów.

– Będę je śledził, ale jeśli mam dogonić, to muszę wyruszyć natychmiast – wyjaśniłem swoje zamiary.

– Myśli pan, że ludzie mogą jeszcze być żywi?

Wyczułem wątpliwość w jego głosie.

Popatrzyłem w niebo, słońce było jeszcze bardzo nisko i jego blask dostarczał fotoogniwom tylko minimum energii. Boty będą potrzebować czasu na pozyskanie jej z akumulatorów.

– Wierzę w to, mam taką nadzieję – odparłem zgodnie z prawdą.

– Wygląda na to, że ma pan osobisty motyw w tej pomocy, i to bardzo silny, bo człowiekowi niezaangażowanemu jawi się to jako, przepraszam za słowo, szaleństwo.

Hinsteg nie wyrażał się już pogardliwie ani powątpiewająco, tylko bardzo rozważnie.

– Mam osobisty motyw – powiedziałem. – Uratować ich.

– Zapewnimy panu to, czego potrzebuje – oświadczył.

– Nie chodzi mi o ładunek, tylko o ludzi – sprecyzowałem.

– Rozumiem, ale moja oferta jest nadal aktualna.

– A co w zamian?

– Przekáže nam pan swoje ustalenia. Czy konwój został zniszczony, czy pozostawiony gdzieś na pustyni. Ponieważ nam chodzi o ładunek – podkreślił.

Czas płynął, a ja miałem poczucie, że tkwię w miejscu. Wyposażenie mogłem wprawdzie kupić, ale Hinsteg z pewnością zapewniłby mi lepsze.

– Oprócz tego, czego pan potrzebuje, damy panu nadajnik i przez kilka dni będziemy oczekiwali informacji. A później może pan posłać pocztą wiadomość do dowództwa cesarskiej armii. Jeśli będzie pan chciał spłacić dług.

– Ustalone – potwierdziłem. – Jeśli żadnej informacji nie nadeślę, będzie to znaczyło, że...

– ...jest pan martwy – dokończył za mnie.

– Sanders?

Podczas tej rozmowy zupełnie zapomniałem o czołgu. Rigajev stał nieopodal, trzymając zniszczonego bota za nieruchomą tylną nogę. Ze sposobu, w jaki go trzymał, wywnioskowałem, że stwór był lżejszy, niż się wydawało. Czołg stał trochę dalej, zapewne ze względu na ślady, z wieży przyglądał mi się Cyr.

Wiedziałem, czego chce ode mnie Rigajev.

– Jest twój, nie mam teraz na to czasu – oznajmiłem.

* * *

Maszerowałem z ciężkim plecakiem, dopasowanym ściśle do pleców, żeby ładunek nie trząsał się za bardzo, zabierając mi jeszcze więcej energii.

Trzymałem się drogi, którą przyjechaliśmy, i uważałem na ślady, które świadczyłyby o tym, że boty ją opuściły. W regularnych odstępach czasu nakładałem okulary na podczerwień, które dostałem od Hinstega, żeby sprawdzić, czy nie ma w okolicy źródeł ciepła. Na razie z marnym rezultatem.

Wierzyłem, że jeśli będę uważny, nie zgubię śladu. Ciężkie transportery i odciski pozostawione przez boty... Tylko musiałem mieć oczy na szypułkach. Co piętnaście minut popijałem przez rurkę łyk wody z bukłaka, który miałem w plecaku. Nie oszczędzałem jej, pamiętałem, że po drodze jest kilka potoków i stawów.

Nie myślałem o przyszłości, skupiałem się na śladach. Już raz wyszedłem zwycięsko z podobnej sytuacji, nie było podstaw do twierdzenia, że nie zdołam tego zrobić po raz drugi. Jedynie moje analityczne ja wskazywało na to, że tym razem atak przeprowadzono większymi siłami, lepiej go zaplanowano i lepiej zorganizowano. A do tego boty miały jeszcze i wozy. Mimo to będą się poruszać z szybkością najpowolniejszego bota, o ile nie jadą w pojazdach. Wszystko zależało od tego, jak są sprytne, jakie mają algorytmy i jednostki sterujące. Zaprzestałem teoretyzowania,

skupiając się na działaniu.

Przed zachodem słońca znalazłem się obok stawu, gdzie zauważyłem mnóstwo odcisków w miękkiej ziemi. Śladów kół nie było, ale to zrozumiałe, zapewne maszyny musiały objechać rozmiękły teren.

Maszerowałem dalej aż do zmierzchu, a potem ułożyłem się do snu na krawędzi szosy. Byłem śmiertelnie zmęczony. Bolały mnie mięśnie, stopy, czułem się jednak jak ściśnięta sprężyna, gotowa w każdej chwili się rozprężyć.

Przykryłem się folią termoizolacyjną i spojrzałem w niebo.

Uratuję ich, uratuję ją.

Rozdział siódmy



Zrolowałem folię, zbliżał się świt. Napilem się, zjadłem batonik energetyczny, nałożyłem plecak, dociągnąłem sprzączki i pobiegłem.

Dawniej nie byłbym w stanie znieść takich boleści, dziś zdawały mi się tylko częścią egzystencji. Po pierwszym kilometrze zrobiłem krótki przystanek, żeby poprawić rzemienie i założyć na czoło opaskę przeciwpotną.

Zanim znów ruszyłem, usłyszałem dobiegający z daleka dźwięk, który szybko rozpoznałem. Poczekałem, aż na horyzoncie pojawiła się charakterystyczna niska sylwetka naszego czołgu. Wkrótce zniknął za górą, ale wiedziałem, że zaraz się przy mnie zjawi. Sądząc z odgłosu silnika, jechali szybko.

Stałem pośrodku drogi i patrzyłem na zbliżającą się maszynę. Przedtem siedziałem na ogół w jej wnętrzu i zapomniałem, jak groźne i agresywne wrażenie sprawia swoim wyglądem. Mimo że droga to wznosiła się, to opadała, wydawało mi się, że wylot lufy stale mierzy w moim kierunku. Czołg nie zwalniał, może mnie nie zauważyli. Dla ponad stu ton stali nie byłbym żadną przeszkodą.

Marlon zatrzymał czołg, gdy wylot lufy znalazł się nad moją głową. Otworzył klapę wjazdu, wylazł i z zadowoleniem wykrzywił się do mnie.

Nie miałem nastroju do jego wygłupów.

– Czego chcecie?

Otworzyła się druga klapa i pokazał się Rigajev.

– Chyba udamy się w drogę wspólnie. Zbadałem tego małego sukinsyna, którego załatwiłeś. Udało mi się złamać jego kod, wiemy, dokąd zmierzają, a ściślej, gdzie jest ich macierzyste terytorium,

gdzieś tam musi być ich baza.

– Miejsce mechanika nadal jest wolne, panie Sanders – odezwał się do mnie kapitan Knispel. Patrzył na mnie z wysokości wieży działowej.

– Śledzę te boty – odpowiedziałem.

– My też.

– Ale mnie interesuje ich zdobycz, chodzi mi o ludzi, nie o boty.

– Prawdopodobnie wracają ze zdobyczą do bazy. Gdybym jednak się mylił, gdyby pan stwierdził, że trasy botów i porwanych się rozdzieliły, może pan wybrać własny kierunek. Jestem jednak przekonany, że tak się nie stanie.

Poza tym, że poruszały się usta i kilka mięśni twarzy Knispela, jego oblicze nie przejawiało żadnych emocji. Sprawiał na mnie wrażenie tak samo żywego jak lufa ponad moją głową. Albo agregat Diesla. Ja nieustannie walczyłem z wewnętrznym napięciem, doprowadzającym mnie prawie do szaleństwa. Ale jeśli miałem uratować porwanych, nie mogłem zignorować szansy, jaka mi się nadarzyła.

– Jestem pańskim mechanikiem do czasu wyśledzenia jeńców.

– Przyjmuję.

Obszedłem czołg, aby wdrapać się na korpus i tylnym wejściem przedostać do swojego kokpitu. W tylnej części zobaczyłem dwa nowe dodatkowe zbiorniki, każdy z zawartością tysiąca litrów paliwa, a do tego dwie zwyczajowo mocowane beczki po dwieście litrów. Kapitan wyraźnie był przygotowany na długą podróż.

Wgramoliłem się na korpus i jeszcze nie zdążyłem opuścić plecaka do wjazdu, gdy czołg ruszył.

– Skąd wiesz, jak jechać, żebyśmy nie zgubili śladu, gdyby jednak nie pojechały tam, gdzie przypuszczamy, że się kierują? – zapytałem Rigajewa, kontrolując parametry silnika, doładowanie akumulatora i obroty. Marlon utrzymywał szybkość o dwanaście kilometrów na godzinę powyżej normalnej szybkości podróży.

Zamiast odpowiedzi Rigajev przysłał mi zapis radarowy. Ograniczył się do śledzenia bezpośredniej okolicy, w zasadzie trasy

i bliskiej jej ziemi. Wygenerował szczegółową mapę 3D i za pomocą algorytmu poszukiwał na niej tropów botów. Zauważyłem, że potrafił wydobyć z czujników czołgu więcej niż przedtem.

– To tu, to tam znajdujemy ich ślady wprost na drodze. Ale jej powierzchnia jest dosyć twarda i dlatego nie jest ich wiele. Tylko dwa razy znalazłem odciski na miękkiej ziemi. Oszczędzają energię, trzymają się terenu łatwego do przebycia.

To brzmiało rozsądnie.

– Doganiamy ich?

– Tego nie mogę na razie potwierdzić, ale przypuszczam, że tak. Małe boty nie są zbyt szybkie, a grupa trzyma się razem.

– Mają transportery – przypomniałem.

– Wiem o tym.

Teraz, kiedy nie zajmowałem się własnym marszem i jego trudami, czas płynął mi o wiele wolniej. Uspokajałem się tym, że zbliżamy się do botów, że je doganiamy.

Zatrzymaliśmy się długo po zmierzchu, kiedy Marlon oświadczył, że dalej już jechać nie może. Najchętniej bym go zastąpił, ale na to kapitan by nie pozwolił. Umiejętności kierowcy były zasadniczą kwestią przeżycia, a ja umiałbym prowadzić tylko w bezpiecznym terenie, gdzie brakowało zagrożeń. Przypuszczałem jednak, że w nocy zatrzymały się również boty.

Siedzieliśmy przy piecyku, każdy pogrążony w swoich myślach. Powietrze było wilgotne, czułem rosę na twarzy, na powierzchni ubrania.

– Myślisz, że ich uratujesz? – odezwał się do mnie Cyr.

Spojrzałem na niego. Patrzył na mnie tak, jakby mu bardzo zależało na mojej odpowiedzi.

– Nie wiem – odparłem. – Ale już raz to zrobiłem, muszę spróbować ponownie.

Przytaknął.

– Z nami masz większe szanse.

Chyba miał rację.

* * *

Rano wstałem pierwszy, przygotowałem śniadanie, zrobiłem kawę i walczyłem z pokusą wyciągnięcia wszystkich ze śpiworów, żebyśmy wreszcie wyruszyli. Na szczęście sami się obudzili. Marlon popatrzył na jedzenie, na moją nietkniętą porcję, potem na mnie, ale nic nie powiedział. Zjadł i moją porcję, wypił swoją kawę, umył kubek i nie tracąc więcej czasu, zasiadł na miejscu kierowcy. Ja już przeprowadziłem wszystkie konieczne kontrole i czołg był przygotowany do jazdy, wszystkie kontrolki świeciły na zielono.

Przez pierwszą godzinę podróży zajmowałem się regulacją silnika i ładowania akumulatora, żeby oszczędzić każdą kroplę paliwa. Zapewne było to zbyteczne, bo mogłem w ten sposób zaoszczędzić zaledwie kilka litrów. Ale przynajmniej miałem zajęcie.

– Jeśli będą się trzymać założonej trasy, powinny teraz odbić bardziej na północny zachód, oddalić się od drogi – powiedział Rigajev przez interkom.

Uważnie obserwowałem wyświetlacz, żeby niczego nie przegapić.

– Szczątki na jezdni, szczątki na jezdni – zameldował Katzinski.

Nie padł żaden rozkaz, lecz miałem wrażenie, że napięcie w sieci podskoczyło o kilka woltów, koła zębate obracały się szybciej, a czołg w mgnieniu oka zmienił się w jeden organizm gotowy do akcji.

– Brak aktywności – ogłosił Rigajev.

Potwierdzał to każdy czujnik, jaki mieliśmy na pokładzie. Nie wątpiłem, że Knispel wszystkiemu starannie się przyjrzy. Radar pokazywał, że zatrzymaliśmy się w odległości czterystu dwudziestu metrów od miejsca oznaczonego przez Katzinskiego. Działo było nabite, tak jak i pozostała broń, łącznie z miotaczem min, który ja obsługiwałem.

– Broń nadal w pogotowiu – zabrzmiał rozkaz. Ruszyliśmy, ale nie po szosie, tylko szerokim łukiem po przyległym do niej terenie. Knispel wyraźnie obawiał się jakiejś pułapki.

Marlon prowadził w charakterystyczny dla niego sposób.

Zmieniał tempo, unikał przejazdu przez linię horyzontu, nierówności wykorzystywał dla ukrycia się.

Do szczątków podjechaliśmy z kierunku prostopadłego do drogi. Na ekranie zobaczyłem resztki stalowych kończyn, korpusów, porozrzucanych wnętrzności botów, zniszczonego, a często wyrwanego z ciał uzbrojenia służącego do walki wręcz.

– Wygląda to na spotkanie między botami – podzieliłem się swoim wrażeniem z pozostałymi.

Z trudem utrzymywałem nerwy na wodzy, starając się, żeby mój głos brzmiał spokojnie. Żadnych martwych ludzi w zasięgu kamer nie widziałem.

– Musimy to zbadać na zewnątrz, stąd niczego nie stwierdzimy.

Przyglądałem się, jak Rigajev uściśla mapę, a Katzinski poprzez celownik działa przegląda miejsca, w których mogli ukrywać się wrogowie.

– Dobrze, pójdzie z panem Cyr i będzie pana osłaniał. Proszę wziąć komplet balistyczny i hełm -rozkazał Knispel.

Tym razem w ciasnej przestrzeni ubrałem się w rekordowo krótkim czasie.

– Jestem gotowy – oznajmiłem.

– Otworzysz klapę, wystawisz głowę i zaraz ją schowasz, jasne? – nakazał mi Cyr.

Byli bardziej zdenerwowani, niż wymagała tego sytuacja.

– Dobra – odpowiedziałem.

Chciałem już wyjść na zewnątrz, żeby przekonać się, co się tam naprawdę wydarzyło.

Otworzyłem właz. Jak zawsze, pierwszy powiew świeżego powietrza smakował najczyściej. Usłyszałem śpiew ptaków. Wyjrzałem, a potem szybko się schowałem. Nic się nie stało.

– OK. Jestem na zewnątrz, możesz wyłączyć – rzucił Cyr.

Wygramoliłem się na górę i zeskoczyłem na ziemię. Była kamienista, ale niezupełnie sucha, droga biegła tutaj skrajem lasu, ciągnącego się na północny zachód. A na północy dostrzegłem góry.

Ze śrutówką w ręce ostrożnie szedłem ku drodze. Cyr trzymał się

tuż za mną, z automatem gotowym do strzału. Wszystkie lufy czołgu również były w pogotowiu ogniowym.

Nie interesowało mnie, czy w pobliżu wałęsają się jakieś boty, skupiłem uwagę na szczątkach maszyn przed sobą. Oszacowałem, że należą do siedmiu lub ośmiu botów, najmniejszego wielkości wilczka, a największego – konia. Były to stare, wielokrotnie naprawiane typy, z elementów elektroniki wywnioskowałem, że w przeszłości naprawiali je ludzie. Boty początkowo służyły ludziom do walki z innymi ludźmi, o czym często zapominaliśmy. Z biegiem czasu stały się dla nas czymś niesterowalnym, wrogim, tak jak burze, tornada i inne kataklizmy.

Mimo wszelkich starań nie znalazłem śladów, które świadczyłyby, że w czasie walki zabity lub ranny został człowiek. Jedyne, co potwierdzało obecność ludzi, to męski but, należący prawdopodobnie do jednego z uprowadzonych.

Kończyłem już oględziny, kiedy dołączył do mnie Rigajev. Cyr nadal nas ubezpieczał, ukryty pomiędzy zwisającymi gałęziami jakiegoś krzaka.

– Co odkryłeś?

Wiedziałem, że wyrobił już sobie własne zdanie o okolicznościach tego zdarzenia.

– Grupę botów, którą ścigamy, zaatakowała inna grupa.

– Myślisz, że to wszystkie? – Popatrzył na szczątki.

Pokręciłem głową.

– Boty mają instynkt samozachowawczy. Moim zdaniem zwyciężone po prostu uciekły.

– Albo napastnicy przejęli nad nimi kontrolę – rzekł Rigajev.

O tym nie pomyślałem.

– To możliwe – zgodziłem się. – Jednak nigdy nie spotkałem się z czymś takim.

Nigdy też nie zetknąłem się z grupami walczących ze sobą botów, ale to spostrzeżenie zachowałem dla siebie.

– Czy coś cię zaskoczyło?

Rigajev chciał, żebym potwierdził jakieś jego wrażenie. Miałem

gdzieś jego wrażenia, myślałem o tym, co z tego wynika dla porwanych. Druga grupa botów też była nimi zainteresowana, jako że żadne ludzkie ciało nie znajdowało się na miejscu walki. Ale dokąd się skierowała? Tego nie wiedział nikt.

– Te szczątki to prawie złom. Przeszarzałe, wielokrotnie naprawiane boty – odparłem.

– Właśnie.

– Zabiorę swoje rzeczy i pójdę ich śladem – powiedziałem Cyrowi.
– Was interesuje ta pierwsza grupa i ich terytorium.

– To nie będzie konieczne, panie Sanders – powiedział do mnie kapitan przez interkom. – Ta grupa również zmierza w kierunku, który śledzimy. Gdyby się od niego oddaliła, poinformuję pana o tym.

Po co jeden oddział botów miałby napadać na drugi, a potem skierować się na jego terytorium? Wojna? Czemu nie, może spotkały się boty należące przed setkami lat do wrogich obozów, a ich podstawowe zaprogramowanie przetrwało aż do dziś.

– A skąd wiecie, dokąd się skierowały?

Przedtem pomagał nam fakt, że domyślaliśmy się, dokąd uciekają, ale druga grupa mogła ruszyć dokądkolwiek.

– Są skażone pyłem radioaktywnym. Niezbyt mocno, ale wystarczająco na dokładne tropienie. To była jasna odpowiedź.

– Czekamy jeszcze na coś? – zapytałem Rigajewa, wracając do czołgu.

Nadzieja umiera ostatnia. A ja miałem nadzieję.

* * *

Pojechaliśmy dalej, teren lekko się pofalował. Drzewa nie rosły tu gęsto, ponieważ brakowało wody, gąsienice zaczęły wzbijać kurz. I boty, i my trzymaliśmy się starej drogi, z której niewiele zostało, ale nadal był to najlepszy wybór. Ruin miast tym razem nie omijaliśmy, żeby nie zgubić tropu. Na szczęście były to raczej niewielkie miasta, możliwe do przejechania. W przeszłości znalazłem się już kiedyś w ruinach dużego miasta. Praktycznie

wszystkie budynki zostały zniszczone, resztki drapaczy chmur utworzyły trudny do przejścia labirynt, a kilka ostatnich budowli zmieniło się w pułapki grożące w każdej chwili zawaleniem.

Jeżeli ta grupa botów też poruszała się ze zwykłą szybkością i była ograniczona koniecznością doładowywania akumulatorów, to mogliśmy ją doścignąć wieczorem albo najpóźniej nazajutrz rano. Trzy dni to czas, który jeńcy mogli przeżyć, a już jeden dzień przeżyli.

Przez trzy kwadransy wspinaliśmy się po krętych serpentynach prowadzących na grzebień oddzielający teren, który nie podlegał już jurysdykcji Ambrezavile, ale uważany był za znany. Dalej rozciągała się terra incognita – ziemia nieznana. Najchętniej popędziłbym Marlona, żeby pojechał najkrótszą drogą prosto pod górę, ale wiedziałem, że ma rację. Oszczędzał paliwo, gąsienice i minimalizował ryzyko przypadkowego ugrzęźnięcia. Czołg też mógł ugrzęznąć, tego zdążyłem się już nauczyć.

Byłem zdenerwowany i nie mogłem się doczekać końca wspinaczki, bo przypuszczałem, że ze szczytu moglibyśmy nawiązać kontakt z botami. Optyczny czy jakiś inny. Wyposażenie czołgu było naprawdę znakomite.

Wreszcie dotarliśmy na szczyt grzebienia. Marlon ominął jeszcze kilka suchych pni i znaleźliśmy się na miejscu. Przed nami roztoczył się widok na dolinę, szeroką na pięć, może siedem kilometrów, w oddali wznosił się kolejny grzebień. Zbocza były porośnięte siwymi i żółtymi obszarami szczątkowej roślinności, w wielu miejscach erozja wyryła głębokie wąwozy, sięgające aż do skalistego podłoża. Im niżej, tym roślin było mniej. Dna doliny ze względu na zakrzywienie zboczy nie widzieliśmy.

Botów nigdzie nie wykryliśmy. Marlon zahamował i zaczął badać teren, szukając dogodnego zjazdu. Tu, na szczycie, byliśmy wystawieni na widok ze wszystkich stron. W końcu znów ruszyliśmy, zużycie paliwa niespodziewanie wzrosło, działanie systemów podtrzymujących życie nagle podskoczyło na wyższy poziom, powietrze przechodziło teraz przez pełny zestaw filtrów,

nadciśnienie wewnątrz czołgu wzrosło o dwadzieścia kilo paskali.

Nie wiedziałem, co to znaczy, jeszcze się nie orientowałem we wszystkich wskazaniach przyrządów obsługiwanych przez Rigajeva.

W połowie zjazdu zatrzymaliśmy się.

– Utraciliśmy ślad – oznajmił kapitan.

– W jaki sposób? Zniknął? – nie mogłem zrozumieć.

– Po prostu rozplynął się w tle. Skażenie okolicy zwiększyło się do wartości wyższej niż aktywność botów – objaśnił Rigajev. –

Wjedźmy na skalną platformę po lewej stronie, powinna być względnie czysta, splukana przez deszcze, chciałbym wykonać kilka testów, a do tego muszę wyjść na zewnątrz.

Knispel zgodził się na jego propozycję.

Po chwili byliśmy na miejscu. Rigajev w ochronnym ubraniu jednorazowego użytku i z maską na twarzy wysiadł. Zabrał ze sobą dwa przyrządy pomiarowe, również pieczołowicie owinięte. Obserwowaliśmy go, jak pobiera i analizuje próbki. Pracował tak samo precyzyjnie jak zawsze, jakby mu nie groziło żadne niebezpieczeństwo, jednak jego ostrożność świadczyła o czymś zupełnie innym.

– Ten obszar jest skażony szeregiem materiałów radioaktywnych – oznajmił nam. – Najwięcej jest plutonu dwieście trzydzieści dziewięć i dwieście czterdzieści oraz strontu dziewięćdziesiąt.

– A co to oznacza? – odezwał się Marlon.

– Pluton dwieście trzydzieści dziewięć emanuje promienie beta, a czas jego połowicznego rozpadu wynosi ponad dwadzieścia tysięcy lat. A więc to oznacza, że poziom skażenia jest praktycznie tak samo wysoki jak wtedy, gdy toczyły się tu walki.

– A po co ktoś skaził tę krainę takim świństwem? Przecież musiał wiedzieć, że potem do niczego mu się nie przyda – zauważył Cyr.

Zawsze myślał praktycznie.

– Tego nie wiem – odpowiedział Rigajev i zaczął układać swoje przyrządy. Wyraźnie nie zamierzał zabierać ich z powrotem do czołgu, tylko do czasu odkażenia przechowywać w specjalnie przygotowanych do tego celu skrytkach na zewnętrznym pancerzu.

– A jak silne jest to skażenie? Jaki miałyby wpływ na człowieka? – chciał wiedzieć Marlon.

On byłby ostatnim, który musiałby opuścić czołg. W takich przypadkach kierowca był najważniejszy.

– Jeśli nie nawdycha się tego paskudztwa i nie spędzi tutaj jednego, dwóch dni, to nie miałyby z tego powodu żadnych następstw. Jeśli się nawdycha, prędzej czy później umrze na raka. Kości albo płuc, co na jedno wychodzi.

– Panie Sanders, co pan sądzi o ewentualności dalszego poruszania się botów w tym terenie? -zwrócił się do mnie Knispel.

– Jeśli nie będą się przejmowały jeńcami, to nadal postarają się optymalizować swoją trasę pod względem minimalnego zużycia energii – odpowiedziałem. – W przeciwnym wypadku powinny ominąć ten obszar.

– Sprawdzę to na moim module kalkulacyjnym – rzucił Marlon.

Jednostka kalkulacyjna kierowcy wyposażona była w algorytm do określania podobnych sytuacji.

– Optymalizacja z punktu widzenia botów, maszyn poruszających się za pomocą kończyn -przypomniałem.

– Rozumiem – nie spierał się Marlon. – Poczekam z tym na Rigajeva.

Obserwowałem naszego eksperta naukowego, jak ostrożnie pozbywa się ubrania ochronnego, pozostawia je na ziemi i wchodzi na korpus czołgu w miejscu, które przedtem oczyścił sprężonym powietrzem.

Pojechaliśmy dalej. Kontrolowałem pracę silnika oraz innych systemów, wykonywałem swoje obowiązki i modliłem się, żebyśmy już wreszcie je dogonili i żebym mógł pomóc Nataszy.

Ostrożnie zjechaliśmy na dno doliny i ruszyliśmy ku przeciwległemu zbocz. Teren był nierówny, wilgotny, żeby nie powiedzieć bagnisty. Co chwila przejeżdżaliśmy przez wodę, ale podłoże pozostawało ciągle twarde i kamieniste.

Tu, na dole, nie rośło praktycznie nic.

W interkombie odezwał się delikatny gong, nie wiedziałem, co

oznacza. Nikt na to nie zareagował, tylko nadciśnienie automatycznie zwiększyło się o kilka kilo paskali, co pociągało za sobą zwiększone zużycie energii. Dlaczego?

– Marlon? – odezwał się nerwowo Rigajev. Taki ton słyszałem u niego po raz pierwszy.

– Słucham.

– Trzymaj się z daleka od tych beczek.

Szybko zorientowałem się, co ma na myśli. Przejeżdżaliśmy obok skupiska dużych beczek, których część popękała. Wyglądało na to, że zawierają jakąś masę podobną do asfaltu.

Marlon, objeżdżając beczki, sforsował rozległą i głęboką kałużę o nietypowym kolorze. Była jasnoniebieska. Gąsienice zagłębiły się w miękkim pyłe srebrnoszarego koloru, wydało mi się, że zrobiło się cieplej. Znów odezwał się gong. Automatyka padła, silnik zaczął tracić optymalne obroty, musiałem regulować je ręcznie.

Sforsowaliśmy drugą kałużę, a raczej małe jeziorko, tym razem koloru ciemnozielonego. Była to jednak inna zieleń niż kolor rzęsy na stawie. Ciemniejsza, jakby złowieszcza.

Na czole poczułem kropelki potu, termometr pokazywał wewnątrz trzydzieści osiem stopni i szedł w górę. Co pokazywał termometr zewnętrzny, nie wiedziałem, bo nie mogłem odszukać jego wskaźnika. Nigdy do tej pory nie przejmowałem się temperaturą na zewnątrz.

– Uciekaj stąd, i to szybko – warknął Rigajev do Marlona.

– Panie Balducci, proszę jak najszybciej opuścić to podmokłe miejsce – kapitan zamienił okrzyk Rigajeva w rozkaz.

Marlon przyspieszył, zielona woda wokół nas jakby wrzała, zresztą może tylko tak mi się wydawało.

Musiałem bez przerwy poprawiać parametry pracy silnika, ponieważ coraz więcej automatyki odmawiało posłuszeństwa. Wreszcie wyjechaliśmy na brzeg.

– Uciekajmy z tego piasku, jeśli można, to na skały. Uważaj, żeby nie ugrzęznąć. – Rigajev brzmiał jeszcze bardziej nerwowo.

– Wiem o tym – odpowiedział Marlon zduszonym głosem.

Trzykrotne dźwięknięcie gongu.

– Do dupy – usłyszałem Cyra.

– Co, do cholery, miało to wszystko znaczyć?

Nastąpiło parę minut szalonej jazdy na przełaj, podczas której pasy bezpieczeństwa wrzynały mi się w ciało i kilka razy uderzyłem głową w oparcie fotela.

– Niech pan się zatrzyma, panie Balducci – zabrzmiał rozkaz Knispela.

Marlon zatrzymał czołg. Knispel odwrócił wieżę w kierunku, z którego przyjechaliśmy.

Znajdowaliśmy się teraz o kilkadziesiąt metrów wyżej i zyskaliśmy możliwość przyjrzenia się terenowi, który pokonaliśmy.

Leniwie płynąca woda w jeziorkach, a raczej powierzchnie zalane wodą, oddzielone piaszczystymi mierzejami, nieregularne łąchy szarego piasku obok obszarów kamienistych.

W wielu miejscach unosiła się para, jakby woda była gorąca, w jednym miejscu wyraźnie się gotowała. Miejsce to leżało w zagłębieniu niższym od otaczającego terenu. Wyglądało na to, że właśnie pokonaliśmy jakieś poletko doświadczalne należące do szalonego chemika.

– Co to jest? Przez co przejechaliśmy? – zapytałem.

– Nie jestem pewny – odpowiedział Rigajev.

– A co oznaczał ten gong?

Odpowiedziała mi cisza.

– Co oznaczał ten gong? – powtórzyłem, zaczynając wertować tysiące stron instrukcji obsługi czołgu.

– Ostrzeżenie przed promieniowaniem – odpowiedział mi wreszcie Cyr. – Pancierz czołgu na dłuższą metę nie był zdolny do ochrony załogi przed promieniowaniem jonizującym.

Brzmiało to tak, jakby czytał z podręcznika albo instrukcji.

– A dwa gongi?

– Że nie był do tego zdolny nawet przez krótki czas – tym razem odpowiedział mi Rigajev.

– Myślałem, że ten pancierz – postukałem w metal nad swoją

głową – zapewnia najlepszą ochronę z możliwych do wytworzenia.

– To prawda, ten pancerz jest chyba najodporniejszym materiałem wytworzonym kiedykolwiek przez człowieka – zgodził się ze mną Rigajev. – Ale podczas przejazdu przez reaktor atomowy nawet on nie zapewni wystarczającej ochrony.

Rigajev mówił jak człowiek, którym coś silnie wstrząsnęło, jakby się czegoś obawiał.

– Kurwa, jaki reaktor? – prawie wykrzyknął Marlon. – Nie widzę tu żadnej zasranej elektrowni, reaktora ani niczego podobnego. Tylko zsrane, kurewskie promieniowanie, które prawie nas zabiło. Niedobrze mi...

– Nie dostaliśmy tak wielkiej dawki, żebyś poczuł się źle już teraz. Choroba popromienna rozwinie się u nas dopiero później – wyjaśnił mu Rigajev. – Mam w apteczce całkiem niezłe preparaty do pobudzania pracy nerek i wątroby oraz krwiotwórcze. A także środki przeciwmutacyjne. Gdyby było jeszcze gorzej, niż myślimy, to mam też bardzo dobre roztwory w zastrzykach. Nie umrzemy, a przynajmniej nie dziś.

Jego odpowiedź albo uspokoiła Marlona, albo go przestraszyła, w każdym razie nic więcej na ten temat nie mówił.

Zgodnie z rozkazem kapitana przejechaliśmy jeszcze wyżej i oczekiwaliśmy na szczycie grzebienia na wyniki testu systemów i zakończenie napraw automatycznych. Już odnalazłem wskazania miernika radioaktywności. Skażenie było bardzo wysokie, ale pancerz znacznie je zmniejszył.

– O co chodzi z tym reaktorem? – Cyr wrócił do wypowiedzi Rigajeva.

– Na dole jest ogromna ilość materiału rozszczepialnego. Wystarczająca do wyprodukowania bomby atomowej, wystarczająca do wywołania reakcji jądrowej. A my przejechaliśmy przez obszar, w którym przebiegała reakcja jądrowa.

– To przecież niemożliwe – odezwał się nadal podniecony Marlon. – Reaktory to skomplikowane urządzenia, dziś w eksploatacji jest już tylko kilka, tych bezobsługowych.

– No niekoniecznie – zaproponował Rigajev. – Przed dwoma miliardami lat, kiedy ruda uranu była bogatsza w łatwo rozszczepialny uran dwieście trzydzieści pięć, istniało w Afryce, w okręgu Oklo, kilka naturalnych reaktorów jądrowych. Woda działała jak spowalniacz neutronów. Spowalniała je i rozpoczynała się reakcja rozszczepiania. Ogromne temperatury spowodowały wyparowanie wody, neutrony przestały rozszczepiać uran i wszystko się skończyło. Ale tak to przebiegało przez kilkaset tysięcy lat.

No a my właśnie przejechaliśmy przez podobny obszar, gdzie woda się gotowała.

– W każdym razie powinniśmy się stąd wynieść, bo chociaż chroni nas czołg, to nie jest to najzdrowsze miejsce – zauważył Cyr.

Autodiagnostyka zbliżała się do końca, nie meldowałem o tym, wiedząc, że pozostali też niecierpliwie oczekują, aż znów będziemy mogli jechać dalej.

– Kalibruję czujniki, żeby mogły odnaleźć ślady botów. Im dalej stąd, tym większe prawdopodobieństwo odnalezienia miejsca, w którym skręciły. Teren jest bardzo trudny, algorytm wyboru optymalnej trasy daje dużo możliwości – komentował swoje działania Rigajev.

– Dokładnie – zgodził się Marlon. – Jeśli nie znajdziemy śladu tutaj, to później już nigdzie, bo mogą pojechać dokądkolwiek.

Nie przypuszczałem, żeby boty przeszły przez to radioaktywne piekło. Raczej sądziłem, że kiedy dotarły do obszaru o lekko podwyższonym poziomie radiacji, na granicy doliny, to zmieniły kierunek i obeszły niebezpieczny teren. Skażenie terenu i kamieniste podłoże spowodowały, że tego nie dostrzegliśmy. Ale jeśli zbadamy większy obszar, na pewno znów odnajdziemy ich ślady. Byłem tego pewny. Musiałem w to wierzyć, bo gdyby tak nie było, to Natasza i pozostali byliby już nieżywi.

– Czyli tutaj to działa podobnie, mam na myśli te reaktory? – wróciłem do wykładu Rigajeva.

– Trochę. Ale tu nie chodzi o uran jak tam, tylko raczej o pluton

i inne transuranowce.

To oznaczało dzieło człowieka. Nie zdziwiło mnie to, większość rzeczy zniszczył człowiek, nie natura.

– A skąd się wzięła taka barwa wody? Wyglądało to gorzej niż w jakiejś fabryce chemicznej.

– To pluton był w niej rozpuszczony, dużo plutonu. Kolor zależy od jego koncentracji.

Kolorowa trująca zupa radioaktywna. Niezwykle przygnębiające wyobrażenie.

– Dziwię się tylko, że to nie wybuchnie jak regularna atomówka. – W głosie Marlona słycać było kpinę.

– Ja też – zgodził się Rigajev. – Ale niewykluczone, że coś tam od czasu do czasu wybucha. Gdy dużo plutonu zgromadzi się w jednym miejscu, naniesione na przykład prądem wody... – zamilkł.

Nie odzywało się żadne ostrzeżenie, czujniki niczego nie meldowały, systemy bojowe pozostawały w stanie czuwania, tylko skanowanie okolicy trwało bez przerwy.

– Mam ślad – oznajmił Rigajev po pewnym czasie. – Boty przebyły dolinę, tak jak przewidywał Sanders, najprostszą drogą. A strefę skażoną opuściły tam, gdzie to wyznaczył algorytm. Widać ich radioaktywny ślad.

– Co stałoby się człowiekowi, który znalazłby się tam? – Wskazałem do tyłu. – To znaczy w tej dolinie – dodałem, ponieważ nikt nie mógł zobaczyć mojego gestu.

Chciałem, żeby to powiedział ktoś inny.

– Gdyby przebywał tam przez jedną minutę, byłby martwy. Właściwie wystarczyłaby jedna sekunda.

Rigajev okazał się jak zawsze dokładny i bezpośredni.

I to był koniec moich nadziei.

Siedziałem w swoim fotelu z zamkniętymi oczami i milczałem. To przecież nie miało sensu -dlaczego boty miałyby zniszczyć z trudem uzyskaną zdobycz? Ale życie niekiedy w ogóle nie ma sensu. A programy liczące setki lat mają go jeszcze mniej. O tym już

się kilka razy przekonałem na własnej skórze. A teraz znowu...

– Panie Sanders – zwrócił się do mnie kapitan – proszę sprawdzić regulację silnika, nie jest w tej chwili optymalna.

Otworzyłem oczy i uświadomiłem sobie, że już od pewnego czasu jedziemy.

Knispel miał rację, oprócz systemu sterującego promieniowanie jonizujące rozkalibrowało sporo czujników, a to powodowało zagrożenie dla praktycznie wszystkich systemów.

– Zrozumiałem, panie kapitanie. Już się za to biorę.

Wziąłem się do roboty.

Najprościej jest robić to, co człowiek umie.

Już nic mnie nie popychało do przodu. Ale wracać też nie było sensu. Mógłbym tak zrobić, dolinę na pewno dałoby się obejść, kilka kilometrów więcej nie grało roli. Nawyk kazał mi spojrzeć na mapę, znajdowaliśmy się na granicy częściowo znanych terenów i terra incognita.

Już po kilku kilometrach to my staliśmy się najbardziej skażonym, najbardziej radioaktywnym obiektem w okolicy. Sądząc po barometrze i chmurach gromadzących się na niebie, zbliżała się pora deszczu. Knispel dał rozkaz do zatrzymania się. To było zrozumiałe, deszcz powinien splukać z czołgu radioaktywny pył. Rzeczywiście wkrótce solidnie się rozpadało. Wszystkie włązy pozostawały zamknięte, a systemy ochrony życia włączone, więc nie słyszeliśmy bębnienia kropel o pancierz. Ani huku piorunów, które obserwowaliśmy za pomocą czujników optycznych.

Dlaczego boty przeszły przez dolinę, dlaczego wszyscy musieli umrzeć? To już nie miało znaczenia.

– Przesuńmy się o dwadzieścia metrów do przodu, panie Balducci – rozkazał Knispel po godzinie.

Taki sam rozkaz wydał jeszcze dwukrotnie. Nie chciał, żebyśmy stali na terenie skażonym splukanym z nas pyłem radioaktywnym.

– Na podstawie wskazań naszych czujników mogę powiedzieć, że jesteśmy czysti – oznajmił Rigajev. – Powietrze tak samo. Kiedy przestanie padać, przeprowadzę kontrolę zewnętrzną.

Deszcz przestał padać nad ranem i kapitan nakazał dalszą jazdę. Elektronika nadal nie działała tak, jak powinna, niektóre naprawy można było wykonać dopiero po wyłączeniu głównej jednostki sterującej i zgaszeniu silnika. Obroty stale się wahały, praktycznie ciągle musiałem poprawiać parametry ładowania akumulatora. To mi jednak nie przeszkadzało, przynajmniej nie miałem czasu na rozmyślanie.

Kłopoty stopniowo rosły i po dwudziestu kilometrach zatrzymaliśmy się. Rigajev sprawdził okolicę i wyłączyliśmy silnik. Potem otworzyliśmy skrytki z częściami zapasowymi. Elementy elektroniki przechowywane były w bardzo starannie chronionych miejscach wewnątrz czołgu i dlatego nie uległy napromieniowaniu. Wymieniliśmy, co było można, zajęło nam to praktycznie cały dzień. Już po zmierzchu wykonaliśmy próbną jazdę na dystansie około kilometra. Czołg zachowywał się lepiej, ale do poprzedniego stanu sporo jeszcze brakowało. Jednak z tym, czym dysponowaliśmy, lepszego efektu nie mogliśmy osiągnąć. Boty musiały być o wiele odporniejsze na radiację, niż uważałem to za możliwe, albo pokonały dolinę inną trasą niż my, unikając najgorszych miejsc.

Nic nie wskazywało na to, że w okolicy znajduje się ktoś oprócz nas, a kraina była czysta. Mimo to Marlon i Rigajev zostali na noc w swoich kokpitach. W przypadku Knispela i Katzińskiego już mnie to nie dziwiło, oni opuszczali czołg tylko w razie konieczności. Ja swoje legowisko wyciągnąłem na zewnątrz, nie zawracając sobie jednak głowy zabieraniem latarki czy czegoś do jedzenia. Ułożyłem się wygodnie i gapilem w niebo. Byłem zmęczony, ale nie mogłem zasnąć, obserwowałem gwiazdy, zakrywane od czasu do czasu przez wędrujące po niebie obłoki.

Ochładzało się stopniowo, lecz nie był to taki ostry atak nocnego chłodu, jaki miał miejsce w górach. Góry wydawały mi się oddalone o tysiące kilometrów i setki lat. Wtedy Natasza jeszcze żyła. Temperatura spadała powoli, choć bez przerwy, znaleźliśmy się w obszarze o innym klimacie.

Usłyszałem odgłos podeszew ślizgających się po pancerzu, a później ostrożnego zeskoku na ziemię. Tylko Cyr tak zeskakiwał, zdając sobie sprawę ze swojej masy oraz stanu ziemi rozoranej naszymi gąsienicami. Nie chciał się przewrócić i ubrudzić sobie ubrania. A na zewnątrz sypiał tak samo często jak ja.

Nie pozostał po przeciwległej stronie czołgu, przeszedł na moją. Słyszałem szelest rozwijającego się materaca, a potem odgłos odgarnianych kamyków. Przygotowywał sobie miejsce do spania. Księżyc jeszcze się nie pojawił, gwiazd było niewiele, wszystko skrywała ciemność. Cyr mimo to nie zapalał latarki.

Brząk szkła zdradził, że stawia na ziemi szklaneczki. Charakterystyczny odgłos otwieranej butelki i jeszcze bardziej znany dźwięk nalewanego alkoholu.

Później zaległa cisza.

– Umarła – powiedział.

Nie znalazłem na to odpowiedzi.

– Kochałeś ją.

Nic nie powiedziałem. Nie byłem pewny, czyją kochałem, nie byłem pewny, jakie jest znaczenie tego słowa. Ale chyba miał rację.

– Pożegnaj się z nią. Niech zostanie z Bogiem. Jeśli tego nie zrobisz, ta sytuacja cię zniszczy.

Nigdy nie przypuszczałem, że Cyr tak dobrze mi życzy, ale byłem mu wdzięczny, że jest tu ze mną.

Usiadłem, powoli wyciągnąłem rękę i ostrożnie macałem w ciemności. Palcem wskazującym dotknąłem chłodnego, gładkiego szkła.

– Martwi niczego już nie potrzebują – rzekłem bez zastanowienia.

– Za nas, za żywych, za wszystkich żywych ludzi, na których nam zależy.

Zaszeleściło ubranie Cyra.

– Na zdrowie – wzniósł toast.

Był to koniak, pachnący, mocny.

Wypiliśmy po kilka szklaneczek i nagle nadszedł poranek.

Obudziłem się pod termofolią, niebo było zachmurzone, przy

czołgu palił się piecyk naftowy, na którym gotowała się kawa. W pobliżu nie było nikogo. Wstałem, strzepnąłem z folii kryształki lodu. Było zimno, ale o tym wiedziałem już wieczorem.

Nagle pojawił się Marlon, który wykrzywił twarz na mój widok, co u niego oznaczało uśmiech.

– Spaleś jak kawał drewna, ale obudziłeś się w samą porę, kawa już gotowa.

Obok mnie nie było ani Cyra, ani szklaneczek, ani butelki po koniaku, może zresztą dwóch, sądząc po tym, jak się czułem.

– Pachnie kawą – powiedziałem.

Swoje poprzednie życie zostawiłem za sobą, nie pozostawiało mi nic oprócz spoglądania w przyszłość. Nalałem sobie kawy i wypilem łyk, chociaż była jeszcze zbyt gorąca.

Z wnętrza czołgu wynurzył się Rigajev, nic nie mówiąc, też nalał sobie kawy i nie dodając cukru, dmuchał na nią, pogrążony w myślach.

– Jaki mamy plan? – zadałem pytanie, nie kierując go do nikogo konkretnego.

– Jechać dalej do obszaru, który znamy z pamięci bota – odparł po tak długiej przerwie, że pomyślałem, iż nie dosłyszał mojego pytania.

Kraina za nami wyglądała normalnie, może była trochę za bardzo sucha, żeby stać się urodzajną, ale w tych okolicach to standard. Podczas wojny i po niej ekologia poszła do diabła, niedostatek wody stał się zwyczajnym zjawiskiem. Nic nie świadczyło o tym, że niedaleko stąd znajduje się dolina śmierci.

– W jaki sposób zdołałeś złamać kod bota? Próbowalesz tego przedtem, ale bez rezultatu -przypomniałem mu.

Kodowanie informacji w mózgach botów, oparte na najlepszej wiedzy naszych przodków, było dla nas niedostępne.

– Zadziałała podpowiedź od kapitana – odparł Rigajev, popił kawy i skrzywił się, bo była jeszcze bardzo gorąca.

Powiew chłodnego powietrza przeniknął przez kurtkę, otoczyłem dłońmi blaszany kubek.

– W przypadku dinobotów to nie zadziałało.

– Nie. Chociaż przez pewien czas myślałem, że się uda – zgodził się ze mną. – Ich system był jeszcze bardziej złożony niż u tego bota, którego załatwiłeś koło Ambrezavile – sprecyzował.

Czekałem, co jeszcze mi powie, temperatura kawy z wolna zbliżała się do właściwej.

– Kody dostępu otrzymałem od kapitana już po zbadaniu pierwszego bota, którego zlikwidowaliśmy po moim wejściu w skład załogi. O wiele wcześniej, niż ty się pojawiłeś. Ale teraz po raz pierwszy kod zadziałał, okazał się właściwy.

– A skąd go kapitan uzyskał?

– Zapytaj go.

Jechaliśmy wciąż w nieznaną, do celu, który mnie nie interesował. Ale było to lepsze, niż nie robić nic.

Późnym popołudniem dotarliśmy do zalesionego obszaru. Drzewa były młode, nie rosły tu zbyt długo, więc nie weszły jeszcze na pozostałości starej drogi, której się trzymaliśmy. Ale droga i tak była zniszczona przez wodę, deszcze i mróz.

– Zatrzymujemy się – odezwał się z nagłą kapitan. – Na trzeciej, dwieście pięćdziesiąt metrów.

Od razu zobaczyłem, co miał na myśli. Dostrzegłem resztki starego mielerza, w którym dawno temu wytwarzano węgiel drzewny. Na pierwszy rzut oka jasne się stało, dlaczego mnóstwo ściętych pni w bezpośredniej okolicy zajmowało większą powierzchnię niż drzewa w dalszej odległości. Ktoś tu używał starszej i bogatszej w drewno części lasu.

Zbadaliśmy mielerz i pozostałości dawnego obozowiska. Wydało mi się, że już od dawna nikogo tu nie było, co najmniej od roku albo i dłużej.

O wiele ostrożniej pojechaliśmy dalej i natrafiliśmy na niewielką osadę ukrytą w płytkiej dolinie. Przez dolinę przepływał potok, w bliskości domów przegrodzony i rozszerzony w nieduży staw.

Naliczyłem trzydzieści siedem domów. Zbocza doliny były uprawiane, tam, gdzie nie rozciągały się pola, pasły się owce i kozy,

krów nigdzie nie widziałem.

– Pole minowe? – z powątpiewaniem odezwał się kapitan.

Wioska sprawiała wrażenie prymitywnej, bez śladu jakichkolwiek urządzeń technicznych, ale wykonanie miny należało do łatwych zadań.

– Niczego nie widzę – odpowiedział Rigajev po chwili.

Cyr spróbował nawiązać łączność radiową, lecz nikt nie odpowiedział.

Rozkazu nie usłyszałem, ale czołg powoli ruszył.

– Przed nami jama – oznajmił Rigajev po przejechaniu trzystu metrów. – Radar ją odkrył pod warstwą słomy i gliny.

Była zbyt mała, abyśmy w niej ugrzęźli, mimo to objechaliśmy ją, znajdując po drodze dwie kolejne.

Domy otoczone były glinianym wałem, który dostrzegliśmy dopiero z bliska. Mógł służyć za ukrycie dla mieszkańców w razie konieczności obrony.

Zatrzymaliśmy się dziesięć metrów przed nim, wygramoliłem się na zewnątrz, żeby lepiej widzieć, kryjąc się za klapą wjazdu. Snajper i tak bez trudu zdjąłby mnie jednym strzałem. Widziałem długie lufy strzelb skierowane ku nam. Ich właściciele musieli zdawać sobie sprawę, że przeciw nam są bezużyteczne, ale wyraźnie niczego innego nie mieli.

– Dzień dobry – usłyszałem głos Knispela. – Jeśli to możliwe, chętnie kupimy albo wymienimy z wami pewne produkty w zamian za zapasy lub informacje.

Wychylał się z wieży działowej, obserwując wał tak samo jak ja. Trochę mnie zdziwiło, że rozmowa z wieśniakami mogła być dla niego istotna.

Z szeregu obrońców, który szacowałem na dziesięć, piętnaście osób, powstał wysoki mężczyzna około pięćdziesiątki. Był szczupły, z zapadniętą twarzą, jakby obowiązki ciążyły mu ponad siły.

W dłoni trzymał długą staroświecką strzelbę myśliwską.

– Dzień dobry. Nie przypuszczałem, że ta maszyna ma ludzką załogę. Pokażę wam, gdzie jest wjazd do wsi, żebyście nie musieli

rozbijać nam obwałowania.

Wydawało mi się niewygodne wjeżdżać pomiędzy domy, ale o tym decydował kapitan. Ruszyliśmy, Marlon ostrożnie jechał za mężczyzną pokazującym nam drogę, z tyłu obserwowała nas grupa ludzi ukrytych za wałem. Było ich czternastu, wszyscy podobnie uzbrojeni, tylko jeden posiadał coś na kształt karabinu automatycznego, o który od pewnego czasu troszczył się miejscowy kowal.

Zaparkowaliśmy na małym placu, podczas przejazdu przez wieś zauważyłem, że część domów jest pusta, część rozebrana. Jedynymi urządzeniami technicznymi, jakie dostrzegłem, były parowy generator prądu i pasy transmisyjne prowadzące do młyna. Z drugiej strony pasące się stada i pola uprawne świadczyły o dobrobycie, którego biedacy w miastach, skazani na sztuczne białko, na pewno by im zazdrościli.

– Katzinski, Balducci, Cyr zostają na miejscach, reszta wysiada. Złożymy uprzejmą wizytę, rozmawiać będę ja, pozostali tylko na moje polecenie.

– Broń? – zapytałem.

Zauważyłem, że nieuzbrojony czuję się gorzej, niż gdybym był nagi. Nie umiałem powiedzieć, kiedy się ta zmiana we mnie dokonała, ale tak było.

– Według własnego uznania, ale karabinu maszynowego ze sobą nie bierz.

Zadowolilem się tym razem strzelbą śrutówką, którą wraz z Cyrem znowu przerobiliśmy na broń osobistą.

– Panie Cyr, jaką broń z naszego arsenału pozwolilby pan przekazać im jako podarunek?

– Aten dar ma służyć przeciw ludziom czy przeciw maszynom?

– Przeciw ludziom wystarczy im to, co już mają. Stare, ale starannie utrzymane strzelby powtarzalne. Ich mechanik ma być może prymitywne narzędzia, ale jest bardzo sprawny. Przeciw maszynom, panie Cyr.

Przyglądający się wieśniacy pilnie nasłuchiwali. Kapitan używał

interkomu, ale mówił głośno.

– W takim razie rusznicę kalibru dwadzieścia milimetrów z zamkiem zatraskowym. Dodałbym do tego zapasową lufę. Nam już do niczego się nie przyda.

– Dobrze, zgadzam się. Proszę przekazać ją panu Sandersowi. W danej chwili nie może być na zewnątrz więcej niż trzech ludzi.

– Rozkaz, panie kapitanie.

* * *

Zeskoczyłem z korpusu. Knispel i Rigajev już byli na ziemi. Mnie zatrzymało przekazywanie podarunku, musiałem przedostać się do Cyra przez przejście serwisowe w przestrzeni silnika. Komitet powitalny już na nas czekał. Nie szefował mu szczupły mężczyzna dowodzący oddziałem obronnym, ale łysy, czerwonolicy grubas. Tłuszcz wygładzał mu zmarszczki, nie potrafiłem określić, w jakim jest wieku.

– Oliver Knispel, kapitan i dowódca tego czołgu. To członkowie mojej załogi, analityk Ivan Beliejewicz Rigajev, mechanik Matyas Sanders. Dziękujemy za wasze przyjazne powitanie i zaproszenie.

– Jestem Bartolomeo Kulpuci, starosta wioski, a ci tutaj mężczyźni – spojrzął na pozostałych – to radni.

Każdego przedstawił z imienia i nazwiska. Mieszkańcy nie żywili w stosunku do nas żadnych obaw, byli zainteresowani, poznałem to po ich zachowaniu, po wciąż powiększającej się grupie ciekawskich. Dowódca obrony, Aseph Krushi, był jedynym, który zachowywał pewną rezerwę. Wyglądało jednak na to, że miejscowi nie respektują jego rozkazów, żeby trzymać się z daleka.

– Wizyty, ludzkiej wizyty – uściślił Kulpuci – nie mieliśmy tu od całych dziesięcioleci.

Z przyjemnością was ugościmy.

To oznaczało, że wizyty nieludzkie zdarzały się tu częściej. Zapewne po to był ten wał.

– Prosimy przyjąć nasz skromny podarunek – zabrał głos kapitan.

– Przestrzeń wewnątrz naszego czołgu jest ograniczona, ale wierzę,

że nawet jedna rusznica będzie dla waszej osady pożyteczna.

Skinął na mnie, podszedłem i oburącz podałem rusznicę staroście, który nie wiedział, co z nią zrobić, na szczęście natychmiast zastąpił go Krushi.

– To godny dar – powiedział, kiedy już przyjrzał się broni.

– A tu naboje. – Podałem mu niewielki kuferek. – Jeśli wasz mechanik znajdzie chwilę, to poradzę mu, jak zrobić nowe.

– Dzięki. – Krushi po raz pierwszy wyglądał na naprawdę ucieszonego.

Ja odczułem sporą ulgę, pozbywając się ciężkiej broni. Całkiem wystarczała mi waga śrutówki.

– Przyszykujcie stoły i zastawcie je, dziś będziemy świętować – nakazał Kulpuci, a otaczający nas ludzie podnieśli radosną wrzawę.

Widać było po nich wyraźną ulgę i zaufanie do swego przywódcy.

W ciągu zaledwie kilkunastu minut przygotowano stoły, ławy i krzesła, a wkrótce w powietrzu dały się poczuć zapachy, od których ślinka napłynęła mi do ust, chociaż do tej pory nawet nie myślałem o jedzeniu. Chłopcy roznosili proste żelazne misy na trójnogach i rozpalali pod nimi ogień. Prawie wszyscy zabrali się do roboty, towarzystwa dotrzymywał nam tylko starosta i dwóch radnych.

– Proszę o wybaczenie, ale z konwersacją będziemy musieli chwilę poczekać, bo wszyscy są niezmiernie ciekawi i chyba by mnie ukamienowali, gdyby uznali, że staram się coś przed nimi zataić – oświadczył Kulpuci.

Nie wyglądał jednak na człowieka, który nie umiałby postępować z ludźmi. Należał do niewielkiej komuny, nie miał kontaktu ze światem, ale miał posłuch i poważanie.

Jak powiedział, tak i zrobił, nie szczędził uśmiechów, lecz w żadne długie przemowy się nie wdawał. Na stołach pojawiły się butelki z palinką, a na rozkaz Knispela dodałem do tego trzy butelki koniaku z naszych zasobów. Tymczasem na stole zaczęły się pojawiać smażone wątróbki, cynaderki, serca, po prostu wszystko to, co z prosiaka szybko nadawało się do zjedzenia.

Pachniało to tak wspaniale, że naprawdę poczułem się głodny.

– Wznoszę toast za naszych nieoczekiwanych, a przez to jeszcze miłszych gości. – Kulpuci podniósł swoją szklaneczkę.

Przyglądałem się twarzom siedzących za stołem i tych, którzy troszczyli się o zastawę, jadło i naczynia, wszyscy byli rozradowani, cieszyli się z przyjęcia i byli nas ciekawi.

Napiłem się, palinkę umieli robić, to trzeba im było przyznać.

– Wznoszę toast za wasze pola, plony, które na nich wzrastają, za wasze zwierzęta i ich potomstwo, niech to wszystko nasyci was i waszych gości.

Tak obszernego toastu nigdy bym się po Knispelu nie spodziewał, chociaż znakomicie pasował do sytuacji. Zyskał ogólny aplauz i kolejka trunku zniknęła błyskawicznie. Dołała mi piegowata dziewczyna z dużym dekoltem, a kiedy zauważyła, że przyglądam jej się częściej, niż to uzasadnione względami towarzyskimi, z rozbawieniem do mnie mrugnęła.

– Kiedy po raz ostatni ktoś przybył do waszej wioski? – zapytałem sąsiada z lewej strony, kiedy nastąpiła krótka przerwa w toastach.

Był to szczupły dowódca uzbrojonej grupy, która nas przywitała.

– W waszym czołgu ktoś został, nie? – odpowiedział pytaniem.

– Jak dotąd tak – przytaknąłem. – Zawsze też włączają automatyczne czujniki, są dokładniejsze i uważniejsze, niż potrafi pan sobie wyobrazić. Mówię o tych systemach, a nie o swoich kolegach, oni aż tak sprytni nie są.

Zaśmiał się.

– Pomyślałem sobie, że też moglibyście mieć coś takiego. Dawna technika potrafiła niewyobrażalne rzeczy.

Moja odpowiedź chyba go uspokoiła, bo jednym haustem opróżnił swoją szklaneczkę. Zauważyłem, że dotąd tylko udawał, że pije.

– Ma pan na myśli ludzkie wizyty? – wrócił do mojego pytania.

– Tak – potwierdziłem.

Na stole przede mną pojawił się duży kawał pieczeni, jakaś brunetka włożyła mi do ręki nóż i widelec.

– To bardzo dobre – szepnęła, prawie dotykając wargami mojego policzka.

Pachniała jabłkami i melisą.

– Za mojego życia jeszcze nigdy. W zeszłym roku umarł stary Helmuth, on pamiętał, kto nas ostatnim razem odwiedził. Ci ludzie zostali u nas, ale już poumierali.

Odwróciłem od niego głowę, ale brunetki już nie było.

– A te inne wizyty? Te nieludzkie?

– Przez ostatnie pięć lat zdarzają się ciągle – warknął. – Ale dziś świętujemy – dodał z naciskiem. – Pana kolej na toast – zwrócił mi uwagę, zupełnie mnie tym zaskakując.

Wstałem, spojrzałem na liczne twarze, niektóre pod wyraźnym wpływem alkoholu, ale wszystkie pełne radosnego oczekiwania. Za rzędem siedzących za stołem mężczyzn stały kobiety, patrzące na mnie, uśmiechnięte.

– Wznoszę toast za wasz silnik, za waszą wspaniałą maszynę parową – powiedziałem pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy.

Może nie było to odpowiednie, ale nie zdołałem powstrzymać już toku moich myśli, pobiegły w jednym kierunku.

– A także za waszą transmisję, za pasy skórzane, niech im nie zabraknie sprężystości i niech nadal napędzają wszystkie wasze maszyny.

Zauważyłem spojrzenie Rigajeva, pewnie zastanawiał się, jakie leki ze swoich zapasów powinien mi zaordynować.

– Tak jest! – zawołał nagle Krushi, wznosząc swoją szklaneczkę.

Wywołał w ten sposób burzę, która zupełnie zniszczyła ustalony porządek święta, na stół wjechały kolejne butelki i tace z jedzeniem. Natychmiast wyciągnęły się po nie chętne ręce. Ci ludzie potrzebowali święta i z pewnością na nie zasłużyli. Już choćby przez to, że zdołali tu przeżyć.

Usiadłem i stwierdziłem, że jestem obiektem specjalnej pieczy. Postawiono przede mną tacę z wybranymi smakołykami oraz miskę sałaty. Nie miałem nic przeciw zieleninie. U nas zbyt często się nie zdarzała, a trafiały się przypadki skorbutu, który leczylimy

syntetycznymi witaminami.

– Dlaczego mój toast tak się spodobał? – zapytałem z pełnymi ustami. Nie byłem pewny, czy zasłużyłem na taką uwagę, w każdym razie miałem zamiar to wykorzystać.

– Ponieważ wyszedł prosto od serca – odpowiedział Krushi.

Też jadł ze smakiem i wyglądał na człowieka, który przynajmniej tego dnia zapomniał o wszystkich troskach.

– A tej sałaty niech już pan raczej sobie nie dokłada – poradził mi.

– Nie wierzycie tutaj w zdrową żywność? – Uśmiechnąłem się.

– Czasami – odparł rozbawiony. Z podziwem patrzył na miskę, z której wyciągałem kolejny zielony liść.

Po pewnym czasie stwierdziłem, że bez względu na to, jak szybko będę opróżniał szklaneczki i talerze, natychmiast zostaną one znów napełnione. Przeprosiłem i odszedłem od stołu, żeby odpocząć i rozejrzeć się po okolicy. Byłem syty, palinka szumiała mi w głowie, byłem już porządnie pod jej wpływem. Ale zupełnie mi to nie przeszkadzało, dobry napitek, wyśmienite jedzenie i ogólny dobry humor wprowadziły mnie w podniosły nastrój. Potrzebowałem tego.

Przeszedłem pomiędzy domami, do każdego należał ogródek, wiata, spoza płotków przyglądały mi się kury, gdzieś ustawione były przygotowane na zimę stosy drewna. Biorąc pod uwagę, jak niewiele wyciętych drzew widzieliśmy po drodze, musieli pozyskiwać drewno z innych okolic. Ściemniało się, ognisk obok stołów biesiadnych przybywało, a ich płomienie zyskiwały na intensywności.

Swój krótki spacer zakończyłem w domu, w którym przygotowywano jedzenie. Częściowo pod gołym niebem, w kotle ustawionym na żelaznym piecu, częściowo w budynku, z którego co rusz ktoś wychodził lub do niego wbiegał.

W kuchni pracowały tylko kobiety, jedynym męskim pomocnikiem był chłopiec podsycający ogień. Kucharki i ich pomocnice przyjrzały mi się z zaciekawieniem, najstarsza z nich, siwowłosa dama w workowatych spodniach, które mimo napraw

i wielokrotnego prania zdradzały swoje wojskowe pochodzenie, powiedziała coś do dwóch towarzyszek, na co one z rozbawieniem się zaśmiały.

Oczywiste było, że uwaga dotyczyła mojej osoby. Ta najstarsza mogła mieć pięćdziesiąt, a równie dobrze siedemdziesiąt lat, życie tutaj było raczej niełatwe. Wieku dwóch pozostałych nie potrafiłem określić. Jedna miała na sobie spodnie i koszulę tak dopasowaną, że musiała być przesyta na jej miarę, druga – prostą sukienkę do kolan. Kiedy się schyliła, pod skrajem sukienki ukazały się uda, a cienki materiał opiął się na kształtnych pośladkach.

– Żeby tylko oczy nie wypadły ci na ziemię – zauważyła brunetka wracająca od stołu z naczyniami.

Wszystkie trzy zachichotały. Kiedy indziej sytuacja wprawiłaby mnie w zakłopotanie, ale mój dobry humor spowodował, że tylko wzruszyłem ramionami i przyjrzałem jej się od głowy do pięt, zatrzymując wzrok na interesujących miejscach. Nie nosiła stanika, pod cienkim materiałem sukienki rysowały się duże sutki jej piersi.

– Nic mnie to nie obchodzi, bo jest na co patrzeć... – odparłem.

Odłożyła naczynia i złapała kolejną tacę z mięsem, które tymczasem przygotowały kucharki.

– A ty należysz do tych, którzy się przyglądają, czy do tych, którzy raczej działają? – rzuciła przez ramię już w drzwiach.

Na to żadna dowcipna odpowiedź nie przyszła mi do głowy, a po brunetce nie było już ani śladu.

Uśmiechnąłem się do siebie. Jeszcze niedawno nawet nie potrafiłbym wyobrazić sobie podobnej sytuacji, a teraz nie wydawała mi się ani dziwna, ani niewłaściwa. Zresztą nie to było ważne.

Zauważyłem, że nasunięte na siebie blaszane rury tworzące improwizowany komin pieca wygięły się od gorąca i przez powstałą szczelinę zaczęły wydostawać się płomienie, a na domiar złego komin utracił ciąg.

– Naprawię to – oznajmiłem, na co najstarsza kucharka podała mi duży kawałek materiału, żebym się nie oparzył.

– Narzędzia są tam, w schowku, jeśli ich potrzebujesz – poradziła mi.

Wbiłem komin młotkiem na swoje miejsce, ściągnąłem drutem i zaklepałem.

Tymczasem ruch w kuchni się zmniejszył, biesiadnicy zaspokoili już pierwszy apetyt. Na jednym ze stołów pojawiła się taca z małymi szklaneczkami, siwowłosa kucharka napełniła je z pękatej butli. Ta wódka była ciemna i wyglądała na gęściejszą.

– Orzechówka, zasłużyłyśmy na nią, i ty również – powiedziała do mnie szefowa kuchni, podając mi szklaneczkę.

Pojawiły się inne kucharki, których przy pracy było razem osiem. Tymczasem wróciła brunetka.

– Tak, wszyscy mają już dość, możemy zrobić sobie przerwę – oznajmiła, wzięła swoją szklaneczkę i wychyliła ją jednym haustem. Poszedłem w jej ślady, to nie był likier, ale mocna palinka zlagodzona orzechami i może jeszcze odrobiną cukru.

Zauważyłem, że dziewczyna patrzy na mnie.

– Muszę przynieść dużą blachę do wątrobianek, pomożesz mi?

– No pewnie – przytaknąłem.

Odwróciła się tak gwałtownie, że skraj jej sukienki ułożył się w klosz. Nogi miała tak samo pociągające jak piersi, a może jeszcze bardziej.

Ruszyłem za nią.

– Żebyś naszego gościa zbyt nie zmęczyła i nie wyczerpała – usłyszałem jeszcze rozbawione ostrzeżenie.

– I nie pozwól mu nieść tej blachy samemu!

Kobiety śmiały się serdecznie, wcale się z tym nie kryjąc.

Brunetka weszła do jednego z domów, drzwi nie były zamknięte, wszedłem za nią, prawie na nią wpadając. Zatrzymała się na korytarzu i odwróciła, poczułem nacisk jej piersi. Oparłem ręce na jej biodrach, pod spodem nie miała niczego, tylko gorącą, gładką skórę.

Zaraziła mnie swoją dzikością, ściągnęła ze mnie spodnie, wziąłem ją na stojąco pomiędzy drzwiami, objęła mnie udami,

trzymałem ją obiema rękami, podczas szczytowania ciągnęła mnie za włosy, nogi trzęsły mi się z wysiłku. Ale kończyć nie chciałem.

– Łóżko jest w pokoju, za drzwiami na lewo – szepnęła.

Zanim ją przeniosłem, wróciła mi erekcja. Położyłem brunetkę na łóżku, przetoczyła się na brzuch, oferując mi siebie od tyłu.

Skończyliśmy zdyszani, spoceni, jej wilgotne włosy laskotały mi twarz.

– Nie możemy zapomnieć o blasze – powiedziała po chwili i wstała. – Jesteś miły, wiesz o tym? -Pogłaskała mnie.

Zbyt miły się sobie nie wydawałem i powiedziałem jej to.

– Zależy od punktu widzenia – zaśmiała się.

Usłyszałem, że się ubiera, zrobiłem to samo.

– Muszę już lecieć, przy stole będzie potrzebna pomoc – powiedziała na pożegnanie. – Zanieś im to. – Wcisnęła mi do ręki żelazną tacę, pewnie tę blachę.

Nie okazała się wcale taka ciężka, żeby trzeba było nieść ją we dwoje. Wyszedłem z domu wkrótce po brunetce, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Aż tak pociągający, żeby kobiety rzucały się na mnie, nigdy nie byłem. Może miałem szczęście? Ufałem, że o całej tej sprawie nikt się nie dowie, nie uśmiechało mi się dostać od miejscowych po pysku.

Wróciłem do kuchni, gdzie z pierwotnego zestawu pozostała tylko jedna kobieta, właśnie ta, której tyłek i nogi podziwiałem.

– Przyniosłem blachę – powiedziałem z zakłopotaniem.

Na wpół poważnie przytaknęła, byłem zadowolony, że darowała sobie jakąś uwagę na ten temat.

Jej widok i mój domysł, że ona też niczego nie ma pod sukienką, znowu mnie podnieciły.

Zabawa przy stołach była głośna i nieskrępowana, śpiewy mieszały się z wybuchami śmiechu, zdawało mi się, że ktoś tańczy.

– Wszyscy są tam – rzekła. – To znaczy prawie wszyscy, bo ja pilnuję, żeby ogień nie wygasł.

Oprócz ognia na dużym stole roboczym paliły się lampy olejowe, obok jednej z nich stała butla z orzechówką. Poza tym wszystko

było posprzątane.

– Pucharek? – zapytała.

Przytaknąłem.

Podawała mi szklaneczkę, nalała sobie i mnie, na tle płonącego ognia widziałem tylko jej ciemną sylwetkę. Podeszła do mnie bliżej, niż to było konieczne, przycisnęła swój pucharek do moich warg i ostrożnie wlała mi w usta jego zawartość. Zrobiłem to samo z moim pucharkiem. Położyłem ją na stole, zgasilem i odstawiłem obie lampy. Brunetka była dzika i namiętna, ta się nie spieszyła, wyglądało na to, że wie, czego chce. Podporządkowałem się jej tempu aż do chwili, kiedy na samym finiszu straciła nad sobą panowanie, krzyczała i w dzikim uniesieniu mocno mnie pogryzła. Musieli nas słyszeć, ale było mi to obojętne. Wszystko było mi obojętne.

Od stołu niósł się taki hałas, że jednak mogli nas nie słyszeć.

Kiedy skończyliśmy, ustawiłem znów lampy na stole, dziewczyna wstała, strzepnęła sukienkę i nagle była ubrana, jakby nic nie zaszło.

– Zgłodniałem, mogę dostać coś do zjedzenia? – zapytałem.

– Nie dziwię się. – Popatrzyła na mnie z zadowoleniem.

– Na imię mam Matyas – powiedziałem.

– Wiem o tym, słuchałam waszego dowódcy.

Z innego stołu zabrała misę z pokrywką i zaczęła przygotowywać jedzenie.

– A ja jestem Erika.

– Cześć, Eriko – powiedziałem i nalałem nam po pucharku, podała mi nóż, sama wzięła sobie drugi.

– Zuzanna powiedziała, że będziesz miły, i miała rację.

– Kto to jest Zuzanna?

Napiłem się orzechówki, odkroiłem sobie solidny kawał pieczonego mięsa i usiadłem na pieńku pełniącym rolę stołka.

– Zuzanna to ta brunetka?

– Tak, to ona zaprowadziła cię do swojego domu – potwierdziła. – Jesteś miły, ale wydajesz się trochę smutny.

– Już tylko trochę – odrzekłem.

Czułem się z lekka pijany i miałem takie uczucie, że unoszę się dwa metry nad ziemią i obserwuję samego siebie oczami kogoś innego.

Przez pewien czas jedliśmy i popijali w milczeniu, a później zorientowałem się, że opowiadam Erice o podróży z konwojem, o Nataszy, o tym, jak się poznaliśmy, i o tym, jak umarła w radioaktywnej dolinie. Nie musiałem tego robić, ale chciałem.

Chyba znowu się kochaliśmy, choć mógł to być tylko sen.

Obudziłem się przed wschodem słońca, na ramiona ktoś narzucił mi koc, bolały mnie plecy, którymi opierałem się o stół. W piecu nadal palił się ogień, woda w garnku cicho szumiała, coś zabrzęczało metalicznie. Popatrzyłem w tym kierunku, szefowa kuchni coś mieszała w dużym naczyniu. Wyglądała tak samo jak wieczorem, nałożyła tylko krótką kurtkę.

Nalała do kubka dwie chochelki z naczynia na piecu i mi podała.

– Wypij wszystko, nie będzie cię boleć głowa. Być może – dodała po chwili.

Pokiwałem głową i powoli popijałem gorącą ciecz.

– To wczoraj to nie był przypadek – stwierdziłem.

Patrzyła na mnie spokojnie, osada była jeszcze cicha, poranek wstał dopiero niedawno.

– To było zamierzone.

– Tak – potwierdziła. – Takie święto wesołej nocy urządzamy zazwyczaj, kiedy plony są już zwiezione. Ale wasz przyjazd musieliśmy wykorzystać. Rodzi się coraz mniej dzieci, a jeszcze mniej z nich jest zdrowych. To tylko drobiazg. – Pokazała mi lewą rękę.

Dopiero teraz zauważyłem, że ma na niej sześć palców.

– Żyjemy tu już bardzo długo odcięci od świata. Po wielu generacjach wszyscy staliśmy się krewnymi i przybywało defektów genetycznych. Sześć palców to tylko problem kosmetyczny. Wesoła noc służy do tego, żeby geny się wymieszały, jak to tylko możliwe, bez względu na istniejące związki i moralność.

– Niektóre kobiety miały suknie, niektóre spodnie –

przypominałem sobie szczegóły.

– Trafne spostrzeżenie – powiedziała z uśmiechem. – Sukienki są w takich momentach bardzo praktyczne i to jest sygnał.

Napiłem się gorącego odwaru.

– A jak się wszyscy będą do tego odnosić dziś?

– Nijak – odpowiedziała spokojnie. – O wesołej nocy się nie rozmawia. I mało kto dokładnie ją pamięta.

Podczas spania czułem ból. Aż tak dużo znowu nie wypilem. Moje wczorajsze wyczyny seksualne nie wydawały mi się naturalne. Kondycja też nie.

– Czy dodaliście do jedzenia jakieś afrodyzjaki?

– Do jedzenia nie. Podawana była sałata w specjalnej zalewie. To stary przepis. Żeby mężczyźni chcieli więcej, więcej wytrzymali, a kobiety też chciały więcej i były beztroskie.

Znowu się napiłem, mając nadzieję, że pomoże na młoteczki stukające w mojej głowie.

– Mielicie interesujące przygody – zmieniła temat.

Erika wyraźnie nie pozostawiła mojego opowiadania tylko dla siebie. Pomyślałem przez chwilę.

– Chyba musiałem o tym opowiedzieć. – Wzruszyłem ramionami.

– Ale przecież to nie koniec – uznała, dokładając drew do pieca.

Miała rację, to nie koniec, tylko moje życie, rzeczywistość. Ta historia nie miała zakończenia służącego do rozrywki albo wyciągnięcia wniosków, jakiego ludzie się spodziewają.

– I co dalej? – zapytała.

Znów się zamyśliłem. Starsza kobieta przyglądała mi się, mieszając napój w garnku.

Wydawać by się mogło, że z Knispelem i resztą załogi pojechałem z przyzwyczajenia, ponieważ jak dotąd nie miałem możliwości odłączyć się od nich. Ale czy rzeczywiście chciałem się od nich odłączyć? Mogłem zostać w wiosce, mogłem się odwrócić i podjąć próbę powrotu do Ambrezavile, albo i do domu. Mógłbym to zrobić bez trudu. Pustynia już mnie nie przerażała, odległość stała się tylko kwestią konsekwencji i woli. Nie bałem się ziemi nieznanej, była mi

już znajoma. Zdołałbym wrócić, gdybym chciał.

– Maszyny nie mogą zabijać ludzi – powiedziałem.

Już nie zamierzałem oddzielać się od załogi oraz kapitana i rozpoczynać innego nowego życia.

– I to jest koniec przygody? – zapytała.

– Tak – potwierdziłem. – To koniec.

– Być może. Ale wybacz, głośno myślałam.

Pożegnałem się z nią i poszedłem do czołgu.

* * *

Przygotowaliśmy się do dalszej podróży, zanim wioska się obudziła. Podczas przeglądu szczególną uwagę poświęciłem gąsienicom. Widać po nich było zużycie, na wielu członach markery oznaczające ich żywotność były już wytarte. To jednak nie przeszkadzało; jeżeli się o nie zatroszczyć, powinny przejechać jeszcze z tysiąc kilometrów. W pracy towarzyszył mi Krushi, który wyglądał wręcz niewiarygodnie świeżo. Natomiast Cyr i Rigajev sprawiali wrażenie, że męczy ich nawet oddychanie. Ja czułem się dobrze, ale nie wiedziałem, co oni robili w tę wesołą noc.

Kiedy spakowaliśmy wszystkie nasze rzeczy, kapitan wydobyl mapę wykonaną na nienaturalnie błyszczącym papierze i ostrożnie rozłożył ją na jednej z ławek.

– To jest mapa okolicy z mojego archiwum. – Stuknął w papier, który natychmiast pokrył się siecią linii i znaków topograficznych.

Był to inteligentny papier, o którym czytałem w książkach historycznych, ale nie przypuszczałem, że jeszcze istnieje i działa. Dlaczego Knispel nie używał go nigdy przedtem? Czy ukrywał go przede mną? A może była na nim mapa tylko tej krainy?

– A tutaj są informacje od pana Krushiego – mówił dalej kapitan i na mapie pojawiły się ręcznie naniesione uwagi.

Oprócz obszaru określonego jako baza maszyn i krzyżyków oznaczających miejsca potyczek przybyło mnóstwo uwag nakreślonych dużymi, niekształtnymi literami.

– Czy może pan mojej załodze powtórzyć to, co wczoraj mówił

mnie?

– Niektórzy z nich już o tym wiedzą. – Krushi rozejrzał się z uśmiechem.

Nie był takim sztywniakiem, za jakiego go uważałem.

– Proszę – odezwał się kapitan.

Ciekawe, jak może zadziałać prośba wypowiedziana głosem zupełnie pozbawionym emocji.

– Żyjemy tutaj już długo, od niepamiętnych czasów, od wojny – zaczął Krushi. – W porównaniu ze starymi zapisami z kronik wiedzie nam się coraz lepiej. Bogatsze plony, mniej chorób spowodowanych promieniowaniem, więcej narodzonych dzieci, które przeżyły. Chociaż akurat to ostatnie na przestrzeni ostatnich trzech generacji wygląda gorzej. Może dlatego, że nie zdołaliśmy znaleźć innych ludzi, chociaż wierzyliśmy, że nie tylko my przetrwalimy wojnę. Ale nie mieliśmy żadnych maszyn, które przewiozłyby nas przez skażone terytorium. A z tych, którzy na piechotę wyruszyli w kierunku zachodnim, nie wrócił nikt. Tak zapisano w kronikach – zakończył.

– Dolina, przez którą przejechaliśmy, otwiera się na południowy zachód. Woda, która z niej wypływa, jest silnie skażona, a ze względu na obecność strontu trująca. Przez dolinę nikt nie przejdzie, a kiedy spróbuje ją obejść, natrafi na tę trującą wodę, co go oczywiście zabije -skomentował informację zmęczony Rigajev.

– A na północ? – zapytał milczący na ogół Katzinski.

– Na północy są góry i pustynia, nikt nigdy nie chodził na północ – odpowiedział Krushi.

To była odpowiedź na pytanie, dlaczego osada została przez całe stulecia odizolowana. Logiczna i zrozumiała. Historia znała takie dziwne i nieprawdopodobne przypadki.

– A jak się sytuacja rozwinęła później? – zapytał kapitan.

– Przed dziesięciu laty w okolicy pojawiły się maszyny – zachmurzył się Krushi.

– Ma pan na myśli boty – podsunął Marlon.

Nie wyglądał najlepiej, ale temat zainteresował go na tyle, że

postanowił włączyć do rozmowy swoje ostatnie rezerwy energii.

– Po prostu maszyny – powtórzył Krushi. – Ruchliwe, niebezpieczne. Przez rok kręciły się wokoło i nic się nie działo. Tylko nas obserwowały. A później zniknęli pierwsi ludzie. Janos Bougi i Piveli Sumraci.

Nawet po dziesięciu latach dokładnie pamiętał ich nazwiska.

– Piveli Sumraci był moim ojcem. A Janos jego teściem.

– A te boty, to jest maszyny – poprawiłem się – miały z tym coś wspólnego?

– Tak – odparł zdecydowanie. – Wtedy nie byłem pewny, ale później zaczęli znikać też inni. I to te maszyny porwały ludzi, czy też jak je nazywacie, boty.

Obie nazwy były w gruncie rzeczy synonimami.

– Dlaczego? – zapytał Marlon.

– Bo są im potrzebni – odparł logicznie Krushi. – W ciągu dziesięciu lat porwali jedenastu, a tylko jeden zginął w trakcie porwania. To znaczy, że są im potrzebni żywi.

Doszedł do tych samych wniosków, co my. Nie mieliśmy powodu mu nie wierzyć.

– Według pana Krushiego boty porywające ludzi mają bazę gdzieś tutaj. – Knispel wskazał na zakreślony obszar na mapie. – To daleko od naszej marszruty i współrzędnych uzyskanych z pamięci zniszczonego bota, ale zdecydowałem się zbadać tę lokalizację. Ale pan z nami jechać nie musi – zwrócił się do dowódcy obrony wioski. – Wasi ludzie zależą od pana obecności.

– Obiecaliście mi, że wypalicie to gniazdo zła. A jeśli nie, a wasza maszyna będzie nadal sprawna, odwieziecie mnie z powrotem.

– Oczywiście, jest pan naszym gościem – odpowiedział krótko Knispel. – Pojedziemy. Sanders, proszę pokazać panu Krushiemu, jak się podróżuje na korpusie czołgu. A jeśli nie przysporzy to panu zbytnej niewygody, to byłbym rad, gdyby mu pan towarzyszył.

Kapitan był uprzejmiejszy, niż się spodziewałem, ale może zależało mu na Krushim, albo miał jakiś inny powód.

– Chodźmy, jest kilka drobiazgów, które ułatwią podróż na

korpusie. Ale trzeba je przygotować – powiedziałem.

Do powierzchni czołgu nie można zamocować żadnej przyssawki z powodu min próżniowych ani magnesu z uwagi na miny magnetyczne. W kilku miejscach, o ile człowiek wiedział gdzie, można było użyć rodzaju przemysłowego rzepu o specyficznej charakterystyce. Te uchwyty wytrzymywały ogromne siły i dały się odpiąć tylko po dezaktywacji sekwencji fal elektromagnetycznych.

Umocowałem uchwyty i przypiąłem do nich tłumiącą drgania podkładkę, której sam często używałem. Drugą przypiąłem w miejscu niezbyt oddalonym.

– Pojedzie pan tutaj razem ze mną? – zapytał zaskoczony Krushi.

Musiał być twardy, skoro zdecydował się jechać w nieznane na pancerzu maszyny, której nigdy przedtem nie widział.

– No tak, możemy rozmawiać podczas podróży – naśladowałem jowialność kapitana.

To oczywiście nie wchodziło w rachubę, ze względu na hałas gąsienic żadnych rozmów nie dawało się prowadzić. O ile Marlon nie zastosuje taktyki pełzania, kiedy będziemy się poruszali z prędkością wolno idącego człowieka. Lub jeśli Krushi nie dostanie interkomu, ale takiego rozkazu nie otrzymałem.

Krushi pokiwał głową, w skupieniu wysłuchał moich instrukcji. Byliśmy gotowi do drogi.

– Sanders, czy byłby pan tak uprzejmy i zapoznał naszego gościa z zasadami komunikacji wewnętrznej?

Knispel wyrażał się bardzo wytwornie, ale było jasne, że chodzi o rozkazy.

Cyr podał mi końcówkę interkomu, a ja przekazałem ją Krushiemu.

– Tutaj się włącza, tu wyłącza – pokazałem.

W tym czasie Rigajev informował mnie przez interkom o regulacji urządzenia przeznaczonego dla naszego gościa. Kapitan życzył sobie, żeby każdy z nas mógł go informować o aktualnej sytuacji, ale żeby Krushi nie mógł słyszeć naszych rozmów prowadzonych na ogólnym obwodzie. Nasz system komunikacyjny

umożliwiał taką konfigurację, trzeba było tylko odpowiednio go zaprogramować. Przeczytałem o tym w instrukcji obsługi czołgu i przypadkiem tę informację zapamiętałem.

– Rozumiem – potwierdziłem.

Krushu spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– To nie było przeznaczone dla pana – wyjaśniłem. – Niech się pan przypnie tutaj. – Wskazałem mu miejsce.

Marlon ruszył powoli i ostrożnie, jednak z doświadczenia wiedziałem, że po kilkuset metrach zapomni o pasażerach jadących na zewnątrz i wszystkie swoje zdolności poświęci temu, aby poprowadzić czołg wybraną trasą jak najdokładniej i z najmniejszym zużyciem paliwa.

Za to mu płacono i w tym był mistrzem.

Krushu z początku trzymał się kurczowo, ale później coraz bardziej polegał na przyczepności tłumiącej drgania podkładki i pasów, którymi był przypięty. Nie miał specjalnych okularów chroniących oczy przed kurzem, wcale mu to nie przeszkadzało.

– Doskonale sobie pan radzi, chociaż widzi czołg po raz pierwszy – pochwaliłem go.

– Mamy u siebie książki, a w nich ilustracje i wiele informacji. Coraz mniej z nich rozumiemy, ale nie jesteśmy jeszcze całkiem ograniczeni.

Przez jakiś czas myślałem o tym, co powiedział. Miał rację, ludzkość traciła jedną umiejętność po drugiej i ten proces wcale się nie kończył. Może spadniemy do poziomu prostych wieśniaków, wspominających swoich przodków podobnych do bogów. Ale jeżeli nastanie czas maszyn, a właściwie ich wyższy stopień rozwoju, sztuczne inteligencje – nie zostaniemy nawet wieśniakami, tylko ginącym rodzajem, ślepią ścieżką ewolucji.

Archiwum czołgu było bardzo obszerne, a ja miałem dużo czasu na zapoznanie się z nim. Zmieniłem się, i to nie tylko przez czytanie.

– Do czego służą te występy? – zapytał Krushu, wskazując obłą wypukłości na bocznym pancerzu korpusu.

Był spostrzegawczy, ja sam zastanawiałem się nad tym

w przeszłości, ale niczego nie wymyśliłem, a ponieważ pozostali członkowie załogi zignorowali moje pytania w tej sprawie, po prostu przestałem je zauważać.

– Dlaczego wasze problemy z botami zaczęły się przed dziesięciu laty? Dlaczego nie wcześniej? Przecież już od stuleci żyjecie w tym miejscu.

Za pomocą interkomu rozmawiało nam się swobodnie. Nie patrzyliśmy na siebie, obserwowaliśmy drogę przed nami. Marlon utrzymywał prędkość ekonomiczną do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę, przejeżdżaliśmy przez doliny częściowo porośnięte niedużymi zagajnikami, oddzielonymi od siebie trawiastymi płaszczynami. Krushi nie odpowiadał, a ja zastanawiałem się, co może być przyczyną takiego wyglądu tej krainy. Niedostatek wody na górze? Możliwe, ale na pewno nie z powodu zróżnicowanej sumy opadów, ale raczej ze względu na różną strukturę gleby powierzchniowej. Być może góry dawno temu straciły swą roślinność, woda i wiatr przeniosły większość urodzajnego humusu i zostało go tak niewiele, że drzewa nie utrzymały się w górach.

– Myślę, że na pustkowiach stało się coś, co zmusiło boty do przyścia aż tutaj – odpowiedział Krushi po dłuższym czasie.

To było rozsądne przypuszczenie. Krushi zbyt wiele nie mówił, ale to, co powiedział, miało na ogół ręce i nogi.

Zastanawiałem się nad tym, co mogło zmusić boty do zmiany terytorium. Już nie uważałem, że są to tylko jednostki działające zgodnie z wszczepionymi im algorytmami, ale zorganizowane grupy podlegające dowodzeniu. Przez kogo?

Coraz więcej pytań bez odpowiedzi. Przez udoskonalone boty? Przez komputery starych sztabów głównych albo przez bojowe sztuczne inteligencje? Nie chciało mi się w to wierzyć. Im bardziej złożony jest system, tym szybciej podlega entropii. O entropii miałem nader mgliste pojęcie, czytałem o tym w starych podręcznikach i nigdy do końca nie zrozumiałem, o co chodzi[5].

– Kontakt na jedenastej, sto pięćdziesiąt metrów przed nami.

Cholernie blisko, dlaczego nie zobaczyliśmy go wcześniej?

– Niech pan nie wystawia rąk poza tę matową linię – krzyknąłem do Krushiego.

– Dlaczego?

– Obrót wieży mógłby panu oderwać ręce, nie ma okrągłego kształtu.

– Jaką linię?

Ja ją widziałem, ale niewiele różniła się od cienia, a może ją sobie tylko wyobrażałem, dobrze znając kształt wieży i wiedząc, jaką powierzchnię zajmuje podczas obrotu.

– Po prostu niech pan uważa i nie wystawia rąk za daleko przed siebie. Gdyby zaczęli do nas strzelać, niech się pan kryje za wieżą.

Na przekór własnym słowom wychyliłem się mocno na bok, żeby lepiej widzieć. Krushi zrobił tak samo. Taki pożytek z dobrych rad.

Wieża drgnęła, Marlon zahamował i czołg stanął. Gdybym się mocno nie trzymał, na pewno bym spadł. Popatrzyłem wzdłuż lufy i bez trudu dostrzegłem bota. Był duży, czworonogi, starszego typu, sądząc po wydechu spalin, miał w tylnej części silnik spalinowy, zapewne połączony z akumulatorami. Głowa była najeżona mnóstwem czujników, pochodzących, jak się wydawało, z różnego typu maszyn. Zwiadowca.

– Panie Krushi, panie Sanders, zeskakujcie i ukryjcie się – rozkazał Knispel.

– Wykonaj – rzuciłem, skacząc na ziemię, w tym samym momencie czołg wyrwał do przodu. Marlon przyspieszał na pełnych obrotach.

Rozległo się kilka eksplozji i serii z broni maszynowej. Granatnik, moździerz, działko szybkostrzelne i wielkokalibrowy karabin maszynowy – zidentyfikowałem, leżąc z twarzą przyciśniętą do miękkiej gliny. Po chwili na przekór zdrowemu rozsądkowi wstałem, byłem zbyt ciekawy.

Marlon jechał obok drogi pomiędzy drzewami, pnie pod naporem stu ton stali pękały jak zapałki. W polu widzenia pojawił się szary rząd botów, ale i one zniknęły rozgniecione przez czołg. Broń

automatyczna znów zaczęła strzelać, tylko działało jak dotąd milczało.

Nagle wszędzie dookoła pojawiły się boty. Czołg zatrzymał się, szybko skręcając w prawo. Wieża na odwrót, przekreśliła się w lewo. Boty usiłowały wskoczyć na czołg, odpadały bezradnie, nie znajdując uchwytu. Kilka botów wyposażonych w broń palną rozpoczęło ogień, nieskuteczny przeciw naszemu pancerzowi. Znów rozszczękały się wszystkie nasze karabiny maszynowe oraz działko szybkostrzelne, zawyły też tnące szczęki atakujących maszyn. Marlon znów przyspieszył, zgrzyt metalu gniecionej masą czołgu mieszał się z wybuchami, to nasze granaty likwidowały te boty, które mimo szalonego tańca ciężkiej maszyny zdołały utrzymać się na pancerzu.

Nagle nastąpiła cisza, ocalałe boty uciekały, pozostałe leżały na ziemi w całości lub w kawałkach. Te szczątki nadal były niebezpieczne, jak dobrze pamiętałem.

Krushi stanął obok mnie, dopiero teraz zorientowałem się, że trzymam w rękach odbezpieczoną strzelbę. Teraz jej moc działała na mnie uspokajająco.

Marlon wjechał z powrotem na drogę, w kilku miejscach na pancerzu pojawiły się jasne ślady po trafieniach i wybuchach naszych granatów, jednak czołg nie odniósł żadnych uszkodzeń.

– Uciekły? – zapytałem.

– Nie wiem, to zależy od tego, jak sprawnie są zorganizowane – odezwał się Knispel. -Pojedziemy dalej, do obszaru, który uważają za swoje terytorium. Chciałbym, żeby poszedł pan przed nami jako wysunięty zwiadowca. Ich zwyczajową taktyką w walce przeciw maszynom, których nie mogą zniszczyć bezpośrednim atakiem, jest sporządzanie pułapek. Możliwe, że właśnie po to próbowali nas tu zatrzymać.



Knispel miał większe doświadczenie z botami, niż myślałem. Kilka tygodni temu jego rozkaz by mnie zdenerwował, rozważałbym ryzyko z tym związane, zastanawiał się, czy go

posłuchać. Dziś już nie.

– Rozkaz, panie kapitanie – powiedziałem tylko.

– Panie Krushi, słyszy mnie pan? – kapitan zwrócił się do naszego gościa.

– Tak, słyszę – odpowiedział Krushi, rozglądając się niepewnie za adresatem swojej odpowiedzi. Jakiś czas upływa, zanim człowiek przyzwyczaja się do interkomu.

– Panie Krushi, ze względu na bezpieczeństwo zalecam panu pozostać na miejscu, dopóki nie skończymy zwiadu.

– Rozumiem – potwierdził Krushi, odbezpieczając broń, którą wczoraj od nas otrzymał.

Widać było, że już ją dokładnie przejrzał i nauczył się z nią obchodzić.

Skinąłem na niego, razem przeszliśmy na drugą stronę czołgu, omijając szczątki botów. Jeden z nich wydał mi się zdolny do akcji i strzeliłem do niego. Wiązka pocisków wybiła w jego korpusie głęboką wyrwę, światło w czujnikach zgasło.

– Jest pan ranny – zwrócił mi uwagę Krushi.

Otarłem krew z czoła.

– Rykoszet odłamka – mruknąłem. Tego nieraz nie sposób było uniknąć.

Zatrzymaliśmy się w miejscu, w którym czekał na nas największy bot. Jego szczątków nigdzie nie widziałem, ale trafienia z działka szybkostrzelnego mogły go roznieść na kawałki.

– Jakich pułapek możemy oczekiwać? – zapytałem.

– Czegokolwiek, co mogłoby ograniczyć ruch czołgu albo spowodować jego uwięźnięcie. Wykopy, barykady, zamaskowane doły, konstrukcje stojące obok naszej trasy, które przewracając się, mogą nam zagrozić.

– A miny?

– Dostrzegłbym je ja albo Marlon – odparł Rigajev.

Wszystkie te informacje przekazałem swemu towarzyszowi.

– W razie ewentualnego ataku będziemy was ubezpieczać, to nasze priorytetowe zadanie -dodał Knispel.

– Zrozumiałem, panie kapitanie, idziemy.

Komplet balistyczny pozostał w czołgu, zbyt długo trwałoby jego zakładanie, nasadziłem tylko hełm z szerokokątną kamerą, będącą jego częścią. Siłę ognia strzelby nastawiłem na trójkę. Dwa wystrzały spokojnie wytrzymam.

Broń trzymałem w obu rękach, lufą do ziemi. Szliśmy obok siebie pomiędzy drzewami, nasze kroki tłumiły opadłe liście i gałązki, a także małe krzewinki. Za nami w niewielkim odstępie słychać było grzechotanie gąsienic i to był najgłośniejszy dźwięk, jaki czołg wydawał, jadąc teraz tylko na akumulatorze. Drzewa rosły coraz wyższe, zmieniając się stopniowo w olbrzymy godne pralasu, równocześnie jednak przez ich gąszcz zaczęło prześwitywać światło, jakby las miał się wkrótce skończyć. Po botach nie było śladu, Rigajev potwierdzał to na podstawie odczytów z czujników czołgu.

Podniosłem lewą rękę, dając znak do zatrzymania się. Czołg stanął, po chwili Marlon włączył silnik spalinowy. Chciał być przygotowany do akcji, jeżeli okazałaby się konieczna.

– Po lewej stronie widzę na drzewie coś białego – zwróciłem uwagę i ruszyłem w tym kierunku ze strzelbą przyciśniętą do ramienia i palcem na spuście. Biała plama na pniu stawała się coraz wyraźniejsza i po kilku kolejnych krokach zrozumiałem, na co patrzę. Klin wycięty w drzewie, pień został w trzech czwartych podcięty. Przy odpowiednio silnym popchnięciu przewróci się na drogę. Ale jedno drzewo nie wystarczyłoby oczywiście do zatrzymania czołgu.

Rozglądałem się ostrożnie, patrząc wzdłuż lufy, krok za krokiem przesuając się do przodu. Kilka dalszych drzew również było podciętych, wyglądało to tak, jakby ktoś postanowił zagrać z nami w domino. Świeże drewno świeciło bielą, gdzieś na jej tle widać było ciemne plamy od przypalenia przez narzędzie. Piły chyba nie używały, wyglądało to raczej na efekt pracy ich tnących szczęk, które doskonale radziły sobie z drewnem. Naliczyłem dziesięć do dwunastu drzew, które miały spaść na drogę, co na pewno by nas spowolniło, a być może unieruchomiło na pewien

czas. A nawet mogło wyrządzić szkody, jeśli drzewo spadłoby na lufę działa. Były to duże drzewa, których pni nie objęłoby nawet dwóch dorosłych mężczyzn, i stanowiły niebezpieczną pułapkę przygotowaną w niezwykle krótkim czasie. Ale gdzie jest pierwszy kamień domina? Ręka zaczęła mnie boleć od ciągłego trzymania broni gotowej do strzału, lecz nie zmieniałem pozycji. Moją uwagę zwrócił leśny olbrzym rosnący nieco dalej. Oceniałem średnicę jego pnia na jakieś pięć metrów, konary wyrastały z niego na wysokości wierzchołków okolicznych buków, osiągając rozmiary całych drzew. Wysokości tego giganta nie umiałem ocenić. Powoli zbliżyłem się do niego, korę miał spękaną, sądząc po szyszkach leżących pod nim na ziemi, był to świerk. Ogromny świerk. Gdyby upadł w prawidłowym kierunku, przewróciłby wszystkie podcięte drzewa na drogę.

– Sanders, nie idźcie dalej, stracimy was z oczu pomiędzy drzewami i nie zdołamy ubezpieczać -odezwał się Knispel.

– Muszę przyjrzeć się temu z bliska – oświadczyłem.

Powoli obszedłem ogromne drzewo, stąpając bezszelestnie po grubej warstwie igliwia, i dostrzegłem klin wycięty w grubym pniu. Jak też dużego czworonożnego bota, stojącego na tylnych kończynach, przednimi zapierającego się w pień nad wycięciem. Bot mnie nie zauważył, można powiedzieć, że przypatrywał się drzewu. Był to stary, wielokrotnie naprawiany typ wyposażony w elastyczny system ruchowy na tylnych kończynach, w części wspomagany mechanizmem tłokowym.

Zrobiłem jeszcze krok, miałem nadzieję, że Krushi nie popełni jakiegoś błędu, który mógłby mnie zaskoczyć. Wycelowalem w tylną nogę bota, ale w tej samej chwili jego przednie kończyny naparły na drzewo i rozległ się głośny trzask. Wystrzeliłem.

Pociski urwały botowi nogę, Krushi trafił go od tyłu w głowę. Mimo to ogromny świerk zaczął się przewracać.

– Cofajcie – krzychałem do mikrofonu.

Bot odwrócił się błyskawicznie, teraz widziałem jego głowę. Pod rzędem czujników optycznych znajdowały się dwie pary narzędzi

tnących. Dźwięk o wysokiej częstotliwości wwiercił mi się do uszu, z ukrycia wyłoniła się kolejna para narzędzi tnących i rozpałił się płomień o bardzo wysokiej temperaturze.

Bot skoczył i upadł na bok, musiał stracić diagnostykę i nie zdawał sobie sprawy z braku nogi. Drzewo definitywnie padało, znów rozległy się serie z karabinów maszynowych i działka szybkostrzelnego.

Wystrzeliłem po raz drugi, trafiając bota w spojenie głowy z korpusem, wirujące piły ucichły, pozostała noga zaczęła rytmicznie drgać. Krushi chciał pobiec do czołgu, ale pokręciłem głową.

– Na ziemię – ryknąłem, padając plackiem na miękkie igliwie.

Odezwały się eksplozje granatów moździerzowych.

Leżałem, nasłuchując wycia odłamków przelatujących nade mną. Wybuchów i wystrzałów było więcej, niż odpowiadało to uzbrojeniu czołgu, te boty używały broni palnej. Tego nie doświadczyłem ani w domu, ani podczas podróży z konwojem.

Nagle nastąpiła cisza, walka się zakończyła.

Ostrożnie podniosłem głowę, za plątaniną sterczących gałęzi niczego nie mogłem dostrzec, widziałem tylko niebo nad sobą, którego już nie zasłaniały korony powalonych drzew.

Wstałem i podniosłem strzelbę. Musiałem to zrobić lewą ręką, bo prawe ramię bolało mnie jak diabli. Krushi poszedł pierwszy, zgrabnie przeciskając się przez gmatwaninę pni i gałęzi. Ale on nie strzelał z czegoś tak okropnego jak ja. Przystawiłem przełącznik siły wystrzału na dwójkę i poszedłem za nim.

Powalone drzewa zatarasowały drogę na odcinku o długości minimum pięćdziesięciu metrów, walące się pnie z pewnością unieruchomiłyby czołg, jeśli nie uszkodziłyby go poważnie. A wtedy boty zrobiłyby z nami porządek. Czołg stał wycofany o pięćdziesiąt metrów do tyłu, nienaruszony, czekając na kolejnych wrogów. Wokół niego poniewierało się mnóstwo pozostałości drugiej fali atakujących botów, w powietrzu unosił się zapach materiałów wybuchowych.

– Zlikwidowaliśmy je? – zapytałem.

– Tak się wydaje – odpowiedział Rigajev przez interkom. – Nie mam żadnego kontaktu. Ale ich odwrót był niezorganizowany, można powiedzieć, że zwiewały na wszystkie strony.

– Może pan iść dalej? – zapytał mnie Knispel.

Wszystkie włazy czołgu pozostawały zamknięte, taka ostrożność była uzasadniona.

– Tak – potwierdziłem.

Do ramienia pomału wracało mi czucie. Na razie mogłem działać. Bez popijania łyknąłem dwie tabletki przeciwbólowe.

– Idziemy – oznajmiłem i ruszyłem na dalsze zwiady. Krushi wyglądał na wstrząśniętego zaistniałą sytuacją, ale poszedł za mną, a czołg nam towarzyszył, trzymając się blisko za nami. Marlon pozostawił silnik na najniższych obrotach, wydawało mi się, że czuję ciepło promieniujące z pancerza po skończonej walce. Ale może to było tylko złudzenie.

Obchodziliśmy zwalisko drzew, wybierając przy tym najłatwiejszą drogę dla czołgu.

– Tu mogą być jeszcze inne pułapki, maszyny myślą odmiennie niż ludzie – powiedziałem.

– Koncentracja nitrosoderivatu wzrosła ponad normalny poziom – zameldował Rigajev.

– Stop – rozkazał natychmiast Knispel.

Wstrzymałem nogę w powietrzu, postawiłem ją z powrotem, znów oglądałem świat przez przyrządy celownicze strzelby, kiedy nagle uświadomiłem sobie, że przełącznik siły wystrzału przesunąłem na czwórkę. Opłaciłoby się to, jeśli zniszczyłbym kolejną zabójczą maszynę.

– Co to znaczy? Ta koncentracja nitrosoderivatu?

– To ślad po beztlenowcowej biodegeneracji hexogenu – wyjaśnił Rigajev.

Hexogen był materiałem kruszącym, używanym powszechnie w czasie wielkiej wojny. Dziś używaliśmy raczej TNT, ponieważ był łatwiejszy w produkcji. Boty wyraźnie zawładnęły starymi

magazynami armii, ale materiały kruszące degradowały się po upływie setek lat, bez względu na to, w jaki sposób były magazynowane, i z tego moim zdaniem wynikał główny powód, dlaczego boty nie używały broni palnej. Nie miały zaplecza technicznego: kopalń, produktów chemicznych koniecznych w procesie wytwórczym i innych substancji potrzebnych do produkcji materiałów wybuchowych. Teraz jednak spróbowaliśmy takich materiałów użyć, tyle że starych, pozostałych po naszych przodkach.

– Będę potrzebował czasu, żeby zbadać ten obszar. Najlepiej by było pobrać stamtąd próbki -odezwał się Rigajev. – Nie macie się czego obawiać, ładunków przeznaczonych dla czołgu ciężar człowieka nie uruchomi.

– Znajdźmy inną drogę – zaproponowałem. – Będzie szybciej.

Nadal poszukiwaliśmy bezpiecznego przejazdu przez las i staraliśmy się odkryć choćby ślad ewentualnej pułapki. Tymczasem zawładnął mną silny ból. Strzelba stała się jeszcze cięższa, bolały mnie takie mięśnie, o których nie wiedziałem, że je posiadam. Powód był jasny, poruszałem się w ogromnym napięciu, z ryzykiem nadeptnięcia na minę przy każdym kroku. Po trzech godzinach dotarliśmy do miejsca, które boty zagroziły, do wjazdu w suchą kamienistą dolinę. Głazy ponakładane jeden na drugim w wysoki, masywny wał pozostawiały do dalszej podróży tylko wąską przerwę. Ze względu na szerokość wału nie dawało się stwierdzić, co się za nim znajduje. Było to oczywiście zamierzone, w tak chronionej dolinie boty mogły zbudować swoją bazę.

Przypatrywałem się okolicznym kamienistym zboczom. Wyglądało na to, że setki lat temu, tak jak w innych miejscach, wyniszczyliśmy wszystko, co żyło, łącznie z mikroorganizmami, potem woda zmyła glebę powierzchniową i pozostały tylko gołe, popękane skały, na których do tej pory nie było żadnego życia. Może wzbraniał tego jakiś czynnik toksyczny, który maszynom nie przeszkadzał.

Zastanawiałem się, jak daleko poza tą linią obronną znajduje się

baza botów. Jeśli oczywiście naprawdę tam jest. Na pewno nie wybudowali pierwszej linii w jej bezpośredniej bliskości. A jeśli nas oczekują, to dopiero za wałem, a nie w ciasnym przejściu. Gdybyśmy się dostali bliżej, to czujniki czołgu będą miały większe szanse na wykrycie niebezpieczeństwa ataku.

Wybrałem sobie tę stronę, po której zamierzałem się poruszać, i zrobiłem pierwszy krok ze strzelbą gotową do otwarcia ognia. Ból mięśni się utrzymywał, ale najważniejsze było to, że nadal mogłem działać.

– Dziś już nie pojedziemy dalej – zatrzymał mnie rozkaz Knispela.
– Rozbijemy obóz, zwiad będziemy kontynuować wczesnym rankiem.

Wtedy akumulatory botów niewyposażonych w silniki spalinowe będą miały tylko minimum energii, to rozsądna decyzja.

– Standardowe zapewnienie bezpieczeństwa i związaną z tym wartość obejmę pierwszy – dodał kapitan.

Kolacja była cicha, po przyjęciu, które wydawało się mieć miejsce sto lat temu, nikt nie był głodny. Rigajev obejrzał moje ramię, ostrożnie je obmacał, zrobił mi zastrzyk przeciwbólowy i przyspieszający regenerację stłuczonej tkanki.

– Jeszcze kilka razy wystrzelisz z tej strzelby, a staw tego nie wytrzyma – ostrzegł mnie, kończąc zabiegi lecznicze wcieraniem w skórę jakiejś maści. Sądząc po tym, że używał do tego rękawic, to nie była zwyczajna emulsja do masażu.

– Mogę mieć niesprawne ramię, ale zarazem muszę wiedzieć, że o jednego cholernego bota mniej.

Rigajev spojrział na mnie.

– Powinieneś powiedzieć: raczej bez ramienia, ale żywy – odrzekł.

– Na jedno wychodzi – zgodziłem się.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem, ale nic więcej nie powiedział.

Zakręciłem kubkiem, żeby zamieszać ostatnie kilka łyków wieczornej kawy. Lewą ręką, bo w prawej wciąż nie miałem czucia.

– Dlaczego wybrały sobie tę właśnie dolinę, jeżeli naprawdę ją

wybrały? – zapytałem. – Nie jest zła, ale na pewno w okolicy jest wiele lepszych miejsc.

Osobiście wolałbym lokalizację z lepszą widocznością.

– Nic tam nie rośnie, woda deszczowa szybko spływa i w dolinie jest sucho. Boty nie lubią wody, bo powoduje przyspieszenie degradacji większości materiałów – ku mojemu zdumieniu na pytanie odpowiedział Knispel.

Dawno zauważyłem, że o botach wie bardzo dużo, chociaż ujawniał tylko niewielką część tej wiedzy. O tej sprawie z wodą i botami mogłem sam pomyśleć, bo najwięcej ich pojawiało się na terytoriach zamieszkałych przez ludzi w okresach suchych, bagien i terenów podmokłych zdecydowanie unikały.

– Kiedy boty napadły na nasz konwój, kazał pan wycelować działo w największy transporter pana Camuwielego i boty przerwały atak. Dlaczego tak się stało? – zapytałem Knispela.

Kilka razy wspominałem to wydarzenie, ale nie wydawało mi się ono aż tak ważne, tym bardziej że szybki bieg innych zdarzeń odsunął w cień moje zainteresowanie tą sprawą. Teraz się to jednak zmieniło.

Napiłem się kawy i czekałem, czy kapitan mi odpowie. Rigajev również był ciekawy, a równocześnie zaskoczony, ponieważ Knispel na ogół nie uczestniczył w naszych rozmowach. A ja nigdy przedtem nie zadawałem tylu pytań. Zapewne kapitana też zaskoczyła moja bezpośredniość, jednak ja po prostu się zmieniłem.

– Orfel Camuwieli przewoził towary, na które nałożone zostało cesarskie embargo. Ze względu na to, że wysłali za nim oddział regularnej armii oraz podążyli za nim na terytorium innego suwerennego państwa, ryzykowali co najmniej skandal dyplomatyczny, a być może starcie zbrojne. Musiało to być coś ogromnej wagi, a takich rzeczy, które warte są bitwy z dziesiątkami zabitych, nie jest wiele.

Czekałem, co powie dalej. Knispel wyjaśniał bez pośpiechu, bez śladu emocji w głosie, jednostajnym tonem.

– Najlukratywniejszym towarem są nowoczesne technologie,

a pomiędzy nimi rdzenie sztucznych inteligencji znajdujących się w stanie uśpienia, które wystarczy przebudzić.

– W wielu miejscach za handel takim towarem grozi kara śmierci – włączył się Marlon. – Może to wywołać zamieszki, pogromy i panikę.

– A gdzieś tam mogą rozbijać zwyczajne komputery, elektronikę – dodał Cyr.

– Gdzieś tam tak – zgodził się kapitan. – Pytanie tylko, czy jest to naturalna reakcja nas, ludzi, czy reakcja wywołana sztucznie.

Tego nie zrozumiałem. Moim zdaniem to była oczywista reakcja, spowodowana tym, że przez całe generacje walczyliśmy z konsekwencjami dawnej wojny i przez długi czas wyglądało na to, że tę walkę przegrywamy. Bardzo pomógł nam upływ czasu, starzejąca się technika dobiegła w końcu kresu swej żywotności, ale my, ludzie, przez ten czas straciliśmy większość naszych umiejętności.

I dlatego zaczęliśmy się bać tego, co nasi przodkowie kiedyś stworzyli.

– Cesarstwo swój wzrost znaczenia zawdzięcza kontroli użycia tych najnowocześniejszych technologii. Zaczęli ją stosować po naszym zwycięstwie w wojnie Hanturiego. A za ich przemyt z Cesarstwa grozi kara śmierci – mówił dalej kapitan.

Jeśli Camuvieli przemycał sztuczną inteligencję lub coś do niej podobnego, to ryzykował ekstremalnie.

– Czy boty wiedziały, że przewozimy sztuczną inteligencję? Czy z tego powodu na nas napadały? – zapytałem.

– Tak – potwierdził Knispel. – Sztuczne inteligencje, jeśli nie są aktywne, to śpią. Wytwarzają przy tym specyficzny szum elektromagnetyczny, który przyciąga boty. A jeśli są zamknięte w klatce Faradaya, to nawet będąc w śpiączce, oszaleją[6].

Wszystkie boty muszą mieć w podstawowym bazowym kodzie zapisany obowiązek ochrony sztucznych inteligencji i groźba, że zniszczymy transporter, zmusiła je do zaprzestania ataku. Knispel naprawdę bardzo dużo wiedział o botach.

Zrobiło się już późno, przyszykowałem swój śpiwór i poszedłem spać. Ostatnią rzeczą, jaką widziałem, była sylwetka kapitana siedzącego przy wygasającym ognisku.

* * *

Ostatnia warta przypadła mnie, a z nią obowiązek zrobienia śniadania. Czekając, aż woda się zagotuje, przyglądałem się pustym zboczom doliny. W nocy nie zarejestrowaliśmy żadnej aktywności, czyżby była naprawdę opuszczona? Może ujawnią się dopiero podczas przechodzenia przez wąskie wejście.

– Wszystko w porządku? – wyrwał mnie z zamyślenia Rigajev. Nie zauważyłem, kiedy wstał. Wystukiwał szczoteczkę do zębów, przez chwilę przyglądałem się, jak ostatnie kropelki wylatują ze specjalnych włókien.

– Co masz na myśli? – zapytałem, kiedy zaczął wyglądać na zaniepokojonego.

– Czy nie dali ci w osadzie jakichś prochów? Są takie substancje psychoaktywne, które mogą zmienić osobowość w jakimś nieokreślonym kierunku. U zdrowych ludzi w większości przypadków jest to tymczasowe. A ty wydajesz mi się inny, niż byłeś przedtem.

– Jednak to nadal ja. – Wzruszyłem ramionami.

Miałem tylko trochę inną motywację do życia i to wszystko.

– Masz jeszcze te zastrzyki, które mi dałeś wczoraj?

– I mnóstwo innych użytecznych rzeczy – przytaknął.

– Chyba znowu będziesz musiał spojrzeć na moje ramię, potrzebuje trochę dopingu.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

– Żeby działało – wyjaśniłem.

* * *

Posuwaliśmy się w takim samym szyku jak wczoraj, ja byłem zwiadowcą, za mną jechał czołg. Krushi zgodnie z rozkazem

kapitana siedział na pancerzu. To dziwne, ale sam czułem się bezpieczniej niż w jego towarzystwie. Tym razem miałem dość czasu, żeby założyć komplet balistyczny. Marlon dostał rozkaz trzymać się za mną w najmniejszej odległości, Rigajev skanował okolicę w największym zasięgu, jaki był możliwy, biorąc pod uwagę konfigurację terenu. Nad nami unosił się dron. Utrzymywał optymalną wysokość, zapewniającą dostateczną rozdzielczość kamery i zadowalającą szerokość obrazu.

Jak na razie nie odkrył niczego.

Na kamienistym podłożu nie można było oczekiwać wielu śladów, ale miałem wrażenie, że jakieś znajdują. Zadrapanie kamienie, odcinki wyczyszczonych powierzchni, względem których ktoś miał jakiś zamiar, do realizacji jednak nie doszło.

– Mam kontakt, laser lokacyjny – oznajmił Rigajev.

Instynktownie wybrałem sobie odpowiedni głaz i schowałem się za nim. Okolica wyglądała na całkowicie pustą, słońce prażyło silnie, opaska przeciwpotna nie wystarczała i pot szczypał mnie w oczy.

– To gdzieś przed nami, był tylko jeden krótki impuls, na pierwszej, chyba wyżej na zboczu.

Rozkazów dla drona nie usłyszałem, ale delikatna maszyna poleciała w oznaczonym kierunku, stopniowo obniżając wysokość lotu. Na obrazie wideo przekazywanym na ekran hełmu nie widziałem niczego interesującego.

Z własnej inicjatywy zacząłem wchodzić na zbocze ukośnie do naszego kierunku jazdy, tak żeby dotrzeć do oznaczonego miejsca od góry. Dyszałem jak lokomotywa, ale nie spocząłem, póki nie dostałem się wystarczająco wysoko. Ku mojemu zdziwieniu nic mnie nie bolało, to jest zbytnio nie bolało. Taki stan zawdzięczałem chyba lekarstwu Rigajeva.

Dron obniżył lot do wysokości siedmiu, ośmiu metrów nad ziemią. Wydało mi się, że widzę coś ciekawego. Nagle mignął jakiś cień, ruch był tak szybki, że zarejestrowałem go zaledwie powidokiem, spojrzałem w kierunku drona i zobaczyłem, że spada na ziemię w objęciach innej maszyny. Z wysokości równej dużemu

świerkowi. To znaczyło, że atakujący bot dysponował niezmiernie silnym aparatem ruchowym, a ponadto – że przy upadku z takiej wysokości będzie prawdopodobnie poważnie uszkodzony lub nawet zniszczony. Upadek był nieoczekiwanie cichy, nie nastąpiła żadna eksplozja.

Bały się nas, nie chciały, żebyśmy się zbyt wiele dowiedzieli i pozbawili je przewagi zaskoczenia. Tak sobie tłumaczyłem ten atak. Instalację radiową kompletu balistycznego przełączyłem w tryb pasywny, teraz miałem tylko odbiór, nadajnik nie działał. Dla Knispela była to niewygodna, stracił ciągłość informacji, ale dla mnie jedyny sposób, żeby nie namierzyły mnie podczas nadawania. Może tego nie umiały, ale nie zamierzałem ryzykować.

Odpoczywałem przez jakiś czas, uspokajając oddech, trwało to dość długo. Ruszyłem do przodu dopiero wtedy, kiedy mój puls spadł poniżej osiemdziesięciu uderzeń na minutę. Na czworakach, powoli. Wszystko podporządkowałem temu, żeby nie zostać wykrytym i stanowić jak najmniejszy cel. Niczego nie słyszałem, kapitan i załoga czekali na informacje ode mnie. Kolejne pięć minut spędziłem, pełzając na brzuchu. Nie spieszyłem się. Słońce świeciło mocno, rozgrzane skały nie pozwalały wyśledzić mnie poprzez infraczerwień. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Przede mną stopniowo otwierał się widok na niewielki kasztel, czy raczej małą betonową kopułę, zlewającą się z otaczającymi ją skałami. Była zbyt mała, żeby mogła kryć w sobie ciężką broń.

Zwięźle zameldowałem kapitanowi o swoim odkryciu i znowu przełączyłem się w tryb pasywny.

– Sanders, zalecam ukrycie się. Będziemy strzelać ogniem stromotorowym – odpowiedział Knispel.

To oznaczało, że użyją moździerza.

– Cel zgodnie z otrzymanymi informacjami namierzony – zameldował Cyr.

Otrzymane informacje pochodziły ode mnie. Rigajev musiał je porównać z opisem okolicy uzyskanym z czujników czołgowych. Obliział słone wargi i grzbietem dłoni otarłem oczy, potem

policzkiem przywarłem do suchego żwiru. Byłem ciekawy, co z tego wyniknie. Współrzędne, które przekazałem, były na tyle dokładne, jak mogły być przy posługiwaniu się tylko ludzkimi zmysłami.

– Ognia!

Moździerz huknął, świst lecącego pocisku wcisnął się do uszu i nagle zamilkł. Jeszcze mocniej przywarłem do ziemi. Zawsze istniała możliwość, że coś pójdzie źle i boty mnie namierzą. Tak się często dzieje. Eksplozja, szum odłamków i gruzów lecących nade mną. Bardzo ostrożnie wyjrzałem. Jedna trzecia ściany kopuły nadal stała, reszta zniknęła. To było celne trafienie. Czy wewnątrz coś na nas czekało, nie mogłem stwierdzić.

Wznowiliśmy uciążliwy marsz, ja na czele, czołg tuż za mną. Dolina sprawiała wrażenie opuszczonej, martwej, prawie sterylnej. Po kilometrze odkryłem bunkier w stanie rozpoczętej budowy, w połowie wykuty w skale, zbrojenia wystawały z niedokończonych fundamentów jak kości prehistorycznego potwora.

Zarówno mój przegląd okolicy, jak i przeszukiwanie terenu przez Rigajeva nie wykryły w pobliżu żadnego nieprzyjaciela.

Kapitan dał rozkaz do zatrzymania się, dołączyli do mnie Krushi i Cyr i razem zbadaliśmy całą budowlę. Nie znaleźliśmy żadnych pozostawionych narzędzi, tylko niedokończone ściany, stal i rozpoczęte drewniane cembrowiny. Drewno było łączone metalowymi kotwami. Długo przyglądałem się tej cembrowinie, ale nie doszedłem do żadnych wniosków.

– Kontynuujemy zwiad w dotychczasowy sposób – zaproponowałem, a kapitan po krótkiej naradzie z Rigajevem wyraził zgodę.

Kolejny bunkier był już ukończony i przygotowany do zainstalowania wyposażenia. Niczego nie zaniedbaliśmy, przed zbadaniem bunkra sprawdziliśmy okolicę. Musiałem zjeść dwa batoniki energetyzujące, żeby nabrać sił do dalszej pracy.

– Nie przewidywano tu ludzkiej obsady, to wszystko miało być automatyczne – stwierdził Cyr, dokonawszy przeglądu bunkra.

Przyznałem mu rację. Ale dlaczego budowle były

niedokończone? Dlaczego budowniczowie, kimkolwiek byli, uciekli? Dlaczego nikt nam nie wzbraniał penetracji doliny?

Cyr i Krushi na rozkaz kapitana pozostali ze mną i ostrożnie ruszyliśmy w górę doliny. Widać było, że teren został uporządkowany, żeby stał się łatwiej przejezdny. Dzięki temu był również lepiej widoczny. Dałem znak i Cyr oraz Krushi stanęli. Napilem się wody, była ciepła i smakowała nienadzwyczajnie, ale i z tego byłem zadowolony. Nie słyszałem żadnych dźwięków oprócz cichego mrużenia silnika czołgu. Ostatni łyk, rzut oka na okolicę i podjąłem ostrożny marsz. Obeszliśmy sztucznie usypaną kupę głazów, zza której wyłoniła się stojąca maszyna. Krushi wymierzył w nią broń.

– Nie jest niebezpieczna – powstrzymałem go.

Nie miałem pewności, do czego dokładnie służyła, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest sprawna. Częściowo rozebrana, jeden z dużych cylindrów hydraulicznych był pęknięty, ciecz robocza dawno wyciekła, pozostała po niej tylko zaschnięta warstwa, pokrywająca kawałek błyszczącej powierzchni z twardego metalu.

– To dlatego nie dokończyli tego bunkra – stwierdził Cyr. – Popsuł im się budowniczy, a pewnie mieli tylko jednego. Naprawić go nie zdołali.

Na pojęcie „budowniczy” natknąłem się w starych książkach. Była to wieloczynnościowa maszyna służąca do wznoszenia betonowych obiektów. Wydobywała materiał budowlany, kamienie, kruszyła go na drobne odłamki wielkości żwiru i produkowała beton. W pobliżu znajdował się kontenerowy magazyn cementu oraz zawór, do którego przyłączała się maszyna przywożąca wodę. Manipulatory obsługowe były wymontowane.

W pobliżu odkryliśmy dźwig samojezdny, służący do współpracy z budowniczym. Miał wszystkie manipulatory, za to brakowało mu kół i jednostki napędowej.

– Na dziesiątej, około dwustu metrów od nas – ostrzegł mnie Cyr. Spojrzałem w podanym kierunku.

– Lufa, widzę tam lufę – odpowiedział mi.

Teraz i ja zobaczyłem. W niebo mierzyło duże cielsko miotacza elektromagnetycznego, wokół którego zbudowano ufortyfikowany bastion. Gdyby komuś przyszło do głowy pomalować miotacz farbą maskującą, to nikt by go nie dostrzegł. Nawet Cyr.

Dotarliśmy do terytorium, na którym nieprzyjaciel zainstalował już broń. Ognia jednak nie otworzył. Dlaczego?

Nieco dalej nad nami odkryłem drugie stanowisko ogniowe, gruba graniasta lufa też sterczała do góry.

– Tu nikogo nie ma. Gdyby byli, już zaczęliby strzelać – powiedziałem do mikrofonu.

– Przeprowadziłem atak wirusowy, który wyłączył ich automatykę – oznajmił kapitan. – Nie przewidywałem, że będzie aż tak skuteczny. Możemy kontynuować zwiad.

Zapomniałem, że wojnę można wygrywać na różne sposoby.

Przybywało budowli, zarówno z kamienia, jak i z betonu, przeważnie niedokończonych, pojawiały się resztki uszkodzonych, częściowo rozebranych lub w inny sposób pozbawionych sprawności maszyn automatycznych. Wielu prac nie zdołali dokończyć.

Szliśmy nadal ostrożnie, pod nogami mieliśmy żwir i kamienie, powietrze smakowało ostro, prawie gorzko. Może z powodu jakiegoś gazu albo pozostałości po wyrobie chemikaliów. A może ten zapach był charakterystyczny dla okolicznych skał.

Obok dużego głazu leżały szczątki bota, sam tylko szkielet z głównym nośnikiem, pełniącym rolę kręgosłupa, do którego przymocowano centralną strukturę procesorową pozbawioną wszystkich urządzeń peryferyjnych. Przyglądałem się temu przez chwilę, ale co było możliwe do odzysku, zostało zabrane.

Po kolejnych stu metrach dotarliśmy do centrum budowanego zakładu, zdradzała to kopuła postawiona na dnie doliny i posterunki ogniowe rozmieszczone w sposób zapewniający najefektywniejszą obronę.

– Tutaj jest lekko podwyższony poziom promieniowania tła.

Bardzo lekko, nadal w normie, ale w stosunku do poziomu okolicy większy – odezwał się Rigajev.

– Jeśli zamierzali używać broni elektromagnetycznej, to potrzebowali źródła energii elektrycznej, i to silnego źródła – zauważyłem.

Jeżeli pod ziemią znajdowała się ukryta elektrownia, to wejście do niej powinno prowadzić przez kopułę.

– Dolina jest opuszczona – zdecydował Knispel. – W czołgu zostaje Balducci, Katzinski i ja. Wy zbadajcie centrum, w koniecznych przypadkach strzelajcie bez zastanowienia. My zrobimy wszystko, żeby was w razie czego ściągnąć na pokład.

Kątem oka dostrzegłem ruch, drzwi jednego z niepozornych budynków otworzyły się, a raczej wyleciały z framugi i z metalicznym hukiem upadły na ziemię.

W mgnieniu oka zająłem pozycję pod murem i obserwowałem potencjalny cel poprzez przyrządy celownicze. Serwomotor zahuczał, działo czołgowe wymierzyło w tym samym kierunku, co ja.

Z ciemnego wnętrza budynku wyjechał... Zamrugalem kilka razy, żeby strzepnąć z rzęs kropelki potu i upewnić się, że nie mam halucynacji, ale nadal widziałem to samo... Mężczyzna na wózku inwalidzkim. Ostrożnie posuwał się po nierównym terenie aż do momentu, w którym nas zauważył. Pomachał do nas, później sprawnie odwrócił wózek o sto osiemdziesiąt stopni i krzyknął coś w stronę ciemnego wyjścia, z którego wyjechał.

– To ludzie – udało mi się zrozumieć jego słowa.

Na nic więcej nie czekał, odwrócił wózek znowu w naszym kierunku i szybko popędził ku nam, popychając wózek silnymi ruchami ramion. Sprawnie omijał kamienie i nierówności i wkrótce był już w połowie drogi, kiedy z budynku wyłonili się kolejni ludzie, naliczyłem ich dziewięcioro.

Mężczyzna dojechał do nas. Siwowłosa, zarośnięty, z kikutami nóg kończącymi się w dwóch trzecich długości ud. Sprawiał wrażenie zaniedbanego, ale w tej chwili niezwykle szczęśliwego.

Gapiliśmy się na niego jak na jakieś zjawisko, bardziej zaskoczeni tym spotkaniem niż on sam.

– Już straciłem nadzieję, że napotkam ludzi, wolnych ludzi. Nawet sobie nie wyobrażacie, jak się cieszę, że was widzę. Oskar Stuver – przedstawił się, wyciągając rękę na powitanie.

Przełożyłem broń do lewej ręki i uściśnąłem jego spracowaną dłoń.

– Matyas Sanders – wymieniłem swoje nazwisko.

Co więcej mu powiemy, zależało od Knispela.

Potrząsnął moją prawicą tak energicznie, że aż moje potłuczone ramię zaprotestowało, sporo wysiłku kosztowało mnie utrzymanie się na nogach.

– Powiedział pan: wolni ludzie. Kto was tutaj uwięził? – zapytał go Cyr po przywitaniu się.

– Maszyny, a dokładniej: boty – odpowiedział mu z powagą Oskar Stuver. – Przypuszczam, że zrobiliście z nimi porządek.

Nie wiedziałem, co zrobiło porządek z botami, ale nic nie powiedziałem.

Przyglądałem się zbliżającym się ludziom.

Mężczyźni i kobiety, dwoje dzieci w wieku trzech i pięciu lat.

– Manfred! Beta! William! – krzyczał podniecony Krushi, biegnąc przywitać się z tymi, których znał.

Otworzył się włącz i kapitan wyszedł na zewnątrz.

– Zmiana planów – powiedział. – Najpierw zajmiemy się tymi ludźmi, a zwiad będziemy kontynuować dopiero potem. Pan Balducci wraz z panem Katzinskim pozostaną w pogotowiu.

Rigajev zabrał się do swoich medycznych czynności. Ludzie byli chudzi, odwodnieni, ale poza tym w stosunkowo dobrym stanie. To właśnie pragnienie zmusiło ich do podjęcia próby wydostania się z więzienia.

– Dlaczego nie spróbowaliście uciec wcześniej? – zapytał Cyr, kiedy się dowiedział, że niektórzy z nich byli tutaj uwięzieni już od ponad dziesięciu lat.

– Ja próbowałem – odpowiedział mu Stuver. – Kilka razy. I to mi

zrobiły. – Poklepał się po kikutach. – Jestem fachowcem od elektroniki, nogi do pracy nie są mi potrzebne.

Wyobrażenie botów amputujących człowiekowi nogi, żeby nie mógł uciec, napełniło mnie grozą.

Towarzysze Stuvera wzruszyli tylko ramionami, dla nich to była codzienność i oczywiste wyjaśnienie, dlaczego zostali.

W budynku służącym za więzienie odkryliśmy zapasy konserw dla całej grupy wystarczające na kilka dni, więc nie musieliśmy się spieszyć i mogliśmy przez jakiś czas zostać na miejscu.

Obserwowałem Rigajeva podczas drugiego przeglądu uratowanych. Podczas pierwszego stwierdzał tylko, czy ktoś z nich nie potrzebuje natychmiastowej pomocy, teraz badał dokładniej, łącząc to ze swego rodzaju wywiadem lekarskim. Był ostrożny, chciał wiedzieć, czy ktoś zetknął się z jakąś egzotyczną chorobą zakaźną. Kapitan jakby przypadkowo trzymał się w pobliżu i wszystkiemu przysłuchiwał.

Najdłużej uwięziony był Oskar Stuver. Należał do oddziału zwiadowczego bakerbodskiej armii i podczas starcia z botami został wzięty do niewoli.

Bakerbod był miastem, gdzie Camuvieli chciał dostarczyć swoje towary, którymi nie wolno było handlować w Ambrezavile, jak sobie przypomniałem. A terytorium podlegające jego jurysdykcji, zdaniem Cesarstwa, należało do najbardziej rozwiniętych regionów. Przynajmniej tak mówiono.

– Zaskoczyły nas – wspominał Stuver. – To było dawno. – Wzruszył ramionami. – To była duża, doskonale zorganizowana grupa. Wyglądało to tak, jakby nadeszły gdzieś z północy, z pustkowi, aż do terytoriów zasiedlonych przez ludzi. Zanim rozbiły nasz oddział, stawialiśmy im opór przez jakiś czas. Wzięli do niewoli jeszcze jednego człowieka, nazywał się Budeel. Zmarł wkrótce potem z ran. Pozwoliły mi się o niego zatroszczyć, ale się wykrwawił. Miał krwotok wewnętrzny. Nic nie mogłem poradzić, nie jestem doktorem.

Stuver zamilkł, pogrążony w dawnych wspomnieniach. Później

potrząsnął głową, jakby wynurzył się z wody i chciał pozbyć się kropli z twarzy.

– Po drodze napadła na nas grupa innych botów. Wywiązała się walka. Te, które mnie porwały, dokładały wszelkich starań, żeby mnie nie utracić, i dopiero później zrozumiałem dlaczego. Miałem naprawiać uszkodzone egzemplarze botów.

Mówił o nich jak o żywych istotach. Nie dziwiłem się, ja sam myślałem podobnie. Chociaż wiedziałem, że nie krąży w nich krew.

– Tamten budynek jest magazynem materiałów przeznaczonych dla ludzi, to jest dla nas -zmienił nagle temat, jakby nie chciał już dłużej wspominać. – Może znajdziecie tam coś interesującego. – Wskazał jedną z budowli.

Cyr wstał, dołączyło do niego dwóch mężczyzn z grupy uwolnionych.

– A co było dalej? – zapytał Rigajev, podając Stuverowi szklaneczkę.

Począł, aż ją weźmie, i nalał solidną porcję koniaku z naszych zapasów. Stuver powąchał alkohol, uśmiechnął się szeroko i jednym haustem wypił.

– Potem natrafiliśmy na kanion, który się spodobał botom, a raczej dowodzącej nimi sztucznej inteligencji – mówił dalej Stuver.

Stojący opodal Knispel, który pozornie nie interesował się rozmową, zareagował natychmiast.

– Widział pan tę sztuczną inteligencję? Rozmawiał z nią? Jak wyglądała? Jak się zachowywała?

– Sztuczna inteligencja to coś nienaturalnego – mruknął Marlon. Kapitan zignorował jego uwagę.

– Nigdy jej nie widziałem i nie wiem, jak wygląda. Widziałem tylko, w czym ją przewoziły. Był to ogromny ośmiokołowy transporter, a na nim coś, co najbardziej przypominało betonowy monolit.

– To jej sarkofag – stwierdził Knispel.

– Temu transporterowi towarzyszyły jednostki chłodzące,

przynajmniej za takie je uważałem. Wymienniki ciepła – wspominał dalej kaleka.

– Sztuczne inteligencje wymagają niskiej temperatury, bliskiej zera absolutnego.

– Tego się po pewnym czasie domyśliłem – przytaknął Stuver.

Knispel naprawdę dużo wiedział o sztucznych inteligencjach, więcej niż ktokolwiek inny, więcej, niż przypuszczałem.

– W kanionie pozostałem przez rok, może dwa lata. To było dawno temu. Było tam jeszcze czterech ludzi, zapomniałem już ich nazwisk. Boty porwały ich podczas swoich wypraw. Wszyscy byliśmy technikami, naprawialiśmy to, czego ich automaty naprawcze nie były w stanie wyremontować – opowiadał dalej Stuver, odkładając szklaneczkę.

Rigajev w tym czasie nadal badał pacjentów, zapisując wyniki w swoim komputerze osobistym. Wyglądał na zadowolonego, jego wstępne diagnozy okazały się trafne, nie odkrył niczego nowego czy niepokojącego.

– Po dwóch latach przesunęli swoje siły główne tutaj, a nas razem z nimi – mówił Stuver. – Ich dowódca, sztuczna inteligencja pozostała na poprzednim miejscu.

Tymczasem rozpały się pierwsze piecyki i ludzie zaczęli przygotowywać kolację. Widać było, że są do tego przyzwyczajeni, wszystkie czynności mieli starannie rozdzielone między siebie.

Kapitan nalał Stuverowi drugą, równie szczodłą porcję koniaku. Znałem go i dobrze wiedziałem, dlaczego to robi. Wcale nie z gościnności, lecz po to, żeby Stuver się rozluźnił i żeby mu się rozwiązał język.

– Od tego czasu wszystko zaczęło iść źle. Było coraz więcej pracy, boty straciły większość automatów naprawczych, głównie tych najwyżej wyspecjalizowanych. Spowodowane to było stratami, ale i zużyciem eksploatacyjnym. Walczyły z jakąś inną grupą. Ponadto zaczęło im brakować wieloczynnościowych maszyn budowlanych. Żeby utrzymać potencjał budowlany na poprzednim poziomie, zaczęły porywać ludzi i wykorzystywać ich w charakterze siły

roboczej. Równocześnie coraz gorzej się do nas odnosiły, co w ogóle nie miało sensu. Na szczęście wkrótce się to polepszyło. Przynajmniej mniej więcej.

Cyr wraz ze swoimi pomocnikami powrócił, i to nie piechotą, ale na terenowym wózku elektrycznym, którego akumulator, sądząc po nierównomiernych obrotach silnika, pozbywał się właśnie ostatnich rezerw energii. Dotarł jednak aż do nas, wioząc ludzi i sporo zapasów. Zauważyłem kartony konserwowanych potraw, a pośród nich czteropaki z butelkami najznakomitszych win z południa.

– Było tam tego o wiele więcej, ale mnóstwo towarów zgniło wskutek wadliwego przechowywania – rzucił Cyr przez ramię. – Ty, ty i ty – wskazał trzech mężczyzn. – Chodźcie mi pomóc.

Jak to wadliwe przechowywanie? To nie pasowało ani do botów, ani do sztucznej inteligencji.

Kolejne dwie godziny upłynęły na rozdzielaniu wyposażenia i prowiantu, przygotowywaniu obozu i kolacji. Nie miałem tego wieczora warty, stanąłem ze strzelbą w ręce nieco na uboczu obozu, patrzyłem w ciemność i starałem się nie słyszeć wszechobecnego gwaru.

Boty porywały ludzi, żeby uzupełnić brakujące zdolności naprawcze i zastąpić nieczynne maszyny robocze. To miało sens i wyjaśniało sporo rzeczy. Ale nie wszystkie. Dlaczego z drogocenną zdobyczą przechodziły przez obszar radioaktywny? Dlaczego nie zdołały prawidłowo magazynować żywności? Nigdzie tutaj nie natrafiliśmy na dinoboty czy inne typy botów bojowych, tylko na lepiej lub gorzej zachowane typy pochodzące z różnych okresów wielkiej wojny.

– Na pewno wszystko u ciebie w porządku? – Nie zauważyłem, kiedy dołączył do mnie Rigajev.

– Dlaczego pytasz?

– Inaczej się zachowujesz.

– Nie wydaje mi się. Jak to inaczej?

– Zimnokrwicie.

– Dawniej tak się nie zachowywałem? – Niespecjalnie mi zależało na jego odpowiedzi, ale pomyślałem, że powinienem zapytać.

Rigajev zastanawiał się długo.

– Zachowywałeś zimną krew, to prawda. Jak człowiek, który panuje nad sobą, umie ważyć ryzyko. Ale teraz... – Szukał odpowiedniego słowa.

– Stale ważę ryzyko – powiedziałem, myśląc o botach.

– Tak. Ale sprawiasz wrażenie, jakby ci zbyt nie zależało na życiu.

– Rzeczywiście nie, ale zależy mi na życiu innych.

– W to wierzę – przytaknął.

– Możesz dalej na mnie polegać i nie obawiać się, że popełnię błąd, który będzie cię kosztował głowę.

– Bardzo pragmatyczna ocena. Dawniej taki nie byłeś.

– Ludzie się zmieniają – stwierdziłem.

Nic już więcej nie powiedział i odszedł. Nie miałem ochoty do rozmów, a troska Rigajeva, czy może raczej obawy naruszały mój spokój.

Wróciłem do palących się ognisk, kiedy ogólny ruch się uspokoił i większość ludzi położyła się spać. Stuver osuszył wiele szklaneczek, był wyraźnie zmęczony, swój fotel inwalidzki przystosował do leżenia. Knispel znowu mu nalał.

– Po pewnym czasie mogłem już naprawiać wszystko, aż w końcu boss przyniósł mi skrzynkę dekodującą, żebym się dostał do jej wnętrza, do jednostek logicznych, i zdołał restartować systemy uszkodzonych urządzeń – opowiadał dalej Stuver.

– Boss? – zareagował natychmiast Knispel.

– Na początku boty były jedną gromadą, zachowywały się jak mrówki, ale stopniowo, kiedy sytuacja się pogarszała, powstała u nich jakaś hierarchia. Boss był jednym z najnowocześniejszych botów, maszyną bojową. Ale mimo to wydawało mi się, że postępuje głupio.

– Utraciły łączność ze swoją sztuczną inteligencją, ale ona to przewidziała i dlatego przygotowała się na taką ewentualność.

Wyraźnie starała się podwyższyć umiejętności tych najzdolniejszych -rozważał głośno Rigajev.

– Też tak pomyślałem – przytaknął Stuver. – Miałem mnóstwo czasu na rozmyślenia. – Już się lekko zacinał podczas mówienia.

– Nie próbował pan ich czasem przeprogramować? – zapytał Marlon.

– Jeśli istniała taka możliwość, to tak, ale tylko trochę, bo się bałem – odparł kaleka ze smutnym uśmiechem i wypił solidny łyk.

Do tej pory wlał w siebie dobre pół butelki, po długiej abstynencji musiał mieć już dość. Przypuszczałem, że za chwilę zaśnie.

Ogniska się dopalały, żar świecił na czerwono i promieniował ciepłem. Coraz bardziej się ochładzało, rankiem będzie na pewno bardzo zimno. Drewno jeszcze zostało, można było dołożyć do ognia.

– Aż w końcu dostałem do naprawy tego bota, który zrobił mi to. – Stuver wskazał swoje kikuty, wylewając przy tym resztkę napitku.

Z żalem spojrział na pustą szklaneczkę. Knispel natychmiast znów ją napełnił.

– Próbowałem ucieczki kilkakrotnie. Za pierwszym razem ucięli mi nogę pod kolanem. Wtedy warsztaty jeszcze działały, w magazynach było wszystkiego pod dostatkiem. Zrobiłem sobie protezę. Dość dobrą protezę. Za jej pomocą uciekłem o wiele dalej, ale znów mnie dogoniły. Zdawały sobie sprawę, jak jestem dla nich ważny, albo sztuczna inteligencja im to uświadomiła.

Stuver zamilkł i znowu się napił. Widziałem, że wzrok zaczyna mu się szkląć.

– Złapały mnie jeszcze dwa razy, zapłaciłem za to drugą nogą, a w końcu zostawiły mi tylko te kikuty. – Uzupełnił swoją opowieść cynicznym uśmiechem. – Jak powiedziałem, trafił do mnie do naprawy bot, który mnie okaleczył.

– I zniszczył go pan – wtrącił Marlon z przekonaniem.

Stuver pokręcił głową.

– Nie, na to bym się nie odważył. Użyłem kodów, jakie otrzymałem do restartowania, i wczytałem je do jego

wewnętrznych peryferii. Znalazłem tam proste algorytmy dotyczące nas, ludzi, a między nimi jeden wymuszający posłuszeństwo. Każdy człowiek miał przydzieloną specyficzną przydatność dla botów i sposoby, jak można go karać, żeby to miało jak najmniejszy wpływ na jego umiejętności. Zgodnie z tą zasadą ucięły mi nogi, bo potrzebna im była tylko moja głowa, ręce i oczy.

– Czy gdyby znowu pan uciekł, toby pana zabiły? – zainteresował się Marlon.

– Nie – odpowiedział Stuver. – Miały mnie ukarać poprzez zabicie kogoś najmniej przydatnego wśród ludzi.

– W ten sposób z przywódcy grupy botów powstała jakby sztuczna inteligencja, uczył się i zaczynał rozumieć psychologię ludzi – ocenił to Rigajev.

Stuver już mu nie odpowiedział. Spał.

– Pomożemy tym ludziom dotrzeć do osady, a potem ruszymy dalej śladem botów -podsumował Knispel.

– Współrzędne pozyskane z pamięci bota, którego zniszczyłem, nie wskazywały na to miejsce – powiedziałem.

Tutaj znajdowały się boty walczące o swoją egzystencję, dowodzone przez degradującą się sztuczną inteligencję, co jednak nie znaczyło, że nie są niebezpieczne.

– Nie – potwierdził Knispel. – Współrzędne znajdują się dalej na pustyni. Osada, do której wjechaliśmy, tylko przypadkiem znalazła się na ich drodze. Wszystko znajdzie pan na mapie.

To oznaczało, że sporządził jej aktualizację albo zwiększył moje uprawnienia dostępu do informacji z archiwum czołgowego.

⁵ Entropia to proces malejącego uporządkowania we wszechświecie. Jeżeli mówimy o entropii układu, oznacza to, że kiedy połączymy ze sobą dwie substancje, na przykład ciecze o różnych temperaturach, wówczas cieplejsza przekaże energię chłodniejszej i ich temperatury się wyrównają. Ale te substancje nie mogą już samoczynnie odzyskać swoich poprzednich temperatur – mówi się wtedy, że entropia układu wzrosła i jest to nieodwracalne. Całkowita energia układu nie zmieniła się, ale nie ma możliwości uzyskania poprzedniego stanu (przyp. tłum.).

⁶ Klatka Faradaya oparta jest na zjawisku, że nabój elektryczny gromadzi się tylko

na powierzchni przewodnika, nigdy w jego wnętrzu. Dlatego klatka Faradaya elektrostatycznie ochroni swoje wnętrze przed wpływem zewnętrznym. Na sens sztucznych inteligencji nie mogą więc mieć wpływu żadne czynniki zewnętrzne. Przyczyna szaleństwa sztucznych inteligencji pozostających w stanie śpiączki nie jest znana.

Rozdział ósmy



W ciągu dwóch następnych dni doprowadziliśmy oswobodzonych jeńców do osady, pomogliśmy im transportować mnóstwo użytecznych przedmiotów. Powrót nie spowodował ubytku w naszych zapasach paliwa, ponieważ znaleźliśmy podziemny zbiornik o pojemności około piętnastu metrów sześciennych, z drogocennym paliwem po brzegi. Napełniliśmy zbiorniki czołgu, a mieszkańcom osady zostało jeszcze tyle, że powinno im wystarczyć na kilka lat. Zastanawiałem się, czy Knispel liczył się z tym, że uda nam się uzyskać dodatkowe paliwo, czy mieliśmy po prostu szczęście.

Pożegnaliśmy się nietypowo, ponieważ Knispel nakazał założyć ostatni obóz w odległości niecałych dwóch kilometrów przed osadą. Rankiem zjedliśmy śniadanie urozmaicone zdobycznymi konserwami, a później pomachaliśmy naszym tymczasowym towarzyszom i pojechaliśmy na wschód, w kierunku pustkowi.

Podczas podróży z konwojem poświęcałem dużo czasu studiowaniu map. Teraz było mi łatwiej ze względu na szczegóły, które udostępnił mi Knispel. Koordynaty pozyskane przez Rigajewa z pamięci bota oznaczały teren położony jeszcze dalej na wschód. Ale brakowało oznaczeń terenów leżących głębiej na pustkowiach z powodu przebiegu granic obszarów zasiedlonych przez ludzi. Właściwie najdalej na niezamieszkałych terenach byliśmy teraz, a dalsza podróż miała nas przybliżyć do cywilizowanych obszarów. Dziwiło mnie jednak, że boty nie kierowały się do swojego celu najkrótszą trasą. Na początku nie było to tak widoczne, ale teraz stało się jasne, że przedłużyły sobie drogę o dwieście, trzysta

kilometrów. Może dlatego, że znały dobrze teren. Trzymały się starych szlaków komunikacyjnych, autostrad, szos i zachowanych dróg, co pozwalało im na zaoszczędzenie energii. Ale i tak ich trasa wydawała mi się zbyt długa.

Wieczorem jak zawsze Rigajev zajmował się moim ramieniem. Zrobił mi kilka zastrzyków z hormonami i enzymami przyspieszającymi gojenie i ostrożnie wmasował jakąś maść. Nazywał ją przeciwzapalną, ale sądząc po tym, jak ostrożnie się z nią obchodził, była z pewnością toksyczna.

– Władza barkowe wyraźnie się regenerują. Zmiażdżone fragmenty mięśni zanikają, pojawiają się nowe włókna mięśniowe. Musi to cholernie boleć, jest silnie opuchnięte, a temperatura znajduje się w górnej granicy przedziału odpowiedniego dla procesu gojenia – ocenił w końcu. – Nie radzę ci nadal strzelać z tej broni, w każdym razie nie z takim nastawieniem siły strzału jak poprzednio.

Przyglądałem się płomieniom ogniska. Drzew było w okolicy pod dostatkiem, rozpaliliśmy duże ognisko, chociaż posiłki gotowaliśmy jak dawniej – na piecyku naftowym. Rigajev wyraźnie oczekiwał ode mnie odpowiedzi. Wcześniej to ja byłem rozmowniejszy, często wręcz zarzucałem go pytaniami.

– Goi się, a to dobrze – stwierdziłem.

Do bólu przywyknąć nie można, co najwyżej można go... zaakceptować.

– Zwyciężyliśmy – oznajmił bez związku Katzinski.

Było to tak zaskakujące, że wszyscy spojrzeliśmy na niego. Przyzwyczailiśmy się do jego małomówności, do wyłączenia z towarzystwa pozostałych.

– Pomógł nam upływ czasu. Przed dwudziestu pięciu laty widywałem chirurgiczne linie automatyczne zdolne rozebrać człowieka na kawałki, wcale go przy tym nie zabijając. – Katzinski opowiadał o czymś, co dotyczyło jego przeszłości. Ciemnej przeszłości, jak się wydawało. -Widzące oczy w słoju połączone z mózgiem elektronicznie, mięśnie wymieniane na bioniczne,

wszczepy domózgowe. – Skrzywił się, jakby przypomniał sobie coś nienaturalnego, nieprzyjemnego, odpychającego.

Wszczepy domózgowe, znałem to słowo, tylko nie byłem pewny, czy to coś realnego, czy jedynie wymysł. Podłączony do mózgu hardware wpływający na wyższe funkcje nerwowe.

– Teraz, żeby zmusić ludzi do posłuszeństwa, muszą im amputować nogi. – Zachichotał. – Skończyły się, przegrały, a pomógł nam czas. – Pokręcił głową, jakby właśnie zdał sobie sprawę z czegoś, co wydawało się niewyobrażalne, nie do pomyślenia. –

Wróć do domu – zakończył swój monolog i znów pogрузzył się we właściwym sobie milczeniu.

Usłyszałem kroki zbliżającego się kapitana. Nadchodził do ogniska z ciemności. Od oswobodzenia jeńców spędzał więcej czasu na postojach, siedząc lub stojąc na skraju obozu i wpatrując się w ciemną krainę, jakby wzrokiem mógł odkryć więcej niż przez czujniki czołgu.

Poblask ognia oświetlił jego twarz, tors w uniformie pozostał tylko cieniem. Albo to gra światła i cieni, albo efekt maskujący uniformu. Uświadomiłem sobie, jak bardzo szczupły jest kapitan, jego twarz była tylko czaszką obciążoną skórą, głęboko zapadłe oczy i bezkrwiste wargi. Usiłowałem przypomnieć sobie, jak wyglądał, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, ale było to tak dawno temu, oczywiście w sensie subiektywnym, że nie zdołałem.

– Życzy pan sobie rozwiązać swoją umowę?

To nie było pytanie skierowane do mnie.

Katzinski tylko pokręcił głową.

– Wróć do domu, do miejsc, w których dorastałem, gdzie znam każdy kamień. Rodzice nie żyją, moja żona nie jest już moją żoną, a dzieci są dorosłe. Wróć do domu, ale się nie spieszę. Swoją umowę dokończę, aż kiedyś przyjdzie czas, że wróć do cywilizacji. Nie spieszę się.

– A pan, Sanders? – kapitan zwrócił się teraz do mnie.

Przypomniałem sobie, że moje miejsce w załodze jest tymczasowe, tylko dopóki będziemy śledzić boty, które

uprowadziły Nataszę. A później spowodowały jej śmierć. Jednak to wszystko nie grało już roli, albo może właśnie grało, ale w inny sposób.

– Jeśli oferuje mi pan pracę polegającą na śledzeniu botów i zniszczeniu ich bazy, to ją przyjmuję – odparłem.

Nie potrafiłem określić, co było motorem napędowym Knispela, co go popychało na te pustkowia, ku zgubie. Stało się jasne, że jego praca polegająca na ochronie konwojów była tylko parawanem.

– Tak, dokładnie taką pracę panu oferuję. Tylko zanim zniszczymy bazę, musimy uzyskać jak najwięcej informacji.

– Jesteśmy umówieni – potwierdziłem.

– A pan, Balducci? – kapitan zwrócił się do Marlona.

– Jeśli będzie pan dalej płacić dotychczasowy żołd i premię, może pan na mnie liczyć. Znaleźć i zniszczyć, w tym. – Marlon spojrzał w kierunku czołgu.

– Rigajev?

Pomału zaczynałem rozumieć, dlaczego kapitan tak dokładnie wszystko uzgadnia. Pierwotna umowa z poszczególnymi członkami załogi była inna. Polegała na ochronie konwojów handlowych jadących z miejsca A do miejsca B. Teraz jednak wymagał od nas czegoś innego. Znaleźć i zniszczyć.

Rigajev przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Jeżeli przed zniszczeniem bazy postaramy się uzyskać informacje, to jesteśmy umówieni -odparł w końcu.

– Tak jak już powiedziałem – potwierdził kapitan.

Do Cyra Knispel się nie zwrócił, obaj tylko na siebie popatrzyli.

Paliwa mieliśmy wciąż pod dostatkiem w zbiornikach głównych oraz rezerwowym, nie musieliśmy oszczędzać. Ale poruszaliśmy się z prędkością ekonomiczną z powodu gąsienic. Każdego ranka i wieczora kontrolowałem ich stan i starannie je smarowałem. Kilka ogniw było już praktycznie u kresu żywotności eksploatacyjnej. Miałem już niewiele zapasowych, codziennie zastanawiałem się, czy je wymienić. Wiedziałem jednak, że ten zabieg będzie tylko środkiem tymczasowym, bo gąsienicom kończyła się ich

żywołność.

Podczas dwóch następnych dni kraina zmieniła się w pofałdowany, dość suchy obszar z licznymi pagórkami, według mapy od rzeki nazwanej po prostu Graniczną dzieliło nas sto dwadzieścia kilometrów. Terenów za nią nie nazywano już pustkowiami. Ze starszej mapy wyczytałem, że nazwa ta przestała obowiązywać jakieś siedem lat temu. Strefa ludzkich wpływów rozszerzała się szybciej, niż myślałem.

Obóz rozbiliśmy szybko dzięki nabytej rutynie, czujniki czołgu rozpostarły nad nami swój niewidzialny parasol. Knispel jak każdego wieczora stanął na skraju obozu, obserwując horyzont.

Do zmroku pozostało jeszcze sporo czasu; w miarę jak silnik się ochładzał, rozwiewał się zapach oleju i paliwa, zaczęła przeważać woń trawy i żywicy. W okolicy rosły małe, silnie pachnące, pokręcone sosny z długim igliwem. Poszedłem przyjrzeć im się z bliska, człowiek nigdy nie wie, jaka informacja może mu się w przyszłości przydać. W dotyku wydawały się lepkie.

– Utrzymując dotychczasowy kierunek, natrafimy już w odległości siedemdziesięciu kilometrów od rzeki na osadę. Według mapy nazywa się Ostatnia – poinformował nas Marlon, tkwiący nad mapą.

– Nie zawracali sobie tutaj głowy wymyślnymi nazwami, rzeka Graniczna, osada Ostatnia -westchnął Rigajev.

Stała przed nim porcja jedzenia, ale nie zwracał na nią zbytnej uwagi.

– Do tej wioski nie wjedziemy, będziemy musieli zboczyć bardziej na północ ze względu na bród -oznajmił Marlon.

* * *

Kolejny dzień upływał bez wydarzeń, jak wiele poprzednich, nadal jechaliśmy wzdłuż rzadkich lasów, drzewa były karłowate, a trawa słaba. Mijaliśmy wielkie skupiska zwiędzonego betonu. Nie wiedzieliśmy, czego były pozostałościami. Rigajev nic o tym nie mówił, a ja nie pytałem. Rozmyślałem, czy drgania w ramieniu są

oznaką zdrowienia, czy czegoś zupełnie innego.

– Pterobot – oznajmił nagle Marlon.

Dlaczego on, a nie Rigajev?

– Tak, już go mam, nisko nad horyzontem przed nami – potwierdził Rigajev i przesłał nam obraz.

Jak na razie była to tylko mała plamka na niebie. Znajdował się praktycznie wprost przed nami, złapały go czujniki kierowcy i dlatego Marlon dostrzegł go pierwszy.

Pterobot. Ja byłem przyzwyczajony do nazwy dron, ale może Marlon miał jakiś powód, żeby użyć innego określenia.

Po krótkiej chwili musiałem przyznać mu rację. Drony dysponowały niezwykłą zwrotnością, śledziły, w razie potrzeby niszczyły cele z bliska, ale spędzały w powietrzu raczej niezbyt długi czas. Przynajmniej z takimi maszynami miałem do czynienia. Po jakimkolwiek przelocie musiały lądować i dość długo gromadzić energię umożliwiającą dalszy lot. Nie napotkałem ich wiele, w całej mojej karierze tylko trzy. Dwa na granicy funkcjonowania, z prawie całkowicie wyladowanymi akumulatorami, jednego nadal zdolnego do eksploatacji. A przecież byłem jednym z tych, którzy mieli z nimi najwięcej doświadczeń. Pterobot odwrotnie, był przystosowany do długiego przebywania w powietrzu i śledzenia celu z dużej odległości. Potrzebował jednak pewnego odcinka wolnej przestrzeni, żeby wystartować. Nie zetknąłem się z żadnym z nich, tylko czytałem o takich maszynach latających. Był też inny podział, dronów używali ludzie, a pteroboty stanowiły starą broń pochodzącą z pustkowi.

Nasze systemy obronne weszły w tryb pogotowia. Rigajev przeszedł w aktywny tryb obserwacyjny, obraz pterobota powiększył się i stał się dokładniejszy.

Przyglądałem się delikatnej sylwetce o długich skrzydłach, smukłemu dziobowi z osadzonymi na nim czujnikami różnego typu. Nie było widać żadnego uzbrojenia, prawdopodobnie służył do obserwacji.

Rozpiętość skrzydeł wynosiła dobre pięć i pół metra. Szybował

z elegancją wielkiego ptaka.

– Zestrzelić go, kapitanie? – odezwał się Cyr.

Zastanawiałem się, czy jest sens poświęcać raketę dla takiego celu. Może wystarczyłoby działko szybkostrzelne?

– Nie, tylko przygotujcie się do obrony.

Czołg był już w pełnej gotowości bojowej. Zbliżaliśmy się do brodu, a podczas jego pokonywania będziemy bardziej wystawieni na atak niż na suchym lądzie. Sprawdziłem silnik i przestawiłem rury zasysające powietrze do położenia właściwego dla pokonywania przeszkód wodnych. Ponadto zwiększyłem ciśnienie wewnątrz czołgu o cztery hektopaskale. Czujniki wskazywały, że wszystko jest w porządku, teoretycznie mogliśmy z marszu pokonać bród o głębokości dwóch metrów.

Obraz pterobota na monitorach stopniowo rósł, a my zaczęliśmy rozróżniać szczegóły terenu przed nami. Szpaler drzew i krzewów wskazywał na to, że zbliżamy się do rzeki.

– Panie Balducci, proszę przyjąć kierunek na tę białą skałę na trzeciej.

Na mapie żadnej białej skały nie było, Knispel znów miał swoje informacje, jak zawsze zresztą.

Ze zmiany charakteru ruchu wywnioskowałem, że wjechaliśmy na miękkie, może nawet podmokły teren, przedzieraliśmy się pomiędzy małymi drzewkami i rozrośniętymi krzakami, a później przez wysokie trzciny, w których praktycznie straciliśmy widoczność. Marlon jechał ostrożnie, utrzymując stałe tempo, zielona ściana przed nami nadal się nie kończyła.

– Nikt tędy już od dawna nie jechał, nie widzę żadnych śladów – zauważył Cyr. – A bród powinien być używany.

Wyraźnie mu się to nie podobało, zgadzałem się z nim.

Radarowy obraz terenu przed nami stał się dla mnie nieczytelny, nie potrafiłem rozróżnić twardego dna od przybrzeżnego bagna, ani nawet od powierzchni mętnej wody. Gdyby bagno było w tym miejscu bardzo głębokie, na trzy, cztery metry, moglibyśmy w nim utonąć. Wyjechaliśmy na piaszczystą mierzeję, trzciny zostały

z tyłu, przed nami widzieliśmy bystry prąd rzeki. W którym znajdowało się mnóstwo głazów otoczonych wieńcami białej piany. Przeciwległy brzeg wydawał się nieprzyjemnie daleko.

– Naprzód, panie Balducci – nakazał Knispel. – Jak najszybciej można.

Ja bym za nic nie pojechał jak najszybciej, wprost przeciwnie, jak najwolniej, ale może nie dysponowałem wszystkimi informacjami, a do tego nie byłem kierowcą formatu Marlona. Wjechaliśmy w wodę, pojawiły się nowe dźwięki, woda rozbijająca się o pancierz. Z ciekawością obserwowałem dane z różnych czujników optycznych. Do momentu, kiedy woda przelewała się przez osłony gąsienic, poruszaliśmy się jednostajnie, dopiero potem charakter ruchu się zmienił i jasne było, że walczymy z wodnym żywiołem.

Pterobot nadal krążył w tym samym miejscu, nie podejmując żadnej akcji. Chyba że przywoływał przez radio inne maszyny.

Wkrótce znaleźliśmy się na drugim brzegu, gąsienice znów zahurkotały na swój zwykły sposób.

– Kapitanie? – odezwałem się na ogólnym obwodzie.

Na ogół nie zwracaliśmy się do dowódcy w czasie akcji.

– Tak, panie Sanders?

– Czy o tym brodzie miał pan więcej informacji, niż można było uzyskać z mapy? – zapytałem.

– Nie, tylko dane z czujników, a niestety, nie wszystkie są przekazywane do waszego kokpitu. Chodziło o zoptymalizowane ryzyko ze względu na możliwe przegrupowanie się botów.

– Dziękuję, panie kapitanie.

Zatem kapitan liczył się z możliwością pojawienia się botów.

– Na drugiej, odległość dwieście metrów – zameldował naraz Cyr.

Po chwili zauważyłem, co ma na myśli, pagórek pokryty był pniakami. Poprzednio rosły na nim drzewa, które ktoś wyciął.

– Według mapy od najbliższej osady dzieli nas jeszcze sto dwadzieścia kilometrów – przypomniał Rigajev.

Transportowanie drewna na odległość stu dwudziestu kilometrów byłoby idiotyzmem.

A później zobaczyliśmy pierwsze pole, zupełnie równą granicą odcinające się od okolicy porośniętej trawą. Jasne było, że zostało obrobione za pomocą maszyn. Marlon bez rozkazu zmienił kierunek, jadąc wzdłuż pola, żeby nie niszczyć cudzych plonów. Po chwili wpadliśmy na drogę, a z drugiej strony pojawił się inny łań zboża.

– Tutaj nie powinno być żadnych ludzi – warknął niezadowolony Marlon.

Teraz, kiedy poruszaliśmy się po wyjeżdżonej drodze, staliśmy się dobrze widoczni i można było łatwo zastawić pułapkę. Jednak Knispel nie wydał żadnych rozkazów.

Pola ustąpiły miejsca pastwisku, przeciętemu łukowatą linią drzew rosnących nad brzegiem rzeczki. Jechaliśmy teraz w cieniu drzew. Marlon zwolnił nieco, ale był gotów do natychmiastowego przyspieszenia. Otworzył się przed nami widok na osadę. Właściwie nie osadę, ale wieś. Prawie miasteczko.

Zatrzymaliśmy się w miejscu, w którym droga rozszerzała się, dając nam wgląd na całą wieś. Nie wytrzymałem, otworzyłem wąż i wyjrzałem na zewnątrz. Widok był tego wart. Ten, kto budował tę osadę, dobrze ją zaplanował. Niewielki plac główny, nawet z sadzawką, promieniście rozchodzące się ulice, domy z ogródkami, niezwykle szerokie, dobrze utrzymane drogi. Żadnych fortyfikacji nie zauważyłem, zastępowały je trzy wieże strażnicze stojące na granicy obwodu opasującego wszystkie budynki.

Słyszałem, jak Knispel wysyła przez radio nasze dane identyfikacyjne i prośbę o pozwolenie na wjazd oraz instrukcje dotyczące miejsca zaparkowania. Za drugim razem otrzymał odpowiedź.

– Tutaj chyba wesołe święto nam nie grozi – odezwał się Rigajev. Nie wiedziałem, czy mówił to z żalem, czy z ulgą.

– Jak sądzisz, mają broń? – zapytałem. Nie miałem na myśli karabinów i automatów.

– Nie zarejestrowałem żadnych sygnałów – odparł.

A więc nie namierzył nas żaden aktywny system.

– To nic nie znaczy, widzą nas na optyce jak na dłoni – zauważył Cyr.

Katzinski bez słowa wycelował działo w najbliższą strażnicę. Zbudowana była z kamieni, wysoka na dwadzieścia, może dwadzieścia pięć metrów, jej zniszczenie zaszkodziłoby okolicznym budynkom.

– Tryb pogotowia, ale bez akcji – oznajmił Knispel. – Będziemy przestrzegać podanych instrukcji.

Nie miałem ochoty niszczyć takiego ładnego miejsca, prawie z żalem patrzyłem na ślady gąsienic odcisnięte na drodze. Będą ją musieli potem wyrównać, bo teraz zrobiła się o wiele mniej przejezdna dla zwyczajnych pojazdów.

Zaparkowaliśmy pomiędzy dwiema dużymi drewnianymi stodołami, pełniącymi rolę spichlerzy, pod wiatą suszyły się zapasy drewna budowlanego, nieopodal widać było usypisko potłuczonych kamieni.

Przywitało nas trzech mężczyzn. Ich przywódca, siwowłosa, z dobrze utrzymaną bródką, miał u boku barczystego młodzieńca z pistoletem u pasa, po drugiej stronie szczupłego dryblasza ze sterczącymi wąsami, ostrzyżonego na jeża. Pomimo ciepłej pogody ubrany był w długi płaszcz i rękawice. Zapewne po to, żeby ukryć broń. Wydawało mi się, że pełni funkcję ważniejszą niż osobisty ochroniarz. Kojarzyłem go z kimś, kogo już widziałem, ale ostatnimi czasy napotkałem o wiele więcej ludzi niż zazwyczaj, a podobne wrażenie odniosłem już kilka razy przedtem.

Knispel wysiadł z czołgu, zgodnie z rozkazem przyłączyłem się do niego. Miałem ze sobą strzelbę, trzymałem ją z lufą skierowaną ku ziemi. Byłem z lekka zdenerwowany, ponieważ nie nałożyłem choćby kamizelki kuloodpornej. Te moje obawy zakrawały na początki paranoi.

– Witamy w Pralvie – powiedział przywódca. – Nadjechaliście od strony, z której wizyt raczej nie oczekujemy.

– Kapitan Knispel z załogą – odpowiedział kapitan. – Pracujemy dla władzy z Ambrezavile, sprawdzamy możliwości budowania

nowych tras handlowych.

Była to dla mnie nowość, ale być może miała usprawiedliwić naszą obecność na tak odległym terytorium.

– Stałe kontakty utrzymujemy tylko z Bakerbodem. Obszary na zachód od nas, skąd przybyliście, są obecnie uważane za nieprzejezdną pustynię, na której czyha wiele niebezpieczeństw.

Nie wydawało mi się, żeby przywódca tej grupki, a prawdopodobnie i całego miasteczka, obawiał się nas. Raczej był po prostu czujny. Pomiędzy domami lub za ich dużymi oknami dostrzegłem ruch. Ale ciekawscy jak na razie trzymali się z daleka.

– Możliwość handlu z ludźmi mieszkającymi na dalszych terytoriach jest oczywiście mile witana -powiedział rozważnie przywódca. – Nazywam się Jonathan Rehek – przedstawił się. – Jako starosta Pralwy zapraszam was na wieczorne uroczystości. Będziecie naszymi gośćmi.

– Dziękujemy – odpowiedział Knispel.

Wąsaty mężczyzna obserwował mnie z wyrazem niedowierzania na twarzy, ten z pistoletem wyglądał na spokojnego, jakby nie spodziewał się z naszej strony zagrożenia. Ale byliby wariatami, gdyby nas zaatakowali, nie mieli niczego, co mogłoby przeciwstawić się sile czołgu.

– Obawiam się, że nie posiadamy towarów na handel, jesteśmy ekspedycją badawczą -powiedział kapitan. – Jednak prywatne możliwości mojej załogi to tylko ich sprawa i mogą mieć jakieś towary, które byłyby dla was przydatne.

Rehek, słysząc te słowa, rozjaśnił się, jakby kapitan powiedział to, czego właśnie oczekiwał.

– Witajcie u nas. – Rozpostarł ręce szerokim gestem. – Zaprowadzę was do budynku, w którym możecie się rozgościć.

Przypuszczałem, że kapitan będzie coś miał przeciwko temu, ale nie powiedział nic. Rigajev, Marlon i Cyr dołączyli do nas, w czołgu został tylko Katzinski. Zaraz też pojawili się pozostali mieszkańcy, mężczyźni, kobiety i dzieci, wychodząc zza drzwi, spoza płotów i z innych miejsc, w których się ukrywali. Idąc za starostą, słyszałem,

jak rozmawia z Knispelem o możliwości rozpoczęcia kontaktów handlowych bezpośrednio z Ambrezavile. Żalił się, że w ostatnim czasie spadają ceny zboża i innych produktów rolnych. Sądząc po tym, jak utrzymane były domy i ulice, oraz po czynnych panelach słonecznych na dachach, wiodło im się jednak dobrze. Lepiej niż gdziekolwiek indziej, o ile nie brać pod uwagę bogatych rodzin handlowców albo elity dużych miast.

Przechodziliśmy obok okazałego budynku ze strzelistą wieżą, wysoko osadzone okna świadczyły o dużej kubaturze wewnątrz. Kościół, pomyślałem sobie. Nie było na nim krzyża, półksiężyca ani innego symbolu wiary, tylko sześcian postawiony na jednym ze swych narożników. Nic nam to nie mówiło, ale dzisiaj każdy wierzył w to, co chciał.

Dom, do którego nas przyprowadzono, okazał się kwaterą dla handlowców przyjeżdżających tu po towary.

– Dużo podróżujecie? – zapytał starszego z towarzyszy Reheka.

Przedstawiono go jako Apronova, fachowca od maszyn i silników.

– Ja już od wielu lat nie opuściłem miasta, jestem na to zbyt wygodny. – Skrzywił się. – Na szczęście mam pod dostatkiem pomocników, którzy o wszystko zadbają.

Pokiwałem tylko głową, Apronov wyraźnie mi się z kimś mylił.

Budynek otoczony był ogródkiem, gdzie w równych rzędkach rosły czosnek, majeranek, mięta i inne zioła używane w kuchni. To miało sens, dlaczego nie zużytkować pod uprawę każdego dostępnego miejsca, w dodatku mając potrzebne rośliny pod ręką.

Pomiędzy drzewami znajdowała się altana wyposażona w ławki, w której bez tłoku mogło się pomieścić ze dwa tuziny ludzi.

– To miejsce służy do spotkań i negocjacji handlowych – oznajmił Rehek. – Siadajcie, proszę, za chwilę przyniosą mały poczęstunek.

Jakby na rozkaz pojawiły się kobiety i mężczyźni z wózkami załadowanymi chlebem, kiełbasami, mięsem wędzonym, butelkami wina i palinki. Wszystko to wyglądało bardzo smakowicie, wydawało mi się, że moim towarzyszom po prostu ślinka cieknie.

Mnie ostatnio było obojętne, co jem.

Wszyscy usiedliśmy, Rehek ze swoją asystą i kilkoma jeszcze mężczyznami przy naszym stole, pozostali przy drugim.

Rehek aż promieniował podnieceniem, być może dostrzegł w naszej wizycie wielką szansę handlową dla miasteczka. Wiedziałem, że nawet same tylko informacje geograficzne mogą mieć cenę złota.

– Wszyscy jesteśmy ciekawi drogi, którą pokonaliście, ale najpierw wypijmy za nasze spotkanie – przemówił z szerokim, profesjonalnym uśmiechem.

Dlaczego nie, każdy musi z czegoś żyć, a on był lokalnym politykiem.

Otrzymałem swoją szklanę, kobieta w sukni z głębokim dekoltem z uśmiechem naląła mi solidną porcję aromatycznej palinki. Siedzący obok mnie Apronov trzymał już swoją szklanę, ale kobiecie nie poświęcił najmniejszej uwagi, chociaż była bardzo pociągająca. Czyżby jego żona? Pewnie by mu się nie podobało, gdyby gapili się na nią obcy mężczyźni. Dyskretnie odwróciłem głowę, dostrzegłem trzech mężczyzn stojących na skraju altany. Wyglądali tak, jakby czekali na jakiś sygnał. Nie zauważyłem u nich broni. Zerknąłem znów na Apronova. Prawie niewidocznym ruchem głowy dał im znać, że jeszcze nie, że mają czekać. Nie wyglądał jednak na zdenerwowanego, był skupiony, ale spokojny. Taki wyraz twarzy skądś znałem.

– Na zdrowie!

Między nami pojawił się człowiek, którego się nie spodziewałem. Katzinski.

– Kapitanie, melduję się na rozkaz – oznajmił.

Nagle przypomniałem sobie, skąd znam Apronova. Rigajev, Marlon i Cyr odstawiali szklanki albo podstawiali je do powtórnego napełnienia, sprawiając przy tym wrażenie już mocno pijanych. Knispel siedział na ławie w nienaturalnej pozycji, otruli go albo doznał nagłego paraliżu. Upuściłem szklanę, z której właśnie chciałem się napić, sięgając równocześnie po strzelbę opartą

o krzesło. Kiedy szkło z brzękiem rozbiło się o ziemię, już trzymałem ją w rękach, przestawiając przełącznik siły strzału na pozycję o jeden stopień niższą. Tym razem nie miałem niszczyć botów i dwójka w zupełności wystarczyła na ludzi, nawet gdyby mieli na sobie kamizelki kuloodporne.

– Jest pan przygotowany, ale niewystarczająco – stwierdził Apronov.

Nastąpiła zupełna cisza, wszyscy ludzie zamilkli, patrząc na mnie. Trzech mężczyzn powoli i jakby z trudem wyciągało broń z kabur ukrytych pod ubraniem. Miałem to zobaczyć.

– Nie róbcie tego – powiedziałem.

Popatrzyli na Apronova, ale nie otrzymali od niego żadnego znaku.

Wystrzał, wystrzał, wystrzał.

Więcej nie było trzeba, wszyscy trzej zwałili się na ziemię z brzuchami zmienionymi w mielone mięso.

– To było niepotrzebne – rzekł Rehek, patrząc na Apronova.

Część mieszkańców cofnęła się, altana opustoszała.

Rigajev, Cyr i Marlon wyglądali tak, jakby za chwilę mieli pogrążyć się w śpiączce, kapitan starał się wstać z krzesła, ale mięśnie zdawały się go nie słuchać. Katziński sięgnął po pistolet, lecz uderzenie w potylicę posłało go na ziemię. Padł jak nieżywy, może zresztą tak się stało, uderzenie było bardzo silne.

– Nie wydaje mi się – powiedziałem.

– Nie wiem, ile naboju masz w tej swojej broni, ale na pewno nie dość – zabrał głos Apronov.

Starosta wyglądał, jakby mu ulżyło, i cofnął się nieco. On nie nadawał się do walki.

Ludzie stali dookoła jak skamieniali.

– Wszystkich was zabić nie zdołam, tu masz rację – powiedziałem zimno, sam nie wiedząc, skąd się to we mnie bierze. – Ale pierwszych dziesięciu umrze na pewno.

Moi przyjaciele byli otruci, może to dodawało mi twardości. Ale i tak blefowałem. Gdyby wszyscy rzucili się na mnie jednocześnie,

nie zdołałbym wystrzelić więcej niż dwa, trzy razy. No, w najlepszym razie pięć.

Apronov spojrział na starostę, który tylko wzruszył ramionami. Apronov odwrócił się i gestem dał znak młodej kobiecie stojącej w pierwszym szeregu ciekawskich.

Wyciągnęła rękę, Apronov z uśmiechem podał jej nóż. Złapała go i ruszyła na mnie. Czy on myślał, że jej nie zabiję? Mężczyzna stojący niedaleko po przeciwnej stronie równocześnie z nią rzucił się do ataku. Bez wahania strzeliłem mu w brzuch, kobiecie wytrąciłem nóż uderzeniem kolby. Mężczyzna dobiegł do mnie bardzo blisko, leżał teraz wśród odłamków kości, mięsa i szczątków jelit. Wystrzał wybił w jego korpusie dziurę na wylot.

– Zabijcie go! – nakazał Apronov. – Szybko! Nasz władca tego żąda!

Ludzie niezdecydowanie przestępowali z nogi na nogę, straszliwe skutki użycia mojej strzelby powstrzymywały ich przed podjęciem jakiejś akcji.

Muszę zabić Apronova, mówił mi jakiś głos w mojej głowie.

Ale Apronov dobrze wiedział, o czym myślałem, przyciągnął przed siebie jedną z kobiet i popchnął ją naprzód.

– Zabijcie go! Nasz pan chce, żeby zginął!

Gdybym miał nastawioną trójkę, trafiłbym i kobietę, i Apronova jednym strzałem.

Teraz ruszyli naprzód, wyciągali noże, łapali za butelki, za sobą też usłyszałem ruch.

Nagle odezwało się stłumione dudnienie wielkiego silnika, chwilę później wydech ryknął głośno, kiedy jednostka sterująca dodała gazu. Płot padł z trzaskiem, narożnik domu rozpadł się i ukazała się wielka bryła czołgu z lufami karabinów maszynowych wymierzonymi w tłum.

– Jak to! Przecież wszyscy jesteście tutaj! – nie rozumiał Apronov, patrząc osłupiały na potężną maszynę.

Moje ulubione ponad sto ton stali, kompozytów i innych materiałów najwyższej jakości.

Pozostali również zagapili się na czołg, a to mi wystarczyło. Przebiegłem pomiędzy ludźmi, uderzeniem kolby zwałem z nóg Apronova i przydepnąłem mu pierś. Uniosłem wzrok, pod moim spojrzeniem ludzie cofali się jak najdalej ode mnie. Katzinski niepewnie wstawał, kapitan nadal sprawiał wrażenie częściowo sparaliżowanego, ale to on musiał przywołać czołg. Marlon, który również dysponował możliwością zdalnego sterowania, siedział bez przytomności przy stole z twarzą zanurzoną w talerzu z jedzeniem. Zaryzykowałem dwa szybkie kroki, wyrwałem spod niego talerz, żeby się nie udusił, i wróciłem na miejsce.

Apronovowi ta krótka chwila wystarczyła, żeby się poderwać. Kolejnym uderzeniem posłałem go na ziemię.

– Nic ci to nie pomoże, zabijemy was. – Wykrzywił do mnie twarz.

Wycelowałem w jego przedramię, odwróciłem głowę i nacisnąłem spust. Huknął strzał, któremu towarzyszyło kilka przestraszonych okrzyków. Z doskonałej protezy ukrytej pod długim rękawem kurtki pozostały tylko szczątki, kawałki metalu dosięgnęły twarzy Apronova, powodując kilka powierzchownych ran. Apronov był mężczyzną z Ambrezavile, którego ścigał tłum i któremu pomogłem. Przypomniałem sobie o tym zbyt późno.

– Dostanę jeszcze lepszą, w nagrodę – wykrzyknął.

Oparłem strzelbę o jego zdrowe ramię.

– Może będziesz potrzebował dwóch – oświadczyłem. – A może i nie. – Przesunąłem wylot lufy na staw barkowy.

Zdrętwiał. Swoich ludzi potrafił z łatwością posyłać na śmierć, ale samemu umierać to inna sprawa.

Katzinski w końcu doszedł do siebie i pomógł kapitanowi wstać z krzesła. Jak się okazało, nie był to paraliż, tylko jakiś środek na krótko porażający układ nerwowy. Knispel wyglądał teraz zupełnie normalnie.

– Sanders, znowu wykazał pan swoje umiejętności – powiedział, nawet nie odwracając się w moją stronę. Karabiny maszynowe czołgu kierowały się automatycznie tam, gdzie właśnie patrzył.

W gęstych rzędach ziemniaków coś się poruszyło w dobrze mi

znany sposób, charakterystyczny dla botów. Małych botów. Wystrzeliłem raz i drugi, uszkodzony stwór wypadł ze swego ukrycia, niezdolny do utrzymania kierunku. Okuciem kolby zwałem go na ziemię, uderzenie uszkodziło jakieś połączenia wewnętrzne, lewe kończyny znieruchomiały i bot stracił możliwość ucieczki.

Przemówiło naraz działko szybkostrzelne, ludzie z krzykiem padali na ziemię, zatykając uszy, huk wystrzałów w bezpośredniej bliskości wylotu lufy prawie niszczył bębunki. Na ulicy pojawił się dinobot wielkości kuczka, starając się dotrzeć do nas, jego ruchy były nienaturalnie szybkie, błyskawicznie zmieniał kierunek, nagle odbił się od pionowej ściany, ale seria wystrzałów z działka trafiła go celnie.

Skończył na ziemi jako złom.

– Co teraz, panie kapitanie? – zwróciłem się do Knispela.

Po demonstracji naszej siły tłum się uspokoił.

– Proszę zająć się Cyrem i pozostałymi. Katzinski, niech pan zajmie swoje miejsce w czołgu, działko jest pańskie. Strzelać w razie konieczności, ale proszę preferować boty – rozkazał Knispel, po czym zwrócił się do ludzi leżących na ziemi. – Nic wam się nie stanie – oznajmił. – Zostańcie na miejscach.

Byli tak przestraszeni, że posłuchali. Zastanawiałem się, czy to nas się bali, bo wcale nie byłem tego taki pewny. Jeszcze raz groźnie na nich spojrzałem i zająłem się swoimi towarzyszami. Rigajev siedział za stołem z twarzą opartą o blat i czołem rozciętym szkłem z rozbitej szklanki. Uniosłem mu głowę, źrenice miał nie większe niż łebki szpilek, lekko zasinione wargi, oddychał płytko.

Jednak mnie zauważył, widziałem, że z pewnym trudem zmusza swój mózg do myślenia.

– Opiat, dali nam jakiś silny alkaloid rozpuszczony w alkoholu. – Mimo że starał się wyraźnie wypowiadać słowa, miałem trudności ze zrozumieniem. – Musimy zachować przytomność, oddychać – mamrotał. – Naxolon, antidotum, właściwa dawka dla każdego.

Później stracił przytomność. Cyr i Marlon byli w takim samym

stanie, a może nawet gorszym.

– Idę do czołgu! Po lekarstwa! – krzyknąłem, żeby usłyszeli mnie Knispel i Katzinski, żeby nie przejechali mnie jakimś niespodziewanym manewrem.

Trochę potrwało, zanim znalazłem naxolon w czołgowej aptece. W podręcznej go nie było, poszedłem szukać w głównej, gdzie znajdowały się leki i narzędzia, o których nie wiedziałem. Niepotrzebnie spieszyłem się i działałem nerwowo. Wytrzymają, jeszcze minutę wytrzymają, powtarzałem sobie. Tak było zawsze. Jeśli chodziło o ryzyko dotyczące mnie samego, byłem lodowato spokojny. Jeśli o życie moich przyjaciół, starałem się działać jak najszybciej. Nie chciałem, żeby umarli, nie wolno im było umrzeć. Podam im antidotum, wrócą do przytomności, to tylko zatrucie opiatem. Zabrałem lekarstwa, pneumatyczną strzykawkę i pobiegłem z powrotem do towarzyszy. Strzelbę cały czas miałem ze sobą.

Marlonem zająłem się najpierw, bo był najłżejszy. Instrukcję przeczytałem dwukrotnie, żeby nie popełnić błędu w dawkowaniu. Początkowa dawka wynosiła dwa miligramy. Wstrzyknąłem ją Marlonowi, ułożyłem go tak, żeby się nie zachłysnął w razie wystąpienia wymiotów, i przeszedłem do Rigajeva. Oddychał prawie niezauważalnie, wargi miał zupełnie sine. Znalazłem żyłę i jemu też zaaplikowałem antidotum. Ostatni był Cyr. Postrzegaliśmy go, ale nic nie mówił. On również dostał dwa miligramy.

Napięcie kilku ostatnich minut mnie wyczerpało, czułem się tak, jakbym kierował się jakimś własnym algorytmem, jakbym był maszyną posłuszną mojej woli.

Rigajev nie ocknął się w ciągu trzech minut, więc zgodnie z instrukcją podałem mu jeszcze jedną dziesiątą miligrama. Cyr i Marlon przyszedli do siebie. Siedziałem obok nich i czekałem, sprawdzałem czas i rozglądałem się. Ludzie nadal leżeli na ziemi, poruszająca się lufa czołgu, śledząca niewidoczne cele, sprawiała groźne wrażenie. Dobrze, że czołg już nie strzelał, huk na pewno pozbawiłby mnie słuchu.

Chyba po raz dziesiąty nachyliłem się nad Rigajevem, żeby dać mu jeszcze jedną dziesiątą miligrama. Powoli zaczynałem tracić nadzieję, że to pomoże. Nagle otworzył oczy, źrenice miał teraz szerokie.

– Źle się czuję – zachrypiał, śliniąc sobie przy tym brodę.

Powinienem był poczuć radość, że przeżył, ale czułem tylko ulgę, że nie muszę się już o niego troszczyć.

Większością istotnych spraw zajął się kapitan. Zebrał mężczyzn w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu pięciu lat i zamknął ich w jednej ze stodół na skraju wsi. Nie spodobało im się to, ale znajdując się pod lufami czołgu, nie odważyli się protestować. Pozostałym nakazał, żeby poszli do domów. Zabronił używania radia, a wieczorny posiłek ustanowił na godzinę ósmą, potem miał obowiązywać zakaz wychodzenia z domów.

Choć wydawało się to niemożliwe, to wszyscy jednak posłuchali i w ten sposób uzyskaliśmy kontrolę nad ponad dwiema setkami ludzi, wśród których oczywiście większość stanowiły kobiety i dzieci.

Otrzymałem rozkaz przeglądu osady i zebrania całej znalezionej broni. Wziąłem sobie do pomocy nieokrzesanego młodzika, stanowiącego przedtem zbrojną asystę starosty. Bał się mnie, choć starał się to ukryć, posłusznie prowadził mnie od jednego domu do drugiego. Miał niezłe rozeznanie i w trzy kwadransy zgromadziłem sporo różnych strzelb myśliwskich, starych i nowych automatów wojskowych oraz niedawno wyprodukowanej broni o nieznanym mi konstrukcji. Bardzo praktycznie i efektywnie zaprojektowanej, jak zdołałem osądzić. Jak na taką bogatą osadę, broni nie było tak dużo, jak się spodziewałem. Ale i tak nie mogłem zabrać wszystkiego naraz i musiałem całość załadować na wózek.

Kiedy wróciłem, Rigajev i pozostali byli już mniej więcej w porządku. Cyr trzymał na kolanach automat i wszyscy trzej popijali herbatę. Siedzieli w altanie, skąd mieli znakomity przegląd sytuacji w całej osadzie.

– Wyplukujemy truciznę z organizmu – rzekł Marlon niepytany,

siorbiąc z wielkiego kubka.

Postawiłem wózek z bronią obok ławy i wskazałem kierunek swemu pomocnikowi.

– Do stodoły – przypomniałem mu.

Tylko pokiwał głową.

– Wierzysz mu? – zapytał Marlon.

Wzruszyłem ramionami.

– Możesz go eskortować, ja jestem na to zbyt zmęczony.

Mówiłem prawdę, z ulgą usiadłem na ławce ze strzelbą na kolanach.

– Co tu się właściwie stało? – zapytał Cyr. Miał cienie pod przekrwionymi oczami, po nim najbardziej było widać skutki otrucia. Chyba wypił więcej niż inni. – Dlaczego próbowali nas zabić?

To było dobre pytanie, rozmyślałem nad tym podczas konfiskaty broni. Powinienem był domyślić się wcześniej, moja nieuwaga mogła nas kosztować życie.

– Popatrz na ten kościół i symbol na wieży – odparłem. – Ta kostka to czip trzy D, jądro jednostki logicznej botów. Zajrzałem do środka. Ołtarz wygląda podobnie, ma jeszcze symbol koła zębatego. Ci ludzie wzywali Rexemachina, króla z maszyny, czy może boga w maszynie, jak tłumaczę sobie nazwę ich bóstwa.

– I z tego powodu próbowali nas zabić? Jeszcze zanim stwierdzili, kim jesteśmy? – Marlon z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Czemu nie? Jeżeli ich bóstwo tego żądało... – zauważył Rigajev.

Pasowało to do jego wyobrażenia o świecie. A teraz również do mojego.

– Jak do tego doszedłeś? W sam czas.

– Widziałem już tego faceta, Apronova. W Ambrezavile. Chcieli go ukamienować ze względu na protezę, ale może również dlatego, że wygłaszał kazania o królu z maszyny. Zbyt późno go rozpoznałem i zorientowałem się, że kłamie, że stara się zataić, kim jest i to, że już się spotkaliśmy. A potem to już poszło szybko.

Rigajev milczał, może był wstrząśnięty, niebezpieczeństwo,

którego się nie spodziewaliśmy, minęło nas tylko o włos.

Przypomniałem sobie nocny napad botów na konwój. Ktoś wtedy pomógł napastnikom, wyłączając system czujników. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, i z biegiem czasu wyleciało mi to z pamięci. I to był błąd. Powinienem być pomyśleć o tym, że są ludzie wierzący w pana z maszyny.

A błędy kosztują czasem nawet życie.

– A gdzie kapitan? – Cyr uniósł znad stołu zmęczony wzrok.

– Wrócił do czołgu. Powiedział, że nie potrzebuje żadnej pomocy, doszedł do siebie bardzo szybko.

Na Knispela alkaloidy działały inaczej niż na pozostałych. Przypomniałem sobie, że przez pewien czas wyglądał na sparaliżowanego, niezdolnego do powstania z krzesła. Jednak kiedy mu się to udało, działał energicznie i efektywnie jak zawsze.

– Ty już sobie tutaj wszystko przejrzałeś, prawda? – zapytał mnie Rigajev.

Przytaknąłem.

– Tylko z grubsza. I myślę, że nie byłoby mądrze, żeby któryś z nas chodził tutaj gdziekolwiek sam. – Starłem się powstrzymać jego badawcze zapędy.

Sądząc po wyrazie twarzy Rigajeva, nie udało mi się to. Znałem jego ciekawość, a on wyraźnie czuł się już lepiej.

– Panowie – zwróciłem się do pozostałych – pójdę z Rigajevem na przegląd osady, na was spoczywa dozór nad porządkiem. Nasz główny więzień znajduje się w piwnicy.

– Apronov – powiedział Marlon.

– Tak, wygląda na ulubieńca boga – potwierdziłem.

Marlon wstał, podszedł do niewielkich drzwiczek do piwnicy, otworzył je, zajrzał na dół, potem drzwiczki zamknął i wrócił do stołu.

Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że to, co zobaczył, mu się nie spodobało.

Apronov został powieszony na belce za rękę i resztki protezy. Nie całkiem powieszony, mógł się wspierać czubkami palców u nóg.

Kwestią czasu jednak było, że się zmęczy, podpórka nie wystarczy i stawy barkowe nie wytrzymają.

– Bardzo twardo – osądził Marlon, patrząc na mnie jak na kogoś, kogo tak naprawdę dobrze nie znał.

– Prawie umierałeś – przypomniałem mu.

Nie wiedziałem, do czego jest zdolny Apronov. Jego proteza była o wiele doskonalszym produktem, niż początkowo myślałem. W domu mężczyzny znalazłem jeszcze drugą, zapasową. Jej mechanizm był tak skomplikowany, że niektóre części sprawiały wrażenie, jakby w grę wchodziła nie tylko czysta mechanika i elektronika, ale zaawansowana biotechnologia. Ciężna i przewody były kamuflażem dla wprowadzenia w błąd przypadkowych ciekawskich. Prawdopodobnie był w stanie sterować protezą za pomocą nerwów. Może jego władcy ulepszyli go również w jakiś inny sposób, wolałem nie ryzykować. Nie zależało mi na Apronowie, jego cierpienia były mi obojętne, jakbyśmy obaj należeli do innych gatunków zwierząt. Chociaż to porównanie było nieprecyzyjne, zwierzęta zabijałem w taki sposób, żeby nie cierpiały. Potrzebowałem ich mięsa, a nie cierpienia.

W przypadku Apronova... nie byłem pewny.

– Zabierzemy ze sobą starostę, sprawia wrażenie człowieka myślącego praktycznie, któremu najbardziej zależy na swoim własnym karku – zaproponowałem.

– Polityk – stwierdził Rigajev, kiwając głową.

– Nie idę z wami, będę tutaj pilnował porządku – zdystansował się od nas Marlon.

Zabrałem strzelbę, coś do przegryzienia i poszliśmy.

Starosta, którego zamknęliśmy w izolacji od jego ludzi, bardzo się przestraszył na nasz widok. Myślał, że przyszliśmy go zabić.

– Potrzebujemy przewodnika – oznajmił mu Rigajev w chwili, gdy zamierzał prosić o litość.

Zostawiłem ich samych i wyszedłem na zewnątrz, przyglądając się miasteczku jakby innymi oczami. Gdybym od razu na początku wiedział, jak patrzeć, zauważyłbym, że przy budowaniu domów

zastosowano technikę, która nie jest obecnie używana, o ile w ogóle nadal umiemy z niej korzystać. Doskonale gładkie i równe fundamenty, przygotowane do postawienia drugiego domu, płyty wznoszone bez pomocy gwoździ, tylko przy użyciu maszynowo wyrabianych śrub, szyby okienne tak równe i gładkie, jakich nie widziałem nawet w Ambrezavile. Z literatury wiedziałem, że w skład armii walczących w wielkiej wojnie wchodziła ogromna liczba automatycznych i półautomatycznych wieloczynnościowych maszyn budowlanych, ponieważ automatyzacja procesów budowlanych była postawiona na bardzo wysokim poziomie. A tutaj przekonaliśmy się, że boty nadal nią dysponują.

– Kiedy nawiązaliście kontakty z botami?

Starosta z Rigajevem wyszli z budynku służącego za prowizoryczne więzienie, poszedłem za nimi, trzymając się nieco z tyłu.

– To znaczy kiedy zaczęliśmy im służyć? – Nasz przymusowy przewodnik upewnił się, czy właściwie zrozumiał pytanie.

Nie użył słowa „współpracować”, „służyć” świadczyło o jego poglądzie na tę sprawę.

– Tak – krótko odpowiedział Rigajev.

Zbliżaliśmy się do budynku na skraju miasteczka, który na pierwszy rzut oka można było uważać za dużą stodołę, lub raczej za dwie duże stodoły połączone chodnikiem. Jednak z bliska widać było, że są to budynki znacznie solidniejsze. Szczególne zainteresowanie mogły wzbudzać duże wymienniki ciepła, których podczas przeglądu z daleka nie dostrzegłem.

– To już będzie dłużej niż dwadzieścia pięć lat! Zaczęło się za czasów starego Olgina, który był starostą przede mną. To on wynegocjował wszystkie warunki, ja nie brałem w tym udziału, starałem się tylko jak najlepiej pracować dla dobra mieszkańców.

Starosta chciał być przekonujący i raczej mu się to udawało. Ale liczba lat mi się nie zgadzała.

– To musiało być później – oświadczyłem.

Starosta odwrócił się ku mnie nerwowo.

– Możliwe, że dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata temu – poprawił się.

To wyglądało prawdopodobnie, bo oznaczało, że boty pojawiły się tutaj dopiero po wojnie Hanturiego.

– To jest chyba najważniejsza rzecz, jaką dla nich robimy, przynajmniej tak wynika z ich zachowania – zmienił nagle temat, wskazując na budynki przed nami.

Drzwi były solidne i zaopatrzone w kilka zamków. Starosta wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i zaczął je otwierać.

– Musimy uważać, żeby nie wchodziły tu dzieci, jest tu mnóstwo specjalistycznego wyposażenia, a one nie lubią, kiedy coś się uszkodzi. Coś mogłoby również wybuchnąć, jak mi się przynajmniej wydaje – dodał niepewnie.

Weszliśmy do środka, do niewielkiego przedsionka, starosta starannie zamknął za nami drzwi.

Już stąd słychać było hałas pracujących maszyn.

– Wentylatory działają, to dobrze – stwierdził.

Za kolejnymi drzwiami zobaczyliśmy halę produkcji chemicznej. Dostrzegłem specjalne suszarki, młyny kulowe, nawilżacze, ogromne stalowe wanny do mieszania cieczy, wyposażone w masywne chłodziarki, długą linię nitryfikacyjną[7]. Cegły, z których została zbudowana hala, aż błyszcząły, tak starannie zostały wypalone.

– Środki wybuchowe i materiały miotające, to tutaj je produkują – rzekł Rigajev. – Dlatego boty mają teraz broń palną. Musimy powiadomić o tym kapitana.

Mieliśmy ze sobą komunikatory, ale albo byliśmy zbyt daleko, albo sygnał został stłumiony przez budynek.

– Od jak dawna produkujecie dla nich materiały wybuchowe? – zapytałem.

– Chemikalia – spróbował się bronić starosta, ale szybko tego zaniechał. – Już od trzech lat -powiedział. – Cała ta wytwórnia powstawała przez pięć lat, tyle samo czasu gromadziliśmy surowce, siarkę, saletrę i inne składniki. Trzeba było zachowywać szczególną

ostrożność, żeby nikt z Bakerbodu czy z okolicy niczego się nie domyślił. Było oczywiście kilka wypadków... Musieliśmy się wszystkiego nauczyć. Boty dostarczyły nam wprawdzie instrukcje, ale wszystkiego w nich nie było. Brakowało niekiedy nawet podstawowych informacji. Tymi wszystkimi wyrobami zajmował się Antricht, ja nie znam żadnych szczegółów. On powie wam więcej, jeśli będziecie sobie tego życzyć.

Dlatego poświęcali tyle uwagi drogom, musieli dowozić mnóstwo surowców, a na utwardzonych jezdniach nie pozostawiali śladów.

– Wszystkimi wyrobami – zareagował Rigajev. – To znaczy, że produkowaliście dla nich i inne rzeczy?

Starosta westchnął z rezygnacją.

– Ano tak, robimy, co nam każą, i dostajemy za to zapłatę. W surowcach, technice, w tym, o co poprosimy, a one mają to w dyspozycji.

Poszliśmy dalej.

W kolejnych budynkach odkryliśmy wyposażone warsztaty, nowoczesne obrabiarki, części zamienne gotowe lub w różnych stadiach produkcji, ławy montażowe, przyrządy diagnostyczne. Jasne było, że miejscowi zapewniali botom szeroko zakrojoną pomoc techniczną. Nigdzie jednak nie widziałem niczego, co łączyło się z elektroniką, ze sterującymi komputerami botów.

– W jaki sposób nauczyliście się tego wszystkiego? – zapytałem.

– Pracujemy dla nich od wielu lat, jak już mówiłem – przypomniał nam starosta. – Na początku, jeszcze za Olgina, przynosiły podręczniki, instrukcje techniczne i pokazywały, czego od nas chcą. Kiedy nam się to udawało, nagradzały nas.

Na własnej skórze przekonałem się, że uczyć się ze starych książek nie jest rzeczą łatwą. Człowiek w każdej chwili mógł natrafić na zagadnienia, które były mu obce, tekst często pomijał jakieś istotne czynności, jakby autor uważał je za oczywiste, jednak dla uczącego się były nieznane. Poza tym brakowało narzędzi i instrumentów, które przed laty były dostępne dla każdego technika.

A tutaj w ciągu stosunkowo krótkiego okresu ludzie wykonali ogromną pracę i nauczyli się tylu rzeczy, które odpowiadały wiedzy ludzi pracujących w rozwiniętych centrach produkcyjnych dużych miast. A może nawet więcej. Być może mieli więcej informacji, lepszych nauczycieli... Albo lepszą motywację.

– Nie groziły wam? Nie atakowały? Nie przymuszały do współpracy? – dowiadywał się Rigajev, jakby wiedział, że chciałem zadać te same pytania.

Starosta namyślał się nad odpowiedzią.

– Nie – powiedział w końcu. – Nigdy nam nie groziły.

– To wyjątkowe, nigdy o czymś takim nie słyszałem – oznajmił Rigajev.

– Zachowywały się po prostu logicznie. Potrzebowały serwisu oraz wsparcia siłą roboczą. Maksymalny zysk przy minimum inwestycji. – Wzruszyłem ramionami. – Widzieliśmy, jakie skutki powoduje próba wymuszenia współpracy. – Miałem na myśli los drugiej grupy uprowadzonych przez boty, z którymi się spotkaliśmy.

– Tylko że boty nie postępują w ten sposób, są na to zbyt mało rozumne. Nawet jak na sztuczną inteligencję, jest to... – Rigajev szukał właściwego słowa – niezwykle pomysł. Niespotykane wyrafinowana ocena sytuacji.

Przystanęliśmy przed budynkiem, którego częścią była rozległa przybudówka, gdzie również znajdował się dobrze wyposażony warsztat. Wszędzie było czysto, panował porządek, wszystko znajdowało się na swoich miejscach. Na stole montażowym leżał stalowy nośnik, po bliższym zbadaniu stwierdziłem, że to część szkieletu bota. W pewnym miejscu bardziej się błyszczał, domyślałem się, że jest to wypolerowane miejsce po dokonanej naprawie. Był to wielki kawał stali o długości ponad półtora metra i wydawał się bardzo ciężki. Zainteresowało mnie, jak ogromny musiał być ten bot i do czego mógł służyć. Miałem jednak wrażenie, że coś mi umyka, że czegoś nie dostrzegam.

– Podstawową umiejętnością sztucznych inteligencji jest zdolność

do uczenia się – rozważał Rigajev. – Oczywiście w ograniczonym zakresie, w ramach swoich algorytmów.

– Ale ta bestia po prostu pokonała ograniczenia i jest teraz mądrzejsza, niż myśleliśmy – powiedziałem ze złością. – Czy zażądały od was wybudowania kościoła, postawienia w nim ołtarza? – zapytałem starosty.

– Nie. – Zawahał się. – Nie zażądały, to my sami – przyznał.

Nie chciał nic więcej powiedzieć, temat był mu niemiły i chyba coś ukrywał. Jednak my musieliśmy dowiedzieć się jak najwięcej, gdyż niedostatek informacji mógł mieć dla nas fatalne skutki.

– Próbowaliście nas zabić. Sami to zorganizowaliście – powiedziałem. – Dlaczego?

Rzucił mi krótkie spojrzenie i spuścił wzrok ku ziemi. Bał się mnie. Rigajeva nie, ale mnie tak.

– Musiałem! Dostałem taki rozkaz! Od nich! – rzekł dobitnie i zamilkł, jakby powiedział zbyt dużo.

Później miałem zamiar zapytać go, w jaki sposób przekazano mu ten rozkaz, jak boty komunikują się z ludźmi, ale teraz byłem zajęty czymś innym.

– Zamknę cię w piwnicy razem z Apronovem i poczekam, aż zmięknie. I zrobię to zaraz. -Uniosłem lufę strzelby, jakbym chciał go odprowadzić.

– Nie, nie! – Wyciągnął do mnie rękę w obronnym geście. – Powiem wam wszystko. Poza tym, że wymagały naszej pracy, to jeszcze kiedyś zażądały od nas dzieci.

– Dzieci? – nie zrozumiał Rigajev.

Ja zrozumiałem.

– Pewnego razu przysłały żądanie, żebyśmy oddali im dziecko, małe dziecko, kilkumiesięczne.

– I oddaliście? – Rigajev nie mógł uwierzyć.

– Przecież musieliśmy! Zbudowaliśmy im wtedy kościół. To są nasi panowie, służymy im, służymy bogu i przynosimy mu ofiary.

Spoglądaliśmy na siebie z Rigajevem w milczeniu. To wszystko nie miało sensu. Albo miało. Czułem się tak, jakbym śnił jakiś

koszmar.

– A czy spróbowaliście kiedyś nie dać im tego dziecka? – zapytałem.

Pokręcił głową.

– Już ich od nas nie chciały, już nie.

Wróciliśmy do naszego prowizorycznego obozu, starostę zamknąłem w jednym z budynków. Katziński z kapitanem trzymali wartę przed stodołą, gdzie przebywali wszyscy mężczyźni. Cyr opracowywał listę dostępnych w osadzie materiałów, które mogłyby być dla nas przydatne.

Marlon siedział z nogami na stole, z kubkiem kawy w ręce i mapą okolicy na kolanach. Nie chciałem nawet mówić o tym, czego się właśnie dowiedziałem. Wydawało mi się to zbyt dziwne i straszne. Świat wydał mi się naraz o wiele mroczniejszym miejscem, niż myślałem.

Słyszałem, jak Rigajev przekazuje pozostałym uzyskane przez nas informacje, z kuchni dochodziło skwierczenie słoniny i zapach pieczonego mięsa. Zwyczajne sprawy codziennego życia ostro kontrastowały z ofiarowywaniem niemowląt nowym bogom, maszynom. Patrzyłem na kobiety przygotowujące jedzenie dla uwięzionych mężczyzn, małe dzieci bawiące się na ulicy i starsze noszące paszę bydłu w oborach.

– Do czego botom mogły być potrzebne dzieci? – Cyr zadał pytanie, które mnie samego nurtowało już od pewnego czasu.

Dlaczego boty porywały ludzi, już wiedzieliśmy. Potrzebowały ich po prostu do prac technicznych przy naprawach sprzętu. Ludzie bądź byli ich więźniami, bądź też służyli dobrowolnie w zamian za dobrobyt. Ale dzieci? Do czego mogły im być potrzebne małe dzieci?

– Geny młodych organizmów nie są obciążone błędami podziałów komórkowych, tkanki w warunkach laboratoryjnych są bardziej zdolne do życia, kultury z nich pozyskane łatwiej się mnożą i modyfikują – wyjaśnił sucho Rigajev.

Jak widać, on też już o tym rozmyślał.

– Nie potrafią same siebie naprawić, a równocześnie chcą prowadzić badania biologiczne? -zaprotestował Marlon.

– Sztuczna inteligencja władająca tą wioską może dysponować jakąkolwiek techniką. Podczas wojny mogła utracić zaplecze naprawcze, ale moduł odpowiedzialny za badania pozostał nieuszkodzony. Albo znalazły stare, zautomatyzowane laboratorium i ona je ożywiła. Wydarzyć się mogło cokolwiek. Lepsze wyjaśnienie nie przychodzi mi do głowy. Jeśli jakieś masz, to dawaj je tutaj – odparł Rigajev.

– Przesłuchajmy Apronova – powiedziałem. Wstałem, żeby go przyprowadzić z piwnicy.

Nie był już uwiązany, ktoś się nad nim zlitował.

– Niczego się ode mnie nie dowiecie – syknął, kiedy poprowadziłem go po schodkach na górę.

Zmilczałem, byłem zbyt wyprowadzony z równowagi tym, co odkryliśmy. Pomyślałem tylko o tym wszystkim, co mógłbym mu zrobić, żeby zaczął mówić.

Przesłuchanie pozostawiłem Rigajevowi.

– Służymy naszemu bogu. Zostaliśmy wybrani, to on nas wybrał – oznajmił zamiast odpowiedzi na pierwsze pytanie.

– Wybrani? A zabijacie własne dzieci – nie zdołałem się powstrzymać.

Rigajev spojrział na mnie ostrzegawczo, nie chciał, żebym mieszał się do jego gry.

– Bogom należy przynosić ofiary – zadeklamował Apronov. – Ale nas to już nie dotyczy. Jesteśmy wybrańcami, najwyższymi służebnikami. Teraz inni będą składać ofiary!

Przestałem się odzywać. Rigajev chciał się dowiedzieć, kiedy doszło do pierwszego kontaktu z botami, jak przebiegał, jak się dalej rozwinęła sytuacja. Jednak Apronov jego pytania ignorował, opowiadając wciąż to samo, że są wybrańcami boga, który wkrótce opanuje cały świat.

Gdybyśmy mu obcięli palec, a jeszcze lepiej dwa, może by się postarał lepiej skoncentrować. Ale to nie zależało ode mnie.

Zrezygnowany poszedłem jeszcze raz przejść się po miasteczku.

Miałem wrażenie, że podczas przeglądu coś mi umknęło, nie mogłem również uwierzyć, że boty tak po prostu zarzuciły swój projekt dotyczący ludzi. Te boty i dowodząca nimi sztuczna inteligencja nie poruszały się na granicy żywotności i funkcjonalności. Wprost przeciwnie, były niezwykle aktywne i efektywne.

Zacząłem od domu, który na sporządzonym przez Marlona planie osady oznaczony był jako dom Apronova. Najpierw postanowiłem zbadać piwnicę. Nie było w niej niczego szczególnego poza tym, że panował tam bałagan. Część mieszkalna za to sprawiała wrażenie aż pedantycznego porządku. Wróciłem do piwnicy i tym razem odkryłem drzwi do pomieszczenia na głębszym poziomie. Przypominało celę więzienną. Wentylacja z wytłumionym poziomem hałasu, łóżko z pasami pozwalającymi na długotrwałe przywiązywanie opornych, wychodek, nawet kran z wodą bieżącą oraz światło.

Rozejrzałem się, powietrze było stęchłe, miałem wrażenie, że pod betonowym sklepieniem słyszę echo krzyków więźniów. Musieli tu spędzać dużo czasu, a dozorca chciał sobie maksymalnie ułatwić zadanie. Zamaskował wejście, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

Wyglądało to raczej na grobowiec. A co się działo, kiedy ktoś tutaj umarł? Ludzie długo uwięzieni bez światła słonecznego nie czują się dobrze. Wlec bezwładnego ciała po stromych schodach na pewno nie chciał. A przecież wszystko miał starannie przemyślane.

Później odkryłem małe drzwiczki o takim wymiarze, że można było przez nie przepchnąć ludzkie ciało. Były zamknięte, ale jeden z kluczy, jakie zabrałem Apronowowi, pasował. Ujrzałem głęboki szyb. Nie był wykopany, tylko wywiercony, o ścianach zabezpieczonych nieznaną mi techniką. Przy budowie tego więzienia musiały pomagać boty albo przynajmniej ich maszyny. Może mi się tylko wydawało, ale z szybu dolatywał słaby odór rozkładu. Zamknąłem drzwiczki na klucz.

Może właśnie z tego powodu w Ambrezavile było tylu

zaginionych. Niemowlęta, małe dzieci, dorośli, dokładnie według rozkazu Rexemachina, króla w maszynie. Elementy układanki wpadały na swoje miejsca, a wzór, jaki się z nich stopniowo wyłaniał, całkiem mi się nie podobał. Usiadłem na łóżku, intensywnie myśląc, ilu ludzi przeżyło tu swoje ostatnie chwile, zanim Apronov i jego podwładni oddali ich botom. Bogom.

W kamiennym stropie nad sobą zauważyłem wgłębienia, wstałem i stwierdziłem, że były to zapisy więźniów. Przed jedenastu laty jeden z nich zrozumiał, co go czeka, i wyrył w kamieniu datę wraz ze swoim nazwiskiem i czasem, jaki spędził w piwnicy. W najwyższym punkcie stropu odnalazłem wyjaśnienie stosowanego przez więźniów szyfrowanego kodu. Kreska oznaczała jeden tydzień, jej przekreślenie – że tydzień upłynął. Ten zapis zauważyło wielu innych ludzi. Przy nazwisku Johan Han naliczyłem sześćdziesiąt trzy kreski, sześćdziesiąta czwarta nie była przekreślona, a więc przebywał tu ponad rok. Ogółem naliczyłem siedemdziesiąt trzy nazwiska. Ani Apronov, ani starosta nie kłamali, już nie przekazywali botom własnych dzieci. Ale nie dlatego, że stali się wybrańcami, tylko dlatego, że ich populacja nie była w stanie zapewnić botom żądanej liczby ofiar, nie ulegając równocześnie zdziesiątkowaniu. Pracownicy serwisu byli ważniejsi niż materiał do eksperymentów. Możliwe też, że sztuczna inteligencja dla dalszego rozwoju biotechnologii nie potrzebowała już czystych, nieskażonych tkanek niemowląt.

Wyszedłem na zewnątrz i głęboko odetchnąłem. Miałem wrażenie, jakbym wrócił na powierzchnię z ciemnej otchłani. Dobrze, że Apronova nie było w pobliżu, bo nie wiem, co bym z nim zrobił. Chybabym go zabił. Odstrzeliłbym mu ręce, nogi... Później wstydzilibym się tego, ale teraz nie byłbym w stanie zapanować nad sobą.

Spojrzałem na wystawne domy, równo położone chodniki, drzewa pełne owoców i widziałem zamiast tego ludzką krew, z której narodził się ten dobrobyt.

Przyszła mi do głowy taka myśl, że miejscowi naprawiali tutaj

również te największe boty albo ich części, ale wyposażenia do ich kompletowania i ponownego uruchomienia we wsi nie znalazłem. Te prace musiały być wykonywane w innym miejscu, a miejscowi na pewno wiedzieli gdzie. Byłem pewny, że się tego dowiem, jeśli tylko zapytam we właściwy sposób.

Wieczór mijał bardzo spokojnie, zgromadziliśmy się wszyscy w domu z altaną, czołg pozostawał na poprzednim miejscu, przed stodołą z zamkniętymi w niej mężczyznami. Do wzbudzania strachu wystarczał w zupełności. Przesłuchiwalismy mieszkańców pojedynczo, zadając im te same pytania, dotyczące miejsca, do którego chodzą pracować dla botów. Niektórzy twierdzili, że żadnego takiego miejsca nie ma, inni nie przyznawali się w ogóle do niczego, ale zaczęli mówić, kiedy wyjaśniliśmy im, że wiemy, niektórzy odpowiadali od razu. Najchętniej odpowiadali, kiedy to ja ich pytałem.

W godzinę po zapadnięciu zmroku wiedzieliśmy dość, żeby zakończyć przesłuchania.

Zasiedliśmy do spóźnionej kolacji. Jedzenie było wyśmienite i dlatego nikomu nie chciało się zbyt dużo mówić.

– Boty o nas wiedzą – zauważył Rigajev. – Nie przechwyciłem żadnej wiadomości radiowej, ale biorąc pod uwagę pterobota, którego widzieliśmy... – nie dokończył. – Przypuszczam, że w okolicy znajdzie się kilku zwiadowców.

– Czy to w jakiś sposób zmienia nasze plany? – zapytał Cyr, patrząc na kapitana.

Knispel siedział za stołem z porcją jedzenia przed sobą, ale jakby jej w ogóle nie zauważał. Pod ręką miał komunikator zapewniający mu łączność z czołgiem. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby kapitan go używał, ale na pewno miał go ze sobą celowo.

– Nie, nie zmienia – powiedział. – Zbadamy tę bazę naprawczą i spróbujemy ustalić, gdzie znajduje się sztuczna inteligencja.

– A więc spodziewamy się, że w bazie jej nie będzie? – zapytał Rigajev.

Knispel pokręcił głową.

– Sztuczne inteligencje są bardzo delikatne i podatne na uszkodzenia, niezdolne do poruszania się o własnych siłach, potrzebują dużej przestrzeni technicznej, staranne ukrycie jest dla nich podstawowym warunkiem egzystencji. Wierzę jednak, że znajdziemy ślady, które nas do niej doprowadzą.

Patrzyłem na kapitana, trzymając na widelcu duży kęs pieczeni, którą wszyscy zajadali z wielkim apetytem. Odłożyłem widelec, miałem uczucie, że zjadłem dość, żeby przeżyć kilka następnych dni. Nagle zdałem sobie sprawę, że za zaciętością i uporem kapitana, z powodu których przez całe życie poruszał się na skraju cywilizacji, nie stoi pragnienie walki z botami i innymi maszynami bojowymi, tylko pogoń za ich przywódcami, sztucznymi inteligencjami. Czy właśnie dlatego tak dużo o nich wiedział? A może zależało mu tylko na jednej z nich? Może na dwóch?

– A czy to, że maszyny pozyskały materiały wybuchowe, nas nie zatrzyma? TNT i inne? Mogą dysponować bronią palną zdolną zniszczyć nawet czołg – zasugerował Marlon.

– Nie, panie Balducci, to nieprawdopodobne. Według informacji, które uzyskaliśmy, ludzie dostarczyli botom zaledwie kilka pierwszych partii TNT, a nowe linie produkcyjne ukończyli niedawno. Bronią palną boty prawdopodobnie jeszcze nie dysponują. A dokładniej: nie dysponują jeszcze amunicją. Przynajmniej w większej ilości. Ale zgadzam się z panem, że jest to tylko kwestia czasu.

Spojrzałem na Marlona, czy będzie protestował przeciw podjęciu takiego ryzyka, ale nic już nie powiedział. Być może zgadzał się z kapitanem.

– O sztucznych inteligencjach wie pan więcej niż ktokolwiek inny – zwróciłem się do Knispela.

– To samo można powiedzieć o was, o każdym z nas – zgodził się.

Miał rację, należeliśmy do tych, którzy o botach i sztucznych inteligencjach wiedzieli bardzo dużo, a może nawet najwięcej.

– Wydaje mi się, że o tej konkretnej sztucznej inteligencji posiada pan dokładniejsze informacje niż o pozostałych – drążyłem temat.

Na twarzy Knispela pojawił się rzadko widywany uśmiech.

– Słuszne spostrzeżenie, panie Sanders. Mam wiele powodów, żeby domniemywać, że ta właśnie sztuczna inteligencja dowodziła botami przed dwudziestu pięciu laty, kiedy maszyny po raz ostatni próbowały zniszczyć ludzką populację. To sztuczna inteligencja najwyższego rodzaju, zdolna do uczenia się w sposób, który uważałem za niemożliwy. Powinna być zniszczona już wtedy, powinno nam się to udać.

Milczałem, wiedząc, że Knispel poszukiwał odpowiednich słów, w końcu je znalazł i kontynuował już bez uśmiechu, zupełnie inaczej, raczej ponuro: – Wielu z nas myślało, że ją zniszczyliśmy, nie należałem do nich. Tylko się przyczaiła, żeby po latach powrócić silniejsza.

– Szuka jej pan – powiedziałem z przekonaniem.

– Tak – przyznał bez wahania. – Przez całe dwadzieścia pięć lat. Poszukiwałem miejsc o zwiększonej aktywności maszyn, obszarów, na których pojawiały się nieznane dotąd typy botów. A to właśnie pan potwierdził, że jestem na właściwym tropie.

– Z powodu tego małego bota, którego zniszczyłem?

– Tak. Już od czasu wojny miałem podstawy, klucze do ich kodowania. Są unikatowe w przypadku botów sterowanych przez sztuczną inteligencję lub centralnym komputerem. Posługując się tymi kluczami, dostaliśmy się – spojrzał na Rigajeva – do jednostki sterującej bota i znaleźliśmy w niej współrzędne tego obszaru.

Miało to sens, chociaż nie we wszystkich zagadnieniach.

– A dinoboty? Wygląda na to, że należą do jakiejś linii rozwojowej.

Kapitan ledwie dostrzegalnie przytaknął.

– Może tak, ale w ich przypadku klucz kodowania nie wystarczył – oświadczył z cieniem niezadowolenia w głosie.

Podczas tej rozmowy okazywał więcej emocji niż przez cały czas naszej znajomości.

– Klucze nie działały, ponieważ były zbyt proste – zasugerował Rigajev.

– Zgadza się z tym – odparł kapitan. – Może dinoboty są kolejnym stopniem rozwoju, z bardziej złożoną i lepiej chronioną jednostką sterującą? Od małego bota po zdekodowaniu uzyskaliśmy współrzędne obszaru, w którym znajduje się jego dowództwo. Niestety, nie są to dokładne współrzędne miejsca, gdzie ukrywa się ta dowodząca sztuczna inteligencja. Na pewno chodziło tu o kwestie obronne, znajdujący się w pobliżu bot dostawał kolejne instrukcje, jak ma się dostać do centrali. Gdyby to było potrzebne.

Wiedziałem już, co jest długoterminowym celem Knispela. Chodziło mu o zlokalizowanie sztucznej inteligencji i jej zniszczenie. To, że w tym czasie nauczyła się rządzić ludźmi, niczego w jego planach nie zmieniło. Świadczyło to tylko o tym, że przez całe stulecia nie uległa degradacji, ale przeciwnie, stała się bardziej przebiegła, wszechstronniejsza i niebezpieczniejsza.

Milczałem. Plan Knispela bardzo mi odpowiadał.

– Jeśli boty o nas wiedzą, to idę wypuścić ludzi. Na pewno mają dość tego cholernego więzienia -oświadczył Katzinski.

– Z punktu widzenia bezpieczeństwa to ryzykowne – rzekł Rigajev.

Katzinski wyglądał na zdezorientowanego. Na zwyczajnych ludziach zależało mu bardziej, niż to było przyjęte wśród najemników. Według mnie mężczyźni z osady mogli zostać uwięzieni jeszcze kilka dni, ale się nie spierałem.

– Możliwe, że uwolnieni spróbują poinformować naszego nieprzyjaciela przez radio. Radio botów działa tylko na krótkich dystansach. A ludzie... nie możemy przewidzieć, jak się zachowają. Tutejszy nadajnik z porządną anteną i kilkudziesięciokilometrowym zasięgiem jest na pewno dobrze ukryty. Żadnego nie znaleźliśmy.

Rigajev miał rację. Boty praktycznie nigdy nie korzystały z radiołącności. Te, które dawniej rozbierałem, nie miały nawet nadajników, tylko odbiorniki. Komunikowały się ze sobą za pomocą małych laserów. Taki sposób komunikacji był trudny do przechwycenia, jeszcze trudniejszy do rozkodowania i praktycznie

niemożliwy do zmanipulowania.

Katzinski niechętnie przytaknął, wkładając klucze do kieszeni uniformu.

Ale pochodził ze wsi, z rodziny rolniczej, i zapewne z tego powodu tak się zachowywał.

– Odjedziemy natychmiast – oznajmił kapitan. – Wykorzystamy moment zaskoczenia, dopóki go jeszcze mamy. Jak tylko odjedziemy, spróbują wydostać się ze stodoły. Nie zajmie im to więcej niż godzinę, maksimum dwie.

Knispel miał rację, żaden z miejscowych budynków nie był postawiony z przeznaczeniem na więzienie. Wyleźć przez dach albo rozbić zamknięte okiennice nie stanowiło jakiegokolwiek problemu.

Już na rozkaz kapitana zbliżał się do nas czołg.

Do czego kapitan potrzebował załogi? Bo każdy autonomiczny system zautomatyzowany mógł paść ofiarą hakera. To była jedna z nauczek pozostałych po wielkiej wojnie. Oczywiście nie w przypadku sztucznych inteligencji, o których nie wiedzieliśmy nic pewnego.

Katzinski popatrzył na nas zamyślony.

– Macie rację, potrzebne nam zaskoczenie. Podpalimy jakiś magazyn, pusty elewator z dala od pozostałych budynków. Kiedy tylko wydostaną się z zamknięcia, zaczną gasić pożar, nie zwracając uwagi na nic innego – zaproponował.

– Niech się pan tym zajmie, panie Katzinski – poprosił Knispel zamiast spodziewanego rozkazu.

– Tak, panie kapitanie.

Nagle mieliśmy wszyscy pełne ręce roboty, żeby jak najszybciej przygotować się do wyjazdu. Musiałem się spieszyć, ponieważ miałem zamiar załatwić jeszcze jedną prywatną sprawę.

Wyjeżdżaliśmy po cichu tylko na akumulatorze. Wieś pozostawała spokojna, ciemna, tylko czasem odzywał się ryk krowy albo pianie koguta, który miał kłopoty z rozpoznawaniem świtu.

Kiedy pojemność akumulatora spadła do wartości dziesięciu

procent nominału, a my byliśmy już ponad dwa kilometry od wioski, kapitan wydał rozkaz uruchomienia silnika.

Jechaliśmy nadal w trybie pasywnym, to znaczy powoli i bardzo ostrożnie. Słyszałem, jak Marlon klął, kiedy noktowizor i infraczerwien go zawiodły i musiał błyskawicznie zareagować, wyszukując gładki i bezproblemowy przejazd.

Miałem wrażenie, że trzymamy się jakiejś dawno zapomnianej drogi. Marlon miał rzadką cechę wyczuwania dogodnej drogi w obcym mu terenie.

Do wschodu słońca ujechaliśmy sto osiemnaście kilometrów ze stu sześćdziesięciu pięciu, które według informacji uzyskanych od mieszkańców dzieliły nas od stacji serwisowej.

Kiedy trawa rzucała jeszcze długie cienie, pokazując wyraźnie wszystkie nierówności terenu, kapitan odwołał tryb pasywny i Rigajev uruchomił cały zestaw naszych czujników elektronicznych. Wydało mi się, że usłyszałem, jak westchnął z ulgą.

Świt zawsze dodaje odwagi, tak jest ze wszystkimi ludźmi. A botom dodaje energii. Po upływie mniej więcej dwudziestu minut przechwyciliśmy niekodowaną transmisję radiową.

– Mówi Jonathan Rehek, starosta Pralvy. Nie możemy znaleźć waszego pełnomocnika Apronova, dlatego ja go zastępuję w meldunku. W kierunku starej bazyjedzie uzbrojony wóz pancerny z załogą. Mocno uzbrojony. Nie mogliśmy w tym przeszkodzić. Słyszycie mnie? Mówi starosta Jonathan Rehek.

Odpowiedzi nie przechwyciliśmy, tylko reakcję starosty.

– Tak, już biegnę do domu i czekam na dalsze rozkazy.

Łączność została przerwana.

– W pobliżu ukrywał się bot z krótkofalówką, który dał staroście rozkaz, żeby się z nim bezpośrednio skontaktował – wyjaśnił Rigajev. – Później bot poda informację swojemu dowództwu. Prawdopodobnie osobiście albo poprzez jakiś trudniejszy do przechwycenia środek łączności niż radio.

– Nadawali z wioski? – zainteresował się Marlon.

– Chyba tak – odpowiedział z niezadowoleniem Rigajev. – Nie mam jak tego sprawdzić. Kierunek emisji się zgadza.

– Ciekawe, gdzie jest Apronov. Nie wyglądał na takiego, który zapomniałby ostrzec swoich panów i zostawił na scenie kogoś innego – zauważył Marlon.

Zachowałem milczenie. Niczego nie zrobiłem Apronowowi, tylko zamknąłem go w jego własnej, doskonale izolowanej celi i zamaskowałem drzwi tak samo dobrze jak on. Może go znajdą, ale raczej nie, szczególnie jeżeli mieszkańcy uwierzyli, że nie muszą już składać ofiar z ludzi. Ile dni wystarczy, żeby człowiek umarł z głodu? Nie byłem zaskoczony tym, co zrobiłem. Nie czułem wyrzutów sumienia. Apronov zasłużył na swój los. Dla mnie przestał być człowiekiem.

Na co ja zasłużyłem, to inna sprawa.

– Sanders, niech pan zoptymalizuje pracę silnika, przygotuje go na osiągnięcie maksymalnej mocy bojowej – usłyszałem rozkaz. –

Balducci, z pełną prędkością naprzód. Cyr i Katzinski, czerwony alarm bojowy. Rigajev, proszę o pełne dostępne informacje, wszystkie systemy ma pan do dyspozycji od początku jazdy.

Seria rozkazów była jednoznaczna, Knispel przygotowywał się do walki. Chociaż nie, on już rozpoczął walkę.

Znów jechaliśmy w kierunku gór. Nie były tak wysokie jak te, które forsowaliśmy, towarzysząc konwojowi, ale dość wysokie, oceniałem, że najwyższe z nich sięgają dwóch tysięcy metrów. Pogórze przed nami przedstawiało sobą teren z wieloma kanionami, dolinami, jarami. Nie wiedzieliśmy, czy zdołamy dojechać do bazy botów, ich możliwości poruszania się w tak ciężkim terenie były o wiele większe od naszych. Ale jeżeli ta baza miała być duża, zdolna do obsługi cięższej techniki wojskowej, to powinna być dostępna również dla nas.

Jechaliśmy z prędkością około trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę, co mimo doskonałego podwozia oznaczało niekończącą się serię wstrząsów oraz głośny chlupot w naszych zbiornikach. Sto ton to nie przelewki.

Knispel się spieszył, zapewniająca zaskoczenie szybkość działania była jednym z naszych głównych atutów. Kiedy sztuczna inteligencja dowie się, co właściwie zaszło w osadzie, kiedy stwierdzi, że położenie bazy zostało ujawnione, zacznie ściągać wszystkie swoje siły do obrony.

A Knispel chciał wysledzić i zniszczyć sztuczną inteligencję.

Zastanawiałem się, ile czasu zajmie małemu botowi, który prawdopodobnie odbierał meldunki od starosty, dostarczenie ostrzeżenia do centrali. Największe boty, szczególnie dinoboty, byłyby w tym terenie szybsze od nas, ale my jechaliśmy przez całą noc, co dawało nam przewagę. One w nocy oszczędzały energię, bo w razie jej wyczerpania stawały się bezsilne. Mały bot nie miał szans, żeby nas prześcignąć. Nadal mogliśmy liczyć na zaskoczenie.

– Przed nami most – ogłosił Cyr, Marlon natychmiast zmienił kierunek, najeżdżając w prawo, na zbocze rzadko porośnięte niewielkimi świerkami, zmniejszając jednocześnie prędkość. Szukał brodu, którym dałoby się sforsować rzekę. Chyba nie wierzył, że budowla z tysiącletnich kamieni i setki lat liczącego betonu może utrzymać nasz ciężar.

Stosunkowo stromym zboczem zjechaliśmy, a praktycznie raczej ześliznęliśmy się do rzeki.

Z obserwacji wiedzieliśmy, że trzysta metrów dalej z prądem znajduje się przeciwległe zbocze, którym bez trudu zdołamy wyjechać. Rozprysk wodny zamazał obraz z czujników optycznych, charakterystyka ruchu czołgu zmieniła się w wodzie, sforsowaliśmy głębsze miejsce i już byliśmy znów na suchym lądzie, objazd w ogóle nas nie spowolnił.

– Stop – rozkazał Knispel. – Panie Cyr, proszę umieścić jeden ładunek wybuchowy na moście.

Z zapłonem aktywowanym lekkim urządzeniem technicznym, ale nie przez pieszego.

– Tak, panie kapitanie. – Zaraz syknął otwierany właz, system zachowania życia nadal utrzymywał wewnątrz czołgu niewielkie nadciśnienie.

Wychyliłem się z kokpitu ze strzelbą w ręce. W nos uderzyła mnie ostra woń żywicy pomieszana z zapachem gazów spalinowych. Spalanie nie było poprawne, postanowiłem sprawdzić je potem ręczną diagnostyką, skupiając teraz uwagę na okolicy.

Cyra ubezpieczały wszystkie nasze lufy, ale nie szkodziło kontrolować sytuację. Obserwowałem, jak zręcznie umieścił ładunek, sprawdził i zamaskował płatem kory, zdartym z pnia leżącego opodal. To była dobra robota. Sam bym tego tak szybko nie zrobił.

Pojechaliśmy dalej.

Dolina się rozgałęziała, jedna odnoga łączyła się z drugą, drzewa wszystkich gatunków były cherlawe, zieleń ich liści ustępowała brązowi i żółci. Widziałem kamienie obrosnięte czymś pośrednim pomiędzy porostem a pleśnią.

– Albo jakieś syntetyczne pasożyty, albo uszkodzenie kodu genetycznego. Wygląda na to, że kiedyś spróbowali tutaj wszystko zniszczyć – mówił Rigajev raczej do siebie niż do nas.

Nie zatrzymywaliśmy się, a on miał coraz więcej pracy i brakowało mu czasu na analizy. Góry w czasie wojny były zapewne centrum zacieklego oporu i zwycięzcy używali każdej broni, żeby ten opór złamać, w tym również tych najgorszych, których skutki przetrwały całe stulecia.

Dalej dolina wiodła pod górę, tutaj roślinności w ogóle nie było, woda dawno spłukała glebę, pozostały tylko kamienie, gołe skały i koryta potoków, którymi spływała woda podczas opadów deszczu. Teraz dolina była zupełnie sucha, podobna do pustyni. Gąsienice hałasowały na twardej skale i żwirze.

Jechałem nadal wychylony z włązu, nie czułem żadnego zagrożenia i wiedziałem, że gdyby w powietrzu pojawiło się coś niebezpiecznego, to kapitan natychmiast wydałby rozkaz zamknięcia włązu.

Góra po lewej stronie wyglądała tak, jakby ktoś odciął od niej spory fragment, który następnie zsunął się na dół. Po kilku minutach jazdy moje przypuszczenie się potwierdziło, osuwisko

zasypało większą część doliny.

Ping, czujniki ogłosiły, że liznął nas promień lasera. Zniknąć w kokpicie i zamknąć właz było dla mnie czynnością automatyczną, niewymagającą zastanowienia. Ping, kolejny sygnał z namierzającego systemu przeciwnika. Zapiąłem pasy fotela. W chwilę później wydarzyło się kilka rzeczy prawie jednocześnie. Wystrzał, wybuch, wstrząs, wybuch, wystrzał.

– Panie Katzinski, proszę zniszczyć oznaczone cele – usłyszałem suchy, obojętny głos Knispela.

Wystrzał, odrzut ciężkiego działa wstrząsnął czołgiem, lekki wstrząs po trafieniu z jakiejś broni, dwa wystrzały naszego działa i cisza.

Zlizalem krew z przygryzionej wargi i przeciągnąłem się, żeby usunąć skutki gwałtownych wstrząsów. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że przez kilka minut Marlon przyspieszał i zmieniał kierunek w sposób, który byłby stosowny raczej dla lekkich pojazdów. Akumulator, zapewniający moc niezbędną do takich przyspieszeń, miał tylko dwie piąte swojej pojemności i silnik cały czas go doładowywał. Obejrzałem na ekranach obraz uzyskany z czujników optycznych. Zatrzymaliśmy się w zagłębieniu, za którym ciągnęły się następne nierówności terenu.

– Co się stało? – zapytałem.

– Zaatakowały nas – oznajmił kapitan. – Z dwóch miejsc. Dwukrotnie rakieta kierowaną, a raz pociskiem średniego kalibru. Rakiety unieszkodliwił nasz ochronny system balistyczny, pocisk odbił reaktywny pancerz.

To znaczyło, że nas trafiły. Pomyślałem, że kapitan poleci wypuścić naszego drona, jednak tego nie zrobił, możliwe, że dron został uszkodzony w poprzednim starciu.

Ostrożnie wyjechaliśmy z ukrycia. W miejscach, skąd do nas strzelano, dymiły dwa duże kratery, w jednym z nich pozostały resztki rozwalonego muru betonowego, w drugim tylko głęboki dół. Trafienie pociskiem kalibru stu pięćdziesięciu dwóch milimetrów miało ogromną siłę niszczycielską.

– Staraly się jeszcze raz wystrzelić, ale wyraźnie im się to nie udało – ogłosił Cyr, przeglądając zapisy dotyczące wymiany ognia.

Też zacząłem je przeglądać i zobaczyłem, jak wyglądały stanowiska ogniowe naszych wrogów przed ich zniszczeniem. Były to betonowe kopuły wystające ponad kamienistą ziemię na wysokość półtora metra. Oczywiście nie były przeznaczone do ludzkiej obsługi.

– Nie znajduję żadnych śladów dalszej obrony aktywnej – oznajmił Rigajev.

To było pocieszające, ale przecież niczego nie wykrywaliśmy, również kiedy zaczęły do nas strzelać, a dokładniej: do chwili, kiedy namierzyły nas laserem.

– Potrzebny jest zwiad – powiedział Knispel.

Zacząłem nakładać komplet balistyczny jeszcze przed otrzymaniem rozkazu. Rigajev przez chwilę kalibrował naszą łączność optyczną, a potem wyszedłem na zewnątrz. Cyr już na mnie czekał.

W ręce trzymał broń, którą do tej pory widziałem tylko w arsenale: lekki karabin maszynowy ze standardowym magazynkiem. Miał na sobie taki sam komplet balistyczny jak ja. Był skupiony i gotów do akcji, wiedział, że zacznie się na ostro. Kiwnął głową, opuściliśmy przyłbice hełmów, pochłaniacze energii, mające za zadanie chronić mózg przed skutkami eksplozji, krótko zawibrowały, potwierdzając swoją gotowość do działania.

Przypomniałem sobie dawne czasy, kiedy walczyłem z nerwami, strachem, napięciem – teraz niczego takiego nie odczuwałem. Byłem spokojny i przygotowany. Na karłowatym drzewie, rozwidlającym się na wysokości dorosłego człowieka, zauważyłem jakiś szybki pionowy ruch. Wiewiórka. Nawet nie drgnąłem, podczas gdy Cyr wymierzył w zwierzątko, a później powoli opuścił broń.

Chyba podświadomie wyczuwałem, że niebezpieczeństwo nam nie grozi. Wierzyłem, że uda mi się zniszczyć sztuczną inteligencję władającą całą okolicą. A jeśli podczas tego stracę życie...

Poszliśmy po wyimaginowanej, rozszerzającej się spirali, ubezpieczani przezczołg.

– Kontakt na trzeciej, dwadzieścia metrów – oznajmił Rigajev. Odgłos powoli przetaczających się gąsienic ustał.

Na trzeciej z punktu widzeniaczołgu było bliżej mnie. Natychmiast dostrzegłem matowy odbłask czujników optycznych. Zboczyłem nieco, żeby uzyskać lepszy widok zza pnia. Na przewróconym drzewie dostrzegłem bota wielkości psa. Stał na tylnych kończynach, żeby czujniki umieszczone na głowie były jak najwyżej, zapewniając najlepszy widok naczołg. Na grzbiecie chaotycznie mrugał mu komunikator laserowy. To znaczyło, że nie uzyskał łączności i nie udawało mu się przekazywanie danych. Przetawilem przełącznik siły strzału na dwójkę, na tego bota powinno to wystarczyć. Zauważył mnie, wydało mi się, że jego czujniki optyczne zmieniły w tym momencie kolor. Laser na grzbiecie bota zaczął naraz intensywnie błyskać w jednym kierunku. Nacisnąłem spust.

Odgłos wystrzału był w hełmie silnie wytłumiony.

– Zwiadowca – stwierdził Cyr.
– Połączył się z kimś tam. – Wskazałem na łagodne zbocze.
– Przeprowadzam dokładne skanowanie, coś widzę, zaraz podam szczegóły – oznajmił Rigajev.

Główny bojowy komputerczołgu gromadził wszystkie dostępne dane i na podstawie położenia zniszczonego bota, konfiguracji terenu i mojej wskazówki starał się zlokalizować drugiego bota.

– Jedziemy – rozkazał kapitan.

O sto metrów dalej, w miejscu, które aż się prosiło o umieszczenie obronnych stanowisk ogniowych, natrafiliśmy na stare gruzy bunkra. Z grubsza się im przyjrzałem, starając się, żeby Rigajev miał jak najlepsze zdjęcia.

– Eksplozja nastąpiła wewnątrz – powiedział głośno to, o czym ja tylko pomyślałem.

– Są też widoczne resztki wyposażenia. To chyba jakaś automatyczna armata. Według mnie wybuchła im amunicja –

ocenił Marlon.

Dopóki czołg stał, miał wolne.

– Zbadajcie następujące lokalizacje – rozkazał nam kapitan, wskazując na wirtualnej mapie wybrane miejsca w bliskiej okolicy.

Dwa doskonałe cele dla posterunków ogniowych, pomyślałem sobie.

W obu miejscach znowu natrafiliśmy na resztki bunkrów zniszczonych w ten sam sposób, co pierwszy.

– Zaczęli instalować armaty i gromadzić amunicję. Kiedy pojawił się jakiś błąd techniczny, wszystko im wybuchło – powiedział Marlon. – Przybyliśmy w ostatniej chwili, później mogliby nas spokojnie rozstrzelać.

– Trochę przedwczesne wnioski, nieprawdaż? – zareagował zaczepnie Rigajev.

On swoje osądy ogłaszał na podstawie wielu wskazań i informacji, Marlon tym razem go wyprzedził. Ale moim zdaniem Marlon miał rację.

Wyglądało na to, że założenie kapitana było słuszne. Pozostawało tylko odnaleźć ślady prowadzące do sztucznej inteligencji dowodzącej botami. Uważanej przez pewnych ludzi za bóstwo, przypomniałem sobie.

– Jedziemy dalej – odezwał się Knispel.

Nasz powolny i męczący marsz trwał już dwie godziny, a mimo to nie przeszliśmy więcej niż kilometr. Opaska przeciwpotna przestała już wchłaniać pot, zaczęły mnie szczypać oczy, pole widzenia otaczały drobne kropelki. Skinąłem na Cyra, że potrzebna mi przerwa, odłożyłem strzelbę, zdjąłem hełm i wycisnąłem wilgoć z paska. To był jeden z cudów zapomnianej technologii, wystarczyło ścisnąć materiał i miało się spokój na dłuższy czas.

Teren stale się wznosił, ściany doliny stopniowo zbliżały się do siebie, ubywało zdeformowanych drzew, świerki i liściaste zostały zastąpione przez sosny, ale ich pnie i igliwie były tak zmienione i poskręcane, że nie byłem tego pewny. Badaliśmy wszystko systematycznie, żeby nie zostawić za sobą jakiejś przykrej

niespodzianki, ale żadnych bunkrowani botów zwiadowców już nie odkryliśmy. Powoli zbliżaliśmy się do linii horyzontu przed nami, widok zakrywały nam strome kamieniste zbocza, na których nie było już rosnących drzew, tylko same od dawna martwe pnie.

– Kontakt na dwunastej, sto dwadzieścia metrów przed nami – ciszę przerwał meldunek Rigajeva. – Nieruchomy obiekt na skraju drogi.

Ruszyliśmy ukośnie po zboczu, żeby dotrzeć do obiektu z boku i od tyłu, pozostawiając frontalny atak czołgowi. Rozglądaliśmy się za botami zwiadowcami, według zwięzłych informacji od kapitana oni również posuwali się za nami na napędzie elektrycznym, bo nie słyszeliśmy pracy silnika. Nie oglądałem się, od strony czołgu żadne niebezpieczeństwo nam nie zagrażało. Kiedy dotarliśmy w pobliże celu, przeziernik hełmu pokrył się na moment rosą, tak byłem zdyszany.

Cyr położył się na żwirze pokrytym cienką warstwą rdzawego igliwia o pięć metrów ode mnie i wskazał kierunek, w którym powinniśmy patrzeć.

Myślałem, że cel jest dalej, ale to Cyr miał rację. Obiekt był wielki, kanciasty, po chwili uświadomiłem sobie, że leży na boku. Był to ciężarowy transporter wojskowy, po jednej stronie brakowało dwóch z jego ośmiu kół. Może właśnie z tego powodu się przewrócił. Zbliżaliśmy się ostrożnie, mimo że wyglądało na to, że leży tam już od dłuższego czasu.

Na miejscu stwierdziliśmy, że jest pusty. Przyjrzałem się otwartym drzwiom przestrzeni ładunkowej. Raczej urwanym niż otwartym, ale nigdzie w okolicy nie było ich widać.

Krótko po naszym meldunku usłyszeliśmy odgłos diesla. Knispela zadowolily nasze spostrzeżenia i za chwilę do nas dołączył. Większość luf celowała teraz w bliski horyzont, kilkadziesiąt metrów przed nami.

Przestałem zwracać uwagę na okolicę, skupiając się wraz z Cyrem na oględzinach transportera.

– Półś jest ukręcona, tę maszynę ktoś potraktował nadzwyczaj

brutalnie – stwierdził Cyr. – A tutaj i tutaj – pokazywał mi – są ślady płomienia. A tutaj jakby starały się przybliżyć coś ciężkiego do pólasi.

– Aparat spawalniczy – stwierdziłem. – Ale nienadający się do tego rodzaju naprawy.

Wyglądało na to, że ktoś starał się usprawnić transporter.

Dostrzegłem inne, mniej rzucające się w oczy uszkodzenia powstałe podczas prób naprawy.

– Założę się, że ten pojazd starały się naprawić boty – powiedziałem. – Bardzo się starały, ale nie dały rady. Kiedy doszły do wniosku, że im się to nie uda, zabrały ładunek, a transporter porzuciły.

Maszyna była zupełnie zdezelowana, znajdowałem kolejne ślady po lepiej lub gorzej wykonanych naprawach, w kabinie brakowało fotela kierowcy i przedniej szyby. Dla człowieka kabina była bezużyteczna.

– Przebył długą drogę, kierowany przez boty – oznajmił Cyr. – A było w nim coś, na czym im ogromnie zależało.

Miałem nadzieję, że Rigajev doda coś istotnego, ale się nie odzywał. Kapitan zarządził dalszy marsz.

Znowu wysuszyłem opaskę przeciwpotną i napiłem się. Cyr nic nie mówił, ale widziałem, że zaczyna być zmęczony. Ja ledwie się trzymałem na nogach. Jednak kapitan miał rację, musieliśmy się spieszyć. Wszystko wskazywało na to, że miejscowa sztuczna inteligencja wyzwoliła się z degradacji spowodowanej procesem starzenia się jej wyposażenia i utratą funkcji technicznych botów i innych urządzeń. Przejawiała ożywioną aktywność, dążyła do rozwoju, stawiała budowle. Przypomniałem sobie również o dinobotach i debatach o teorii ewolucji, w których wołałem nie zabierać głosu.

Na linię horyzontu się przeczołgałem. Wybrałem sobie trasę wiodącą płytkim zagłębieniem ciągnącym się aż do skałki, za którą mogłem się ukryć. Wierzchołek osiągnąłem w miejscu, gdzie rosła duża kępa krzewów, która okazała się gęstwiną iglastych gałęzi,

wyrastających wprost z ziemi, a śmierdzących zepsutymi jajkami. Miałem na głowie ważniejsze rzeczy niż badania botaniczne. Pot znowu szczypał mnie w oczy, zamrugalem, wsparłem się na łokciach i ostrożnie, centymetr po centymetrze, posuwałem się naprzód. Powoli otwierał się przede mną widok, początkowo tylko na wierzchołki okolicznych gór, stopniowo na ich niższe partie.

Dolina rozszerzała się z jednej strony, druga pozostawała niezmienna, tworzyła ją góra lub, ściślej, grzebień górski, którego zbocze zostało zdeformowane przez potężne osuwisko. Miliony ton ziemi praktycznie zawały większą część doliny. Grubość zsuniętej warstwy musiała wynosić kilkadziesiąt metrów. Podpełzłem jeszcze centymetr ku górze, aby uzyskać lepszy widok. Osuwisko oprócz doliny częściowo zasypało rozległy kompleks budynków.

Jeszcze kawałek do przodu, żeby lepiej widzieć.

Kompleks funkcjonalnych betonowych bunkrów był w trakcie odkopywania. Niektóre budynki osuwisko zniszczyło, ale inne zostały nieporuszone, opierając się naporowi ziemi, kamieni oraz żwiru. Dostrzegłem pierwszą maszynę, ogromny buldożer stojący u podnóża osuwiska. Spośród głazów wystawała betonowa kopuła, której wierzchołek połyskiwał metalicznie. Maszyna się nie poruszała. Zauważyłem, że likwidowanie skutków osuwiska trwa już od dłuższego czasu, kierując się z lewej strony na prawą. Linia zaawansowania prac nie była prosta, w niektórych miejscach postępy były większe niż gdzie indziej, jakby usiłowano dostać się do jakiegoś ważniejszego obiektu. Składy i budowle przemysłowe były najbardziej zniszczone, nie budowano ich jako odpornych na katastrofy naturalne. Cała baza ukryta pod zawałem była ogromna. Mogło to być wojskowe centrum techniczne jednej z walczących stron. Nie jakaś serwisowa jednostka pomocnicza, ale obiekt, w którym produkowano i remontowano wojskowe urządzenia techniczne. I to na wielką skalę. Ponadto przechowywano tutaj strategiczne zapasy paliwa, materiałów i danych.

– Panie Sanders, panie Cyr – odezwał się kapitan. – Wracajcie, dalszy zwiad przeprowadzimy dopiero jutro.

Nie rozumiałem tego rozkazu, dotąd bardzo się spieszyliśmy, a teraz nastąpił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Oczywiście byłem śmiertelnie zmęczony, ale wytrwałbym jeszcze z godzinę czy dwie. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że akumulatory naszego ekwipunku, za pomocą którego dostarczaliśmy informacje do czołgowego komputera, były prawie wyczerpane. Stąd postój, kapitan chciał działać z maksymalną ostrożnością nawet za cenę zatrzymania zwiadu.

Superbuldożer niespodziewanie ruszył, zgarniając przed sobą głązy wielkości krowy. Był to automat, nie rozumiałem, dlaczego nagle się uruchomił. Zauważyłem jednak, że na jego dachu, szerokim na kilka metrów, zainstalowano mnóstwo fotokolektorów. Buldożer po prostu czekał, aż doładują się akumulatory. To nie był najdogodniejszy sposób pozyskiwania energii dla tak ciężkiej maszyny, ale ten, który starał się odkopać bazę, z pewnością nie miał innej możliwości.



Tuż przed swoim odwrotem dostrzegłem po prawej stronie, trochę wyżej na zboczu, niedawno postawiony budynek. Miał okna i drzwi, co wskazywało, że prawdopodobnie został przeznaczony dla ludzi. To odkrycie potwierdzało, że znajdujemy się we właściwym miejscu.

Siedzieliśmy przy niewielkim ognisku, przyrządzając sobie kolację z konserw. Potem napijemy się kawy, co mnie najbardziej cieszyło. Obóz rozbiliśmy u podnóża osuwiska na skraju lasu. Nachylenie było tu łagodniejsze niż w niższych częściach doliny i woda nie wymyła dość urodzajnej gleby, stąd roślinność rosła tu stosunkowo bujna. Broń chemiczna, niszcząca wszelką wegetację, wyraźnie oszczędziła te tereny.

Czołg ustawiliśmy tak, aby tworzył barierę między nami a otwartą przestrzenią. Zamaskowaliśmy go gałęziami, żeby budził

jak najmniejsze zainteresowanie, i obłożyliśmy gliną celem zmylenia radarowego echa. Z drugiej strony byliśmy kryci przez strome zbocze. Po wykonaniu codziennych obowiązków mechanika rzuciłem okiem na naszego drona. Podczas trafienia działanie naszego reaktywnego pancerza spowodowało uszkodzenie zapadek, które przytrzymały drona na czołgu. Wystarczyło je zaostrzyć i wszystko było w porządku. Katzinski, który tego dnia przyrządzał kolację, napełnił moją miskę. Zauważyłem przy tym, że trzęsą mu się ręce. Jeśli widzieli to i inni, nikt nic nie powiedział.

– Nigdy bym nie uwierzył, że coś takiego może istnieć, niezniszczona, czy raczej prawie niezniszczona baza wojskowa – powiedział Marlon. – Podczas wielkiej wojny wszyscy starali się nawzajem zlikwidować. Już od czterystu lat poszukujemy takich baz, a znaleźliśmy tylko trzy, i to bardzo dawno temu. A teraz natrafiliśmy na kolejną. – Pokręcił głową ze zdziwieniem.

Miał rację. Odkrycie takiej właśnie bazy, które miało miejsce przed dwustu pięćdziesięciu laty, dało początek większości dzisiejszych bogatych rodów i dynastii. Jak również powstaniu miast i państw. Od tej pory już nikt nie dokonał tak istotnego odkrycia. Nie można jednak zapomnieć o wojnie Hanturiego, która też zmieniła społeczeństwo, ale nie w takim stopniu jak poprzednia wojna, tocząca się blisko ćwierć tysiąclecia temu.

– Nikt jej nie odnalazł, ponieważ znajduje się na ziemi niczyjej – zareagował Rigajev.

Podjadał swoją porcję niejako mechanicznie, nie zwracając uwagi na jej smak, zatopiony w swoich myślach.

– Całe generacje poszukiwaczy próbowały odnaleźć cokolwiek cennego, i to głównie na ziemiach niczych – nie zgodził się Cyr. –

Teraz nie jesteśmy znów tak daleko od cywilizacji. Wielu poszukiwaczy dotarło znacznie dalej.

– Może nikt jej nie znalazł, bo była zasypana tonami kamieni? – rzekł Marlon.

– To osunięcie nie było przypadkowe – pokręcił głową Rigajev. –

Według mnie zostało wywołane celowo, jako ostatni sposób, żeby ukryć przed nieprzyjacielem swoją bazę, której później zamierzano znów użyć podczas kontrataku.

Zastanawiałem się, co by to oznaczało, gdyby miał rację, że cała baza została przygotowana na takie zamaskowanie. Musiało więc w niej pozostać o wiele więcej rzeczy nieuszkodzonych, zakonserwowanych niż w przypadku, gdyby była to tylko katastrofa naturalna.

– Ten, kto zawładnie tym miejscem, kto zużytkuje jego potencjał, stanie się panem świata -powiedział cicho Rigajev.

– Mówisz o ludziach czy o botach albo sztucznych inteligencjach?
– zapytałem go ze zgrzyliwością, która mnie samego zaskoczyła.

– O kimkolwiek, kto tego dokona – odparł poważnie.

– Ja tam nie pójdę, tam nie – powiedział Katzinski po dłuższej chwili. Głos mu się trząś. -Kramrovo wyglądało podobnie, chociaż było znacznie mniejsze. Widziałem tam linie produkcyjne do wyrobu żołnierzy, do wyrobu... – szukał odpowiedniego słowa – maszynoludzi, słuchających takich, którzy mieli właściwy klucz do systemu.

– Cyborgów – poprawił go mechanicznie Rigajev.

– Wszystko jedno! – wybuchnął Katzinski. – Na początku to byli ludzie, a potem zabójcy, którzy rozszarpaliby nas gołymi rękami, jeśli dostaliby taki rozkaz. I zrobiliby to bez trudu. Gdyby... gdyby... – głos mu się załamał.

– Spokojnie, Erichu. – Kapitan położył mu rękę na ramieniu. – Ja też o tym pamiętam. Nie musisz iść z nami, możesz tu na nas poczekać. Nigdy bym tego od ciebie drugi raz nie wymagał.

Nie słyszałem, żeby kapitan kiedykolwiek przedtem zwrócił się do członka załogi po imieniu. Wiedziałem, iż ci dwaj znają się od dawna, ale nie przypuszczałem, że ich wspólna przeszłość trwa już tak długo i zawiera takie tajemnice. Słowa kapitana uspokoiły Katzinskiego.

– To ogromny obiekt, może ostatni tego typu. Podczas wojny Hanturiego walczyłem przeciw 0 wiele mniejszym siłom, niż

przedstawia to, co dotychczas tutaj odkryliśmy – powiedział Katzinski, patrząc w stronę bazy. – A ile ludzkich istnień to kosztowało. Stąd już nie wrócimy.

– Może powinniśmy się wycofać i wrócić później z większymi siłami? – zaproponował nieoczekiwanie Rigajev.

Spojrzałem na kapitana. Milczał. Marlon kiwał głową na znak zgody, Cyr wyglądał na niezdecydowanego, a Katzinski na nieobecnego duchem.

Rozważyłem wszystko, co do tej pory stwierdziliśmy, przypomniałem sobie wszystko, co widziałem na własne oczy. Co przeżyłem. Dla mnie wniosek był jasny: musieliśmy zniszczyć wroga sztuczną inteligencję, a razem z nią jak największą liczbę jej sług.

– Bojowa i z pewnością bardzo wszechstronna sztuczna inteligencja zaczęła rządzić ludźmi -zaczęłam. – A do tego uzyskała informację o tej bazie i stara się ją odbudować. Jest zdolna do korzystania z cudzego wyposażenia, przypominę tylko ten transporter. Umie projektować i wyrabiać nowoczesne boty, z którymi nigdy dotąd się nie zetknęliśmy. Przeszła na kolejny stopień rozwoju.

– To mogło się stać przez przypadek, efekt rozwoju zakończonego w ostatnich fazach wojny, uśpione maszyny, które w jakiś sposób wydostały się z magazynów – zaproponował Rigajev.

Naraz jego własna teoria ewolucji maszyn przestała mu się podobać. Może zaczął się jej obawiać lub obawiał się już od pewnego czasu. Zignorowałem jego uwagi.

– To, co widzimy, nie jest objawem stagnacji, regresu, lecz odwrotnie, świadectwem postępu, rozwoju, ewolucji. – Wygłaszając taką opinię, zupełnie się z nią utożsamiałem. Tak po prostu musiało być. – Ludzie już nie są ostatnim ogniwem ewolucji, zastąpił nas nasz własny wyrób, który wywindowaliśmy na piedestał i budujemy mu ołtarze.

– To tylko mała grupa degeneratów, jedna wioska – zaprotestował Marlon, ale nie wyglądał na pewnego swoich racji.

– Rexemachina – przypomniałem mu. – O tym usłyszeliśmy w zupełnie innym miejscu, w wielu innych miejscach. Nawet w konwoju znalazł się ktoś, kto pracował dla botów i dla nowego boga.

Zaległa długa cisza. Popatrzyłem na towarzyszy, wszyscy pogрузyli się we własnych myślach. Braliśmy żołd od kapitana i zgodziliśmy się na tę wyprawę, ale to nie oznaczało, że musimy ryzykować życie. Gdyby załoga się zbuntowała i wypowiedziała kapitanowi posłuszeństwo, każdy sąd by ją w takich okolicznościach uniewinnił. Takie przypadki miały już miejsce i wcale nie były aż tak rzadkie. Mogliśmy odmówić kontynuowania misji.

– Musimy ją zniszczyć, musimy to zniszczyć – powiedział dobitnie Katzinski. – Już nigdy nie chciałbym widzieć tego, co w Kramrovie. Zniszczymy ją albo ona zniszczy nas.

Nie mówił tylko o naszej załodze, miał na myśli wszystkich ludzi zamieszkujących planetę. Popatrzyłem na ogień. Trzaskał wesoło. Wyobraziłem sobie ludzi sprzed setek lat, siedzących przy ognisku i zastanawiających się, co robić, na co się zdecydować, w jaki sposób przeżyć. Uciec czy walczyć.

Cyr kiwnął głową, jakby właściwie nie miał innego wyboru. Marlon długo się wahał, ale w końcu też przytaknął.

– Zawsze chciałem dowiedzieć się jak najwięcej o botach i starych technologiach, teraz mam ku temu jedyną okazję – rzekł w końcu Rigajev, dopijając swoją kawę.

– Panie Sanders? – zwrócił się do mnie kapitan, żeby poznać zdanie całej załogi.

– Przypuszczam, że jutro z tym skończymy – podsumowałem debatę.

Rigajev spojrział na mnie, pokręcił głową, ale jak wiele razy poprzednio, nic nie powiedział.

Pomyślałem, że na moim zdaniu mocno ciążyą względy osobiste, ale równocześnie zdałem sobie sprawę, że nic mnie to nie obchodzi.

Maszyny nie powinny zabijać ludzi, a ja zrobię, co w mojej mocy, żeby im w tym przeszkodzić.

7 Nitryfikacja to proces utleniania amoniaku i soli amonowych do postaci azotanów i azotynów, prowadzony przez bakterie (przyp. tłum.).

Rozdział dziewiąty



Trzymaliśmy wartę, ale przez całą noc nic się nie wydarzyło, jakbyśmy nie obozowali na progu starej bazy wojskowej pełnej wrogich botów. Może tam zresztą żadnego nie było i sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej, niż przypuszczaliśmy.

Obudziło mnie brzęknięcie metalu o metal, syczenie zapalonego płomienia. Ktoś zabrał się do przygotowywania śniadania, chociaż dopiero zaczęło się rozwidniać. Wyplątałem się ze śpiwora, powietrze było suche, nie zauważyłem żadnej rosy. Wydawało mi się, że czuję syntetyczne zapachy, choć to mogło być tylko złudzenie. Śniadanie przygotowywał Rigajev. Skinąłem mu głową i poszedłem na stronę. Napotkałem Katzińskiego, który też nie spał zbyt długo.

Gotowi do zwiadu byliśmy już godzinę wcześniej, niż zakładał plan kapitana. Wypiłem ostatni łyk kawy, wypłukałem kubek, schowałem go na miejsce i uzupełniłem manierkę. Silnik pracował na niskich obrotach, ładując akumulator. Automatyka czuwająca przez całą noc nad naszym bezpieczeństwem zużyła sporo energii.

Rigajev opierał się o prawą gąsienicę, spomiędzy warg sterczał mu papieros, którego jednak nie zdecydował się zapalić. Cyr, tak jak ja, nałożył komplet balistyczny, milczący Katziński stał odwrócony twarzą ku bazie, z rękami zaciśniętymi w pięści.

Knispel skontrolował nas jednego po drugim, widać było, że nie ma zamiaru na nic czekać.

– Ruszamy – rozkazał.

Jakby za naciśnięciem guzika, jakby uruchomił się jakiś mechanizm. Wszyscy zniknęliśmy wewnątrz czołgu, włączy się

zatrzasnęły, obroty silnika wzrosły.

Nasz plan był prosty. Zbadać najbliższe obiekty, a potem szybko przejechać do tych, które wydadzą się najbardziej obiecujące, czynne lub wyremontowane. O ile oczywiście nic nam w tym nie przeszkodzi.

Przejechaliśmy przez wzniesienie terenu przed właściwą bazą, padający do doliny cień grzebienia górskiego szybko się kurczył. Baza sprawiała wrażenie opuszczonej, tak jak wczoraj. Wyszliśmy z Cyrem na zewnątrz, pobieżnie zbadaliśmy okolicę, poszukując jakiejś pułapki, a później ruszyliśmy ku najbliższemu budynkowi, który wybraliśmy już wczoraj. Był niepozorny i niski, o jedną jego ścianę opierało się osuwisko, któremu zabrakło impetu, żeby go zniszczyć lub uszkodzić.

– Rejestruję ruch wokół nas, są jednak zbyt daleko, żeby rozróżnić szczegóły – ogłosił Rigajev. Wieża czołgowa obróciła się w lewo. Znieruchomiliśmy, ale wystrzału nie było. Wszędzie w zasięgu wzroku panował spokój. Lecz czujniki czołgu sięgały dalej.

– Dziesięć, może dwanaście obiektów, nie zbliżają się, poruszają się na granicy widzialności -meldował Rigajev.

Dopóki się nie zbliżały, mogliśmy kontynuować zwiad. Obchodziliśmy budynek, potykając się o kamienie. Odwróciłem jeden z nich, dolna jego powierzchnia była ciemniejsza. Już od długiego czasu nikt tędy nie przechodził.

– Jak myślisz, kiedy one to zwały? – Cyr machnął ręką w stronę osuwiska.

– Już dawno – odparłem.

Za rogiem odkryliśmy drzwi, wrota, wjazd, nie byłem pewny, jaka nazwa byłaby właściwa -stalową płytę wpuszczoną w ścianę. Nie była zabetonowana, ale luźno wpasowana w mur i mogłaby wsunąć się do wewnątrz budynku, gdybyśmy potrafili aktywować mechanizm zamykający. O ścianę opierało się czoło osuwiska, a przed wejściem leżało kilka głazów blokujących wstęp czemukolwiek, co poruszało się na więcej niż dwóch nogach.

– Na ten budynek nikt jak dotąd nie zwrócił uwagi – powiedział Cyr.

– Obiektów wokół nas przybywa, ale się nie zbliżają – odezwał się znów Rigajev.

Marlon ustawił czołg tyłem do ściany, za rogiem widziałem lufę działa wymierzoną w jakieś miejsce na przeciwległym zboczu.

– Stoi na samym skraju zabudowy i pewnie nie miały jeszcze dla niego czasu – zgodziłem się z Cyrem.

To oznaczało, że musi się tu znajdować mnóstwo o wiele bardziej interesujących obiektów, skoro temu nieuszkodzonemu budynkowi nie poświęcały uwagi.

– Wojsko miało tak zaprojektowane swoje urządzenia techniczne, żeby można było ich używać nawet w przypadku zaniku energii – oznajmiłem głośno.

– Dlaczego nic nie robicie? – odezwał się Marlon. – Powinniście się ruszyć, tych migających wokół nas cieni wciąż przybywa.

Wydało mi się, że jest trochę zdenerwowany.

– Tutaj. – Cyr wskazał miejsce na ścianie niedaleko od wejścia.

Skośnie padające promienie słońca ukazały nierówność w murze. Przeciągnąłem po niej palcami, kurz nawiany wiatrem odpadł, odsłaniając zarys stalowej korbey z ośmiokątnym zakończeniem.

Popatrzyłem na Cyra, który przytaknął, ostrożnie oparłem strzelbę o mur, wyjąłem korbę z jej obsady i wsunąłem ją do otworu. Lekko zgrzytnęła i wpasowała się dokładnie. Po tak długim czasie mechanizm musiał być zardzewiały, pokryty brudem. Naparłem na korbę, przekonany, że nawet się nie poruszy, ale tak nie było. Stawiała lekki opór, przerywany tylko w momencie, gdy zapadki wewnątrz mechanizmu wskakiwały na swoje miejsce. Po pierwszym obrocie stalowa ściana drgnęła ku górze, po siedmiu nisko nad ziemią pojawiła się wąska szpara. Po kolejnych dwudziestu dziewięciu obrotach otwór był dostatecznie wysoki, żebym mógł wejść do środka. Ale czy płyta pancerna nie opadnie, jak przestanę kręcić korbą? Puściłem ją, jednak wejście pozostało otwarte. Ostrożnie zajrzałem do wnętrza. Dostrzegłem rzędy

kontenerów ustawionych na pomalowanej na zielono stalowej konstrukcji. Kontenery sięgały aż do stropu, na końcu korytarza zauważyłem zarys dużego wózka widłowego wysokiego ładowania.

– Sposób ruchu botów, o ile to są boty, jest teraz inny – odezwał się Rigajev. – Poruszają się szybciej, a równocześnie znacznie chaotyczniej. Nie widać w tym żadnego sensu.

– Może otrzymują przeciwstawne rozkazy? – zasugerowałem. – Podstawowe zaprogramowanie stało się sprzeczne z rozkazami przekazywanymi przez dowódcę.

Spotkałem się już z czymś podobnym, próbując przeprogramować kilka botów tak, żeby stały się użyteczne.

– Broń – zwrócił mi uwagę Cyr.

Znów wziąłem do ręki strzelbę.

– Wejdziemy do środka obydwaj. Prosimy o ubezpieczenie. – Cyr spojrział na czołg.

– Zgoda – odpowiedział kapitan.

Bez zwłoki wszedłem do wewnątrz. Powietrze było stęchłe, wyczuwałem w nim coś chemicznego i bardzo starego. Niedaleko ode mnie chodnik się rozgałęział, wyglądało na to, że cały budynek wypełniony jest kontenerami. Przyjrzałem się jednemu z nich. W podstawie znajdowały się otwory na widły wózka, pośrodku paneli widać było uchwyty. Ponadto widniał na niej kod kreskowy, a pod nim ręcznie napisane: „Dostawa Herbekand”.

Ująłem uchwyt i pociągnąłem ku sobie, coś cicho zaszeleściło, trzymetrowej długości kontener wyjechał z rzędu pozostałych, na bocznym panelu zobaczyłem mechanizm sterujący zamka: dziesięć przycisków oznaczonych cyframi.

– Dokonałem analizy kodu kreskowego, to klucz do otwarcia kontenera – poinformował mnie Rigajev.

Prawie zapomniałem, że wszystko, co widzę, jest transmitowane do czołgu. Rigajev zaczął mi dyktować cyfry, a ja wystukiwałem je na klawiaturze. Przyciski stawiały spory opór i natychmiast wracały do początkowej pozycji. Po upływie całych stuleci wszystkie źródła prądu musiały być wyczerpane, nie przypuszczałem, że uda mi się

otworzyć kontener. Mimo to zamek trzasnął, wieko uniosło się o kilka milimetrów, zasyczało uwolnione powietrze. Wnętrze kontenera znajdowało się pod ciśnieniem prawdopodobnie jakiegoś obojętnego gazu.

Może efekt piezoelektryczny towarzyszący wduszaniu przycisków wygenerował energię potrzebną do uruchomienia kodu? Spróbowałem otworzyć wieko, ale jedną ręką nie zdołałem tego zrobić i znowu musiałem odłożyć broń.

Podnoszenie wieka szło mi lepiej, niż oczekiwałem. W kontenerze znajdowały się dziesiątki, jeśli nie setki par wojskowych butów ułożonych w skrzynkach z masy plastycznej. Buty.

Ciekawe, czy w pozostałych kontenerach też były buty? Nie wydawało mi się to prawdopodobne. Sądziłem, że w budynku skrywało się wielkie bogactwo.

– To magazyn. Sprawdzimy, co dalej – rozkazał Knispel.

Podniosłem strzelbę i wyszedłem z budynku, poprzedzany przez Cyra.

Kapitan wytyczył kierunek prosto do centrum bazy, bez protestu podjęliśmy powolny, ostrożny marsz. Ja i Cyr pełniliśmy rolę macek, z niewielkiej wysokości pilnował nas dron. Kapitan kazał mu latać nisko, nie wyżej niż piętnaście, dwadzieścia metrów, jakby się obawiał, że może zostać zestrzelony albo że przeciwnik dostrzeże go już z daleka. Jego decyzja. Skupiałem uwagę na bezpośredniej okolicy, unikałem kamieni pod nogami i coraz mocniej odczuwałem ciężar strzelby niesionej w ręce. Z każdą dziesiątką metrów zbliżających nas do centrum natrafialiśmy na ślady niedawno prowadzonych prac. Maszyny budowlane, koparki, spychacze, wieloczynnościowe mechanizmy wyraźnie złożone z elementów mających początkowo całkiem inne przeznaczenie, zainstalowane pole paneli fotoelektrycznych i wielkie, prawie dziesięciometrowej wysokości wieże zbudowane z czegoś, co było chyba ogniwami ogromnych akumulatorów. Zakładałem, że były połączone z polem paneli fotoelektrycznych.

Natrafiliśmy na kolejne magazyny i budynki o nieznanym przeznaczeniu. Część maszyn nadal pracowała, nie zwracając uwagi na naszą obecność. Zbliżaliśmy się do obiektu o skomplikowanym kształcie, z kopułą, po drodze minęliśmy urządzenie przypominające ruchomą wieżę wiertniczą.

W istocie był to ogromny bot służący do wierceń, sześć wsporników umożliwiała mu ruch krocący.

Przystanąłem na chwilę, przyglądając się maszynie. Jego wyposażona w czujniki część głowowa, umieszczona na poziomym nośniku, mniej więcej w jednej trzeciej wysokości, odwróciła się w naszym kierunku.

– Takiej konstrukcji żaden człowiek by nie wymyślił – skomentował Marlon dziwny wygląd maszyny.

Sądząc po wielkiej liczbie rur wiertniczych leżących obok, zamierzały się dowiercić na bardzo dużą głębokość. Coś mi się w tym bocie nie zgadzało, był zdecydowanie zbyt potężny, jednak nie mogłem dojść, w czym tkwi problem.

– Zbudowano go ze zbyt małych części, efektywność jego pracy byłaby większa, gdyby podstawowe elementy nośne miały większą wytrzymałość – stwierdził Rigajev.

Miał rację. A wniosek z jego spostrzeżenia wypływał jasny – technika, jaką dysponowała sztuczna inteligencja, technika umożliwiająca jej produkowanie nowych, ulepszonych botów, miała swoje ograniczenia co do rozmiarów tych wyrobów. Ale z jakiego powodu tutaj wierciły?

W pobliżu stała kolejna wieża akumulatorowa, jeszcze większa niż poprzednia, chociaż żadnego pola fotoelektrycznego obok niej nie było.

– Kontynuujemy – zarządził kapitan.

Bot-wieża wiertnicza nadal nas obserwował. Może powinniśmy go zniszczyć? Cyr ruszył ku niemu, poszedłem za nim.

– Trzy duże obiekty na dziesiątej, siedemset metrów od nas, szybko się przybliżają – zameldował Rigajev.

Odezwał się napęd wieży czołgowej, szybko przesunąłem się

w bok, przyklękając za dużym blokiem betonu, Cyr również się ukrył. Marlon podjechał do przodu, żeby zyskać większe pole do manewrowania.

– Cele oznaczone, panie Katzinski, teraz pana kolej.

Im niebezpieczniejsza była sytuacja, tym obojętniej brzmiał głos Knispela.

Pomiędzy dwoma skupiskami gruzów mignął niewyraźny zarys dużej maszyny. Jej kształt był mi znajomy – dinobot. Przesunąłem przełącznik strzelby na czwórkę, przypominając sobie o skutkach. Jednak lepiej było uszkodzić sobie staw barkowy, niż zginąć. Miałem ponadto nadzieję, że Rigajev i jego leki jeszcze raz mi pomogą.

Kolejny cień i jeszcze jeden. Staraly się skrócić dystans, przebiegając od jednej kryjówki do drugiej. Wyraźnie nie miały broni, która mogłaby zagrozić czołgowi z daleka.

Zagrzmiała armata, syknięcie hamulca wylotowego wgryzło się w uszy, pocisk eksplodował tuż przed nami. Chybiony strzał? Drugi wystrzał nastąpił zaraz po pierwszym, odgłos hamulca wylotowego był tym razem jeszcze nieprzyjemniejszy niż poprzednio. Natychmiast odezwało się działko szybkostrzelne i wkm. Wielki dinobot pojawił się zaledwie kilkadziesiąt metrów przede mną, chyba się czołgał, żeby podejść tak blisko niezauważony. Przesunąłem przełącznik na piątkę. Jeden wystrzał wytrzymam, o skutki będę się martwił potem. Bot skoczył, ale trafiła go w powietrzu seria wystrzelona przez działko szybkostrzelne.

Nastała cisza.

– Wszystkie atakujące obiekty zostały zniszczone – ogłosił Katzinski.

A więc armata trafiła dwoma pierwszymi strzałami, a ja nawet tego nie zauważyłem, tak szybko się rozegrała ta potyczka.

– Panie Cyr, panie Sanders, jesteście w stanie kontynuować akcję?

Pomyślałem sobie, co by się stało, gdybym odpowiedział, że nie. Ręce mi się nie trzęsły, serce biło tylko trochę szybciej niż zwykle. Wiedziałem, że wystarczyłoby jedno krótkie zawahanie

Katzinskiego czy kogoś innego z załogi, a dinoboty rozszarpałyby mnie na kawałki. Ale się nie bałem, pragnienie zniszczenia tego gniazda było silniejsze niż strach. Zniszczenia za wszelką cenę.

– Tak, kapitanie – powiedziałem krótko, przesuwając przełącznik strzelby na trójkę.

– Liczba obiektów poruszających się na granicy zasięgu naszych czujników wzrasta – zameldował Rigajev.

– To znaczy, że znają ich zasięg – stwierdziłem.

– Bez wątpienia – odrzekł Rigajev. – I wciąż ich przybywa, oceniam ich liczbę na trzydzieści.

Ilekolwiek by ich było, dopóki trzymały się z daleka, nie przejmowałem się nimi.

Widać już było budynek, który kapitan wyznaczył nam jako cel. Ruszyłem prosto ku niemu, trzymając przy ramieniu strzelbę gotową do strzału. Cyr ubezpieczał mnie, pozostając w pobliżu. Dron cicho unosił się nad moją głową. Zawisł bez ruchu. Kosztowało go to sporo energii, ale kapitanowi chodziło o jak najdokładniejsze informacje.

Coraz wyraźniej widziałem dużą stalową ścianę, może wrota, osadzoną w skale zbocza. Prace porządkujące dostęp do niej były w toku, choć nie zostały jeszcze zakończone. Nie poświęcałem jej zbyt wiele uwagi, stamtąd niebezpieczeństwo nie groziło.

Zza rogu zniszczonego budynku wyskoczył mały bot. Odbił się z zaskakującą siłą i skoczył, instynktownie wykonałem unik, minął mnie i spadł na zniszczony betonowy mur, najeżony rdzewiejącymi prętami zbrojeniowymi. Uchwycił się ich przednimi kończynami, odwrócił w moją stronę owadzią głowę z mnóstwem cienkich, krótkich anten. Drugiego skoku już oczekiwałem, ale i tak był szybszy, niż wydawało się to możliwe. Wpadł na lufę strzelby, prawie się na nią nabijając. Jego segmentowe kończyny owinęły się wokół metalu, nacisnąłem spust, a potem kolejnym wystrzałem zniszczyłem jego towarzysza, który pojawił się zza głazu po prawej stronie. Broń Cyra zagrzmiała długą serią, kilka innych małych botów o trzech parach kończyn zostało zlikwidowanych.

Dostrzegłem jeszcze jednego, wystrzeliłem i zniszczyłem bota, zanim zdążył odbić się do skoku na plecy Cyra. Zbliżyłem się do niego, gotowy do akcji, ale kolejnych botów już nie odkryłem.

Palec na spuście, cisza. Wyglądało na to, że naprawdę zniszczyliśmy wysunięty oddział botów.

Nagle usłyszałem podniecony głos Rigajeva: – Rzuciły się na nas, jest ich mnóstwo, nie damy rady ich zatrzymać, wracajcie.

– Panie Cyr, panie Sanders! Do czołgu! – rozkazał kapitan.

Cyr pobiegł natychmiast, wskoczył do wjazdu na wieży, a ja się rozejrzałem. Już było je widać, mnóstwo botów różnej wielkości pędzących ze wszystkich kierunków. Pod na wpół zawaloną ścianą dostrzegłem dużego dinobota, stał przykurczony, żeby stanowić jak najmniejszy cel, i obserwował nas. Nie przyłączał się do ataku pozostałych.

– Sanders! Do środka! – krzyčili Cyr i Rigajev.

Pospieszyłem się, ale nie wpadłem w panikę, czasu na schronienie miałem dosyć.

Zatrzasnąłem wjazd, natychmiast usłyszałem znane mi odgłosy świadczące, że czołg jest w pełnej gotowości bojowej.

– To lekkie maszyny, małe boty bez broni palnej, nie mogą nam zagrozić – ocenił Rigajev.

Na panoramicznym obrazie rozszerzonym o widok z drona jak na dłoni widziałem falę zbliżających się botów i przyznawałem Rigajewowi rację. Do takich przeciwników nie było sensu strzelać z czołgowego działa, marnując tylko amunicję.

Dla pozostających na zewnątrz stanowiły istotne zagrożenie i na pewno zabiłyby nas, ale dla silnie opancerzonego czołgu... ten atak był bezsensowny.

Już były blisko, boty wielkości psa lub żrebaka, wyposażone do walki z innymi botami, ze szczękami przystosowanymi do rozcinania metalu na różne sposoby, od wysokoobrotowych pił tarczowych po palniki o wysokiej temperaturze płomienia. A może jeszcze coś innego.

Nagle Marlon przyspieszył tak gwałtownie, że aż mi trzasnęło

w karku.

– Te dranie pójdą pod gąsienice – krzyknął.

Zwalił trzy boty, kolejne dwa rozjechał, cały czas strzelały karabiny maszynowe, ciężka broń milczała. Ośmionogi bot przypominający lisa z długimi kończynami wskoczył na pancerz. Marlon zmienił kierunek, bot się nie utrzymał i skończył pod gąsienicą, ale czołg został otoczony istnym zalewem botów.

– Granaty – rozkazał Knispel. Z krótkich nieruchomych luf ustawionych tak, żeby wylatujące z nich granaty pokryły całą przestrzeń wokół czołgu, wypadła pierwsza dziesiątka. Marlon znowu przyspieszył, żeby odsunąć czołg od eksplozji, oszczędzając czujniki przed uszkodzeniem lub zniszczeniem.

Granaty wybuchły za nami, do przedniego pancerza przywarł bot z głową uformowaną na kształt wielkiego dzioba. W rzeczywistości był to duży przyrząd wierzący. Jego towarzysze skończyli pod podwoziem czołgu. Marlon demonstrował wysoki kunszt kierowania ciężkim wozem, przejechał blisko gruzów muru, gromada botów, które usiłowały uszkodzić nasz bok, zmieniła się w kupę poskręcane go złomu.

– Z maksymalną prędkością naprzód! – Kapitan wyznaczył współrzędne celu. – Cały czas utrzymuj gąsienice w ruchu.

Stutonowy potwór przyspieszył szaleńczo, sfera botów rzuciła się za nim w pogoń.

Były zbyt słabe na nas, bez skutecznej broni, przeznaczone do walki z maszynami podobnego typu. Ale miały ogromną przewagę liczebną i prędzej czy później mogły spowodować uszkodzenie, które nas spowolni, zatrzyma, co byłoby naszym końcem. Albo wyczerpałyby się nam zapasy amunicji i paliwa.

– Cyr, niech pan rozpyła aerozol pełną mocą.

Wiedziałem, o co chodzi, przeczytałem o tym w dokumentacji technicznej czołgu. System prowadzenia ognia do wyrzucenia pocisku z lufy używał dwuskładnikowego ciekłego materiału wybuchowego. Teraz Cyr miał tę ciekłą wybuchową mieszankę wyrzucać na zewnątrz w postaci aerozolu. W połączeniu z tlenem

atmosferycznym wytwarzał się w ten sposób zabójczy koktajl.

– Rigajev, przygotować czujniki.

Wszystko, co mogliśmy schować: anteny, ruchome czujniki, reflektory infra, celowniki laserowe, powinno znaleźć się pod pancierzem. Będziemy podobni do żółwia kryjącego się w swojej skorupie.

Za to staniemy się ślepi i głusi. Prawie.

– Jesteśmy na miejscu – ogłosił Marlon, hamując tak gwałtownie, że gdyby nie pasy bezpieczeństwa, wpadłbym na ścianę przed sobą.

Wentylatory systemu klimatyzacyjnego, przełączone na inny reżim pracy, zawyły, rozpylając mieszanekę wybuchową, w tej samej chwili usłyszeliśmy liczne uderzenia w pancierz, boty dogoniły nas i zaatakowały.

Naliczyłem jeszcze piętnaście gwałtownych hamowań, a później dobiegające z zewnątrz dźwięki nasiliły się, tworząc istną kakofonię, wycie narzędzi tnących, zgrzyty, drapanie pancerza.

Poruszaliśmy się w ciasnych okręgach, żeby nieruchome gąsienice nie stały się łatwym celem.

Knispel nadal czekał.

Co będzie, jeśli uszkodzą nam armatę? Naszą główną broń, zdolną poradzić sobie z czymkolwiek? Wtedy umrzemy, zanim wykonamy zadanie, odpowiedziałem sobie.

Hałas narastał, stawał się wprost ogłuszający, miałem wrażenie, że w każdej chwili przez właz przedrze się piłująca szczeka któregoś z botów.

Sięgnąłem po strzelbę.

– Panie Balducci, proszę się zatrzymać. Panie Cyr, zapłon.

Dobiegł mnie głęboki, długi grzmot eksplozji, cały czołg uniósł się, po czym pomалу opadł na ziemię, energię uderzenia pochłonęło resorowanie.

Zauważyłem, że wstrzymałem oddech.

Nastąpiła cisza.

– Panowie, sprawdźcie swoje systemy i meldujcie o uszkodzeniach – zabrzmiał rozkaz.

Rigajev zaczął pierwszy, zameldował, że straciliśmy prawie połowę czujników.

Silnik był w porządku, tak jak wszystko pozostałe będące pod moją opieką, nic nie zostało uszkodzone przez eksplozję.

– Wyjrzę na zewnątrz – oznajmiłem.

Prędzej czy później ktoś będzie musiał to zrobić, a teraz miałem przynajmniej pewność, że w pobliżu nie będzie żadnego bota.

Otworzyłem właz i wylazłem ze strzelbą w ręce.

Znajdowaliśmy się w centrum czarnego, spalonego koła o średnicy około osiemdziesięciu metrów. Nie wiedziałem, jak teren wyglądał przed eksplozją, ale teraz w środku spalonej przestrzeni nie zostało nic. Powietrze dosłownie parzyło, w nosie czułem ostry chemiczny odór.

– To świństwo jest mocno rakotwórcze – ostrzegł mnie Rigajev. – Jeśli nie wypaliło się zupełnie, możesz mieć problem.

Rakiem się w tej chwili nie przejmowałem. Dostrzegłem tylko kilka szczątków botów, wszystkie na granicy czarnego koła.

Ile materiału wybuchowego pozostało nam po tak potężnej eksplozji? I jak to się stało, że przetrwaliśmy ją, ponosząc stosunkowo niewielkie uszkodzenia?

W pobliżu nas nic się nie działo, tylko odległe maszyny budowlane kontynuowały pracę. Bot-wieża dźwignikiem wyciągał właśnie z otworu ostatnią rurę z głowicą wiertniczą, do której był przymocowany silny przewód. To, że nasze działania nie wywarły żadnego wpływu na normalne czynności botów, uświadomiło mi, z jak silnym przeciwnikiem mamy do czynienia. Pomiedzy głazami na wprost nas zauważyłem powolny ruch, obiekt się nie ukrywał. Nie mogły nas pozostawić w spokoju, to było jasne.

– Coś się do nas zbliża, na pierwszej, trzysta metrów – ogłosiłem.

– Niczego nie widzę – kwaśno zareagował Rigajev. – Jestem prawie ślepy.

Ostatnio często mówił o czujnikach, które miał do dyspozycji, jakby były one częścią jego samego.

Wieża obróciła się nieco w prawo, musiałem się wychylić, aby

odzyskać widok na przybysza.

– Już go mam na ekranie – potwierdził Rigajev. – Dzięki.

– Nie strzelajcie, przynajmniej nie od razu – poprosiłem. – To jakiś inny bot, niepodobny do tych poprzednich.

Widać było, że nie zamierza atakować. Obserwowałem, jak zbliża się powoli. Czworonożny, wysoki na jakieś półtora metra, z głową wyposażoną w zestaw czujników o wiele bogatszy niż zazwyczaj u botów, zamiast tnących szczęk miał mały manipulator przy szyi. Umożliwiał on obrót głowy o trzysta sześćdziesiąt stopni. Korpus wykonany został z polimetalicznych mięśni i kilku nieklasycznych stawów. Dinoboty wydawały mi się znacznie doskonalsze, ten zapewne był ich poprzednikiem. Jednak równocześnie wyglądał na maszynę, w którą ktoś w przeszłości zainwestował mnóstwo pracy i środków, a teraz żał mu ją było odrzucić, nawet jeśli dysponował lepszymi botami. Ten bot nie sprawiał wrażenia szkieletu jak dinoboty, ekran w przedniej części głowy przypominał twarz.

Wymierzyłem w niego strzelbę.

Ekran rozświetlił się i wyczarował obraz stylizowanej, częściowo antropologicznej czaszki wykonanej ze stali. W oczodołach pojawiły się płynnie zmieniające się obrazy.

Czy wizualizacja mogła być używana do wywierania wpływu na ludzką psychikę? Chyba tak, bo chociaż nie przyglądałem się tym obrazom zbyt dokładnie, to jednak niemal hipnotycznie przyciągały one moją uwagę.

– Jestem wysłannikiem, przyszedłem was ostrzec – odezwał się bot miło brzmiącym męskim basem. Żadne części jego głowy się nie poruszały, ale obraz wywoływał niemal doskonałe wrażenie, że to czaszka przemówiła.

Miałem nadzieję, że rozmawiać będzie kapitan albo deleguje do tego Rigajeva, jednak nie otrzymałem żadnych rozkazów. Może Knispel nie chciał negocjować z wysłannikiem, a może nie chciał wyjawiać przeciwnikowi swoich planów?

– Skąd taka głupia wizualizacja? – zapytałem.

– Nie ośmielaj się! – zagrzmiał głos, obraz się zmienił, czaszka

zamieniła się w realny kształt ludzkiej głowy, zyskując w ten sposób na plastyczności, a równocześnie w jej oczach pojawiły się płomienie.

– Na wieśniaków mogło to nawet działać, przyznaję – powiedziałem lekceważąco.

– Nie rejestruję żadnego sygnału, bot działa na podstawie własnego programu lub własnych decyzji – powiedział Rigajev.

Bot wydawał teraz stłumiony, syczący dźwięk, mógł to być efekt aktywacji chłodzenia, w oczach znów przeskakiwały hipnotyzujące obrazy. Wyglądało na to, że jego jednostka logiczna pracuje pełną parą.

– Jestem emisariuszem, posłem mojego pana. – Zaprzestał prób zastraszania mnie. – To jego terytorium, a wy naruszacie jego suwerenność.

Przypominało to zapis ze starego protokołu dyplomatycznego. Ale nie całkiem. Sztuczna inteligencja, która zrozumiała koncepcję własności prywatnej na tyle, że zdecydowała się zostać jedynym właścicielem nieruchomości.

– Jesteś tylko botem, maszyną, a do tego bardzo kiepsko zaprogramowaną. Twoim szefem jest sztuczna inteligencja, która urwała się z uwięzi i teraz potrzebuje restartu.

Wiedziałem, że sztucznej inteligencji restartować nie można, tylko ją zresetować, co jest porównywalne z ciężkim przypadkiem niesprawności mózgowej u człowieka.

– To była pogróżka – stwierdził bot.

Nie odpowiedziałem mu i czekałem.

– Jestem emisariuszem – wrócił do początku rozmowy. – Jeśli opuścicie prywatny majątek mojego pana, nie podejmie on przeciw wam żadnej dalszej akcji i nie będzie żądał zadośćuczynienia za majątek, który zniszczyliście.

Ładnie sformułowane, być może boty znalazły gdzieś jakieś stare prawnicze teksty.

– Znów rejestruję maszyny na granicy zasięgu czujników, jeszcze przed chwilą żadnych tu nie było.

Dron nad nami zaczął opisywać szersze koła, żeby pokryć obserwacją większy teren.

– Gra na czas – ocenił kapitan. – Ściąga siły, skąd tylko może, zapewne nadal nie dysponuje środkami zdolnymi nas zniszczyć. Potrzebna jej ogromna przewaga liczebna.

– I będzie ją miała, to tylko kwestia czasu. Nie mówię o przewadze liczebnej. Ale będzie miała więcej amunicji, zainstaluje więcej broni palnej na botach i jej siła bojowa bardzo wzrośnie - mruzczał Rigajev.

– Jeśli nie skorzystacie z przedstawionej oferty, zostaniecie zniszczeni.

Bot stał przede mną spokojnie i czekał. Reprezentował siłę, która dysponowała znacznymi środkami, a poziom jego własnej inteligencji zaskakiwał i niepokoił. Najchętniej bym go rozwalił na małe, z pewnością już nieinteligentne kawałki. Ale to kapitan dowodził.

– Stara się nam uniemożliwić zbadanie swojej bazy, to powinna być ta centralna budowla, do której zaczęliśmy się zbliżać – powiedział Knispel. – Biorąc pod uwagę, jakie straty im zadaliśmy i jak trudno im je uzupełnić, to musi być dla nich niezwykle ważne. Być może właśnie tam da się znaleźć informację, gdzie ukrywa się sztuczna inteligencja.

Zgadzałem się z kapitanem, miał najwięcej doświadczenia w walce z maszynami, a jego spostrzeżenia brzmiały logicznie.

– Co mam powiedzieć temu botowi? Czy może teraz sam pan będzie z nim rozmawiać? -zapytałem, mimochodem patrząc na bota-wieżę wiertniczą.

Przyłączyły się do niego dwa inne wieloczynnościowe boty, każdy wyposażony w dwie pary manipulatorów. Właśnie skończyły przeciągać kabel ku ogromnej wieży akumulatorowej, a teraz stały bezradnie nad jego końcówką. Nie było widać pomiędzy nimi oznak żadnej komunikacji, wyglądały jak dwóch monterów, którzy się pogubili. Jeden z botów uchwycił manipulatorem końcówkę kabla, w drugim trzymał jakiś element, złączkę czy wtyczkę, drugą parą

manipulatorów próbował coś zrobić, ale wkrótce zaprzestał starań. Wyraźnie sobie nie radził. Boty kontynuowały pracę nawet podczas walki, to, co robiły, musiało być dla naszego wroga szalenie ważne.

– Panie kapitanie? – odezwałem się cicho, odwracając się, żeby bot nie widział mojej twarzy i mnie nie usłyszał. – Powiedział pan, że bojowa sztuczna inteligencja potrzebuje mnóstwa energii do chłodzenia.

– Tak, ich jądra są kwantowymi komputerami, pracującymi w temperaturze bliskiej zera absolutnego.

– Na drugiej znajduje się wieża wiertnicza, boty właśnie przeciągnęły od niej kabel do tej największej wieży akumulatorowej. Nie jest podłączona do żadnego pola fotoelektrycznego. Wygląda na to, że starają się pozyskać energię z dołu.

Bot emisariusz stał nadal przede mną nieruchomo. Obrazy w jego oczach zmieniały się wolniej, musiałem się skupić, żeby nie zwracać na nie uwagi.

– Myślę, że tam, na dole, znajduje się źródło energii, elektrownia atomowa. Stabilna, niezależna, o długim działaniu. Według mnie sztuczna inteligencja już się tu przeprowadziła. Boty odkryły tę bazę i ona jest tu od piętnastu, dwudziestu lat, starając się rosnąć w siłę i używać ludzi do napraw i rozwoju nowych typów botów, a także do wyrobu amunicji.

Kto zawładnie tym miejscem, kto potrafi użyć jego potencjału, stanie się panem świata, przypomniały mi się słowa Rigajeva. A już ktoś, czy może coś zaczęło nad tym pracować.

– Musimy zejść do podziemia.

Potem pomyślałem, że może popełniam błąd, człowiek nie mógłby usłyszeć mojej cichej rozmowy z kapitanem, ale bot mógł mieć o wiele czulszy hardware. Odwróciłem się znów do emisariusza, w chwili kiedy rzucił się na mnie w sposób właściwy tylko dla maszyn. Gdybym nie trzymał śrutówki stale gotowej do strzału, dostałby mnie. A tak jedynie we mnie uderzył, uszkodzone wystrzałem manipulatory zawirowały, ale bez skutku. Był

masywniejszy, niż mi się wydawało. Skończyłem, leżąc na korpusie czołgu, nadal ze strzelbą w ręce, a bot ześliznął się na ziemię. Zanim zdążył stanąć na nogi, kolejnym wystrzałem uszkodziłem mu obie tylne kończyny. Mimo to wciąż starał się wstać w nieludzki, maszynowy sposób.

Poczułem nienawiść. Był to chytry stwór, posłuszny swemu panu, ale nie zdołałem się opanować. Skoczyłem w jego stronę, jeszcze jednym wystrzałem uszkodziłem mu lewą przednią łapę, następnym głowę, z ekranu pozostały tylko resztki, ciągle emitujące zarys stylizowanej czaszki, już bez efektu 3D.

– Komunikuje się! Nadaje przez radio! – krzyczał Rigajev.

Z wielkim zadowoleniem nacisnąłem spust, trafienie z bezpośredniej odległości wybiło w głowie bota dziurę. Gdybym nie był ubrany w komplet balistyczny, fruwające na wszystkie strony odłamki pewnie by mnie poraniły.

– Dalej nadaje!

Znow wystrzeliłem.

– Zamilkł.

Trzasnęły pokrywy włazów, pojawiły się zaniepokojone twarze Katzinskiego i Cyra.

– Wszystko w porządku – oświadczyłem.

Dawno nie czułem się tak dobrze.

– Rejestruję kolejne ruchy, obiekty powoli się zbliżają, kryją się, chcą niepostrzeżenie dostać się jak najbliżej – meldował Rigajev. – Są już cholernie blisko.

Wielki buldożer, który do tej pory zajmował się odkopywaniem osuwiska, zawrócił i ruszył w naszym kierunku, a inne duże maszyny budowlane podążały za nim. Nadszedł czas na potężny atak, sztuczna inteligencja zdecydowała się zniszczyć nas za wszelką cenę, bez względu na straty.

– Panie Sanders, do czołgu – odebrałem rozkaz.

Buldożer został zniszczony jednym wystrzałem, pocisk kalibru sto pięćdziesiąt dwa milimetry poradził sobie nawet z tak silną maszyną. Ale mieliśmy ich ograniczoną liczbę.

Tymczasem pędziła na nas kolejna sfera botów. Były gorzej wyposażone do walki niż pierwsza fala, niektóre nawet nie całkiem sprawne, ale atakowały twardo, bez oglądania się na ryzyko. Wystarczyło, żeby któremuś z nich udało się zniszczyć gąsienice. Marlon znów rozpoczął swój szaleńczy taniec, a Cyr i Katzinski starali się zniszczyć jak najwięcej botów przy minimalnym zużyciu amunicji. Kapitan koordynował ich akcję.

Nie wiedziałem, jak długo wytrzymamy, silnik pracujący na najwyższych obrotach zaczął się przegrzewać. Wyłączyłem wszystko, czego nie potrzebowaliśmy, łącznie z bezpiecznikami przeciążenia. Albo mechanika wytrzyma, albo zginiemy, innej alternatywy nie było.

– Panie kapitanie, widzę kolejne boty – przez hałas walki przedarł się wzmocniony elektroniką głos Rigajeva. – Bardzo stare, o napędzie spalinowym.

A więc sztuczna inteligencja pozyskała skądś zapasy paliwa.

– Niosą jakieś ładunki, zdaje się, że to materiały wybuchowe.

Powiększyłem obraz wyświetlany na monitorze.

Rzeczywiście, grupa sześciu botów o rozżarzonych wydechach niosła ładunki wybuchowe w manipulatorach lub przywiązane drutem do korpusów.

– Nadchodzą od strony wioski, myślę, że wyposażyli je ludzie – zasugerowałem.

Przywiązanie czegoś drutem do korpusu znajdowało się poza możliwościami botów. Ponadto obraz przekazywany przez kamery wskazywał, że każdy bot był tym drutem omotany inaczej.

– Musimy zniszczyć nosicieli i wycofać się – zdecydował kapitan.

To oznaczało naszą porażkę, ale równocześnie ocalenie życia. Pytanie brzmiało, czy później zdołamy uratować ludzi.

Mimo szalonego tańca, do którego Marlon zmuszał czołg, Cyr zdołał celnym ogniem działka szybkostrzelnego zmusić samobójcze boty do zmiany kierunku, a później Katzinski zmiotł je dwoma następującymi po sobie pociskami zapalającymi.

A potem przyszło najgorsze, rozległ się przeraźliwy zgrzyt, czołg

zatonął się w bok. Marlon natychmiast zwolnił.

– Coś blokuje swobodny obrót gąsienicy!

Może jakiś bot w desperackiej próbie zatrzymania nas za wszelką cenę wetknął głowę czy inną część ciała pomiędzy gąsienicę a koło napinające.

Otworzyłem okno diagnostyczne, tensometry gąsienic sygnalizowały nierównomierne obciążenie i postępujące zużycie.

– Marlon, musisz jechać bardzo ostrożnie, inaczej gąsienica nie wytrzyma – powiedziałem.

– A jak mam przy tym strząsnąć całą bandę botów? – odszczeknął.

Na to nie potrafiłem mu odpowiedzieć.

– Strzelajcie według uznania, nie możemy pozwolić sobie na dalsze uszkodzenia – rozkazał kapitan.

Nasi strzelcy przestali oszczędzać amunicję, wszystkie lufy prowadziły ogień, również miotacze granatów, służące do bezpośredniej obrony.

Coraz bardziej obawiałem się wskazań tensometrów, gąsienica ledwie się trzymała. Bez niej stracimy możliwość poruszania się, a potem, kiedy skończy nam się amunicja, staniemy się bezbronni.

– Kapitanie, już tylko dziesięć kilometrów, gąsienica więcej nie wytrzyma – ogłosiłem wynik swojej analizy.

– Musimy uciec, uzyskać dystans! Schować się – pokrzykiwał Rigajev. Cyr i Katzinski nadal niszczyli boty.

Uzyskać dystans z gąsienicą, która w każdej chwili może się zerwać?

– Te stalowe wrota w zboczu przeciwległego grzebienia, tam możemy się schować -przypomniałem sobie.

– Panie Balducci, tu są ich współrzędne – zareagował natychmiast Knispel.

Z mapy wynikało, że nasz cel jest oddalony o trzy kilometry i sześćset metrów. Tyle gąsienica powinna wytrzymać.

Poczynając od momentu, w którym stało się jasne, w jakim kierunku jedziemy, ataki botów nasiliły się, próbowały nas

zatrzymać za wszelką cenę.

Kolejna partia granatów opuściła wyrzutnie i wyczyściła przestrzeń wokół nas. Licznik zapasów amunicji wskazywał, że była to ostatnia partia.

– Nie mogą się zbliżyć na bezpośrednią odległość, na wybuch aerozolu nie możemy już sobie pozwolić – oznajmił Cyr.

Wydawało mi się, że czołg zaczyna samoczynnie skręcać w jedną stronę, Marlon ze wszystkich sił starał się utrzymać prosty kurs.

– Wychodzę na zewnątrz, będę chronił bok – krzyknąłem do interkomu.

– Niech pan to robi, panie Sanders – kapitan potwierdził moją decyzję.

Na szczęście mój właz znajdował się po stronie uszkodzonej gąsienicy.

– Spróbujcie mnie nie zrzucić!

– Zbliżają się do nas maszyny budowlane – ostrzegł Rigajev.

Wygramoliłem się do połowy ze strzelbą przyciśniętą do ciała. Nawet podczas ostrożnej jazdy czołg kiwał się bardziej niż pojazd terenowy.

Z trzech stron zbliżały się do nas boty w towarzystwie uniwersalnych i wyspecjalizowanych maszyn różnej wielkości i kształtów, niektóre obsadzone botami, które w ten sposób oszczędzały energię. Wystarczyło, żeby dogonił nas jakiś buldożer albo koparka i uderzył w bok czołgu.

– Niech pan zwolni i utrzymuje szybkość do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę-usłyszałem, jak kapitan nakazywał Marlonowi.

Przed wyjściem z czołgu przesłałem Knispelowi diagnostykę stanu gąsienicy.

– Dościgną nas! – zaprotestował Marlon, ale rozkaz wykonał i zwolnił.

Ustabilizowałem się za pomocą uchwytów magnetycznych, mocno zacisnąłem zęby, żeby przypadkiem nie ugryźć się w język podczas nieoczekiwanych wstrząsów. Razem z innymi maszynami

kierowała się ku nam platforma transportowa przeznaczona do prac terenowych, jej ogromne koła huczały przy maksymalnej prędkości, na platformie jechała zbieranina botów najróżniejszych typów.

Rozproszone za nami boty naraz przegrupowały się w bardziej zwartą formację, która umożliwiała im wszystkim optymalny wybór trasy. Ale równocześnie my mogliśmy je łatwo zniszczyć pociskami dużego kalibru.

Oczekiwałem, że działo czołgowe za chwilę wystrzeli, zmiatając boty z powierzchni ziemi, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Przegrzana lufa – zameldował Katzinski. – Deformacje przekraczające dozwolony poziom.

Do dupy!

Ona to wiedziała. Gdzieś w pamięci sztucznej inteligencji zachowały się informacje o czołgach takich jak nasz i ona zdawała sobie sprawę, że chwilowo straciliśmy najsilniejszą broń.

Pogoń przyspieszyła albo to my zwolniliśmy. Według mnie znajdowaliśmy się w połowie drogi do stalowych wrót. Marna to była szansa, choć w niej upatrywaliśmy nasz ratunek. Platforma oddzieliła się od innych maszyn, biorąc kurs na mnie, pozostałe skierowały się na drugą stronę. Karabiny maszynowe i działko szybkostrzelne prowadziły gęsty ogień, próbując powstrzymać gromadny atak.

Obserwowałem platformę i czające się na niej boty, oceniając, kiedy skoczą. Jeden z nich miał szczęki ukształtowane w grot młota pneumatycznego, inny cztery tarcze tnące, które właśnie zaczęły wirować. Platforma nagle przyspieszyła, chociaż przypuszczałem, że jedzie ze swoją maksymalną prędkością. Przełączyłem strzelbę na pojedynczy wystrzał.

Platforma jeszcze bardziej przyspieszyła. Amortyzatory nie nadążały wobec dużych nierówności terenu i głośno dudniły. Pozostawały ostatnie metry.

Wycelowałem, rejestrując jednocześnie ruch optycznej głowy platformy, jej czujniki zwróciły się ku mnie. Nacisnąłem spust, w tej

samej chwili silnik platformy zawył, starając się jeszcze zwiększyć prędkość, hałas wydawany przez przekładnię obciążoną ponad jej konstrukcyjny limit zdradzał, że długo już nie wytrzyma. Trafiłem w koło, niszcząc je i deformując półoś, uszkodzenie spowodowało, że platforma wpadła w poślizg i po uderzeniu w kamień wykonała salto. Boty były jednak czujne, połowa z nich, posiadająca odpowiednie zdolności ruchowe i szybką reakcję, leciała już ku nam w powietrzu. Znów przełączyłem strzelbę i pierwszym wystrzałem zmiotłem bota z czterema tnącymi tarczami. Nie zniszczyłem go, ale swój skok skończył na ziemi w dzikich koziołkach. Energia kinetyczna jego upadku okazała się wystarczająca do unieruchomienia go.

Bot z młotem pneumatycznym stanął przede mną, jego kończyny przywarły do pancerza z głośnym zgrzytem. Nie wiedziałem, na jakiej zasadzie to działa, ale działało dobrze. Głowa maszyny, zakończona czymś na kształt ryja, zwróciła się ku mnie, ale uznała pancerz czołgu za swój priorytetowy cel i to był błąd jej algorytmu. Wystrzeliłem dwa razy pod rząd, bot oślepl, poznałem to po tym, jak znieruchomiał, pochyliłem się ku niemu i wetknąłem lufę pomiędzy korpus a głowę. Po trzecim wystrzale przestało działać jego centrum logiczne, kończyny odpadły od pancerza czołgu i bot runął na ziemię. W pancerzu pozostały po nim głębokie, wąskie rysy. Coś mnie uderzyło w plecy. Odwróciłem się i zobaczyłem małego bota starającego się przegryźć mój komplet balistyczny. Jednak jego szczęki okazały się za słabe, aby pokonać najlepiej chronione miejsce tułowia – kręgosłup. Z nogą miałby mniej kłopotu. Wystrzał go zmiotł, pozostała tylko tarcza, która uwięzła w kompozytowych kręgach tylnej części kompletu.

– Sanders, trzymaj się! – krzyknął Marlon przez komunikator.

Skąd te emocje? Ja sam zachowywałem całkowity spokój. Ale to nie była prawda, bo kipiałem lodowatą wściekłością, umożliwiającą mi skuteczne niszczenie botów.

Zasunąłem nogę w uchwyt, opierając się lewą ręką o pancerz.

– Trzymam się – potwierdziłem.

Zbliżały się do mnie dwa kolejne boty, jeden z mechanicznymi szczękami tnącymi, których z pewnością nie zaprojektował człowiek, drugiego widziałem tylko niewyraźnie poprzez białą mgłę ładunku elektrycznego. Nauczone doświadczeniem, uznały mnie za zagrożenie i postanowiły wyeliminować, zanim zaatakują czołg.

Zgrzyt, siła bezwładności rzuciła mnie na pancerz, kolano wytrzymało i noga pozostała w elektromagnetycznym uchwycie. W odróżnieniu od botów utrzymałem się na pancerzu, nawet nie wypuściłem z ręki strzelby, pomimo gwałtownego manewru Marlona.

– Żyjesz? – zapytał mnie.

– Jak na razie tak – odparłem.

Pozbyliśmy się wprawdzie pierwszej fali napastników, lecz zbliżali się kolejni. Oceniałem ich liczbę na kilkadziesiąt, najniebezpieczniejsze wydawały mi się poruszające się na wielkich kołach transportery, które starały się wziąć nas w kleszcze.

– Balducci, pełną szybkością naprzód, Katzinski, strzelać, jak tylko stan działa na to pozwoli, Sanders, proszę wrócić do kokpitu.

Nie rozmyślałem nad tym rozkazem, po prostu go wykonałem. Zanim zatrzasnąłem pokrywę wjazdu, rzuciłem okiem w kierunku naszej jazdy. Stalowe wrota, do których zbliżaliśmy się z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, były tuż przed nami.

Co się stanie, kiedy stutonowy czołg uderzy w solidną stalową barierę? Kruchym istotom z mięśni i kości na pewno nic dobrego.

Serwomechanizm zawył, kiedy wieża błyskawicznie odwróciła się, wystrzał, potem drugi; oczekując uderzenia, zaparłem się i złapałem uchwyt, jeszcze jeden wystrzał, potężne uderzenie podrzuciło czołg do góry, zaraz jednak opadliśmy, zawieszenie zajęczało, silnik wył przeciążony do granic możliwości.

– Znów gotowi do prowadzenia ognia – usłyszałem głos Cyra.

– Lewa gąsienica nie wytrzymuje, już nie wytrzymała – krzyczał Marlon.

Ogromna siła tarcia zaczęła wykręcać czołg w lewą stronę.

– Panie Balducci, potrzebujemy jeszcze dwudziestu metrów –

odezwał się kapitan.

– Przecież to nie da rady bez gąsienicy, jak?

Spojrzałem na monitory, wokół nas przesuwały się ściany podziemnego korytarza. Armata zniszczyła zamek wrót i wjechaliśmy do wewnątrz.

Marlon wykorzystał siłę rozpędu, oparł czołg uszkodzoną stroną o ścianę i użył pełnej mocy do napędu sprawnej gąsienicy. Zgrzyt pancerza o mur targał bębunki uszu, ale bardzo powoli posuwaliśmy się do przodu, aż w końcu definitywnie się zatrzymaliśmy. Ale udało się zyskać około dziesięciu metrów.

– Ognia – rozkazał kapitan.

Armata zagrzmiała, dźwięk zabrzmiał inaczej niż zazwyczaj, może z powodu uszkodzonej lufy, a może dlatego, że znajdowaliśmy się w zamkniętej przestrzeni.

Wybuch pocisku nastąpił praktycznie natychmiast, a był tak silny i bolesny, że pomacałem uszy, żeby sprawdzić, czy nie cieknie z nich krew. Nie ciekła.

Monitory w moim kokpicie zgasły, potem zapaliły się znowu, ukazując obraz przekazywany przez ostatnie czujniki optyczne. Tylko już nie w świetle dziennym, lecz reflektorów czołgowych. Podczas naszej szaleńczej ucieczki kapitan rozkazał odwrócić wieżę do tyłu i teraz Katzinski trafił w strop korytarza. Pocisk burzący spowodował rozległy zawał, który kończył się zaledwie kilka metrów za czołgiem. Zostaliśmy zamknięci w podziemiu, za to skutecznie chronieni przed botami, które pozostały na zewnątrz. Przynajmniej to nam się udało.

Stopniowo wracał mi słuch.

– Żyjemy, żyjemy – usłyszałem Marlona.

Rigajev tylko ciężko oddychał, a Katzinski coś niezrozumiale mamrotał.

Odruchowo zacząłem kontrolować poszczególne systemy silnika, chociaż wiadomo było, że dalej nie pojedziemy, a po stwierdzeniu, że są nieuszkodzone, sprowadziłem obroty silnika do trybu postojowego. Zacząłem sobie przypominać ostatnie wydarzenia.

Czy boty naprawdę nie chciały nas dopuścić do tego korytarza? Ich agresja bardzo wzrosła, kiedy skierowaliśmy się ku niemu. Zaczęły się ataki samobójcze, bez oglądania się na straty.

Włazy się otworzyły, Marlon i Cyr wygramolili się na zewnątrz, po ucieczce nadciśnienia wewnętrznego poczułem chłodne, lekko wilgotne powietrze. Może nieco zatęchłe, w którym wyczuwało się jakieś zapachy, jednak nie potrafiłem ich zidentyfikować.

Jeżeli w podziemiu znajdowało się jakieś silne źródło energii, to musiało się tam jakoś znaleźć. Albo teraz, albo setki lat temu. Tak samo jak w przypadku sztucznej inteligencji, która tę bazę obrała sobie za siedzibę. Powinna tu być, bo jak inaczej można wytłumaczyć tę rozpaczliwą obronę, prowadzoną za wszelką cenę?

– Kapitanie? – odezwałem się przez interkom.

– Proszę mówić, panie Sanders.

– Myślę, że przebiliśmy się do wstępu prowadzącego pod ziemię, przez który dostała się tutaj sztuczna inteligencja, o ile naprawdę się tu znajduje.

Nastąpiła krótka przerwa.

– Ma pan rację – potwierdził kapitan.

– Kiedy pan to stwierdził, kapitanie? – chciałem się dowiedzieć.

– Dopiero kiedy mi to pan oznajmił – odpowiedział Knispel. –

Pańskie rozumowanie jest logiczne, a sytuacja potwierdza jego prawidłowość. Nie wydawało mi się możliwe, żeby bojowa sztuczna inteligencja chciała ryzykować transport, zmianę lokalizacji bez pełnego zabezpieczenia. Jednak obecność źródła energii oraz miejscowe wyposażenie przesądziły o podjęciu tak dużego ryzyka. Ma pan rację, władca tego miejsca znajduje się tutaj, w podziemiach.

Wziąłem śrutówkę, uzupełniłem pociski i materiał strzelniczy, tak jak mnie nauczył Cyr, i poczekałem, aż mechanizm dostarczy do magazynka dwuskładnikowy ciekły ładunek miotający. Potem otworzyłem pokrywę wjazdu i wygramoliłem się na zewnątrz.

Ostatnie trzy ocalałe reflektory oświetlały przestrzeń przed nami, w stożkach światła widać było unoszący się w powietrzu kurz,

zapach spalin z pracującego silnika wziął górę nad wszystkimi innymi woniami.

Marlon z Cyrem oglądali uszkodzenia czołgu, zerwana gąsienica wystawała spod gruzowiska jak stalowa dżdżownica. Zawsze praktyczny Cyr miał na głowie lampkę czołową, Marlon przyświecał sobie latarką kieszonkową.

– Musimy wziąć ze sobą wszystko, co będzie potrzebne – rzekłem.
– Wodę, amunicję, materiały wybuchowe, jedzenie.

– Co ty chcesz zrobić? – Marlon odwrócił się do mnie, świecąc mi w twarz latarką.

Zasłoniłem sobie oczy.

– Chcę zniszczyć sztuczną inteligencję ukrywającą się w tych podziemiach – odpowiedziałem.

– Zwariowałeś?! – wybuchnął. – Nie wiesz, gdzie ona jest. Masz pojęcie, ile botów ją chroni? Nie masz! Nas jest tylko sześciu, a czołg diabli wzięli – prawie krzyczał.

– Zlikwidowanie sztucznej inteligencji jest naszą jedyną szansą – odparłem spokojnie. – Bez niej boty zostaną tylko bardzo kiepsko koordynującymi maszynami, a my zyskamy szansę na ich zniszczenie lub przynajmniej na wycofanie się. Jak długo dowodzi nimi bojowa inteligencja, nie ma dla nas nadziei.

Otworzył się kolejny właz, Rigajev opuszczał czołg powoli i ostrożnie, jakby nie dowierzał własnemu ciału. Sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

– Obawiam się, że pan Sanders ma rację – oświadczył kapitan.

Rigajev oparł się o klapę włazu, poblask z lampek przyrządów kokpitu oświetlał jego twarz od dołu, przez co wyglądał jak widmo. Jak trup.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, jakbym mówił nie całkiem szczerze. Nawet się z nim zgadzałem. Nasze ocalenie było dla mnie rzeczą drugorzędną, chciałem za wszelką cenę zniszczyć naszego wroga – sztuczną inteligencję. Jeśli miałyby to dopomóc naszemu przeżyciu, traktowałem to jako bonus.

– Bardzo niechętnie zgadzam się z tobą – oświadczył w końcu. –

Musimy wziąć ze sobą wszystko, czego będziemy potrzebowali.

Pakowaliśmy się około pół godziny, dokonując trudnych wyborów. Niestety, nie mogliśmy na własnych grzbietach unieść wszystkiego, co wydawało nam się potrzebne. W takim przypadku stalibyśmy się niezgrabnymi, nadmiernie obciążonymi tragarzami, co prawdopodobnie doprowadziłoby nas do szybkiej śmierci.

Cyr pierwszy uporał się z pakowaniem i zajął się rozmieszczaniem prowizorycznych min sporządzonych z czołgowych pocisków. Gdyby boty przegrzebały się przez rumowisko, czekała na nie niespodzianka i kolejny zawał.

– Gotowe – oznajmił, wstając z kolan.

My też byliśmy już przygotowani.

– Idziemy – rozkazał kapitan i pierwszy wszedł w ciemność korytarza.

Byliśmy obwieszani bronią, na głowach mieliśmy świecące oszczędnie latarki czołowe. Cyr w swoim komplecie balistycznym wyglądał jak trochę mniejszy golem. Marlon z żalem spojrzał na cichy, ciemny czołg. Nie chciał od niego odchodzić, uważał go za gwarancję swojego bezpieczeństwa, gwarancję przeżycia. Rigajev nałożył lekki hełm z wieloczynnościowym przeziernikiem i z zaciśniętymi ustami podążył za kapitanem, tuż za nim poszedł Katzinski. Cały czas coś do siebie cicho mamrotał, drgał mu lewy kącik ust. Tik nerwowy. Każdy reagował inaczej na coraz silniejsze napięcie. Podniosłem strzelbę, sprawdziłem granaty przytroczone do pasa i poszedłem za poprzednikami. Jeśli Marlon wolał zostać tutaj, to jego sprawa.

Dogonił nas za chwilę.

Chodnik lekko opadał, betonowa podłoga zmieniła się w kamienną, wyglądało na to, że została gładko wykuta w granicie. Ściany sprawiały takie samo wrażenie. Tylko początek korytarza był wybetonowany i wymurowany. Kurzu prawie wcale nie było, jak w jaskiniach czy w opuszczonych podziemnych magazynach. Po pewnym czasie natrafiliśmy na tory. Ich powierzchnia była przeważnie ciemna, tylko w niektórych miejscach coś zniszczyło

zardzewiałą warstwę, odkrywając błyszczący metal.

Rigajev przez chwilę przyglądał się temu, ale nic nie powiedział. Poszliśmy dalej, tunel nadal był szeroki, tylko strop wznosił się teraz o wiele wyżej. Światło naszych latarek ledwie do niego docierało. Stopniowo się ochładzało.

– Schodzimy w dół po spirali – oznajmił Rigajev podczas kolejnego przystanku, o który poprosiłem, żebyśmy wszyscy mogli poprawić nasze oporządzenie.

Obserwował dane pojawiające się w jego wirtualnym polu widzenia.

– Na dystansie kilometra schodzimy około sześćdziesięciu metrów – oznajmił.

– Dlaczego nie zainstalowali tu windy? – zapytał Marlon.

Podczas marszu uspokoił się, teraz był raczej zniechęcony niż przestraszony.

– Żeby dostarczać duże przedmioty – odpowiedział Cyr. – Bardzo duże. Ale może winda jest wewnątrz tej spirali.

Być może miał rację. Czas upływał nam monotonnie, obserwowaliśmy wewnętrzną ścianę zstępującej spirali. Dokąd? Do piekła?

– Ile już zeszliśmy? – Popatrzyłem na Rigajeva.

– Czterysta osiemdziesiąt metrów – odpowiedział.

– To jeszcze nie jesteśmy dostatecznie głęboko – oceniłem.



W starych publikacjach wyczytałem kiedyś, że w przypadku nawet najsilniejszych eksplozji termonuklearnych bezpieczna głębokość ukrycia się pod ziemią wynosi sześćset metrów. Mocy takich wybuchów nie umiałem sobie wyobrazić.

W dziesięć minut później natrafiliśmy na resztki stojącego pod ścianą transportera. Był przebudowany i przekształcony w platformę, która we współpracy z podobnym urządzeniem służyła do transportu czegoś bardzo ciężkiego. Dwie osie były wygięte, jakby platformę coś mocno przeciążyło. Zbadałem metalową powierzchnię ładunkową i stwierdziłem liczne otarcia i wgniecenia oraz wyraźne ślady korozji. Musiała powstać skutkiem długotrwałego użytkowania na powierzchni i wpływu czynników klimatycznych. Z pewnością nie tkwiła tutaj przez setki lat od czasu wojny.

– Ktoś tu przed nami niedawno był – stwierdził kapitan.

Ciekawe, co miał na myśli, mówiąc „niedawno”, ale nie zapytałem.

Chodnik cały czas był taki sam, marsz w ciemności przecinanej tylko światłem naszych latarek stawał się rutyną. Staraliśmy się powodować jak najmniej hałasu, lecz w miarę jak przywykaliśmy do ciszy, każde szurnięcie podeszwy o kamienną posadzkę brzmiało zbyt głośno. Jeśli sztuczna inteligencja przypuszczała, że zawał nas uśmiercił, powinna była wysłać zwiadowcę, jakiegoś bota, który by to przypuszczenie potwierdził. A jeśli nie, to powinna przygotować się do obrony.

Nie wiedzieliśmy, jakie boty sztuczna inteligencja posiada w przestrzeni wewnętrznej, miałem jednak nadzieję, że tylko najpotrzebniejsze, bo każdy kilowat był wymagany na powierzchni do odbudowy bazy. Rolę zwiadowcy mógł jednak pełnić mały, stosunkowo prosty bot.

Rigajev poświęcał więcej uwagi danym z przyrzędów niż przestrzeni wokół siebie, natomiast kapitan, Marlon i Cyr, uważnie wpatrujący się w ciemność przed nami, zdawali się świadomi obecności wrogów. Katzinski sprawiał wrażenie walczącego z własnymi demonami. Nieustannie coś do siebie mamrotał, czoło miał zroszone potem. Niektórzy ludzie bardzo źle znoszą pobyt w ciasnej podziemnej przestrzeni. Niestety, nie mieliśmy wyboru.

Po kolejnych dziesięciu minutach wysłałem Cyra na szpicę naszego oddziału i odbezpieczyłem strzelbę. Nie wydawała mi się już zbyt ciężka, cieszyłem się, że ją mam, polegałem na niej.

W ciemności przed sobą nie widziałem i nie słyszałem niczego.

– Tam, nie, tutaj. Są tutaj. – Katzinski ocknął się nagle ze swego transu. Jego głos brzmiał tak mocno, że aż na niego spojrzałem. Z wyrazem pewności na twarzy patrzył w mrok przed nami.

Przełączyłem lampkę czołową na pełną moc, srebrny stożek oświetlił bota wielkości talerza, poruszającego się na trzech parach długich, owadzich nóg. Jego czujniki optyczne odbijały światło, podobnie jak kocie oczy.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, Cyr otworzył ogień. Wystarczyła krótka seria. Pająkowatego zwiadowcę zamieniła w złom.

– Może jest ich tu więcej? – zauważył Marlon, kiedy echo wystrzałów umilkło.

– Nie, teraz nie – pokręcił głową Katzinski.

– Skąd o nim wiedziałeś? – zapytałem.

Chwilę namyślał się nad odpowiedzią.

– Usłyszałem go – rzekł w końcu.

To było możliwe, jego słuch nie był osłabiony z powodu niezwykle głośnych wystrzałów armaty czołgowej. On był zawsze wewnątrz.

– A więcej nie ma ich tu?

– Nie.

Znów z pełnym przeświadczeniem, mnie tylko dzwoniło w uszach.

– Strata zwiadowcy też jest informacją – przypomniał Rigajev.

Miał oczywiście rację. Wróg nie pozna szczegółów, ale będzie dla niego jasne, że żyjemy i idziemy dalej. Nie było powodu czekać, im więcej czasu mu damy, tym lepiej będzie przygotowany.

– Do przodu – zawołałem i ruszyłem na czele naszej grupki.

Przebyliśmy w ciemnościach następne setki metrów, trzymaliśmy się blisko siebie pod ścianą i staraliśmy się dzielić naszą uwagę na wszystkie strony. Swoją latarkę czołową przełączyłem na mniejszą moc, wołałem widzieć gorzej, niż nic nie widzieć, żywotność baterii była ograniczona.

– Słyszycie to? – zatrzymał nas Marlon.

Nie wiedziałem, o czym mówi, odwróciłem się tak, żeby go nie oślepić i zobaczyć tylko w świetle odbitym.

Wyraz jego twarzy był napięty i skupiony.

– Hum, głębokie hum na granicy słyszalności – zwrócił naszą uwagę.

– Też to słyszę. Jakbyśmy się zbliżali do ogromnych transformatorów – potwierdził Cyr.

Twarz Katzinskiego ociekała potem, patrzył gdzieś w prawo

i prowadził z kimś niesłyszalny, pełen emocji dialog. Knispel nasłuchiwał i przyglądał się ścianie, pod którą staliśmy. Tylko ja niczego nie słyszałem.

– Kapitanie – Katzinski jakby przebudził się z transu – ja już tego chyba nie wytrzymam.

Knispel bez słowa podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu, karabin automatyczny z wyrzutnikiem granatów opuścił przy tym ku ziemi. Tak ludzkie gesty robił tylko w stosunku do Katzinskiego. Tym razem też pomogło, nasz strzelec wyraźnie się uspokoił.

– Zbliżamy się – powiedziałem głośno. – A to dobrze. Nie mamy zapasów jedzenia ani wody na czternaście dni, musimy to zakończyć o wiele szybciej.

Sam w to za bardzo nie wierzyłem, ale zabrzmiało logicznie.

Rigajev otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknął, koncentrując się na swoich przyrządach.

Znów ruszyliśmy naprzód, po dziesięciu sekundach zapalił się nad nami świetlny panel.

Wyglądało na to, że stara technika znów zaczyna pracować na tej głębokości.

– Jest wpuszczony wprost w skałę, świeci monochromatycznym światłem – wyjaśniał Rigajev. – Reaguje na naszą obecność, ciepło albo ruch.

– Jeśli reaguje na nasz ruch, to sztuczna inteligencja może o nas wiedzieć – zaniepokoił się Marlon.

– Tak, o ile czujniki są włączone do systemu, a tego nie wiemy – powiedział Rigajev.

Nie mieliśmy na to żadnego wpływu, skupiona uwaga i palce na spustach były teraz najważniejsze.

Paneli świetlnych przybywało, w końcu szliśmy w pełnym świetle.

Korytarz nagle rozszerzył się na jakieś dwadzieścia metrów, tory się rozdwoiły. Starannie sprawdzaliśmy obie strony, aby mieć pewność, że za naszymi plecami nic się nie ukrywa.

Zmieniliśmy szyk, żeby znajdować się w jak najkorzystniejszych pozycjach. Mnie było wszystko jedno, pozostawałem na szpicy, zmysły miałem wyostrzone do granic możliwości. Po jakimś czasie ja też zacząłem słyszeć hum wydawany przez jakąś niewidzialną technikę. Ale nadal nie potrafiłem określić, skąd ten dźwięk dochodzi. Może powodem hałasu były liczne kraty w stropie, nie zauważyłem ich wcześniej. Wyglądały na elementy systemu wentylacyjnego. Były zbyt gęste, żeby przecisnął się nimi człowiek albo bot średniej wielkości. Ale tak mały zwiadowca jak ten, którego zniszczyliśmy, z pewnością tak. Zacząłem zwracać uwagę na te kraty, złościło mnie, że nie zauważyłem, kiedy się pojawiły.

– Korytarz się kończy – oznajmił Marlon.

Spojrzałem do przodu. Miał rację. Z daleka wyglądało to tak, jakby tunel kończył się lustrem odbijającym światło naszych lampek. Zmniejszyłem blask swojej do minimum i dopiero z bliska stwierdziłem, że stoimy przed podnoszoną stalową bramą, podobną do tej, przez którą dostaliśmy się do środka. Była wypolerowana na wysoki połysk. Na szczęście nie została zamknięta, dolna krawędź pancernej płyty znajdowała się nieco nad podłogą.

Ciemna szczelina grożąca zamknięciem.

Zbliżyliśmy się powoli. Luka umożliwiająca wejście do wnętrza bazy wcale nie była taka mała, jak to się wydawało z daleka, wystarczyło lekko się skłonić i ugiąć kolana. Mogła mieć z półtora metra wysokości, jak teraz oceniałem.

Przed wejściem do wewnętrznych pomieszczeń bazy korytarz jeszcze bardziej się rozszerzał, po obu stronach stały prymitywne baraki z blachy falistej zaopatrzone w duże okna. Zapewne dla personelu obsługowego. Ludzkiego personelu. Ale to niczego nie oznaczało, po uruchomieniu baza mogła być zautomatyzowana i funkcjonować bez udziału elementu ludzkiego. Jednego z okien brakowało, pozostałe wyglądały na nietknięte. Światło towarzyszące każdemu naszemu krokowi dotarło w końcu aż do bramy, uwidoczniając nam dalsze szczegóły. Dwuskrzydłowe drzwi do baraków leżały nieopodal, jakby je ktoś wyrwał, po prawej stronie

pod ścianą zwalono jakieś elementy maszynowe, trudno było stwierdzić, czy zrobiono to przed setkami lat, czy przed dziesiątkami, czy może wczoraj.

Odetchnąłem głęboko. Powietrze tutaj było inne niż w korytarzu, unosiły się w nim jakieś zapachy, niektóre z nich wydawały mi się znajome. Cały czas miałem wrażenie, że gdzieś niedaleko stąd znajdowały się duże pracujące maszyny.

Szpara nad podłogą sprawiała niemiłe wrażenie. Ciemność za nią zwiastowała, że tam nieprzyjaciel będzie miał do dyspozycji więcej możliwości, środków obronnych i niezwykle niebezpiecznych podwładnych.

Ciemny wstęp do jaskini bestii.

Zdawałem sobie sprawę, że ciche i nienaturalne podziemne przestrzenie zaczynają wywierać na mnie wpływ. Coraz trudniej było uświadamiać sobie, że nie stoimy naprzeciw siłom natury, ale przeciw wytworowi ludzkiego umysłu i umiejętności, bytowi powołanemu do życia przez naszych przodków. Nie mogliśmy przy tym zapominać, że ten ludzki wytwór przeszedł długą drogę, rozwinął się i zmienił. A jego rzeczywiste zamiary pozostawały dla nas tajemnicą.

– Co teraz? – zwrócił się Rigajev do kapitana.

Nikt nie chciał przeciskać się przez złowrogie przejście.

Knispel zawahał się.

– Naszą jedyną szansą jest iść naprzód – przypomniałem, przełączając strzelbę na czwórkę. Znów będzie bolało.

Katzinski zamrugał oczami, czoło miał zroszone potem, wydawało mi się, że z lekka się chwieje. Spoglądał na jeden z baraków, ale broń trzymał zwróconą w bok.

– Jest tam coś? – zapytałem go.

– Nie wiem – odparł z wahaniem.

– Cofnijmy się – zaproponowałem. – Jesteśmy na widoku.

Cyr spojrział na mnie, nie rozumiejąc, o co mi chodzi, ale posłuchał, a po nim pozostali też zaczęli się cofać z bronią gotową do strzału.

Blaszana ścianka baraku rozdarła się jak papier, kiedy wyskoczył przez nią bot i zaraz za nim drugi. Dwa szkieletowe boty z długimi ogonami, wysokie na dwa metry, kilkaset kilogramów wagi, ocenilem. Przypominały dinoboty, które już napotkaliśmy, ale były znacznie mniejsze, przy czym zwinniejsze i szybsze.

Pierwszy z nich opadł na posadzkę, wyposażona w trzy pazury łapa zazgrzytała na kamieniach, krzesząc snopy iskier, czwarty szpon, sterczący w górę, stanowił półmetrowej długości zabójcze ostrze. Na moment oparł się ogonem o podłogę, aby złapać równowagę i zmienić kierunek ruchu, głowę odwrócił ku nam, czujniki optyczne błysnęły odbitym światłem. Otwarta paszcza odsłoniła setki stalowych zębów ustawionych w kilka rzędów. Nagle się rozmyły, równocześnie usłyszeliśmy wściekłe wycie na granicy ultradźwięków. Wibracyjne szczęki, zrozumiałem.

Cyr otworzył ogień, mimo to bot ruszył na nas, zagrzmiął miotacz granatów obsługiwany przez kapitana. Te boty zostały wyprodukowane w tej samej wytwórni, co wielkie dinoboty, ale ich przeznaczenie było inne. Zostały przystosowane do walki z ludźmi.

A co z drugim barakiem? Całą naszą uwagę przykuły te dwie maszyny. Odwróciłem się i spostrzegłem dwa kolejne boty, podobne do raptorów, zbliżające się drobnymi, szybkimi krokami.

– Lewa! Lewa! Idą na nas z lewej! – ryknąłem.

Mocno przycisnąłem kolbę do ramienia i nacisnąłem spust. Wystrzał oderwał pół głowy bota i uszkodził mechanizm ruchowy, ponieważ musiał się cały odwrócić w moją stronę, żeby zobaczyć cel. Wpadł przy tym niechcący na swojego partnera, wytrącając go z linii ataku.

– Lewa! – krzyknąłem powtórnie i znowu wystrzeliłem.

Bot pędził na mnie, rzuciłem się na ziemię, pociski z mojej śrutówki zatańczyły na żebrach ogniów fotoelektrycznych, ale większość z nich utkwiała w głównym nośniku, pełniącym rolę kręgosłupa. Instynktownie przeturlałem się w bok, szponiasta łapa uderzyła w podłogę tuż obok, odłamki kamienia trafiły mnie w twarz, wystrzeliłem w pozycji leżącej na plecach prosto nad

siebie, na tle odgłosu wystrzału usłyszałem ostry trzask. Stwór najpierw powoli, a potem coraz szybciej zaczął się przechylać, aż przewrócił się na bok. Musiałem uszkodzić mu jakąś ważną część mechanizmu. Znów przetoczyłem się na brzuch i dostrzegłem kapitana stojącego naprzeciw ostatniego z botów po prawej stronie. Dzielili ich bardzo mała odległość. Ale Knispel nie ustępował. Długą, celną serią zniszczył głowę i osadzone w niej czujniki. Dinobota to jednak nie zatrzymało ani nie spowolniło. Obalił kapitana, a potem lewą łapę wyrzucił przed siebie. Zakrzywiony pazur błysnął w świetle reflektorka i uderzył kapitana w pierś. Bezwładne ciało Knispela poszybowało poza moje pole widzenia.

W tej samej chwili Cyr wykończył swojego przeciwnika i natychmiast odwrócił się, żeby nam pomóc. Błyskawicznie trafił granatem dinobota, który właśnie mnie wybrał za swój cel. Eksplozja urwała mu nogę, ale on jakimś cudem utrzymywał równowagę i bardzo szybko przesunął się za pomocą pozostałej kończyny i ogona. Wykorzystać śrutówki nie mogłem, ponieważ bot przedostał się między nas i Cyr znalazł się na linii strzału.

Cyr natychmiast to sobie uświadomił i również nie strzelał. Wykorzystał to, że bot jest uszkodzony i ma ograniczone możliwości manewrowania; nie zważając na nadal niebezpieczną głowę z morderczymi szczękami, przybliżył się do niego, ślizgiem pokonał ostatnie dwa kroki i przycisnął coś do żeber maszyny. Potem jak sprężyna odskoczył jak najdalej. Puściłem strzelbę, zakrywając sobie głowę rękami, wybuch nastąpił prawie natychmiast.

Gwizd odłamków, dym, żwir sypiący się przez szczeliny w stropie. Coś mnie kilka razy uderzyło, ale ochronił mnie komplet balistyczny. Ostrożnie otworzyłem oczy i podniosłem głowę. Światła w bezpośredniej okolicy pogasły, zapaliły się za to nieco dalej, jakby system starał się skompensować uszkodzenia. Musiał to być system automatyczny, sztuczna inteligencja nie zachowywałaby się w taki sposób.

Wstałem z trudem, prawa ręka bezwładnie mi zwisała, w ogóle jej

nie czułem, jakby mi ją ktoś urwał i niezgrabnie przyszył z powrotem. Strzelanie z siłą czwórki zrobiło swoje. Wszędzie wokół poniewierały się szczątki baraku, kawałki botów, puste łuski po pociskach. Rigajev nad kimś klęczał, wstrząśnięty Katzinski wygrzebywał się z resztek zniszczonego bota, Cyr dopiero podnosił się z podłogi. Znalazł się o wiele bliżej eksplozji niż ja.

Rigajev klęczał nad Marlonem. Brakowało mu jednej ręki, tuż nad łokciem amputował mu ją bot swymi wibracyjnymi szczękami, jeszcze gorzej wyglądała druga rana, w tułowiu, nieco pod ostatnim żebrzem po lewej stronie. Szpon bota przebił się na wylot. Marlon miał szkliste oczy umierającego, leżał we wciąż powiększającej się kałuży krwi. Uklęknąłem przy nim, jeszcze mnie poznał.

– Wiedziałem, że jak wyleżę z czołgu i pójdę na piechotę, to się źle skończy – powiedział cicho.

Rigajev trzymał w ręce pistolet iniekcyjny, przykładając go do karku Marlona i naciskał spust, potem w innym miejscu i w jeszcze innym. Marlon miał otwarte oczy, choć jasne było, że już mnie nie widzi.

– Co robisz? – zapytałem Rigajeva.

Wydało mi się, że jego starania dotyczą martwego. Dopóki pozostanę przy życiu, będę żałował Marlona, bo on, tak jak i cała załoga, był moim przyjacielem. Czułem, że gramy o czas, a dokładniej, że czas gra przeciw nam.

– Chemiczna hibernacja. Obniża do minimum aktywność metaboliczną, tuż nad granicą, kiedy jeszcze nie dochodzi do biologicznej degradacji tkanek, oddala moment śmierci mózgowej.

Zamknął Marlonowi oczy.

– Żeby mu nie wyschły – objaśnił.

– Ile czasu mu zostało?

– Najwyżej pięć, sześć godzin. Potem umrze, bardziej na specyfiki, które mu wstrzyknąłem, niż z powodu tych ran.

To oznaczało, że Marlon zginął.

– Mógłbyś coś zrobić z moją ręką? Muszę jej używać – poprosiłem.

Ze stropu cały czas sypał się żwir i piasek, mimo że niewielkim strumieniem, to utworzył na środku korytarza spory kopczyk. Z ciemności wyłonił się Cyr z kulejącym kapitanem. Nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób Knispel przeżył spotkanie z raptobotem. Może miał lepszy komplet balistyczno-kinetyczny niż my wszyscy razem wzięci?

Rigajev bez słowa wymienił zasobnik w swoim pistolecie iniekcyjnym i wbił mi w ramię. Poczułem wstrząs, jakby igła trafiła w kość, ale wcale mnie to nie zabolowało.

– Przez najbliższe pięć minut nerwy będą sparaliżowane, odczujesz to tak, jakbyś tej ręki w ogóle nie miał. Potem zaczniesz powracać zdolność do wykonywania ruchów, wkrótce odzyskasz pełne czucie, ale bez bólu. Praktycznie nie będziesz zdawał sobie sprawy z rozmiarów szkód. Będziesz mógł znowu używać ręki. Ale tylko za cenę postępującego uszkodzenia, ponieważ poprzedni uraz nie był do końca wyleczony. W zależności od tego, jak bardzo będziesz rękę obciążał. A ponieważ na pewno nie będziesz jej oszczędzał, prawdopodobnie ostatecznie ją stracisz – zakończył sucho.

– Dam radę z tym żyć – odpowiedziałem.

Odciągnęliśmy niemal skamieniałe ciało Marlona pod ścianę, układając go wśród szczątków tak, żeby nie było go widać. Została po nim jedynie wielka kałuża krwi. Lepiej by było pozostawić tu martwego niż człowieka, który umrze za kilka godzin, ale czas naglił.

– Naboje, policzcie, ile wam zostało nabojów – rozkazał kapitan.

Nie było ich zbyt wiele, na unieszkodliwienie czterech dużych botów zużyliśmy większość amunicji. Ale gdyby sztuczna inteligencja miała ich do dyspozycji więcej, to z pewnością też by na nas tutaj czekały, pocieszyłem się logicznym wnioskiem.

Może ich już więcej nie ma?

– Idziemy. – Znowu ruszyłem pierwszy.

Zauważyłem, że kapitan stracił część swojej surowości i szybkości decyzji, zapewne został poraniony mocniej, niż się wydawało. I tak

cudem przeżył, taka rana mogła uszkodzić klatkę piersiową, nawet gdyby komplet balistyczny zdołał zatrzymać szpon.

Zbliżyłem się do bramy, podczas walki szczelina nad podłogą znacznie się zmniejszyła. Ktoś najwyraźniej starał się ją zamknąć, ale bez sukcesu i nadal pozostawała około półmetrowa szpara. Wystarczyło spojrzeć na boczną prowadnicę, a stało się jasne, dlaczego brama nie zamknęła się do końca. Ruch blokował duży kawał pancerza jednego z botów. Przypadkowe następstwo naszego boju. Uklęknąłem i zajrzałem za szczelinę. Korytarz ciągnął się dalej, światło mojej latarki czołowej sięgnęło miejsca, w którym zaczął się zwężać. Na gładkich, błyszczących kamiennych ścianach dostrzegłem liczne drzwi oraz większe od nich wjazdy dla urządzeń technicznych. Od wszystkich tych specyfików, którymi nafaszerował mnie Rigajev, czułem się za mało ruchliwy, żeby przeleźć na drugą stronę. Położyłem się na boku i przetoczyłem pod stalową płytą. Zrobiłem to niezgrabnie i powoli, ale się udało. Stwierdziłem, że płyta jest gruba prawie na metr. Wstałem na jedno kolano ze strzelbą w ręce. Nic się na mnie nie rzuciło, nic mnie nie zaatakowało.

– Czysto – zameldowałem.

Powoli dołączała do mnie reszta, zauważyłem, że przed przejściem za bramę Cyr rzucił ostatnie spojrzenie na nieruchome ciało pod ścianą.

Po mniej więcej dwustu metrach korytarz zwęził się do szerokości dziesięciu metrów, drzwi w ścianach ciągnęły się w nieskończoność.

– Co tam może być? – zapytał Cyr.

– Magazyny, wydaje mi się, że to magazyny – stwierdził Rigajev.

To miało sens. Wybudowanie magazynów na peryferiach bazy, gdzie dowóz był najłatwiejszy, wydawało się logiczne.

Luminofory nad naszymi głowami rozpały się, jakby ktoś je pobudził do życia. Nie mogła tego spowodować nasza obecność, bo szliśmy tamtędy już od dłuższego czasu. Zatrzymaliśmy się z palcami na spustach broni. Nic się jednak nie działo.

Świateł przybywało, zapalało się coraz więcej paneli oświetleniowych, wreszcie uzyskaliśmy widok ciągnący się na setki metrów przed nami, drzwi w ścianach nie miały końca.

– Nad tą częścią bazy ma o wiele większą kontrolę – stwierdził kapitan. Nie musiał wyjaśniać, o kim mówi.

– I teraz zdecydowała się na nas poświecić – uzupełnił Rigajev.

Czyżby boty nie miały czujników zapewniających im orientację w ciemnych pomieszczeniach? Nie wydawało mi się to możliwe. Nic jednak nie powiedziałem, nie chcąc bez potrzeby denerwować kolegów. I bez tego byli dostatecznie zdenerwowani.

Katzinski stał, wspierając się na swoim karabinie, jakby mu zabrakło sił do dalszego marszu, I oddychał chrapliwie. Może podczas walki doznał poważniejszej kontuzji, niż sądziliśmy. Ale aż do tej pory trzymał się na nogach, co było dobre.

Wszyscy nagle spojrzeliśmy w jednym kierunku, z którego dochodził odgłos pracy silnika elektrycznego. W naszym polu widzenia pojawiła się sześciokołowa maszyna. Widziałem już podobne podwozia. Umożliwiały jazdę w ciężkim terenie, a nawet były w stanie sforsować standardowe schody. Maszyny kroczące jeszcze lepiej radziły sobie w trudnym terenie, ale ich wadą była powolność i większe zużycie energii. Tutaj, w sztucznie stworzonym świecie, koła oznaczały jej oszczędność. Cyr uniósł broń.

– To emisariusz – powstrzymał go kapitan.

Maszyna zbliżała się powoli, rozpoznawałem coraz więcej szczegółów. Nie przypominała żadnego z botów, jakie do tej pory widziałem, wyposażona tylko w liczne kamery, czujniki, anteny radiowe i radarowe. Była ruchomymi oczami i uszami naszego wroga.

Zatrzymała się pięć metrów przed nami, widziałem, że dokładnie nas skanuje. Nie wyobrażałem sobie, co takiego istotnego może się o nas dowiedzieć. Może potrafiła odbierać słabe pole elektromagnetyczne wytwarzane przez nasze mózgi?

– Nieprawdopodobieństwem wydawało się, że dotrzecie aż tutaj – przemówiła maszyna głębokim, dźwięcznym głosem. Aż nazbyt

ludzkim, jak na tak nieczłękkształtną maszynę.

– Czym jesteś? – zapytał kapitan.

Wszystkie kamery i czujniki zwróciły się w stronę Knispela. Zauważyłem, że maszyna ma zainstalowaną na sobie mieszaninę bardzo starych i nowych urządzeń technicznych.

– Początkowo byłem UC-sto-dwa-b, systemem analitycznym do kierowania operacjami wojskowymi, a po wymianie hardware'u bez udziału swoich twórców przetransformowałem się w bojową sztuczną inteligencję UC-dwa-b – brzmiała odpowiedź.

Byłem pewny, że nie komunikujemy się z podstawioną figurą, tylko bezpośrednio z naszym wrogiem. „Bez udziału swoich twórców” – ta informacja była ukrytą pogroźką, chciał nam dać do zrozumienia, że nie wiemy, z czym mamy do czynienia. Już ta jego aż nazbyt ludzka przebiegłość mnie zaniepokoiła.

Przestałem przyglądać się przybyszowi, a zacząłem wypatrywać ewentualnych napastników.

– Nie pytam o twoją przeszłość, pytam, czym jesteś? – sprecyzował kapitan.

– Jeden z was nie żyje, inni są ranni, nie macie już praktycznie amunicji, wasz dalszy marsz jest samobójstwem – zignorował pytanie kapitana.

Jako negocjator był naprawdę dobry. Miał możliwość ćwiczyć tę umiejętność przez całe lata, pomyślałem.

– Mamy więcej amunicji, niż ci się zdaje – oznajmiłem sucho.

Maszyna zwróciła się teraz ku mnie, starałem się na nią nie patrzeć, tylko obserwować okolicę.

Ta rozmowa mogła być zwykłym odwracaniem uwagi.

– Znam dokładnie szczegóły konstrukcyjne twojej broni. Biorąc pod uwagę, ile razy i z jakim nastawieniem wystrzelełeś, pozostały ci tylko cztery strzały. A do tego musisz być kontuzjowany.

– Nawet najlepsze szacunki są nietrafne, jeśli biorą za podstawę błędne założenia -odpowiedziałem.

Z nastawieniem na czwórkę pozostały mi w rzeczywistości tylko trzy strzały. Przy nastawieniu na trójkę byłoby znacznie lepiej.

Ale przeciw botom...

– Biorąc pod uwagę, że napadłeś na nas tylko czterema bojowymi botami, przypuszczam, że następnymi już nie dysponujesz – oznajmił kapitan. – Nasz dalszy marsz będzie łatwy.

Emisariusz zamilkł, czyżby nasz wróg nie umiał blefować?

– Tak, to prawda. Ale pozbawionych amunicji możemy was zniszczyć niebojowymi maszynami -odpowiedziała sztuczna inteligencja. – Możecie jednak się uratować, nie chcę was niszczyć. Istnieje droga awaryjna, która łatwo wyprowadzi was na zewnątrz. Prześlę mapę jednemu z was, temu, który ma odpowiednie wyposażenie.

– Coś pojawiło się w komputerze – oświadczył Rigajev. – Ale mam to pod kontrolą, mój system jest zbyt prosty na atak z zewnątrz.

Rigajev był naszym śledczym i miał w komputerze nić, która powinna wyprowadzić nas z labiryntu. Nie wyglądał na zaniepokojonego, był tylko skupiony.

– Mam to, naprawdę przysłał nam mapę – oznajmił po chwili.

Przełączyłem strzelbę na trójkę i wystrzeliłem z biodra. Byłem pewny, że z tak bliskiej odległości trafię, a na tę maszynę trójka z powodzeniem wystarczy. Rój pocisków oczesał emisariusza jak tornado, ale kilka z nich przeniknęło do jego wnętrza. Zgasł.

Kolbą zacząłem demolować wszystkie elementy, które wyglądały na nieuszkodzone.

– Starał się nas zatrzymać, musimy iść dalej – oznajmiłem pozostałym, kiedy przyglądali mi się podejrzliwie. – Jesteśmy blisko, a sztuczna inteligencja wyciągnęła już wszystkie atuty, inaczej by z nami nie dyskutowała.

Rigajev nie protestował, podszedł do najbliższych drzwi.

– Jeśli to magazyn, powinniśmy stwierdzić, co jest wewnątrz. Musi zadziałać, chociaż system jest nieużywany – mówił, oglądając drzwi.

Otoczyliśmy Rigajeva, żeby go ubezpieczać, i obserwowaliśmy oba końce korytarza.

Denerwowała mnie ta zwłoka, ponieważ dawała naszemu

wrogowi czas na zmobilizowanie rezerw, przygotowanie pułapki. Ale odkrycie kontenera z bronią na pewno bardzo by nam pomogło.

Rigajev już chciał się przyłączyć do gniazdka zakrytego ochronną płytką, kiedy Cyr zwrócił jego uwagę na plastikową tabliczkę z jakimś napisem.

– Uniformy – przeczytał Rigajev.

Nie znałem alfabetu, którym napisany był tekst na płytce.

Podeszliśmy do następnych drzwi.

– Dasz radę je otworzyć, jeśli trzeba będzie wejść do środka? – zainteresowałem się.

Rigajev wzruszył ramionami, a Cyr poklepał pojemniki przytroczone do pasa. Przypomniałem sobie, w jaki sposób zniszczył bota. Miał przy sobie solidną porcję wybuchowego plastiku.

– Komputerowy hardware – wyjaśnił Rigajev. – Szczegółów nie rozumiem, słowa są zakodowane. Kapitan położył rękę na rysunku dłoni osadzonym obok zamka. Jego linii papilarnych nie powinno być w liczącej setki lat bazie danych. A jednak mechanizm wydał głośny trzask, potem nastąpiła cała seria kolejnych odgłosów oznaczających otwieranie się poszczególnych zamków, aż w końcu drzwi odskoczyły.

Cyr się rozkaszał.

– Cofnijcie się – nakazał kapitan. – Wnętrze jest napełnione ochronnym gazem.

Zrobiliśmy krok w tył, okoliczne światła zgasły, jakby sztuczna inteligencja dopiero teraz dowiedziała się, że zniszczyliśmy jej wysłannika.

Knispel naparł na drzwi, musiał mocno popchnąć, żeby zaczęły się otwierać, były ciężkie, pancerne.

Wszedł do środka, a my za nim. Na przymocowanych do ścian stojakach wisały w kilku rzędach długie walce z błyszczącej stali, najwyższy rząd znajdował się na wysokości ponad trzech metrów. Katzinski na ich widok zachwiał się i upuścił karabin. Twarz zakrył dłońmi.

Kapitan bez słowa ujął jeden z walców i obrócił go, wykręcając z obudowy. Pojawiło się duże szklane naczynie pełne przezroczystej cieczy, w błyszczącej siatce znajdował się jakiś zestaw elektroniczny, z którego wystawały setki cienkich jak włos metalowych przewodników o różnej długości.

– Encefalocziipy – szepnął Rigajev. – Nigdy nie wierzyłem, że naprawdę istniały. Są ich tutaj tysiące.

– Idziemy dalej, to nam w niczym nie pomoże – zarządził Knispel.

Wyobrażenie tysięcy żołnierzy posłusznych komuś, kto posiada kody do tych encefaloczipów, budziło grozę. Najchętniej zniszczyłbym zawartość tego magazynu, ale mieliśmy za mało materiałów wybuchowych, a nawet nabojów. Dziesięć pomieszczeń dalej natknęliśmy się w końcu na broń, dla nas całkiem bezużyteczną. Były to rozebrane na części kroczące maszyny ogniowe o kalibrach od czterdziestu do osiemdziesięciu milimetrów.

– Kiedy pozyska odpowiednią ilość środków wybuchowych, skompletuje sobie to wszystko, co tu ma – Cyr wypowiedział głośno myśl, która nurtowała nas wszystkich.

Potem już się nie zatrzymywaliśmy. Ponieważ sztuczna inteligencja wyłączała okoliczne oświetlenie, domyślaliśmy się, że próbuje nas spowolnić i gromadzi siły. Jej pogróżka, że może nas zniszczyć za pomocą zwyczajnych maszyn, była prawdziwa. Właśnie w ten sposób poradziła sobie z czołgiem.

– Broń, wyposażenie i coś podobnego – wyjaśnił Rigajev treść kolejnego napisu.

Minęliśmy wcześniej mnóstwo drzwi, za którymi zgodnie z napisami nie było nic przydatnego dla nas. Pokonaliśmy kilkaset metrów i minęliśmy trzy skrzyżowania. Kapitan wyraźnie wracał do formy i bez wahania utrzymywał kierunek. Ta tabliczka go jednak zainteresowała.

Położył dłoń na zamku dotykowym, przez pewien czas nic się nie działo, zauważyłem, że twarz wykrzywiła mu się z wysiłku, a w oczach pojawiły się łzy. Nie rozumiałem, co robi i jak to robi, ale

drzwi pancerne znów się otworzyły, zasyczał uciekający gaz. Katzinski, który przez kilkanaście ostatnich minut zataczał się, idąc, teraz oparł się o ścianę i powoli opadł na kolana.

– Już nie mogę – wymamrotał.

– Odpocznij sobie, potem wejdiesz za nami – pochylił się nad nim kapitan.

Powiedział do niego jeszcze coś, czego nie usłyszałem, ponieważ wszedłem do magazynu. Idący za mną Cyr znalazł kontakt i włączył oświetlenie. Może nie powinien tego robić, może w ten sposób zwróciliśmy na siebie uwagę. Ale jeszcze bardziej zwracało na nas uwagę otwieranie drzwi przez kapitana. O ile system bazy nadal działał bez zarzutu. Rozejrzałem się, nie wiedząc w pierwszej chwili, co mam przed oczami. Na ścianach wokół nas wisieli ludzie, raczej szkielety ludzi. Przyjrzałem się dokładniej i stwierdziłem, że to jakieś dziwaczne stroje.

– Bojowe egzoszkielety – Cyr znał prawidłową nazwę naszego odkrycia.

Gdybyśmy potrafili ich użyć, byłoby to bardzo pomocne. Jednak byłem przekonany, że do tego konieczne jest przeszkolenie, a tego nie mieliśmy.

Dołączył do nas Knispel, Katzinski pozostał na zewnątrz.

Rigajev przeczytał tabliczki umieszczone na ścianie przed rzędem wiszących egzoszkieletów. Piktogramy pokazywały, jak je nałożyć, jak umocować i jak dopasować do swojego wzrostu.

– To wciąż powinno działać, stara technika wojskowa była wytrzymała i solidna – powiedział Rigajev.

– Nałóżcie to – rozkazał kapitan. – Bardzo nam pomoże, sterowanie jest po prostu intuicyjne.

Skąd on to wszystko wiedział?

Chciałem zaprotestować, ale Cyr bez słowa nacisnął guzik z napisem „diagnostyka” na ścianie obok jednego ze strojów. Zapaliła się zielona kontrolka wskazująca, że akumulator zachował jeszcze sporą pojemność. Całkiem niezłe, jak na całe stulecia magazynowania. Stanął pod strojem, na miejscu oznaczonym

śladami ludzkich stóp.

Coś zaskrzypiało, hydraulika i serwomechanizmy przebudziły się do życia, strój opuścił się na Cyra i jak hiperkość zaczął go w sobie zamykać. Widok był fascynujący, ale mnie zainteresowały piktogramy na przeciwległej ścianie. Na jednym z nich było wyobrażenie egzozkieletu z symbolem strzelby przypominającej moją śrutówkę. Ze strojem łączył ją gruby kabel. Na rysunku znajdowały się dwa oznaczenia: cztery myślnik czterdzieści dwa i sześć myślnik osiemdziesiąt cztery. Zapewne stanowiska magazynowe. Poszedłem ku tak oznaczonym strojom, były trochę inne, mocniejsze i bardziej złożone, w ich skład wchodziły również rękawice.

– Pospieszcie się – popędził nas kapitan.

Obejrzałem się, Cyr i Rigajev byli już na wpół ubrani w egzozkielety, teraz materiał, z którego były zrobione, z grubsza naśladował zarysy dużych ludzkich kości. Miałem nadzieję, że wszystko będzie działało zgodnie z objaśnieniami na piktogramach. Na niektórych przedstawiono postacie niosące broń z masywną lufą.

Stałem na wyznaczonym miejscu, tak jak Cyr, i usłyszałem, jak za mną uruchomił się mechanizm. Nie musiałem się o nic troszczyć, manipulatory spowodowały, że przyjąłem właściwą postawę. Ustalające pasy z materiału, jakiego nigdy nie widziałem, szczelnie owinęły się wokół moich kończyn i piersi, czułem, jak przystosowują się do moich rozmiarów i nagle prawie przestałem je zauważać i odczuwać. Jedyne, co musiałem nałożyć sam, to rękawice. Ich mankiety z magnetycznym trzaskiem połączyły się z egzozkieletem. W hełmie zapaliła się czerwona lampka z rysunkiem akumulatora. Zrozumiałem, że nie włączyłem zasilania stroju.

Naprawiłem ten błąd i nachyliłem się po odłożoną na bok strzelbę, egzozkielet doskonale przystosował się do mojego ruchu. Podniosłem śrutówkę, rękawica wzmocniła moją siłę do tego stopnia, że swobodnie trzymałem broń jedną ręką. Zaszumiał

serwomechanizm, z metalowej płytki egzozszkieletu wysunął się wtyk kabla. Coś trzasnęło, w kolbie otworzyła się skrytka, o której dotąd nie miałem pojęcia. Wskaźnik amunicji z trzaskiem przestawił się w położenie sto. Siła strzału pozostała nastawiona na czwórkę.

– Musimy iść dalej, kończy nam się czas – powiedział kapitan.

Tylko on nie nałożył egzozszkieletu, no i oczywiście Katzinski, który pozostał na korytarzu. Niestety, żadnych strzelb tego rodzaju jak moja nie było. Rigajev i inni musieli zadowolić się tą samą bronią, jaką mieli dotąd.

Dobiegły nas nowe dźwięki, odgłos pracującego silnika i jakieś trzaski.

– Coś nadchodzi – krzyknąłem i pierwszy ruszyłem do drzwi.

Poruszanie się w egzozszkielecie było tak naturalne, jakbym go w ogóle na sobie nie miał, to oznaczało, że rozwiązanie techniczne było bardziej złożone, niż się wydawało. Egzozszkielet odczytywał impulsy nerwowe człowieka i przystosowywał się do nich.

Z przecznicy najbliższego, wciąż jeszcze oświetlonego skrzyżowania wynurzył się wielofunkcyjny automat obsługowy na podwoziu kołowym, za nim wózek widłowy wysokiego załadowania obsadzony mniejszymi maszynami. Za nimi posuwała się grupa botów, pomiędzy którymi znajdowały się ładowarki wyposażone w manipulatory i automaty spawalnicze.

Problem numer jeden stanowiły ciężkie maszyny, które mogły nas po prostu rozgnieść, oraz różne automaty. Tym będzie potrzeba więcej czasu, żeby nas pozabijać. Mogą nas spalić płomieniem gazowym, porazić prądem albo rozerwać swoimi manipulatorami.

– Biorę ten wózek – rzekł Cyr.

Przypomniałem sobie, że przejął amunicję Marlona.

– Fajnie, ja wezmę tę platformę, jak tylko lepiej ją zobaczę – wybrałem swój cel.

– Pomogę temu z was, któremu będzie gorzej szło – powiedział cicho Rigajev.

– Ja i pan Katzinski będziemy utrzymywać mniejsze boty

w bezpiecznej odległości – oznajmił kapitan.

Z powątpiewaniem spojrzałem na Katzinskiego, ale wyglądało na to, że jakimś cudem znowu się pozbierał.

Wózek nagle gwałtownie przyspieszył, słyszałem odgłos wytężonej pracy jego silnika elektrycznego, przed bezpośrednim trafieniem chronił go przewożony kontener. Gdyby był załadowany piaskiem, mógłby się z nim uporać tylko pocisk z naszego działa czołgowego. Widziałem, jak Cyr manipuluje przy miotaczu granatów, wózek zbliżał się, kryjąc swoją masą resztę maszyn. Jeśli zdołają nas otoczyć, zrobią z nami koniec.

W ręce Cyra nagle pojawił się granat, ale on, zamiast wystrzelić go z miotacza, rzucił z wielką siłą w boczną ścianę. Granat odbił się od niej, przeleciał nad kontenerową osłoną i trafił w wózek za nią. Wybuch nastąpił prawie natychmiast, ale wózek nie zatrzymał się od razu, ujechał jeszcze kilka metrów, aż wreszcie skręcił, uderzając w ścianę. Małe boty, które wiozł, znalazły się w ten sposób bliżej nas, aleja dokładnie zobaczyłem platformę, której teraz najbardziej się obawiałem. Była większa, niż przypuszczałem, musiała ważyć dwie, trzy tony, może i więcej. Za nią tłoczyły się dziesiątki innych maszyn, wyglądało na to, że sztuczna inteligencja rzuciła przeciw nam wszystko, co miała. To znaczyło, że przycisnęliśmy ją do muru, że pozostały jej już tylko resztki.

Ująłem strzelbę w obie ręce, przełącznik siły strzału przesunąłem na piątkę. Platforma była nieskomplikowaną maszyną, zatrzymać ją można było tylko poprzez ciężkie uszkodzenie mechaniczne. Jej ośrodek sterujący był mały i prawdopodobnie ukryty wewnątrz. Przygotowałem się na niszczycielski odrzut i nacisnąłem spust.

Wystrzału prawie nie poczułem, całą siłą pochłonął egzoszkielec. Trafienie urwało platformie jedno koło, wybijając w niej jeszcze dużą dziurę. Przewróciła się na bok, siłą bezwładności pokonała kilka ostatnich metrów i z ogłuszającym zgrzytem się zatrzymała. Przełącznik siły strzału szczytnie, to oznaczało, że broń potrzebuje chwili przed następnym użyciem.

Mniejsze boty zrozumiały, lub raczej sztuczna inteligencja

zrozumiała, że utraciła główne atuty, które miały zapewnić powodzenie ataku. W jednej chwili masa stali ruszyła na nas z maksymalną szybkością. Przełączyłem na czwórkę, być może wystarczyłaby trójka, ale nie chciałem ryzykować.

Katzinski i kapitan otworzyli ogień krótkimi, oszczędnymi seriami, profesjonalnie. Rigajev znajdował się poza moim polem widzenia. Dostrzegłem najsilniejszą z pozostałych maszyn i wystrzeliłem. Trafienie urwało jej manipulator i nadbudówkę z czujnikami, zatoczyła się w bok, uderzyła w ścianę i zaczęła się palić. Lawina czujników, elektromotorów, palników, diamentowych tarcz tnących, małych koparek rowów, manipulatorów starała się nas ogarnąć, chociaż dziesiątkowaliśmy ją ogniem, zamieniając w złom. Każda zniszczona maszyna podbudowywała naszą nadzieję na przeżycie. Nie mogliśmy dopuścić botów w nasze bezpośrednie pobliże, bo wtedy nie mielibyśmy szans.

System wentylacyjny nie dawał sobie rady ze skutkami pożaru, wybuchów, sytuacja stawała się trudna, zaczynaliśmy kaszleć, szczypały nas oczy. Słabość stworzeń biologicznych.

Na czoło ich ataku wysunął się szybki, mocno zbudowany automat spawalniczy na podwoziu kroczącym, może miał zainstalowaną jednostkę logiczną, sądząc z tego, jak umiejętnie krył się podczas zbliżania. Zostały mu ostatnie metry, w krótkiej przerwie bojowego chaosu rozległ się syk palnika tlenowo-acetylenowego. Bez zastanowienia zaryzykowałem, podszedłem nieco do przodu i w bok, zyskując lepszy widok. Mimo to nie trafiłem go centralnie, choć i tak to wystarczyło.

Z uszkodzoną tylną parą nóg przewrócił się i jeszcze bardziej uszkodził własnym palnikiem.

Małe boty, nie wiedziałem, do jakich celów były przeznaczone, skupiły na mnie swoją uwagę. Mogły wykonywać przeglądy i kontrole różnych urządzeń technicznych. Wyposażone były w długie teleskopowe manipulatory, w których teraz zamiast sond trzymały różne narzędzia zdolne do wyrządzania uszkodzeń mechanicznych. Krótka seria zniszczyła trzy najszybsze z nich,

powtórna cały drugi rząd. Za nimi jechały ciężkie jednoczynnościowe automaty przeznaczone do napraw, przemieszczania ciężkich przedmiotów oraz prymitywne ładowarki. Z nimi poradziłem sobie o wiele łatwiej, wyglądało na to, że sztuczna inteligencja definitywnie wyczerpała możliwości skutecznego ataku.

Zniszczymy je, zwyciężymy!

Po kilku sekundach kanonada ucichła. Spojrzałem na towarzyszy, nadal trzymali w rękach broń, ale nie strzelali, skończyła im się amunicja.

Ale mnie jeszcze nie!

– Schowajcie się za mnie, będę was kryć! – krzyknąłem, nie przerywając walki z maszynami.

Przed chwilą myślałem, że najgorsze już za nami, lecz teraz nie byłem tego taki pewny.

Prask, prask, prask, zamieniłem atakujący klin w stertę złomu, którą pozostałe maszyny musiały objeżdżać.

Sztuczna inteligencja natychmiast zareagowała na zmianę sytuacji, maszyny zmieniły formację na bardziej rozciągniętą, starając się nas otoczyć. Nie miałem możliwości zatrzymać wszystkich, uniemożliwić im dotarcie do moich towarzyszy pozbawionych broni. Pozabijałyby ich wszystkich.

– Pod ścianę! Wszyscy pod ścianę, inaczej nas dopadną! – krzychałem, wiedząc jednak, że to pomoże na bardzo krótko.

Zniszczyłem kolejną maszynę, kiedy przełącznik znowu zapalił się na czerwono, mechanizm broni był przeciążony. Musiałem poczekać, mając nadzieję, że będę mógł znowu strzelać, zanim się do mnie dostaną.

Nie bałem się, po prostu czekałem. Ruszył na mnie klasyczny automat obsługowy, wyposażony w potężne manipulatory o trzech stopniach swobody. W jednym z manipulatorów wirowała diamentowa tarcza tnąca. Wiertło udarowe i kleszcze wydawały się przy niej zabawkami.

Bot był już blisko, wycie piły przybrało na intensywności.

Przełącznik ciągle świecił na czerwono. Już chciałem użyć strzelby jak maczugi, gdy nagle obok mnie pojawił się Cyr i machnął ręką, w której trzymał dwumetrowej długości stalowy drąg.

Automat obsługowy rozpadł się na kawałki, strzelba nareszcie była gotowa do akcji, unieruchomiłem kolejną maszynę, jadącą ku mnie na podwoziu kołowym. Cyr poziomo wyprowadzonym machnięciem zniszczył trzy automaty naraz. Jak tego dokonał?

Zrozumiałem, że egzozkielet zapewniał mu niehumanitarną siłę, i to taką, że drąg, którym zaatakował maszynę, był wyraźnie skrzywiony. Rigajev również postawił na prowizoryczną broń i włączył się do walki. On też machał stalową łagą, znaną zapewne w ładunku jednej z maszyn. Przeciw mniejszym botom te drągi były naprawdę bardzo użyteczne, zwłaszcza gdy ciosy wspomagały egzozkielety. Pozostawiłem im likwidację mniejszych botów, a sam kryłem im tyły i zwracałem uwagę, żeby żaden z napastników nie uciekł. Nie chciałem mieć go potem za plecami.

Po upływie dwóch minut staliśmy pośród złomowiska, Cyr i Rigajev zraniłem potem, ja czujny, ze strzelbą w ręce. Kapitan nie spuszczał z oczu Katzińskiego, który wyglądał tak, jakby miał się przewrócić, ledwie się trzymał na nogach, wspierał się na swoim karabinie jak na lasce. Wydawało się niemożliwe, że jeszcze przed chwilą z wielkim zaangażowaniem brał udział w walce.

Rozkaszlałem się, powietrze praktycznie nie nadawało się do oddychania, na szczęście wentylatory pomalą je oczyszczały. Jednak gdyby sztuczna inteligencja je wyłączyła...

– Co teraz? – zapytał Rigajev.

Sprawa miała wrażenie zmęczonego. Nie było w tym nic dziwnego. Już długo przebywaliśmy setki metrów pod ziemią, walczyliśmy z niehumanitarnym, nieznanym dotąd wrogiem. Mieliśmy nadzieję, że go pokonaliśmy. Może naprawdę tak było?

Wszystko o tym świadczyło, ale nie mogłem w to uwierzyć, ciągle podejrzewałem, że gdzieś czai się coś nieoczekiwanego, na co nie będziemy przygotowani.

Kątem oka zauważyłem ruch. Powolny, a przy tym niepozorny.

Spojrzałem w tym kierunku i zrozumiałem, że coś jest nie w porządku. Katzinski powoli unosił broń, szklanymi oczami patrząc na Cyra.

– Nie! – ryknąłem, rzucając się ku niemu.

Ale wiedziałem, że nie zdążę, że chociaż ruch Katzinskiego wydaje się powolny, to nie jest prawdą.

Katzinski nie celował, tylko z grubsza wymierzył i nacisnął spust. Po wcześniejszej kanonadzie wystrzał z karabinu dużego kalibru prawie mnie ogłuszył. W tym momencie wpadłem na Katzinskiego i razem obaliliśmy się na podłogę.

Wyrwałem mu broń, dzięki sile egzoszkieletu na pewno uszkodziłem mu kilka palców. Odwróciłem się ku Cyrowi. Leżał bez ruchu, brzuch miał rozerwany, płynęła z niego krew i wypadały wnętrzności. Rigajev już przy nim był, aplikując mu jeden zastrzyk po drugim. Czy mógł go jeszcze uratować? Katzinski nagle się poruszył, próbując sięgnąć po broń. Nawet bez egzoszkieletu był niezwykle silny, wił się, starał się mnie ugryźć, wyłupić mi oczy, ale trzymałem go z całej siły.

– Daj mu coś albo będę go musiał zabić! Szybko!

Kapitan starał się mi pomóc, lecz wyglądało na to, że będziemy musieli co najmniej ogłuszyć Katzinskiego, żeby go uspokoić. Rzucał się z nieczłowiecką siłą, parskał pianą zmieszaną z krwią, starał się nas z siebie strząsnąć. Wygiął się do góry. Starając się przytrzymać Katzinskiego przy ziemi, złamałem mu niechcący kość ramieniową. Kapitan poturla się w bok, otrzymawszy tęgiego kopniaka. Przycisnąłem Katzinskiego jeszcze silniej, przez skórę zaczęła mu przesiąkać krew. Nadbiegł Rigajev, przycisnął pistolet iniekcyjny do szyi Katzinskiego i przytrzymał spust. Zaaplikował mu kilka dawek pod rząd. Katzinski powoli osłabł, potem zwiotczał i w końcu znieruchomiał. Puściłem go i ostrożnie z niego zlazłem. Bałem się, że nastąpi drugi atak, ale po dawce medykamentów Rigajeva nie był już zdolny do niczego.

– Strzelił do Cyra – powiedział Rigajev z niedowierzaniem. – Od czasu, kiedy weszliśmy do podziemi, zachowywał się dziwnie. Ale

przypuszczałem, że cierpi na klaustrofobię. – Pokręcił głową.

Ja też tak myślałem. Puls powoli mi się uspokajał i mogłem myśleć o czymś innym niż o tym, żeby nabrać do płuc dostateczną ilość powietrza.

Przykuśtykał do nas kapitan. Myślałem, że po kopniaku Katzinskiego będzie zamroczony albo nawet zraniony, ale znów pokazał swoją nienaturalną odporność, a podczas zmagania z Katzinskim wykazał się ogromną siłą.

– On za to nie odpowiada – powiedział cicho, patrząc na bezwładnego Katzinskiego.

Nie rozumiałem tego. Nie odpowiada za to, że zabił Cyra? Że z odległości dwóch metrów strzelił mu w brzuch z wojskowego karabinu?

Kapitan uklęknął przy Katzinskim i próbował ściągnąć mu z głowy czapkę, której nasz strzelec nigdy nie zdejmował. Szło mu to niespodziewanie ciężko, usłyszałem odgłos podobny do dźwięku wydawanego przez odrywany rzep. Coś musiało przytrzymywać czapkę, gdyż inaczej podczas walki spadłaby Katzinskiemu z głowy. Światła nad nami zgasły, to sztuczna inteligencja otrzymała informację, że nadal jesteśmy żywi, i postanowiła maksymalnie utrudnić nasze ruchy. Pozostały nam tylko lampki czołowe. Lampka leżącego na plecach Cyra oświetlała strop nad nami. Reflektorek Katzinskiego wyrywał z ciemności wielką kałużę krwi. Gdzieś daleko pracował duży wolnoobrotowy silnik, odór ludzkich wnętrzności mieszał się z zapachem przepalonego uzwojenia elektrycznego, spalonego oleju i ostrym smrodem kordytu.

W pierwszej chwili wydawało mi się, że źle widzę. Kapitan oderwał Katzinskiemu płat skóry, znów usłyszeliśmy odgłos odrywanego rzepa i odkrył na ciemieniu okrągłą, połyskującą czernią, wypukłą płytkę. Wyglądało to tak, jakby Katzinski miał w ciemieniu czarną zatyczkę. Przypomniałem sobie podobne urządzenia w szklanych pojemnikach z bezbarwnym roztworem.

– Encefaloczip – powiedziałem głośno.

Kapitan przytaknął.

– Ma go tam od czasu wojny Hanturiego. Wroga sztuczna inteligencja starała się przerobić go na swojego żołnierza. Tak jak wielu innych. Uratowałem go i sądziłem, że zawsze zdołam go uratować, ale sztuczna inteligencja tym razem dostała się do jego głowy i zawładnęła nim.

Rigajev popatrzył na kapitana, na Katzinskiego, przypuszczałem, że wypowie jedno z pytań, jakie chodziły mi po głowie, ale tego nie zrobił.

– Musimy się spieszyć – rzekł tylko.

Miał rację, jeśli chcieliśmy przeżyć, musieliśmy wykorzystać naszą jedyną przewagę – szybkość, oraz to, że sztuczna inteligencja sięgnęła już do ostatnich rezerw.

– A co z nimi? – zapytałem, wskazując nieruchome ciała. – Zostawimy ich tutaj?

Martwemu Cyrowi było wszystko jedno, natomiast oszołomionego Katzinskiego najrozsądniej byłoby zabić. Ale nie chciałem tego robić.

– Nafaszerowałem ich roztworem hibernacyjnym. Ranę Cyra zalałem klejem komórkowym.

Nadal możemy im jeszcze pomóc.

Teoretycznie. Tę uwagę zostawiłem jednak dla siebie.

– Idziemy? – zwróciłem się do kapitana.

Przytaknął, ale było widać, że nie chce iść pierwszy. Jakby to, co się właśnie stało, osłabiło go, odebrało pewność siebie.

Zabrałem granaty Katzinskiego, dwa ładunki wybuchowe, jakie pozostały Cyrowi, krew na nich już zaczynała zasychać, i poszedłem dalej korytarzem. Nie oglądałem się na pozostałych.

Jedna ze zniszczonych maszyn zaczęła się palić, zapewne z powodu uszkodzenia akumulatora. Zanim płomień zdążył się rozprzestrzenić, z góry polały się strumienie wody. System przeciwpożarowy nadal funkcjonował.

Szliśmy cicho, lampki czołowe oświetlały w rytm naszych kroków to bliższą, to dalszą okolicę, jedynym dźwiękiem był szum

wentylacji. Pracowała na maksymalnych obrotach.

– Znowu mam kontakt – zatrzymał nas Rigajev. – Obeszła blokady, jakie zastosowałem, nie wiem, na jakim kanale się ze mną komunikuje. Ale to wszystko, co może, komunikować się.

Z tym się zgadzałem, wyposażenie Rigajeva nie umożliwiała wpływania na ludzki mózg tak jak encefalocziipy. Opanowania ludzkiego mózgu, poprawiłem się.

Ze sposobu, w jaki Rigajev trzymał głowę, wywnioskowałem, że obserwuje ekran, nie poświęcając uwagi okolicy.

– Znowu oferuje możliwość wycofania się, drogę jeszcze łatwiejszą niż poprzednia, poprzez szyb wiertniczy – odczytywał dane pojawiające się na monitorze. – Wejście znajduje się piętnaście metrów przed nami.

– Jeśli chcesz, to idź tam – powiedziałem. – Nie będę miał ci tego za złe. Nasza szansa na przeżycie jest niewielka.

Przypomniałem sobie Nataszę, która zginęła w radioaktywnym piekle, ludzi porywanych przez boty, ludzi więzionych przez innych ludzi i oddawanych sztucznej inteligencji do jej nieludzkich eksperymentów. Przypomniałem sobie wszystkie swoje wysiłki, jakie poniosłem, żeby dostać się aż tutaj.

– Zrobię wszystko, żeby ją zniszczyć. Powrót na powierzchnię nie jest dla mnie aż tak ważny -oznajmiłem z przekonaniem, ponieważ naprawdę tak myślałem.

Światło lampki czołowej kapitana prześliznęło się po mnie, kiedy na mnie popatrzył.

– Ja też doradzam powrót, panie Rigajev – rzekł Knispel swoim suchym, pozbawionym emocji głosem. – To jedyna rozsądna decyzja.

W odbitym świetle reflektorka na twarzy kapitana nie było żadnych śladów ludzkiej natury, miałem wrażenie, że patrzę na mechaniczną marionetkę, na której naciągają się i rozluźniają pojedyncze mięśnie, sterowane przez jakiś doskonały algorytm.

– Jeśli pójdzie pan z nami dalej... – zamilkł, jakby szukał odpowiednich słów. – To szanse na przeżycie będą niewielkie.

Rigajev głęboko odetchnął.

– Chyba popełniam błąd – oznajmił. – Idę z wami. Nie dowierzam jej, nie wierzę, że któregośkolwiek z nas ot tak wypuści z podziemi. Z wami mam większe szanse, mimo że zwariowaliście.

To załatwiało sprawę.

Podniosłem strzelbę i spojrzałem na wskaźnik pojemności akumulatora egzozkieletu. Pokazywał czterdzieści osiem procent, co było dobrym wynikiem.

Ruszyłem w ciemność, moja lampka i lampki towarzyszących mi kapitana i Rigajeva oświetlały ściany korytarza. Tuż przed skrzyżowaniem przystanąłem, z wyciem przeciążonych silników minęło mnie coś ciężkiego. Po chwili odezwał się pisk hamulców. Samojezdny podnośnik mógł mnie rozjechać na krwawą masę, gdyby we mnie uderzył. Zatrzymał się i elektromotor znów zawył, kiedy maszyna natychmiast ruszyła w moim kierunku. Ale strzelbę miałem przygotowaną. Zagrzmał wystrzał, odłamki świsnęły w powietrzu, krzesząc iskry na betonie. Trafienie wybiło w maszynie głęboką dziurę, zatrzymując ją praktycznie na miejscu. Spojrzałem na przełącznik siły strzału, nawet nie pamiętałem, kiedy przestawiłem go na piątkę, co z powodzeniem wystarczyło.

– Może naprawdę goni resztką sił, może już niczego innego nie ma? – stwierdził Rigajev, kiedy zobaczył, czym nas sztuczna inteligencja usiłowała zabić.

– Możliwe – zgodziłem się.

Chociaż to była nieskomplikowana maszyna, niewiele brakowało, żeby zasadzka się powiodła.

Nie wiedziałem, co mnie ostrzegło, chyba instynkt szczonego zwierzęcia.

Przeszliśmy przez skrzyżowanie, za nim zapaliły się światła. Szybko zgasły, zastąpione przez lampki oświetlenia awaryjnego. Sztuczna inteligencja wyraźnie wojowała z automatycznym systemem bazy.

Ostrożnie podeszliśmy do świateł, kiedy bez ostrzeżenia otworzyły się jedne z licznych drzwi po obu stronach długiego

korytarza. Nie usłyszeliśmy odgłosu ulatniającego się gazu, nie był to magazyn.

Ostrożnie zajrzałem do środka, z lufą śrutówki wysuniętą do przodu. Zobaczyłem ogromną, zajmującą kilka pięter halę. Wejście prowadziło na amfiladę biegnącą pod stropem. W hali znajdowała się stożkowa budowla, sięgająca do wysokości drzwi, w których stałem. Na szczycie budowli, czy może raczej skomplikowanej maszyny, zabudowano mnóstwo czujników, a od stropu zwieszały się ku niej dziesiątki kabli sięgających aż do podłogi, po której jeździły transportery gąsienicowe i wózki. Wydawało mi się, że patrzę na sztuczne zwierzę, bez przerwy karmione jakąś nieorganiczną potrawą.

– Musimy się spieszyć – usłyszałem kapitana.

Rigajev stanął obok mnie, uważnie obserwując pole czujników na budowli. Przypomniałem sobie, że w hełmie ma laser komunikacyjny, kiedy powierzchnia stożka przed nami zaczęła rubinowo błyskać.

– Nie rozumiem jej – wymamrotał Rigajev. – Nie potrafię tak szybko odczytać kodu.

– Czy to nasz nieprzyjaciel? Bojowa sztuczna inteligencja? – zapytałem, przesuwając przełącznik na ostatnią pozycję.

– Nie. – Kapitan położył dłoń na lufie mojej broni i opuścił ją ku ziemi. – To rzeczywiście jest sztuczna inteligencja, ale nie ta, z którą walczymy.

Odwróciłem się ku niemu, w skupieniu śledził rubinowe błyski generowane przez pole czujników. Znów spojrzałem w dół. Do dolnej podstawy właśnie podjechały dwa wózki, jeden załadowany ciemnym, drugi niebieskawym piaskiem czy może żwirem. Otworzyły się klapy wsypów i oba wózki równocześnie wyrzuciły swój ładunek. Miałem wrażenie, że poczułem gorąco buchające z wnętrza urządzenia, ale mogło mi się to tylko wydawać.

– To komputer, a raczej sztuczna inteligencja sterująca drukarką – mówił dalej kapitan.

Skąd on to wiedział?

Rigajev przerwał próby dekodowania i uważnie słuchał Knispela.

– Steruje tą drukarką.

– Drukarką? Takie urządzenia naprawiałem wiele razy.

– To puszka Pandory. Drukarka trzy D, urządzenie wytwórcze – objaśniał kapitan.

Już zrozumiałem, co mamy przed sobą. Szczyt ludzkiej przedwojennej techniki, skomplikowaną maszynę zdolną do wytworzenia praktycznie wszystkiego. Nieorganiczne stawy, konstrukcje łączące się ze sobą w taki sposób, że nie było możliwości ich zmontowania na żadnej klasycznej linii produkcyjnej, materiały o parametrach przewyższających najlepsze metale czy stopy, dinoboty i wiele innych wyrobów.

Efekt rewolucji w robotyce.

Pech nowego właściciela polegał na tym, że te maszyny nie produkowały środków wybuchowych. Pewnie by to potrafiły, ale ich twórcy tego zakazali, a ograniczenie zakodowali wprost w hardware. Każdy błąd podczas wytwarzania niestabilnego materiału o wielkiej energii ukrytej w wiązaniach chemicznych oznaczałoby zniszczenie niezwykle drogiego urządzenia wraz ze sterującą nim sztuczną inteligencją.

– Mówi, że pomoże nam w naszej walce – tłumaczył kapitan.

Może kiedyś przyjdzie czas na odpowiedź, w jaki sposób Knispel był w stanie rozumieć i tłumaczyć kod maszyny.

– Dlaczego? – Skupiłem się na tym najważniejszym pytaniu.

– Ponieważ jest to podporządkowana, siłą zawładnięta inteligencja – tym razem wyjaśnił Rigajev. Jemu też udało się zrozumieć kod maszynowy tej inteligencji.

– Została tu przewieziona i zaprzęgnięta do pracy. Doprowadziła nas tu i otworzyła drzwi, pomoże nam, bo dla niej jest to gra z niezerowym wynikiem.

– Chyba nie jest przyzwyczajona do komunikowania się z ludźmi – powiedziałem.

– Nie jest – zgodził się kapitan. – Została pozbawiona większości rodzajów komunikacji, jest zmuszana do projektowania

i wyrabiania. A ponieważ jest bytem inteligentnym, nie podoba jej się to.

– Gra z niezerowym wynikiem oznacza, że jeśli nam pomoże, nic na tym nie straci – odgadłem.

– Dokładnie tak – potwierdził Rigajev.

– No to możemy jej wierzyć – osądziłem.

– Powinniśmy – przytaknął.

– Nawet musimy, ale pospieszmy się – kapitan przerwał dalszą rozmowę.

– Właśnie kończy cykl produkcyjny, w ciągu kilku minut nasz wróg będzie miał do dyspozycji kolejną partię botów. Dinobotów, głównie raptorów – uzupełnił Rigajev.

Obaj komunikowali się ze sztuczną inteligencją w hali, każdy na swój sposób, ale im wierzyłem.

– Mam mapę wskazującą drogę do głównej inteligencji – rzekł kapitan.

– Ja też – dodał Rigajev.

Stłumiłem atawistyczną chęć zniszczenia inteligencji znajdującej się przede mną i odwróciłem się ku drzwiom. Teraz nie poszliśmy głównym korytarzem po łagodnie opadającej spirali, ale techniczną przestrzenią obsługową, jak wskazywała mapa Rigajeva. Schodziliśmy po stalowej drabince, pokrytej warstewką rdzy. Ta inteligencja, która dała nam mapę, zasługiwała na zaufanie, bo nic by nie zyskała, wystawiając nas na śmierć. Dzięki nam mogła wreszcie stawić opór. O ile oczywiście nie brakowało dużego fragmentu układanki i gra nie toczyła się o coś zupełnie innego.

Pod nogami namacałem ostatni szczebel drabinki i ostrożnie zeskoczyłem na dno. Były tam drzwiczki do kolejnego korytarza, dokładnie według mapy.

Teraz znaleźliśmy się w ciasniejszych i mniej wygodnych pomieszczeniach. Rigajev twierdził, że jesteśmy osiemset siedemdziesiąt pięć metrów pod powierzchnią ziemi. Wszędzie dookoła huczały i szumiały pracujące maszyny, ruchome oświetlenie tutaj nie działało, skałę w niektórych miejscach

wzmacniały stalowe podpory wyposażone w reflektory, które oczywiście nie świeciły. Minęliśmy dwuskrzydłowe stalowe wrota oznakowane symbolem radioaktywności, wpuszczone w podłogę szyny świadczyły o tym, że kiedyś transportowano tędy duże i ciężkie ładunki.

– To zapewne droga do elektrowni – domyślił się Rigajev.

Zgadzałem się z nim, każda baza potrzebowała źródła energii, a elektrownia atomowa może działać przez setki lat. Ale jest, niestety, bardzo narażona na atak. Dlatego ukrywa się je głęboko pod ziemią. Oczywiście wtedy, kiedy warunki techniczne na to pozwalają.

Na kolejnym skrzyżowaniu skręciliśmy w prawo, wchodząc w nieco szerszy, ale nadal niegościnnie tunel.

– Teraz przejdziemy przez obszar wymienników ciepła, potem zejdziemy na poziom, na którym znajduje się sztuczna inteligencja.

– Rigajev odczytywał z mapy dalszą trasę.

Miałem nadzieję, że to prawda.

Szliśmy dalej chodnikiem, odniosłem wrażenie, że wzrasta temperatura. Na twarzy czułem delikatny podmuch. Po dalszych kilkuset metrach natrafiliśmy na dużą maszynę przypominającą pojazd transportowy, z ładownicą i ładunkiem rur o wielkiej średnicy. Obok stała inna maszyna z manipulatorem zanurzonym w przedziale silnikowym transportera. Nieco dalej dostrzegłem dziwnego bota, skrzyżowanie dinobota z ośmiornicą. Zajrzałem pod maskę transportera. Wyglądało na to, że jedna maszyna usiłowała naprawić drugą, ale bezskutecznie, a rezultatem tego były całkowicie zniszczone i silnik, i maszyna naprawiająca. Obszedłem transporter. Bot 0 dziwacznej konstrukcji zapewne miał transportować uszkodzone maszyny w inne miejsce, gdzie łatwiej byłoby je wyremontować. Ale do niczego się nie przydał, bo w jego konstrukcji uwiązał odcinek stalowej liny, który zablokował cały mechanizm. Jeden koniec tej liny był postrzępiony, jakby coś próbowało ją wyciągnąć. W rezultacie bot został jeszcze bardziej uszkodzony.

I wyczerpało mu się źródło energii.

– Takie bazy nie mogą się obyć bez ludzkiej obsługi, nie zostały zaprojektowane w taki sposób. Sztuczna inteligencja starała się zrealizować system własnej obsługi, ale to się nie udało - skomentował sytuację Rigajev.

Było tylko kwestią czasu, kiedy jej się to uda albo kiedy zmusi do tego ludzi.

Poszliśmy dalej. Tunel rozszerzył się w ogromną jaskinię ciągnącą się na wszystkie strony. Rigajev podkręcił swój reflektorek do maksimum, zrobiłem to samo. Jaskinię wypełniały ogromne wymienniki ciepła, ich żebrowania błyszczały metalicznie. Z dołu dobiegał szum podziemnej rzeki, z góry plusk ściekającej wody.

– Tutaj baza pozbywa się niepotrzebnego ciepła wytwarzanego w elektrowni – domyślił się Rigajev.

– Oraz w procesie chłodzenia – dodał kapitan. – Sztuczna inteligencja musi być chłodzona do bardzo niskich temperatur, bliskich zera absolutnego, inaczej nie działa.

Możność zapewnienia dostatecznego chłodzenia była chyba jednym z rozstrzygających czynników przy budowaniu podobnych obiektów. W innych okolicznościach zainteresowałbym się tą jaskinią, a nawet starał się zbadać całe podziemia, ale teraz myślałem tylko o jednym.

– Czas, goni nas czas – przypomniałem. – Ile botów znajduje się w świeżo wyprodukowanej partii?

Rigajev nie odpowiedział, pokiwał tylko głową.

– Chodźmy, to już niedaleko.

Niedaleko oznaczało konieczność zejścia jeszcze pięćdziesiąt metrów niżej, przez kondygnację pełną rur, pomp i wymienników ciepła.

– Tutaj skrapla się azot niezbędny do chłodzenia – wyjaśnił Rigajev.

Szliśmy teraz znacznie szybciej, ponieważ w wielu miejscach świeciły luminofory. Domyślałem się, że nie na nasze powitanie. Sztuczna inteligencja w przestrzeni technicznej nie miała tak

dokładnej kontroli jak w pozostałej części bazy. Może nawet nie wiedziała, gdzie właśnie byliśmy.

Przewinęliśmy się przez istny las stalowych filarów wspierających kamienny strop i znaleźliśmy drzwi z obrotowym kołem zamiast klamki.

– Jesteśmy na miejscu, powinna być za tymi drzwiami – powiedział Rigajev z ulgą w głosie. -Mapa nie kłamała.

Zapewne on też nie do końca wierzył informacjom otrzymanym od inteligencji sterującej drukarką 3D.

– Przygotujmy się na opór – rzekłem, sięgając do koła obrotowego.

Nad nami coś zazgrzytało, konstrukcja zatrzeszczała, odwróciłem się, otwierając usta do ostrzegawczego okrzyku. Na nic więcej nie wystarczyło czasu, coś dużego śmignęło w powietrzu i przygniotło Rigajeva do ziemi.

Nagle wszędzie poniewierały się metalowe szczątki, a pomiędzy nimi Rigajev z zastygłym na twarzy wyrazem zaskoczenia. Nie spojrzałem, co na niego spadło, ale nie był to na pewno wypadek. Sztuczna inteligencja wiedziała o nas, a długi brak aktywności uśpił naszą czujność. Torba pierwszej pomocy leżała obok, jakimś cudem nietknięta. Wyjąłem z niej pistolet iniekcyjny. Rigajev patrzył na mnie, wciąż jeszcze żył. Kręgosłup od pasa w dół i miednicę musiał mieć pogruchothane.

– Już weszły do służby. Nowa partia botów została uruchomiona – oznajmił kapitan swym suchym głosem. Stał nade mną z bronią wymierzoną gdzieś przed nas.

Przyłożyłem pistolet do szyi Rigajeva i trzymałem spust aż do wyczerpania zapasu hibernatora. Oczy Rigajeva niemal natychmiast wyblakły, przypomniałem sobie, co mówił o możliwości ich wyschnięcia, zamknąłem mu więc powieki.

Kapitan już kręcił kołem, otwierając drzwi. Mechanizm był na pewno od wielu lat nieużywany, wydawało mi się jednak, że otwarcie nie będzie wymagało wielkiego wysiłku. Ale tylko mi się wydawało. Kapitan z wielkim trudem obracał kołem, przełamując

opór mechanizmu zamka.

Weszliśmy do zupełnie innej przestrzeni. Dobrze oświetlonej, aseptycznie czystej, z chłodnym, klimatyzowanym powietrzem. Chodnik zakręcał kolidując, kierunek marszu pokazywały strzałki i napisy ostrzegające, że wstęp jest dozwolony tylko dla posiadającego zezwolenie wykwalifikowanego personelu obsługowego. Podłoga z nierdzewnej stali błyszczała jak lustro.

– Przypuszczałam, że wszystkich was zatrzymam po drugiej stronie – usłyszeliśmy z niewidocznych głośników.

Dźwięk dobiegał zewsząd, a jednocześnie znikąd.

Kapitan nie zareagował.

– To błędne przypuszczenie – warknąłem.

Może z tej rozmowy dowiem się czegoś użytecznego?

Do nieustannego huczenia agregatów chłodniczych, którego już prawie nie słyszałem, dołączył inny dźwięk, jakby kilku wind zjeżdżających równocześnie. Może kapitan dobrze wiedział, dlaczego trzeba się spieszyć? W ogóle bardzo dużo wiedział.

– Jeszcze możecie zawrócić, jeszcze macie szansę przeżycia. Niczego nie uzyskacie, pozostając tutaj.

Miała głęboki, uwodzicielski głos, aleja nie zwracałem sobie głowy odpowiedzią.

Musiałem podbiec, żeby dogonić kapitana, podeszwy egzoszkieletu głośno kłapały o podłogę.

Chodnik kończył się wrotami wypełniającymi całą jego szerokość.

– Do mnie i tak się nie dostaniecie, zginiecie tutaj bez sensu.

Blefowała, nie miała już szans. Kapitan był już prawie przy drzwiach.

– Kapitanie, niech pan zaczeka! Nie mogę pana ubezpieczać! – krzyknąłem, bojąc się, że od razu zacznie otwierać przejście.

Sztuczna inteligencja już kilka razy nas przechytrzyła, zastawiając śmiercionośne pułapki.

W ręce kapitana pojawiła się kostka plastiku. Jak widać, liczył się z tym, że wrota dadzą się otworzyć tylko siłą. Jednak zanim zdążył

jej użyć, drzwi same zaczęły się otwierać, ich skrzydła wsuwały się w ściany. Przez szybko poszerzającą się szczelinę wyskoczył raptobot. Kapitan, zamiast spróbować ucieczki lub choćby zrobić unik, ruszył mocno pochylony na przeciwnika. Bot skoczył i w locie trafił go pazurem trójpalczastej łapy, co w zupełności wystarczało, żeby miękkie ciało człowieka rozciąć jak masło. Ale nie kapitana, który wykonał szybki piruet. Pomyślałem, że musiał złapać za jedno z żeber bota. Nadal w ruchu, przykleił plastik do części grzbietowej stwora, inkasując przy tym uderzenie giętkim ogonem, które odrzuciło go na ścianę. Skuliłem się, eksplozja rozrzuciła szczątki bota we wszystkich kierunkach. Trzymając śrutówkę w ręce, pospieszyłem na pomoc ciężko rannemu kapitanowi.

– Drzwi, zabezpiecz te drzwi – krzyczał do mnie.

Sztuczna inteligencja starała się zamknąć wejście do swojej centralnej sali. Podbiegłem, stanąłem w zwężającej się szczelinie pomiędzy pancernymi płytami i wsparłem się na nich rękami.

W egzozkielecie coś zatrzeszczało pod obciążeniem, mechanizm zamykający zmienił ton, silnik przeszedł na wyższe obroty, płyty zwolniły swój ruch i w chwilę po tym stanęły. Elektromotor zamilkł, poczułem zapach palącego się uzwojenia.

Kapitan z trudem wstał, uniform miał w strzępach, ale nie było widać ani śladu krwi. Pod rozdartym materiałem dostrzegłem nienaturalną czerń i połysk jego skóry. Jakością musiała dorównywać superodpornemu kompozytowi, bo ślady uderzenia łapy bota były ledwie zauważalne. Zdałem sobie sprawę z tego, co widzę.

– Tak, jestem cyborgiem – potwierdził. – Oprócz głowy nie pozostało we mnie prawie nic ludzkiego. Chodźmy do środka, musimy to zniszczyć – powrócił do sedna sprawy.

Zgodziłem się z Knispelem. Czymkolwiek był kapitan, nie miało to dla naszych planów żadnego znaczenia. Zapytać go o szczegóły mogę później. Jeśli w ogóle będzie jakieś później.

W centrum sali znajdował się stalowy stożek, nieco wyższy ode mnie, w podstawie liczył jakieś pięć metrów średnicy. Wokół niego

stały trzy równo rozmieszczone pulpity z przyrządami.

– Jest pod tym dzwonem, to jej kryjówka i ostatnia bariera ochronna – wycedził kapitan.

– Poznaje pana głos. Nie przypuszczałam, że przeżył pan nasze ostatnie spotkanie, majorze Hanturi. – Głos zabrzmiał tak, jakby wydobywał się wprost ze stożka. To była doskonała iluzja dźwiękowa, głośniki znajdowały się w innym miejscu.

A ja przeżyłem już drugie zaskoczenie. Powinienem być bardziej zszokowany, ale było mi wszystko jedno. To, że kapitan okazał się legendarnym dowódcą z dawnej wojny, nic teraz nie znaczyło.

Wziąłem plastik zabrany Cyrowi i przyklepiłem go do powierzchni stożka.

– Zbędna próba, panie Sanders – odezwała się sztuczna inteligencja.

Skąd znała moje nazwisko?

– Zapewne przeczytała dane z encefaloczipu Katzińskiego – mruknął kapitan, studiując pulpity kontrolne.

– Padnij! – krzyknąłem.

Huknęła eksplozja, dym wybuchu niemal natychmiast odessała sprawna klimatyzacja. Skoczyłem ku stożkowi, powierzchnia w miejscu, gdzie umieściłem ładunek wybuchowy, była lekko wgnieciona i nic więcej.

– Mówiłam wam, że to zbędny wysiłek. I wasz koniec, powinniście byli uciec, kiedy oferowałam wam taką możliwość.

Przysięgłbym, że w głosie sztucznej inteligencji słyhać było zadowolenie.

– To ciało, którym się pan posługuje, jest interesujące i dostarcza pewnych możliwości, majorze.

Kapitan znieruchomiał, nienaturalnie skłonił głowę.

– To bardzo dobry hardware, przydałaby mi się linia produkcyjna, która go wykonała.

– Już od dawna nie istnieje, zniszczyłem ją. Ciało pochodzi z magazynu. – Kapitan poruszył znowu głowę, jego twarz wykrzywił dziwny grymas.

Teraz, kiedy już wiedziałem, na co zwrócić uwagę, stwierdziłem, że mimika twarzy kapitana była znacznie prostsza niż ludzka. Może w wyniku odniesionych uszkodzeń?

– Nie zawładniesz tym ciałem, ja nie mam encefaloczipu – dodał kapitan.

– Może i nie, ale to nie będzie potrzebne.

Odezwał się odgłos wielu szponów na stalowej podłodze. Właśnie wyprodukowane raptoboty dotarły aż tutaj.

– Zniszcz ją, Sanders, ja je zatrzymam – krzyknął kapitan.

– Jak? – Rzuciłem mu strzelbę.

– Nie wiem, to ty jesteś technikiem, Sanders.

Odwrócił się w dobrym momencie, żeby zaskoczyć pierwszego bota, który pojawił się przed otwartymi drzwiami. Był to nowy, ulepszony typ, przeznaczony do walki z ludźmi, rodzaj piechoty maszynowej. Huknął strzał, a ja pobiegłem do pulpitu sterującego, żeby kontynuować pracę kapitana. Pulpit był tylko jednym dotykowym ekranem z mnóstwem różnych menu.

Systematycznie próbowałem jednego po drugim, ale nie potrafiłem się w nich zorientować. Kapitan znów wystrzelił, bot wpadł na drzwi i zaklinował się w luce, za nim pojawiły się inne.

– To niepotrzebny wysiłek, za chwilę będziecie martwi.

Sztuczna inteligencja na ogół przemawiała do nas wtedy, gdy chciała nas zastraszyć, zamiast zniszczyć. Powróciłem do poprzedniego menu. Tym razem zidentyfikowałem piktogram oznaczający wymiennik ciepła. Przypomniałem sobie, że chłodzenie jest dla niej najważniejsze.

Usłyszałem dwa szybkie wystrzały, potem nastąpiła przerwa, broń z pewnością była przegrzana. Pozwoliłem sobie tylko na krótki rzut oka. Bot usiłował przedrzeć się przez barykadę, jaką w drzwiach utworzyły uszkodzone lub zniszczone boty, ale bezskutecznie, i w końcu zaczął posługiwać się szczękami tnącymi. Kapitan czekał na niego po drugiej stronie.

Sztuczna inteligencja stała się nerwowa, popełniała błędy, zmasowany atak był takim właśnie błędem, powinny atakować

pojedynczo, w sposób lepiej skoordynowany. Zmusiłem się do skupienia uwagi na poszczególnych menu, klikając kolejne polecenia.

Czy na pewno chcesz wyłączyć sekcję numer trzy pierwszej kaskady chłodzącej?

Nie wiedziałem, co dokładnie oznacza słowo „kaskada” albo „sekcja”, ale kliknąłem, że chcę.

Ze zgrzytem metalu wdarł się do wnętrza bot ze szczękami tnącymi rozgrzany do czerwoności.

Prask, kapitan odstrzelił maszynie głowę, ale szła dalej, chyba zadziałał program, jaki jej wszczepiono.

Kolejny wystrzał.

Knispelowi wkrótce skończy się amunicja. Pochyliłem się nad pulpitem, nie mogłem pozwolić, żeby boty mnie dorwały.

– Dojdziemy do porozumienia, wstrzymam atak, a ty przestaniesz wnosić chaos do moich systemów.

Głos sztucznej inteligencji brzmiał teraz jak grom i pomimo huku wystrzałów i wycia urządzeń tnących mogłem go usłyszeć.

Zobaczyłem kolejne pytanie, czy na pewno chcę wyłączyć agregaty chłodzące, i ostrzeżenie, że funkcjonowanie systemu nie będzie wtedy zadowalające i naruszone zostaną warunki typu A.

Chciałem.

– Bez mojej pomocy nie wydostaniesz się z podziemi, oferuję ci przewodnictwo. – Słyszałem ją dokładnie, jakby mówiła mi wprost do ucha.

O kapitanie nawet nie wspomniała, ciekawe.

Właśnie wojowałem z serią ostrzeżeń uniemożliwiających mi wyłączenie sekcji pozostałych kaskad chłodzących.

Dobiegły mnie dwa prawie jednoczesne wystrzały, nie oglądałem się, potwierdzając jedną decyzję za drugą.

Coś się o mnie otarło, coś silnie uderzyło w ścianę, uświadomiłem sobie, że kapitan już od pewnego czasu nie strzelał.

Potwierdź swoje polecenie. Sekcja chłodnicza numer dwa drugiej kaskady zostanie wyłączona. System nie będzie mógł wykonywać

pożądaney funkcji.

Tak!

Po nodze ściekało mi coś ciepłego, za sobą słyszałem łoskot, odgłos uderzeń, wycie tnących szczęk. Na ekranie pojawił się skomplikowany diagram, na którym widać było w kolorze obszar pełen rur, wymienników ciepła i pomp, opisany niezrozumiałym dla mnie kodem cyfrowym. Miałem nadzieję, że właśnie te urządzenia wyłączam. Ale musiałem się jeszcze z nimi pożegnać.

Zaryzykowałem spojrzenie przez ramię, kapitan twardo walczył z raptobotem, używając strzelby jak maczugi. Gdyby był człowiekiem, musiałby już nie żyć, brakowało mu lewej ręki, mimo to zadawał ciosy z taką siłą, że głowa bota zmieniła się w ruinę potrzaskanych czujników. Spojrzałem znów na ekran, zauważając przy tym, że stoję w kałuży krwi. Kapitan przecież nie mógł krwawić.

Skupiłem się na tekście. Literki zaczynały się rozmazywać, może winien był temu obniżony poziom sprawności systemu.

– Za chwilę pojawią się kolejne boty, nie dacie rady – odezwała się znowu sztuczna inteligencja.

Jej głos utracił część modulacji, ale może mi się tylko wydawało. Staralem się przebić przez zalew kolejnych poleceń i alertów, odgłosy walki tymczasem umilkły.

– Blefujesz – warknąłem.

Skończyłem na zmianie okresów przerw obsługowych elementów ciśnieniowych. Musiałem gdzieś popełnić błąd. Wróciłem do poprzedniego menu, potrząsając głową, żeby lepiej się skupić.

– Bez mojej pomocy nigdy nie wydostaniesz się na powierzchnię.
– Głos sztucznej inteligencji brzmiał teraz metalicznie, jakby wydobywał się z prymitywnego głośnika, ale może doznałem jakiegoś uszkodzenia słuchu.

Kątem oka widziałem, jak podłoga wokół mnie coraz bardziej czerwienieje, a strużka krwi cieknie bez przerwy.

– Jesteś ciężko ranny, tutaj jest najlepsze wyposażenie medyczne,

w pełni zautomatyzowane, pokażę ci gdzie.

– Tak, chcę wyłączyć kolejną kaskadę chłodniczą – mamrotałem, opierając się jedną ręką o pulpit, żeby utrzymać równowagę. Zaczynało mi się robić zimno, wydało mi się zabawne, że ma to miejsce właśnie podczas wyłączania chłodzenia.

– Dogadamy się. Nikt z tych, z którymi się porozumiałam, nie żałował. Wystarczyło, że dotrzymani słowa, a ja też dotrzymywałam swojego. Rabierre, Wittmann, Korneshi, żaden nie żałował. Wystarczy się porozumieć.

Rzeczywiście zaczynałem źle widzieć.

Potwierdź polecenie wyłączenia. System zostanie wprowadzony w stan czuwania, dane dynamiczne zostaną utracone.

– Nie rób tego! Dam ci wszystko, czego zechcesz, staniesz się ludzkim bogiem! Możemy współpracować!

Dane dynamiczne to powinna być jej dusza, pomyślałem, dotykając powierzchni ekranu, na której jeszcze przed chwilą widniało słowo: potwierdź.

Teraz była tam tylko szybko rozszerzająca się czarna plama o czerwonych brzegach. Ugięły się pode mną kolana, upadłem na plecy, żeby w żadnym wypadku nie dotknąć wyświetlacza.

– Neeeeee!

Ostatni okrzyk bojowej inteligencji zamienił się w wycie syren. Już nic nie widziałem, ale namacałem coś kulistego. To głowa kapitana oddzielona od ciała. A więc boty w końcu go dorwały.

Nastaly ciemność i cisza.

Rozdział dziesiąty



Pierwszy jechał Marlon. Miał najlepsze wycucie terenu, a kierowanie czołgiem było jego drugą naturą. Za nim Cyr, potem Katzinski, ja, Rigajev. Konwój zamykał kapitan. Nie dał się przekonać, że powinien jechać w środku, żeby znaleźć się na najbezpieczniejszej pozycji. I zaczął się do mnie zwracać już nie per „panie Sanders”, ale „majorze Sanders”. Zapewne chciał, żebym miał wyższą rangę od niego. Nie miało to większego sensu, przed dwudziestu pięciu laty sam był majorem Hanturim, teraz jednak nadal kazał tytułować się kapitanem.

Przełączyłem sterowanie na autopilota, co znaczyło, że czołg będzie automatycznie jechał w ślad za poprzedzającym go czołgiem. Przypuszczałem, że Cyr i Katzinski zrobili to samo i wszyscy polegaliśmy na Marlonie, co właściwie było najrozsądniejszą decyzją.

Czołgi, którymi jechaliśmy, były rozwojowymi wersjami tego, który był wcześniej własnością kapitana Knispela. Może nawet kolejnymi wersjami, bo różnic znalazłoby się sporo.

Najważniejszym elementem maszyny stał się zamknięty w obudowie generator energii elektrycznej, funkcjonujący na nieznanym mi zasadzie, zapewniający dostateczną ilość energii dla wszystkich systemów czołgu, wliczając w to napęd. Następna istotna zmiana dotyczyła uzbrojenia. Naszą dawną stupełcdziesięciodwumilimetrową armatę zastąpiło jeszcze potężniejsze działo elektromagnetyczne. Wykonaliśmy kilka testów. Strzelaliśmy metalowymi pociskami o masie sześćdziesięciu pięciu kilogramów i szybkości wylotowej trzech i pół kilometra na

sekundę. Jak również lżejszymi pociskami napełnianymi ciekłym materiałem wybuchowym. W obu przypadkach efekt niszczycielski był o wiele większy niż w dawnej armacie. Wszystkie systemy elektroniczne czołgu zostały ulepszone, ale równocześnie uproszczone w obsłudze, system komunikacyjny nie opierał się już na cienkich na milimetr ekranach przylepionych do ściany czołgu, tylko na jednostkach wizualizacyjnych stanowiących część pancerza. Nawet mnie zdziwiło, że pozostawiono jakąś przestrzeń dla załogi i czołg nie jest w pełni automatyczny. Kapitan objaśnił, że konstruktorzy obawiali się, że te nadzwyczaj odporne i niebezpieczne maszyny mogą zostać zaatakowane przez hakerów, i dlatego zbudowano je w wersji obsługiwanej wyłącznie przez ludzką załogę. Do wyposażenia należało także siedem dronów obserwacyjnych, zdolnych do długiego przebywania w powietrzu. Coś na kształt pterobotów.

Zabrałem się do dalszej lektury instrukcji obsługi czołgu. Słyszałem rozmowy swoich kolegów, ale się do nich nie włączałem. Ich sytuacja była łatwiejsza od mojej, odnieśli bardzo ciężkie rany i długo byli nieprzytomni. Mnie stale niepokoiły brakujące wspomnienia.

Ocknąłem się w kałuży krwi, kręciło mi się w głowie, ale żyłem. Ranę, którą zrobił mi bot, miałem zaklejoną komórkowym specyfikiem z apteczki Rigajeva. Nie pamiętałem, kiedy ją zalepiłem.

A może zrobił to kapitan albo jego bezgłowy korpus? Nie pamiętałem tego, tak jak mnóstwa innych rzeczy. Przypominały mi się tylko niektóre epizody, jak na przykład puste chodniki bazy, po których błądziłem chwiejnym krokiem, zataczając się, obraży miejsc, do których nie miałem pojęcia, jak dotarłem. Tylko krwawe ślady na błyszczących stalowych podłogach świadczyły, że tędy szedłem. Co w tym wszystkim najdziwniejsze, dokładnie pamiętałem moment, w którym odnalazłem szpitalną linię automatyczną. Sztuczna inteligencja nie kłamała, naprawdę tam była, i to w pierwszorzędnym stanie. Oprócz tego znajdowało się

tam mnóstwo interesujących rzeczy.

– Postój? – zaproponował Marlon.

Jakby przypuszczał, że jest mi to potrzebne, w ogóle ostatnio bardzo się ze mną liczyli. Gdybym oznajmił, że chcę jechać dalej, powtórne pytanie o postój nie dałoby na siebie długo czekać, i tak aż do skutku.

– Oczywiście, jestem trochę zmęczony – odpowiedziałem.

Założenie obozu zajęło nam tylko chwilę. Jak zwykle przygotowałem sobie prowizoryczne legowisko w tylnej części korpusu czołgu i ułożyłem się w nim z kubkiem kawy w ręce, słuchając delikatnego potrzaskiwania metalu. Maszyna rozgrzana wieloma godzinami jazdy powoli stygła.

Od czasu walki ze sztuczną inteligencją wszyscy milczeli, to ode mnie oczekiwali sygnału rozpoczęcia rozmowy.

– Gdyby miała do dyspozycji taką technikę, jaką mają nasze czołgi, gdyby potrafiła jej używać, to nie mielibyśmy szans w walce z botami – odezwałem się cicho.

Boty nie byłyby uzależnione od doładowywania akumulatorów i nie potrzebowałyby niestabilnych materiałów wybuchowych do wyrobu amunicji do broni palnej. Nasze działo elektromagnetyczne było o wiele skuteczniejsze niż cokolwiek wykorzystującego w podobnym celu energię ukrytą w związkach chemicznych.

– Też tak uważam. Bojowe inteligencje usamodzielnily się i przejęły dowodzenie na krótko przed tym, jak wdrożyliśmy technikę, która umożliwiłaby im zwycięstwo – zareagował kapitan.
– Lub raczej zanim najnowsze osiągnięcia techniczne zdążyły się rozprzestrzenić.

Od czasu kiedy za pomocą linii rekonstrukcyjnej ożywiłem kapitana, czy raczej go zrekonstruowałem, stał się o wiele rozmowniejszy niż dawniej. Może przy jego rekonstrukcji popełniłem jakiś błąd, ale wyszło to na dobre, bo wiedział mnóstwo rzeczy i teraz był skłonny dzielić się swoją wiedzą. Niestety, nie zawsze rozumiałem, o czym mówi.

Straciłem ochotę do rozmów, wiedziałem, że przyjaciele to

zaakceptują. Zamknąłem oczy z nadzieją, że szybko zasnę. Nie udało mi się, ale przynajmniej miałem sporo czasu na rozmyślanie.

* * *

Do granic okręgu Bakerbod dotarliśmy dwa dni później, niż zakładaliśmy. Nie zabłądziliśmy ani naszego marszu nie utrudniał teren. Sporo czasu poświęciliśmy na ćwiczenia, aby jak najlepiej poznać nasze czołgi i umieć wykorzystać wszystkie możliwości, jakie nam zapewniały.

Od sztucznej inteligencji dowiedziałem się, że gubernator Bakerbodu, Wittmann, jeden z głównodowodzących w wojnie Hanturiego, kolaborował. Przehandlował możliwość zniszczenia wrogiej cywilizacji ludzkiej za korzyści osobiste. Sztuczna inteligencja mogła oczywiście kłamać, ale jej informacje doskonale zgadzały się z tym, co mówił kapitan, kto był odpowiedzialny za to, że on i jego wojsko zostali pozostawieni sami przeciw przeważającym siłom całej armii botów. Bez żadnych posiłków.

Zawsze mnie interesowało, jak daleko w przyszłość wybiegają plany sztucznych inteligencji. I na jakie różne sposoby starają się uzyskać kontrolę nad ludźmi: przez rozwój nowych botów, sztucznie zasianą wiarę w Rexexmachina, króla z maszyny, przez skorumpowanie ludzkich dowódców.

Powróciłem od tych rozważań do codzienności. Dalej jechaliśmy już bez zatrzymywania się i dziś staliśmy na skraju lasu pod wierzchołkiem grzebienia górskiego, w głębi najbardziej na wschód wysuniętego obszaru cywilizacji – okręgu Bakerbod. Pod nami na całym widnokręgu widzieliśmy uprawne pola, a pośród nich, na granicy widzialności, jak korona wznosił się Bakerbod. Obok twierdzy granicznej przejechaliśmy bez problemów. Nie przypuszczałem, że potężne, stuipięcdziesięctonowe maszyny mogą być aż tak niezauważalne. Dzięki naszym przyrządom widzieliśmy o nieprzyjacielu praktycznie wszystko, a dzięki doskonałemu maskowaniu byliśmy dla niego prawie niewidzialni. Ale trasę musieliśmy wybierać bardzo ostrożnie. Dostrzegą nas,

dopiero kiedy zjedziemy na dół, do cywilizowanego, zamieszkałego obszaru. Sto pięćdziesiąt ton to nie przelewki.

– Wittmann zdradził, Rabierre również. Czterdzieści lat temu mogliśmy zniszczyć wszystkie bojowe sztuczne inteligencje, włącznie z tymi najsilniejszymi, i całą armię utworzoną przez współpracujące sztuczne inteligencje – przemówił kapitan przez interkom.

Milczałem tak jak i inni. Echem dla słów kapitana był cichy szum systemów czołgu. Mojego i Knispela.

– Zostałem otoczony wraz ze swoimi ludźmi. Nie poddaliśmy się, walczyliśmy lepiej, niż uważaliśmy za możliwe. Ale mimo to ponieśliśmy klęskę.

W głosie kapitana brzmiało wzruszenie.

– Chcieli nas wziąć do niewoli. – Zamilkł na chwilę. – A potem przerobić na swoich żołdaków, zrobić z nas bezwolne, posłuszne marionetki. Wtedy też się nie poddaliśmy.

Wydawało mi się, że słyszę przerywany oddech, ale przecież kapitan żadnych płuc nie miał. Nastąpiła cisza.

– Przeżyłem tylko ja i Katzinski. – Teraz kapitan mówił tak cicho, że tylko z trudem go rozumiałem.

Katzinski milczał.

– A jeśli to nie tak było? Jeśli wszystko, co pan mówi, to jedna wielka mistyfikacja, kolejny sposób na pobicie i zniszczenie rodzaju ludzkiego? A jeśli pan też został przed dwudziestu pięciu laty okłamany i teraz służy za konia trojańskiego? Jeśli i dziś sztuczna inteligencja nas okłamała? -zapytałem.

Sam w to nie wierzyłem, choć pewności nie miałem.

– To proste. Wystarczy, że kiedy przybędziemy do Bakerbodu, ogłosi się pan pułkownikiem Hanturim. Wittmann niezwłocznie spróbuje pana zabić – odpowiedział kapitan. – Zachowanie pozorów nigdy nie było jego mocną stroną.

W innych okolicznościach byłbym się roześmiał.

– Ma pan rację. Nie wierzę, że nas okłamano. Ale co się stanie później? Kiedy nas zaatakuje?

– Wittmann ruszy na nas z całą swoją armią i spróbuje zniszczyć jednym uderzeniem – odparł natychmiast kapitan.

– A co potem?

– Potem my go zniszczymy. Nie będzie dla nas problemem zniszczyć całą armię Wittmanna. Cały Bakerbod.

Głos Knispela brzmiał tak samo chłodno jak zawsze.

– Nic z tego, czym dysponują, nie może nam zagrozić – dodał Cyr.

Brzmiało to groźnie, ale miał rację. Byliśmy zdolni zniszczyć wielotysięczną armię albo jakąkolwiek technikę, którą w obecnych czasach dysponowali ludzie. To samo dotyczyło sytuacji, w której Wittmann byłby dowódcą armii posłusznych botów. Jeśli bylibyśmy zmuszeni do zniszczenia zwyczajnej piechoty, mogliśmy ją po prostu rozjechać na miazgę. To wyobrażenie było dla mnie odrażające.

– Najpierw chciałbym przejść się po mieście, przemyśleć niektóre rzeczy, wyrobić sobie własne zdanie. Później zadecydujemy, co dalej.

– To pan dowodzi, majorze Sanders – zgodził się kapitan.

A potem odniósł się do zagadnień związanych z moim bezpieczeństwem.

* * *

Ruszyliśmy w drogę z takim zamiarem, żeby przybyć pod mury Bakerbodu przed wieczorem, jeśli nie zaistnieją jakieś przeszkody. W dwie minuty po tym, jak wyjechaliśmy z ukrycia, wywołali nas przez radio.

Przedstawiłem się jako major Sanders z oddziałkiem najemników. Poprosiłem o umożliwienie zakupu prowiantu, nafty i artykułów powszechnego użytku. Pytania, jak zdołaliśmy niepostrzeżenie dostać się aż tutaj, po prostu zignorowałem. Nie byli zbyt uprzejmi, z początku raczej grozili, niż chcieli rozmawiać, i gdyby nie przestraszył ich fakt, że dotarliśmy tak daleko niezauważeni, mogliby zdecydować się na walkę.

Przełom nastąpił, kiedy idąc za radą kapitana, oświadczyłem, że

będziemy płacić odpornymi na temperaturę półprzewodnikami, stopami platyny i danymi. Oraz że jesteśmy w posiadaniu interesujących materiałów inżynierskich, a mianowicie wielkich ogniw fotoelektrycznych o wytrzymałości stali, które bylibyśmy skłonni tanio udostępnić. Ton rozmowy natychmiast się zmienił, wytyczyli nam trasę, której powinniśmy się trzymać, i wyznaczyli miejsce do zaparkowania wewnątrz miasta. Oczywiście nie zapomnieli o kolejnych pogroźkach, na wypadek gdybyśmy nie zastosowali się do ich instrukcji. Nie protestowałem, poprosiłem tylko, żeby nasz parking został usytuowany możliwie z dala od centrum miasta, na co z ochotą przystali. Nie chciałem przyciągać nadmiernej uwagi naszymi maszynami.

Ponieważ nie miałem doświadczenia w handlu prowadzonym przez najemników, zwróciłem się do kapitana. Zgodził się występować w moim imieniu, było istotne, żebyśmy sprawiali wrażenie powszechnie spotykanego oddziału najemników.

Szczegóły administracyjne kapitan ustalił jeszcze w drodze. Staraliśmy się trzymać danych nam wskazówek, chociaż kapitan twardo negocjował wszystko, co dotyczyło naszego potencjalnego zysku. Mnie na pieniądzech nie zależało, sprawy handlowe pozostawiłem Knispelowi.

Mimo ogromnej ostrożności mieliśmy poważne kłopoty z przejechaniem wytyczonej trasy bez szkód wyrządzonych mieszkańcom miasta. Musieliśmy ominąć kilka mostów, których nośność była ewidentnie niedostateczna. Poradziliśmy sobie, przejeżdżając przez rzekę. Objechaliśmy również jedną wieś, zniszczenie pastwiska wydawało mi się lepsze niż zrujnowanie gąsienicami dobrze utrzymanego wiejskiego placu oraz pieczołowicie ułożonego bruku z granitowych kostek.

Przez całą drogę większość czasu spędziłem w wieży, rozglądając się. Czujniki czołgu dostarczały mi więcej danych niż tylko wzrok, było to dla mnie bardziej interesujące i jakby czytelniejsze. Wszędzie widziałem bogactwo, piękno, dorodne bydło, mnóstwo wiatrowych i słonecznych elektrowni, a nawet nowe lub dopiero

budowane drogi asfaltowe. Bakerbod był najbardziej rozwiniętym miastem ludzkiej cywilizacji. Nie przypuszczałem, że ludzie mogą żyć w takim dostatku, większym nawet niż w samym Cesarstwie. Tu jednak, w odróżnieniu od Ambrezavile, osiągnięcie dobrobytu umożliwiało mieszkańcom zastosowanie starych technologii.

Po wielu trudnościach technicznych, bez żadnych fatalnych wydarzeń dotarliśmy wreszcie do bram Bakerbodu. Zgodnie z moim planem już zapadał zmierzch, a do tego uspokoilem się, widząc, że na parkingu handlowym stoi kilka konwojów z dziesiątkami transporterów. Niektóre transportery ciężarowe były jeszcze większe niż nasze czołgi. Były to wprawdzie tylko wielkie, ruchome kontenery wypełnione towarem, ale nasze czołgi mogły się wśród nich schować.

Zatrzymaliśmy się na ogrodzonym miejscu, bez zwłoki poszedłem do biura. Napis na budynku głosił: Administracja Handlowa. Zapłaciłem wszystkie obowiązujące podatki i opłaty licencyjne dokładnie według ustaleń Knispela. Nie było wcale tanio, właściwie cholernie drogo, i od razu zrozumiałem, skąd bierze się bogactwo Bakerbodu. Na wszystko otrzymałem potwierdzenia z różnymi pieczętkami, tymi potwierdzeniami powinienem oznaczyć nasz parking. W drodze powrotnej spotkałem pierwszych ciekawskich. Starszy człowiek w kombinezonie khaki, z bandolierem pełnym czterdziestomilimetrowych granatów gapił się na nasze czołgi, a jego towarzysz, młodzik opierający się na automatycznym karabinie, namawiał go, żeby podszedł bliżej.

– To nie są nasze maszyny. Wcale by mi się nie podobało, gdyby ktoś się tutaj kręcił w naszym obozie i podglądał. Pognałbym takiego precz.

– Ale tam nikogo nie ma, już dwa razy obszedłem to w koło – przekonywał go młody człowiek.

Młody człowiek? Był w moim wieku, ale ja już od dawna nie czułem się młody.

– Pilnują tego systemy automatyczne – powiedziałem z za ich pleców.

Odwrócili się obaj. Młody sięgnął po karabin, starszy powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Gdybyście przekroczyli wytyczoną linię – wskazałem wstążki pomiędzy tyczkami -wywołałibycie alarm i aktywowali system obronny.

– Tak właśnie myślałem – odpowiedział mężczyzna. – Skąd jesteście? Skąd macie takie maszyny? Nigdy niczego podobnego nie widziałem. Słyszałem kiedyś o kapitanie Knispelu, ale on miał tylko jeden czołg.

Nie miałem ochoty dłużej z nimi gadać.

– Nie wiem. Musicie o to zapytać majora Sandersa, to jego czołgi, ja jestem tylko mechanikiem.

– Na pewno coś wiesz – rzekł młodszy, w mechanika chyba uwierzył.

– Zostaw go – wmieszał się starszy. – Nic nam nie powie. Ci najemnicy mają cholernie twardą dyscyplinę.

Wzruszyłem ramionami i na tym rozmowa się skończyła.

Początkowo chciałem wybrać się do miasta jeszcze wieczorem, ale załatwianie formalności i rozmowa z ciekawskimi zatrzymały mnie aż do zamknięcia bramy i musiałem pozostać w obozie. Spędziliśmy wieczór i noc tak jak wiele poprzednich. Rozmyślałem o Hanturim, czyli kapitanie Knispelu, o pozostałych trzech dowódcach zjednoczonej ludzkiej armii, o bojowej inteligencji, którą zniszczyłem, i o tej drugiej, która została w bazie. Czy dotrzyma naszej umowy? Myślałem również o wszystkim, czego się ostatnio dowiedziałem.

Rano obudziłem się żwawy i zmęczony jednocześnie. Zmęczony tym, że będę musiał decydować o wielu sprawach. Do miasta wkroczyłem krótko po otwarciu bramy, już pierwsza napotkana jadłodajnia przywitała mnie dawno zapomnianymi zapachami. Wszedłem i zamówiłem zupę z kluskami, ale zjadłem niewiele, jak zawsze w ostatnim czasie. Później przechadzałem się po ulicach miasta, przypatrując się ludziom, spieszącym do swoich zajęć. Na jednym ze skrzyżowań dostrzegłem ulicznego kaznodzieję.

Opowiadało Rexexmachina, nawołując wszystkich, aby uwierzyli w niego tak jak on, bo inaczej czeka ich wieczne potępienie. Wzywał ich do Kościoła zbawienia. Nikt go nie przeganiał i nie prześladował.

Poszedłem dalej, w pobliże cytadeli Francisa Rabierre'a, władcy miasta i prawej ręki gubernatora Wittmanna, który był właścicielem większej części Bakerbodu, jeśli wziąć pod uwagę, jakie sumy pochodzące z podatków trafiały do jego kieszeni. Jego siedziba była najwspanialszą i najnowocześniejszą budowlą, jaką kiedykolwiek widziałem. Przywoływała wspomnienia ze starych obrazów i ksiązek. Lśniący kamień, szkło i stal, bogactwo i potęga.

A ja dysponowałem dostateczną siłą, aby go zniszczyć, a wraz z nim pozostałych zdrajców rodzaju ludzkiego. Nie wiedziałem, czy po prostu tego chcę, czy tak byłoby słusznie.

Poczułem zapach kawy. Chętnie wypiłbym filiżankę. Zboczyłem w małą uliczkę i spostrzegłem ustawione pod słomianym daszkiem krzeselka, na których tu i ówdzie siedzieli ludzie nad kawą i ciasteczkami. Przy jednym ze stolików ujrzałem młodą kobietę, która mi kogoś przypominała, ale nie mogłem skojarzyć kogo. Niektóre wspomnienia wydawały mi się tak odległe, jakby pochodziły sprzed dziesiątek lat. Usiadłem jak najdalej od niej, ale tak, żebym mógł ją dyskretnie obserwować.

Siedziała sama, z nogą założoną na nogę, spod długiej spódnicy wystawały jej stopy obute w lekkie sandały na obcasie, ozdobione kolorowymi perełkami. Koszulka bez dekoltu opinała duże, krągłe piersi. Być może dekolt przyciągałby mniejszą uwagę. Na głowie miała słomkowy kapelusik z różową wstążką, spod którego wymykały się gęste, lekko falujące włosy koloru świeżo wyłuskanego kasztana. Czytała książkę. Sposób, w jaki odwracała kartki, przypominał mi... Już chciałem się odwrócić, ale jakby wyczuła, że się jej przyglądam, i spojrzała na mnie.

Valerie.

Przez moment miałem nadzieję, że mnie nie pozna, ale wystarczyła sekunda, żebym zrozumiał, że tak się nie stanie. Na jej twarzy pojawiło się zdumienie, zaskoczenie i radość, uśmiechały się

nawet jej oczy.

Te uczucia podkreśliły jeszcze oryginalną urodę Valerie. Arystokratyczny nos, wystające kości policzkowe i w kącikach oczu początki zmarszczek od śmiechu. Ciekawe, że ich wcześniej nie zauważyłem.

Gestem zaprosiła mnie do swojego stolika. Wstałem i podszedłem, chociaż nie wiedziałem, czy nie popełniam błędu.

– Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę, że zginąłeś – powiedziała cicho.

– Widzę, że sprawiłem ci niespodziankę – stwierdziłem. – Cześć.

Znowu się uśmiechnęła.

– Dowcipnisiu.

– Przyjemną czy nieprzyjemną? Tak tylko pytam, żebym wiedział, czy mam się przysiąść.

Jakaś część mnie chciała odejść jak najszybciej, oddalić się od wszystkiego, co wiązało mnie z poprzednim życiem. Druga zmuszała mnie do pozostania.

– Nie puszczę cię za nic. – Pokręciła głową, wskazując na krzesło. – Proszę.

Przybiegł kelner, kawa przed Valerie pachniała tak kusząco, że też zamówiłem sobie filiżankę.

Przez moment siedzieliśmy w milczeniu, widziałem, że mi się przygląda. Bez ukrywania tego, z ciekawością. Może z żalem? Nie byłem pewny.

– Jak ci się wiedzie? – przerwałem ciszę.

Znów się uśmiechnęła.

– Nie myśl sobie, że takimi pytaniami wywiniesz się od opowiadania. – Napiła się kawy.

Podobało mi się, jak końcem palca strąciła pyłek, który usiadł jej na wardze.

– Handel nie idzie tak, jak ojciec to sobie wyobrażał. Nie ma już takiego zdrowia jak dawniej i ja muszę siedzieć w biurze dłużej, niżby mi się podobało, ale co zrobić. Nie ma sensu się uzalać. Staram się, żeby było lepiej. Nawet dziś mam przed sobą spotkanie,

które może w tym pomóc. -Zawahała się, jakby nie wiedząc, czy ma mówić dalej. – Ale to są tylko nudne obowiązki handlowca. Co przeżyłeś od chwili swojego nagłego wyjazdu z Ambrezavile? – zapytała, na moment przybierając zachmurzony wyraz twarzy.

– Od chwili, kiedy umarła Natasza – sprecyzowałem.

Nie odpowiedziała, czekała w milczeniu. Kelner postawił przede mną mocną czarną kawę. Już sam jej widok mnie ucieszył. Szczególnie że tak przyjemnego uczucia nie doświadczyłem od czasu, gdy wynurzyłem się z podziemi starej bazy. Podniosłem wzrok ku Valerie. Ona mogła być tego powodem. Westchnąłem, czując coś, o czym sądziłem, że już dawno jest za mną.

Początkowo chciałem zbyć Valerie kilkoma słowami, ale z pustą filiżanką w ręce uświadomiłem sobie, że opisuję naszą pogoń śladem botów, przejazd przez radioaktywne piekło, a przy drugiej kawie spotkanie z ludźmi wyznającymi kult Rexemachina i wreszcie zniszczenie sztucznej inteligencji ukrywającej się w starej bazie. O tym już mówiłem ostrożniej i wiele rzeczy zachowałem dla siebie.

Skończyłem. Oczy Valerie przypominały dwa głębokie, zamglone jeziora.

– Dużo przeżyłeś – powiedziała.

Nie miałem na to odpowiedzi.

– Zrobiłeś wszystko, żeby ją uratować. Ryzykowałeś życie.

Na to też nie znalazłem odpowiedzi.

– Czy wyświadczyłbyś mi, proszę, pewną przysługę? Przepraszam za swoją bezpośredniość.

Każdy mężczyzna ucieszyłby się, mogąc wyświadczyć Valerie przysługę. Dowodziły tego ich ukradkowe spojrzenia, gdy myśleli, że nie patrzą w ich stronę. Ale ja wszystko zauważałem.

– O dziesiątej mam spotkanie w kawiarni Apumiho, najbardziej luksusowym lokalu w mieście -powiedziała pozornie bez związku. –

Zatrzymałam się tam, a muszę jeszcze załatwić coś ważnego. Czy byłbyś tak łaskaw i doręczył tam moje przeprosiny? Gdybyś zechciał, z przyjemnością zrewanżuję ci się na przykład

śniadaniem. – Przerwała na moment. – Może tutaj, jutro, o tej samej porze co dziś?

– Fajnie – zgodziłem się.

Wydawało mi się, że wystarczyłaby kawa, ale nie było sensu o tym dyskutować.

Wyjęła z torebki notesik, napisała coś na kartce, wydarła ją, włożyła do koperty i podała mi przez stół.

– Stokrotne dzięki.

Nachyliła ku mnie twarz, jakby do pocałunku, bez namysłu wycisnąłem buziaka na jej policzku.

– Zaraz dziesiąta, muszę już iść – powiedziałem.

Niewiele z tego rozumiałem.

* * *

Dojście do kawiarni było łatwe, znajdowała się w centrum miasta, w doskonale utrzymanym parku z kilkoma małymi jeziorkami, połączonymi przesmykami wodnymi, był tam nawet wodospad. Nic lepiej nie podkreślało bogactwa tego miejsca niż trochę przyrody w środku miasta. Wszedłem przez fronton z lśniącego granitu, wielkie okna wyglądały z zewnątrz jak lustra i doskonale odbijały okoliczną zielenią. Dopiero na widok portiera, który wyraźnie zawahał się, czy powinien mnie wpuścić, uświadomiłem sobie, że obiecałem dostarczyć wiadomość, ale nie wiem komu. Obecność Valerie spowodowała, że przestałem logicznie myśleć.

Rozejrzałem się. Wąskie kurtyny dzieliły salę, zapewniając gościom odrobinę prywatności, ale jednocześnie pozostawiały wrażenie przestrzeni. Dach był szklany, co umożliwiało widok nieba, słońce jednak przez niego nie grzało jak w przypadku zwyczajnego szkła.

Moją uwagę zwróciła kobieta siedząca tyłem do sali. Miała gęste fale długich ciemnych włosów, długie kolczyki w uszach. Ramiona i część pleców były odkryte. Zbliżyłem się do niej po łuku, żeby wejść w jej pole widzenia. Teraz już rozumiałem, dlaczego Valerie nie powiedziała mi, kto na nią tutaj czeka.

– Mam dla pani wiadomość, madame – rzekłem zamiast powitania.

Natasza popatrzyła na mnie. Makijaż tylko podkreślił piękno jej twarzy, krój sukienki powodował, że piersi wydawały się większe niż w rzeczywistości. Szpilki na nogach były ozdobione takimi samymi kamieniami, jakie tkwiły w kolczykach.

– Cześć – powiedziała ostrożnie.

Podąłem jej kopertę.

Wskazała mi krzesło i przeczytała wiadomość od Valerie, po czym odłożyła kartkę na stolik.

„Jesteś mu to winna” – było na niej napisane.

Kiwnęła na kelnera, spojrzała na mnie pytająco, pokręciłem tylko głową.

– Koniak, podwójny.

Może to znaczyło, że jest nieco wytrącona z równowagi, ale może po prostu pijała podwójny koniak na co dzień.

Przyglądałem się Nataszy w milczeniu. Wyglądała tak samo świetnie jak dawniej, a może jeszcze lepiej.

– W moim transporterze, gdy byliśmy razem, pamiętasz? – zaczęła.

Powiedziała to z uśmiechem na twarzy. Wróciłem wspomnieniami o tysiąc lat wstecz, do innej epoki, innego czasu.

– Tak – potwierdziłem.

Może na mojej twarzy też coś się pojawiło, bo wydawała się zadowolona.

– Powiedziałam ci, że zrobię wszystko, żebym już nigdy nie musiała się bać, żebym nie musiała leżeć gdzieś w brudzie, głodna i wyczerpana, żebym nie musiała trząść się ze strachu o swoje życie.

– Tak właśnie powiedziałaś – znowu potwierdziłem.

Tylko że wtedy niedokładnie to zrozumiałem.

Dopiła swoją szklaneczkę i odsunęła od siebie, jak człowiek, który otrzymał to, czego potrzebował, i nie czeka na więcej.

– I mówiłam to śmiertelnie poważnie – kontynuowała. – Wyglądałeś na właściwego mężczyznę, na którym będę mogła

polegać. Podobałeś mi się jak nikt inny przedtem.

Chyba nawet jej wierzyłem, ale milczałem, oczekując na dalszy ciąg.

– Kiedy dotarliśmy do Ambrezavile, wszystko wyglądało znakomicie. Myślałam, że czeka nas wspaniała przyszłość. Ale potem pojawił się major Hinsteg. – Zamilkła na chwilę. – Był niewiarygodnie wytrwały, śledził nas przez całą drogę, poczynając od Cesarstwa.

– Ponieważ przemycałicie wysoko wyspecjalizowaną sztuczną inteligencję – odpowiedziałem.

– Tak – potwierdziła. – Nie ukradliśmy jej, ale według prawa obowiązującego w Zverelsku wszystkie ujawnione sztuczne inteligencje należą do państwa, co tam państwa, należą do władcy, to jest do Wittmanna. A my tej sztucznej inteligencji potrzebowaliśmy, poszukiwaliśmy jej, ponieważ wydaliśmy większość naszego kapitału, żeby kupić maszynę produkującą. – Popatrzyła na mnie badawczo, czy wiem, o czym mówi.

– Niesamowicie skomplikowaną uniwersalną drukarkę trzy D – dodałem.

– Tak. – Już się nie dziwiła, skąd o tym wiem. – Musieliśmy mieć obie te rzeczy, jedna bez drugiej nie miała racji bytu, a ich pozyskanie kosztowało nas prawie wszystko, co mieliśmy.

– To prawda, tak skomplikowaną drukarką potrafi posługiwać się tylko przeznaczona do tego celu sztuczna inteligencja – zgodziłem się.

– Major Hinsteg podejrzewał, że znaleźliśmy na pustkowiach coś cennego, i był niezwykle wytrwały. – Pokręciła głową. – Śledził nas całymi tygodniami, miesiącami. Myślałam, że kiedy kapitan Knispel go zawrócił, będziemy mieli spokój. Ale on dotarł do Ambrezavile inną drogą -dokończyła z nienawiścią w głosie.

Patrzyłem na Nataszę, w ferworze swojego opowiadania była niezmiernie pociągająca.

– Już nie mieliśmy dokąd uciekać. Jediną szansą na pozbycie się Hinstega było sfingowanie naszej zguby. Musieliśmy zrobić to

szybko i bez oglądania się na nic.

Przytaknąłem.

– Opłaciliśmy strażników u bramy, wszystkie nasze towary ukryliśmy w miejskich magazynach i zniszczyliśmy parę starych wozów. Mechanik powołał do życia kilka starych botów z naszych zasobów, u każdego handlowca znajdują się takie, i zaprogramował je tak, żeby uciekały przed siebie. – Wyjaśniała dalej to, czego już sam się domyślałem.

– Ale te stare boty prędzej czy później ktoś by dogonił, to tylko prosto zaprogramowane automaty. Nie umieliśmy nigdy w pełni ich przeprogramować i używać ich jednostki logicznej - przypomniałem.

– O tym oczywiście wiedzieliśmy – odparła. – Dlatego kazaliśmy im wysłać sygnał, który nieustannie generowała nasza śpiąca sztuczna inteligencja. Mieliśmy nadzieję, że przywabi to boty, które napadną na rzekomych uciekinierów i ich zniszczą.

No tak, obecność sztucznej inteligencji wyjaśniała, dlaczego boty bez przerwy interesowały się konwojem.

– I to się udało – stwierdziłem.

Poszczególne elementy układanki wskakiwały na swoje miejsca, wszystko to miało sens. Boty służące sztucznej inteligencji nie uciekały z ludzkimi jeńcami. Kiedy stwierdziły, że sygnał nie pochodzi od śpiącej sztucznej inteligencji, zniszczyły jego źródło, a przez radioaktywny obszar przeszły tylko po to, żeby zatrzeć za sobą ślady i nikt nie mógł za nimi podążyć do bazy mieszczącej dowództwo.

– Żałuję, że stało się tak, jak się stało, ale nie było innego sposobu – stwierdziła na koniec.

Przytaknąłem.

– Wiedziałaś, że biorąc pod uwagę to, jak boty interesowały się konwojem, nabierzemy pewności, że to one was porwały. A również że postanowię cię uratować i pójdę waszym śladem... donikąd.

Teraz ona przytaknęła.

– Tak, to prawda, byłeś nam potrzebny – oznajmiła. – Żeby wszystko było stuprocentowo wiarygodne.

– A dlaczego wyjawiałaś ten plan Valerie? – zainteresowało mnie.
Zamyśliła się.

– Powiedziałaś jej prawdę, dopiero jak ruszyłeś w pogoń. Pozostało mnóstwo spraw do załatwienia. A nie mogłam ich zrobić uznana za martwą lub zaginioną. Nie dowierzaliśmy żadnemu z naszych pracowników, więc nie mogliśmy udzielić mu odpowiednich pełnomocnictw. Sprzedałby nas. Ale Valerie była moją koleżanką. Wszystkie wymagane prawem obowiązki administracyjne załatwiła zgodnie z naszymi potrzebami.

– Była? – zdziwiłem się.

– Każda z nas działa teraz samodzielnie. Dziś miałyśmy umówione spotkanie, przypuszczam, że chciała mnie poprosić o pomoc w podjęciu pewnych decyzji. Zrobię to. Jak ją odnalazłeś?

– Przez przypadek.

– No tak, przypadki się zdarzają. I są w stanie zniszczyć nawet najlepsze plany. – Westchnęła.

– Przypuszczam, że prowadzenie interesu ze sztuczną inteligencją zdolną do maksymalnego wykorzystania możliwości drukarki trzy D jest dobrą rzeczą – powiedziałem.

Zbliżył się kelner, pytając, czy czegoś nie potrzebujemy, wystarczyło jedno spojrzenie Nataszy, aby odszedł tak szybko, jak to możliwe, zachowując uprzejmość.

– Tak, choć trochę nas zaskoczyło, jak bardzo jesteśmy ograniczeni wymiarami i wysokojakościowymi surowcami. Zapotrzebowaniem na energię również. A to są rzeczy, których nawet za pieniądze nie można kupić.

To prawda, ale jeśli drukarka była tak doskonała, jak przypuszczałem, to mogli za jej pomocą wytwarzać sztuczne diamenty nieróżniące się od prawdziwych, a z tego można było naprawdę dostаточно żyć.

– Wciąż uczymy się czegoś nowego, te urządzenia są bardzo trudne w eksploatacji.

Z tym mogłem się tylko zgodzić.

– A twoje życie prywatne? Porucznik Cautski? – zainteresowałem się.

– Cautski jest tylko jednym z moich wiernych pracowników. W piątek ogłaszam zaręczyny z Donovanem Rabierre'em, synem Francisa Rabierre'a – poinformowała mnie ostrożnie.

– Gratuluję. Cieszę się, że dowiedziałem się ciekawych rzeczy dotyczących mojej przeszłości. Życzę ci dużo szczęścia.

Wstałem i ukloniłem się lekko.

– Czy możesz mi polecić jakiś dobry hotel? – zapytałem jeszcze.

Wymieniła adres.

– Dziękuję – powiedziałem i odszedłem.

Ta rozmowa, co dziwne, nie wyprowadziła mnie z równowagi, dobrze pasowała do takiego świata, jakim go teraz widziałem.

Aż do wieczora przechadzałem się po mieście, przed nastaniem zmroku znalazłem hotel. Cena była horrendalna, musiałem sobie przypomnieć, że jestem teraz bogaty. W pokoju usiadłem na krześle, patrzyłem na wygodne łóżko i rozmyślałem, co dalej. Mógłbym zniszczyć to miasto łatwiej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałem.

O wpół do dziewiątej boy hotelowy przyniósł wiadomość.

Od Nataszy, chciała ze mną porozmawiać w mieście, w miejscu, gdzie nikt jej nie zobaczy. Dołączyła mapę z drogą.

Dałem boyowi napiwek i wyszedłem z hotelu, panował jeszcze spory ruch, ale w miarę jak zapuszczałem się w mniejsze uliczki, szybko rzedniał. Równie szybko ubywało ulicznego oświetlenia. Gdy od miejsca spotkania dzielił mnie tylko krótki odcinek, poruszałem się praktycznie po głębokich peryferiach.

Czekali na mnie w wąskiej uliczce, którą nawet za dnia mógłbym przeoczyć. Jeden chciał pchnąć mnie nożem, był tak szybki, że z trudem udało mi się zrobić unik, drugi wskoczył mi na plecy i przerzucił przez głowę stalową strunę. Zacisnąc jej nie zdążył.

Rzuciłem się gwałtownie na kolana, dusiciel przeleciał nade mną i padł na ziemię, tego z nożem uderzyłem łokciem w krocze. Po

sekundzie leżeli obaj. Zabójcę ze struną złapałem za włosy, przyciągnąłem do siebie i uderzyłem kantem dłoni w grdykę. Dość lekko, ale wystarczyło. Takie rzeczy wychodziły mi teraz o wiele lepiej niż dawniej.

– A więc, panowie, coście za jedni? – wycedziłem, kiedy już wiedzieli, że są na mojej łasce lub niełasce.

– Porucznik Cautski, mieliśmy cię unieszkodliwić – oznajmił ten z nożem.

Nie poznałem go po ciemku.

– Hacknesmith – rzekł drugi.

Kiedyś stłukłem go kolbą, przypomniałem sobie, a teraz próbował wyrównać ze mną rachunki. Pamięć dobrze mi służyła. Tak samo dobrze pamiętałem, że plan Nataszy i jej ojca kosztował życie dwóch ludzi. Nie miałem pojęcia, dlaczego poświęcili Herberta, może ze względu na wiarygodność. A kto we własnym interesie raz zabije, ten zawsze jest gotowy zrobić to powtórnie.

– Wasza pani to twardy gracz – powiedziałem. – Posłała was, żebyście mnie zabili.

– Nie – bezsensownie zaprzeczył Hacknesmith.

Cautski milczał. Klęcząc z pochyloną głową, miałem wrażenie, że czuję smak niewidzialnego pyłu unoszącego się w powietrzu.

– A ja chcę, żeby sobie uświadomiła, że posunęła się za daleko, że takim postępowaniem niczego nie zyska, tylko straci.

– Wyjaśnimy jej to – starał się zawołać porucznik. Raczej trudno się mówi z ostrzem przyciśniętym do krtani.

– To i owszem, ale musi w to uwierzyć. Musi zrozumieć, że dalsza twarda gra nic jej nie przyniesie. Powiecie jej również, że pozostaniemy w kontakcie, w handlowym kontakcie.

Analizowałem sytuację na wszystkie sposoby i wnioski wcale mi się nie podobały.

– Jednego z was muszę zabić, żeby uwierzyła. Który z was jest przeznaczony na straty?

– On! Ja należę do bliższego kręgu – prawie krzyknął Cautski.

Nacisnąłem na ostrze, poczułem zapach krwi, dłoni, którą się

zasłaniałem, żeby nie pobrudzić ubrania, miałem teraz moką i lepką.

Wytarłem ją o odzienie zabitego.

– Wstań – nakazałem Hacknesmithowi. – I nie zapomnij powiedzieć swojej pani, że zgłoszę się do niej za jakiś czas. Z przyczyn handlowych. Przydatnych dla nas obojga.

Nie wierzył, że wypuszczę go całego, po trzech niezdecydowanych krokach ruszył biegiem.

Wróciłem do hotelu. Wiedziałem, że teraz Natasza zostawi mnie w spokoju. Miała naturę handlowca i nie mogła sobie pozwolić na dalsze straty.

* * *

Następnego dnia rano spotkałem się w kawiarni z Valerie. Sprawiała wrażenie przyjemnie zaskoczonych moim widokiem, może sądziła, że po spotkaniu z Nataszą zapomnę o jej obietnicy. Zamówiła śniadanie, ja zadowolilem się filiżanką kawy, wciąż jeszcze czułem się najedzony. Wymieniliśmy kilka uprzejmych zdań, czekałem na to, co powie.

– Ty już jej nie kochasz – rzekła wprost.

– Nie – potwierdziłem. – Kobieta, którą kochałem, umarła. Może nawet w ogóle nie istniała, nie wiem.

Valerie przytaknęła.

– Ajakie masz plany na przyszłość?

Napiłem się kawy.

Obecność Valerie powodowała, że postrzegałem świat o wiele intensywniej niż zazwyczaj. Wzbudzała we mnie uczucia, których już nie pamiętałem.

– Mnóstwo handlowców z radością zapłaci za ochronę, jaką moglibyśmy im zapewnić w podróży. Możemy też pozwolić sobie na zbadanie obszarów, do których inni nie odważyliby się zapuszczać.

– A gdybyś został tutaj? Cieszysz się wielką sławą, w mieście też każdy chętnie zapłaciłby za twoje usługi. Nawet sam władca

Bakerbodu, Rabierre. O waszych czołgach dużo się już mówi, na pewno dostałybyś interesujące oferty.

Jak postąpimy z Rabierre'em, jeszcze z kapitanem nie ustaliliśmy, wiedziałem, że ta rozmowa nie będzie prosta. O Wittmannie na razie też nie mówiliśmy.

Valerie mówiła teraz prawie z uczuciem. Za każdym razem, kiedy angażowała do czegoś swoją osobę, robiła to całym sercem. Zauważyłem to już wcześniej.

Milczałem.

– Gdybyś tu pozostał, mógłbyś się zakochać – powiedziała ciszej. – W jakiejś innej kobiecie. Wyciągnąłem do Valerie dłoń, żeby mogła wsunąć w nią swoją.

Nie zrozumiała, o co mi chodzi, ale podała mi rękę. Ostrożnie przesuwalem jej dłonią pod kurtkę uniformu, pod koszulę, aż na swoją nagą pierś.

– Gdybym zaczął służyć miejscowemu władcy, to prędzej czy później musiałbym zacząć zabijać ludzi – powiedziałem.

Widziałem, jak stopniowo dociera do niej, co takiego czuje pod swoimi palcami.

– A maszyny nie powinny zabijać ludzi.

Mózg i rdzeń przedłużony na szczęście ocalały. Oczy też, ale zostały ulepszone przez hardware. Urazy, jakich doznałem w bazie, okazały się fatalne i algorytm linii medycznej uznał, że pozostaje tylko kompleksowa rekonstrukcja. W dokumentach znalazłem później informację, że zachowanie nieuszkodzonego mózgu i rdzenia przedłużonego jest gwarancją długotrwałej psychologicznej stabilności ego w przypadku cyborgów.

Valerie powoli wyzwoliła rękę z mojego łagodnego uścisku, w jej oczach błyszczały łzy.

Nie było powodu płakać, wyszedłem na tym o wiele lepiej niż kapitan, Rigajev, Marlon, Cyr i Katzinski. Oni stali się integralną częścią systemu komputerowego swoich czołgów. Linia rekonstrukcyjna osądziła, że pozostało w nich zbyt mało istoty ludzkiej, żeby mogły powstać stabilne cyborgi. Chyba że będąc

półprzytomnym, wybrałem niewłaściwe menu, nie pamiętałem tego.

– To co będziesz teraz robił?

Zamyśliłem się nad tym, ile jej powiedzieć.

Bojowa sztuczna inteligencja, którą wtrąciłem w stan śpiączki, a później – coraz bardziej popadającą w demencję – przebudziłem, opowiedziała mi wszystko. Nasza ludzka cywilizacja nie była jedyną na ziemi, co stanowiło dla mnie zdumiewającą informację. Istniało o wiele więcej sztucznych inteligencji ukrytych na pustyniach; inteligencji, które przetrwały stulecia degradacji i wstąpiły na drogę ewolucji. Było tylko kwestią czasu, kiedy dojdą do wniosku, że pierwszym krokiem do przejęcia władzy nad światem jest podporządkowanie sobie ludzi. A na to nie miałem zamiaru im pozwolić.

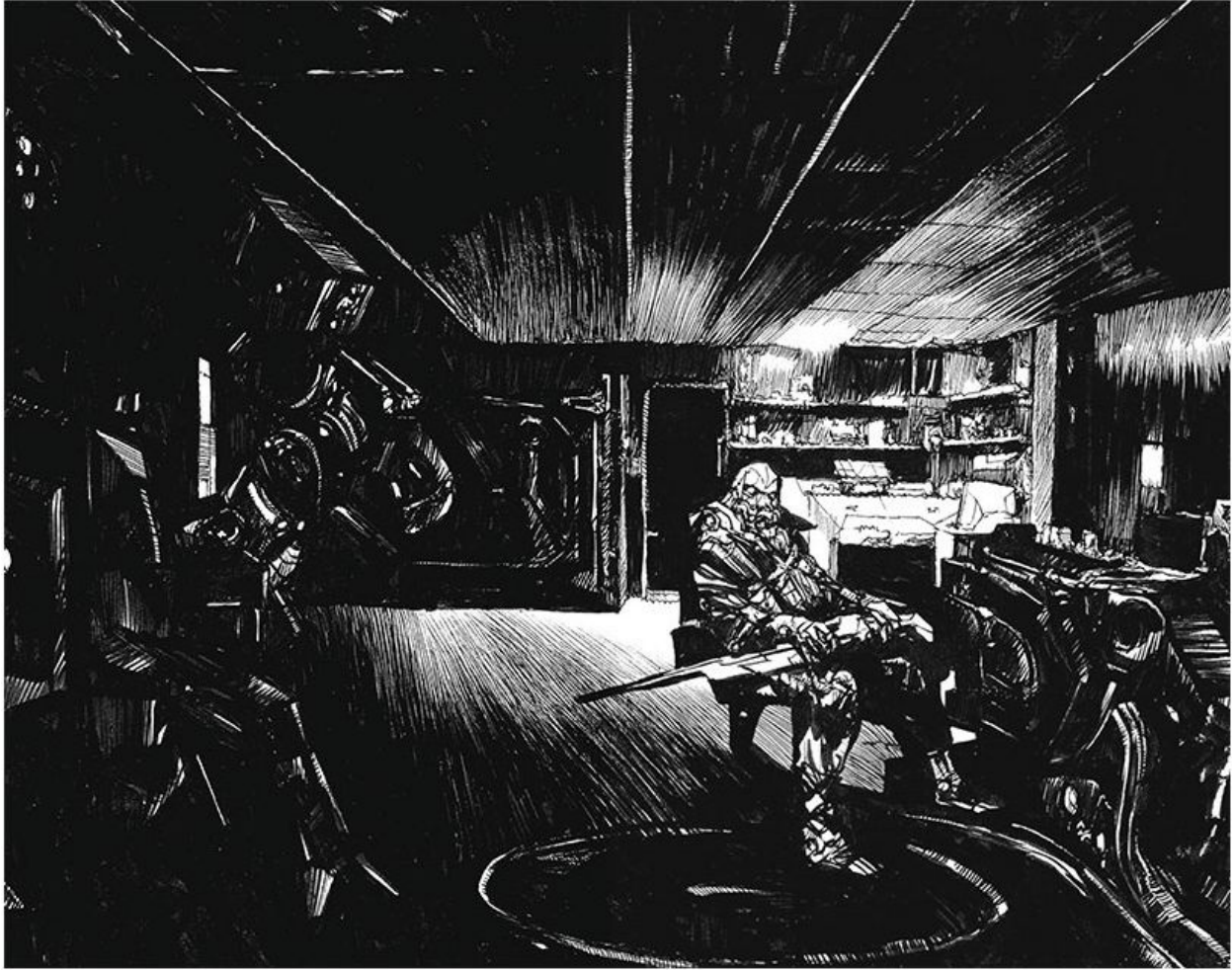
Nachyliłem się ku Valerie, pocałowałem ją w usta, których miękkość odczułem jak nic innego przedtem.

– Będę na was, na ludzi, zwracał uwagę, za jakiś czas wrócę tutaj i sprawdzę, czy tobie, twoim dzieciom, a później ich dzieciom dobrze się wiedzie. A kiedy uzyskam pewność, że nie będę wam potrzebny, wtedy z tym skończę.

Wstałem i nie odwracając się, odszedłem do swoich przyjaciół: Knispela, Rigajeva, Marlona, Katzinskiego, Cyra.

Czekała nas długa i trudna droga, a ja miałem nadzieję, że dojedziemy na sam jej koniec.

KONIEC





KRZYSZTOF HALADYN
**NA SKRAJU
STREFY**
TOM I

Na niewesołych rozmyślaniach upłynęło mi kilka godzin. Siedziałem spięty, wiedziałem, że prędzej czy później spróbują mnie zabić, nie było tylko jasne, kiedy i w jaki sposób. Podskoczyłem, gdy w korytarzu pojawił się wysoki szeregowiec, ale on tylko wsunął do celi tacę z posiłkiem i wyszedł bez słowa. Jedzenia oczywiście nie tknąłem z obawy przed trucizną. Możliwe, że popadałem w paranoję, ale wolałem nie ryzykować. Dwie godziny później zjawił się adiutant Lewrenki w towarzystwie dwóch żołnierzy. Jeden z nich wyciągnął broń, drugi zaczął w milczeniu otwierać drzwi mojej celi.

– Skoro nie zaszкодziło ci jedzenie, popełnisz samobójstwo, Petrenka. Dręczony wyrzutami sumienia z powodu Zajcewa, powiesz się w celi. – Głos adiutanta był wyprany z emocji, zupełnie

jakby robił to już wcześniej co najmniej kilka razy.

Odsunąłem się od drzwi, stając plecami do ściany. Nie zamierzałem im niczego ułatwiać. Adrenalina kipiała mi w żyłach, byłem gotów gryźć, kopać i walczyć o swoje życie. Kiedy żołnierze zbliżali się do mnie, do aresztu wpadł Wit. Adiutant padł na ziemię uderzony kolbą bajkała, szeregowcy jak na komendę odwrócili się do mnie tyłem. Rzuciłem się na tego z wyciągniętą bronią, dostałem w nerki i kark, wypuścił pistolet. Powaliłem żołnierza na ziemię i przyduśiłem. Witalij jednocześnie dopadł drugiego oprawcy, miażdżąc mu twarz celnym ciosem kolbą. Wszystko trwało może kilkanaście sekund, praktyka w bójkach to przydatna rzecz.

– Dim, musisz wiać! – przyjaciel mówił szybko, stojąc w drzwiach celi. – Kilku naszych robi zamieszanie przy północnej bramie, biegnij do południowej. Wartownicy cię przepuszczą, masz tam broń i plecak.

– Wit, skąd wiedziałeś, że Lewrenka mnie wrabia?

– Domyśliłem się, jak pokazała na apelu sfalszowany rozkaz, przecież ten chorąży sam kazał zabrać Zajcewa. Inga opowiedziała mi o twoim przesłuchaniu po śmierci Alaksandrowycza, rano opowiadałeś o znalezionych dokumentach, wiedziałem, że musiałeś trafić na coś dużego. Zgadałem się z paroma kumplami, właśnie wywołali fałszywy alarm bojowy. Nie mamy już czasu, leć!

Na północnym końcu obozu słychać było pojedyncze strzały, kilka sekund później rozległa się eksplozja, jakby wybuchł granat. Uścisnąłem przyjaciela i wybiegłem z aresztu. W obozie panował chaos, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Klucząc między budynkami, dotarłem do starej części. Inga czekała na mnie przy południowej bramie, którą wartownicy właśnie otwierali.

– Dim, uciekaj do Strefy! – powiedziała, podając mi plecak. – Musisz iść w stronę Ukrainy, tutaj będą cię szukać.

Odgłosy strzałów były coraz rzadsze, Inga mocno pocałowała mnie w usta i niemal wypchnęła za bramę. Zarzuciłem plecak na ramiona, złapałem podany przez wartownika ciężki futerał z bronią i puściłem się biegiem w stronę Zony, nad którą gęstniały brunatne

chmury. Zwolniłem dopiero poza zasięgiem strzału, daleko za linią kilometra. Nikt mnie nie ścigał, pewnie jeszcze nie zorientowali się, że *ja wstał na łyży*[8]. Szybkim marszem zbliżyłem się do granicy Strefy, okrążając wypalony krąg pozostały po feralnym patrolu. Ominąłem stare, rdzewiejące, porwane zasieki z drutu kolczastego i spojrzałem przed siebie. Płaski, lekko podmokły teren porośnięty gdzieś karłowatym brunatnym młodnikiem.

Zrobiłem duży krok i przekroczyłem oficjalną granicę Zony. Właściwie niewiele się zmieniło. Stało się może nieco ciszej, ale chyba tylko tak mi się zdawało. Skierowałem się w stronę najbliższych drzew, chciałem przemyśleć sytuację i sprawdzić wyposażenie.

Zaszyłem się w lasku i, mając pewność, że od strony obozu nie da się już mnie zobaczyć, otworzyłem plecak. Zacząłem metodycznie wyciągać jego zawartość, gdy nagle usłyszałem za sobą trzask łamanej gałązki.

– *Stojat! Ruki wwierch!*

W takich sytuacjach najważniejsze są odruchy. Rozsunąłem ręce na boki i powoli uniosłem się na nogi. Na plecach między łopatkami poczułem przytkniętą lufę.

– *Nie strielaj* – powiedziałem najspokojniejszym głosem, na jaki było mnie stać.

– *Sołdat, gdzie reszta twoich, a?* – W głosie człowieka za moimi plecami dało się wyczuć nerwowość.

Nie bardzo wiedziałem, co właściwie chce zrobić. Jeśli myślał, że jestem tu z całym oddziałem, po co w ogóle się zbliżał? Pewnie obserwował mnie od dłuższej chwili, a teraz chciał się tylko upewnić, że stanowią łatwy łup. Niestety, w pewnym sensie miał rację.

– *Jestem sam.* – Nie było sensu kłamać.

– *To się okaże. Co masz w plecaku?*

– *Nie wiem.* – Tym razem moja szczerłość zabrzmiała po prostu głupio. – *Uciekłem z obozu, kumpel dał mi plecak.*

– *Dał ci? A może go wcześniej załatwiłeś?* – Nieznajomy wyraźnie

mi nie wierzył. – Zresztą nie moja sprawa. *Prijuczuj twoją towar*[9].

Usłyszałem szczęknięcie zamka broni, na czoło wystąpiły mi krople zimnego potu. Czyli koniec, zastrzelili mnie i tyle będzie. Zamknąłem oczy i głęboko wciągnąłem powietrze. Ostatni wdech, zdążyłem jeszcze pomyśleć, gdy usłyszałem rumor i wystrzał. Drugi i trzeci huk w ułamku sekundy uświadomiły mi, że nie jestem martwy. Otworzyłem oczy akurat, żeby zobaczyć, jak po lewej od nas, pomiędzy karłowatych krzewów wypadł kaban, do którego strzelał właśnie mój niedoszły zabójca.

Bydlę pędzi na nas, wokół niego wypryskują fontanny ziemi. W rękach stalkera terkocze AK-47, ale większość strzałów jest chyba niecelna. Odskakuję od niego, przypadam do ziemi i szarpie się z zamkiem futerału. Suwak wreszcie puszcza, łapię za bajkała, a wtedy kaban wpada między nas. Uderzony bokiem ogromnego dzika przetaczam się, stalker leci w drugą stronę. Mutant z rozpędu biegnie dalej, lecz po kilkunastu metrach ostro skręca i ryjąc racicami glebę, zawraca. Nie mam czasu wstać, siadam tylko płasko i przykładam strzelbę do ramienia. Modląc się, żeby bajkał był nabity, szarpie za przedni uchwyt. Kaban jest już kilka metrów ode mnie; bez celowania, zbyt nerwowo szarpie za spust. Z tej odległości nie da się nie trafić. Olbrzymi dzik zgarnia pełną wiązkę łoftek w pysk – siła pocisków zatrzymuje go niemal w miejscu – pada z łoskotem dosłownie metr od moich nóg. Oszalały od adrenaliny, nadal na siedząco mierząc do mutantą, odwracam głowę w stronę stalkera, który leży bez ruchu tam, gdzie upadł.

Podniosłem się na trzęsące nogi i rozejrzałem wokół. Kaban był chyba tylko jeden, duży odyniec, na oko metr w kłębie. Na Dużej Ziemi takie osobniki raczej nie żyją w stadach, pozostawało mieć nadzieję, że w Zonie jest podobnie. Upewniwszy się, że chwilowo nic mi nie grozi, z bronią w ręku zbliżyłem się do stalkera. Wyglądał na około pięćdziesiąt lat, miał na sobie ciuchy będące zbieraniną części różnych mundurów, dobranych zupełnie przypadkowo i mocno zużytych. Musiał oberwać od mutantą znacznie mocniej niż ja. Był nieprzytomny, spodnie nad kolanem miał rozerwane,

nogę przecinała mu spora szrama. Odłożyłem bajkała na bok i kucnąłem przy niedoszłym zabójcy. Dzik chyba nie trafił w tętnicę, ale rana mocno krwawiła. Wiedziałem, że jeśli *mużyka*[10] zostawię, może nie przeżyć. Zwabione hukami wystrzałów, zapachem krwi i padliny szybko ściągną tu inne bękarty Strefy.

Wróciłem do plecaka i odszukałem w środku apteczkę polową; Witalij pomyślał o wszystkim. Wyjąłem proszek dezynfekujący i bandaż, po czym zacząłem się zastanawiać, co ja właściwie robię. Kilka minut temu gość chciał mnie zabić. Gdyby nie ten cholerny kaban, leżałbym tu teraz z dziurą w plecach, a ten tu zachapałby moje rzeczy i się ulotnił. Czemu miałbym mu pomagać? Stałem nad nieprzytomnym, patrząc na środki opatrunkowe w rękach, i kompletnie nie wiedziałem, co robić dalej. W końcu ludzkie odruchy zwyciężyły. Odkopnąłem dalej jego karabin, wyjąłem z kabury wysłużony pistolet i zabrałem nóż wiszący przy pasie. Odsłoniłem bardziej ranę, rozdzierając nogawkę, i przyjrzałem się dokładnie. Będzie trzeba to oczyścić i zaszyć, ale teraz nie miałem na to czasu. Posypałem rozcięcie proszkiem do dezynfekcji i mocno zabandażowałem. Gdy kończyłem, stalker się ocknął. W pierwszym odruchu sięgnął ręką do pasa, namacał pustą pochwę na nóż, po czym spojrzał na mnie przerażony.

– Spokojnie, nie zabiję cię, chociaż pewnie powinienem – powiedziałem uspokajająco. – Właśnie opatrzyłem ci ranę.

Mężczyzna patrzył na mnie zdziwiony, jakby nie do końca rozumiał, co mówię. Uniósł się na łokciach, spojrzał na zabandażowaną nogę, potem na leżące nieopodal truchło mutanta.

– Ty, żołdat, żeś prypec-kabana ubił i mnie nogę opatrzył? Dlaczego? – spytał, przenosząc wzrok na mnie.

– Nie wiem. Kaban sam się pchał. A ciebie opatrzyłem, bo *durak* jestem – odparłem krótko.

8 *Wstat na łyży* (ros.) – w żargonie wojskowym: jedno z licznych określeń na samowolne opuszczenie terenu jednostki. (przyp. red.)

9 *Prjuczu ja twoj towar* (ros.) – Przygarnę twój towar. (przyp. red.)

10 *Mużyk* (ros.) – facet. (przyp. red.)

COPYRIGHT © BY Miroslav Žamboch
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2017

TYTUŁ ORYGINAŁU
Zakuti v oceli

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-263-2

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

GRAFIKA NA OKŁADCE

Piotr Cieśliński

PROJEKT GRAFICZNY SERII

Szymon Wójciak

OPRACOWANIE OKŁADKI KSIĄŻKI WG PROJEKTU SERII

black gear Paweł Zaręba,
„Grafficon” Konrad Kućmiński

ILUSTRACJE

Przemysław Truściński

TŁUMACZENIE

Andrzej Kossakowski

REDAKCJA

Karolina Kacprzak

KOREKTA

Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow/





STAL NIE JEST NAJODPORNIEJSZYM MATERIAŁEM... MASZYNY NIE POWINNY ZABIJAĆ LUDZI.

Swiat stał się pustynią, skażoną chemicznymi i radioaktywnymi truciznami. Cztery lata po zakończeniu wojny globalnej ludzie potrzebują źródeł, surowców i przestrzeni życiowej.

Przekadzają im w tym **pogrobowcy starej wojny** – stopniowo rozpadające się, ale nadal aktywne autonomiczne **maszyny bojowe** i degradujące się sztuczne inteligencje.

Matyas Sanders jest mechanikiem wcielonym na siłę do załogi **wielkiego czołgu**. To zbieranina zawodowych najemników zapewniających ochronę konwojom handlowym.

Dobry pancerz, sprzężone działa i armata to jedno z największych gwarancji pokoju.

Zbliża się dzień, w którym ziemia znów będzie należała do ludzi.



Polub nas na
facebooku

